

James Brabazon

Mój przyjaciel najemnik

Wspomnienia

My Friend the Mercenary

Przełożył

Stanisław Kroszczyński

Spis treści

Spis treści.....	2
Wymowa słów w języku afrikaans	6
I.....	8
Prolog Playa Negra	9
1. Uścisk dłoni szatana	11
2. Martwi prezydenci	30
3. Podróż bez map	44
4. Pajęcza Chata	65
5. szkoła ognia	91
6. Whisky Papa	106
7. Trzewia wojny	120
8. Wielka ucieczka	134
II.....	147
9. pomocna dłoń.....	148
10. Braterstwo krwi.....	166
11. Niespokojny duch.....	186
12. Rewolucja będzie w telewizji	207
13. Twardziele nie umierają	227
14. Simon Mann.....	243
III	271
15. Simon mówi.....	272
16. Prawnicy, broń i pieniądze	297
17. Kongijski łącznik	315
18. Koniec.....	327
Epilog przebłycki	345
Podziękowania	370

Nazwiska oraz inne dane, które mogłyby ułatwić identyfikację pewnych osób występujących w tej książce, zostały zmienione, by chronić ich prywatność i bezpieczeństwo. Ze względu na brak zapisów audio, wideo lub sporządzonych na bieżąco notatek autor odtworzył część rozmów, zwłaszcza prywatnych, z pamięci, starając się uczynić to jak najwierniej.

Pokaż mi takiego, który nie jest pasożytem, a ja modlić się za niego będę.

Bob Dylan

Dla Jacoba

Wymowa słów w języku afrikaans

W afrikaans „v” brzmi miękko, jak nasze „f”; „g” w słowie *ag* brzmi podobnie do „ch” w niemieckim *Achtung*; „j” w *ja* wymawia się jak polskie „j”.

I

Prolog Playa Negra

Mężczyzna wisi, nagi, na rzeźnickim haku umieszczonym w suficie. Jego stopy są związane, a usta wypełnia wrzask przyznania się do winy. Otacza go kilku żołnierzy w obszarpanych mundurach, ich pięści są splamione jego krwią. Odpowiedzi więźnia ich nie zadowolają, więc zarzucają go pytaniami w języku, którego on nie rozumie. Walą go kolbą karabinu w jądra. Dziewięć dni po aresztowaniach rozpoczął się najdrastyczniejszy okres kary. Powietrze wypełnia gorzko-słodki swąd spalonego mięsa. Płomień zapalniczki żołnierza przypala stopy więźnia, aż tłuszcz pryska i skwierczy niczym wołowina na rozżarzonej grillu. Skazany więcej nie poczuje już nic. Oczy szeroko otwarte od cierpienia ostatni raz spoglądają na zachłapaną krwią izbę, w której wisi, naprężony jak struna, a potem serce już nie wytrzymuje. Pożółkłe zwłoki zostaną wystawione na widok publiczny - dla innych więźniów.

Gdy pójdziemy dalej korytarzem, możemy ujrzeć kolejne przesłuchanie. W świetle słabej żarówki widzimy więźnia, kilku następnych żołnierzy i ministra rządu, który siedzi i poci się w garniturze. Kiwa głową z uznaniem. Obok ministra, a za żołnierzami, stoi mężczyzna z kamerą wideo i nagrywa wszystko z najmniejszymi szczegółami, na jakie pozwala technika cyfrowa. Utrwalił na filmie milczącego więźnia przywiązanego za ręce i nogi do poziomej belki, twarzą w dół. Do jego genitaliów przymocowano elektrody, w usta wetknięto mokre szmaty.

W celi obok leżą jego towarzysze. Płaczą, załamani, okrwawieni, wciśnięci do pomieszczenia o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych wraz z dwustu innymi więźniami. Bezlitosne słońce rozpala dach z blachy falistej. Wyciągają ich jednego po drugim na przesłuchania lub tylko po to, by ich pobić czy też publicznie upokorzyć. Jeden z nich błaga, by go zastrzelono. Innemu połamano wszystkie palce.

Na podłodze ostatniej celi leży mężczyzna i krzyczy. Ręce ciasno spięto mu kajdankami, a nogi zakuto w żelaza. Żołnierze walili młotami tak długo, aż metal wbił się w skórę i żywe ciało, do kości. Ciężkie buciory stąpają po jego stopach, miażdżąc mu palce. Ten więzień nazywa się Nick du Toit. Jest najsławniejszym najemnikiem z RPA i jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Nick przyznał się do winy, jeszcze zanim zaczęły się tortury - uczynił to publicznie, pod wymierzonymi weń lufami, zdając dokładnie sprawę ze wszystkich szczegółów już następnego dnia po tym, jak został pojmany. Teraz już nie wie, ani też go nie obchodzi, do czego się przyzna. Jego zeznania zmieniają się zależnie od fantazji oprawców. Trwa

rozpaczliwa i bezcelowa rozgrywka. W tym skupisku drewnianych ruder i betonowych bunkrów odgradzonych od morza oraz całego świata zwojami drutu kolczastego katom pastwiącym się nad Nickiem nie chodzi o prawdę: są żądni zemsty.

Ktoś dźwiga Nicka z kamiennej podłogi i zmusza, by ukląkł. Drzwi celi się otwierają, wchodzi dowódca i przytyka lufę pistoletu do jego głowy. Przyszedł, aby dokonać egzekucji, ale magazynek jest pusty. Strażnicy rechocą, tłukąc więźnia do nieprzytomności kolbami karabinów. Ten rytuał powtarza się wielokrotnie.

Pozostawiają Nicka na łasce szczerów w ciasnej izolatce, dwa i pół na półtora metra. Ręce i nogi nadal ma skute. Je ochłapy jak zwierzę, z podłogi, na której także śpi i defekuje. Nie widzi światła dziennego, przebywa bezustannie w całkowitej ciemności. Biją go codziennie. Wdaje się gangrena, ropa cieknie z otwartych ran, zapewniając smakowity pokarm rojącym się karaluchom. Kiedy wreszcie wywleką go na zewnątrz, nie będzie w stanie otworzyć oczu. Żołnierze wpychają jego głowę do lodowatej wody, a potem zrywają strupy z powiek.

Tak oto rozpoczął się pobyt Nicka w Playa Negra, najstraszliwszym więzieniu Afryki. Wyrok opiewa na trzydzieści cztery lata. Zatrzymano go 8 marca 2004 roku wraz z piętnastoma towarzyszami podczas próby dokonania zamachu stanu, obalenia rządu Gwinei Równikowej, maleńkiego kraju w Afryce Zachodniej, chlubiącego się bajecznie bogatymi złożami ropy naftowej. Kogoś tu jednak brakuje, na scenie nie ma jednego z aktorów. Kiedy Nick zdoła otworzyć oczy, nie ujrzy - mnie. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, zapewne znalazłbym się pośród jego towarzyszy niedoli. Miałem mianowicie filmować przebieg zamachu.

1. Uścisk dłoni szatana

Zmierzając szybkim krokiem, depczę swój cień w południowym słońcu, idę wzdłuż brzegu basenu. Zerkam na zegarek. Jest dwunasta, 11 kwietnia 2002 roku. Przybyłem punktualnie. Przy stoliku w lobby luksusowego hotelu w Johannesburgu czeka na mnie dwóch białych mężczyzn. Jeden, muskularny, o długich włosach spiętych w kucyk, skrywa się za czarnymi okularami; drugi, starszy i uczesany schludnie, z przedziałkiem, gładzi wąs, obserwuje, co się dzieje na tarasie, potem patrzy na mnie. Wyciągam dłoń na powitanie, nieco przedwcześnie. Wstają obaj, odpowiadając tym samym gestem i mrukiwym: „Witaj”.

Tego z końskim ogonem poznałem rok wcześniej w Sierra Leone. Ma trzydzieści siedem lat, służył w wojskach spadochronowych RPA, później walczył jako najemnik. Cobus Claassens w połowie lat dziewięćdziesiątych pracował dla przedsiębiorstwa militarnego noszącego nazwę Executive Outcomes (EO), prywatnej armii dowodzonej przez Afrykanerów, a wynajętej przez prezydenta Sierra Leone do walki z partyzantami, którzy usiłowali opanować stolicę państwa, Freetown.

Gdy do walki wkroczyli doskonale wyszkoleni żołnierze EO, rebelianci szybko ponieśli całkowitą klęskę. Po wygaśnięciu kontraktu, Cobus chętnie pozostał w kraju, gdzie zlecenia dla fachowego „ochroniarza” wprost roily się niczym muchy wokół ściernia, czyli tamtejszego przemysłu wydobywania diamentów.

Cobus wrócił do RPA na krótkie wakacje, by spotkać się z rodziną i rozejrzeć za nowymi kontraktami. Spotkałem go kilka dni wcześniej, podczas rozmowy przypadkowo pojawił się pomysł na wyprawę filmową do Afryki Zachodniej. Zamiar równie nedorzeczny, co kuszący: miałbym filmować wojnę w Liberii, czego nie dokonał jeszcze żaden inny dziennikarz; prawdę mówiąc, mało kto w ogóle wiedział, co się tam dzieje. W tym celu potrzebowałem jego pomocy, a także wsparcia polecanego przez niego człowieka.

Schroniłem się w cieniu markizy i dopiero wtedy zobaczyłem ich wyraźnie.

Pierwszy odezwał się Cobus.

- To jest Nick du Toit. Nick - to jest James.

Mówił z afrykanerskim akcentem, dziwnie zniekształcając angielskie samogłoski. Nick, facet około czterdziestki, o dość pospolitym wyglądzie, wyciągnął rękę przez stół i uściśnił moją dłoń. Odniosłem wrażenie pewnej niezręczności, tak jakby jego dłonie i uszy były zbyt wielkie w stosunku do pozostałych wymiarów, jak u nastolatka, który czeka

jeszcze, by dorosnąć do reszty swojego ciała. Czyżby to miał być ten nieustraszony zabijaka, o którym mówił Cobus? Nick patrzył prosto w oczy, co niepokoiło, lecz nie spoglądał napastliwie. Miał prawie dwa metry wzrostu. Po przywitaniu rozsiadł się znów w fotelu. Pojawiło się piwo.

- Miło cię poznać - odezwałem się do Nicka. - Dzięki, że zechciałeś przyjść.

Ze wszystkich sił starałem się ukryć rozczarowanie. Miałem wszak zatrudnić bohatera, który będzie mnie ochraniał podczas wyprawy filmowej do Liberii. Wydawało mi się, że wiem, kogo potrzebuję - zresztą wiele osób tłumaczyło mi to dobitnie. Powinienem nająć ochroniarza, czyli doświadczonego żołnierza; kogoś, kto będzie w stanie mnie obronić, gdy znajdziemy się w ogniu. Kogoś doprawdy niezwykłego. Nick zupełnie do tego obrazu nie pasował. Wyprasowane drelichowe spodnie khaki oraz koszula w biało-niebieską kratę plus równy rząd długopisów w kieszeni na piersi przywodziły na myśl księgowego lub co najwyżej dobrotliwego biznesmena. Wobec osobnika o tak niepozornym wyglądzie poczułem się zawiedziony.

Stuknęliśmy się szyjkami butelek. Nikły brzęk szkła utonął w rytmicznym szumie kaskady hotelowego basenu, bijącej galonami kryształowo czystej wody. W basenie nikt nie pływał, skwar był zbyt nieznośny.

- Nick służył w Recces, czyli w siłach specjalnych RPA, w rozpoznaniu - Reconnaissance, w 5. Pułku. Mieli go zrobić pułkownikiem, ale zrezygnował ze służby. Świetnie orientuje się w regionie, do którego chcesz się wybrać - Cobus zawiesił głos, by przydać znaczenia swoim następnym słowom: - Prawdę mówiąc, Nick był ze mną w Sierra Leone.

Cobusa lubiłem, ale też wiedziałem doskonale, że to wytrawny gawędziarz. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wciska mi kitu. Z pewnością otrzyma szczerą prowizję od sumy, jaką zapłaciłbym ewentualnie Nickowi za to, żeby trzymał mnie za rączkę w dżungli. W dodatku, niczym sprzedawca samochodów, który dorzuca w ofercie jeszcze pełny bak, oznajmił:

- A poza tym jest doświadczonym paramedycznym. Co nie?

- *Ja* - przytaknął Nick. - Wszystkich nas szkolono i pod tym względem, ale tak się jakoś złożyło, że medykowanie stało się moją specjalnością. W Angoli robiliśmy sporo akcji na większą skalę. Kiedyś musiałem sam siebie łątać. Przechodziliśmy też szkolenia w zwyczajnych szpitalach, takich dla cywili. Mieli tam do czynienia z najrozmaitszymi obrażeniami, trochę bardziej interesującymi niż te, które zdarzają się w wojsku.

Nick wbił wzrok w blat stołu, niemal zawstydzony. Mówił spokojnie, rzeczowo. Nie

popadał w przesadę, chyba żadnej ściemy.

Wtedy o Recces nie wiedziałem prawie nic poza tym, co wpadło mi w uszy, gdy zadawałem się z Cobusem. A więc - był to południowoafrykański odpowiednik brytyjskich SAS, znakomicie wyszkoleni zabójcy i specjaliści w sztuce przetrwania. Prowadzili zarówno wojnę konwencjonalną, jak i świadczyli na rzecz państwa apartheidu usługi o kontrowersyjnym charakterze podczas wojen w buszu oraz powstań, które wstrząsały RPA przez ponad ćwierć wieku. Ukształtowano ich na fanatycznie oddanych profesjonalistów, natomiast w przeciwieństwie do SAS z pewnością nie można było stwierdzić, że znajdowali się pod kontrolą demokratycznego rządu. Prawdę mówiąc, armia południowoafrykańska mocno przywodziła na myśl wszystko, do czego wpojono mi wstręt, kiedy dorastałem. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że Recces bardziej przypominali Waffen SS niż Special Air Service.

- Pułkownik, powiadasz? Pracowałeś już kiedyś z dziennikarzami?

Jakoś nie mieściło mi się w głowie, żeby Nick miał do czynienia z mediami, choć dżunglę zapewne znał doskonale.

Głęboko osadzone oczy, błękitne niczym turkusowe wody pobliskiego basenu, znów wpatrzyły się we mnie. Nie zamykał się w sobie, a jednak pozostawał nieprzenikniony. Gdzieś w dali, poniżej, rozległ się dziwaczny odgłos, którego nie sposób pomylić z żadnym innym: trąbienie słonia pośród zgiełku wielkiego miasta. Nick przyglądał mi się uważnie, jak farmer taksujący wołu, nim go kupi.

- Z dziennikarzami? Nie, ale z tego, co opowiadał Cobus, wydaje mi się, że to może być niezła zabawa.

„Zabawa?” - pomyślałem. Czy naprawdę ludzie, którzy zabijają innych ludzi dla pieniędzy uważają to za zabawę?

- Byłeś oficerem? - zapytałem ponownie.

Chyba dosłyszał powątpiewanie w moim głosie. Odwrócił na chwilę wzrok, jakby zakłopotany na wzmiankę o jego dawnym stopniu, po czym przytaknął.

- Pod sam koniec to była już tylko robota za biurkiem. Przerzuciłem się więc na sektor prywatny - Sierra Leone z EO, a potem kopalnie w Angoli. Przygoda z EO okazała się całkiem niezłą. Stworzyliśmy tam oddział szturmowy; Cobus był moim zastępcą.

Bez wątplenia zauważył, że drgnąłem, zaskoczony. Wiedziałem doskonale, co wyczyniała jednostka Cobusa w Sierra Leone - tymczasem Nick wyjawiał mi właśnie, że był jej dowódcą. Oznaczało to, że podlegli mu ludzie wybili w walce na krótki dystans bardzo wielu rebeliantów. Rozgromili ich do szczytu. Myśl o tym, ile krwi mieli na rękach, sprawiła,

że poczułem się nieswojo. Zmieniłem więc temat.

- Nie wiem, na ile jesteś poinformowany, ale Cobus uważa, że potrzebuję w Liberii kogoś, kto trzymałby mnie za rączkę. Planuję trzytygodniową wyprawę na terytorium opanowane przez rebeliantów.

Umilkłem i spojrzałem na niego, próbując ocenić reakcję rozmówcy. Twarz Nicka nadal była pozbawiona jakichkolwiek emocji. Zdałem sobie sprawę, że usiłuję popisywać się wiedzą na temat Afryki wobec dwóch Afrykanerów, którzy walczyli tu, kiedy ja jeszcze chodziłem do szkoły. Nagle poczułem się zagubiony. Postanowiłem więc dalej brnąć w swój blef.

- Nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, co tam się dzieje. Przede wszystkim zależy mi na tym, żeby dotrzeć do przywódców i jeśli się uda, sfilmować nieco akcji, by dowieść w ten sposób, że tam faktycznie toczy się wojna. Usilnie mi ciebie polecano.

To ostatnie zdanie odnosiło się do Cobusa, który teraz przybrał równie beznamiętny wyraz twarzy. Czuję się coraz mniej pewnie. Nigdy dotąd nie próbowałem niczego, co choć trochę przypominałoby wyprawę, o jakiej mówiłem. Nie wiedziałem nawet, czy to w ogóle wykonalne.

Zwróciłem się znów do Nicka; sposób bycia eks oficera Recces nie budził entuzjazmu, natomiast doświadczenie chyba przemawiało na jego korzyść...

- Zainteresowany?

Jego twarz rozjaśnił szeroki, porozumiewawczy uśmiech. Przynęliśmy się wszyscy do stołu. Cobus sięgnął po notes Nicka, otworzył go na czystej stronie. Niemiły ucisk, jaki odczuwałem w żołądku, wzmógł się jeszcze. Cobus zdjął okulary przeciwsłoneczne i odłożył je na bok.

- Oto, jaki jest plan.

Kiedy poznałem Nicka, sądziłem w swoim zarozumiałstwie, że wiem, kim jestem. Kimś, kto przemierzył już głębie ludzkiego cierpienia. W ciągu ośmiu lat od ukończenia studiów na uniwersytecie - wieży z kości słoniowej, której charakter pobudzał chłopców ciekawość wobec skandali i burzliwych przemian afrykańskiej historii - pracowałem głównie jako fotograf w najbardziej niespokojnych zakątkach kuli ziemskiej, tak przynajmniej mi się zdawało. Robiłem zdjęcia w Kosowie, Afganistanie i na okupowanych terytoriach Palestyny oraz spędziłem niemało czasu w Zimbabwie. Fotografowałem baterie artylerii w Kaszmirze na wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów nad poziomem morza i wykonywałem zdjęcia w Erytrei, gdzie pole bitwy było usiane ludzkimi ciałami, lecz nigdy nie widziałem z bliska bezpośredniego starcia, walki na krótki dystans.

Gdy jeszcze w szkole zacząłem zajmować się fotografią, fascynowały mnie prace Roberta Capy oraz Dona McCullina. Wydawało mi się, że aby podążyć ich śladem, wystarczy aparat fotograficzny oraz odpowiedni zasób determinacji. Myliłem się. Nie byłem przygotowany na tak silną konkurencję. Tymczasem w Londynie odniosłem wrażenie, że fotografów jest całe mrowie, a wszyscy wprost rwą się do akcji. Z trudem udawało mi się wiązać koniec z końcem, nie miałem pojęcia, co muszę uczynić, by wieść życie zawodowego fotografa, jakie sobie wymarzyłem.

Cobusa poznałem w Sierra Leone podczas mojej pierwszej podróży do Afryki Zachodniej w 2001 roku. Pojawiłem się w tym kraju, kiedy wojna domowa siejąca spustoszenie od dziesięciu lat wreszcie zbliżała się ku końcowi. Ze skrzynką pełną filmów oraz dwoma wysłużonymi aparatami wybrałem się do stolicy kraju, Freetown. Miałem wówczas dwadzieścia dziewięć lat, otrzymałem zlecenie od pewnego magazynu, by zrobić reportaż na temat obecności wojsk brytyjskich w Sierra Leone. Towarzyszył mi Robert, amerykański dziennikarz, który obiecał dodatkową atrakcję do wykorzystania w mojej opowieści: otóż zaopiekuje się nami prawdziwy najemnik.

Kiedy przeszliśmy przez cło, zapakowano nas do helikoptera i poleciliśmy do miasta, tam już czekał na nas land rover. Wreszcie znaleźliśmy się w przytulnym domku na przedmieściach stolicy. Panował upał nie do zniesienia. Drzwi otworzył uśmiechnięty, muskularny Afrykaner. Przekroczyłem próg domu Cobusa. Zupełnie, jakbym przeszedł na drugą stronę lustra.

Robert był z nim umówiony na dwutygodniowy pobyt. Zapewniał mnie, że mogę liczyć na życzliwe przyjęcie, lecz jak się okazało, on również nigdy przedtem osobiście nie spotkał Cobusa. Wyhaczył go po prostu na forum internetowym najemników. Jednak Cobus powitał nas naprawdę serdecznie i zaprosił do domu także mnie. Wręczył nam pęk kluczy i oznajmił, że we właściwym czasie dostaniemy do dyspozycji mercedesa z kierowcą. Gdyby pojawiły się jakieś problemy, mamy dzwonić. Nie miałem pojęcia, kim jest Cobus, ani też, doprawdy, jakiego rodzaju problemy możemy spotkać na swojej drodze. Słowo „najemnik” nie padło z niczyich ust, ale wojskowy sposób bycia Cobusa oraz siedziba pełna wyposażenia w kolorze khaki mówiły same za siebie.

Opuszczałem ten dom i wracałem do niego, zajmując się wypełnianiem zlecenia dla mojego czasopisma - wdzięczny za samochód i posiłki przyrządzane przez gospodynię, ponieważ dysponowałem ograniczonym budżetem. Artykuł napisał się właściwie sam: każdy miał coś do powiedzenia na temat wojny, podczas której ledwie uszedł z życiem. Pewien człowiek opisał, jak rebelianci ze Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego ucięli mu obie ręce;

inni opowiadali o nastoletnich żołnierzach, którzy trzymali ich, gdy wydłubywano im oczy i wlewano do oczodołów gorący plastik z roztopionych toreb reklamówek.

Zjednoczony Front Rewolucyjny (RUF, Revolutionary United Front) zyskał niechlubną sławę ze względu na szczególne okrucieństwa, jakich dopuszczali się jego członkowie. Ulubioną taktyką bojowników było okaleczanie ludności cywilnej. Jednostki bojowe Frontu przybierały takie nazwy, jak Szwadron Rozlewu Krwi, Jednostka Podpalaczy czy Bezkrwawi Zabójcy - ci ostatni chlubili się tym, że bili swe ofiary na śmierć, nie przelewając przy tym ani kropli ich krwi. Szwadron Nagiej Śmierci przed egzekucją pozbawiał zabijanych odzienia. To tylko nieliczne przykłady. Kampanie prowadzone przez rebeliantów nosiły równie znamienne kryptonimy: operacja „Palenie domów”, operacja „Haracz”, no i brutalnie oczywista w swoim sensie operacja „Nie ma życia”.

W drugim tygodniu mojego pobytu poleciałem wraz z przedstawicielami ONZ na obszar zwany Parrot's Beak - szczególnie niebezpieczne terytorium na wschodzie kraju, opanowane przez bandytów. O ile Freetown zostało skutecznie rozbrojone kilka tygodni wcześniej i znajdowało się już pod kontrolą żołnierzy brytyjskich oraz ONZ, o tyle w Parrot's Beak nikt nie zdał jeszcze ani jednej sztuki amunicji. Gdy wylądowaliśmy, około sześćdziesięciorga dzieci wypełzło z gęstych zarośli na przecinkę. Bojownicy RUF traktowali je jak niewolników, zmuszali do udziału w walkach; gwałcono je lub przywłaszczano sobie w charakterze „żon”.

Czułem się uprzywilejowany jako świadek odzyskania przez nie wolności, ale jednocześnie wstrząsnęło mną poczucie własnej ignorancji. Nie doświadczyłem wydarzeń, które ukształtowały życie tych ludzi, tylko zjawilem się tu niczym turysta, robiłem zdjęcia i wysłuchiwałem opowieści, jakbym zbierał pamiątki z zagranicznej wycieczki.

Wróciliśmy do Freetown; Robert wyjechał do Stanów Zjednoczonych; spieszyło mu się na uroczystość rozdania dyplomów, ponieważ jego córka właśnie ukończyła szkołę. Zostałem sam na sam z Cobusem. Siedziałem na jego kanapie, gapiliśmy się na burzowe chmury za oknem.

- No, to kim ty właściwie jesteś? - spytał, nalewając kolejną szklankę rumu Red Heart. Sprawiał wrażenie autentycznie zainteresowanego, w jego afrykanerskim akcencie pobrzmiwała tylko nikła nutka ironii. Zgłupiałem. Bądź co bądź sypiałem już od dwóch tygodni na jego kanapie, więc chyba wiedział dokładnie, kim jestem.

- Co masz na myśli?

- No, kim jesteś? - powtórzył, na przemian połykając i rozciągając samogłoski.

Nagle dotarło do mnie, że moje pojawienie się mogło go zdziwić bardziej, niż po

sobie pokazał.

- Moment. Chyba poinformowano cię, że przyjadę, nie?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową. Podał mi szklankę pełną rumu.

- Boże, okropnie mi przykro. - Poczułem się upokorzony, odstawiłem naczynie. - Myślałem, że zaprosiłeś nas obu. Bardzo przepraszam. Głupio, że nie spytałem. Znajdę jakiś hotel, to...

Kiedy wstałem i skierowałem kroki w stronę moich bagaży, po drodze przewieszając przez ramię aparat, przed dom zajechał motocykl. Po kilku sekundach trzasnęły rozsuwane drzwi. Do pokoju wpadł mężczyzna o nieco komicznym wyglądzie i ciemnej, śródziemnomorskiej karnacji.

- Yossi, to jest James. Dziennikarz, mój przyjaciel. Mieszka u mnie.

Wyciągnąłem dłoń i się przywitałem. Yossi spojrział mi prosto w oczy, po czym przemówił z twardym, izraelskim akcentem:

- Jeżeli zrobisz mi zdjęcie, zabiję cię.

Nie wiedzieć czemu, wygląd Yossiego nagle przestał mnie bawić. Zerknąłem na Cobusa, w którego oczach dostrzegłem uśmiech.

- Właśnie wpadłem na świetny pomysł - oznajmiłem.

Yossi nie spuszczał mnie z oczu, zezując tylko na mój aparat.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie zrobię ci zdjęcia, zgoda?

Obaj zarechotali.

- Yossi i ja mamy pewną sprawę do załatwienia - wyjaśnił Cobus. - James, czuj się, hm, jak u siebie w domu, okej?

Drzwi trzasnęły znowu, ryknął silnik motocykla. Zostałem sam. Stałem przed wyborem: wziąć sobie pogrózkę Izraelczyka do serca i zniknąć albo przyjąć wielkoduszną gościnność Cobusa, a następnie w pełni wykorzystać te kilka dni dzielących mnie od powrotu do kraju. Wahałem się przez chwilę, po czym postanowiłem dopić rum.

Przez następne sześć dni Cobus oprowadzał mnie po swoim Freetown. Po mieście, w którym na każdym kroku natrafiało się na ślady dopiero co zakończonej wojny, lecz zarazem metropolii, w której mimo to można było się nieźle zabawić. Wybraliśmy się do kasyna, gdzie przegrałem resztę mojego skromnego budżetu; pojechaliliśmy do rezerwatu małp, tam zrobiłem zdjęcie wyjątkowo rzadkiego okazu, szympansa albinosa imieniem Pinky - ta fotografia przyniosła mi więcej pieniędzy niż jakakolwiek inna w mojej karierze. A przy okazji zawarłem znajomość z całą zbieraniną najemników, żołnierzy i biznesmenów, których Cobus zwał swoimi przyjaciółmi.

Okazało się, że Yossi jest strzelcem wyborowym, dowodził tajną, elitarną jednostką izraelskich sił zbrojnych. W latach osiemdziesiątych, podczas wojny w Libanie, ludzie z jego oddziału oddali piętnaście strzałów. Zabili czternastu nieprzyjacielskich dowódców. W 1990 roku Yossi osiadł we Freetown i założył tam własny biznes - firmę ochroniarską. Na krótko przed moim wyjazdem poprosił mnie o pewną przysługę. Spytał, prawie nieśmiało, czy nie mógłbym zrobić trochę zdjęć jego dzieciom. Cykając te fotki, widziałem go kątem oka. Obserwował uważnie, w którą stronę kieruje się mój obiektyw.

Podczas imprez w domu oraz w barach na plaży pojawiały się też inne postacie. Poznałem na przykład Nealla Ellisa, zwanego przez wszystkich Nellis. Jako legendarny pilot śmigłowca bojowego, Nellis służył zrazu w południowoafrykańskich siłach powietrznych, po czym wstąpił do EO. Już jako wojskowy lotnik zyskał niemałą sławę, natomiast we Freetown stał się lokalnym bohaterem, ponieważ niemal w pojedynkę powstrzymał kolejny marsz rebeliantów na stolicę. Było to w roku 2000, kiedy Sierra Leone pozostawiono własnemu losowi, a większość zawodowych żołnierzy dawno opuściła Freetown. Neall wykonał dziesiątki lotów rosyjskim Mi-24, nim wreszcie pojawili się Anglicy i zdołali zabezpieczyć miasto.

Cobus i Nellis fascynowali mnie. Wychowałem się w wielkim poszanowaniu dla ruchów narodowowyzwoleńczych, które RPA usiłowała zlikwidować w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Oni zaś opowiedzieli mi o tej wojnie, ukazując jej drugą stronę; usłyszałem historie zupełnie niepoprawne politycznie. O takich rzeczach nie uczono w szkole. Czułem się jak ksiądz w burdelu. Ich luz był zaraźliwy, szczerość rozbrajająca, a piwo lało się strumieniami. Opowieści, w których odwaga i przyjaźń odgrywały niepoślednią rolę, zapadały w pamięć, trudno było im się oprzeć.

Którejś nocy, kiedy ogarnął nas mniej pobożny nastrój, Cobus i ja zapakowaliśmy do mercedesa kilka ładnych dziewczyn i woziliśmy się z nimi od baru do baru, dopóki nie zbliżyła się godzina policyjna. Potem znaleźliśmy się w jego domu, rozsiedliśmy na sofie, mając do dyspozycji, jak się zdawało, nieograniczone zasoby rumu i coca-coli. Rozmawialiśmy o jego dwóch obsesjach: diamentach i historii. Wcześniejsze skrępowanie opuściło mnie i odważyłem się go spytać, co robił dla Executive Outcomes.

Cobus podał mi wtedy przez stół jakieś zdjęcie. Widniał na nim otoczony grupką kilkunastu innych najemników ubranych tak samo jak on w panterki. Nie rozpoznałbym go, ponieważ jego twarz pokrywał czarno-zielony kamuflaż. Nie sposób było stwierdzić, czy jego towarzysze są biali czy ciemnoskórzy - do tego stopnia zmieniał ich bojowy makijaż.

- Zostałem zatrudniony na podstawie rekomendacji przyjaciół zajmujących wysokie

stanowiska w Executive Outcomes. Podpisałem kontrakt w maju dziewięćdziesiątego piątego roku. Płacili trzy razy więcej niż w wojsku, więc rzuciłem służbę i zostałem najemnikiem. - Kilku przyjaciół poszło w jego ślady. - Nie wiedzieliśmy nawet, dokąd nas poślą. Dopiero w samolocie lecącym tutaj z RPA usłyszeliśmy, że krajem docelowym jest Sierra Leone, czyli piekło na ziemi.

Zaśmiał się cicho, bo ironicznym zrządzeniem losu tu właśnie się osiedlił. Dolał sobie rumu.

Wkrótce dla Cobusa wojna nabrała osobistego charakteru. Rozprawa z rebeliantami przestała być tylko pracą wykonywaną dla pieniędzy. Wobec okrucieństw, jakich się dopuszczali, w coraz większym stopniu poczytywał sobie za obowiązek, by „oczyścić” dżunglę ze zbrojnych bandytów. Kreował się na anioła śmierci, w przekonaniu, że opowiedział się po słusznej stronie. Jego grupa szturmowa (jak się później dowiedziałem, dowodzona przez Nicka du Toit) wytrwale tropiła partyzantów. Któregoś dnia najemnicy otrzymali raport o napaści na wioskę. Kiedy przybyli na miejsce, ujrzeli martwe kobiety z kijami powbijanymi w waginy oraz starców, którym poderżnięto gardła. Było już za późno, żeby pomóc, ale rebeliantów dopadli w sąsiedniej wsi, odległej o dwadzieścia kilometrów.

Cobus i jego ludzie ruszyli tyralierą i rozprawiali się z bandytami. Nie przeżył ani jeden partyzant, nie brali bowiem jeńców. W tej wojnie nie było miejsca na litość. Rysy Cobusa stężały.

- Na pewnym etapie istota ludzka przestaje być człowiekiem, przeistacza się w bestię, a wówczas należy ją jak najprędzej wytropić i zlikwidować, żeby pozwolić innym ludziom na normalne życie.

Nie miałem w zanadru podobnych opowieści, którymi mógłbym mu się zrewanżować. Bezkompromisowe podejście Cobusa do kwestii sprawiedliwości zdawało mi się trudne do strawienia, zbyt odległe od moich doświadczeń, bym mógł je we właściwy sposób ocenić. Cobus tymczasem życzył mi dobrej nocy. Sprzątnąłem niedopałki oraz puste butelki po coli, zaciągnąłem moskitierę chroniącą kanapę, która przez trzy minione tygodnie służyła mi za miejsce wypoczynku.

Mój pobyt w Sierra Leone dobiegł końca. Następnego dnia Cobus odwiózł mnie motorówką na lotnisko. Nalegał, byśmy pozostali w kontakcie. Kiedy dziób szybkiej łodzi pruł błękitne wody, zapytałem go, czy czegoś żałuje.

- Zrobiliśmy coś, dzięki czemu ci ludzie mogli choć w pewnym stopniu odzyskać nadzieję - odpowiedział. - Ale owszem - dodał - żałuję. - Dopłynęliśmy już do plaży, silnik ucichł. - Żałuję, że nie udało mi się zabić więcej tych skurwysynów.

Stwierdzenie nie zachęcało do dyskusji, podobnie jak opowieści usłyszane poprzedniego dnia przy rumie. Poglądy Cobusa w tej kwestii były ustalone, a czy ktoś się z nimi zgadzał, czy nie - to mojego gospodarza zupełnie nie obchodziło.

*

Zgodnie z sugestią Cobusa pozostaliśmy w kontakcie. Osiem miesięcy później, czyli w lipcu 2002 roku, odwiesiłem swoje aparaty fotograficzne na kolek i podjąłem pierwsze kroki prowadzące mnie ku karierze filmowca. Udałem się do Zimbabwe z kenijskim domem produkcyjnym działającym na zlecenie BBC, która miała zakaz wstępu do tego kraju. Zimbabwe trochę już znałem, ponieważ pracowałem tam jako fotograf. Ku mojemu zaskoczeniu odnieśliśmy zdumiewający sukces. Nasza ekipa, składająca się z Anglików, Afrykanerów i obywateli Zimbabwe, zdołała zapewnić stały dopływ materiałów filmowych oraz analiz producentom BBC, którzy redagowali coveczorne raporty telewizyjne dokumentujące drogę Roberta Mugabego do zbrodni. Kiedy uporaliśmy się z tą robotą, przenieśliśmy się do RPA. Przedsiębiorstwo założyło biuro w modnej dzielnicy Johannesburga, aby zdyskontować reputację, którą, jak nam się zdawało, zyskaliśmy. Poleciałem do George na Garden Route na spotkanie z Cobusem - akurat wziął urlop i odwiedził ojczyznę, żeby odetchnąć od nieco klaustrofobicznej atmosfery Freetown.

Wetknął czterdziestkę piątkę za pasek, z tyłu („w tym pieprzonym kraju nigdy nic nie wiadomo”), po czym razem z jego żoną i dziećmi wybraliśmy się do Knysny, żeby w tamtejszym barze specjalizującym się w ostrygach wyłuskać ze skorup złowione tego dnia małże. Cobus, jak zwykle szczerzy i bezpośredni, zwierzył mi się, że gdy wygasła umowa z EO, zainteresowanie jego usługami wyrazili inni mocodawcy - włączając w to rząd Stanów Zjednoczonych.

Niedługo po moim wyjeździe z Sierra Leone w czerwcu 2001 roku Cobus udał się do sąsiedniej Gwinei, aby odwiedzić pewnego przyjaciela, który pracował dla wywiadu USA w tamtym regionie. Na wyspie Kassa położonej opodal wybrzeża amerykańskie siły specjalne szkoliły gwinejskich żołnierzy. Cobus wpadł tam ot, tak sobie. Głównie, żeby sprawdzić, jak się strzela z amerykańskiego M4. W strzeleckim „małpim gaju” przekonał się, że wielu „gwinejskich” żołnierzy porozumiewa się po angielsku z wyraźnym liberyjskim akcentem - a nie po francusku, czyli w miejscowym języku.

Nie mogłem pojąć, dlaczego armia amerykańska miałaby szkolić Liberyjczyków.

- W Liberii wybuchła nowa wojna - wyjaśnił Cobus. - Trudno stwierdzić cokolwiek z całą pewnością, ale chyba w pobliżu granicy gwinejsko-liberyjskiej utworzyła się nowa armia powstańcza. Wyloniła się z rozmaitych frakcji, które walczyły z Taylorem w poprzedniej

wojnie. Partyzanci skupili się w regionie wokół Macenty, na wschodzie.

Ta „poprzednia wojna”, jak dowiedziałem się od Cobusa, była jeszcze jedną zachodnioafrykańską tragedią. Rozegrała się równoległe do walk, w których uczestniczył w Sierra Leone, i pośrednio przyczyniła się do ich wybuchu. W latach 1989-1997 Charles Taylor, a także inni watażkowie prowadzili zaciętą wojnę domową przeciwko rządowi Liberii oraz między sobą. W tej wojnie Taylor w końcu odniósł zwycięstwo, a w 1997 roku został wybrany na prezydenta.

- Po wyborach Taylor dobrał się do skóry konkurentom, natomiast większość ich zwolenników uciekła do Gwinei. W dziewięćdziesiątym ósmym wybiło prawdziwe szambo. Znow rozpoczęły się walki w Monrowii, bojownicy lojalni wobec watażki wspieranego przez jankesów po prostu zwiali do ambasady USA. Amerykanie czym prędzej zorganizowali misję ratunkową - zanim Taylor zdążył ich zmasakrować.

Cobus uczestniczył w tej misji, z naszywką w amerykańskich barwach na mundurze. W ciągu następnych czterech lat przeciwnicy Taylora z wolna dokonali przegrupowania, a prezydent tymczasem skompromitował się w oczach międzynarodowej opinii publicznej. ONZ oskarżyła go o finansowanie, szkolenie i zbrojenie oprawców z RUF w sąsiadującym Sierra Leone, na jego reżim nałożono sankcje wojskowe oraz handlowe.

11 września wszystko zmienił. Mając już powyżej uszu rządów Taylora, zwłaszcza wobec doniesień, iż być może zezwolił przedstawicielom Al-Kaidy na swobodne poruszanie się po kraju, Amerykanie znow byli skłonni dopomóc swoim dawnym sojusznikom. Postanowiono, że Taylor musi odejść.

- To długa historia - oznajmił Cobus. - Jeszcze w dziewięćdziesiątym szóstym, kiedy wyglądało na to, że Taylor spuści wpierdół bojownikom z ULIMOJ, rząd amerykański dostarczył im broni. Sprawę załatwiono za pośrednictwem pewnego prywatnego kontraktowca. To ci sami goście, którym Stany Zjednoczone pomagały później, w dziewięćdziesiątym ósmym. A teraz regularne bitwy rozgrywają się w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów od największego zgromadzenia sił ONZ, i nikt nic o tym nie wie.

Z nienawiścią i pogardą mówił o ONZ, która, choć przeprowadziła zakrojoną na wielką skalę operację pokojową w Sierra Leone, nawet nie kiwnęła palcem, by interweniować w Liberii.

- Nie do wiary, są fokken frajerami i tyle.

Jego twarde „r” sprawiało, że wypowiedź brzmiała tym dobitniej. Wszystko wskazywało na to, że poza Gwineą i Liberią (oraz wywiadem USA) naprawdę nikt nie wie, co się dzieje.

Skorupy po ostrygach spiętrzyły się w spory stosik. Wsiedliśmy do samochodu Cobusa i ruszyliśmy z powrotem do domu. Rozmyślałem o tym, czego się dowiedziałem. Gdyby udało mi się nawiązać kontakt z armią powstańczą biorącą udział w tej nikomu nieznannej wojnie, relacja z niej mogłaby się okazać strzałem w dziesiątkę - mówiąc ściślej, taki materiał pozwoliłby mi wyrobić sobie markę jako dziennikarzowi.

- A czy ten twój kumpel, Amerykanin, mógłby mnie w to wprowadzić? To znaczy, czy mógłbym tam nakręcić film?

Słońce zniżało się ku morzu. Cobus, siedzący za kierownicą, poprawił okulary słoneczne.

- Muszę go zapytać. Nie wiem zbyt dokładnie, jak w tej chwili wygląda sytuacja, jak duże terytorium znajduje się pod kontrolą powstańców. Wiesz, Amerykanie próbują im pomóc, ale na ograniczoną skalę, dostarczają jedynie broń ręczną i zapewniają wsparcie logistyczne. Żadnego ciężkiego sprzętu, tyle tylko, żeby trochę ich wzmocnić i przekonać się, czy dadzą radę uporać się z Taylorem. Czy w ogóle do czegoś się nadają.

Objechaliśmy wzgórze; naszym oczom ukazał się widok na ocean. Cobus wyłączył silnik, otworzyliśmy okna. Wnętrze półciężarówki wypełniło się zapachem słonej wody i szumem fal.

- Dam ci znać.

Po dwóch dniach zadzwonił mój telefon. Odszedłem od baru, który podpierałem w Johannesburgu, pozostawiając za sobą gwar rozmów licznych w porze lunchu klientów. Prawie już zapomniałem, że czekam na wiadomość od Cobusa. W świetle dziennym wydawało się nieprawdopodobne, by wywiad USA (kimkolwiek był jego przedstawiciel i niezależnie od tego, dla której agencji pracował) zamierzał ułatwić nawiązanie kontaktu między grupą powstańców (istniejącą lub nie) a dziennikarzem. Tym bardziej nie mogłem uwierzyć, żeby partyzanci chcieli mieć cokolwiek wspólnego z takim przedsięwzięciem.

- James, wygląda na to, że ta drużyna chce z tobą zagrać. Wchodzisz w to.

- Słucham?

- Wchodzisz w to. Gadałem z jankesami. Zapewniłem ich, że mogą mieć do ciebie zaufanie, że nie zamierzasz ich wyruchać ani nic, że po prostu chcesz puścić na cały świat historię o powstańcach. O ile się zgodzisz, żeby nie nadawać nic o Amerykanach, chyba nie będzie problemu.

Nie wierzyłem własnym uszom. Przez chwilę w moim umyśle zapanowała zupełna pustka. Co właściwie powinienem powiedzieć? Oczywiście wyobraźni ujrzałem siebie na jakiejś polanie w dżungli otoczonego potrzęsającymi bronią rebeliantami. Opanowało mnie nerwowe

podniecenie.

- Do tego potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje i w razie czego ułatwi ewakuację. Kogoś, kto przypilnuje, żeby nic ci się nie stało.

Zerknąłem do wnętrza restauracji, a potem wbiłem wzrok we własne stopy.

- Cobus, ja nawet nie mam na to budżetu. Ciężko będzie.

Bo i rzeczywiście, pozyskanie zgody Amerykanów to dopiero początek, nie koniec. Aby cokolwiek sfilmować, potrzebowałem sprzętu, ludzi - i pieniędzy.

- Rozumiem, rozumiem. Słuchaj, nie przejmuj się, jakoś się z tym uporamy. Wszystkie płatności będą przechodzić przeze mnie. Postaram się to załatwić, kiedy wrócę do Freetown. Pod koniec tygodnia będę w Johannesburgu. Jest taki facet, o którym pomyślałem. Spotkajmy się w hotelu Westcliff...

Nick zamówił następną kolejkę. Właśnie tam, nad brzegiem basenu, sporządziliśmy pierwsze notatki. Plan był dosyć prosty, przynajmniej tak się wydawało. Cobus miał obsługiwać we Freetown wojskową radiostację działającą na falach UHF - taką, jakiej używali żołnierze, operującą na innych częstotliwościach niż lokalne nadajniki, o zasięgu wystarczającym, by nawiązać kontakt z Monrowią, stolicą Liberii, a zamierzaliśmy przecież oddalić się na znacznie mniejszą odległość. Nick oraz Cobus chcieli utrzymywać regularny kontakt, przy czym Nick miał mu codziennie podawać nasze współrzędne z GPS-u, dzięki czemu Cobus w razie potrzeby mógłby zwrócić się do Amerykanów. Na wszelki wypadek mieliśmy też wziąć ze sobą telefon satelitarny, a poza tym kamizelki kuloodporne, sprzęt do filtrowania wody oraz żelazne racje żywnościowe, aby nie stanowić ciężaru dla miejscowej ludności.

Przyszło mi nagle do głowy, że powstańcy mogą nie być zachwyceni faktem, iż moim ochroniarzem będzie najemnik. Ostrożnie dobieierałem słowa. Cobus nie widział powodu do niepokoju.

- Jeśli Amerykanie powiedzą im, że wszystko w porządku, pogodzą się z tym. Poza tym to leży w ich interesie, żeby Nick był z tobą. Dzięki temu, jeśli pojawią się problemy, nie będą musieli się tobą zajmować, to ostatnia rzecz, na jaką mieliby wtedy chęć.

Jego rozumowanie brzmiało sensownie, jednak nadal moje wątpliwości budziło jego całkowite zaufanie do Amerykanów.

- Nick - spytałem - będziesz uzbrojony?

- Tak, ale nie od razu. Nie możemy zabrać broni stąd. To znaczy, dałoby się, ale ktoś mógłby zrozumieć to opacznie, jasne? Myślę, że kiedy już znajdziemy się na miejscu, dostanę od partyzantów kałacha. Nie powinno z tym być problemu.

Nick zerknął nad moim ramieniem; nadeszły piwa, więc umilkliśmy wszyscy trzej. Biały jak kreda turysta wychynął z bezpiecznego schronienia w cieniu i plusnął do basenu. Wachlowałem się jadłospisem. Przyjąłem stwierdzenie Nicka za dobrą monetę. Chciałem, żeby był uzbrojony, i chciałem wiedzieć, po co, jego zdaniem, miał być uzbrojony. Gdy wygładziły się fale na powierzchni wody, wytłumaczył mi, w jakich okolicznościach mógłby posłużyć się kałasznikowem:

- Jeśli pojawi się jakiś problem - ciągnął - zrobię nam trochę luzu, żebyśmy mogli się wycofać. Tylko tyle.

Znów pustka w głowie: wycofać się skąd? A zwłaszcza: dokąd? Wyobraziłem sobie dżunglę, taką jaką widziałem w Sierra Leone, i Nicka opróżniającego magazynek w kierunku pozbawionych twarzy wrogów, podczas gdy ja biegnę, przerażony, by schronić się pośród drzew.

- Spodobało mi się to „my” - przyznałem. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłem.

Słowa zawisły w ciszy, którą przerwał Cobus:

- Nie przejmuj się. Po prostu musisz zaangażować sporą ekipę. Mogą nie mieć pojęcia o filmowaniu, ale im więcej ludzi będziesz miał pod sobą, tym bardziej będą cię szanować.

Nick przytaknął z uśmiechem. Notowałem pilnie.

- I zabierz duże kamery, żebyście wyglądali jak ekipa telewizyjna z prawdziwego zdarzenia. To im się spodoba.

Pochwyciłem ukrytą w tym zdaniu sugestię, że tak naprawdę wcale nie będziemy ekipą z prawdziwego zdarzenia. Trudno było mieć mu to za złe. Umówiliśmy się, że Nick zajmie się wyposażeniem apteczki oraz kupi zapasy żywności. Dom produkcyjny zgromadzi ekipę, a ja zadbam, żeby wszystkie papiery były w porządku.

- A właściwie, jak my tam dotrzemy? Bo jeżeli wylądujemy bezpośrednio w Konakry... to może być cholernie trudna sprawa.

Konakry, stolica sąsiedniej Gwinei, gdzie mieściło się biuro polityczne rebeliantów, zaliczała się do najmniej przyjaznych dziennikarzom miejsc na ziemi. Lotnisko cieszyło się więc pośród reporterów szczególnie złą opinią: drapieżni celnicy, nieprzewidywalni żołdacy i złowrodzy agenci rządowi - za ich sprawą formalności przy wjeździe do kraju przywodziły na myśl policyjną ścieżkę zdrowia. Nick pochylił się, by usłyszeć odpowiedź, również żywo zainteresowany.

- Nie przejmujcie się - rzekł na to Cobus. - Będę tam przed wami. Wyjadę po was na lotnisko w towarzystwie jednego z ich ludzi.

Poza znajomością ponurej reputacji tamtejszego międzynarodowego portu lotniczego

o Gwinei i Liberii nie wiedziałem prawie nic. Przez kilka dni od rozmowy z Cobusem przeczesalem internet w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, by zorientować się w sytuacji. Nie znalazłem praktycznie niczego.

Nieliczne doniesienia, z których wynikało, iż konflikt rozgorzał na nowo, często były utrzymane w sceptycznym tonie. Jeden z wysłanników BBC wyrażał przypuszczenie, że prezydent Liberii, Charles Taylor, inscenizował napaści na jego wojska, aby wpłynąć na społeczność międzynarodową w celu złagodzenia embarga na dostawy broni do jego kraju. Rzeczywiście, w lutym 2001 roku Charles Taylor zwrócił się z pisemnym apelem do Kofiego Annana, ówczesnego sekretarza generalnego ONZ, domagając się zniesienia zakazu dostaw broni, a to z racji zagrożenia ze strony Gwinei. Żądanie to spotkało się ze stanowczą odmową.

Strony internetowe liberyjskich dysydentów, działające na amerykańskich serwerach, informowały o nowym sojuszu zawiązanym przeciw Taylorowi, by usunąć go z urzędu oraz dopuścić do władzy zmarginalizowane rdzenne plemiona. Jednak tym relacjom nie towarzyszyły żadne zdjęcia, podawano tylko Nieliczne nazwiska, poza tym brakowało faktów, które dałoby się zweryfikować. Wszystko wskazywało na to, że powstańcy nie mieli kontaktu z europejskimi dziennikarzami, nikt ich nie sfilmował, co składało się na dość mętne wrażenie. Przybrali nazwę LURD - Liberians United for Reconciliation and Democracy (Liberyjczycy Zjednoczeni na rzecz Pojednania i Demokracji), a przewodniczył im ponoć były sprzedawca używanych samochodów, niejaki Sekou Conneh. Jednak ten ostatni fakt - zarówno kwestię dowództwa Conneha, jak i wręcz jego istnienie - wielu poważnych komentatorów podawało w wątpliwość. Istniało tylko kilka drukowanych wzmianek o tej postaci; jedną z nich stanowił dziwny komunikat wydany przez jego „rzecznika prasowego” - człowieka, który najwyraźniej się nie przepracowywał.

Najnowszy raport ONZ - licząca sto szesnaście stron aktualizacja rezolucji Rady Bezpieczeństwa z 2001 roku, w której ponownie nałożono na rząd Taylora ścisłe embargo na broń oraz sankcje odnośnie do podróżowania i handlu diamentami - poświęcał LURD mniej niż jedną stronicę. Zawarto tam Nieliczne fakty dotyczące organizacji, między innymi wzmiankę o przywódcy zwanym się Kone, oraz stwierdzenie, że struktura dowodzenia ma „charakter frakcyjny”, plus informację o słabnącym wsparciu ze strony Gwinei dla cechującej się ograniczonym zakresem działalności sojuszu. W konkluzji raportu zawarto stwierdzenie: „niewykluczone, iż ostatnio aktywność LURD się wzmogła”.

Właściwie o tym, że LURD w ogóle istniało, świadczyły tylko dwa czynniki: po pierwsze, Cobus uparcie twierdził, że Amerykanie utrzymują z nimi kontakt; po drugie, tylko prawdziwi, zatwardziali i nieprzejednani buntownicy mogli przyjąć tak dziwnie brzmiącą

nazwę.

- Pozostaje jeszcze jedna rzecz do omówienia. - Przypomniałem sobie w porę. - Chodzi o filmowanie ciebie, Nick.

Spojrzeli po sobie z Cobusem, potem znów na mnie.

- Tego nie da się uniknąć, prędzej czy później przemkniesz gdzieś w kadrze, z boku albo w tle - wyjaśniłem. - Oszaleję, jeżeli będę musiał bez przerwy uważać, żebyś nie znalazł się ani przez chwilę na filmie. W skrócie, chodzi mi o to, żebyś mi zaufał. Zapewniam, że twoja twarz nie pojawi się w programie, sceny z tobą zostaną wycięte.

Nick skinął głową. Prawdę mówiąc, nie miałem najmniejszego pojęcia, co to będzie za program i z czego wytnę owe sceny.

- W porządku, chłopie. Jak dla mnie, żaden problem. Tylko nie wymieniaj mojego nazwiska. Jakoś przeżyję, jeśli nie ujrzę go na liście płac pod koniec filmu. - Nick przeciągnął się i odchylił w fotelu. - Niezłe piwo tu dają, naprawdę niezłe.

Cobus oddał Nickowi mały notes na metalowej spirali, zamienili kilka słów w afrikaans. Czekalem na ich odpowiedź; ja już podjąłem decyzję.

- Świetnie. W takim razie umowa stoi.

Wyciągnąłem rękę, żeby uścisnąć dłoń Nicka. Poczulem przyływ ulgi, moje wątpliwości znikły.

- Sprawy finansowe omówię z Cobusem. Teraz potrzebujemy tylko zgody partyzantów.

- Jestem przekonany, że ją wyrażą - odparł Cobus. - Amerykanie dysponują wśród nich niemałymi wpływami. Jeden z wyżej postawionych gości ponoć utrzymuje z nimi bardzo dobre stosunki.

Nie drażyłem tematu, wraz z ostatnim łykiem piwa przełknąłem też kwestię narastającej dwuznaczności mojej pozycji.

Tego wieczoru przemyślałem to spotkanie i skomplikowaną sieć interesów, jaka się podczas niego objawiła. Było jasne, że bez Nicka staje się bezsilny. Natomiast beze mnie Cobus nie miał żadnego sposobu, żeby pod nosem Amerykanów umieścić w Liberii swojego człowieka. Natomiast Nick potrzebował zarówno mnie, jak i Cobusa, ponieważ chciał dostać tę robotę. Łudziłem się, że czeka mnie rozmowa, podczas której podejmę decyzję, czy zatrudnić Nicka. Tymczasem w gruncie rzeczy był to sprawdzian dla każdego z nas. Nie miałem pojęcia, dlaczego amerykańscy wojskowi chcą ułatwić moją wizytę w Liberii i na wszelki wypadek wołałem się nad tym nie zastanawiać.

Aż nazbyt dobrze zdawałem sobie sprawę z pułapek, jakie mogą na mnie czyhać, jeśli

podejmę współpracę zarówno z Amerykanami, jak i z Afrykanerami. Niemniej, choć pozostawały jeszcze niezliczone sprawy do wyjaśnienia - jak choćby niebagatelna kwestia tego, kim tak naprawdę jest Nick, a także co przeszedł i czego dokonał, by zyskać swój stopień oraz reputację - miałem w zasięgu ręki potencjalnie rewelacyjny materiał, więc nie rwałem się do zadawania kłopotliwych pytań. Co do Nicka, w Liberii będę miał dość czasu, żeby poznać go bliżej.

W następnym tygodniu skompletowaliśmy ekipę. Kamerzystą został ogolony na łyso biały Południowoafrykańczyk, Dudley Saunders; dźwiękowcem - nieposkromiony Zulus, niejaki Mandla Mlambo. Z Mlambo pracowałem wcześniej tego samego roku w Zimbabwe; Dudleya wypożyczyłem nieoficjalnie od South African Broadcasting Corporation (SABC). Facet nafiłmował się aż do bólu najrozmaitszych koszmarów, jakie rozgrywały się w ostatnich latach apartheidu: płonące ofiary na sztychach kolejnych ofiar, pobicia, zamieszki. Jednak żaden z nas nie był dotąd w Liberii. Piliśmy więc piwo i usiłowaliśmy sobie wyobrazić, co nas czeka.

Napisałem do rebeliantów z LURD dwa długie listy, opatrując je nagłówkiem: „Do wszystkich zainteresowanych”. Zgodnie z planem przesłałem je faksem oraz mailem Cobusowi do Sierra Leone. Prosiłem, by pozwolono mi skontaktować się z ich przywódcami, obejrzeć ich bazy i sfilmować bojowników biorących bezpośredni udział w starciach. W zamian obiecywałem obiektywizm, możliwość nieskrępowanej wypowiedzi oraz perspektywę zaistnienia w międzynarodowych mediach. Uważałem zarazem, by ani słowem nie zagwarantować, że zostaną przedstawieni w całości lub choćby częściowo korzystnym świetle. Fakty miały przemawiać same za siebie.

Cobus zawiózł te listy do Konakry i postarał się, aby za pośrednictwem Amerykanów dotarły tydzień później do Sekou Conneha - krajowego przewodniczącego LURD. Conneh natychmiast przekazał pośrednikom w Konakry swoją odpowiedź: zdecydowane „tak”.

Wystąpiłem o niezwykle trudne do uzyskania wize gwinejskie dla ekipy, otrzymałem je od ręki. Dom produkcyjny sprowadził z Nairobi kamizelki kuloodporne, po czym dogadał się z Cobusem. Dudley oraz Mandla zostali zatrudnieni na mocy trzytygodniowych płatnych kontraktów. Ja za pobyt w Liberii miałem nie dostać żadnego wynagrodzenia poza skromną zaliczką. Mogłem liczyć tylko na udział w ewentualnych zyskach ze sprzedaży nienakręconego jeszcze materiału. BBC wyraziła zainteresowanie, jednak niczego nie obiecywała, nie dała też ani grosza. Krótko mówiąc, dom produkcyjny podejmował ogromne ryzyko, gdy wykladał na tę podróż pieniądze, których nie miał.

Nick, mieszkający w Pretorii, przyjechał do Johannesburga, żeby się ze mną spotkać.

Kupiliśmy namioty, suszoną żywność, środki do oczyszczania wody, moskitiery oraz zapas środków leczniczych i opatrunkowych wystarczający do zaopatrzenia małego szpitala. Wszystko zostało najpierw spisane, a następnie pilnie odhaczone w jego notesie.

Dziwnie było znów spotkać się z Nickiem, tym razem bez Cobusa. Schludnie ubrany, dbający o szczegóły facet. Odnosiłem wrażenie, jakbym wybierał się pod namiot z moim ojcem, a nie z żołnierzem fortuny na wojnę. Gdy wyładowaliśmy zakupy, komórka w kieszeni na jego piersi nagle zagrała *Eye of the Tiger*. Wyciągnął ją i odpowiedział w afrikaans. Mówił jakby przyciszonym głosem, łagodząc twardą intonację tego języka swoistym zaśpiewem. Domyśliłem się, że rozmawia z dzieckiem.

- *Rocky* - odezwałem się, gdy skończył rozmowę. - Świetny film.

- *Ag*, to moja córka, chłopie. Mówi na mnie *Tiger*. Taki nasz żarcik.

Podaliśmy sobie ręce. Poczułem się lepiej, wiedząc, że tajemnicza postać wywodząca się z sił specjalnych, o niewątpliwie burzliwej przeszłości, ma do kogo wracać.

W ostatnim tygodniu wybrałem się najpierw do Londynu, a potem do Glasgow, by spędzić ostatni weekend z moją dziewczyną, Rachel, z którą spotykałem się, choć niesystematycznie, przez ponad rok. Pierwszy raz ujrzeliśmy się na randce w ciemno zaaranżowanej przez telefon za pośrednictwem wspólnych znajomych. Dość rozpaczliwe przedsięwzięcie, ale poleciałem specjalnie do Glasgow, żywiąc nadzieję, że Rachel okaże się chociaż w połowie tak interesująca, jak sugerowały to jej SMS-y. Wyszła po mnie na lotnisko. Była w połowie Angielką, w połowie Włoszką, o oliwkowej skórze, jasnozielonych oczach i oszałamiającej figurze. Takie dziewczyny miewali zawsze inni, nie ja. Nie wierzyłem własnemu szczęściu.

Nick i ja kontaktowaliśmy się ze sobą niemal codziennie. Jego wyważony entuzjazm okazał się zaraźliwy; jego skłonność do metodycznego planowania pozwalała mieć nadzieję, że nic nie zostanie zaniedbane. Mogłem tylko liczyć, że na miejscu będzie się zachowywać mniej jak mój ojciec, a bardziej jak przystało na ochroniarza. Wszystkie daty zostały potwierdzone. Zamierzaliśmy polecieć do Konakry w Gwinei wszyscy tego samego dnia. Najpierw Cobus z Freetown, potem Nick, Dudley oraz Mandla z RPA, a na końcu ja z Londynu - mieliśmy się tam znaleźć 29 maja 2002 roku.

Pożegnałem się z Rachel, kupiłem telefon satelitarny oraz cały plik amerykańskich dolarów przeznaczonych na zaspokojenie nieprzewidywalnych, lecz spodziewanych wymagań tamtejszych łapowników. Wybierałem się na wojnę za przyzwoleniem powstańczego przywódcy, który być może nie istniał, oraz amerykańskiego agenta, którego nigdy nie widziałem na oczy.

Nick przesłał mi pocztą elektroniczną ostatnią listę niezbędnych sprawunków. Kiedy ją przeglądałem, w oczy rzuciła mi się ostatnia pozycja: „jaja ze stali”.

2. Martwi prezydenci

Kiedy wysiadłem z samolotu Air France na lotnisku w Konakry, buchnęła mi w twarz fala wilgotnego skwaru. Po stu metrach wędrówki od stopni maszyny do budynku terminalu ociekałem potem. Żołnierze w mundurach o ponurym, oliwkowym odcieniu podpierali brudne ściany, pod ich pachami czerniały plamy wilgoci. Bawili się bronią, poprawiali czarne berety, palili papierosy. Dwóch z nich krzychało na młodego człowieka w wytartym brązowym garniturze. Wpatrywałem się intensywnie w czubki własnych butów. Przy małej, drewnianej budce, w której odbywała się kontrola paszportowa, ustawiała się kolejka. Jakiś facet z pistoletem zatkniętym za pasek wypchnął z niej kobietę i dziecko, kazał im odejść na bok z powodów równie dla mnie niejasnych, co niepokojących. Nikt się nie odzywał. Nad naszymi głowami skrzypiało pojedyncze śmigło wiatraka, mieszające powietrze gęste od much. Ustawilem się wraz z innymi. Zerknąłem dyskretnie na swoją angielską komórkę - brak zasięgu. Komórka z RPA - to samo. Pocieszałem się, że Nick i Cobus czekają na mnie po drugiej stronie. Gdy przyszła moja kolej, podałem paszport kobiecie siedzącej w budce.

- Zawód? - zapytała po francusku z silnym akcentem.

- *Producteur* - odparłem. - Producent.

Jej spojrzenie pozbawione wyrazu spoczęło na mnie. Dostrzegłem kropelki wilgoci na jej górnej wardze. Rzecz jasna nie miała pojęcia, czym zajmuje się producent. Ciekawe, to zupełnie tak samo jak ja.

- *Quelle est la nature de votre voyage, monsieur?* - nie dawała za wygraną.

Sam bym chciał wiedzieć - pomyślałem. Uznałem, że biznes będzie najlepszą wymówką.

- *Affaires*.

Przyjrzała się wnikliwie mojej fotografii, a potem zaczęła niespiesznie przewracać strony w poszukiwaniu wizy. Przygotowałem się na dłuższą wymianę zdań. Jednak gdy wreszcie znalazła odpowiedni dokument, zerknęła na mnie raz jeszcze, a następnie z rozmachem przybiła pieczęć ociekającą tuszem.

- *Bienvenu* - na jej ustach pojawił się uśmiech. - Witamy.

A więc przekroczyłem granicę. Precyzyjnie się ostrożnie przez zgromadzonych pasażerów do taśmociągu z bagażami. Czekałem na torbę. Kiedy się rozejrzałem, stwierdziłem, że muszę okropnie rzucić się w oczy. Wszyscy inni biali, którzy lecieli ze mną

samolotem, dawno już znikli. Trzy metry ode mnie zgraja celników w białych koszulach z podwiniętymi rękawami i obcisłych niebieskich spodniach przeczesywała zawartość walizek, tekturowych pudeł oraz zawiniątek, które moi współpasażerowie rozpaczliwie usiłowali przed nimi ocalić, by ponieść je ku wyjściu jarzącemu się oślepiającym blaskiem. Tymczasem wszystko, co miało jakąkolwiek wartość handlową, a więc kartony papierosów i francuskie likiery oraz, o dziwo, wielkie tabliczki czekolady, odbierano prawowitym właścicielom, coraz to nowe fanty znikwały za ustawionym na kozłach stołem, który służył za miejsce egzekucji. Pomyślałem sobie, że kiedy zaczną przetrząsać moje rzeczy, dopiero się obłowią.

Zarzuciłem plecak na ramię, chwyciłem torbę fotograficzną przeznaczoną dla Dudleya, po czym ruszyłem ku światłości. Zdumiewające, ale nikt mnie nie zatrzymał. Aż mnie kusilo, żeby się odwrócić i spytać, o co w tym wszystkim chodzi, w co oni pogrywają. A potem już znalazłem się na zewnątrz, sam jak palec. Cobusa i Nicka nigdzie ani śladu.

Czekałem więc. Mijali mnie żołnierze. Kilku schludnie odzianych facetów nieokreślonej profesji poprosiło o ogień. Zwracałem na siebie uwagę wszystkich, a to nie wróżyło najlepiej. Ogarnął mnie gniew zmieszany z lękiem. Wytrzymałem jeszcze dziesięć minut, a potem miałem dosyć. Podeszedłem do rozsypującej się żółtej taksówki, obudziłem kierowcę. Przynajmniej wiedziałem, gdzie mam się zatrzymać na noc. Dobre i to.

- Hotel Petit Bateau, *s'il vous plaît*.

Spojrzał na mnie, jakby nic nie rozumiał.

- *Monsieur?*

Wcisnąłem mu w dłoń złożony banknot dziesięciodolarowy. Jego oczy zabłyśły.

- *Okay, ça va. On y va.*

Przekręcił klucz w stacyjce, wsiadłem.

Konakry okazało się zbiorowiskiem niskich ruder rozrzuconych na czubku półwyspu wbijającego się w Zatokę Beninu. Republika Gwinei to biedny kraj, a wygląd stolicy dobitnie o tym świadczy. Choć na terytorium tego państwa znajduje się około połowy światowych złóż boksytu, mnóstwo złota, diamentów i zasobów leśnych, ludność Gwinei zalicza się do najuboższych w Afryce. Wyzyskiwana przez autorytarny reżim staroświeckiego dyktatora wyznającego zasadę „krwi i żelaza”, niejakiego Lansany Contégo, ma przed sobą mizerne perspektywy. Zgodnie z licznymi raportami organizacji międzynarodowych zajmujących się prawami człowieka narodową dewizę: „Praca, Sprawiedliwość, Solidarność” należałoby raczej zastąpić znacznie trafniejszą: „Korupcja, Nepotyzm, Chaos”.

Hotel wznosił się na samym krańcu półwyspu - odizolowany, przytulony jedną ścianą do mola. Gdyby można było wyruszyć prosto przed siebie - czego w tamtej chwili bardzo

pragnąłem - następnym przystankiem na stałym lądzie byłaby Wenezuela. W zestawieniu z rybackimi łodziami, w cuchnących oparach odpływu, budynek sprawiał absurdalne wrażenie byle jak skleconej konstrukcji z na pozór niepołączonych ze sobą szklanych paneli, gołych ścian i pomalowanych na biało cementowych słupów.

Dudley i Mandla czekali na mnie w lobby, rozparci na sofie, która wyglądała, jakby żywcem przeniesiono ją z lat siedemdziesiątych. Nick oraz Cobus wyjechali po mnie zaledwie pół godziny wcześniej - gdyż wszystkie samoloty, wyłączwszy ten mój, przybyły z opóźnieniem.

- Przewieźliśmy cały sprzęt bez problemu. Cobus i szef ochrony lotniska tylko machnęli rękami, żebyśmy przechodzili. - Dudley wyraźnie wciąż nie mógł się nadziwić swemu szczęściu. - Mam propozycję, może byśmy się napili piwa? Odnoszę wrażenie, że i tak nie ma tu nic innego do roboty.

Najwyraźniej doszedł do tych samych wniosków względem Konakry, co i ja podczas mojej krótkiej podróży z lotniska. Kiedy zameldowałem się i dołączyłem na tarasie do Dudleya oraz Mandli, pojawili się Nick z Cobusem.

- Wybacz, chłopie, totalny fakap z tym przylotem. Wszystko poszło dobrze?

Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie, Nick wcisnął się w fotel obok mnie. Skruszony Cobus także usiadł.

- Bez problemu - zapewniłem go.

Tak było naprawdę. Odczuwałem jednak niepokój na myśl o tym, co mnie czeka. Cokolwiek się stanie - pomyślałem, zmęczony długim lotem i upałem - przynajmniej jestem na tyle bezpieczny, na ile gwarantuje mi to ich towarzystwo.

- Miło was widzieć - zwróciłem się do nich obu, po czym wskazałem stojące na stoliku kufle jasnego piwa pokryte kropelkami wilgoci. - Pijemy?

- O - odparł Nick. - Znakomity pomysł.

Powtórnie stuknęliśmy się szkłem i powiedzieliśmy: „Cheers”.

Nim poszedłem tej nocy spać, zapoznaliśmy się już z całością hotelowego jadłospisu. Najlepsze z całej ubogiej oferty były *grandes bières pression* oraz *poulet frites*. Zwróciłem uwagę, że jak na kogoś spragnionego Nick pił bardzo mało; ponadto w przeciwieństwie do reszty z nas nie skarżył się na jedzenie i nie wygłaszał na ten temat sarkastycznych uwag.

Od czasu do czasu dopowiadając coś w afrikaans do Dudleya, Nick zastanawiał się na głos, czego powinniśmy się dowiedzieć od rebeliantów, gdy jutro spotkamy się z ich przedstawicielami. Cobus zapewnił, że Amerykanie zadbają o to, byśmy następnego ranka zostali odpowiednio poinformowani. Przed przybyciem do Konakry nie dało się

przeprowadzić żadnej sensownej oceny ryzyka ani też opracować rozkładu dni zdjęciowych. Nie mieliśmy pojęcia, jakie terytoria znajdują się pod kontrolą powstańców w Liberii, i na ile ta kontrola jest skuteczna. W rezultacie nie wiedzieliśmy też, dokąd się udajemy ani w jaki sposób się tam dostaniemy.

Pod wieloma względami niepokoiła mnie ta niepewność, lecz mimo to perspektywy przedstawiały się nader kusząco. Pięć tygodni przed naszym przyjazdem do Konakry Rada Bezpieczeństwa ONZ opublikowała raport dotyczący Liberii, który sygnował Panel Ekspertów organizacji. Prowadzący badania nie zdołali ani dostać się na terytorium opanowane przez rebeliantów, ani w samej Liberii spotkać jakichkolwiek przedstawicieli LURD. W konkluzji pojawiło się więc stwierdzenie, iż „dostęp do nich nie jest możliwy”. Wedle wszelkich oznak wojna domowa w Liberii była pozbawiona cech tak charakterystycznych dla współczesnych medialnych konfliktów, jak reporterzy telewizji satelitarnej na dachach czy filmy kręcone przez lokalnych kamerzystów. Nic z tych rzeczy. Aby czegoś się dowiedzieć, należało znaleźć się na miejscu, osobiście. Zapowiadała się więc przygoda bardziej przypominająca wyprawy w starym stylu godne Capy lub McCullina niż relacje z wojny w Zatoce Perskiej przywodzące na myśl gry wideo.

Przypuszczalnie istniała możliwość przekroczenia granicy od strony Sierra Leone lub, co wydawało się jeszcze bardziej prawdopodobne, od razu z Gwinei. Absolutnie natomiast nie wchodziło w grę, by udać się samolotem do Monrowii, stolicy Liberii, a potem chyłkiem przedostać się na terytorium zajęte przez rebeliantów. Zdaniem Cobusa jedno było „pewne”, mianowicie istnienie czegoś na kształt linii frontu, której w żaden sposób nie da się przekroczyć, choć nikt nie wiedział, czy przebiega ona dwieście metrów, czy też dwieście kilometrów od Monrowii.

Co więcej, zbrodniczy reżim w stolicy nie przepadał za zagranicznymi mediami. Dwa lata wcześniej ekipa telewizyjna pracująca nielegalnie na zlecenie londyńskiego Channel 4 została zatrzymana pod zarzutem szpiegostwa i spędziła za kratkami niemal cztery tygodnie. Jakiś czas później, w okresie poprzedzającym nasz przyjazd, aresztowano dzielnego dziennikarza prasowego, Hassana Bility'ego, i uwięziono go bez żadnego procesu sądowego na czas nieokreślony. Gdyby rząd się dowiedział, co knujemy, z pewnością nie moglibyśmy liczyć na ulgowe traktowanie. Nasze szanse przed liberyjskim sądem wojennym prezentowały się nader mizernie, zwłaszcza dotyczyło to Nicka, jeśli wziąć pod uwagę, że uczestniczył w radykalnej eliminacji RUF w Sierra Leone siedem lat wcześniej.

Od atlantyckiego wybrzeża, gdzie właśnie siedziałem i raczyłem się miejscowym tanim piwem, Gwinea skręca jak banan w głąb lądu, okrążając od wschodniej strony Sierra

Leone oraz Liberię i dochodzi potem do Wybrzeża Kości Słoniowej. Przez tę granicę, prawdopodobnie pod nosem gwinejskiej armii, mieliśmy przedostać się na drugą stronę. Potem zaś pozostawały już same niewiadome.

Następnego dnia przy śniadaniu pojawił się wywiad Stanów Zjednoczonych - do hotelu zawitało dwóch mięśniaków, olbrzymów o kwadratowych szczękach, w okularach przeciwsłonecznych. Siedzieli przy odległym stoliku na tarasie, przed nimi rozciągał się widok niczym z obrazka: jaskrawe poranne słońce rozświetlało wypucowane białe stoliki, w oddali lśniły kuszącym błękitem wody oceanu. Okazało się, że nasz hotel to oaza anonimowości na skraju stolicy tętniącej życiem i owładniętej chaosem. Nick w schludnym, choć swobodnym stroju w kolorze khaki siedział już tam z nimi, zdążył zapisać w swoim nieodłącznym notesie całą masę równych rzędów jakichś liczb. Pojawił się Cobus z filiżanką kawy i zaprowadził mnie do ich stolika.

- James, to jest Frank. Frank, to jest James Brabazon, o którym rozmawialiśmy. Myślę, że pewnie dacie radę pomóc mu w realizacji tego projektu.

Cobus, wytrawny dyplomata.

- Hej, James. Witaj.

Frank ujął moją dłoń w taki sposób, że wywnioskowałem, iż bez trudu wycisnąłby na ławeczce ciężar równy wadze mojego ciała.

- Z przyjemnością udzielimy pomocy. To jest George, z ambasady. - Skinął głową w stronę drugiego giganta, dokonując prezentacji, po czym dodał, najwyraźniej o rebeliantach: - George też poznał paru z tych gości.

- Znaczy się, jesteś dziennikarzem? - upewnił się George.

Przywołałem na twarz zawodowy uśmiech, który miał wyrażać coś w rodzaju „owszem, ale jestem naprawdę w porządku”; wszyscy w mediach, którzy mają do czynienia z wojskowymi, uczą się robić tę minę na zawołanie. Jak się okazało, George był urodzonym żołnierzem. Podczas wstępnej wymiany grzeczności zdradził, że dziewięć lat wcześniej w Somalii brał udział w bitwie o Mogadiszu, uwiecznionej potem filmem Helikopter w ogniu. Zionął zaprzysięgłą nienawiścią wobec uzbrojonych muzułmanów i nie mógł się doczekać, kiedy znów coś poważniejszego zacznie się dziać w Iraku. Stanowczo gardził każdego rodzaju fuszerką. Cobus wtrącił:

- James nie jest takim dziennikarzem jak wszyscy. Jest okej. Świetnie bawiliśmy się razem w Sierra Leone. Wprowadziłem go trochę w co istotniejsze tajniki życia nocnego Freetown.

Podobał mi się sposób, w jaki Cobus o mnie mówił. Dzięki temu nie czułem się wśród

nich tak obco.

- Świetnie - stwierdził Frank. - Znaczy się, nie jeden z tych, co się czają za drzewami. Powiedz mi, James, co zamierzasz zrobić? Jaki cel chcesz osiągnąć?

Mówiąc to, wyciągnął z plecaczka małą, brązową kopertę. Zawierała plik fotografii. Frank doskonale wiedział, jakie są moje plany, ale wyraźnie chciał, żebym powtórzył to przed nim. Wyklepałem więc znów wyuczony już tekst: chcę udowodnić, że partyzanci istnieją; przekonać się, jak znaczny obszar znalazł się pod ich kontrolą; dowiedzieć się, jakie są ich zamiary. Frank tymczasem rozłożył na stoliku fotki przedstawiające młodych ludzi pozujących z kałasznikowami w rękach. Obaj Amerykanie zdjęli okulary słoneczne marki Oakley, by zerknąć na nieostre, prześwietlone zdjęcia. Nick także przyjrzał im się wnikliwie, czasami wybierał którąś z fotografii i oglądał ją uważniej, po czym podawał je dalej, do mnie. Partyzanci, ubrani jak gangsterzy z Los Angeles, w większości wyglądali na nie więcej niż kilkanaście lat - a przy tym robili wrażenie bardzo groźnych.

Okazało się, że te zdjęcia, niezbyt wiarygodne raporty LURD oraz nagrania z nasłuchu, które trudno było przetłumaczyć i zrozumieć, stanowiły właściwie całość informacji zebranych przez wywiad. Czyli rozpaczliwie mało, Frank nie wiedział właściwie nic pewnego na temat owego powstania przeciwko prezydentowi Taylorowi, tymczasem było to dla niego o tyle ważne, że polityka zagraniczna USA wobec Liberii skłaniała się do usunięcia przywódcy z urzędu. Tak więc Frank, jako wysokiej rangi oficer wywiadu Stanów Zjednoczonych, uznał planowaną przeze mnie wyprawę za doskonałą okazję, by zdobyć najistotniejsze dane dotyczące rebeliantów i prowadzonej przez nich wojny. Prawdę mówiąc, zdążył już porozumieć się w mojej sprawie z przywódcami liberyjskiego buntu przebywającymi na wygnaniu w Gwinei. Jeden z nich, jak mnie zapewnił, miał wkrótce do nas dołączyć.

Na tym jednak Frank nie poprzestał, lecz dał do zrozumienia, że w zamian za ułatwienie mi kontaktu z powstańcami liczy na szczegółowy raport po moim powrocie. Uznałem to za jak najbardziej uprawnione żądanie. Frank był skłonny mi pomóc, zatem rzeczą zrozumiałą samą przez się jest, bym i ja mu pomógł.

Nadszedł czas na kolejną prezentację. Frank wstał i uniósł dłoń.

- O, idzie - szepnął.

Zerknąłem znad stołu pokrytego dwuwymiarowymi wizerunkami partyzantów, by ujrzeć idącego ku mnie prawdziwego rebelianta. Przywódca LURD miał na sobie koszulę w elegancki wzorek, designerskie okulary słoneczne, w dłoni trzymał skórzaną walizeczkę i z wyglądu stanowił ucieleśnienie miejskiej elegancji.

- Hej, Joe - zagrział Frank. - Co tam słyhać?

Joe miewał się jak najlepiej.

- Hej, Frank. Wszystko w porządku. Sprawy posuwają się do przodu. Miło was widzieć w Konakry.

Mówił z silnym liberyjskim akcentem, który wtedy usłyszałem po raz pierwszy. Ten język od razu mnie zafascynował. Brzmiał jak głos z innej epoki, język angielski przywieziony do Liberii w dziewiętnastym stuleciu przez wyzwolonych niewolników z południowych stanów Ameryki. *Now* jak „nah”; *it*, pozbawione swojego „t”, Joe wymawiał jak „ih”. „Th” przekształcało się w twarde „t” albo „d” - co przywodziło na myśl wymowę moich irlandzkich kuzynów.

Doszło do ogólnej prezentacji. Nowo przybyły przedstawił się jako Joe Wylie, starszy rangą doradca wojskowy partyzantów z LURD. Siadł obok Nicka, a ja powtórnie przystąpiłem do relacjonowania swoich zamiarów.

- Zgadzasz się, żebyś udał się do buszu. Dostajesz zielone światło i możesz przejść od strony Voinjamy - przerwał mi Joe. - Jednak zanim pojedziemy, trzeba dopracować pewne, hm, drobiazgi.

Joe kręcił coś nieustannie o „drobiazgach” oraz „istotnych szczegółach” i wyrażał się coraz mętniej. Ja tymczasem nie mogłem się nadziwić, na jak swobodnej stopie pozostaje ten przywódca partyzantów z oficerem amerykańskiego wywiadu. Wyglądało na to, że Franka i Joego łączy dość bliska relacja. Przypuszczałem, że ostatecznie Joe nagnie się do wymagań Franka, lecz z drugiej strony, stało się dla mnie jasne, że to Joe chce kierować moją wyprawą.

- Joe - spytałem, w nadziei, iż uda mi się przebić przez pokłady bełkotu coraz wyżej piętrzące się między nami - chcesz, żebym czegoś nie filmował, tak?

Amerykanom chyba przypadło do gustu bezpośrednie ujęcie sprawy.

„Istotne drobiazgi” wyjaśniły się wreszcie, przynajmniej poniekąd. W zamian za pozwolenie na przemieszczanie się po terytorium partyzantów oraz przeprowadzenie wywiadów z przywódcami, musiałbym się zgodzić na to, żeby nie zdradzać żadnych szczegółów dotyczących uzbrojenia otrzymanego przez rebeliantów od rządu Gwinei wspieranego przez Amerykanów. Frank natychmiast ochoczo przyznał Joemu rację.

Dostawy tej broni stanowiły jawne pogwałcenie rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ. Obaj nie żartowali. Motywacje Franka były podejrzane; motywacje Joego - wręcz niebezpieczne. Gdy zdałem sobie z tego sprawę, przysunąłem się nieco bliżej do Nicka. Wiedziałem o nim mniej niż mało, ale bądź co bądź miał dostać pieniądze za to, by opowiadać się po mojej stronie.

Podano kawę i croissanty dla Joego. Z jednej strony, żądania Joego były uzasadnione. Mogłem sobie wyobrazić, że siły brytyjskie czy amerykańskie stosowałyby takie same restrykcje dotyczące doniesień co do szczegółów ich zaopatrzenia w czasie wojny. Z drugiej strony, na szczęście nikt nie był w stanie mnie zmusić, żebym się im podporządkował. Nie miałem pojęcia, jakiego rodzaju wsparcia tak naprawdę udziela rebeliantom rząd gwinejski. Aby się tego dowiedzieć, miałem tylko jedno wyjście: zgodzić się na żądania partyzantów oraz Amerykanów, a na miejscu robić swoje.

Cała ta gadanina o „istotnych szczegółach” sprawiła, że poczułem się nieswojo. Usiłując dogadać się z Joem, odnosiłem wrażenie, jakbym próbował zjeść zupę widelcem. Zdawałem sobie sprawę, że gdzieś za horyzontem czai się jeszcze inny problem, ale nie wiedziałem, jak się do tej tajemniczej sprawy dobrać. Podejrzewałem, że mój rozmówca bardzo okrężną drogą zmierza do tego, by zażądać łapówki. Impas wreszcie przerwał Nick. Chciał się dowiedzieć, w jaki sposób i kiedy dostaniemy się do Liberii, kto będzie nam towarzyszył i czego możemy się spodziewać w kwestii bezpieczeństwa po drodze. W odpowiedzi Joe wyraził się zdumiewająco jasno:

- Zabierzemy was stąd i dowieziemy na miejsce, nie ma żadnego problemu. Nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo. - Siwe pasma na jego skroniach połyskiwały bielą, gdy słońce wzniosło się nad dach hotelu. - Kiedy sfinalizujemy całą operację, możemy ruszać. Zapewnimy wam swobodę ruchów, a moi chłopcy będą was ochraniać. Tylko musicie nam coś dać - musicie zapłacić.

Prosto z mostu, domagał się pieniędzy.

- Jak nie zapłacicie, nigdzie nie pojedziecie. Umowa przestaje być ważna - sprecyzował, patrząc mi prosto w oczy.

- Dobrze, rozumiem. Chodzi o to, że mamy zapłacić za wynajęcie od was samochodów, tak?

Próbowałem ująć to w jak najmniej drastyczną formę. Przecież potrzebowaliśmy samochodów. Trzeba było też zapłacić za zapewnienie nam bezpieczeństwa podczas drogi. Ogarnęły mnie wątpliwości. Bądź co bądź Gwinea stanowiła jeden z najtrudniejszych krajów na kontynencie pod względem swobody poruszania się. Nim opuściłem Londyn, pewien afrykański wyga poinformował mnie, że oficjalny nadzór oraz ogólnie podejrzliwy stosunek do cudzoziemców nie kończy się na lotnisku, lecz właśnie tam się dopiero zaczyna, a im dalej od stolicy, tym bardziej narasta. Podróżując drogą lądową, mogłem spodziewać się dziesiątek blokad oraz całych zastępów znudzonych, nadgorliwych żołnierzy, których prawdopodobnie nikt zawczasu nie opłacił.

Powiedziałem to Joemu, a on wówczas poprosił, żebym pokazał mu paszport. Z torebki przy pasku wyłowiłem sfatygowaną czerwoną książeczkę, po czym, niezbyt zachwycony tym żądaniem, wetknąłem dokument w jego wyciągniętą dłoń. Odnalazł stronę z wizą, wskazał palcem dwie litery nagryzłomone długopisem nad stemplem: „PR”.

- Mieliście jakieś kłopoty na lotnisku? - spytał.

Nick i ja zapewniliśmy, że nie, że przeszliśmy przez wszystkie kontrole bez kłopotów.

- Twoją wizę wydał ktoś bardzo, bardzo wysoko postawiony.

PR oznaczało tyle, co „Prezydent Republiki”. Kiedy zorientowałem się, że naszą wyprawę wspiera osobiście ktoś z urzędu prezydenckiego, był to dla mnie istny wstrząs. Co prawda właśnie dzięki niemu owa wyprawa stała się możliwa, lecz zarazem byliśmy bez reszty zdani na jego łaskę i niełaskę. Joe powiadomił nas, że sławetne „istotne szczegóły” mogą zostać ostatecznie wyjaśnione następnego dnia, kiedy dowie się, jaka jest cena. Miała to być informacja od „Lady”, co nic mi nie mówiło. Jednak na wszelki wypadek skinąłem głową z mądrą miną.

Nick nie dawał za wygraną, usiłując się dowiedzieć, jaki obszar kontrolują partyzanci, ale otrzymał wymijającą odpowiedź, iż jest to obszar rozległy, a rebeliantów są tysiące. Doszliśmy do wniosku, że Joe po prostu nie zna odpowiedzi na to pytanie.

- Jeszcze jedna sprawa, James - wtrącił Frank. - Taylor posługuje się kilkoma cywilnymi helikopterami, między innymi Mi-17, które sprawiają chłopakom Joego mnóstwo kłopotów. Obserwują ich ruchy, przewożą członków zbrojnej milicji za ich linie i tak dalej. W zeszłym roku LURD się poszczęściło, buntownicy zdołali ustrzelić jedną z maszyn z „dwanaście-siedem”, ale dopiero gdy siadła na lądowisku. Przydałoby się, żeby Nick trochę ich podszkolił, nauczył, w jaki sposób zestrzelić ten drugi śmigłowiec.

Nick z wolna pokiwał głową. Niewykluczone, że i on słyszał o tym pomysle po raz pierwszy. Ja tymczasem palnąłem zupełnie bez zastanowienia:

- Mogę to sfilmować?

Gdy tylko padły te słowa, natychmiast ich pożałowałem. Zabrzmiały bowiem tak, jakbym wyrażał poparcie dla koncepcji, by Nick szkolił rebeliantów. Aż mnie zemdliło. Przecież dziennikarzowi nie wolno opowiadać się po żadnej ze stron. A już z pewnością nie powinien uczestniczyć w zestrzeliwaniu helikopterów.

- Chyba nie będzie z tym większego problemu - odparł tymczasem Nick, wpatrując się intensywnie w swoje buty. Przynęliśmy się wszyscy pod parasolkę osłaniającą nasz stolik, bo cień szybko się kurczył. - Wymyśli się jakąś przynętę, żeby zwabić maszynę. Przedtem trzeba przygotować zwyczajną zasadzkę, z granatnikami rozmieszczonymi na obszarze, nad

którym śmigłowiec będzie przypuszczalnie zmierzać w kierunku celu.

Mimo wszystko ogarnęło mnie podniecenie. Może uda mi się sfilmować operację przeprowadzoną przez najemnika wraz z przygotowaniem do niej - czegoś takiego nikt jeszcze nie zdołał dokonać.

Nie ulegało wątpliwości, że Nick stanowił już część układu, który właśnie zawierałem z Amerykanami oraz rebeliantami. Cobus i Frank mu ufali. Los połączył mnie z Nickiem, czy mi się to podobało, czy nie. Czułem się w tej sytuacji niezręcznie, ponieważ przynajmniej teoretycznie pełniłem funkcję jego pracodawcy. Tak więc z zawodowego punktu widzenia mogłem zostać pociągnięty do odpowiedzialności za jego działania w Liberii.

Materiał zapowiadał się fantastycznie i było już zbyt późno, żeby się wycofać. Umowy podpisane, wydane pieniądze na bilety lotnicze, pojawiła się też perspektywa dalszych wydatków.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

Po odejściu Joego Frank poinformował Nicka, jakim uzbrojeniem dysponują rebelianci. Zapisywałem to w notesie. Jego zdaniem, oprócz ciężkiego karabinu maszynowego kalibru 12,7 mm, z którego zestrzelili helikopter, mieli jeszcze około siedmiu takich samych oraz parę potężniejszych przeciwlotniczych karabinów maszynowych strzelających amunicją BZT kalibru 14,5 mm. Brakowało im natomiast lżejszej broni wspomagającej - czyli przenośnych karabinów maszynowych typu PKM zasilanych z taśmy, którymi mogliby wesprzeć ataki piechoty. Zamiast tego posługiwali się wyłącznie granatnikami.

- Zaraz, przecież mamy tutaj skrytkę przy lotnisku - przypomniał sobie Frank, zwracając się do Cobusa. - Jest tam trochę PKM-ów i w cholere amunicji. Spróbujemy im to podrzucić w charakterze prezentu. Żeby przestali marudzić.

Przestałem notować. Amerykanie wcale nie kryli się z tym, że zbroją buntowników, choć dostarczają im tylko lekkiej broni. Nie było jednak dla mnie jasne, czy chodzi tu o osobistą ugodę między Joem a Frankiem, czy też o ustaloną politykę skierowaną przeciwko Taylorowi. Spytałem ostrożnie:

- Frank, od dawna pracujesz z Joem?

- Joe i jego ludzie są w porządku. Wariaci, ale wiedzą, o co chodzi. Stary, Joe nadal ma wobec nas cholerny dług wdzięczności za tę akcję w dziewięćdziesiątym ósmym. Wyciągnęliśmy go z ambasady w Monrowii, zanim Taylor zdążył uciąć mu jaja.

Frank miał na myśli ewakuację liberyjskich wojowników z ambasady USA cztery lata wcześniej - czyli tę samą operację, o której Cobus opowiadał mi w RPA. Frank odegrał

podczas niej kluczową rolę.

- Świetnie mi się pracowało z Cobusem i resztą jego ludzi - stwierdził. - Chłopie, ale był ubaw.

*

Wieczorem pod zwisającymi fałdami moskitiery dokonałem na spokojnie podsumowania swojej sytuacji. W ciągu dwudziestu czterech godzin brzemień odpowiedzialności przekształciło się w jeszcze większy ciężar. Czułem się przy tym bardzo niepewnie. Jedno ustępstwo pociągało za sobą kolejne. Obiecałem, że pominę rolę Gwinejczyków oraz Amerykanów w wojnie, którą obie strony najwyraźniej wspierały. Zgodziłem się pełnić funkcję *de facto* agenta amerykańskiego wywiadu i przekazać nieokreśloną jeszcze sumę (cudzych) pieniędzy w ręce przywódcy rebeliantów jako opłatę za „zapewnienie nam bezpieczeństwa”. I wreszcie zgodziłem się, by zatrudniony przeze mnie osobnik dopomógł w zestrzeleniu helikoptera, a to w nadziei, iż uda mi się tę akcję sfilmować. Ośmieliłem się nawet spytać o ową skrytkę z bronią i pewne szczególne powiązania z buntownikami; chodziło mianowicie o szkolenie Liberyjczyków przez Amerykanów, co odbywało się na jednej z wysepek, całkiem niedaleko od naszego hotelu. Kiedy osiem lat wcześniej rozpoczynałem swoją karierę jako przepelniony entuzjazmem absolwent wyposażony w aparat fotograficzny oraz nieco przesadną ciekawość świata, nawet nie śniłem, iż zabrnę tak daleko.

Można było stwierdzić, że znalazłem się już w sytuacji bez wyjścia. Z drugiej strony, musiałem przyznać, że całkiem nieźle rozgrywam tę trudną partię. Na razie niczego nie schrzaniłem, nie wyraziłem zgody na stawiane mi żądania inaczej, niż tylko skinieniem głowy. Jednak rozważałem to wszystko wciąż od nowa. Miałem poczucie, że Nick jest w porządku, chociaż nie potrafiłem uzasadnić tego samemu sobie w żaden racjonalny sposób. Pić z nim piwo i snuć fantastyczne plany o zestrzeleniu rządowego helikoptera to jedno, a powędrować ramię w ramię na wojnę to całkiem inna rzecz.

Następnego ranka Joe pojawił się wraz ze świtą kolejnych, równie elegancko ubranych bojowników, po czym wreszcie wymienił żadaną sumę: dziesięć tysięcy dolarów gotówką, z góry. Roześmiałem mu się w twarz. Nick również. Ostentacyjnie posłałem Dudleya i Mandłę na piętro, żeby zaczęli pakować manatki. Stwierdziłem, że jeśli cena nie ulegnie zmianie, to wyjeżdżamy. W wiadomościach aż huczało od doniesień o kolejnych punktach zapalnych na mapie świata. Irak nie schodził z pierwszych stron gazet, a na granicy Indii i Pakistanu trwała wymiana ognia ciężkiej artylerii, co wyglądało na wstęp do wojny. Wy tłumaczyłem Joemu, że w każdej chwili mogę tam pojechać. Oczywiście, nie będę miał

wojny w Iraku czy w Indiach na wyłączność, ale z pewnością uda mi się tam nakręcić materiał, na którym zarobię. Wtrącił się Cobus. Zapewnił Joego, że naprawdę tak zrobię. Przypomniałem też, że kimkolwiek był główny przywódca LURD, osobiście nas zaprosił.

Joe wrócił po południu, domagając się tym razem znacznie rozsądniejszej kwoty: trzy i pół tysiąca dolarów za wynajęcie pojazdów podczas naszej wyprawy, zapewnienie nam bezpieczeństwa w drodze do i z Liberii oraz pokrycie bliżej niesprecyzowanych „wydatków” Joego. Zgodziliśmy się. Gdybym miał wynająć prywatny samochód, kosztowałoby to mniej więcej tyle samo, a przecież nikt nie udostępniłby mi wozu na wyprawę do kraju opanowanego przez buntowników. Zadzwoiłem do firmy producenckiej, a potem wręczyłem Joemu plik amerykańskich dolarów - czyli, jak to określił Frank, „martwych prezydentów”.

Dwa dni później przed hotel zajęchały ciężarówka gwinejskiej armii i nowiutki wóz terenowy. Nadszedł czas, by ruszyć w drogę. Na dole powitali mnie pełen entuzjazmu Joe Wylie oraz gwinejski kierowca w wojskowym mundurze i czerwonym berecie.

- To jest Bengura - rzekł Cobus i ziewnął. - Osobisty kierowca prezydenta.

Nick, który zrezygnował ze spodni khaki na rzecz długich, czarnych szortów i włożył skórzane buty traperskie, był dotąd zajęty nadzorowaniem załadunku naszych bagaży, ale podszedł bliżej, żeby posłuchać. W czerwonym blasku bocznych świateł ciężarówki spostrzegłem, że mięsień jego łydki szpeci paskudna blizna.

- Chcesz powiedzieć, że jest kierowcą przywódcy LURD? - spytałem, trochę zdezorientowany. To zrobiło na mnie wrażenie.

- Tak - potwierdził Joe - jest szoferem Conneha.

Po raz pierwszy usłyszałem, jak ktoś wypowiedział na głos nazwisko przywódcy LURD.

- Owszem - dodał Cobus - a także kierowcą prezydenta Gwinei. Lepiej bądźcie dla niego mili. Prawdopodobnie prowadzi jak ostatnia pizda. Czerwone berety to ichnia elitarna jednostka z bożej łaski.

Uścisnęliśmy sobie dłonie z Cobusem i zrobiliśmy niedźwiadka. To samo powtórzył Nick, żartowali przy tym w afrikaans. Dudley, Mandla, Nick, Joe i ja wcisnęliśmy się do terenówki; Bengura, od którego cuchnęło alkoholem, wdrapał się na fotel kierowcy. Zapaliłem marlboro i dałem mu całą paczkę. Pierwszy brzask zabarwił hotelowe okna na jaskraworóżowo. W bocznym lusterku ujrzeliśmy jeszcze machającego ręką Cobusa; zmierzaliśmy na wschód.

Po osiemnastu godzinach dotarliśmy, wymęczeni i zdezorientowani, do ogrodzonej murem siedziby głównej partyzantów LURD we wschodniej Gwinei. Wokół zaroilo się od

młodych mężczyzn w dżinsach i T-shirtach. Joe robił ważną minę. Pojawili się też starsi, którzy powitali najpierw jego, potem nas. Wokół uśmiechnięte twarze, wesole głosy. Jeśli nie liczyć samotnego kałasznikowa opartego w rogu szeroko otwartej bramy oraz cichego trzasku polowej radiostacji, nic nie wskazywało na to, byśmy znajdowali się w centrum operacyjnym buntowniczej armii.

Nick wyładował bagaże, a następnie, wiedziony węchem, skierował się do niskiego, białego bungalowu. Wyniesiono na zewnątrz miseczki z ryżem udekorowanym ognistymi papryczkami chilli oraz duszonymi liśćmi manioku. Posililiśmy się, potem rozpiąłem hamak między dwoma słupkami werandy. Zapadłem w niespokojny sen pełen surrealistycznych wizji emanujących niepokojem i napięciem; komary nie dawały mi spokoju.

Obudził mnie Nick.

- Dzień dobry - przywitał się, gdy wyciągnąłem zatyczki z uszu. - Jedziemy.

Załadowaliśmy się znów do samochodów, na ciężarówkę dosiadło się kilku partyzantów, którzy chcieli, żeby podrzucić ich do Liberii.

Po niezbyt długim czasie Bengura zjechał terenówką z głównej szosy, kierując się do sporej bazy gwinejskiej armii, położonej opodal wioski Badaro.

- Złożymy wyrazy uszanowania dowódcy garnizonu - poinformował nas jeden z partyzantów, którego wieźliśmy ze sobą. - Mam na imię Oscar i jestem łącznikowym między „Lor” a armią gwinejską.

Podaliśmy sobie ręce. Podobnie jak wszyscy buntownicy, których dotąd spotkałem, Oscar wymawiał LURD jak „Lor”.

Dudley miał przy sobie małą cyfrową kamerę wideo, aby dyskretnie nakręcić nasze przybycie do Liberii. Joe przypomniał tymczasem, że w Gwinei nie wolno nam niczego filmować. Siedemdziesiąt dwie godziny po wyrażeniu zgody na postawione przez Joego warunki, dotyczące umożliwienia nam kontaktu z rebeliantami, stanąłem wobec pierwszego dylematu. Obszedłem samochód, znalazłem się obok Dudleya. Upewniłem się, że Nick oraz Joe nas nie słyszą. Przykucnąłem, udając, że zawiązuję sznurowadło.

- Dasz radę to sfilmować? - spytałem.

- Jasne - a potem sprostował: - O, kurwa. Podczas nagrywania świeci się to pierdolone światełko. - Czerwona lampka kamery mrugała do nas. - Dobra, powieszę kamerę na ramieniu i zasłonię ją ręką. Przynajmniej będziemy mieli audio.

Mandla zapalił papierosa.

- Dobrze kombinujesz, Duds. - Uśmiechnął się i puścił do nas oko.

Poszliśmy wszyscy razem za Oscarem przez słabo oświetlone korytarze, aż dotarliśmy

do gabinetu, w którym powitał nas pulchny, spocony dowódca garnizonu. Przedstawił się jako komandor Lamine. Uścisnął nam dłonie, potem usiadł i spojrzał na mnie wyczekująco. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Ukrywać, kim jestem, czy wyjawić, co robię i dokąd się wybieram? Spojrzałem na Joego, a on spojrzał na Nicka, który uśmiechnął się i wbił wzrok w podłogę. Odetchnąłem głęboko, przypomniałem sobie, że zgodnie ze słowami Cobusa nie jestem zwyczajnym dziennikarzem, po czym raz jeszcze powtórzyłem swoją prezentację, tym razem po francusku. Komandor Lamine spoglądał na mnie tak, jakby rzeczą najnormalniejszą w świecie było, iż reporter prosi o zgodę na nielegalne przekroczenie granicy, której wojsko miało obowiązek strzec. Cóż z tego, że celem podróży owego żurnalisty miało być sfilmowanie wyjętych spod prawa buntowników; kilku z nich siedziało zresztą w tym samym pokoju.

- Brawo - zagrzmiął. - Wszyscy tu jesteśmy braćmi, jednoczy nas walka ze wspólnym wrogiem. Jesteśmy wdzięczni przyjaciołom, którzy dzielnie walczyli, broniąc naszej republiki przed napaścią Taylora.

Wszyscy wstali, znów nastąpiły uściski dłoni i padanie sobie w objęcia. Spodziewałem się, że prześlizgnę się do Liberii pod nosem Gwinejczyków, być może z ich milczącym przyzwoleniem, ale nie przypuszczałem, że będzie temu towarzyszyć poklepywanie mnie po plecach.

Dudley nieznacznie skinął głową w moim kierunku - na znak, że nagranie się udało - i ruszyliśmy w swoją stronę. Postanowiłem, że odtąd będę nagrywał wszystko, natomiast decyzję co do tego, w jakim stopniu dotrzymam słowa, odłożyłem do etapu montażu. Nick na razie nie musiał wiedzieć, że powziąłem taki zamiar. Cóż, wszak był moim podwładnym.

W miejscu, gdzie samotny żołnierz strzegł bambusowej barierki - podniósł ją na nasz widok - szosa przeistoczyła się w ubitą drogę. Nad budką strażnika powiewała wystrzępiona gwinejska flaga. Wkroczyliśmy na ziemię niczyją. Po kilku minutach ujrzeliśmy jadącą z naprzeciwka półciężarówkę pełną uzbrojonych buntowników, młodych ludzi, którzy wykrzykiwali na całe gardło słowa powitania, wymachując w powietrzu bronią. Nick uważnie sondował wzrokiem otaczający nas busz, mnie zaś ogarnęła fala ekscytacji.

Znaleźliśmy się w części Liberii opanowanej przez partyzantów.

3. Podróż bez map

Po godzinie jazdy wąskimi drogami pośród dżungli naszym oczom ukazały się zabudowania miejscowości, w której mieściła się kwatera główna rebelianckiej armii. Voinjama liczyła kiedyś około pięciu tysięcy mieszkańców, teraz jednak domy świeciły pustymi oczodołami okien, a framugi drzwi ziały pustką niczym bezzębne usta. W miasteczku pozostało tylko kilkuset cywili, w większości jakoś powiązanych z przebywającymi tam bojownikami.

Zaprowadzono mnie do biura przywódcy rebelii - mrocznego pokoju w rogu jednego z nielicznych budynków, które nie zostały poważnie uszkodzone podczas walk, opuszczone lub nadwyrężone przez siły natury. Nick stał tuż za mną. Kiedy moje oczy przywykły do półmroku ciasnego wnętrza, dostrzegłem kilku mężczyzn wyciągających ku nam ręce w geście powitania. Nie wiedziałem, do którego z nich podejść najpierw. Nigdy nie widziałem żadnego zdjęcia Conneha - prawdę mówiąc, jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej wcale nie byłem pewien, czy ten człowiek w ogóle istnieje. Po krótkiej chwili niezręcznego milczenia zza stołu zawalonego walkie-talkie oraz starym sprzętem komputerowym powstał rosły, młodo wyglądający mężczyzna w szarym, dwurzędowym garniturze. Jeden z obecnych przedstawił go:

- Krajowy przewodniczący sił LURD, jego ekscelencja Sekou Damate Conneh Junior.

- Witajcie - odezwał się Conneh. - Witajcie w wolnej, wolnej Liberii, a więc czujcie się tu wolni.

Niczym dobrze wytrenowany domokrażca, powtórzyłem wyuczoną na pamięć prezentację. Wyjaśniłem Connehowi, że świat zewnętrzny ma niezwykle ograniczoną wiedzę o kierowanej przezeń organizacji (noszącej tak nieporadnie brzmiącą nazwę - Liberyjczycy Zjednoczeni na rzecz Pojednania i Demokracji - o czym jednak nie wspomniałem), a jest ona kształtowana przez jego wroga. Niemal wszystkie dane dotyczące LURD to kłamstwa rozpowszechniane przez machinę *public relations* podległą prezydentowi Taylorowi. Conneh nie omieszkał przy tej okazji wygłosić zwięzłego credo:

- Naród liberyjski musi być wolny - stwierdził - a siły LURD walczą o jego wolność oraz o pokój.

Kiedy odzywał się Joe Wylie, jego znamionujące niejaką ogładę amerykańskie zaciąganie względnie łatwo przychodziło mi rozszyfrować, natomiast Conneh oraz jego ludzie wysławiali się w sposób niemal niezrozumiały. Zupełnie jakbym nagle musiał

rozwiązywać jakąś słowną szaradę, w czterdziestostopniowym upale i po ciemku, a w dodatku wszyscy wokół byli uzbrojeni. Kiedy rozmawiali ze sobą, gubiłem wątek. Mój angielski pozostawał dla nich taką samą zagadką.

- Musisz pokazać światu tę wolność, naszą wolność. Charles Taylor to zbrodniarz, kłamca. Musimy postawić go przed sądem, przed sądem międzynarodowym - ciągnął jego ekscelencja. - Miliony ludzi dowiedzą się z BBC, o co walczą siły LURD. Ja, Sekou Conneh, obalę Charlesa Taylora - osobiście!

Conneh, który, jak się okazało, został wybrany na stanowisko przewodniczącego zaledwie sześć miesięcy wcześniej, w wieku czterdziestu dwóch lat, żadną miarą nie zaliczał się do intelektualistów. Wiedziałem od Franka, że powszechnie uważano, iż w ramach kompromisu z rozmysłem wybrano kandydata słabego, lecz chyba nawet sam przewodniczący zdawał sobie sprawę, że jeśli pojawi się na ekranach jako przywódca powstańczej armii liberyjskiej, wzmocni to jego pozycję wobec innych rebeliantów czyhających niczym sępy na to stanowisko.

Cechował go ospały sposób bycia, jego angielszczyzna pozostawiała wiele do życzenia: mówił urywanymi zdaniami, niekiedy dobitnie akcentując zupełnie przypadkowe słowa. Prosił mnie tylko o jedną grzeczność - abym zawczasu zdradził pytania, jakie zadam jemu oraz jego naczelnym dowódcom podczas nagrywania wywiadu. Zapewnił mnie, że z rąk rebeliantów nie grozi żadne niebezpieczeństwo ani mnie, ani mojej ekipie czy sprzętowi.

- Tutaj jesteś bezpieczny.

Rozłożył dłonie w geście, który zdawał się sugerować, iż w rzeczywistości bezpieczny jestem wyłącznie w jego gabinecie. Natychmiast rozpoznał w Nicku żołnierza (jego imię wymawiał „Nack”), zaprosił go więc na zamkniętą naradę z kilkoma naczelnymi dowódcami, aby omówić strategię przyszłych działań. Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że LURD aż tak poważnie traktuje Nicka oraz jego tajemnicze kwalifikacje wojskowe, ale to gwarantowało, że będzie on stanowić doskonałe źródło informacji wywiadowczej. Stało się również zupełnie jasne, że wszelkie moje nadzieje co do tego, iż mogę sprawować jakąkolwiek kontrolę nad działaniami Nicka, były jedynie złudzeniami: tylko od jego dobrej woli zależało, czy i co zechce mi powiedzieć.

Gdy wyszliśmy z budynku, wziąłem go na stronę. Dudley w tym czasie filmował rosnący tłumek uzbrojonych młodych ludzi, gromadzący się pod siedzibą przewodniczącego, by zawodzić monotonne pieśni.

- Człowieku, zrób to - błagałem go. - Musisz załatwić, żeby się zgodzili zabrać nas na front. Jeśli tutaj spędzimy te dwa tygodnie, jestem w dupie. Wszyscy jesteśmy w dupie.

Musimy zobaczyć, jak walczą.

Nick upił długi łyk z butelki wody mineralnej.

- To niezbędne pod każdym względem - dodałem, starając się dać mu do zrozumienia, iż leży to w naszym obopólnym interesie.

- *'n Boer maak 'n plan* - rzekł. - Farmer zawsze działa według planu.

Podał mi butelkę. Przyglądałem się kilkudziesięciu tańczącym rebeliantom. Refren ich pieśni wojennej był prosty, a chórowi przewodniczył dowódca noszący bandanę w maskujących barwach, obwieszony magazynkami do kałasznikowa.

- Tay-lah da wo-ma'... Se-kou da man... - a potem, na zakończenie: - Monkay com' dahn! No mo' Monkay! [W wolnym tłumaczeniu: „Taylor baba... Sekou mężczyzna... Małpa ma zejść na dół! Dość już małpy!” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).]

- Taylor to małpa - oświecił nas dowódca - która zżera wszystkie owoce na szczycie drzewa!

Rozbrzmiały gromkie okrzyki, a potem pieśń zaczęła się znowu. Przeważająca część rebeliantów miała nieco powyżej lub nieco poniżej dwudziestki, pałętało się pośród nich kilku młodszych chłopców. Starsi wystroili się w najrozmaitszego sortu mundury - najczęściej ciemnooliwkowe uniformy armii gwinejskiej, tygrysie pasy liberyjskich sił zbrojnych lub powszechnie znany kamuflaż wojsk brytyjskich. Jednak większość z nich nosiła się zgodnie z szykiem obowiązującym wśród gangsterów na przedmieściach Los Angeles: bandany na głowach, poszarpane dzinsy przyozdobione szerokimi pasami spinanymi na ogromne klamry; pasy zwisały luźno na ich wychudłych brzuchach. Wszyscy mieli na szyjach paciorki, amulety, bransoletki na nadgarstkach. Obowiązkowy element stroju stanowiły plastikowe klapki, zwane przez nich kopciami. Wielu paradowało bez koszuli, wyraźnie zarysowane mięśnie przecinały bandolierzy z zapasowymi magazynkami do kałasznikowa, ozdobione dodatkowo małymi, chińskimi granatami ręcznymi. Ociekali potem, jako że nie oszczędzali sił w tańcu.

Nick potrząsnął głową i zwięźle wyraził swą opinię w afrikaans:

- *Fok.*

To rzekłszy, wrócił do budynku, gdzie mieściło się biuro Conneha.

Dudley, Mandla i ja pozostaliśmy na zewnątrz, by zawrzeć znajomość z młodymi bojownikami: wymienialiśmy uścisk dłoni, po którym następował charakterystyczny gest strzelania palcami. Wszyscy byli uprzejmi. Zainteresowani. Uzbrojeni. Ich zwykłe wyposażenie stanowiły karabinki AK-47, tu i ówdzie widywało się RPG - granatniki przeciwpancerne. Wszyscy okazywali niepokojącą nonszalancję podczas obchodzenia się z

bronią.

Nick nie dawał znaku życia już od godziny, więc zajęliśmy się filmowaniem tubylców. Rozpoczęły się pogawędki, podczas których dokładaliśmy wszelkich starań, by nie znaleźć się na linii strzału kałasznikowa rozmówcy. Nie mogłem powstrzymać się od spoglądania na przełącznik rodzaju ognia, by sprawdzić, czy broń jest zabezpieczona (sporadycznie), czy też ustawiona na ogień ciągły (zazwyczaj). Najczęściej rozmowom tym towarzyszyły wonne opary kanabisowego dymu. Partyzanci wypowiadali się z liberyjskim akcentem, połykając większość zgłosek. Chwycili za broń - czy też przynajmniej przystąpili do LURD - z prostych powodów. Niektórzy ze starszych walczyli przeciw Taylorowi podczas poprzedniej wojny i poczuli się oszukani, kiedy nastąpiło zawieszenie broni; inni pragnęli pomścić śmierć braci, matek, przyjaciół. Często czynili to po prostu z nudów. Większości doskwierał głód. Nikt nam nie groził w żaden sposób - raczej wręcz przeciwnie - natomiast sama sytuacja przedstawiała się groźnie. Wyglądali niczym karykatury żołnierzy, zabójcy z kreskówek. Wielu przyznało, iż przelali krew swych współplemieńców; deklarowali, że zrobiliby to znowu. Czułem się niepewnie, nie mając przy sobie Nicka, dlatego zajrzałem do kwatery głównej, żeby czegoś się dowiedzieć, ale narada dowódców wciąż trwała.

Nick pojawił się dopiero dwie godziny później i od razu oznajmił nam, czego się dowiedział. Według jego relacji Conneh twierdził, iż buntownicy opanowali już niemal połowę terytorium Liberii. Tego się nie spodziewałem. Najdalszą na południe pozycję zajęli wśród wzgórz Bomi, w mieście o nazwie Tubmanburg - dzień drogi na piechotę do stolicy, Monrowii. Ponadto intensywne walki toczyły się w miastach Foya oraz Gbarnga. W Foi - zaledwie sześćdziesiąt kilometrów od granicy z Sierra Leone - rząd ponoć wysługiwał się słynącymi z okrucieństwa najemnikami rekrutującymi się z RUF. Co prawda wojska, które przybyły z Sierra Leone, zostały otoczone, ale bojownicy LURD nie byli w stanie ich pokonać: stałe dostawy żywności oraz amunicji zrzucające z helikopterów Taylora pozwalały im przetrwać codzienne ataki. Wieść o tym, że doskonale uzbrojony oddział cieszących się najgorszą sławą bojowników Afryki Zachodniej może przebić się przez okrążenie i wyruszyć na główną kwaterę rebeliantów, przepełniła mnie zgrozą. Owszem, sam się domagałem, żeby pozwolono nam zobaczyć i sfilmować walki, ponieważ pozwoliłoby to ukazać możliwości i zamiary buntowników, ale świadomość, że nieprzyjaciel znajduje się w odległości dwóch dni marszu - to całkiem inna rzecz. Zacząłem niespokojnie spoglądać w stronę buszu, podobnie jak rok wcześniej w Sierra Leone, wypatrując tego samego wroga.

Przez następne trzy dni przeprowadziłem serię wywiadów: z Connehem, który uparcie utrzymywał, iż jego wojska są w stanie obalić Taylora w ciągu miesiąca; z Joem Wyliem,

który prezentował się wyśmienicie w świeżo wyprasowanych amerykańskich bojówkach i białym T-shircie; z generałem brygady Deku, wysokiej rangi dowódcą, który przewodniczył też śpiewom. Rozmawiałem także z różnymi bojownikami, administratorami, politykierami, fantastami, cywilami oraz upalonymi pieczeniarczami. Wszyscy byli przekonani o rychłym sukcesie.

Nick i ja zajęliśmy pokój w budynku po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko kwatery głównej powstańców. Mnie przypadł w udziale hamak, a jemu przegniły materac. Wieczorami zażywaliśmy tabletki przeciwko malarii, popijając je łykiem whisky z butelki.

Nadal budził we mnie obawy, czułem się niepewnie sam na sam w jego towarzystwie. Co prawda przekonałem samego siebie, iż należy mu ufać, bo jest to konieczne, jednak wciąż nie wiedziałem prawie nic o nim ani o motywach jego działania. W towarzystwie Conneha spędził tyle samo czasu, co ze mną, a kiedy przebywaliśmy razem, to choć o filmie wypowiadał się z dużym optymizmem, ogólnie rzecz biorąc, mówił niewiele. Gdy tylko się dało, trzymałem się Dudleya i Mandli, którzy ulokowali się w pokoju po drugiej stronie korytarza; wspólnie staraliśmy się wydobyć istotne elementy z natłoku zebranych informacji.

Okazało się, że LURD walczy z liberyjskim rządem już od końca 1999 roku, ma cel wyraźnie określony i konkretny (oraz powtarzany niestrudzenie, w nieskończoność): odsunąć prezydenta Charlesa Taylora od władzy. „Gdy Taylor odejdzie - twierdzili niemal wszyscy bojownicy - złożymy broń”. Koniec z Taylorem, koniec wojny: prosta ideologia, prosty zamysł. Jednak sądząc z tego, co powiadali buntownicy, prawda przedstawiała się w sposób znacznie bardziej skomplikowany; otóż konflikty w Sierra Leone, Gwinei i Liberii składały się na tę samą wojnę. Liberia stanowiła jakby kamień ciśnięty w regionalne bajoro, a powstałe fale zatopiły całe pokolenie młodych mężczyzn wychowanych na przemocy.

Wybory, które zakończyły pierwszą wojnę domową w 1997 roku, kiedy Charles Taylor został prezydentem, miały w założeniu umożliwić stworzenie jednego rządu i jednej narodowej armii ze wszystkich zwalczających się frakcji. Tymczasem dwie najsilniejsze z nich, ULIMO-K oraz ULIMO-J, poczuły się z tego procesu wykluczone. Z obawy przed zamachami na swoje życie opozycjoniści uciekli, przegrupowali się, przyjęli do swojego grona dawnych towarzyszy broni i przybrali nową nazwę: LURD. Do organizacji wstępował każdy, kto miał coś za złe Taylorowi.

LURD rosło więc w siłę. Prezydent Gwinei posłużył się w 2000 roku liberyjskimi partyzantami jako tarczą, która pozwoliła mu odeprzeć napaść Taylora na jego kraj. Conneh został wybrany na przewodniczącego, tymczasem jego żona pełniła funkcję doradczyni duchowej gwinejskiego prezydenta - to właśnie była owa Lady, o której mówił Joe Wylie

podczas naszego spotkania w Konakry. Dzięki jej wpływom gwinejska armia zaczęła udzielać wsparcia LURD, dostarczając broni oraz amunicji - i tak oto rozpoczął się marsz na Monrowię.

*

Siedziałem, wychylając się za balustradę naszej werandy z lanego betonu, i wypalałem kurczące się w zastraszającym tempie zapasy wolnocłowych papierosów. Mandla i Dudley pławili się we własnym pocie, usiłowali strawić kolejną porcję gotowanego ryżu, tudzież duszonych liści. W nieznośnym popołudniowym skwarze zaczęło mnie ogarniać zniechęcenie. Osiągnąłem coś, co nie udało się jeszcze żadnemu innemu dziennikarzowi - nawiązałem kontakt z LURD, nagrałem na taśmę wywiady z dowódcami, dostałem się na terytorium opanowane przez partyzantów. Dobra, i co z tego? Nie zbliżyłem się ani o krok do stworzenia materiału, który mógłbym zaproponować jakiegokolwiek redakcji telewizyjnej. Cały projekt mogła uratować tylko wojna widziana z bliska, zarejestrowana na filmie. Tylko takie sekwencje pozwoliłyby ocenić, czy rebelianci rzeczywiście są w stanie obalić Taylora.

Po trzech dniach pojawiło się jednak wybawienie: ujrzelśmy krajowego przewodniczącego oraz jego świtę, kroczących ku naszej kwaterze.

- Jutro pojedziecie na nasze tereny w Bomi - oznajmił Conneh, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Generał Deku będzie wam towarzyszył przez całą drogę do Tubmanburga. Powiedzcie BBC, że z Taylorem koniec!

Zapewniono mi całkowitą wolność filmowania wszystkiego podczas podróży do Tubmanburga położonego pośród wzgórz Bomi, otrzymałem też wystukaną na maszynie i podpisaną przepustkę, gwarantującą swobodę poruszania się oraz bezpieczeństwo na obszarze wpływów Conneha.

Nagłówek dokumentu zdobила Samotna Gwiazda z liberyjskiej flagi narodowej oraz, narysowane w komiksowym stylu, dwie dłonie w uścisku na tle konturu kraju. Całości logo dopełniały rozchodzące się promienie słoneczne, które dziwnie przypominały wybuch pocisku artyleryjskiego. Giejt ten był sygnowany przez samego Conneha i opieczętowany niebieskim stemplem LURD'S FORCES.

Mieliśmy wyruszyć następnego dnia. Klamka zapadła. Moja radość trwała krótko. Deku Musa Donso, trzydziestoletni generał brygady, były zastępca szefa sztabu ULIMO-K, z którym dzień wcześniej zrobiłem wywiad, zajrzał, żeby z nami pogadać. Wyglądał dziko z dredami i wąsami zlepionymi potem. Z trudem można było zrozumieć cokolwiek z tego, co mówił - końcówki słów pomijał zupełnie, dziwaczny akcent potęgowało jeszcze przesadne podekscytowanie, z jakim przemawiał.

- *Mah man, da plai 'fa'o', hmm!* - oznajmił. - Droga w tę i z powrotem zajmie dwa tygodnie. Ale jesteśmy zwarci i gotowi. Przygotowani, by przeć naprzód, bez wytchnienia.

Zdałem sobie sprawę, że czternastodniowa wyprawa do wzgórz Bomi i Tubmanburga zajmie niemal cały czas, który nam pozostał. Deku wyjaśnił, jakie trudności czekają nas po drodze i dlatego my również musimy być „zwarci i gotowi”. Długie odcinki trzeba będzie pokonywać na piechotę, a także przekroczyć szeroką rzekę, dlatego możemy zabrać ze sobą tylko najniezbędniejszy sprzęt, który w razie potrzeby będziemy w stanie sami przenieść. Rankiem mieliśmy pojechać przez Gwineę do liberyjskiego miasta Zorzor, a potem dalej do naszego punktu wypadowego w dżungli. Nick - Deku również wymawiał jego imię „Nack” - przyjął te wieści pogodnie.

- Wywal wszystko z plecaka - poradził. - Weź ze sobą tylko sprzęt filmowy, jeden komplet ubrań na dzień i drugi na noc, żebyś mógł spać w suchych ciuchach. Ja spakuję resztę.

Dudley postanowił zostawić w bazie wielką kamerę Beta - była ciężka jak diabli, a w dodatku źle się sprawowała w warunkach wilgotności sięgającej dziewięćdziesięciu procent. Postanowił ograniczyć się do mniejszej, profesjonalnej kamery cyfrowej, którą posłużył się już, żeby dyskretnie nagrać spotkanie z przedstawicielami gwinejskiej armii.

Gdy Nick wepchnął nasze polarowe kurtki, zapasy żywności i większość ubrań do worków, które mieliśmy zostawić, spytałem go:

- No dobra, a co mam zrobić z moimi stalowymi jajami?

- Zawieś je sobie na szyi - zasugerował - to ci nie zardzewieją, kiedy będziemy przechodzić przez rzekę.

*

Rankiem następnego dnia, tuż po świcie, wrzuciłem swoją jedyną torbę na skrzynię pikapa i wcisnąłem się do szoferki. Siedzieli tam już Nick i inni. Nic się nie dało poradzić - choćbym nie wiem jak się wykręcał, zawsze coś boleśnie wbijało mi się w kolana. Młodzi chłopcy wokół mnie uśmiechali się, próbowali zrobić dla mnie miejsce, ale po prostu w przedniej części ciężarówki znalazło się zbyt wielu ludzi. Zabrałem więc torbę, poszedłem do drugiego samochodu i tam się ulokowałem. To mnie nieco uspokoiło. Potem pojawił się Joe Wylie i zaczął marudzić, że zająłem jego siedzenie. Zupełnie jak na jakiejś wycieczce szkolnej. Conneh przybrał teraz rolę wychowawcy, powiedział Joemu, żeby przestał narzekać i wsiadł do drugiego wozu. Chyba właśnie zaczynałem go lubić.

Ruszyliśmy z powrotem ku Gwinei w podniosłych nastrojach. Fakt, iż udawaliśmy się do Tubmanburga, także z innej przyczyny uznałem za pomyślny: helikopter Taylora działał w

Foi, a więc w całkiem przeciwnym kierunku. Istniała więc nadzieja, że dzięki obraniu takiej, a nie innej marszruty, nie powstanie kwestia jego zestrzelenia. Zatrzymaliśmy się w Macencie, aby zatankować i uzupełnić inne zapasy, dotarliśmy tam w przewidzianym czasie. Broń została schowana, żeby nie rzucała się w oczy miejscowym. Ciężarówka Joego się spóźniała. Minęła chyba godzina, nim ujrzelśmy, jak wtacza się przez bramę.

Wybita przednia szyba, boki wozu przeorane odłamkami. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy, na beton polała się krew. Wsiadł ktoś, cały czerwony od krwi: ubranie, dłonie i twarz. Uchyliła się klapa z tyłu, pociekło jeszcze więcej krwi. Joe odszedł na bok chwiejnym krokiem. Usiadł, wciąż w szoku. Dudley filmował, stopniowo dowiedzieliśmy się, jak do tego doszło. Jeden z młodych partyzantów, który siedział za kierowcą, przypadkowo wyciągnął zawleczkę granatu ręcznego. Odwrócił się w stronę okna, żeby go wyrzucić, lecz ładunek wybuchł w jego dłoniach, rozszarpując go na kawałki. Tułów i nogi porzucono na poboczu szosy. Strzępy wnętrza przywarły do szarego skaju pokrywającego fotele. Kierowca wił się teraz u moich stóp, odłamki poszarpały jego prawą rękę oraz ramię. Nick pochylił się nad nim, założywszy rękawiczki chirurgiczne; zajął się starannym opatrywaniem jego ran. Nie do wiary, ale nie zginął nikt więcej. Joe jakimś cudem uszedł nietknięty, tylko jego nieskazitelny uniform pokrywały teraz ciemne plamy krwi.

Przyglądałem się, jak Nick dezynfekuje rany jodyną, potem przeszedł do drobniejszych skaleczeń. Skończył wreszcie, wyprostował się i zmył krew z rąk.

- *Fok*, ma facet szczęście. Raczej nic mu nie będzie. Dzieciak bawił się granatem. - Potrzęsnał głową i spojrzał na mnie, na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Ty też masz cholerne szczęście. Siedziałbyś tuż obok niego.

Joe postanowił wynieść się z powrotem do Konakry, a my nocą ruszyliśmy dalej - do miejscowości Zorzor. Wojna nie rozgrywała się „gdzieś tam”, jak usiłowałem dotąd sobie wmówić. Wojna była wszędzie, bez przerwy, cały czas. Wpatrywałem się w czarną rzekę asfaltu przed nami. Przeszłość Nicka nadal pozostawała dla mnie zagadką, ale przynajmniej przekonałem się, że Cobus nie wprowadził mnie w błąd co do jego umiejętności medycznych. Prawdopodobnie kierowca zawdzięczał mu życie.

Świt w Zorzorze rozbrzmiewał wyskrobywaniem ryżu z misek oraz pełnym podniecenia gwarem nowo przybyłych powstańców. Funkcję głównodowodzącego pełnił tu Prince Seo, szef sztabu LURD. Jako były bojownik ULIMO-J dla zapewnienia jedności między dawniej zwalczającymi się frakcjami, które utworzyły LURD, został mianowany na drugie w hierarchii dowodzenia stanowisko w armii powstańczej. Większość bojowników i dowódców wywodziła się z muzułmańskiego ULIMO-K, z plemienia Mandingo. Seo był

chrześcijaninem i należał do plemienia Krahn. Jego nominacja stanowiła ukłon w stronę Krahnów, których pomoc była rozpaczliwie potrzebna na froncie.

Seo rządził pośród łańcucha apokaliptycznego krajobrazu. Grupa dzieci grała na głównej ulicy w piłkę nożną fragmentem ludzkiej czaszki. Wszystkie budynki się rozsypywały. Niewielu pozostałych w mieście cywili myszkowało w ruinach, poszukując czegokolwiek do zjedzenia; żywili się głównie dziko rosnącymi roślinami. Nawet moje niewprawne oko potrafiło dostrzec u dzieci wyraźne oznaki niedożywienia.

Pod rozkazami Seo pozostawał także ogromny magazyn broni. Kiedy szef sztabu był zajęty przy radiostacji, Deku pokazał mi te zapasy i pozwolił Dudleyowi sfilmować, jak odbywa się dystrybucja sprzętu między ludźmi wyruszających na front. Jedna z szaf pełna była nowych kałasznikowów, wciąż jeszcze pokrytych fabrycznym smarem, w hermetycznych plastikowych torbach. Dziesiątki tysięcy nabojów piętrzyły się w zielonych plastikowych paczkach; wzdłuż ścian widziałem granatniki RPG, zapalniki i pociski, wszystko nowiuteńkie. Cały ten arsenał przybył z Gwinei.

Nick mógł sobie wybrać broń. Przeglądał kolejne egzemplarze, pociągał za uchwyty suwadła i sprawdzał inne ruchome części. Wreszcie zdecydował się na starszy model kałacha, radzieckiej produkcji - jak powiedział, solidniejszy i z lepszym spustem niż te nowsze, zrobione w Chinach. Dzięki składanej kolbie był lżejszy i mniej zawadzał w drodze. Nick schował do kieszeni zapasowy przyborek wyjęty z kolby innego karabinku. Z trzaskiem wetknął na miejsce brązowy magazynek, zgarnął cztery kolejne, po czym wrzucił do chlebaka zieloną plastikową torbę zawierającą jeszcze kilkaset nabojów. W sumie dawało to około trzystu pięćdziesięciu sztuk amunicji. Pochwycił moje spojrzenie.

- Postaram się o więcej w następnym mieście - wyjaśnił.

Deku uchylił wieka wielkiej, zielonej skrzyni, by pokazać nam szczególnie interesujący element partyzanckiego wyposażenia.

- Patrzcie - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - To na helikopter Taylora.

W skrzyni znajdowały się dwie naprowadzane rakiety ziemia-powietrze typu Striela 2, wraz z bateriami oraz instrukcją użytkowania. Sprzęt niebagatelnej klasy. Jeśli ktoś wie, jak się nimi posługiwać, to za ich pomocą może zestrzelić nawet duży samolot pasażerski. LURD zdobyło je podczas starć z siłami Taylora w 2000 roku, kiedy walczyło u boku wojsk gwinejskich - wyjaśnił nam Deku. Nawet Nick był pod wrażeniem. Choć nie wspominał ani słowem o kwestii zestrzelenia helikoptera, wiedział teraz, że gdybyśmy tu kiedyś powrócili, ma do dyspozycji odpowiednie narzędzia.

Nick przestawił bezpiecznik swojego kałasznikowa o dwa stopnie, a potem pociągnął

za rękojeść zamka ze szczękiem znanym mi z całej masy filmów wojennych. Bardzo powolnym ruchem złożył się i dwa razy pociągnął za spust. Rozległy się suche, ogłuszające strzały, pokryte miedzią pociski wbiły się w miękką ziemię trzy metry przed nim.

Uzupełnił zawartość magazynku o dwa naboje, w zamku znajdował się jeszcze jeden - tak że dysponował w ten sposób maksymalnym potencjałem trzydziestu jeden strzałów. Następnie pomaszerowaliśmy z powrotem do siedziby Seo, w której spędziliśmy minione dwie noce. Odetchnąłem na myśl, że Nick jest uzbrojony, choć gdy na niego spojrzeć - nieogolony, w zakurzonych czarnych szortach i T-shircie - przypominał raczej jakiegoś kolesia z klubu strzeleckiego na amerykańskim środkowym zachodzie niż żołnierza elitarniej jednostki sił specjalnych. Ale to był dopiero początek.

Kolejnego ranka Nick pojawił się w zupełnie nowym wcieleniu. Zrezygnował z szortów i koszulki. Zamiast tego ujrzałem go w pełnym bojowym rynsztunku: kamuflażowe bojówki armii brytyjskiej, koszula z krótkimi rękawami w jasnym kolorze khaki południowoafrykańskich sił zbrojnych oraz szelki zaopatrzone w kieszenie z wyposażenia Reconnaissance Regiment, wypchane magazynkami do kałasznikowa i butelkami z wodą, prócz tego w kieszeniach znajdowały się niewielka apteczka oraz GPS. Owinięty w plastikową torebkę notes wraz z długopisami, sterczący z kieszeni na piersi, pozostał chyba jedynym elementem przypominającym jego dotychczasową, schludną tożsamość. W luźno zwisającej ręce trzymał AK-47, niczym przedłużenie ramienia. Oniemiałem z podziwu: oto mały chłopak zobaczył, jak ożył jego Action Man.

Zapakowaliśmy się do pojazdów i wyruszyliśmy na południe. Gdy znaleźliśmy się w wiosce Zolowo, jakiś narwany powstaniec z LURD odpalił RPG w stronę lasu. Rozległo się ogłuszające bang... świst... BUM! Odgłos zaskoczył mnie i przestraszył. Próbowałem nie dać tego po sobie poznać, ukryć swoje zdenerwowanie, chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego strzelają do drzew.

- Dlatego, że siły rządowe ponoć boją się huku - poinformował mnie Nick. - A przecież nikt nie wie, gdzie mogą się kryć.

Nieźle, cholera jasna. Naprawdę się wystraszyłem. A jeszcze bardziej zaniepokoiła mnie wiadomość, że wrogowie mogą znajdować się gdzieś w pobliżu, gdziekolwiek, wszędzie.

Tymczasem Dudley i Mandla wcale się nie przejęli, pogrążeni w nieustannej paplaninie, odizolowani od świata zewnętrznego, który przecież z godziny na godzinę stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Szczególnie Dudley był zachwycony, ponieważ chętni sami pchali mu się przed obiektyw. Kiedy Nick dokąś sobie poszedł, zabraliśmy się do

filmowania obdartych cywili: kobiet zajmujących się apatycznymi dzieciakami; mężczyzn opowiadających o tym, co kiedyś w życiu robili, o aspiracjach, które przepadły wraz z wybuchem wojny. Ci ludzie lękali się głodu ściskającego ich żołądki nie mniej niż wybuchu pocisku z granatnika. A ich sytuacja nie była w tym kraju niczym wyjątkowym.

Brakowało bieżącej wody, prądu, opieki zdrowotnej, nie istniał rozdział władz i nikt nie odpowiadał za nic przed nikim. Nie byłem w stanie wypatrzeć ani jednego domu, który nie nosiłby wojennych ran, i nie spotkałem nikogo, kto nie miałby jakichś ran w duszy. Cywile opowiadali szczegółowo i dosadnie o okrucieństwach, grabieżach ze strony sił rządowych; jednocześnie powstańcy rekwirowali żywność, odbierając ją ludziom, którzy od trzech lat nie mogli zasiać ryżu. Inni przebąkiwali jeszcze o tym, że zmuszano ich do przenoszenia amunicji przez setki kilometrów, wbrew ich woli. „To jak niewolnictwo” - przyznał jeden z powstańczych dowódców.

Osada Zolowo uczepliła się skraju liberyjskiej dżungli niczym dziecko, które szarpie matkę za spódnicę, aby zwrócić na siebie uwagę. Mielśmy wkroczyć na teren równikowej dżungli, jej pas rozciągał się kiedyś nieprzerwanie od rowu tektonicznego po wybrzeża Atlantyku. Gęste opary mgły wznosiły się z poszycia w półmroku chłodnego przedświt. Cywile, z którymi rozmawiałem i których uznałem za uciekinierów, okazali się naszymi tragarzami, a byli to ci sami „niewolnicy”, których zmuszano do noszenia amunicji dla LURD. Ustawili się w kolejce po małe, stugramowe woreczki soli - towaru cennego i rzadkiego w czasie wojny. Tak wyglądała zapłata za czekającą ich długą wędrówkę. Odziani w poszarpane koszule i podarte spodnie plus nieodłączne plastikowe klapki załadowali na głowy i plecy: naboje do kałasznikowa, moździerz, ryż, kozę oraz mały generator wraz z tysiącem innych niezbędnych drobiazgów. Nieśli także moje torby. Zgodziłem się na to, przy czym uprzedzono mnie, że nie wolno im płacić inaczej, jedynie papierosami. Uczyłem się roli widza, uczyłem się kompromisów między tym, co, jak wiedziałem, było słuszne, a tym, co trzeba było uczynić.

Przodem ruszyła grupa powstańców, za nimi tragarze, a potem my, za nami zaś podążyła grupka kobiet niosących dzieci na rękach oraz zawiniątka pełne garnków; pochód zamykała ariergarda także złożona z bojowników. Nick szedł obok mnie, nasze stopy chrzęściły w poszyciu, ale nie szliśmy noga w nogę, więc jego stąpanięcia rozlegały się niczym echo moich. Broń przewiesił przez pierś, a gdy zerknąłem w jego stronę, uśmiechnął się i stwierdził:

- Piękny poranek, panie Brabazon. W sam raz na przechadzkę.

Tragarze przed nami bezgłośnie zniknęli między drzewami. Wszystko to przywodziło

na myśl wyprawę z czasów Greene'a lub Stanleya, jakby nie dzieliło nas od tamtej epoki z górą sto lat. Tylko połyskująca tu i ówdzie broń przypominała, że oto stoimy na progu jak najbardziej nowoczesnej wojny.

Dżungla przyjęła mnie na swe łono. Miękkie, mokre liście gładziły moje ciało, gdy wkraczałem do egzotycznej krainy głębokich cieni oraz odgłosów wydawanych przez zwierzęta; wokół królowała nieprzenikniona zieleń, tętniąca życiem tuż za zasięgiem ręki czy wzroku. Ziemia pachniała zgnilizną i wilgocią, rozkładem tym intensywniejszym, im niżej nad naszymi głowami sklepiały się gałęzie drzew. Wkrótce zapomniałem, że wioska Zolowo została zaatakowana nie dalej jak dwa dni wcześniej, przestałem wypatrywać wrogich żołnierzy. Po prostu stawiałem krok za krokiem.

Po upływie godziny zaczęło mi się robić słabo, spływałem potem. Nasza dieta zawierała bardzo niewiele cukru i soli. Doznawałem skurczów mięśni. Kolana bolały mnie od nieustannego przekraczania korzeni drzew, z których wiele sięgało mi aż do pasa. Wiły się niczym gigantyczne węże, sękate, pogmatwane arterie zasilające wszechobecne pnie wokół nas. Po zaledwie dwóch godzinach głód nie dawał mi spokoju, a znużenie sprawiło, że czułem się bliski omdlenia. Nie byłem w stanie utrzymać jakiegokolwiek rytmu marszu. Brodziłem w strumieniach, a potem buty przemoczone do cna ciążyły mi nieznośnie; wspinałem się po brzegach parowów śliskich niczym lód. Powstańcy nieustannie starali się podnosić mnie na duchu. „Nie ma pośpiechu” - przypominali, kiedy zdarzyło mi się potknąć. Albo „Sorry” (wymawiane „sarry”), jeśli przewróciłem się lub zakląłem. Odnosiłem wrażenie, że czują się zażenowani koniecznością przebycia aż tak długiej drogi. Bądź co bądź gości nie traktuje się w podobny sposób.

A potem lunął deszcz, więc zatrzymaliśmy się pod strugami wody bijącej przez gęste listowie. Siadłem ciężko na opuchniętym korzeniu drzewa, dopiero teraz zacząłem się rozglądać, penetrując wzrokiem cienie poszycia. Przypomniałem sobie, że wojna jest blisko, przysunąłem się do Nicka. Podałem mu manierkę, a on napełnił ją, podstawivszy szyjkę pod jedną ze strug spadających z gałęzi. Po chwili oddał mi pełne naczynie. Upiłem solidny łyk. Minęło półtorej godziny, niemal niepostrzeżenie deszcz przestał padać. Ruszyliśmy znów, jakbyśmy maszerowali pod gorącym prysznicem. Ścieżka przerodziła się w bystry strumień; na stopach miałem już pęcherze.

Człapaliśmy z pluskiem obok siebie. Nick odchrząknął.

- Nie masz dzieci, co?

- Nie, chłopie. Mam dziewczynę, nazywa się Rachel. Osiem lat młodsza ode mnie.

Ciekaw byłem, kiedy znów ją zobaczę. Muszę koniecznie do niej zadzwonić -

nakazałem sobie. Miała akurat wakacje, a tak w ogóle studiowała filologię angielską.

- Szczęściarz ze mnie - stwierdziłem, pamiętając, jaka jest ładna.

- Pobierzecie się? - zaśmiał się Nick.

Stwierdziłem, że kto wie, może nadejdzie taki dzień. Czemu nie?

- Chociaż, szczerze mówiąc, w tej chwili kiepski ze mnie kandydat. Tylko na mnie popatrz, obraz nędzy i rozpaczy!

Pokrywało mnie błoto, aż spuchłem od ukąszeń moskitów, a uda swędziały mnie również dlatego, że ściekał po nich pot. Przełaząc przez kolejny powalony pień, spytałem Nicka o jego rodzinę. Z miejsca się rozgadał.

- Mam troje dzieciaków. Dwaj chłopcy, Nico i Jacques, są z pierwszego małżeństwa. Nico jest najstarszy, właśnie wybiera się do wyższej szkoły technicznej. Marzaan jest najmłodsza - to ona mówi na mnie Tiger. Ma dziewięć lat. Kiedy powtórnie się ożeniłem, nagle dostała mi się od losu cała nowa rodzina - zupełnie nowe życie. Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś wezmę ślub, a tu proszę, powiedziałem „tak” i z miejsca stałem się ojczymem dwóch córek, to znaczy córek mojej żony. Są trochę starsze od mojej.

Nick wyraźnie miał ochotę pogadać. Ja również. Martwił się o swojego najstarszego, imieniem Nico. Przede wszystkim dlatego, że chłopak chciał wstąpić do wojska, a co więcej odgrażał się, że rzuci college i weźmie byle jaką robotę, zadowolając się marnym zarobkiem, byle tylko móc robić, co mu się podoba. Tymczasem Nick pragnął dla niego stabilizacji, perspektyw. Nowa armia jego zdaniem stanowiła kiepski pomysł, wojny skończyły się już dawno temu.

- Teraz białym w Afryce Południowej nie jest łatwo. Muszą zmagać się z problemami, jakie stwarza im tak zwany Black Economic Empowerment. [Black Economic Empowerment - „wzmacnianie uprawnień ekonomicznych czarnej ludności” - program mający wyrównać szanse czarnoskórych, niwelując skutki apartheidu.] Nikt nie chce im dawać roboty, więc uciekają za granicę. Wymieramy i tyle. To koniec, Afryka jest dla nas stracona. Kiedy ja wstępowałem do wojska, wszystko wyglądało zupełnie inaczej, normalnie. Muszę przyznać, że mój starszek nie był zachwycony - stwierdził. - Chciał, żebym pracował w naszej winnicy, ale ja szukałem przygód, jak to młodzi. Oczywiście, wydawało mi się, że zjadłem wszystkie rozumy.

- Wybaczył ci w końcu?

- *Ja*, myślę, że w sekrecie był nawet ze mnie dumny. Sąsiednia farma należała do pewnego generała i to chyba on opowiedział ojcu o Recces, co tak naprawdę robimy. Wtedy to była tajna jednostka. Jej bazy szczelnie zamknięto przed cywilami. Nawet żołnierze innych

jednostek nie mieli tam prawa wstępu. Raz, kiedy wpadłem do domu na przepustce, ojciec kupił mi pół butelki rumu Red Heart, bo wiedział, że to nasz „firmowy” trunek w Recces. A dla niego wydać pieniądze na alkohol to nie było co, pod tym względem był bardzo zasadniczy. Tak więc, *ja*, wszystko dobrze się skończyło. Natomiast teraz w armii po prostu nie ma przyszłości dla białych. Na awans czeka się latami. Stanowiska oficerskie przypadają w udziale tylko nowym, czarnym, a biali najczęściej zostają w tyle.

Nico nie chciał wyjechać za granicę. Czuł się zagubiony, zresztą Nick także - próbując wymyślić, jak okazać się dobrym ojcem w świecie zupełnie odmiennym od tego, w którym dorastał. Kiedy wstąpił do sił zbrojnych Republiki Południowej Afryki w 1975 roku, kraj wkrótce miał wdać się w liczne konflikty zbrojne. Rozległymi połaciami kontynentu, w tym ojczyzną Nicka, rządzą wyzyskiwacze wywodzący się z białej mniejszości. Afryka Południowo-Zachodnia, Angola, Mozambik, Rodezja, Sahara Zachodnia, Dżibuti... Wszystkie te państwa odmawiały czarnym Afrykanom praw politycznych i po prostu ludzkich. Po kilku miesiącach od włożenia munduru Nick znalazł się w jednym z pierwszych oddziałów dokonujących południowoafrykańskiej inwazji na Angolę, a potem uczestniczył we wszystkich poczynaniach swojego kraju, przeprowadzającego liczne i stanowcze ingerencje w życie polityczne kontynentu. Gdy dwadzieścia jeden lat później wystąpił z wojska, miał trzydzieści osiem lat. W tym czasie w Afryce dominacja białej rasy, którą jako dziecko nauczył się uważać za przysługujące mu prawo, znikła bez śladu. Razem z nią przepadły też małżeństwo i jakakolwiek pewna przyszłość.

Żonę i synów porzucił, kiedy kariera w siłach specjalnych zmusiła go do poświęcenia całego czasu służbie. Wysłano go do Rodezji, potem walczył w Angoli, Mozambiku i Afryce Południowo-Zachodniej. Przyszło mi na myśl, że ciekawe byłoby zapytać jego pierwszą żonę, co o tym myśli: Nick, wiecznie nieobecny ojciec? Nick - skryty, tajemniczy. Mąż, który nigdy nie opowiada, gdzie był i co robił, i nigdy nie wie, ile czasu spędzi w domu?

Nick niewiele miał do powiedzenia na jej temat, natomiast nie mógł się nachwalić oddania i siły charakteru swojej nowej żony. A ożenił się powtórnie, gdy jeszcze pozostawał w szeregach Recces. Od tamtej pory minęło jedenaście lat. Wciąż mówił jak człowiek, który nie dowierza własnemu szczęściu.

- Wiesz, to prawdziwa kobieta, obdarzona naprawdę silną wolą. Człowieku, jej żadnego *kak* nie wciśniesz. Trochę tak, jakbyś miał w domu sierżanta, ale bardzo, bardzo pięknego.

Głos mu się zmieniał, kiedy opowiadał o córeczce, o jej dobroci i miłości. Ten czuły monolog - by nie rzec: wyznanie - rozlegał się za moimi plecami, a potem nikał pośród

drzew, aż wreszcie obaj umilkliśmy.

*

Rzekę Via usłyszałem, jeszcze zanim ją zobaczyłem - głęboki, basowy pomruk; chwilami przypominało to szum wiatru pośród drzew. Płynęła oszalamiająco szerokim korytem - tym bardziej oszalamiającym, że trzeba było ją przebyć, wspinając się czy brodząc po tymczasowym moście z pni drzew. Nurt był zbyt prędko, żeby posłużyć się łodzią, porywał nieodwołalnie wszystko, co weń wpadło. Nagle pojąłem, jak niesłychanie ciężkie zadanie przypadło w udziale partyzantom. Każdy żołnierz z północnych baz, każdy nabój wystrzelony na froncie, każdy garnek... Wszystko musiało wpierw przekroczyć tę rzekę.

Zdjąłem buty i skarpetki, ufnie podwinąłem nogawki spodni. Moje bose stopy w jednej chwili straciły oparcie na śliskich jak szkło gałęziach; ostre kamienie zalegające dno rzeki przecięły skórę. Chwilę potem znalazłem się już po pas we wściekle rwącej wodzie. Kto mógł, chwycił towarzyszy za ręce, ale już po kilku minutach zapanował chaos. Jeden z ludzi stracił równowagę w połowie drogi, w samym środku nurtu; do wody wpadły dwie skrzynki granatów moździerzowych, powstańcom zostało tylko pięć pocisków. Zaraz potem zsunęła się paleta pełna amunicji, bo zachwiał się ktoś jeszcze, rozległy się przekleństwa, a później któryś z tragarzy zapadł się aż po szyję. Przepadła jedna z naszych toreb zawierająca środki opatrunkowe oraz medyczne. Nagle wobec potęgi rzeki oraz dżungli poczułem się bezsilny. Spuściłem wzrok, patrząc na wodę i wyciągnąłem rękę w stronę Nicka.

- Mógłbyś mi pomóc? - poprosiłem. - Sam nie dam rady.

Nick natychmiast wyciągnął ramię w moim kierunku. Wpatrzyłem się w przeciwległy brzeg i ruszyłem przed siebie, kurczowo zaciskając dłoń. Dobrnąłem jakoś do tamtego brzegu i wspiąłem się nań, obserwowany czujnym okiem kamery dżerzonej nieustraszenie przez przemoczonego Dudleya.

Przekroczywszy rzekę, natknęliśmy się na grupę powstańców LURD powracających z frontu. Lawrence Geedra, porucznik, któremu odłamki poszarpały obie nogi, uniósł się na noszach. Wziął ode mnie papierosa. Jego oddział, liczący trzydziestu siedmiu ludzi, dostał się w zasadzkę przy moście Lofa, całkiem niedaleko miejsca, do którego zmierzaliśmy. Siedmiu zabitych, czterech rannych. W ciągu minionych tygodni zdarzyło się to już dwa razy, oddział stracił sześciu rannych. Wojna przybierała na gwałtowności. Smuga szaroniebieskiego dymu unosiła się z ust Geedry. Tragarze dźwigający nasze unieśli je, a potem ruszyli na spotkanie wód rzeki, aby przebyć tę samą drogę, którą my właśnie mieliśmy za sobą.

Gdy wędrowaliśmy dalej, przecinając sobie ścieżkę w buszu ku wiosce Kpawolozo, opanowała mnie przemożna chęć, by zawrócić i ruszyć w ślad za rannymi. Przecież szedłem

w niewłaściwą stronę. Należało podążyć szlakiem tych, którzy oddalają się od koszmaru, a nie przeciw bezrozumnie na jego spotkanie.

Starałem się zająć umysł weselszymi rozmyślaniami - wspominałem noce spędzone z Rachel oraz wyborne posiłki w czystych, chłodnych restauracjach. Wreszcie ogarnęły mnie wspomnienia z dzieciństwa. Łagodny irlandzki zaśpiew Martina, mojego dziadka od strony ojca, niósł pociechę szeptami i urywkami zapamiętanych zdań. Dziadek był dla mnie wzorem, inspiracją. Zmarł dwa lata przed moją wyprawą. Sześćdziesiąt lat wcześniej, zanim ja postawiłem stopę w buszu, on przedzierał się przez birmańską dżunglę, cofając się przed zwycięskim marszem cesarskiej armii japońskiej przez południowo-wschodnią Azję. Jako że nie miałem na podorędziu własnych historii wojennych, zamiast tego opowiedziałem Nickowi, jak mój dziadek przeprowadził swych ludzi przez wielką rzekę Irawadi, ponosząc przy tym ogromne straty. Towarzysze broni umierali w marszu, stąpali po ciałach przyjaciół. Dręczyło ich pragnienie, więc pili stęchlą wodę z kałuż i rdzawy płyn z chłodnic porzuconych samochodów, choć wiedzieli, że to trucizna. Dyscyplina wojskowa uległa kompletnemu rozprzężeniu. Głównodowodzący oficer został rozstrzelany przez swoich podwładnych. Choroby, wycieńczenie organizmu oraz rany okaleczyły wielu z nich do końca życia. Nick mruknął grzecznie, aby dać mi do zrozumienia, że słucha.

- Chodzi mi o to, że chyba zawsze może być gorzej. - Poślizgnąłem się na śluzowatych wypustkach na wpół zagrzebanego korzenia drzewa. - Chociaż trzeba przyznać, że dziadek przeżył wiele tygodni, zdany wyłącznie na siebie, a po piętach deptała mu cała japońska armia.

- Tamto pokolenie to byli twardzi goście. I wojna też wyglądała inaczej. Ciekaw jestem, co by powiedzieli na widok naszych przyjaciół. - Jeden z partyzantów raźnie stuknął kłapkami obok nas, z głową pokrytą dreadami sterczącymi na wszystkie strony, z radiem w ręku - głośnik rozbrzmiewał muzyką reggae słabnącą wraz z bateriami. - Chociaż trzeba przyznać, że maszerować potrafią - stwierdził Nick.

Mój dziadek dzielił się swoimi bolesnymi doświadczeniami z chłopczykiem siedzącym u jego stóp, wsłuchanym w słowa tej opowieści. Mogłem go słuchać godzinami - tak jak i ojca mojej matki, Dona - gdy nie przechwalał się, mówili o przebytych wojnach i heroicznym, choć przez nikogo nieopiewanych przygodach w Azji oraz podczas walk z Niemcami na afrykańskich pustyniach.

Jak zdradziłem Nickowi, słowo „najemnik” usłyszałem po raz pierwszy od Martina, zawodowego żołnierza wywodzącego się z jednej z najbardziej szanowanych irlandzkich rodzin. Pragnął walczyć jako najemny żołnierz trzykrotnie w życiu: w roku 1936 w Hiszpanii,

na początku lat sześćdziesiątych w Kongu i raz jeszcze, w roku 1968, choć miał już wówczas pięćdziesiąt cztery lata - w Biafrze. Za pierwszym razem chęć tę przemogły uroki Wschodu oraz autorytet brytyjskiej armii; potem miał na utrzymaniu rodzinę, aż wreszcie okazało się, że jest za stary i zbyt schorowany.

Tradycja najemnych wojowników sięgała daleko w historię mojej rodziny. Otóż, ku niejakiemu rozbawieniu Nicka, zdałem sobie sprawę, że aspiracje dziadka wcale nie były pozbawione precedensów, ponieważ służba wojskowa na rzecz obcych armii weszła tej familii w krew. „Brabazon” to angielska wersja frankijskiego imienia klanowego, które znaczy po prostu „najemnik”. Tak więc moje nazwisko w czasach średniowiecza stanowiło w całej Europie synonim żołnierza fortuny. Setki współplemieńców mojego prapraprzodka, Jacques’a Najemnika, wraz z nim pokonało w Hastings króla Harolda pod porożami normandzkiego władcy, Wilhelma Zdobywcy.

Tysiąc lat później, kiedy mój dziadek w latach wielkiego kryzysu wylądował w liverpoolskim porcie, ród miał za sobą niezliczone wzloty i upadki. Na cały majątek Martina składały się wówczas ubranie, które miał na sobie, oraz stare skrzypce. Na drzwiach noclegowni przedstawiciele narodu podbitego w przeszłości przez ludzi z jego klanu wywieszali tabliczki z napisami: „Zakaz wstępu psom, czarnym i Irlandczykom”.

Poszukiwanie szczęścia na obczyźnie stało się rodzinną specjalnością. Inny z przodków - Arthur Dillon - dowodził we Francji pułkiem irlandzkich jakobitów. Pod koniec wojny irlandzkiej, w 1691 roku czternaście tysięcy katolickich żołnierzy uciekło *en masse* z Zielonej Wyspy do Francji. Irlandzki regiment noszący imię Dillona - który służył w Hiszpanii, Włoszech i Niemczech, a także walczył po stronie Amerykanów podczas oblężenia Savannah w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych - przyczynił się do utrwalenia w potocznej świadomości romantycznego wizerunku najemnego żołnierza. Ową ucieczkę z Irlandii określono mianem „odlotu dzikich gęsi”. Gdy irlandzki najemnik Mike Hoare, zwany Szalonym, którego mój dziadek podziwiał jako „rogatą duszę”, przeprowadził w 1964 roku w Kongu śmiałą operację wojskową, jego oddział również przybrał nazwę „Dzikie Gęsi”.

Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy byłem jeszcze chłopcem, obejrzałem w telewizji film akcji pod tym samym tytułem. Sądziłem, że to ekscytujący hołd złożony krwawej historii mojej rodziny; wzrastałem w przekonaniu, że najemnik to współczesny bohater moralnych krucjat. Mojej uwadze umknął jednak pewien fakt o zasadniczym znaczeniu: najemnicy nie byli ochotnikami. Dziecinne marzenia o przygodach rozwiały się, kiedy ujrzałem Richarda Harrisa uciekającego po pasie startowym przed krwiożerczymi

przedstawicielami afrykańskiej milicji.

Oczywiście wystarczy zapoznać się z historią najemników w Kongu, by przekonać się, iż „niesienie wolności narodom” stanowiło najczęściej zwykły pretekst do operacji o charakterze czysto wojskowym, podczas których mordy oraz grabieże zdarzały się znacznie częściej niż działania mające na celu dobro ludzi, ale przynajmniej jednostka Hoare’a „Dzikie Gęsi” w ramach operacji „Dragon Rouge” uratowała setki cywili przed straszną śmiercią z rąk bezlitosnych „Simbów”. A poza tym Martin, pragnąc przyłączyć się do walk w Hiszpanii czy Afryce, zamierzał oddać swe siły na rzecz spraw, w które szczerze wierzył, nie chodziło mu o wzbogacenie się w roli płatnego zabójcy. Narastanie faszyzmu w Hiszpanii, a potem zbiorowe mordowanie ludności cywilnej przez Nigeryjską Armię Federalną w Biafrze pozostawały w sprzeczności z tym, co uznawał za słuszne i prawe. Jako żołnierz o ogromnym doświadczeniu uważał, że może się tam naprawdę przydać, dlatego aż po stare lata ubolewał, iż zdrowie nie pozwoliło mu na wyprawę do Afryki.

A teraz ja przedzierałem się przez dżunglę w towarzystwie najprawdziwszego najemnika, chociaż nie byłem wcale pewien, jakiego zdania byłby Martin o osobniku mającym zapewnić mi opiekę. Zawsze bowiem z zacięłą nienawiścią wypowiadał się o apartheidzie oraz mentalności, z której to zjawisko wynikało. Nie miałem jeszcze okazji spytać Nicka o jego przeszłość jako żołnierza fortuny, lecz owa przeszłość, czy też moje jej postrzeganie, tworzyło między nami dystans. Jedyna styczność, jaką w dorosłym życiu miałem z najemnikami, sprowadzała się do poznania Cobusa w Sierra Leone. Nie wiedziałem zbyt wiele o zwycięstwie żołnierzy Executive Outcomes nad buntownikami z Revolutionary United Front, lecz zdałem sobie sprawę, jak bardzo ludność cywilna skorzystała na wprowadzeniu do akcji najemników. Cobus zresztą nie próbował przemilczać kwestii mrocznej strony tej wojny. Z nielicznych pojmanych żywcem bojowników RUF wielu torturowano, aby wydobyć z nich informacje. Ten fakt jakoś nie burzył spokoju sumienia mieszkańców Freetown. Na tylnych zderzakach taksówek w stolicy widywało się napisy: „W Bogu pokładamy ufność, lecz EO jest naszym Zbawicielem”.

Kiedy w 2001 roku przybyłem do Sierra Leone, nad bezpieczeństwem ludności cywilnej kraju objęły pieczę najliczniejsze w świecie siły pokojowe ONZ: 18 tysięcy żołnierzy. Koszt tej operacji wynosił około miliarda dolarów rocznie. A przecież z militarnego punktu widzenia wojska te osiągnęły nie więcej, a często znacznie mniej, niż sześć lat temu jednostki EO. Najemnicy nie wahali się przed tym, czego żołnierze ONZ robić nie chcieli - opowiadali się jednoznacznie po określonej stronie, ponosili straty oraz stosowali przemoc wojskową o charakterze zapobiegawczym. Prawdę mówiąc, osławione błękitne

helmy zdołały zająć pozycję dopiero wtedy, gdy wojska brytyjskie po agresywnych działaniach zdobyły Freetown, pod wieloma względami postępując identycznie jak swego czasu siły EO.

Czułem coś na kształt dumy, gdy opowiadałem Nickowi o moich przodkach, i pochlebiało mi, że chyba się interesował, co mam do powiedzenia na temat tego konfliktu. Moje uczucie wynikało także z faktu, że wreszcie podążyłem śladami dziadków, których tak bardzo podziwiałem. Kroczyłem więc na spotkanie przygody z rosnącym przekonaniem, iż wybrałem słuszną drogę; granica dzieląca opowieści z mojego dzieciństwa od rzeczywistości wojny domowej, w której wirze się znalazłem, zaczęła się zacierać. Otaczający mnie partyzanci odgrywali role towarzyszy broni moich dziadków, wszak prowadzili wojnę wyzwoleńczą przeciwko niesprawiedliwemu, podłemu reżimowi. Posłużyłem się więc dziecięcymi mrzonkami tak samo jak w czasie dorastania: uciekłem w nie. Wówczas była to ucieczka przed traumatycznymi przeżyciami wynikłymi z rozpadu małżeństwa moich rodziców; teraz - przed lękiem wobec przemocy czającej się opodal, tuż za horyzontem.

*

Tamtej nocy wraz z innymi spałem na dworze - praktycznie na czczo, chociaż niby posililiśmy się nędznymi porcyjkami ryżu wydzielonymi nam przez Deku. Ta wędrówka wyczerpała mnie bardziej niż jakikolwiek sportowy wyczyn w moim życiu. Zapadłem w niespokojny świat wizji zmieniających się niczym w kalejdoskopie, towarzyszyło im poczucie wzniosłej moralnej misji - oto wielki poszukiwacz przygód rodem z Europy nadchodzi, aby ocalić pogrążony w chaosie afrykański naród przed samym sobą.

Raczej straciłem przytomność, niż usnąłem; nagle zdałem sobie sprawę, że jestem całkowicie przebudzony, w środku nocy, a przed moimi oczyma w świetle ogniska rozgrywa się przedziwna scena. Młodzi partyzanci - widziałem tylko ich sylwetki - jeden po drugim gwałcili pewnego tragarza, którego widziałem w blasku płomieni. Nie towarzyszyły temu praktycznie żadne dźwięki, tylko niski pomruk oraz trzaskanie drew w ognisku. Potem znowu zapadłem w niespokojny sen.

Następnego ranka ruszyliśmy dalej w drogę. Mijaliśmy świeżo spalone wioski i osady, niektóre po prostu zrównane z ziemią. Jeśli ocalały jakieś ściany, to pokrywały je napisy, głównie imiona żołnierzy jednej lub drugiej strony konfliktu, którzy ostatnio je zajmowali. Najpierw przebrnęliśmy przez pozostałości kwatery głównej batalionu „Dziki Pies”, a potem przez ruiny budynków zajmowanych ongiś przez żołnierzy „Ostatniego Batalionu”, który podobno wyrżnięto w pień na krótko przed naszym przybyciem. Nieliczni cywile witali nas serdecznie; tłukli dla nas gorzkie orzeszki kola, tradycyjny poczęstunek powitalny.

Przetrząsnąłem okoliczne zarośla w poszukiwaniu doczesnych szczątków przedstawicieli sił rządowych, ale na próżno, jeśli nie liczyć podartych ubrań. Dżungla załatwia takie sprawy z oszałamiającą szybkością i konsekwencją. Wedle wierzeń miejscowych dusze zmarłych błądziły jeszcze pośród drzew. Z pewnością było to nie tyle Królestwo Niebieskie, ile Ziemia Potępionych.

Dzień mijał, wędrowaliśmy nadal. Drzewa stawały się coraz rzadsze, przez ich korony nad naszymi głowami prześwitywało niebo. Wkrótce maszerowaliśmy już pod palącymi promieniami słońca. Kolana zaczęły się podę mną uginać, Dudley kulał; Mandla, choć podczas marszu wcale się nie uskarżał, stracił większość skóry na stopach - kiedy pękły pęcherze, zeszła razem z butami. Nick parł naprzód w milczeniu. Nasza wędrówka zaprowadziła nas ponad sto sześćdziesiąt kilometrów w stronę wybrzeża. Gdy dotarliśmy do wioski Fassama, ujrzeliśmy zniszczone maszyny do wyrębu lasu. Niczym szkielety dinozaurów, te rdzewiejące pozostałości wielkich półgąsienicowych pojazdów Caterpillara tkwiły na poboczu obok gnijących stosów bali - jeszcze jeden dowód na postępujący upadek gospodarczy Liberii.

Powiedziano nam, żebyśmy odpoczęli i zaczekali na diesla (który miał nadjechać z Bopolu, miasta położonego dalej na południe): pojedziemy nim oraz dwoma z bardzo nielicznych pojazdów LURD do Tubmanburga i na front. Tragarze, wyczerpani i na wpół żywi z głodu, znikli pośród zabudowań wioski.

Przez dwa dni graliśmy w karty, paliliśmy papierosy. Nick zajmował się naszymi obrażeniami. Zdezynfekował otwarte rany Mandli jodyną. Chłopczyk, który kręcił się opodal naszej lepianki z wysuszonego błota, odganiał muchy wielkim palmowym liściem w zamian za żywność i czystą wodę.

Wreszcie stało się jasne, że żadnego „diesla” nie ma i nigdy nie będzie.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin Deku oznajmił, że „może wkrótce wyruszamy”. Zapowiedź ta wpłynęła przygnębiająco nawet na pozostałych partyzantów. Z braku czegokolwiek do roboty Dudley ogolił głowę na łyso. Przechadzałem się tam i z powrotem w narastającym poczuciu beznadziei. Wciąż nie mieliśmy filmu.

Problem polegał nie tylko na kiepskiej formie Dudleya oraz Mandli. Rzecz w tym, że ich kontrakty opiewały jeszcze zaledwie na tydzień, a tyle właśnie czasu potrzebowali, żeby dotrzeć z powrotem do Konakry, a i to o ile szczęście im dopisze. Przeprowadziliśmy niezliczone rozmowy za pośrednictwem telefonu satelitarne z domem produkcyjnym w Kenii oraz RPA. Przyjęliśmy wariant roboczy, że w razie naglącej potrzeby ich umowy będzie można przedłużyć. Najwyraźniej jednak teraz już obowiązywała inna wersja. Dudley

musiał koniecznie wrócić do pracy w South African Broadcasting Corporation, w Liberii mógł pozostać, tylko jeśli złoży wymówienie. Na próżno błagałem o jeszcze jeden tydzień.

- To po prostu niemożliwe, James - odparł nasz człowiek w SABC. - Dudley straciłby robotę.

- Ale ja myślałem...

Nie dokończyłem. Co właściwie sobie myślałem? Że „jakoś się dogadamy”, jak zrazu mi to obiecywano? Cały projekt wymykał się spod mojej kontroli. Przeklinałem własną głupotę, przecież to było do przewidzenia od samego początku.

Dudley popadł w przygnębienie. Nie mniej ode mnie pragnął doprowadzić wyprawę do szczęśliwego zakończenia. Z drugiej strony, zarówno on, jak i Mandela byli zbyt poranieni, żeby iść dalej, a przy tym zdawało mi się, że choć konieczność powrotu przyprawia ich o frustrację, to w głębi duszy odetchnęli z ulgą. Nie mogłem mieć im tego za złe, lecz mimo wszystko czułem się zdradzony, denerwowałem się też na myśl o rozmowie, jaka mnie czeka z partyzantami.

Wreszcie, dostrzegłszy zapewne mój niepokój, Nick ofiarował się, że omówi tę sprawę z Deku. Podkreślił, że on sam nadal jest zdecydowany, by dotrzeć do Tubmanburga, co obiecał nam Conneh. Deku zgodził się zapewnić obstawę naszym powracającym kolegom. Oddział bojowników miał odprowadzić Dudleya i Mandłę aż do miejscowości Zolowo. Ja nie mogłem się wycofać, dopóki nie znajdę jakiegoś sposobu, by ocalić całe przedsięwzięcie. Nick, oczywiście, zostanie ze mną.

Dudley i Mandela spakowali rzeczy, przygotowując się do długiej drogi powrotnej. Dudley przekazał mi profesjonalną kamerę wideo Canona, dwadzieścia taśm, trzy baterie i ładowarkę. Ten sprzęt, oprócz telefonu satelitarnego z ładowarką, maleńkiej amatorskiej kamerki, kieszonkowego aparatu fotograficznego oraz małego odtwarzacza z wbudowanym ekranem, składał się na cały mój ekwipunek. Przyglądałem się kamerze niczym analfabeta stronicom powieści. Nie miałem pojęcia, jak się z tym wszystkim obchodzić, ale nie było czasu na korepetycje. Uściskaliśmy się, Nick pożegnał ich w afrikaans. Dopiero w ostatniej chwili Dudley o czymś sobie przypomniał. Wyciągnął z torby książeczkę.

- Tutaj masz instrukcję obsługi kamery - oznajmił, podając mi wyświechtaną broszurę.
- Powodzenia.

4. Pajęcza Chata

- Kim pan jest? Z jakimi partyzantami? Skąd pan dzwoni?

Telefon odebrał sceptyczny redaktor z BBC. Po godzinie oddzwonił prezenter z BBC World Service, aby przeprowadzić ze mną wywiad przeznaczony do późniejszej emisji. Zanim zaczęliśmy, pragnął wyjaśnić kilka istotnych spraw.

- Może pan mówić swobodnie? Chodzi mi o to, czy ktoś trzyma pana na muszce? - sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. - Czy partyzanci zmusili pana do przeprowadzenia tej rozmowy?

W telefonie coś trzeszczało. Zapewniłem go, że mogę rozmawiać bez żadnych przeszkód czy przymusu. Istnieją jednak dwie kwestie, których poruszać nie chcę ze względu na moje bezpieczeństwo.

- Nie mogę powiedzieć, w jaki sposób znalazłem się w Liberii. Muszę zachować tę drogę w tajemnicy, aby móc się nią z powrotem wydostać. Druga sprawa to Gwinea. Nie chcę w ogóle wypowiadać się na temat Gwinei. Partyzanci są bardzo wyczuleni na tym punkcie, to znaczy, jeśli chodzi o ich stosunki z Gwineą. Wyraźnie prosili mnie, żebym tej kwestii nie poruszał, i w tej chwili, jak mówiłem, zależy od tego moje bezpieczeństwo.

Prezenter zbył mnie, odpowiadając, że mogę to wszystko sam wyjaśnić, po czym rozpoczął wywiad:

- A więc, w jaki sposób dostał się pan do Liberii? Jak nawiązał pan kontakt z partyzantami? - zadał pierwsze pytanie.

Poczerwieniałem z gniewu na niego i wściekłości na samego siebie. Cóż za naiwność z mojej strony! Powtórzyłem mu więc, że nie mogę o pewnych rzeczach mówić, ponieważ mogłoby to być dla mnie niebezpieczne. Drugie pytanie:

- Prezydent Taylor twierdzi, że buntownicy, którzy ponoć przeciwstawiają się jego władzy, są popierani przez sąsiednią Gwineę. Czy widział pan jakieś przejawy takiego poparcia? Skąd partyzanci mają broń?

Trząsłem się ze złości, ale uważnie dobieierałem słowa. Bo przecież, owszem, widziałem składy nowiutkiej broni opodal gwinejskiej granicy, ale nikt przy mnie tego arsenału przez granicę nie przewoził. Powtórzyłem więc, iż według LURD bojownicy posługują się wyłącznie bronią zdobytą od Taylora. Wszystko to było prawdą.

Na szczęście potem wywiad przybrał bezpieczniejszy dla mnie kurs. Jaki cel

przyświeca buntownikom? Czy popiera ich ludność miejscowa? Czy zamierzają zaatakować stolicę?

Kiedy było po wszystkim, rozłączyłem się i od razu ogarnął mnie lęk. Zorientowałem się, że drżą mi ręce. Dudley i Mandla z pewnością jeszcze wędrowali przez dżunglę, a wystarczyło jedno potknięcie, by wzbudzić gniew partyzantów. Ale wreszcie wykonywałem swoją pracę, pracę dziennikarza. Zdawałem sobie sprawę, że z tym wiązą się określone konsekwencje - pytanie tylko jakie.

Gdy słońce skryło się za korony drzew okalających wioskę, włączyliśmy radio i usiedliśmy z Nickiem, Deku oraz kilkoma innymi bojownikami, słuchając w milczeniu audycji. Odbiór był doskonały, jako że w Liberii trudno o zakłócenia elektrostatyczne. Poza tym mieliśmy do dyspozycji wyjątkowo dobre radio. Codziennie o piątej cała wioska nastrojała odbiorniki na BBC World Service, aby na swych zdezelowanych radijkach posłuchać programu *Focus on Africa*. Obserwowałem ten rytuał wszędzie, gdzie przebywałem w towarzystwie partyzantów. Ta audycja stanowiła ich łącze ze światem zewnętrznym oraz główne źródło informacji na temat rządów Charlesa Taylora.

Gdy tylko nadano mój wywiad, zadzwonił do mnie Conneh. Gratulował mi wylewnie. Deku poczęstował mnie jednym z bezcennych papierosów marki Ronson (lokalna specjalność, przy której czerwone marlboro smakują niczym odmiana light), radośnie uściskał mi dłoń.

- Jay, jesteś prawdziwym dziennikarzem! W BBC! Taylor się popłacz!

Właśnie udowodniłem światu, że partyzanci istnieją, są uzbrojeni, podchodzą do sprawy poważnie. Z minuty na minutę stali się sławni. Przez następną godzinę z hakiem pojawili się chyba wszyscy buntownicy z Fassamy, by uściskać mi rękę oraz wykrzyknąć moje imię - wymawiali je „Jay”, niemal kompletnie połykając „m” i zupełnie pomijając „s”; ja zaś siedziałem sobie na przedprożu chaty i ćmiłem papierosy. Następnego dnia zorientowałem się, że i ja zrobiłem się sławny. Jeden z totumfackich Charlesa Taylora udzielił BBC wywiadu, w którym stwierdził, że jestem najętym przez buntowników propagandzistą, który nielegalnie przekroczył granicę, aby dopomóc im w terrorystycznych poczynaniach. Partyzanci oszaleli. Teraz byłem jednym z nich. Powtórne wyemitowanie mojego wywiadu uczcili salwami; starszyzna wioskowa podarowała mi karton papierosów, dwieście sztuk - isticie królewski prezent, wart w tych warunkach majątek - w ramach podziękowania za moje „wysiłki”.

Nick również nie mógł się nadziwić wrażeniu, jakie ta audycja wywarła na partyzantach z LURD.

- *Boetie* - przyznał - to jest *fokken lekker*.

Radio stało się moim orężem. Nickowi ten fakt przypadł do gustu, mnie tym bardziej.

Nic nie wskazywało, byśmy mieli opuścić Fassamę w niedługim czasie, więc Nick i ja urządziliśmy się tam w miarę jak najwygodniej. Co prawda, nie dysponowaliśmy zbyt wielką ilością sprzętu, którym moglibyśmy się posłużyć. Zakwaterowano nas w typowym afrykańskim okrągłaku przeznaczonym dla całej licznej rodziny. Była to konstrukcja o średnicy ponad pięciu metrów, z naprędce pobielonymi ścianami, kryta grubą, trzciniową strzechą trzymającą się na sękatych belkach. Łóżko mieliśmy tylko jedno, Nick nalegał, abym je zajął. Ponadto prosty drewniany stół i dwa krzesła - w sam raz do gry w karty. Pod dachem gnieździło się kilka pajaków wielkości mojej dłoni, zwisających na gęstej jak chmura płątaninie pajęczyn, po których pomykały tysiące sztuk ośmionogiego potomstwa tych gigantów. Bałem się, że pewnej nocy zleżą po ścianach i nas zeżrą.

- Znałem w wojsku takiego faceta, którego ukąsił pajak - ostrzegł mnie Nick. - Dziwnie wyglądała ta rana, nie mogliśmy dojść, co to takiego. Kilka czerwonych plamek, a skóra pośrodku nie chciała się zagoić. Aż wreszcie, jednego dnia, kiedy już myśleliśmy, że mu się poprawia, wszystko się zapadło i okazało się, że facet ma pod spodem na wpół zgniłe udo. Omal nie stracił nogi. Tak to jest z pajakami. Lepiej zostawić je w spokoju.

Oprócz tych lokatorów nasza chata była także rezydencją opalizującego, błękitnego skorpiona cesarskiego wielkości langusty. Zagnieździł się pod schodkami; młodzi buntownicy kręcący się wokół chaty bratali się z nim w ten sposób, że pozwalali mu łązić po sobie i domagali się, żeby robić im zdjęcia. Znaleźli innego skorpiona, który był mniejszy i cały czarny, po czym przynieśli go, aby nakłonić oba stworzenia do walki. Jednak zwierzęta wykazały się rozsądkiem i nie dały się sprowokować.

Nocą nie było przyjemnie: leżałem nieruchomy i spocony w śpiworze, nastawiając uszu na suchy chrzęst odnóży pajaków oraz skorpionów wpełzających do moich snów. Nauczyłem się codziennie rano wystukiwać buty i nigdy nie wkładać palców w miejsca, których przedtem dokładnie nie zbadałem pod względem obecności jadowitych stworzeń.

Zaczęły nam się kończyć zapasy. Znajdowaliśmy się przecież w drodze już od dwóch tygodni. Zaparzyliśmy ostatnią herbatę, jaką ze sobą przywiozłem, wrzuciliśmy do niej ostatnią kostkę cukru, otworzyliśmy ostatnią puszkę sardynek. Od początku mieliśmy niewiele, wszystko oddawaliśmy kobiecie, która dla nas gotowała. Nasze porcje ryżu się skurczyły, w potrawce brakowało mięsa, lub jeszcze gorzej, mięso było, lecz zepsute.

Sześć dni po naszym przybyciu do Fassamy, Deko wziął kałasznikowa i ruszył w dżunglę. Wrócił po południu, uśmiechnięty od ucha do ucha, dźwigając pod pachą

dzioborożca poszarpanego kulami niemal na strzępy. Na długich, lśniących czernią, przesiąkniętych krwią piórami ptaka osiadł czerwony kurz wioskowych ścieżek; karmazynowe wole zwierzęcia oklapło na jego piersi. Dzioborożce, o ile nie spotkają na swojej drodze uzbrojonych partyzantów, mogą żyć do czterdziestu lat, a więc znacznie dłużej niż ze statystycznego punktu widzenia mieli szansę pożyć ci buntownicy, którzy zamierzali teraz ptaka pożreć. Mięso rozdzielono równo między mnie, Nicka i dowódców. Smakowało jak przyprawiona jagnięcina. Oba kęsy, jakie przypadły mi w udziale, były wyborne. I było to moje ostatnie mięso przez najbliższe dwa miesiące.

Nieco później tego samego dnia Nickowi obrzydły niekończące się partyjki remika, zorganizował więc zawody w strzelaniu do celu z kałasznikowa. Tarczę stanowił arkusz ocynkowanej blachy falistej, który znaleźliśmy w ruinach jednego z domów na skraju wioski. Celem była kartka z mojego notesu. Strzelając z odległości pięćdziesięciu metrów, zdołałem uzyskać skupienie trafień na polu wielkości mniej więcej spodka. Tymczasem Nick wpakował większość kul w ten sam, poszerzający się z czasem, otwór. Żaden z partyzantów nie trafił w kartkę, a pociski wystrzelone przez większość z nich chybiły nawet blachy rozmiarów prawie metr na metr. W przerwach Nick wyjaśniał, jak działa ta broń - jak bezpiecznie się z nią obchodzić, przeladowywać, posługiwać się bezpiecznikiem, rozkładać kolbę. Kałasznikow ciążył mi w dłoniach, od wystrzałów dzwoniło w uszach. Przedmiot o groteskowo prostym przeznaczeniu, bo służący wszak wyłącznie do tego, by jak najskuteczniej zabijać. A jednak bez wątplenia pociągający, potężny i bezkompromisowy.

Wróciliśmy z kałasznikowem do naszej chaty, aby wyczyścić lufę. Gdy wędrowaliśmy ramię w ramię pośród popołudniowej spiekoty, Nick stwierdził, że strzelam całkiem niezłe i bezpiecznie obchodzę się z bronią. Może to absurdalne, ale poczułem się dumny.

- Z otwartym celownikiem wiele więcej nie da się zdziałać - oznajmił, pokazując żelazną szczerbinę kałasznikowa ustawioną na pozycję bojową dwustu metrów.

Przytaknąłem, ale przyznałem się też, że jeśli chodzi o bezpieczeństwo w obchodzeniu się z bronią palną, to mam w swoim życiorysie pewien wstydlivy incydent.

Wyznałem Nickowi, że kiedy uczęszczałem w południowym Londynie do szkoły średniej, wszyscy koledzy wiedzieli, że fascynuje mnie wojna. Kiedy miałem piętnaście lat, ku mojemu przerażeniu kilku starszych chłopaków wręczyło mi półautomatyczny pistolet. Kazali mi wyjaśnić, jak to działa.

- Bardzo ostrożnie wyjąłem pusty magazynek - wspominałem. - Śmieszne, ale wiedziałem, jak to się robi z książki, którą dostałem pod choinkę od dziadka. Odciągnąłem

zamek, żeby opróżnić komorę i tym samym napiąłem iglicę. - Wykonałem ruch ręką, całkiem tak samo jak podczas niezliczonych zabaw w dzieciństwie. - No, a potem... Cały czas nie wierzę, że to zrobiłem... Wycelowałem prosto w nich. Śmiali się, ale przestali, kiedy pociągnąłem za spust i padł strzał.

Nick zerknął na mnie z ukosa.

- Poważnie. Jeszcze raz odciągnąłem zamek i wypadła łuska. Nabój musiał tkwić w komorze.

W milczeniu oddałem im broń. Pewnie myśleli, że specjalnie wyciąłem taki numer. Nie wiem, czy to nie był ślepek, ale pozostaje faktem, że od tego czasu dali mi spokój.

Potem Nick pokazał mi, jak należy rozkładać kałasznikowa na części. Z początku szło mi opornie, nigdy dotąd nie miałem w rękach takiego sprzętu. Wkrótce moje ubranie przesiąkło zapachem oliwy. Powtórzyłem wszystkie czynności raz, potem drugi. Spodobało mi się. Gdy się czymś zajmę, miewam skłonność do perfekcji - to obsesja, która czasem doprowadza do szału ludzi z mojego otoczenia; tak było na przykład z Rachel. Kiedy już złapałem, o co chodzi, spróbowałem z zamkniętymi oczami.

- Skąd tak dobrze znasz kałasznikowa? - spytałem, zadowolony z siebie niczym pierwszy lepszy majsterkowicz, któremu udało się poznać działanie nowego narzędzia. - Sądziłem, że w wojsku RPA używało się R4 i R5?

- No tak, to był nasz sprzęt przydzielowy. Dobre karabinki, produkowane u nas w kraju, zmodyfikowana wersja izraelskiego galila. Tyle że faceci, z którymi walczyliśmy, zawsze posługiwali się kałasznikowami. Na dłuższe patrole nie mogliśmy brać ze sobą zbyt wiele amunicji, więc zaczęliśmy także używać kałasznikowów, bo dzięki temu mogliśmy wykorzystać amunicję zdobyczną. Tak było dużo prościej.

Rzecz jasna zabawa kałasznikowem znakomicie odwróciła moją uwagę od skwaru i nudy panującej w naszej wiosce. Potem jednak doznałem olśnienia. Nick szkolił mnie, ponieważ uważał, że ta umiejętność może mi się kiedyś naprawdę przydać. Gdybyśmy znaleźli się w zasadzce lub zostali zdani sami na siebie, będę musiał walczyć. Zastanowiłem się na głos, w jakiej sytuacji Nick uzna, iż sprawy stoją tak źle, że każe mi strzelać do ludzi.

- Kiedy od tego będzie zależało twoje życie - usłyszałem oczywistą odpowiedź na pytanie, które najwyraźniej uważał za zbędne. - Ale nie zajdzie taka potrzeba. Jak mówiłem, w razie czego zrobię dosyć miejsca dla nas obu, żeby umożliwić nam ucieczkę.

Szczerść Nicka zachęciła mnie do zadania innego pytania, które od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju. Czy jeśli zostaniemy pojmami, aresztują nas czy po prostu zabiją?

- Tobie raczej nic się nie stanie. - Nick chyba próbował podnieść mnie na duchu. - O

ile ci, którzy cię złapią, za bardzo się nie podkrećą. Kiedy już dostaniesz się w łapy rządu, pewnie dojdzie do pokazowego procesu lub czegoś w tym rodzaju, tak jak zamierzali uczynić z tamtą ekipą. A potem cię wypuszczą.

Nie starał się podkreślić, że dotyczy to wyłącznie mnie, jednak z jego wypowiedzi jasno wynikało, że o ile być może nie rozstrzelają dziennikarza, to pojmany najemnik raczej nie ma co liczyć na żadne względy.

Zapadł zmierzch, cienkie smugi dymu wlatywały pod drzwiami i przez okno, zapelniając nasze schronienie drzewnym aromatem. Nadal rozmyślałem o tej wcześniejszej rozmowie.

- Nick? - odezwałem się. Podniósł na mnie wzrok znad kolejnego rozdania. - Dostałeś się kiedyś do niewoli?

- Nie. Już bym nie żył. Oni nie brali jeńców - przerwał. Patrzyłem na niego, bo spodziewałem się, że usłyszę więcej. - Chociaż kiedyś, w Angoli... Mało brakowało. - Mówiąc, układał karty. - Zrucili nas razem z moimi chłopakami, startowaliśmy wtedy z Namibii. Skakaliśmy z wysokości ośmiu tysięcy metrów, żeby nikt nie słyszał silników samolotu. Spadochron otwiera się na wysokości trzystu metrów. Nikt cię nie zauważy. Celem było obozowisko, gdzie się szkolili...

- Oni, to znaczy SWAPO? - przerwałem.

- *Ja*. Prawdę mówiąc, całkiem dobrze walczyli. - Odłożył karty na stół. - Myśleliśmy, że ich w tym *kraalu* zaskoczymy. Był już wieczór, prawie noc. Widać było tylko sylwetki chat po drugiej stronie. Jeden z moich ludzi został na czatach, a ja z kumplem ruszyliśmy do *kraalu*, żeby ich zaskoczyć. Ale, *fok*, znaleźliśmy się w zasadzce. Czaili się w krzewach dookoła. Facet, z którym szedłem, padł od razu. Paskudnie dostał. Wskoczyłem w ciernie wokół *kraalu*; kiedy biegłem, przestrelili mi łydkę. Drugiego kumpla też zabili.

- Jak blisko się znajdowali, to znaczy z jakiej odległości do ciebie strzelali?

- Ag, jakieś dziesięć metrów.

Szczęka mi opadła. Jakim cudem uszedł z życiem? Nick tymczasem opowiadał dalej, pogrążony we wspomnieniach:

- Biegłem i biegłem. Na szczęście kula przeleciała przez mięsień. Biegłem całą noc. Wreszcie wdrapałem się na najwyższe drzewo, jakie udało mi się znaleźć, a potem czekałem na helikopter, żeby po mnie przyleciał. Pilot znalazł mnie rankiem następnego dnia. *Fok*, ale nade mną było zbyt wiele gałęzi, żeby mógł odpowiednio blisko podlecieć, więc posadził pumę na szczycie drzewa i zlikwidował w ten sposób całe listowie. Dopiero potem mógł podlecieć. I tak musiałem skoczyć, a koleś spuszczonej na linie mnie złapał. Właśnie dlatego

nigdy nie noszę kamizelki kuloodpornej. Z czymś takim nie da się biec, a jak dotąd, nikt mnie jeszcze nie postrzelił w klatkę piersiową.

Gdy zapadłem w sen, przyśniła mi się strzelanina, moja wyobraźnia odegrała powtórnie tę scenę ucieczki Nicka z samego środka piekła, spod ostrzału z broni maszynowej. Chyba już byłem gotów przyznać, że trochę zazdrozczę swojemu ochroniarzowi wojennych przygód.

Rankiem - była to trzecia niedziela czerwca - sfilmowałem nabożeństwo w wioskowym kościele. Potem pastor poprosił mnie, żebym przemówił do zgromadzenia. Wyjaśnił mi szeptem, że mieszkańców miasteczka ciekawi, kim jesteśmy i na czym polega nasza „misja”. Liberyjczycy starali się być uprzedząco grzeczni wobec gości, nawet tych niechcianych, których musieli żywić, więc uważałem za swój obowiązek, żeby się wytłumaczyć. Była to kongregacja zielonoświątkowców, pełnych entuzjazmu, rozśpiewanych, w podniosłych nastrojach - co dziwnie kontrastowało z rozgrywającą się na zewnątrz apokalipsą dotykającą ich kraj. Opowiedziałem pokrótce o sobie, podkreślając przy tym, iż nie jestem żołnierzem. Wyjaśniłem, że znalazłem się pośród nich dlatego, że pragnę opowiedzieć o ich losach. Rozległy się oklaski. Ktoś powiedział: „Amen!”. Podziękowałem za gościnność zgromadzonym kobietom i starszym mężczyznom, odzianym w najlepsze, o ile nie jedyne, posiadane ubrania. Zaczęli śpiewać hymny, znowu filmowałem. Potem sekretarz prasowy Conneha wygłosił wykład o słuszności sprawy, za którą walczą partyzanci. Tym razem oklasków nie było.

Na zewnątrz nakręciłem oddział żołnierzy. Ćwiczyli, śpiewali pieśni, przygotowując się do wyruszenia na front w okolicy Gbarngi. Zrazu poczynałem sobie nieśmiało, pomny na przestrogi Nicka, by nie oddalać się zbyt od naszej chaty. W miasteczku panował spokój, wręcz nuda, lecz nieprzyjaciel - jakoś nie potrafiłem inaczej myśleć o siłach rządowych - mógł kryć się w buszu bardzo blisko, obserwując każdy nasz krok. Ponieważ oswoiłem się już nieco z kamerą Dudleya, mogłem więcej uwagi poświęcić partyzantom; zorientować się, kim są tak naprawdę. Na pewno łatwo byłoby ich zlekceważyć, uznać za bezładną hałastę, lecz w gruncie rzeczy cechowało ich silne poczucie własnej tożsamości. Śpiewane przez nich pieśni, hasła skandowane niczym katechizm tworzyły pośród nich więź, jednoczyły ich. Stanowili zwartą siłę bojową. Posłuszenie wykonywali rozkazy instruktora prowadzącego musztrę - właściwie sam fakt, że w ogóle ćwiczyli musztrę, był dla mnie zaskoczeniem.

Bojownicy ignorowali mnie i pozwalali mi się kręcić w pobliżu. Mogłem filmować, co chciałem. Wielu z partyzantów towarzyszyło nam od Voinjamy czy Zorzoru, przywykli już, że jestem blisko.

Zadowolony z siebie przeniosłem się na rynek miasteczka. Tam ujrzałem pewnego mężczyznę - był to jeden z rebeliantów - którego rozebrano do naga i rozciągnięto na stole. Inni partyzanci zgromadzili się wokół; zaczęli wściekle okładać go kijami oraz skórzanym biczem. Krzyczał, widziałem, jak napinały się jego mięśnie, gdy usiłował im się wyrwać. Podniosłem kamerę, nakręciłem kilka sekund, ale po chwili przestałem. Jakiś instynkt podpowiedział mi, żeby tego nie filmować. Spojrzeli na mnie i nie odezwali się, a potem znów zabrali się do bicia. Pozostawiłem ich przy tym okrutnym zajęciu i wróciłem do naszej chaty mocno wstrząśnięty. Mimo wszelkich gwarancji narodowego przewodniczącego ruchu, Bóg jedyny wie, co mogliby zrobić, gdyby uznali, że mają mnie dość.

Nick siedział w naszym okrągłaku i coś pisał w notesie.

- Tam kogoś strasznie tłuką, biczują. Na rynku. Trzymają go na stole i chłoszczą.

Nick spojrział na mnie.

- Tego nie sfilmowałem - dodałem prędko. - Chociaż akcja była mocna. Nie chciałem ich wkurzać. W Londynie widziałem niejedną bójkę, ale to przypominało raczej tortury. Facet nie miał szans.

- *Ja*, oni mają swoje zasady. Afrykanie bywają dość brutalni. Deku mówił mi, że tutejsza starszyzna skarżyła się na młodych, którzy kradną żywność. Może chodzi o coś w tym rodzaju. Jeżeli stracą poparcie miejscowej ludności, już po nich.

To nie przyszło mi do głowy. Rzeczywiście, przymus i rekwizycje muszą mieć swoje granice. A partyzanci nade wszystko potrzebują poparcia ludzi, za których ponoć walczą.

- Lepiej schodzić im z oczu. Trzymaj się blisko chaty - doradził mi Nick. - Zwłaszcza kiedy zaczyna ich ponosić.

Coraz trudniej przychodziło mi odróżnić „dobro” od „tego, co rozsądne”. Znalazłem się w Liberii, a to całkiem inny świat niż ocieniony taras, na którym poznałem Nicka, nie mówiąc już o tym, jak bardzo odległy od mojej rodzinnej Anglii. Oto na dobre i na złe związałem swój los z ludźmi, którzy mnie przerażali, których sposobu myślenia nie pojmowałem. Zawsze mierzyły mnie opinie, jakoby pojęcie „Afrykanie” miało znaczyć cokolwiek innego niż pewien zbiór jednostek, choć przecież większość Afrykanów, których poznałem, albo toczyła wojny, albo cierpiała ucisk. W Erytrei robiłem zdjęcia na froncie podczas konfliktu z Etiopią, kiedy to niewielki naród poniósł ogromne straty w trakcie morderczej wojny pozycyjnej w okopach. W Zimbabwe spędziłem całe tygodnie pośród zwolenników opozycji, nękanych atakami i zastraszaniem ze strony sił rządowych. Choć w Sierra Leone znalazłem się pod sam koniec walk, kiedy sytuacja zaczęła się już normalizować, to fotografowani przeze mnie ludzie wciąż się lękali, że buntownicy mogą

jeszcze powrócić i ich dopaść.

W Liberii było inaczej. Nie istniała linia frontu ani zasieki z drutu kolczastego, nie działała opozycja przekonana o słuszności swojego postępowania, brakowało jakichkolwiek widoków na pokojowe rozwiązanie konfliktu. Nie wiedziałem, jak mogło wyglądać „zwyczajne życie” w Liberii, i nie miałem żadnego sprzymierzeńca - oprócz Nicka.

Gorzej. Uświadomiłem sobie, że moje współczucie dla chłostanego mężczyzny ustąpiło miejsca odruchowi, by sfilmować to wydarzenie. Dopiero później zastanowiło mnie, co się z nieszczęśnikiem stało potem, i uświadomiłem sobie, że kara fizyczna niekoniecznie jest karą sprawiedliwą. Afryka Zachodnia niebezpiecznie odchyliła igłę mojego moralnego kompasu. A zależało mi na tym, by wskazywał właściwy kierunek.

Przez następne dwa dni odwiedzaliśmy okoliczne wioski. Ja z kamerą cyfrową, Nick z kałasznikowem. W każdej chwili mogliśmy zostać zaatakowani. Przedtem wydawało mi się, że zmierzamy ku linii frontu, lecz w rzeczywistości już się na niej znaleźliśmy. Za każdym razem, kiedy dokonywaliśmy tych wypadów - ja, Nick oraz partyzanci - przemierzając dżunglę, ryzykowaliśmy konfrontację z siłami rządowymi, które również mogły przemieszczać się po tym terenie. Teoretycznie obszar znajdował się pod kontrolą rebeliantów, ale przecież przez dżunglę prowadziła cała płatanina dziesiątek, setek dróg oraz myśliwskich ścieżek. Żadna siła nie zdołałaby ustrzec ich wszystkich przed infiltracją. Dlatego nie zwlekaliśmy niepotrzebnie, wycofaliśmy się, gdy tylko nakręciliśmy, co chciałem.

Zdałem sobie sprawę, że miejscowi przejawiali zdumiewającą naiwność - niejako na poziomie naszych miejskich legend - choć przebywali odizolowani w samym sercu buszu, odcięci od jakichkolwiek infrastruktur. Spytałem pewnego starca, który cierpiał na artretyzm i wypoczywał w cieniu drzewa, jakie stworzenia żyją w dżungli.

- Tygrysy - usłyszałem, ku swemu zaskoczeniu. - Bardzo niebezpieczne tygrysy - dodał. Partyzanci przytaknęli.

- A w rzekach? - dopytywałem. - Czy tam także żyje coś groźnego? Chodzi mi o to, czy tam też grasują jakieś niebezpieczne zwierzęta, na przykład jadowite węże?

- Większość węży w buszu jest jadowita. Każdy taki, jak ukąsi, to zabije. A w bagnach pełno aligatorów. Te to pożrą człowieka żywcem.

Nick uśmiechnął się do mnie. W Afryce nie ma dziko żyjących tygrysów ani aligatorów. Tubylcy wyznawali mi niejednokrotnie, że nigdy w dżungli nie schodzą ze ścieżek, a przy tym wspominali o tajemniczych „białych demonach” porywających dzieci i żyjących pośród drzew - co być może stanowiło jakąś pozostałość z czasów handlu

niewolnikami.

W wiosce Garbi, właściwie osadzie złożonej z kilkunastu słomianych chat skupionych wokół udeptanego placu, przeprowadziłem wywiad z Tetemą Howard, czterdziestoosmioletnią matką dziesięciorga dzieci, która właśnie na trzciniowej macie młóciła stopami resztki ryżu. Oddzielając tym prymitywnym sposobem ziarno od plew, skarżyła się na swój los. Żyła resztkami zbiorów sprzed ponad dwóch lat; jej najstarsza córka uciekła, kiedy sześć miesięcy wcześniej zaatakowano Fassamę. Była jedyną karmicielką rodziny, nie miała własnej ziemi. Jakby nie zwracając uwagi na południową spiekotę, jej chory mąż leżał bez ruchu w chacie. Powiedziała mi wprost, że jest głodna. Spytałem, co robi, kiedy skończy się reszta zapasów ryżu. Milczała przez długą chwilę, spojrzeniem szukając odpowiedzi w mojej twarzy. Potem zaś wbiła wzrok w ziemię i wymamrotała niemal niedosłyszalnym szeptem:

- *I lea'mah ow' way Go'*. To w rękach Boga.

Tymczasem Bóg z pomocą wyraźnie się nie kwapił. Nie było lekarstw ani kliniki, do której można by się udać; nie było do kogo zwrócić się o pomoc - oprócz nas. Nick rozdawał więc tabletki chininy przeciwko malarii, nastawiał dawno złamane kończyny i rozprawdzał cenne resztki naszych łakoci pośród dziatwy ciągnącej nas za rękawy, podczas gdy ja uczyłem się sztuki filmowania. Wielu z tych młodszych nigdy nie widziało białego człowieka, więc teraz przyglądali się nam ze zdumieniem, nim zebrali się na odwagę, by nas dotknąć, albo, co zdarzało się częściej, umykali w popłochu. Uśmiechałem się do wszystkich. Trochę jakby na nowo ucieleśnił się mit Wielkiego Białego Odkrywcy - przynajmniej miałem czego się trzymać wobec narastającego zdemoralizowania buntowników.

Nick tymczasem przeczesywał wzrokiem otaczający nas busz, sprawdzał namiary GPS dróg i osad, trzymając się przy tym skrzętnie poza polem widzenia kamery. Wieczorami odtwarzałem nakręcony materiał na mini przeglądarce, aż wreszcie uznałem, że z zawodowego punktu widzenia zdobyłem już wystarczające umiejętności, by zabrać się do kręcenia filmu, który miałem tu stworzyć. Nabraliśmy pewnych określonych nawyków. Na przykład każdego ranka od dziewiątej do dziesiątej oglądaliśmy pilnie klasykę serialu, czyli telewizyjną wersję wspomnień Roberta Gravesa z czasów Wielkiej Wojny *Wszystkiemu do widzenia*. Była to nie tylko wspaniała opowieść o nadziei przeciwstawionej piętrzącym się przeciwnościom losu; przypominała nam także, iż życie w Pajęczej Chacie wprost opływało w luksusy, jeśli porównać je z wyrzeczeniami, na które byli skazani żołnierze w okopach.

Ku swojemu zdumieniu stwierdziłem, że Nick zapatruje się na pierwszą wojnę światową zupełnie inaczej niż ja. Mnie już w szkole wpojono i utrwalono wizję krwawego

horroru, tymczasem konflikt ten nie miał szczególnego znaczenia w kolektywnej świadomości historycznej Afrykanerów. Z punktu widzenia Nicka oraz jego rodaków dwudziesty wiek przeszedł krwawy chrzest nie w błotach Flandrii, lecz podczas drugiej wojny burskiej.

- Ci faceci - stwierdził - naprawdę potrafili walczyć. Niejednego można się od nich nauczyć.

Kałasznikow stał oparty o ścianę, Nick nagi do pasa siedział w śpiworze, tłukł moskity. Dzień upływał nam na pogawędkach. Nie było dokąd iść. Nick kwestionował moje poglądy na pierwszą wojnę światową, a potem znów zaczęliśmy rozmawiać o drugiej wojnie burskiej, którą on nazywał „wojną angielską”.

W latach 1899-1902 zbieranina afrykanerskich farmerów (czyli po holendersku *Boers*) będących doskonałymi strzelcami oraz miejscowych czarnoskórych Afrykanów zadarła z potężną armią brytyjskiego imperium i z początku odniosła spektakularne zwycięstwo. Bez wątplenia była to pierwsza nowoczesna wojna na świecie - wojna totalna, podczas której wykrystalizowały się dwa zupełnie nowe zjawiska. Po pierwsze, Brytyjczycy w ramach represji stworzyli obozy koncentracyjne dla afrykanerskiej ludności cywilnej; z niedożywienia oraz z powodu chorób zmarły w nich dziesiątki tysięcy ofiar. Ponadto Anglicy wprowadzili w życie taktykę spalonej ziemi, niszcząc zbiory oraz gospodarstwa w kampanii wymierzonej przeciwko rodzinom burskich bojowników. Tysiące jeńców skazywano na wygnanie z kraju. W miarę działań wojskowych upadały niepodległe burskie państwa - Republika Transwalu oraz Wolne Państwo Oranii. Hitler i jego generałowie uważnie studiowali brytyjską taktykę w Afryce Południowej, aby pokolenie później zastosować ją z jeszcze bardziej morderczym entuzjazmem.

Tymczasem afrykanerscy żołnierze burskich republik najpierw wprowadzili w życie, a później udoskonalili nowy sposób prowadzenia wojny, co pozwoliło im przeciwstawić się znacznie przeważającym siłom regularnej armii; to z ich wojskową spuścizną identyfikował się Nick. Wspólnoty burskie tworzyły własne nieregularne jednostki, zwane komando. Składały się one z ludzi, którzy posługiwali się bronią palną na co dzień, albo polując, albo w samoobronie, potrafili więc zadbać, by każda kula trafiła w cel. Farmerom ubranym w piaskowe stroje znacznie łatwiej było zabijać brytyjskich żołnierzy niż pędzące antylopy. Kiedy tereny republik zostały zajęte, Burowie rozpoczęli wyniszczającą wojnę partyzancką. Ich celami stały się stacje oczyszczania wody, linie kolejowe, mosty - praktycznie wszystkie elementy infrastruktury niezbędne dla brytyjskiej okupacji, które mogli uszkodzić lub zniszczyć. Zginęły setki brytyjskich żołnierzy, wielu przeżyło hańbę wzięcia do niewoli przez

nieregularne siły. Ubodzy farmerzy z buszu przekształcili się w pierwszą nowoczesną armię partyzancką. Nick oznajmił mi z dumą, że w swojej szafce na broń, w domu, wciąż przechowuje stary karabin Mausera, który należał do jego dziadka - kultowy oręż burskich komandosów.

Z punktu widzenia Nicka gniew, jaki wywołała brytyjska kampania, rozpałił pośród Afrykanerów płomień burskiej zemsty. Spowodował on powstanie Arfikaner Broederbond (Braterstwa Afrykanerskiego): tajnej organizacji, do której należeli wyłącznie biali mężczyźni wyznania protestanckiego; celem działania była obrona afrykanerskich interesów. U podstaw powstania Braterstwa legło przekonanie, iż to sam Pan Bóg osadził Afrykanerów w Afryce Południowej, aby przetrwali tam jako osobny *volk*, przed którym stało jego własne przeznaczenie. Tradycyjne, głęboko zakorzenione przekonania religijne Afrykanerów wyznających kalwinizm nadały ich zmaganiom aspekt chrześcijańskiej predestynacji, która miała prowadzić do uwolnienia całej Afryki Południowej od mówiących po angielsku Brytyjczyków i przejęcia tych terenów przez białych władających afrikaans. Konsekwencje, z jakimi się to wiązało dla czarnoskórej i mieszanej ludności kraju, nikogo z nich nie obchodziły.

Pierwotne dążenie do uniezależnienia się od Brytyjczyków, które po części spowodowało „Wielki Wymarsz” Burów udających się do interioru już od lat trzydziestych dziewiętnastego wieku, nabrało nowego impetu, przерodziło się w walkę o całkowitą niepodległość pod nacjonalistycznym rządem. Utworzona w ten sposób chrześcijańsko-narodowa formacja dominowała w RPA aż po 1994 rok. Kiedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Nick dorastał, apartheid nie stanowił wcale jakiegóś szczególnie wydumanej idei politycznej - był po prostu religijną rzeczywistością, chlebem powszednim RPA.

Afrykanerzy zachowali jedność przez całe stulecie kipiące od gniewu i nienawiści. Zapewne w niemałym stopniu przyczyniła się do tego panująca pośród nich opinia na temat Anglików - przypominająca niekiedy stereotypowe postawy mieszkańców Wysp Brytyjskich wobec Niemców. Może się to wydawać zamierzchlą historią, ale moja prababka, która pomagała mnie wychowywać, miała w chwili poddania się Burów dwanaście lat. Nigdy im nie wybaczyła, że zakłócili spokój ostatnich miesięcy panowania królowej Wiktorii. Nick się roześmiał.

- W Recces służyło sporo Anglików z Rodezji - powiedział. - Byli niezli, doskonale znali teren, na którym walczyliśmy, i wszystkie sztuczki stosowane przez terrorystów.

- Czy musieli nauczyć się afrikaans?

Nie jest to łatwy język, choć trzeba przyznać, że jego chropawa gardłowość chyba

sprzyja wykrzykiwaniu rozkazów.

- Owszem, ale my też musieliśmy się nauczyć angielskiego. Właśnie wtedy nauczyłem się nim jako tako posługiwać. W wojsku przestawialiśmy się co miesiąc z angielskiego na afrikaans i odwrotnie. Ze sobą gadaliśmy głównie w afrikaans. Zresztą każdy używał takiego języka, jakiego chciał.

Nasze śniadanie się spóźniło, a kiedy już nadeszło, srodze nas rozczarowało. Ryż rozgotowany w wodzie i posypany mlekiem w proszku... Usiłując robić dobrą minę do złej gry, partyzanci nazywali ten przysmak „budyniem ryżowym”. Gdy wylizywaliśmy do czysta talerze, spytałem Nicka, jak wielu cudzoziemców służyło w jego jednostce. Tego rozdziału historii RPA właściwie wcale nie znałem.

- W siłach specjalnych sprawy w ogóle przedstawiały się nieco inaczej. Moja jednostka, 5. Pułk Rozpoznania, została w roku 1980 przeorganizowana, włączono do niej wielu SAS z Rodezji. Mieliśmy tam też Angolijczyków oraz kilku facetów z Mozambiku. Poza tym paru portugalskich oficerów - większość z nich przybyła w siedemdziesiątym piątym z Angoli. Był tam jeden koleś, który okazał się naprawdę świetny, służył w słynnych Caçadores, ale miał już pod pięćdziesiątkę. Sprawował się znakomicie, wszystko robił bardzo dobrze, tylko nie poradził sobie z ostatnim biegiem. *Fok*, jeśli nie dobiegłeś do mety o szóstej, po prostu wylatywałeś. Przez ostatni odcinek wlekliśmy go ze sobą, niemal przerzuciliśmy go przez przeszkodę. Ledwo, ledwo mu się udało. Potem wszyscy dosłownie padaliśmy z nóg.

Spytałem go, czy w Recces służyli jacyś czarnoskórzy. Uniósł wysoko brwi. Chyba dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak mało wiem o jego świecie.

- Większość z tych cudzoziemców to byli czarnoskórzy - wyjaśnił. - Białych tylko kilku.

Doznałem wstrząsu. Dotąd wyobrażałem sobie, że w państwie apartheidu siły uderzeniowe składały się wyłącznie z jasnowłosych i błękitnookich młodych Afrykanerów.

Z naszej rozmowy wynikło mnóstwo pytań, a w dodatku nie wiedziałem, w jaki sposób zadać większość z nich.

- Nie, chłopie. Mieliśmy apartheid, ale w siłach specjalnych w kwestiach rasowych, równej płacy i innych takich, wyprzedzaliśmy resztę kraju. W moim komandzie miałem też czarnoskórych z RPA. Pod koniec było ich naprawdę sporo, zwłaszcza pośród niższych szarż. Kiedy walczysz, tak jak my to robiliśmy, musisz mieć pewność, że facet za tobą pilnuje twojego tyłka, niezależnie od tego, że on jest czarny, a ty biały. Choć z początku w ogóle było nas mało. Kiedy przeszedłem selekcję razem z moją grupą, liczba oficerów rozpoznania w całej armii wzrosła do dwudziestu czterech. Żyliśmy całkiem innym życiem niż świat

zewnątrzny. Musieliśmy polegać na sobie wzajemnie, kiedy doszło do walki. Całe to polityczne gówno nie miało znaczenia. Musieliśmy sobie ufać. A niektórzy byli naprawdę znakomici, zwłaszcza Angolijczycy.

Żar się wzmagał, staraliśmy się jak najmniej poruszać; ja wciąż z papierosem przyklejonym do ust, Nick rozłożony na materacu. Opowiadał mi o swoich losach, które zaprowadziły go ze skromnego gospodarstwa na pola bitewne Afryki Południowej. Nick dorastał jako syn farmera w Lydenburgu, na wschód od Pretorii, gdzie przesiąkł poczuciem tożsamości narodowej w sposób tak naturalny, jakby nią oddychał, niczym powietrzem.

- Mówiłem tylko w afrikaans, żadnego innego języka nie znałem.

A kiedy wspominał swą ojczystą mowę, odzywał się jakby ze zmienionym akcentem. „A” stawały się jakby twardsze, „r” - dźwięczniejsze, aż przestawały przypominać tę głoskę, „u” brzmiało niemal po francusku.

- Po jakimś czasie zacząłem jeździć z tatą na targowisko, żeby pomóc mu sprzedać produkty z naszej farmy. Z początku byłem zupełnie *fokken* zagubiony, bo nasi klienci gadali tylko po angielsku. Trochę się nauczyłem, szło mi całkiem nieźle, więc zacząłem pomagać ojcu, który nie rozumiał ani słowa.

Kiedy Nick dorastał, segregacja rasowa (oraz dyskryminacja kolorowych obywateli kraju) w systemie apartheidu były faktem niezbitym i dokonany, obiektywną rzeczywistością. Krytyka takiego stanu rzeczy wprost nie mieściła się w głowie - wcale nie dlatego, że ów reżim na krytykę nie zasługiwał, lecz z tego powodu, iż nie było z czym go porównać. Rząd RPA sprawował ścisłą kontrolę nad środkami masowego przekazu. Żadna gazeta afrykanerska nie potępiała ani nawet nie podawała w wątpliwość apartheidu, zaczęło się to dziać dopiero w późnych latach osiemdziesiątych. Nie nadawały niezależne rozgłośnie radiowe, telewizja nie istniała w ogóle aż do roku 1975, kiedy Nick właśnie wstąpił do wojska.

- Bo widzisz, to było tak - mówił dalej, próbując mi to wszystko wytłumaczyć. - Mieliśmy kiedyś kłopoty z czarnoskórymi dzieciakami ludzi, którzy pracowali na naszej farmie. Kradły różne drobiazgi, no i pewnego razu jednego z nich przyłapałem na gorącym uczynku. Tata i ja nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić, więc zaprowadziliśmy chłopaka do jego ojca. Ten podziękował nam i powiedział, że załatwi sprawę. *Fok!* Zapakował go do worka na ziarno i zawiesił ten worek na belce w stodole. Za każdym razem, kiedy przechodził obok, tłukł go z całej siły pasem. A facet naprawdę miał krzepę.

Gdy spoglądałem na Nicka w półmroku wnętrza naszej chaty, zdawało mi się, że wciąż pozostaje pod wrażeniem tego wspomnienia.

- Oni po prostu zachowywali się po swojemu. Byli dobrymi ludźmi, ale żyli w zupełnie innym świecie. Nasze życie... - urwał, szukając odpowiedniego słowa po angielsku - toczyło się po prostu innym torem. W tamtych czasach nie mieliśmy żadnych problemów.

Zapadło milczenie. Chyba z nostalgią rozmyślał o bezpowrotnie utraconej przeszłości, o minionym złudzeniu, nieobciążonym jeszcze jarzmem historii.

Nasza rozmowa zamarła, pogrążyliśmy się w apatii kolejnego upalnego popołudnia. Siedziałem i paliłem papierosy. Nick stał się milczący; aż zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie żałował, że opowiadał mi o wojsku, o swoim życiu. Wieczorem nie odezwał się prawie ani słowem. Obawiałem się, czy go w jakiś sposób nie obraziłem, dlatego i ja siedziałem cicho. Pogrążyłem się najpierw w lekturze instrukcji obsługi kamery, potem postawiłem pasjansa. Przestałem zwracać uwagę na to, że Nick dość często wychodził z naszej chaty. Zapaliłem o zmierzchu naszą „lampę Charlesa Taylora”, czyli prymitywną lampkę na olej palmowy, nazwaną tak przez tubylców dlatego, że ich zdaniem to z winy prezydenta nie mieli elektryczności ani innych źródeł światła, nawet świece stały się towarem deficytowym. Zerknąłem na Nicka w migoczącym świetle brudnopomarańczowego płomienia. Miał podkrążone oczy, skóra jego twarzy nawet w tym świetle sprawiała wrażenie ziemistej.

- Dobrze się czujesz?

- Dostałem czerwonki. Mam okropne skurcze. *Ja...*

Nie dokończył. Wstałem i zgarnąłem śpiwór z łóżka.

- Proszę, połóż się tutaj. Będzie ci przynajmniej trochę wygodniej.

Nie zaprotestował, z czego wywnioskowałem, że musi naprawdę cierpieć.

- *Ja*, dziękuję. Do rana mi przejdzie. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Obaj wiedzieliśmy, że to kłamstwo. - *Fok!*

Wstał gwałtownym ruchem i chwiejąc się, wyszedł, po czym znikł w wilgotnym mroku. Latryna mieściła się na skraju wioski, w odległości około pięćdziesięciu metrów.

Tej nocy nie zjadł nic, za to kilkanaście razy wybiegał z chaty. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to paskudne żarcie, którym nas karmiono, nie tylko smakuje obrzydliwie. Doszedłem do wniosku, że w tej chwili stanowi największe potencjalne zagrożenie dla naszego życia. Nadszedł czas na antybiotyki.

- Czy mamy może flagyl, wiesz, metroni... no, coś tam?

- Metronidazol i ciprofloxacyn przepadły w rzece.

Nick stwierdził to beznamiętnym tonem. A więc nie mieliśmy żadnych pigułek, którymi mógłby się leczyć, ani soli, które mogłyby zapobiec odwodnieniu. Nalałem mu kubek

oczyszczonej wody z grawitacyjnego urządzenia filtrującego, które starannie zmontował, kiedy tylko się wprowadziliśmy. Wypił, lecz kilka minut później już biegł do drzwi, mrużąc pod nosem coś w afrikaans.

Gdyby rano pojawiła się możliwość wymarszu, mielibyśmy kłopoty. Od wielu dni nie mogłem się doczekać, by opuścić to miejsce; teraz trzeba było czasu, aby Nick mógł dojść do siebie.

Następnego dnia stan Nicka jeszcze się pogorszył. Skoczyła temperatura, skurcze stały się dotkliwsze. Przestaliśmy rozmawiać. Podawałem mu wodę, kiedy tylko chciał. Sączył ją z kubka bez entuzjazmu. Nie mieliśmy ani soli, ani cukru, żeby dostarczyć organizmowi jakichkolwiek elektrolitów. W regularnych odstępach czasu skręcał się z bólu.

- Słuchaj, stary... Kiedy idziesz, no, wiesz... Jak to wygląda?

Z początku chyba obaj czuliśmy się nieco skrępowani, zawsze staraliśmy się szanować swoją prywatność. Teraz straciło to sens. Chciałem po prostu wiedzieć, jak wyglądają jego ekskrementy, by spróbować ocenić jego stan, ale jakoś głupio było mi o to zapytać wprost.

- Woda, kurwa, nic więcej. I ropa, i krew.

Nic dodać, nic ująć. Siadłem przy stole, dalej zabawiałem się kartami. Odwiedził nas Deku, żeby sprawdzić, jak się miewa Nick. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Podziwiał Nicka jako „starego żołnierza”, więc był wstrząśnięty, widząc go skulonego na moim łóżku, bez uśmiechu na twarzy.

- *Sarry* - wymamrotał zmieszany, po czym zażądał od gotującej dla nas kobiety, żeby do jedzenia dodawała więcej ostrej papryki, która pomoże „zabić te robale”. Nieco później tego samego wieczoru pojawił się z naczyniem pełnym gorącego ziołowego naparu. Nick wypił bez słowa. Pewnie obaj myśleliśmy to samo: raczej nie może już bardziej zaszkodzić. Zapadał w niespokojną drzemkę, co jakiś czas dostawał dreszczy, regularnie biegał do latryny.

Trzeciego dnia Nick nie mówił, nie poruszał się. Zadzwoiłem do domu produkcyjnego i przedstawiłem im sytuację. Zaproponowali, że sprowadzą do telefonu lekarza, który mi coś doradzi. - Tyle że przecież Nick na takich rzeczach znał się nie gorzej od medyków. Należało spojrzeć prawdzie w oczy, nie pozostało nam nic do zrobienia.

- Powodzenia - usłyszałem na pożegnanie.

Rozłączyłem się, siadłem na skorpionich schodach przed chatą, zapaliłem. Starłem się zachować spokój. Mogłem dalej podawać Nickowi wodę do picia, ale jeśli jego stan natychmiast się nie polepszy, konieczna będzie kroplówka. W Zimbabwe, kiedy przez krótki

czas mieszkałem w leśnym szpitalu na głuchej prowincji, widziałem dziesiątki razy, jak to się robi. Mieliśmy odpowiednie igły, rurki oraz roztwór soli fizjologicznej w naszych zapasach. Kłopot w tym, że sam nigdy kroplówki nie zakładałem, za to wiedziałem, że jeśli coś schrzanię, mogę go zabić. Gdyby do rurki dostało się powietrze, mogłoby to spowodować rozległy atak serca. Wycofałem się do wnętrza, zerknąłem w półmroku na Nicka. Jego twarz przypominała maskę, ani drgnął.

- Nick?

Żadnej reakcji. Dotknąłem dłonią jego ramienia, potrząsnąłem lekko. Jego ciało było ciężkie, bezwładne. Oczy się nie poruszały, powieki nawet nie drgnęły. Potrząsnąłem nim mocniej. Nagle zdałem sobie sprawę, że wokół panuje cisza, dobiegający z dala zgiełk, odgłosy wydawane przez mieszkańców wioski odpłynęły, nie były w stanie przebić tej bańki ciszy wokół łóżka. Znów zawołałem go po imieniu, tym razem głośniej, przyłożyłem dłoń do jego czoła. Było zimne, woskowate; na ręce pozostała mi cienka warstwa chłodnej wilgoci. Byłem przekonany, że Nick nie żyje.

Pierwsza myśl, jaka przemknęła mi przez głowę, to: „Jak ja przewiozę jego zwłoki do kraju?”. Potem rozpoczęła się cała seria rozważań logistycznych. Nawet nie wiedziałem, do kogo zadzwonić. Nie znałem numeru telefonu jego żony. Nie czułem nic. Sytuacja mnie przerosła, sparaliżowała wszelkie emocje. Cofnąłem się o krok czy dwa, spoglądając na skuloną postać leżącą na łóżku plecami do mnie, w pozycji embrionalnej. Ten widok utrwalił się w mojej pamięci jak negatyw fotograficzny.

Po raz pierwszy, odkąd wyjechałem z Londynu, znalazłem się zupełnie sam. Całkiem sam pośrodku malarycznych mokradeł, w otoczeniu szalonych Afrykanów, w kraju rządzonym przez prezydenta psychopatę. Istniała tylko jedna droga ucieczki: tygodniowy marsz przez gęstą dżunglę, a potem jeszcze w bród przez rzekę - może zresztą wplaw, bo stan wody mógł się podnieść od czasu, gdy ją przebyliśmy. Brakowało mi sił i na jedno, i na drugie. Zresztą w ten sposób i tak dotarłbym zaledwie do granicy. Co tu gadać o powrocie do domu. Zza okna wciąż dobiegały odgłosy życia: brzęk naczyń, śmiech kobiet.

Zasłoniłem twarz rękami, kląłem. Nick nie żył. Przygoda zakończyła się tragedią, a właściwie tragifarsą. Zaczęły nachodzić mnie przedziwne myśli - wspominałem, jak dziadkowie zabrali mnie na przejażdżkę łodzią w Arundel; stanął mi przed oczami stary mauzer Nicka czekający na niego w Pretorii; wreszcie mój samochód, który zostawiłem na parkingu w Canterbury. I wtedy przypomniałem sobie niespodziewanie, jak w Zimbabwie pewien lekarz opowiadał mi, że bardzo trudno jest stwierdzić, czy ktoś żyje, czy nie. Nawet wykwalifikowany personel medyczny miewa z tym spore kłopoty.

Pochyliłem się więc nad Nickiem. Rozpięty kołnierz koszuli tworzył literę V. Przyjrzałem się jego klatce piersiowej. Z początku widziałem tylko włosy oraz bladą skórę. Pomyślałem znów o kroplówce i soli fizjologicznej, ale odrzuciłem tę myśl. Otarłem pot z oczu; wtedy zobaczyłem ledwo dostrzegalne poruszenie piersi Nicka. Pomyślałem, że to ja się trzęsę i dlatego mam takie złudzenia. Spojrzałem na jego krtań, usta, potem znów na mostek. Bez wątpienia oddychał. Odetchnąłem głęboko i ja, po czym opadłem na podłogę, opierając plecy o metalową ramę łóżka. Zaraz potem Nick wyprostował nogi i jęknął przez sen. Przypuszczalnie kolejny skurcz. Nie daj się, Tygrysie - pomyślałem. - Walcz!

Siedziałem przy nim całą noc, czuwając. Prawie się nie poruszał. O świcie wypalił się olej palmowy w lampce, a gorączka ustąpiła.

Następnego dnia był już na nogach, zdołał spękanymi wargami zjeść kilka łyżek cienkiej zupy paprykowej. Przychodził do siebie zdumiewająco szybko. Omówiliśmy ze szczegółami przebieg jego choroby. Traktował ją jako zwyczajną przypadłość losu, jak przystało na kogoś, komu przytrafiały się już gorsze rzeczy i kto wie, że w końcu wyzdrowieje.

- Zdarzyło ci się już coś podobnego?

- *Ja*, ale tak mocno mnie nie walnęło od 1985 roku w Zimbabwe. Wyruszyliśmy na zwiad, a mnie zważyło z nóg i byłem kompletnie *gefok*. Uderzyło mnie niczym grom z jasnego nieba.

- Zimbabwe? A gdzie? Bardzo mi się tam podobało. Siedziałem w Harare, a także w Murambindzie, takiej zabitej dechami dziurze w prowincji Buhera.

- Najpierw w Harare, potem w buszu. Chcieliśmy dorwać terrorystów, którzy mieli w Zimbabwe swoją bazę i posługiwali się nią, przeprowadzając ataki na granicę RPA. To był jeden z najgorętszych okresów wojny.

Mówiąc o terrorystach, jak mi wyjaśnił, miał na myśli bojowników Afrykańskiej Rady Narodowej (ANC, African National Council), o których większość znajomych mi ludzi wyrażała się, używając takich określeń, jak „bojownicy o wolność” albo przynajmniej „czarnoskórzy partyzanci” walczący o zniesienie apartheidu. „Wojną” nazwał wciąż wówczas narastającą agresję RPA w stosunku do sąsiednich państw, mającą na celu ich destabilizację oraz wyeliminowanie owych „terrorystów”. Nie wstrząsnęło mną to tak, jak być może powinno, bo wciąż pozostawałem pod wrażeniem faktu, że Nick otarł się o śmierć - ale jednak zdałem sobie sprawę, że mój towarzysz nigdy nie był zwyczajnym żołnierzem. Zaliczał się do elity przeznaczonych do zadań specjalnych. Niejeden uznałby, że dokonując takich operacji jak ataki na Zimbabwe, stał się zabójcą, może nawet mordercą - a

przynajmniej współwinnym morderstwa. Między coraz słabszymi napadami skurczów opowiedział mi, że w tym właśnie specjalizowała się jego jednostka, 5. Pułk Rozpoznania, i w zasadzie do tego właśnie celu ją stworzono: do przeprowadzania niekonwencjonalnych akcji militarnych skierowanych przeciwko rewolucjonistom. Między innymi dlatego w jej skład wchodziło tak wielu czarnoskórych żołnierzy.

- Byłem jednym z założycieli 5. Recce - oznajmił z nieskrywaną dumą. - Z czasem podzieliliśmy się na trzy komanda i sekcje małych drużyn. Zacząłem w pierwszym komandzie, przeznaczonym do wykonywania pseudooperacji. Kiedy stałem się zbyt znany z tego powodu, w siedemdziesiątym ósmym przeniosłem się do 5-2 jako zastępca dowódcy; tam przeprowadzaliśmy działania o charakterze bardziej konwencjonalnym, właśnie w tym komandzie służyli Portugalczycy i Angolijczycy, o których mówiłem. Wreszcie wyładowałem jako dowódca 5-3, ofensywnej jednostki złożonej głównie z Rodezyjczyków. To byli dobrzy żołnierze.

Pseudooperacje, działania „pod obcą flagą”, uznano z czasem za jedne z najbardziej kontrowersyjnych poczynań armii RPA. Taktykę przejęto od rodezyjskich Selous Scouts, a jej stosowanie zapoczątkowali Brytyjczycy w Kenii podczas powstania Mau-Mau. Żołnierze sił specjalnych udawali wojska nieprzyjaciela, aby w ten sposób zwabić w śmiertelną pułapkę członków ruchu oporu. Podobno w Rodezji siły przeprowadzające takie działania atakowały zarówno czarnoskórą, jak i białą ludność cywilną, aby siać chaos i terror, przedstawiając bojowników ruchu wyzwolenczego, za których się podawały, jako żądnych krwi morderców, co miało służyć za usprawiedliwienie dla jeszcze okrutniejszego militarnego odwetu. Nick zawsze utrzymywał, że był konwencjonalnym żołnierzem walczącym na niekonwencjonalnej wojnie, jednak nadal trudno mi było stwierdzić, jak naprawdę powinienem się zapatrywać na przeszłość mojego towarzysza.

Jego ludzie przeszukiwali budynki, w których mieli kryć się terroryści, strzelali do każdego, kogo zastali wewnątrz, zbierali dowody, a potem wysadzali domy w powietrze. Opowiadał o tym rzeczowo, a niekiedy nawet z humorem, mimo że w istocie były to historie straszne. Podczas jednego z takich rajdów Nellis (pilot, którego poznałem w Sierra Leone) zgarnął komandosów z Recces na pokład swojej maszyny, ale niespodziewanie, tuż przed przekroczeniem granicy Zimbabwe, kiedy już za chwilę mieli znaleźć się na bezpiecznym terytorium, posadził helikopter. Ku zdumieniu pasażerów Nellis wysiadł z kokpitu, po czym obficie oddał mocz. „Po prostu musiałem się odszczać na Zimbabwe Boba, kumaszc?” - chichotał, opowiadając o tym na plaży we Freetown. Nick uśmiechnął się, ale nie skomentował. Już wcześniej zauważyłem, że nigdy nie wymienia imion ani nazwisk ludzi, z

którymi służył w wojsku.

Jako że obaj staraliśmy się uszanować wzajemnie swoją prywatność, nie kwestionowaliśmy poglądów tego drugiego w jakichkolwiek sprawach bardziej skomplikowanych niż kwestie życia codziennego. Choroba Nicka i te wyznania przemieniły ów dystans w próżnię. Teraz wiedziałem, jak może wyglądać Nick u progu śmierci, i miałem pewność, że na służbie rządu RPA zabijał ludzi. Właściwie domyślałem się tego już wcześniej, jednak co innego przypuszczać, a co innego mieć wiadomość z pierwszej ręki. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, iż nadejdzie chwila, w której będę musiał skonfrontować swoje przekonania z przeszłością Nicka, choćby prezentowała się ona bardzo nieładnie, a następnie spróbować się z nią pogodzić. Mimo naszych wcześniejszych pogawędek niespieszno mi było do tego. Niewątpliwie do takiego stanu rzeczy przyczyniła się atmosfera, w jakiej wzrastałem. Moja rodzina, przyjaciele i nauczyciele w szkole odnosili się do rządzących RPA w latach siedemdziesiątych oraz osiemdziesiątych, a także do ich zwolenników z taką samą moralną dezaprobatą jak do nazistów. Uzyskanie niepodległości przez Zimbabwe, co nastąpiło w roku 1980, stanowiło moje pierwsze wspomnienie o charakterze politycznym.

- Apartheid służył określonemu celowi - stwierdził z prostotą Nick. - Dzięki niemu wysunęliśmy się przed inne kraje afrykańskie.

Szczerze Nicka mnie rozbroiła. Przypuszczałem raczej, że będzie to ukrywał, niczym haniebny sekret, albo że przynajmniej będzie się tłumaczył. Tymczasem opowiadał o tym właściwie z dumą, najwyraźniej nawet nie wyobrażając sobie, że dla outsidera takiego jak ja, przebieg jego służby wojskowej przybiera dość szczególne znaczenie. Profesja Nicka polegała na zabijaniu „terrorystów”, co uważał za przedsięwzięcie niezbędne oraz szlachetne. Nie było łatwo zakończyć tę rozmowę. Spróbowałem więc z innej strony:

- Wierzysz w Boga? - spytałem nieco później tego samego wieczoru, próbując zgłębić tajniki jego osobowości. - To znaczy, czy twoja rodzina była religijna?

- *Ja*, bardzo. Natomiast *ag*... Kto to może wiedzieć? Z pewnością tam w górze ktoś jest. Ale jeszcze nie jestem *fokken* gotów, żeby się z nim spotkać.

Śmiałem się, kiedy mówił dalej, iż nie oznacza to wcale, by według niego apartheid został ustanowiony przez Pana Boga we własnej osobie. Widział zbyt wielu ludzi rozerwanych na strzępy i doskonale wiedział, że w środku wszyscy są tacy sami.

Rzecz to znamienita i świadcząca o sile indywidualności, że Nick, wywodzący się z zamkniętej, konserwatywnej społeczności białych farmerów, wcale nie był zaciekle rasistą. Nigdy nie słyszałem z jego ust rasistowskich określeń, ani razu nie użył słowa *kaffir* (czyli w

dość dowolnym tłumaczeniu „czarnuch”), mało tego, nigdy nie stwierdziłem, by oceniał ludzi wyłącznie po kolorze skóry.

Nie, wcale nie szukałem dla Nicka usprawiedliwień, po prostu chciałem go zrozumieć. Mieliśmy razem spędzić niemało czasu - jeszcze co najmniej parę tygodni. Tymczasem w tamtej chacie, w świetle oliwnej lampki, kiedy Nick powracał do zdrowia, a ja zmagalem się z fizycznym i umysłowym wyczerpaniem, zrezygnowałem z prób jego osądzania. Widok powalonego chorobą, bezsilnego Nicka pomógł mi uwolnić się od wcześniejszego wizerunku Action Mana; oswoiłem się z moim towarzyszem, ale ta poufałość nie wywołała wzgardy, lecz szacunek. Nick był tym, kim był, nic tego nie mogło zmienić, a już z pewnością nie moje polityczne zapatrywania. Miał prawo do swojej przeszłości, bo o nią walczył, a ja nie miałem prawa zabierać głosu w tej sprawie.

Następnego dnia skurcze ustąpiły, twarz Nicka nabrała kolorów. Wciągnął kamuflażowe spodnie i wybrał się na spacer, podczas którego złożył krótką wizytę Deku. Przyniósł ze sobą jeszcze dwa magazynki do kałasznikowa oraz kilka małych pudełek z amunicją. Bez wątpienia czuł się lepiej.

Dwadzieścia cztery godziny później, 23 czerwca 2002 roku, a więc w dniu, kiedy Nick i ja mieliśmy w założeniu zakończyć kręcenie filmu i rozglądać się już za lotem powrotnym do Johannesburga, siedziałem na podłodze i cały się trząsałem. Owinąłem się wokół ramion śpiworem, mimo popołudniowego skwaru szczękałem zębami. Pod wieczór mój organizm zaczął odrzucać wszystko, co usiłowałem wprowadzić do żołądka.

- To chyba nie będzie zbyt przyjemne, co? - wyjąkałem.

Nick skinął poważnie głową. Pomógł mi przenieść się na mój stary materac. Tak więc znów zamieniliśmy się miejscami. Urządził sobie ze śpiwora legowisko na podłodze, obok mnie.

- *Ja, fokken* skurcze są najgorsze. Weź to.

W naszej podręcznej apteczce odnalazł tabletki przeciwskurczowe: obaj wiedzieliśmy, że wkrótce będą mi bardzo potrzebne. Tej nocy bez ustanku kursowałem do latryny i z powrotem, czemu towarzyszyły ostrzegawcze pokrzykiwania strażników.

Kiedy nastąpił pierwszy skurcz, odczułem go tak, jakby ktoś rznął moje wnętrzności piłą łańcuchową. Nad ranem z mojego odbytu ciekły krew i śluz. Napilem się z kubka, który podał mi Nick, i odpłynąłem w sen.

W mroku następnej nocy wartownicy wykazali jeszcze większą czujność. Któryś z nich przeładował broń.

- To ja, James - szepnąłem w stronę cieni.

No, już. Zabijcie mnie, kurwa - pomyślałem - przynajmniej to się wreszcie skończy.

O świcie nie byłem już w stanie chodzić. Monsunowa ulewa siekła strumieniami wody strzechę i ściany naszej siedziby. Podczołgałem się do wyjścia z chaty i wystawiłem tylną część ciała za drzwi, skulony w przemokły kłęb wychudłych kończyn i obolałych mięśni; towarzyszyła mi serenada dobywająca się z gardzieli setek żab bekających pośród ciemności. Srałem na własnym progu, dosłownie. Gdy wpęzłem z powrotem do środka, Nick zamknął za mną drzwi.

O świcie napiłem się wody, natychmiast powróciły skurcze, rozrywały moje jelita niczym stado żyletek. Nie dysponowałem siłą ani wytrzymałością, jaką zyskał Nick podczas wojskowego treningu, moje ciało się poddało. Nick podniósł mnie, przerzuciwszy sobie moją rękę przez ramię, i powłókł, zmuszając, bym doszedł aż do ruin domu odległych o sto metrów. Trzymał mnie za nadgarstki, kiedy kuciałem nad brzegiem dołu, ja zaś wypróżniłem się tak intensywnie, że byłem bliski omdlenia.

Przez cały dzień holował mnie do tego domu i z powrotem, pomagał mi się ubierać i rozbierać. Po drodze tłumaczył partyzantom, co się stało. Sarry - powiadali jednogłośnie, po czym częstowali mnie nieprzefiltrowaną wodą ze studni. Śmieszne, że zaledwie kilka godzin wcześniej rozważałem kwestie tak błahe, jak polityczna prawość Nicka. Jakie to miało znaczenie? Kiedy jeden facet podtrzymuje drugiego podczas walenia kupy, wszystko inne przestaje się liczyć. Albo jesteście kumplami, albo nie.

Później tego samego dnia Nick pojawił się w chacie razem z niskim, schludnie ubranym Liberyjczykiem. Wyciągnął dłoń. W papierowym zawiniątku znajdowało się kilkanaście tabletek flagylu, antybiotyku. Nigdy nikomu nie byłem za nic tak wdzięczny jak wtedy.

- Ten facet jest jakby doktorem - wyjaśnił Nick.

- Och, gdzie tam. Szkolenie odbyłem już bardzo dawno. A w dzisiejszych czasach... - nie dokończył. - Myślę, że od tego się panu poprawi.

Chciałem mu podarować paczkę papierosów, ale grzecznie odmówił. Kiedy sobie poszedł, Nick przekazał mi najnowsze wieści. Deku bardzo się niepokoił, że w przeciwieństwie do Nicka, nie wyjdę z tego cało, dlatego posłał swoich ludzi do wioski, gdzie lokalny medyk opiekował się rannymi partyzantami. Nie mieli tam już prawie żadnych leków - Nick i Deku zadziałali w ostatniej chwili. Być może zażyłem jedyne antybiotyki, jakie znajdowały się w obrębie osiemdziesięciu kilometrów.

Gorączka ustąpiła. Następnego ranka z głębokiego snu przebudził mnie najpiękniejszy odgłos, jaki mógłbym sobie wyobrazić: pomruk dieslowskiego silnika toyoty. Nick i Deku

wkroczyli do wnętrza chaty, przez otwarte drzwi wpadł strumień światła. Kilka dni wcześniej partyzanci zatrzymali i zarekwirowali oenzetowski ambulans. Gdy tylko nabiorę sił, ten pojazd - załadowany paliwem, granatnikami RPG oraz amunicją do kałasznikowa - miał powieźć nas na front.

Z wolna przychodziłem do siebie. Wreszcie odzyskałem siły na tyle, że mogłem sfilmować załadunek. Ogarnął mnie podniosły nastrój. A więc jednak, mimo wszystko, zrobimy ten film. Chwyliłem za telefon satelitarny, wyciągnąłem antenę. Wybrałem się na przechadzkę w poszukiwaniu miejsca, gdzie miałbym stały zasięg. Nie posiadałem się z zachwytu - i nie mogłem się doczekać, kiedy powiem moim kolegom w Kenii, że nie tylko Nick już wyzdrowiał, lecz także wreszcie ruszamy na front.

- Teraz pojedziemy do Bopolu, jakieś sto kilometrów na południe, a potem dalej do Tubmanburga. Powinniśmy znaleźć się na miejscu za parę dni, to zależy od tego, czy będzie padało. Deku twierdzi, że toczą się tam zacięte walki, ale partyzanci nieźle sobie radzą - urwałem. - No, nie wiem, trudno powiedzieć, jak sobie radzą, ale chyba jakoś się trzymają, w przeciwnym razie byśmy tam nie jechali.

Spodziewałem się gratulacji. Tymczasem po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili właściciel firmy wyjaśnił, w czym rzecz. Liberyjska wyprawa zakłóciła ich płynność finansową. Cały interes kręcił się na założeniu, iż w razie potrzeby będzie można zlikwidować inne aktywa, dzięki czemu nie przestaną wpływać pieniądze. Teraz stało się to niemożliwe. Wszystkie honoraria należne do tej pory zostaną wypłacone, lecz na tym koniec. Cobus został zwolniony, filię w Johannesburgu zlikwidują. Liberia okazała się dla nich finansową studnią bez dna. Nie mogąc liczyć w określonej perspektywie na pieniądze z telewizji, a więc zwrot inwestycji, uznali, że czas się wycofać.

- Jeśli dasz radę ciągnąć sprawę dalej, to świetnie - grzmiał w słuchawce głos szefa. - Zapłacimy ci umówioną zaliczkę, ale dla Nicka nie ma już pieniędzy. Albo musisz ruszyć dalej sam, albo jakoś się z nim dogadaj.

Poczułem się wystawiony do wiatru, ale podziękowałem mu za szczerść, po czym rozłączyłem się, żeby oszczędzać baterię. Stałem w milczeniu. Spoglądałem na ślady, jakie zrobiłem, kopiąc stopami piasek, kiedy błagałem o więcej pieniędzy. W jaki sposób należy poinformować uzbrojonego najemnika, że, no, że właśnie został wylany z roboty? Że nie dostanie pieniędzy już za ani jeden dzień pracy, nawet jeśli powrót miałby nam zająć jeszcze cały miesiąc?

- Nick?

Czyścił kałasznikowa, przygotowując się do wyjazdu, który miał nastąpić nazajutrz

rano. Spojrzał na mnie, dostrzegł wyraz mojej twarzy. Zatrzasnął bezpiecznik.

- Wszystko się zjechało. Firma plajtuje - wyrzuciłem z siebie. - Nie ma już forsy. Jedyna nadzieja w tym, że uda mi się skończyć film, ale oni od teraz nie zapłacą już nawet jednej dniówki - ani tobie, ani mnie.

Siadłem na stołku obok niego, poważnie zaniepokojony. Żar palił niemiłosiernie, panował skwar zbyt wielki, by siedzieć na zewnątrz.

- Co zamierzasz zrobić?

- Mam jeszcze trochę dolarów, o których nie wiedzą, myślą, że już je wydałem. No i sprzęt coś tam jest wart... To znaczy, wiesz... Ale chyba gra skończona.

Przerwał, nim sytuacja stała się żenująca dla nas obu.

- To jakbyśmy wiosłowali przez *fokken* Atlantyck. Znajdujemy się w połowie drogi. Nie ma sensu się wycofywać. Musisz sfilmować trochę akcji.

- Już teraz nie będzie łatwo się z tego wypłatać - zauważyłem, dając mu ostatnią możliwość wycofania się. - Ale jeżeli pójdziemy za ciosem, to może potrwać całe wieki.

Zamilkłem. Oba wiedzieliśmy, że to decydująca chwila. Zapadło długie, długie milczenie, nim wreszcie dźwignął się i niczym Cortés, który spalił okręty, by odciąć sobie drogę powrotu, postanowił.

- James, zapomnij o pieniądzach.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Poważnie. - Uśmiechnął się. - Wszystko będzie dobrze.

Czekałem na jakieś „ale”. Niepotrzebnie. Spodziewałem się, że to będzie najtrudniejsza rozmowa; okazała się najłatwiejsza. Nick nie był już moim pracownikiem. Był moim przyjacielem.

*

Gdy pierwsze promienie brzasku przedarły się przez listowie, opuściliśmy Fassamę i naszą siedzibę. Przebywaliśmy w Liberii od trzech tygodni, z czego dwa spędziliśmy w Pajęczej Chacie. Odetchnąłem z ulgą, kiedy znów znaleźliśmy się w drodze, choć zmierzaliśmy do Tubmanburga, ku linii frontu. Ambulans i jeszcze jedna należąca do partyzantów półciągarówka ze świeżym zapasem paliwa przejechała pędem obok szkieletów urządzeń do wyrębu lasu, a potem dalej gruntową drogą, którą kiedyś przewożono kłody do Gainkpai oraz Bopolu. Oba pojazdy migały światłami awaryjnymi. Oba były wypełnione po brzegi partyzantami, paliwem i amunicją (oraz kozą zabraną z Voinjamy). Nasz land cruiser wziął na pokład ponad trzydziestu bojowników. Ci, dla których nie starczyło miejsca, szli piechotą. Rzucało nami na wybojach, od czasu do czasu kierowca skręcał gwałtownie, aby ominąć

gałąź leżącą na drodze. Jechaliśmy całymi godzinami, aż słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a z buszu wyłoniło się miasto Bopolu.

Tutaj mieliśmy zatrzymać się na noc. Korzystając z okazji, przeprowadziłem kolejny wywiad. Moim rozmówcą był Seeya Sheriff, noszący pseudonim Cobra, zastępca szefa sztabu LURD. Dziwna to była rozmowa. Cobra albo nie chciał bawić się w politykę, albo się na niej nie znał. Z jego niemal dla mnie niezrozumiałej wypowiedzi zdołałem pojąć jednak tyle, że postrzega przyszłość państwa nieco inaczej niż ogólnokrajowy przewodniczący organizacji, który po obaleniu Taylora zamierzał utworzyć cywilny rząd tymczasowy.

- Żadnych wyborów nie będzie - oznajmił mi Cobra chrapliwym szeptem. - Ustanowimy juntę wojskową. Nie chcę słyszeć o żadnych wyborach. Mamy tylko jedną misję, rozprawić się z Taylorem.

Tej nocy mogliśmy wyciągnąć się na prawdziwych materacach i wypranej pościeli w pokoju, gdzie nie było pajaków. Ba, w oknach nawet wisiały zasłony. Beżowe kafelki na podłodze i ściany pobielone wapnem przypominały mi schroniska młodzieżowe, w których nocowałem jako dziecko, gdy wybieraliśmy się z ojcem na wycieczki autostopem.

O świcie znów ruszyliśmy. Wrzuciłem torbę do ambulansu i zająłem miejsce obok kierowcy. Nick potrząsnął głową.

- Cobra mówi, że to zbyt ryzykowne. Droga stąd do Tubmanburga naprawdę nie jest bezpieczna. Jeśli wpadniemy w zasadzkę, to przede wszystkim zaczną walić z RPG do pojazdów, a potem będą chcieli dokończyć sprawę za pomocą AK-47. Nie chcesz wtedy znaleźć się nigdzie w pobliżu. - Chyba dostrzegł błagalne spojrzenie moich oczu. - Nie, naprawdę musimy iść pieszo. Ja, w tym *fokken* samochodzie jest zbyt niebezpiecznie.

Wskazał ruchem głowy toyotę pełną materiałów wybuchowych oraz paliwa. Zapiął pasy z kieszeniami i przerzucił kałasznikowa przez ramię. Razem z Deku i około setką partyzantów ruszyliśmy przez dżunglę.

Godzinami mokliśmy w monsunowym deszczu. Wielkie, poskręcane, pierzaste liście palmowe tworzyły istne rynny dla tryskających strumieni wody. Gdy zatrzymywaliśmy się w poszukiwaniu schronienia pod poszarpanymi od eksplozji ocynkowanymi dachami opuszczonych domów, deszcz bębnił w nie upartym rytmem, zagłuszając wszystkie inne odgłosy, nawet moje myśli. Staliśmy w milczeniu, wyczerpani, wpatrując się w ścianę zieleni i szary świat w oddali.

Kiedy ulewa ustała, znów ruszyliśmy w drogę. Potem, po trzech czy czterech godzinach marszu, gdzieś przed nami rozległa się seria wystrzałów, pociski poszybowały wysoko nad naszymi głowami. Jeden z partyzantów wystrzelił na oślep w dżunglę. Deku

naskoczył na niego:

- Wstrzymać ogień! Nie stawać w miejscu, naprzód, naprzód, naprzód!

Nikt więcej nie odważył się użyć broni, kanonada z tamtej strony również umilkła. Nick przysunął się bliżej mnie, w rękach trzymał kałasznikowa w rozłożoną kolbę.

- *Ja*, grzecznie i pomału. Byle do przodu. Jakby ktoś znowu strzelał, staraj się trzymać blisko ziemi.

Zmęczenie, ból mięśni i adrenalina. Szedłem ku linii frontu niczym lunatyk.

Aż wreszcie, gdy zaczęło już zmierzchać i mieliśmy za sobą dziewięć godzin marszu, „Monrovia Highway” doprowadziła nas do Tubmanburga. W strugach deszczu spadających na rozświetlane błyskawicami plandeki wygłodzona ludność cywilna oblężonego miasta oraz partyzanci wylegli na ulice. Młodzi mężczyźni w obciętych džinsach i przesiąkniętych wodą bandanach wznosili pieśni zwycięstwa. Wszyscy ściskali wszystkim dłonie, miejscowi bojownicy chwyтали w objęcia nowo przybyłych, amunicja przechodziła z rąk do rąk. Całe miasto ogarnął wyśmienity, buntowniczy nastrój, wszyscy śpiewali w deszczu. Skryty pod markizą sklepu o zamkniętych okiennicach spoglądałem na jaskrawą mozaikę parasoli; oddawane na wiwat serie z kałasznikowa wznosiły się ku chmurom. Śmiałem się. Nick także się rozpromienił. Udało nam się. Dotarliśmy na front.

5. Szkoła ognia

Gdy przybyliśmy do Tubmanburga, miasto było we władaniu LURD już od niemal dwóch miesięcy. Miejscowość ta leży pośród wzgórz Bomi i jest zrujnowaną, starą górniczą osadą położoną zaledwie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt kilometrów na północ od Monrowii. Miała wówczas może z dwieście domostw skupionych wokół jednego z nielicznych wykładanych tłuczniem odcinków drogi prowadzącej do stolicy. Wszystkie te nieszczęsne betonowe siedziby, pokryte strzępami cienkiej, rdzewiejącej blachy, uległy uszkodzeniom w trakcie przyptyków i odpływów rozgrywającego się wokół nich konfliktu. Ściany wielu z nich nosiły ślady ognia z broni maszynowej, w niektórych widniały wyrwy, jak stwierdził Nick, od pocisków z granatników przeciwpancernych. Co najmniej dwie trzecie mieszkańców porzuciło swoje domostwa. Woleli przymierać głodem w malarycznej dżungli zapewniającej im względne bezpieczeństwo, niż dalej wieść żywot w tej miejskiej strzelnicy, która kiedyś była ich małą ojczyzną.

Prowadząc nas do naszej kwatery, Deku opowiedział z niemałą dumą, jak jego ludzie pokonali tu Taylora; po prostu wyszli z lasu i wkroczyli od miasta.

- Trzeba było widzieć, jak zwiewali! - zawołał. Zbliżaliśmy się do skupiska budynków odległych o kilkaset metrów od głównej drogi. - Są za słabi, żeby stawić nam czoła.

Tutejszy garnizon rządowy umknął, nie wierząc własnym oczom, prawie bez wystrzału. Jednak po zwycięstwie LURD z obu stron padło wiele strzałów. Deku przyznał, że w ciągu siedmiu tygodni, które upłynęły od opanowania miasta, okupujący je partyzanci niemal codziennie toczą walki z rządową milicją.

Nasza kwatery mieściła się w białym, piętrowym domu. Kamienne schody z delikatną metalową barierką prowadziły na szeroki taras. Przypomniał mi się dom mojej matki w Canterbury, tylko że tutaj ściany były podziurawione kulami. W wieczornym półmroku z niemałą ulgą dostrzegłem oznaki luksusu - sofę oraz fotel na tarasie. Nasza sypialnia - o powierzchni co najmniej dziesięciu metrów kwadratowych, wyposażona w podwójne łóżko, szafę, dwie toaletki i prawdziwe zasłony - w porównaniu z Pajęczą Chatą zapewniała naprawdę komfortowe warunki. Ku mojemu zachwytowi i zdumieniu sąsiadowała z nią łazienka *en suite* z brodzikiem wyłożonym kafelkami oraz nietkniętą ceramiczną muszlą klozetową. Przydzielono nam najporządniejszy dom, jaki widziałem w tym mieście, nie zdołałem się jednak zorientować, kim byli i gdzie się podzieli jego poprzedni lokatorzy.

Brakowało jakichkolwiek wskazówek w tym względzie, jeśli bowiem nie liczyć tych kilku mebli, dom został całkowicie ogołocony z wyposażenia.

- *Lekker.*

Nickowi się spodobało. Zrzucił ryszczunek, ściągnął wojskowe buty ze świńskiej skóry, po czym zwałił się na łóżko. Zmarszczył nos, ponieważ wzbił się przy tym tuman kurzu.

Rozpakowałem ubrania i rozwiesiłem je elegancko w szafie. Na cały mój dobytek składały się zapasowa para spodni, dwie koszule oraz po dwie pary gaci i skarpetek. Z przyrządów toaletowych miałem szczoteczkę do zębów, cienki skrawek mydła oraz jeszcze cieńszą tubkę pasty do zębów.

Idąc za radą Nicka, zrezygnowałem z ciężkich traperów z wodoszczelnej skóry - które walnie przyczyniły się do zrujnowania moich kolan - i zamiast nich wyruszyłem w lekkich, sportowych butach. Cały sprzęt potrzebny do filmowania poutykałem w kieszeniach brudnej, beżowej kamizelki fotograficznej. Nick dysponował równie skromnym bagażem. Wyruszyliśmy więc na wojnę niemal tylko w tym, co mieliśmy na sobie.

Gdy rozwiesiłem nad moją połowę łóżka moskitierę (Nick twierdził, że siatki przyprawiają go o klaustrofobię, więc ich nie stosował), zapadł już zmrok. Wyciągnąłem się obok Nicka, tym samym wreszcie odciążając kolana. Niewątpliwie był najbardziej nietypową postacią, z jaką zdarzyło mi się znaleźć w jednym łóżku.

- Gwarantuję, zobaczycie kawał prawdziwej akcji - obiecał podekscytowany Deku, który wetknął głowę do pokoju. - Wszystko w porządku?

Zerkał na nas w ciemnościach, jak wychowawca w internacie, który sprawdza, jak tam się miewają jego chłopaki.

Skinąłem głową.

- Możecie mi wierzyć. Oni będą próbować, ale nie dadzą rady. Jesteśmy zvarci i gotowi!

Stwierdziwszy, że urządziliśmy się wygodnie, wybrał się na poszukiwanie lampki oliwnej oraz świec dla nas, a także by sprawdzić, gdzie podział się generator niezbędny do naładowania baterii w mojej kamerze i telefonie. Jego głos się oddalił, słyszałem, jak wykrzykuje rozkazy partyzantom wyznaczonym do sprawowania straży wokół naszej kwatery; potem skierował się ku kamiennym schodom prowadzącym do kwater żon dowódców. Nick wstał, by sprawdzić, jak działa radiostacja, którą pożyczaliśmy od Cobusa. Nie działała wcale. Gdyby padł telefon satelitarny, zostalibyśmy całkowicie odcięci od świata.

Tego wieczoru podczas kolacji poznaliśmy dowódców lokalnych sił partyzanckich. Ich *noms de guerre* brzmiały tyleż groteskowo, co złowieszczo. Dragon Master („Pan Smoków”), Bush Dog („Pies Buszu”), Jungle Root („Korzenie Dżungli”) oraz Nasty Duke („Wstrętny Diuk”) - oto byli dostojnicy owego sypiącego się w gruzy królestwa. A jednak, choć partyzanci prezentowali się dziwnie pod każdym względem, panował tam jednocześnie zaskakujący porządek, żołnierze zaś byli wyjątkowo zdyscyplinowani. Spostrzegłem, że dowódcy oczekują, by im salutować, a podwładni czynili to skwapliwie; wykonywano rozkazy, powszechne było poszanowanie stopni oraz hierarchii.

Pojawiły się talerze z ryżem i gotowanymi liśćmi manioku. Dragon Master (dwudziestosiedmioletni generał brygady, który naprawdę nazywał się Sekou Kamara i wraz z Deku przewyższał rangą wszystkich pozostałych partyzantów w mieście) po jakimś czasie wdał się w pogawędkę na temat struktury dowodzenia sił buntowników. Istotna odmiana w stosunku do powściągliwości dostojników z Zorzoru i Voinjamy. Dragon Master oraz Deku przedstawili niespodziewanie szczere sprawozdanie co do potencjału ich armii.

- Siły „Lor” składają się z dwóch brygad. Pierwsza brygada dzieli się na dwa bataliony, a każdy batalion to około trzech lub czterech kompanii - wyznał Deku. - Przy czym każda kompania liczy coś z pięćdziesięciu ludzi. W drugiej brygadzie jest tak samo, tylko że mają osiem batalionów.

- Mamy też dwa bataliony sił specjalnych i w każdym z nich po dwie kompanie złożone z pięćdziesięciu ludzi - uzupełnił Dragon Master. W czerwonym berecie oraz polowym mundurze, który w świetle lampki oliwnej przybrał pomarańczowy kolor, przypominał diabła z kreskówki. - Ja jestem dowódcą pionu wykonawczego jednostki sił bezpieczeństwa, a także komanda sił uderzeniowych. Siły specjalne podlegają bezpośrednio krajowemu przewodniczącemu ruchu.

Nick i ja gorączkowo sporządzaliśmy notatki, usiłując zrozumieć dziwną wymowę partyzantów. Przypuszczałem, że Frank w Konakry wiele dałby za tę informację. Tubmanburg stanowił część „Okręgu Kobry”.

- Obszar, w którym się teraz znajdujemy, to baza „Jungle Lion” - ciągnął Dragon Master. Wojska SEO w Zorzorze nosiły kryptonim „Voltage Movement”, a Foya to „University of Bullet”. [University of Bullet (ang.) - w wolnym tłumaczeniu „Szkoła Ognia”.]

- W całej Liberii mamy „szkołę ognia” - zaśmiał się jeden z dowódców, poklepując swojego kałasznikowa. Roześmialiśmy się wszyscy, a następnie Deku uczynił to, co każdy frontowy dowódca w Liberii poczytywał sobie za święty obowiązek, mając w perspektywie rychłą rozprawę z nieprzyjacielem, czyli zapalił dżointa.

W Voinjama Joe Wylie uraczył nas oficjalnymi danymi, według których siły LURD liczyły czternaście tysięcy bojowników - kpina w żywe oczy. Opierając się na informacjach przytoczonych przez Deku oraz Dragon Mastera, można było ocenić liczebność partyzantów LURD na mniej więcej dwa i pół tysiąca ludzi pod bronią plus bliżej niesprecyzowana liczba pomocników oraz tragarzy. Jeśli tak mała armia była w stanie kontrolować trzecią część terytorium Liberii, dowodziło to, jak słaby musi być reżim prezydenta Taylora.

Jakby dla zilustrowania faktu, iż tutejszym statystykom nie sposób wierzyć, Dragon Master zaraz potem stwierdził, że w owej chwili w mieście przebywało około tysiąca buntowników. Biorąc pod uwagę, że na ulicę wylegli wszyscy, którzy znajdowali się w promieniu kilometra czy dwóch - by, jak w tamtej chwili zdałem sobie sprawę, powitać nie tyle nas, ile zapasy amunicji, jakie przybyły wraz z nami - uznałem, iż należy tę liczbę zredukować do pięciuset - co wciąż stanowiło piątą część całej ich armii. Pośród nich dostrzegłem co najmniej pięćdziesięciu bojowników mających jeszcze przed sobą okres dojrzewania.

Dowódcy wyszli po godzinie w znakomitych nastrojach, kiedy Deku skończył się zapas trawy. Kusilo mnie, żeby poprosić o macha, ale i tak kręciło mi się już w głowie od upału, w dodatku byłem osłabiony z niedożywienia. A poza tym nie chciałem, żeby Nick widział mnie na haju. Czułbym się tak, jakbym się nastukał w obecności własnego taty.

- Co sądzisz o ich siłach specjalnych? Jak mogą wyglądać? - spytałem później tej samej nocy, gdy z Nickiem leżeliśmy obok siebie na podwójnym łóżku.

- Myślę, że to drobne nieporozumienie - odparł, zbyt zmęczony, żeby się roześmiać. - Im się chyba wydaje, że jeśli ktoś otrzyma specjalne zadanie, to staje się kimś specjalnym. Przecież oni nie mają żadnego wyszkolenia.

Leżeliśmy w milczeniu, potem mój towarzysz stwierdził:

- Deku i ten, *fokken*, jak mu tam? Dragon Master? Obaj sądzą, że tutaj zobaczysz prawdziwe walki. - Umilkł znowu. - Stąd do Monrowii można przejść na piechotę. Prezydent nie będzie zachwycony. - Nick zaśmiał się do siebie.

Bardziej niż czegokolwiek innego pragnąłem znaleźć się na wojnie, zobaczyć ją na własne oczy, zrozumieć i sfilmować. Poza tym powodowała mną zwykła ciekawość. Wojna stała się niczym realna postać, o której rozmawialiśmy, a której nigdy nie poznałem. Wciąż nieobecna gwiazda pierwszej wielkości, która pozwoli zaistnieć tysiącom statystów w tej nadal nieukończonyj, trudnej do wyobrażenia produkcji. Leżałem tam obok Nicka i czułem się niezręcznie. Za każdym razem głupio mi było powiedzieć: „Dobranoc”, ponieważ oznaczało to, choć w grzecznej formie: „Jestem tak wykończony, że nie chce mi się już z tobą

gadać”.

- *Ja*, to co? Śpij dobrze.

Nick przewrócił się na bok, po chwili obaj odpłynęliśmy w niebyt.

Rankiem przedstawiciele partyzantów przyszedli po nas, by nas zabrać na wycieczkę po mieście. Gdy wędrowaliśmy przez ulice zalane wodą, a potem pośród wysokich, mokrych traw, tubylcy spoglądali na nas to z rozbawieniem, to ze zdumieniem. Na nasz widok dzieci znikwały za drzwiami podziurawionymi przez kule; jakaś pomarszczona stara kobieta pogroziła nam kijem i wychrypiła coś niezrozumiałego w plemiennym języku.

- Ciekaw jestem, co oni o nas myślą - stwierdziłem.

- Pewnie biorą nas za najemników - rzucił niedbale Nick. - Chociaż żaden z nas nie dostał dotąd ani grosza!

W powietrzu unosił się mdlący odór, jak smród kotleta zapomnianego w wyłączonej lodówce. Niewiele czasu minęło, a poznaliśmy jego źródło. Na naszej drodze ujrzelśmy zwłoki - obdarte do naga, leżące na plecach. Ciemna, zakrzepła krew na lewym boku wskazywała miejsce, gdzie trafiła kula. Chłopak mógł mieć dwadzieścia lat, może mniej, na jego przystojnej twarzy malował się spokój. Kilka kroków dalej leżał następny: z dziurą w policzku, pozbawiony tylnej części czaszki. Pośrodku jego piersi widniał zaskakująco mały otwór od pocisku o wysokiej prędkości. Młodzieniec miał na sobie džinsy, opodał w trawie walał się zwinięty, pokrwawiony T-shirt. Ten chłopak nie był spokojny, lecz gniewny. Obaj cuchnęli. Niczym obleśny szef kuchni demonstrujący wygłodniałym klientom specjały dnia, wojna zaserwowała mi intrygujące i niestrawne *entrée*. Zapragnąłem rozładować ponury nastrój, jaki mnie ogarnął.

- Nic by mu nie było - przerwałem ciszę - gdyby nie to, że stracił głowę.

Moje słowa wybrzmiały pusto w zatęchłym powietrzu. Nick się nie odezwał; spokojnie, raczej obojętnie obejrzał ciała. Partyzanci spoglądali na mnie wyczekująco. Pojąłem, dlaczego mnie tu sprowadzili. Miałem przed sobą dowód ich siły.

Zacząłem filmować. Zmasakrowana twarz drugiego chłopaka wypełniła cały wizjer. Zupełnie inne wrażenie, niż kiedy oglądało się ją wraz z otaczającą przestrzenią; teraz widziałem tylko zmiażdżone kości i poszarpane tkanki. Podobno obiektyw jest czymś w rodzaju filtra - słyszałem to nie raz i przyjmowałem za prawdę. Owszem, ale ten filtr nie tłumil wrażenia, lecz wzmacniał je i powiększał. Opuściłem kamerę, a partyzanci oznajmili mi radośnie, że w najbliższych dniach czeka mnie znacznie więcej takich widoków.

- Wszystkich wybijemy - stwierdził z przekonaniem jeden z bojowników.

Widywałem już zabitych ludzi, ale teraz po raz pierwszy miałem do czynienia ze

zwłokami ludzi, którzy zginęli tak blisko, tak niedawno. Zamordowano ich w samym środku miasta, gdy my zmierzaliśmy mozolnym marszem w kierunku Tubmanburga. Słyszeliśmy strzały. Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak szukać schronienia w kiepskich dowcipach.

Później tego samego dnia, kiedy zbierało się na burzę, rozsiadłem się pod drzewem cytrusowym na naszym podwórku i zatelefonowałem do pewnego wysokiego rangą producenta z BBC. Miałem nadzieję zainteresować go naszym filmem. Zwłoki widziane tego dnia stanowiły w pewnym sensie dobry znak.

- Słyszałem strzały, ale, no, walki jeszcze nie widziałem. Jednak to już blisko. Wojna jest tuż-tuż. Tutaj zdecydowanie coś się dzieje. Widziałem też ofiary.

Zaczął mnie wypytywać, co już mam na taśmie.

- Ha, to kiepsko dla ciebie, ale z naszego punktu widzenia doskonała wiadomość, James! Wygląda na to, że będziesz miał z tego film - rozległa się pogodna odpowiedź. - Tylko że my naprawdę musimy mieć do pokazania trochę akcji, bang-bang, rozumiesz? Daj znać, kiedy coś takiego nakręcisz. Póki co, cóż, nie możemy jeszcze niczego obiecywać.

Rozłączyłem się, poszedłem na taras, żeby sporządzić notatki. Tak właśnie przedstawiała się bolesna prawda: aby mi zapłacono, muszę zobaczyć wojnę z bliska. Przynajmniej wiedziałem, czego się ode mnie oczekuje.

Przed południem następnego dnia nad zwykłym gwarem miejskiego życia wzbily się wystrzały oraz gwizd kul. Nick i ja wybraliśmy się akurat, żeby obejrzeć, co pozostało z miejscowego placu targowego i sfilmować sprzedających. Mimo wciąż rozgrywających się tu walk w centrum miasta zgromadził się tłumek baraszkujących dzieciaków i matronowatych niewiast handlujących tłuczonym ziarnem, starymi bateriami do latarek oraz tłustymi, jadalnymi ślimakami. Nastawiłem ucha, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z południa. Wpierw pomyślałem, że partyzanci znów strzelają na wiwat w powietrze. Potem w oddali rozległy się dwie eksplozje, głuche echo poniosło się ku nam między budynkami. Nie, to bitwa - stwierdziłem.

Otworzono ogień do partyzantów. Zamarłem. Nick spoglądał uważnie przed siebie. W ciągu kilku sekund ulica opustoszała, pozostali na niej tylko bojownicy. Rozsypany ryż, buty pogubione w panicznej ucieczce. Przeszedł mnie dreszcz. A więc to jest to... Zupełnie nie miałem pojęcia, jak się zachować.

Kilku bojowników odłożyło na bok radia i hałaśliwie stukając klapkami, skierowało się w stronę, z której dochodziły strzały. Nie mogłem sobie poradzić z kamerą; zmieniłem baterię, próbowałem oczyścić obiektyw, ale zamiast tego tylko jeszcze bardziej go zamazałem. Nick zdjął kałasznikowa z ramienia. Pobiegliśmy za partyzantami.

- Zanim tam dotrzemy, będzie już po kontakcie.

Nick wiedział, w jakiej odległości doszło do wybuchów. Ja nie, a poza tym nie chciałem mu uwierzyć. Chciałem zobaczyć i sfilmować walkę. Nawet określenie, jakiego użył Nick, wydało mi się śmieszne: „kontakt” to wojskowy eufemizm oznaczający strzelaninę.

Partyzant siedzący pięćdziesiąt metrów przed nami na poboczu kamiennej drogi zerwał się z drewnianego taboretu, wykrzyknął coś do przebiegających obok towarzyszy. My pędziliśmy w jego stronę, on tymczasem odbezpieczył granatnik. Kiedy już wstał, ponadmetrowej długości drewniana rura bazooki wyslizgnęła mu się z rąk i uderzyła o ziemię. Nastąpiła detonacja ładunku. Odbezpieczony pocisk z rykiem wzbił się w powietrze, ciągnąc za sobą smugę ognia. Żołnierz znikł w chmurze dymu i odłamków, a następnie upadł na plecy. Granat eksplodował w górze nad nami, zasypując blaszane dachy kawałkami rozpalonego metalu. Gdy spojrzałem znów niżej, zorientowałem się, że potężny strumień gazów wylotowych rozerwał rurę, jej fragmenty oraz kamienie zadziały jak odłamki. Nieszczęśnik stracił obie nogi.

Nick i jeszcze jeden z partyzantów zaciągnęli go do domu, ułożyli na chwiejnym drewnianym stole. Ten drugi był sanitariuszem, więc miał przy sobie bandażę i lateksowe rękawiczki. Nick pomógł mu wkłuć się w żyłę na ramieniu rannego. Ja w żaden sposób nie mogłem ich wesprzeć. Filmowałem. Oto miałem przed sobą realny przejaw wojny. Ścięta i resztki mięśni przylegały do kości udowej partyzanta. Jedna z nóg była już tylko szkieletem z wapnia i chrząstki. Wybuch urwał mężczyźnie genitalia.

Po minucie zmagania się z kadrem i ekspozycją - usiłowałem bowiem sfilmować czarnych ludzi w ciemnym pokoju na tle otwartych drzwi, przez które wpadało jaskrawe światło; uważając przy tym, żeby na zdjęciach nie znalazł się Nick - poddałem się. Potem już tylko patrzyłem. Partyzant przewracał się z boku na bok, chwycił ustami powietrze, lecz czynił to bezgłośnie, bez krzyku. Nick pokręcił głową, wyszedłem na zewnątrz. Usiłowałem zapalić papierosa. Ręce mi się trzęsły. „Kontakt” rzeczywiście już się zakończył, partyzanci się cieszyli, bo odparli kolejny atak. Pojawił się Nick.

- Nie żyje?

Zaciągnąłem się mocno dymem z papierosa. Zdołałem już się nieco uspokoić.

- *Ja*, bardzo niedługo. Umrze za kilka minut. Nic już się nie da zrobić.

Usiłowałem jakoś ogarnąć wydarzenia, których dopiero co byłem świadkiem. Niefilmowane sceny tłoczyły się w moich myślach, krążyły po obrzeżach świadomości. Widziałem kilka sekund wojny - ohydnej, bezsensownej. Nie do zniesienia.

Gdy szliśmy z powrotem do miasta, zastanawiałem się nad tym, jak skomplikowane jest filmowanie w takiej chwili. Przecież zmagalem się z kamerą, chociaż nie groziło mi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Jak sobie poradzę, kiedy będą do mnie strzelać?

Nie chodziło tu jedynie o kompetencje techniczne. Bez określonego zlecenia, nie dysponując redakcyjnym briefem, nie wiedziałem, co właściwie powinienem filmować. Miałem tylko bardzo ograniczony zasób taśm oraz niewielką ilość paliwa do generatora, więc musiałem podejmować ważne decyzje - kiedy kręcić, a kiedy nie. Nie mogłem sobie pozwolić na rejestrowanie nieistotnego materiału.

Jednak bez wahania włączyłem kamerę wkrótce potem, aby sfilmować Lee Watsona. Lee, urodzony w 1922 roku, przez osiemdziesiąt lat swojego życia zamieszkiwał w okolicach wzgórz Bomi. Zostałem go pośród wiernych w tamtejszym kościele katolickim. W dusznej hali opodal placu targowego, zaledwie sto metrów od miejsca, gdzie właśnie zginął młody partyzant, Watson oraz jego współwyznawcy zgromadzili się na codzienne modły. Różaniec Lee oraz schludna błękitna marynarka dziwnie kontrastowały z fantazyjnymi uniformami partyzantów. Głębokie zmarszczki okalały oczy przedstawiciela pokolenia, które widziało Liberię wyłaniającą się triumfalnie z mroków epoki kolonialnej, a następnie pogrążającą się w rzezi.

Kiedy wszedłem do kościoła, nikt nawet się nie poruszył. Dopiero gdy odkaszlnąłem, a potem przywitałem się, zebrani zaczęli pytać, kim jestem i czego chcę. Niemal wszyscy byli niewidomi.

Lee zasiadł przed obiektywem i opowiedział swoją historię, historię swojego ludu, dzieje jego wojen.

Kiedy Lee był jeszcze dzieckiem, w Liberii, aż do roku 1936, wciąż istniał pewien rodzaj niewolnictwa. Otóż członkowie plemion takich jak to, z którego się wywodził, musieli wbrew swojej woli pracować na rzecz potomków wyzwolonych niewolników z Ameryki, którzy założyli Liberię sto lat przed jego narodzinami i rządili krajem aż do 1980 roku. Z punktu widzenia buntowników (w większości przedstawicielei plemienia Mandingo) prezydent Taylor doprowadził do odrodzenia tej kolonialnej hegemonii; pragnęli go usunąć, aby zapewnić dostęp do władzy rdzennym liberyjskim plemionom. Za życia Lee wzgórze Bomi przemianowano na „doły Bomi”, ponieważ właśnie tutaj wydobywano tak wielkie ilości rudy żelaza, że Liberia stała się jej trzecim światowym eksporterem. A teraz, po dwudziestu latach ciągłych walk, na ruinach liberyjskiego marzenia o lepszym losie, Lee usiłował przeżyć, zadowolając się garstką ryżu dziennie. Trochę widział, więc pomagał swoim braciom w wierze wejść do kościoła i z niego wyjść.

- Nie ma radości - stwierdził, gdy uporał się z tym zadaniem. - Nie ma uśmiechu, jest tylko płacz. Płacz i łzy!

I rzeczywiście, kiedy to mówił, po jego policzkach ku koziej, siwej bródce spływały krople łez.

Gdy wróciliśmy do kwatery, pojawił się Deku, żeby poprosić mnie o pewną przysługę. Stałem właśnie na tarasie i przyglądałem się dzieciom grającym z partyzantami w piłkę nożną, tymczasem kobiety szorowały aluminiowe garnki w cieniu cytrusa. Deku stanowczo zjawił się nie w porę.

Chodziło mu o to, czy mógłbym zadzwonić do BBC i powiedzieć im, że tego ranka LURD opanowało Klay Junction, strategiczne skrzyżowanie na drodze do Monrowii.

- A zdobyliście to miejsce? - spytałem, zmuszając się do uśmiechu. Poczęstowałem go papierosem.

- Nie - przyznał, a po chwili dodał: - Ale wkrótce je zdobędziemy.

Ręce mi opadły. Deku właśnie zażądał, abym zaczął rozgłaszać wieści propagandowe na rzecz LURD, w dodatku kłamliwe. Ciekaw byłem, kiedy do tego dojdzie, lecz nie spodziewałem się, że nastąpi to ot tak, prosto z mostu. Na twarzy Nicka pojawił się uśmiešek. Czekало mnie niełatwe zadanie.

- Widzisz, Deku, oto, jak się rzeczy mają - zacząłem ostrożnie. - Moje reportaże są dla was przydatne właśnie dlatego, iż mogę w każdej chwili dowieść, że wszystko, co w nich mówię, jest prawdą. Jeśli podam informację, że Klay znajduje się w rękach LURD i okaże się to nieprawdą, na przykład w tym czasie wybierze się tam przedstawiciel BBC w Monrowii, wówczas już nikt nigdy nie uwierzy w nic, co powiem.

Deku słuchał mnie uważnie.

- To potężna broń - przyznałem, wskazując ruchem głowy radio, które trzymał w ręce - ale trzeba używać jej ostrożnie. Za to jeśli kiedykolwiek będziesz chciał, żebyśmy zadzwonił do nich i opowiedział o czymś, co widziałem na własne oczy, albo przekazał im coś, co ty bądź przewodniczący krajowy chcecie im zakomunikować, daj mi znać. Właśnie po to tu jestem.

Sam pogodziłem się już z faktem, że moje reportaże radiowe są w zasadzie bezużyteczne. W danej chwili oglądałem jakiś kilometr kwadratowy czy dwa tej wojny - inaczej mówiąc, tyle, ile znajdowało się w zasięgu mojego wzroku. Tymczasem za sąsiednim wzgórzem mogli wylądować Marsjanie, a ja nie miałbym o niczym pojęcia.

Deku skinął głową. Choć niechętnie, ale zgodził się z moją argumentacją. Zapalił dżointa, po czym oddalił się z powrotem w stronę miasta.

Odetchnąłem z ulgą, gdy okazało się, że Deku nie zamierza się ze mną spierać. Tymczasem Nick zwrócił moją uwagę na inne, istotniejsze znaczenie żądania generała.

- A więc Klay pozostaje w rękach rządu, podczas gdy wciąż dawano nam do zrozumienia, że zostało zajęte przez LURD. Z tego wniosek, że są - a właściwie jesteśmy - w gruncie rzeczy niemal odcięci. Były tylko dwie drogi wiodące na północ: główna szosa z Bopolu i zbyt wąski dla pojazdów szlak przez busz. Skoro odcięli tę drugą, znaleźliśmy się w *fokken* pułapce.

To wcale nie było zabawne, ale tak twardo wymawiał „r”, że się roześmiałem.

- I co teraz zrobimy?

- Spytam ich, czy istnieje jakiś inny szlak, może w kierunku wybrzeża. Miejmy nadzieję, że urządzą kilka zasadzek i powstrzymają siły rządowe przed kolejnymi wyprawami do miasta.

Tamtej nocy śniłem o mapach i bitwach staczanych ze ślepcami; majaczył mi się stary Lee Watson i niewolnicy, którzy zyskali wolność, by zniewolić swych pobratymców, a potem znów paść ofiarą przemocy. Wobec opowieści Lee Watsona *Jądro ciemności* Conrada wydawało mi się tanim romansidłem. W snach nie zobaczyłem jednak umierającego partyzanta ani zabitych żołnierzy sił rządowych. Na próżno usiłowałem wyraźnie ujrzeć ich twarze, już zaczęły mi się zamazywać w pamięci.

*

Śniadanie następnego ranka było czymś graniczącym z cudem. Żona jednego z dowódców upiekła dla nas chleb bananowy, który pochłonęliśmy niczym opętani. Mało tego, jeden z „żołnierzyków” Deku przyniósł nam prezent: trzy ananasy. Nim chłopiec zdążył położyć je wszystkie na stole, Nick już obierał ze skóry pierwszy z owoców za pomocą swojego noża marki Gerber. Sok spływający po naszym coraz bujniejszym zaroście smakował wyśmieniciej niż cokolwiek, czego dotąd kosztowałem. Od dwóch tygodni nie jadłem cukru, od prawie miesiąca żywiłem się wyłącznie ryżem i liśćmi manioku. Wydawało się niemożliwe, by tego dnia spotkało nas coś jeszcze lepszego. A potem jeden z młodszych dowódców, kapitan, którego imię zamazało się na marginesie kartki mojego notatnika, zajrzał do nas przez okno.

- Jay, człowieku, chcesz zobaczyć, jak urzadzimy zasadzkę?

W strugach ulewnego deszczu wraz z Nickiem i kapitanem przycupnęliśmy pod ścianą betonowej rudery na skraju drogi do Monrowii. Nie byłem w stanie pojąć, jaki jest plan bitwy - wybrzmiewające rozkazy pozostawały dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Mogłem tylko przypuszczać, że rebelianci czekają na atak.

- Niech idą pierwsi - doradził Nick. - Wyjdziemy stąd, jeśli okaże się, że wygrywają.

Obok mnie stało kilku nastolatków z bronią, ocierali wodę z oczu. Jeden z nich nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat. Nagle partyzanci po drugiej stronie drogi otworzyli ogień. Nie sposób było stwierdzić do kogo. Puścili się biegiem przed siebie. Nasi także, a ja i Nick - z miejsca porzuciwszy nasz roztropny plan - ruszyliśmy za nimi ku niewidzialnemu przeciwnikowi. Panorama i zoom na przemian, mierzyłem kamerą to tu, to tam, usiłując złapać ostrość na biegnących partyzantach, którzy strzelali w kierunku drzew.

- Strzelają tylko nasi - zawołał Nick, przekrzykując zgiełk. - Nic ci nie grozi.

Wpatrywałem się w wizjer, więc nie zauważyłem rozkładających się zwłok rządowego żołnierza, które partyzanci z LURD ułożyli w poprzek drogi na postrach wrogowi. Do buta przyczepił mi się kawałek żebra, gnijące resztki oblepiły sznurowadła. Przebiłem trupa stopą na wylot.

- Kurwa! Mów mi, dokąd idę! - wrzasnąłem na Nicka. - Kiedy filmuję, nic, kurwa, nie widzę.

Biegłem dalej, manipulując zoomem, tymczasem mój umysł wrzeszczał: „Masz ludzkie flaki na bucie!”.

Atak spełził na niczym. Utrwaliłem na taśmie strzelaninę, lecz jednostronną. Nieprzyjaciel, o ile w ogóle się pojawił, posłużył się perfidną taktyką: przez trzy dni z rzędu nacierał wzdłuż głównej drogi, ponosił straty, a potem się wycofywał, nic nie zyskawszy.

Wytarłem but o mokrą trawę. Cuchnął jak trupy, które widziałem dwa dni wcześniej: mdląco, ohydnie.

Gdy znów znaleźliśmy się na tarasie, puściłem taśmę na przenośnym odtwarzaczu. Wokół zgromadziło się ze dwa tuziny partyzantów, Nick także oglądał. O ile radio zaskarbiło mi życzliwość dowódców, dzięki ruchomym obrazkom uwierzyli we mnie także wszyscy pozostali. Uczyniłem z nich gwiazdy ich własnego miniaturowego telewizyjnego show. Prawie nie miałem pojęcia, co powinienem kręcić, dlatego po prostu dałem się ponieść akcji. W rezultacie uzyskałem obraz surowy, rozedrgany - i okazało się, że mniej więcej o to chodzi. Byłem z siebie dumny. Uzbrojone dzieciaki zaśmiewały się, pokrzykiwały, klepały się wzajemnie po plecach. Chciały obejrzeć wszystko jeszcze raz, i jeszcze raz. Zajrzał Deku, żeby sprawdzić, jaka jest przyczyna zamieszania.

- Pokażemy wam też prawdziwą akcję, zobaczycie - obiecał, szczerząc zęby w uśmiechu. - Czekajcie tylko.

Później tego samego popołudnia, gdy partyzanci się rozeszli, Nick i ja próbowaliśmy się rozluźnić. Siedzieliśmy sobie niczym starzy kumple usiłujący zabić czas dzielący ich od otwarcia pubu. Intrygowały mnie jego opowieści o latach spędzonych w wojsku, a chciałem

też dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego dalszej kariery.

- Jak się czujesz ze świadomością, że określa się ciebie jako najemnika? - spytałem.

Słowa te wybrzmiały, nim zdałem sobie sprawę, że je wypowiem. Nick spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

- Cobusowi to chyba nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że jest raczej z tego dumny - dodałem czym prędzej.

Nick siedział bez butów, z podwiniętymi nogawkami spodni, dokonując oględzin śladów ukąszeń moskitów. W rozpiętej koszuli piaskowego koloru, gdy tak przyglądał się białej skórze na swoich nogach, sprawiał wrażenie, jakby jakaś tajemnicza siła przeniosła go tu z plaży w Blackpool.

- Tak naprawdę to tylko zwykłe, techniczne określenie ludzi, którzy przeprowadzają nieoficjalne działania wojskowe, a tymczasem słowo stało się obelgą. „Zawodowy żołnierz” brzmi znacznie lepiej. Ag, słyszałeś kiedyś o żołnierzach, którzy walczą za darmo? Nawet ci tutaj... - Ruchem głowy wskazał kierunek, z którego dobiegał gwar partyzantów zgromadzonych na placu poniżej nas. - Gdzie tam, właśnie ci goście przede wszystkim liczą na to, że gdy uda im się obalić Taylora, obłowią się jak nigdy w życiu. Ci z Executive Outcomes byli naprawdę dumni ze swojej roboty. Nie uważali, że czynią coś złego. Służyli jakby w regularnym wojsku, tylko walczyli dla innego rządu. Zaprosił nas tam oficjalny, uznany prezydent. Owszem, była to wojskowa junta, ale jednocześnie sprawowaliśmy nadzór nad przejściem do systemu demokratycznego. Nie powiedziałbym, żebyśmy pełnili tam funkcję najemników. Co najwyżej: „praca w ochronie”, tak jak teraz.

A co z zestrzeleniem helikoptera?- zadałem sobie pytanie. Co to ma wspólnego z „ochroną”?

- Tak czy inaczej - ciągnął Nick - rozkręciłem też własny biznes. Zbrojeniówka.

- Co takiego? Handlujesz bronią?

To było coś nowego.

- Ja, założyliśmy z Paulem, moim partnerem w interesach, firmę pod nazwą MTS, Military Technical Solutions (Wojskowe Rozwiązania Techniczne). Z początku głównie sprzedawaliśmy części do samolotów, ale pośredniczyliśmy też w zawieraniu umów dotyczących broni czy amunicji.

Mówił o tym rzeczowo, otwarcie, wyraźnie zadowolony ze swoich osiągnięć. To było fascynujące, a ja bardzo chciałem się dowiedzieć, jak funkcjonuje ten rynek. Wszystko, co wiedziałem o handlu bronią, sprowadzało się do filmów z Jamesem Bondem oraz powieści Fredericka Forsytha.

- *Ja* - Nick niespodziewanie przyznał mi rację. - Są i takie typy, ale staram się trzymać od nich z daleka. Na przykład, sprowadzamy mnóstwo amunicji z Ugandy. Jeden z moich ludzi wyjeżdża ciężarówką aż na front, gdzie siły rządowe walczą z partyzantami - a przynajmniej powinny walczyć - i kupuje od dowódców AK-47 oraz amunicję. Potem dowódcy meldują rządowi, że toczą ciężkie walki i domagają się nowych dostaw. Żołnierze nic nie mówią, bo nie chcą walczyć.

A więc samonapędzający się mechanizm biznesowy: kiedy dziennikarze donoszą o eskalacji działań wojennych, prezydent ma pretekst, by kupić więcej broni, również od krajów takich jak Wielka Brytania, a w tych zakupach pośredniczy między innymi Nick. Oględniej mówiąc, stanowczo niemoralne źródło zarobków.

- A co się dalej dzieje z ugandyjską amunicją?

- Wysyłamy ją na Madagaskar, a następnie odsprzedajemy. Potem to już może znaleźć się wszędzie.

Spojrzał po dachach miasta.

Na przykład tutaj - pomyślałem, ale trzymałem język za zębami.

- Mam w Monrowii znajomego, który załatwia Taylorowi kontrakty z Libią - opowiadał dalej Nick. - Za kilka dni będę musiał z nim pomówić. Według niego na lotnisku Robertsfield ma wylądować duży transport na pokładzie iljuszyna.

- Taylor sprowadza z Libii samoloty pełne broni?

Dopiero teraz zastanowiło mnie, z kim Nick rozmawiał przez telefon satelitarny. Przypuszczałem dotąd, że z żoną - okazało się jednak, że Nick zbierał też dane na swój użytek.

- *Ja*, na to wygląda.

Próbowałem się domyślić, co też Nick może kombinować.

- Czy Frank o tym wie?

- Nie, ten facet to mój przyjaciel z dawnych czasów. Pracował dla wywiadu RPA, może i nadal pracuje. Stanowi ogromnie przydatne źródło informacji. Amerykanie mają własne interesy.

Przelknąłem ślinę, rozważając, jak sformułować następne pytanie. Czuję się bardzo nieswojo, gdy tak pomału usiłowałem ułożyć całość z elementów łamigłówki, jaką były militarne poczynania Nicka.

- A co do handlu bronią... - powiedziałem niepewnie. - Czy to się zaczęło po kontraktach dla EO? Od kiedy właściwie z nimi współpracujesz?

W tej chwili Deku wspiął się po schodach i dołączył do nas na tarasie. Nick skinął mu

głową na powitanie, rozparł się wygodnie na sofie, sznurując na powrót buty.

- Wystąpiłem z wojska w dziewięćdziesiątym czwartym...

Deku nie pozwolił mu dokończyć.

- Hej, człowieku, a może o tym byś chciał nadać reportaż? - Uśmiechał się od ucha do ucha, ściskając w dłoni niebieski blok formatu A4. - Co jak co, ale to możesz obejrzeć na własne oczy.

Ujrzałem skrząco wypisaną długopisem imienną listę rządowych żołnierzy, przy każdym z nazwisk figurował numer seryjny przydzielonego kałasznikowa. Najnowszy wpis pochodził z tego samego dnia: 3 lipca 2002 roku. Pod nagłówkiem „żołnierze, którzy przypuścili atak” widniało trzydzieści dziewięć nazwisk, z generałem brygady Williamem Kamarą na czele. Ludzie Deku właśnie zabili go w zasadzce i znaleźli przy nim ten polowy notatnik. Miałem w rękach niezwykle dokument. Wynikało z niego niezbicie, iż wojska rządowe atakowały kluczowy, strategiczny punkt, jakim był Tubmanburg, siłami liczącymi niespełna czterdziestu ludzi. Co więcej, ów oddział składał się nie z regularnego wojska, lecz z siłą wcielonych do zbrojnej milicji nieszczęśników, którym wydzielono kilka RPG oraz nieco amunicji; ich zapłatę stanowiły „gin” i „trawa”.

Z notesu wypadł list zaadresowany do nieżyjącego już „pełniącego obowiązki głównodowodzącego w regionie Bomi (linia frontu)”. Pismo nosiło datę sprzed dwóch dni, był to właściwie rozkaz skierowany do zabitego generała brygady, by atakować Tubmanburg nieustannie, ponieważ, jak groził autor listu, „jeśli rozkaz nie zostanie skutecznie wprowadzony w życie, przeciwko wszystkim dowódcom zostaną podjęte stanowcze kroki”. Oprócz pogroźek nie brakło też błogosławieństwa na koniec: „Pozdrowienia bojowe od waszego szefa sztabu! Dbaj o swoich ludzi i niech Bóg błogosławi nasze poczynania”. Pod spodem widniał podpis: Christopher Yambo, szef sztabu dywizji.

Następnego dnia w odpowiedzi sporządzono pospieszną notkę. Kamara został rozerwany na strzępy granatem, więc nie zdążył jej wysłać. Pismo głosiło: „Było nas trzydziestu dziewięciu, ale pięciu uciekło, jest nas w terenie tylko trzydziestu czterech”. Poniżej figurowała lista pięciu dezertersów.

A więc LURD walczyło z zastraszonymi cywilami. Nawet Deku sprawiał wrażenie przygnębionego. Stwierdził, że chce zabijać żołnierzy Taylora, nie jakichś przypadkowych ludzi.

Siedzieliśmy nad tymi dokumentami przez kilka godzin. Nick, Deku i ja zastanawialiśmy się, na ile są wiarygodne oraz co z nich wynika. Potem zatelefonowałem do BBC World Service, aby nagrać wywiad do następnego biuletynu Africa Service.

Później, wieczorem, Nick zadzwonił do swojego znajomego w Monrowii. Słyszałem, jak na tarasie o zmierzchu rozmawiał z nim w afrikaans. Ku memu zaskoczeniu Nick skinął na mnie i podał mi telefon.

- Na imię ma Piet. Tak, to *fokken* interesujące.

Piet, który okazał się „doradcą wojskowym” Taylora, słyszał audycję. Taylor również. Piet twierdził, że prezydent się wściekł. Natomiast Pieta niesłychanie bawiło, że Nick, jego stary kumpel, znalazł się po „złej stronie barykady”.

Spytałem o libijski samolot z dostawą broni dla Taylora. Owszem, spodziewano się go lada dzień. Jakoś nie potrafiłem dopatrzeć się niczego zabawnego w tym, że udało mi się wkurzyć stojącego na czele państwa psychopatę dysponującego samolotem pełnym broni oraz ludźmi, których może w nią wyposażyć. Co więcej, osobnik ów znajdował się w odległości niecałych sześćdziesięciu kilometrów ode mnie, a dzieliła nas tylko niemal niebroniona prosta droga. Nawet Nick musiał przyznać, iż mam pewne powody do niepokoju.

Tej nocy ułożyłem się do snu z zasłoniętymi oczami i zatyczkami w uszach, próbując odciąć się w ten sposób od zgiełku partyzanckich radyjek. Rozebrałem się do mojej ostatniej prawie czystej koszuli, a następnie łyknąłem nie tylko coveczorną pigułkę przeciwko malarii, lecz także małą, niebieską tabletkę valium. Wiele lat wcześniej otrzymałem ten lek na receptę jako środek na rozluźnienie mięśni po uszkodzeniu karku, którego doznałem w wyniku wypadku. Zawsze nosiłem te pigułki przy sobie, w razie gdybym znów dostał skurczów w ramieniu, jednak teraz potajemnie zażyłem narkotyk z innego powodu: aby zapaść w głęboki sen mimo gromadzących się w mojej głowie złowrogich wizji.

6. Whisky Papa

- Atakują nas.

Wrywam zatyczki z uszu, pokój rozbrzmiewa eksplozjami pocisków z pancernic. W panującym wciąż półmroku pomieszczenie nagle wydaje mi się bardzo małe. Nick jest ubrany, trzyma kałasznikowa w pogotowiu. Głos w mojej głowie wrzeszczy: „WŁÓŻ BUTY!”. Ubieram się niezdarnie, pakuję taśmy do kieszeni, pamiętam o zapasowych bateriach. Teraz wybuchy granatów rozlegają się rzadziej, lecz wciąż odbijają się echem od ścian budynków. Suchy trzask wystrzałów narasta falami, a potem zamiera, by znów się nasilić. Wlokę się do łazienki, usiłując otrząsnąć się z tępego snu po valium.

- Pospiesz się - ostrzega mnie Nick. - I trzymaj nisko głowę.

Zabłąkane kule grzęzną w blasze i belkach naszego dachu.

- Musimy wyjść na zewnątrz.

Rezygnuję z sikania, zbiegam po schodach, Nick za mną. Stoimy i słuchamy. Kanonada dobiega zza naszego domu, nie od strony głównej drogi.

- Musieli obejść miasto. Zaczekaj tu minutę.

Chodzę w kółko, manipulując przy kamerze. Przebiega grupa partyzantów. Za nimi różnym krokiem podąża Dragon Master, wykrzykując coś do przenośnej krótkofalówki. Nick przeładowuje kałasznikowa, po czym my także udajemy się w tamtą stronę; opuszczamy podwórze i biegniemy truchtem przez wąskie uliczki prowadzące do buszu na skraju miasta. Poddajemy się instynktowi; biegną wszyscy, więc ja także, niczym psy w stadzie.

Filmuję w biegu, serce mi wali, zawęża się pole postrzegania. Teren przed sobą widzę w najdrobniejszych szczegółach - zauważam łodygę trzciny rozcinającą wody strumienia, miękkie cienie kamieni w porannym półmroku. Słyszę strzały i wybuchy granatów, lecz poza tym ani słowa. Tak jakby wszyscy zniemacka oniemieli. A potem nagle znajdujemy się na otwartej przestrzeni. Przykucam, widzę przed twarzą chwiejące się źdźbła trawy. Lśnią piękną, opalizującą zielenią, ich zapach niesie ukojenie. Chłód poranka, stalowa szarość nieba, a wszędzie wokół kołyszące się i drgające trawy. A potem spostrzegam więcej niż tylko trawę. Znaleźliśmy się pod ostrzałem. Dwa metry przed moim nosem kule rozszarpują zielone źdźbła i chwiejne trzciny.

Biegnę w tył, potem znów do przodu; zatrzymuję się; przykucam, potem znów biegnę w tył.

- Jasna cholera, nadchodzą prosto z buszu.

- Ruszaj się. Prędej. Nie zatrzymuj się. Nie wolno się zatrzymywać.

Nick znajduje się tuż za mną, pogania mnie, z dłonią na moim ramieniu. Nie mogę uwierzyć, że znalazłem się w środku starcia. Przystają się liczyć moje wyobrażenia o wojnie, brak wiary we własne siły, lęk - wszystko znika. Wojna stała się faktem. Nie myśleć - powtarzam sobie - biec, biec.

Gęsty ogień z obu stron. Partyzanci po mojej prawej stronie ostrzeliwują się, prowadząc ogień w naszym kierunku.

- Fok, zaraz oberwiemy od naszych - krzyczy Nick i puszcza serię, żeby zmusić tamtych do zaprzestania ognia.

- Nie strzelać! - wrzeszczę, biegnąc i filmując. - Nie strzelać, kurwa, nie strzelać!

Po stu metrach szaleńczego sprintu padam na ziemię. Chowam się za ścianą domu i sprawdzam kamerę, zmuszam palce, by ustawiły pokrętła i przełączniki. Potem kieruję obiektyw w stronę ostatniego domu na skraju miasta, za którym kryją się napastnicy. Młodzi rebelianci chowający się obok mnie wydają okrzyki wojenne. Jeden z bojowników stroszy irokeza, potem zmienia magazynek i znów przystępuje do walki.

Rusza naprzód.

Za nim inni partyzanci. A więc ja też, wciąż bezmyślnie, tuż za mną Nick. Filmuję, biegnąc, ujmuję w kadr ich broń trzymaną nad głowami, ukosem, po gangstersku; w powietrze wylatują gorące, zużyte łuski. Pociski wystrzeliwane przez przeciwnika wzbijają kurz, trafiając w ziemię przed nimi, przed nami, gdy zbliżamy się do domu na wzgórzu. Z lasu wznoszą się smugi pocisków RPG kierowanych w stronę miasta. Teraz trzymam kamerę nisko, wciąż biegnę, a potem znów szukam bezpiecznej kryjówki.

Atak kończy się po czterdziestu pięciu minutach. Siły rządowe się wycofują. Jeden z partyzantów, sfrustrowany, strzela jeszcze w ścianę zieleni, a potem jest już po wszystkim.

- Uwielbiam zapach kordytu o świcie - żartuje Nick.

Śmiejemy się, oddychamy z ulgą.

Rozluźnieni, zadowoleni, że uszliśmy z życiem, maszerujemy z powrotem ku miastu wąską ścieżką, gęsto porośniętą z obu stron. Nick wciąż jest blisko, tuż za moimi plecami. Znowu filmuję: kilkunastu partyzantów przede mną przedzierających się przez bujne trawy. Żołnierze Taylora mogą znajdować się pięć metrów ode mnie, a ja i tak ich nie zobaczę - myślę, idąc dalej. Partyzanci przewieszają kałasznikowy przez ramię. Nie opuszczając kamery, kieruję ją w prawą stronę, przez gęste listowie, potem znów do przodu. Kiedy ustawiam kadr, jakieś trzydzieści metrów przede mną z trawy wyłania się nieprzyjacielski

żołnierz, wali z kałasznikowa prosto w nas, we mnie.

Pierwsza kula nieomal muska mikrofon kamery, dwa centymetry na prawo od mojej twarzy; druga świszcze koło mojego lewego ucha. Rzucam się w trawę, w powietrzu dalej gwizdzą pociski. Partyzanci odpowiadają bezładnym, histerycznym ogniem. Jakby w powietrzu zaroilo się od oszalałych, wyjących pszczół. Spoglądam na Nicka, który przestawia bezpiecznik do dolnej pozycji i celuje w krzaki tuż przy drodze.

- Nie podnoś się! - krzyczy, widząc kątem oka, że nie wiem, co robić.

- Nic nie widzę, nic a nic. Nick? Jesteś moim oczami, powiedz, co się dzieje?

Seria pocisków przechodzi łukiem po zielonych liściach wokół nas.

- Dobra, uważaj z tej strony. Trzymaj się po mojej lewej.

Wstaję, idę za nim. Posuwa się naprzód skulony, z kolbą przyłożoną do ramienia, celując przed siebie. Partyzanci na oślep opróżniają magazynki; prują w zarośla, które są jednak idealną kryjówką. Stoję, filmuję. Ostrożnie zmierzamy przed siebie, znów w każdej chwili oczekując ostrzału - z przodu, z boków.

Jednak nic więcej się nie wydarzyło. Nikt już do nas nie strzelał. Wszystko to trwało pięć minut. Czulem się wykończony, ale jednocześnie rozpierała mnie euforia. Udało mi się. Minął tydzień od naszego przybycia na front, lecz przecież nie na darmo męczyliśmy się w upale, zmagaliśmy się z chorobą; pot, lęk i niepewność nie poszły na marne. Zdołałem sfilmować wojnę.

Wróciliśmy do domu, odtworzyłem nagrania. Na naszym małym VCR ujrzałem dym z luf partyzanckich karabinków, kule wzbijające pył z ziemi tuż koło mnie. Oto nowoczesna wojna - natychmiastowy replay. Dopiero teraz, na tarasie, zdałem sobie sprawę, jak mało brakowało.

Nick rozsiadł się i zaczął metodycznie, z upodobaniem czyścić swojego kałasznikowa. Ja tymczasem odpałem generator, podłączyłem do niego telefon satelitarny oraz baterie kamery, po czym powróciłem do nakręconych scen, by stwierdzić, co z nich nadaje się do filmu. Prezentowały się całkiem nieźle, wszystkie zdjęcia ostre, znośnie skadrowane, troszkę niedoświetlone - gorzej przedstawiała się kwestia dźwięku. Odtworzyłem wszystko jeszcze raz dla zgromadzonych partyzantów, a później zagrzebałem się w instrukcji obsługi kamery, by spróbować rozwickłać zagadkę ścieżki dźwiękowej.

- Fajne. Naprawdę widać, co się działo.

Nickowi również spodobało się wideo.

- Tak, ale nie mogę się zorientować, jak rozdzielić dźwięk na dwie ścieżki, prawy i lewy kanał.

Podniosłem na niego wzrok. Najwyraźniej film go wciągnął, nie zdążył nawet zrzucić z siebie mundurowych łachów Reconnaissance Regiment.

- Dobrze jest, chłopie. Masz to na taśmie, będzie z tego film. *Fokken good*.

Gdy wieczorem zrobiło się nieco chłodniej, a nad horyzontem zgromadziły się burzowe chmury, nadszedł Deku i przyniósł nam jedzenie. Posilił się razem z nami. Oprócz ryżu z chilli palącego jak wszyscy diabli otrzymaliśmy sporą miskę bananów smażonych w oleju palmowym - to był dla mnie smak dzieciństwa. Po separacji moich rodziców żyliśmy z matką w warunkach, które z dzisiejszej perspektywy określiłbym jako pogranicze ubóstwa. Mama nie sprzedała obrączki ślubnej tylko dlatego, żeby móc ją zastawiać w lombardzie i pod koniec tygodnia kupować jedzenie. Szczególny przysmak stanowiły wówczas rajskie banany z targu w Brixton, wysuszone gdzieś pod niebem odległych krain. Nazywaliśmy je „specjalnymi bananami”. Deku przysłuchiwał się jakby skrzepowany. Nick rzucił kąśliwą uwagę na temat nieobecnych ojców, wyraźnie kierując ją do samego siebie. Deku stwierdził, że trudniej jest być nędzarzem w kraju bogatym niż w zrujnowanym. Nie mogłem się z nim zgodzić.

- A kiedy ostatnio dzwoniłeś do mamy? - wtrącił się Nick. Zdziwiła mnie ta jego troska. Fakt, nie rozmawialiśmy już od ponad miesiąca.

- Powiedz jej, że Charles Taylor bardzo się ciebie boi - zaśmiał się Deku, gdy wyciągnąłem telefon satelitarny z torby zawieszanej na ramieniu. - Słyszeliśmy, jak ci z sił rządowych powtarzali sobie, że został wydany rozkaz, żeby nie dać ci uciec. Naprawdę chcą cię dorwać! Otrzymałeś kryptonim Whisky Papa, od *white people*.

W Tubmanburgu Taylor rozgrywał własną grę. Oto, na czym polegała: „zetrzeć z powierzchni ziemi buntowników i schwytać białych”. Nikt nie miał wątpliwości, co do zasad tej gry, ponieważ żadne nie istniały. Tego dnia nie zaatakowała nas niekwapiąca się do boju milicja, lecz siły Navy Division pod dowództwem Rolanda Duoh, jednego z zaufanych dowódców i bliskiego doradcy Taylora. Deku oceniał ich liczbę na pięciuset, czyli dziesięciokrotnie więcej niż podczas ostatniego ataku.

- Mówisz głosem Myszki Miki! - Dźwięk zniekształcony przez telefon satelitarny wydał się mamie zabawny. - Cieszę się, że zadzwoniłeś. Co u ciebie?

Od razu przypomniałem sobie, dlaczego się z nią nie kontaktowałem. Przed wyjazdem przysięgłem sobie, że będę jej mówił tylko prawdę o tej podróży. Zasłużyła na to. Bardzo mi pomogła na początku przygotowań i mniej więcej zdawała sobie sprawę, co może mnie czekać - przynajmniej tak się nam obojgu wydawało.

- Bo ja wiem...

Staralem się dobrać słowa, które opiszą, lecz nie przestraszą. Ale jak mogłem opowiedzieć o człowieku, któremu urwało obie nogi, nie dając zarazem jasno do zrozumienia, że także znalazłem się w ogniu walki? Jakoś nic nie przychodziło mi do głowy.

- Szliśmy kawał drogi, sporo ponad sto sześćdziesiąt kilometrów, tak mi się wydaje. Nie uwierzyłabyś, jak tu leje - czasem tak mocno, że trudno jest ustać pod strugami deszczu...

Pogoda - bezpieczny temat.

- Babcia używa sobie w ogrodzie. Przez cały zeszły weekend zapędzała dziadka do wykopywania kamieni. Pokazuje mu, gdzie kopać, a on kopie. Trawa nieco zrudziała, ale kwietniki prezentują się wspaniale. Ach, i kaczki znów przyleciały!

Mroczny, klaustrofobiczny dziedziniec w Tubmanburgu otworzył się w moich oczach na magiczny widok z ogrodu moich dziadków, na panoramę kanału La Manche okoloną kwiatami.

- Zbieram materiały do filmu, ale bardzo na siebie uważam. Zresztą Nick się o mnie troszczy.

- Dobrze, dobrze. Niech się troszczy. Myślę, Jamo, że po tej wycieczce będziesz miał mi mnóstwo do opowiedzenia. Ale naprawdę się cieszę, że tak świetnie sobie radzisz.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc; podczas tej rozmowy nie było nawet wzmianki o wendecie zaprzysiężonej przez Taylora. W milczeniu nasłuchiwałem brzęczenia owadów oraz dalekich pomruków burzy. I dopiero po dłuższej chwili olśniło mnie, że przecież mama też słucha BBC World Service.

Obawiałem się, że rozmowa z domem może przyprawić mnie o nostalgię, jednak przeciwnie, kontakt z bliską osobą podniósł mnie na duchu. Próbowałem utrzymać ten nastrój i wystukałem numer Rachel w Glasgow, ale przerwałem połączenie, zanim zdążyła odebrać. Nieważne, gdzie była. W takiej rozmowie padłyby tylko zdawkowe kłamstwa. Nie miałem do powiedzenia nic, co byłoby prawdziwe lub czułe, a nie mogłem się zmusić, by ująć to, co mnie z nią łączyło, w brutalne ramy i język tej wojny.

Wspiąłem się na taras, spojrzałem na Nicka i Deku. Nick szkicował konturową mapę na podstawie sporządzonych w mieście odczytów GPS; Deku skręcał kolejnego splifa i pomstował na Taylora.

- Dobra, chłopaki, idę spać.

- *Ja*, to na razie.

Po tym pożegnaniu pograżyłem się w ciemnościach, ale słyszałem jeszcze fragment rozmowy Nicka z Deku:

- *Ja*, słuchaj, chłopie, nie dałoby się tak zrobić, żeby twoi ludzie wynieśli jutro trochę

trupów do lasu? Poważnie, czuć je nawet tutaj.

Położyłem się do łóżka w butach i czekałem, aż nadejdzie sen.

*

O szóstej następnego ranka obudził mnie wybuch pocisku z RPG, który zniszczył dom po drugiej stronie drogi. Donośne, grzmiące eksplozje wstrząsały całym miastem. Byłem już ubrany, więc wystarczyło chwycić torbę z nakręconymi taśmami, telefon satelitarny i notesy. Wybiegłem za Nickiem na zewnątrz.

Tam sprawy przedstawiały się inaczej niż w czasie poprzedniego ataku. Dziesiątki cywili zgromadziły się na podwórzu. Kule odłupywały beton z naszego tarasu.

Przysiadłem na piętach za ścianą sąsiedniego domu i zapaliłem papierosa. Nieprzerwany trzask strzelaniny przerodził się w sekwencję pojedynczych, donośnych wystrzałów. Przypadło do mnie dwóch partyzantów, wyjrzeni za róg domu, a potem unieśli kałasznikowy, by odpalić po serii w kierunku centrum miasta.

- Nie bój się - powiedział jeden z nich. - My cię obronimy.

Drugi zakrył łysą głowę jasnozielonym czepek kąpielowy - takim, jaki się wkłada pod prysznic. Puste łuski tryskały z jego karabinka niczym wrzątek z kranu. Huk był ogłuszający. Dzwoniło mi w uszach tak, że gdy słyszałem własny głos, brzmiał on niczym z zepsutego radia.

- Dlaczego nosisz czepek kąpielowy? - wrzasnąłem.

Naprawdę chciałem wiedzieć. Nawet według dość dziwacznych standardów mody obowiązujących pośród partyzantów LURD ten element stroju stanowczo go wyróżniał. Zupełnie jakby mnie nagle teleportowało na plan *Cała naprzód*.

- No bo pada - wyjaśnił rebeliant.

W odległości pięćdziesięciu metrów żołnierze wojsk rządowych w jasnożółtych T-shirtach Navy Division truchtali ku nam, strzelając. Puściłem się biegiem.

Nick stał trzy metry ode mnie, właśnie próbował dogadać się z wyraźnie zdezorientowanym kapitanem wojsk partyzanckich.

- Nick, kurwa, są naprawdę blisko. Musimy spierdalać, i to już... Już, już, już!

Biegliśmy razem, tymczasem Czepek Kąpielowy został, by powstrzymać napastników. Odwróciłem się raz, żeby sfilmować uciekającą ludność cywilną, potem już nie spoglądałem za siebie. Dotarliśmy do przeciwległego końca głównej ulicy i się zatrzymaliśmy. Czekaliśmy. Jeden z partyzantów przyklęknął i odpalił RPG prosto w chatę odległą od niego o dwadzieścia metrów.

Chwilę później przywleczono na środek drogi pojmanego żołnierza sił rządowych.

Rozebrano go do bielizny; miał związane ręce, krwawił, był brudny i przerażony.

Deku wrzeszczał na niego, a zbłąkane kule wciąż jeszcze trafiały w ściany budynków wokół nas. Wstałem i nie ruszając się z miejsca, filmowałem dyskusję dowódców, którzy spierali się, jak należy postąpić z jeńcem. Kierowałem obiektyw to na jednego, to na drugiego, usiłując pojąć cokolwiek z ich żargonu. Więzień spojrzał na mnie, na kamerę oczami szeroko rozwartymi ze strachu. Jednak wydało mi się, że w tamtej chwili zobaczyłem w nich błysk nadziei. Może sądził, że moja kamera, nagrany materiał, jako dowód sfilmowany na żywo, zdoła go ocalić. Ja zresztą także myślałem, że uda mi się go uratować, skoro się tam znalazłem; skoro stałem się świadkiem jego pojmania, uchronię go od najgorszego losu. Kręciłem dalej. Miał piękne ciało, każdy mięsień zdawał się wyrzeźbiony z czarnego, lśniącego od potu marmuru.

A potem rozpętało się piekło. Deku wciąż krzyczał, tymczasem przyniesiono zabitego bojownika LURD. Niosło go czterech towarzyszy, jego bezwładne ramiona zwisały jak ukrzyżowane, na żółtych butach marki Nike widniały jaskrawoczerwone plamy. Skadowałem zakrwawione ciało ułożone na ziemi. A potem, akurat gdy podniosłem kamerę, rozwścieczony Deku zmusił jeńca, by ten ukląkł na skraju drogi, po czym oddał kilka strzałów prosto w jego plecy. Ujrzałem dziury w skórze i wylatujące fragmenty płuc.

Podszedłem do niego, wciąż filmując, tymczasem Deku stanowczym krokiem ruszył z powrotem ku linii frontu - metalowe identyfikatory zawieszane na jego szyi połyskiwały w słońcu na tle T-shirtu ozdobionego czerwonym logo Brooklyn. Widziałem, jak postrzelony rozpaczliwie chwytta powietrze wraz z pyłem drogi, patrzyłem na jego twarz potwornie zniekształconą cierpieniem. Szukał wzrokiem mojego spojrzenia. Odezwałem się do stojącego obok mnie partyzanta, usłyszałem własny głos:

- On jeszcze żyje.

Na twarzy buntownika odmalował się wyraz głębokiej troski.

- O - powiedział. - To chyba muszę go dobić.

Odwrociłem się znów ku śmierci. Wtedy zrozumiałem, że tej lekcji nie zdołam wymazać z pamięci. Edukacja na wojnie to proces nieodwracalny. Odszedłem i usiadłem z wciąż pilnującym mnie Nickiem na pobliskiej ławie, zapaliłem ostatniego marlboro. Nie miałem nic do powiedzenia.

Przekonywałem w myśli siebie samego, że trzeba utrwać na filmie okrucieństwa partyzantów, aby przekazać prawdziwy obraz ich wojny. Przypominałem też sobie czarno-biały fotoreportaż o egzekucji w RPA, który widziałem, gdy miałem około dwudziestu lat. Członkowie rasistowskiej, paramilitarnej organizacji AWB zostali publicznie rozstrzelani

przez czarnego policjanta. Bardziej niż same zdjęcia utkwiła mi w pamięci reakcja obecnych tam fotografów. Ci, którym umknął ów „decydujący moment”, zazdrościli kolegom udanych ujęć, tego, że zdołali uwiecznić śmierć na filmie. Pamiętałem ich słowa: „Egzekucja to przeżycie jedyne w swoim rodzaju - przyznał jeden z nich. - Nawet jeśli bezustannie fotografujesz przemoc i wojnę”.

Nurtowało mnie, czy zastrzelony przez Deku mężczyzna - który z pewnością jeszcze niedawno był nastolatkiem - pozostawił kogoś, komu będzie go brakować; czy zrozpaczona matka liczy dni do jego powrotu, może żona wpatruje się w jego zdjęcie, jeszcze o niczym nie wie. Ze wszystkich najintymniejszych wydarzeń jego życia ja, obcy, uczestniczyłem w chwili ostatniej i najbardziej dramatycznej.

Przekradliśmy się z powrotem labiryntem bocznych uliczek do miejsca, gdzie toczyła się walka. Wreszcie strzelanina umilkła, wyszliśmy więc na główną ulicę. Żołnierze w żółtych koszulkach znikali właśnie za wzgórzem, skandując głośno podczas odwrotu. Według potwierdzonych wiadomości zginęło czterech partyzantów, pięciu odniosło ciężkie rany. Wszystkim kończyła się amunicja. Dragon Master stwierdził, że w głównej zbrojowni pozostało już tylko dwieście pocisków. Nick miał więcej w swoich zapasach. Na ukończeniu były też granaty RPG. Gdyby atak sił rządowych potrwał jeszcze kwadrans, zakończyłby się powodzeniem. Tymczasem chyba nikt prócz Nicka nie zdawał sobie sprawy, w jak niebezpiecznej sytuacji się znaleźliśmy.

Gdy znów zasiedliśmy na tarasie, rozważaliśmy, jak należy postąpić w tych warunkach.

- Jeśli skończy im się amunicja, będziemy musieli stąd wiać - uznał Nick. - Lepiej spróbować szczęścia samemu, niż żeby dopadli nas tutaj podczas rzezi, do jakiej z pewnością dojdzie. No ale to ostateczność.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić.

- Absolutnie. Na razie sprawdzimy, czy będzie coś o nas w wiadomościach.

Kilka godzin później Nick nastroił radio na BBC. Razem z Deku i innymi dowódcami wysłuchaliśmy programu *Focus on Africa*; bandażowałem przy tym obolałe kolana. Siedzieliśmy w milczeniu, zdumieni. Tego dnia Taylor odwiedził Klay Junction, a teraz zarzekał się, że osobiście w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin odbije Tubmanburg. Moje radiowe relacje sprowadziły na partyzantów istne piekło. Innymi słowy, moje działania właśnie bezpośrednio wpływały na przebieg wojny. Z jednej strony, dzięki reportażom pojawiła się przeciwwaga dla propagandy Taylora, ale z drugiej - to one sprowokowały go do decydującej rozprawy z buntownikami.

Wieczorem dotarli z Fassamy wymęczeni tragarze, przynieśli amunicję, pociski do granatników oraz paliwo. To nas ocaliło. Zadzwoiłem do tego samego producenta z BBC, czując się odrobinę jak urzędnik, który telefonuje do żony, żeby opowiedzieć jej o czymś niezwykłym, co wydarzyło się w biurze. Przekazałem mu pomysły wieści. Mieliśmy to, czego nam było trzeba.

- Doskonale - odpowiedział, chyba rzeczywiście był pod wrażeniem. Odetchnąłem z ulgą, od razu poprawił mi się humor. Przemoc to dla mediów cenny towar. - Może uda nam się sprowadzić do Gwinei Rageha Omaara i nakręcić z nim kilka kawałków w pobliżu granicy. Do tego dorzucimy sceny wojenne z naszego banku ujęć. Świetnie na tym wyjdiesz.

Nie było planu B, żadnej innej propozycji - i wiedziałem, że nie będzie. Zmęczony przeżyciami, do cna wyczerpany, zdołałem jednak jakoś nad sobą zapanować. Nie po to wystawiałem się na ostrzał, żeby ktoś inny dobrze wypadł przed kamerą. Tam i wtedy postanowiłem zachować ten konflikt wyłącznie dla siebie i dla Nicka, aż do chwili, kiedy będę mógł pokazać moje dokonania na własnych warunkach. To będzie moja prywatna wojna.

*

Życie pośród rebeliantów stawało się coraz bardziej skomplikowane. Z trudem przychodziło mi pogodzić ze sobą te dwa światy: nadzwyczaj uprzejmych, zdumiewająco grzecznych mężczyzn i kobiet dzielących z nami resztki bezcennego ryżu - oraz brutalnych żołnierzy na wojnie. Deku poczęstował mnie papierosem krajowego wyrobu, ze swojej ostatniej paczki. Przyjąłem. Przyjąłem od mordercy, a żartowaliśmy przy tym na temat naszego życia, które czekało na nas w domu wraz z papierosami marlboro.

- Jay, chłopie, pilnuj swojego skarbu - poradził mi, nazywając „moim skarbem” Rachel. - Bo wiesz, chłopie, jeśli pozostaniesz z dala od niej zbyt długo, różne złe, złe rzeczy mogą się zdarzyć!

Przeszłość Deku nadal stanowiła dla mnie tajemnicę. Tego popołudnia uśmiercił syna jakiejś matki, ale on także miał syna, dorastającego w Gwinei pod opieką żony, z którą Deku się rozstał. Gdy mówił o tym chłopcu, w jego oczach pojawiał się błysk, a na ustach - uśmiech. Niezależnie od podłości, jakich dopuszczał się wobec innych, ku mojej irytacji i mimo woli odczuwałem wobec niego sympatię.

Przypomniała mi się kwestia wypowiedziana przez Martina Sheena grającego rolę kapitana Willarda w filmie *Czas Apokalipsy*: „W takim miejscu jak to, oskarżać kogoś o morderstwo - stwierdził - to jakby na Indy 500 wlepić mandaty za przekroczenie prędkości”. W Liberii towarzyszyło mi poczucie, iż moim obowiązkiem jest potępić występki, ale cóż,

skoro winnymi byli ludzie, dzięki którym pozostawałem przy życiu? Desperacko poszukiwałem moralnego autorytetu, bym mógł się do niego odwołać. Kiedy wędrowałem przez dżunglę na front, wspominałem słowa mojego dziadka, Martina, zawodowego żołnierza, który mówił mi, że tylko na wojnie mężczyźni darzą się wzajemnie miłością niestawiającą pytań, miłością bezwarunkową. Ta właśnie miłość - powiadał - pozwoliła mu zarówno przeżyć, jak i znieść udział w tych jatkach. Teraz, gdy siły rządowe niemal nas otoczyły, w mojej pamięci odezwał się inny głos.

Don, mój dziadek ze strony matki, także weteran wojenny, do kwestii zabijania ludzi odnosił się w całkiem inny sposób. Nie szło tu o przygodę, lecz o poczucie obowiązku. Walczył dlatego, że tego wymagał jego kraj, przelewał krew w bitwach, uważając, iż to praca, którą należy wykonać w imię wyższego dobra. O ile Martin grał na skrzypcach ludowe kawałki i nabijał mi głowę harcerskimi opowieściami w stylu „Boy’s Own Paper”, [Pismo dla chłopców obfitujące w opisy przygód, wydawane w latach 1879-1967.] o tyle Don razem z mamą zajęli się wychowaniem mnie, pilnując, żebym odrabiał lekcje. Z jego nielicznych opowieści o wojnie szczególnie jedna rozbrzmiewała teraz żywo w moich wspomnieniach: zawsze wypowiadał się z najwyższym uznaniem o wojskach z Afryki Południowej. Anglicy i Afrykanerzy nie darzyli się wzajemnie szczególną miłością, lecz gdy zostały im już tylko resztki amunicji, po ośmiu miesiącach oblężenia razem wyrwali się z pułapki Tobruku. Opowiedziałem o tym Nickowi, który zdumiał się, a potem roześmiał.

- Mój wujek też walczył w Tobruku. Kto wie, może się znali!

Czyste szaleństwo, ale przecież mogli się spotkać.

Nie omieszkalem też pochwalić się Nickowi pewną przygodą mojego dziadka. Otóż kiedyś, gdy wybrali się na pustynię, by wymontować części z rozbitych niemieckich pojazdów, dziadek natknął się na feldmarszałka Erwina Rommla we własnej osobie, który dokonywał właśnie zwiadu na ziemi niczyjej, mając za całą ochronę tylko swojego kierowcę. Zasalutowali sobie wzajemnie pod palącym słońcem i każdy z nich odjechał w swoją stronę. Jednak na Nicku większe wrażenie wywarł fakt, że dziadek zajął się moim wychowaniem.

- *Ja*, przykro mi z powodu mojej małej. Ciągle nie ma mnie w domu... - przyznał Nick, mając na myśli swoją latorośl w Pretorii. - Prawdziwa z niej córeczka tatusia. Kiedy jestem w domu, nie odstępuję mnie na krok. A jaka ładna! Pozowała do zdjęć jako modelka dla firmy sprzedającej dziecięce ubrania. Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie zachwycało. Cały czas stałem obok faceta, który robił fotki, i go pilnowałem.

Zastanawiałem się, co Don sądziłby o tej wojnie. Wiedziałem, że kiedy wrócę do domu, będzie na mnie czekał, jak zawsze pełen życia i siły, ciekaw mojej relacji z wyprawy i,

jak miałem nadzieję, pełen uznania. Zdawałem sobie sprawę, że w gruncie rzeczy do Liberii wybrałem się dlatego, gdyż chciałem, żeby był ze mnie dumny.

Kiedy miało się ku zachodowi, Dragon Master poprosił mnie grzecznie o przysługę: czy mógłbym mu użyczyć telefonu satelitarnego i pomóc uzyskać połączenie?

- Oczywiście, jasne. Jest naładowany. Z kim chcesz rozmawiać?

Cieszyłem się, że mogę mu w czymś pomóc. Oni wszyscy nie żądali od nas wiele, natomiast bez wahania dzielili się z nami swoimi skąpymi zapasami żywności.

- Muszę zadzwonić do Lady w Konakry - wyjaśnił. - To ona zajmuje się logistyką. Ludzie są gotowi, ale nie wiemy, kiedy nadejdzie nowy transport.

Od razu pojąłem, o co chodzi.

- Masz na myśli amunicję? Chcesz ustalić datę następnego transportu?

- Tak, właśnie.

Zszedłem z nim na dół, pod drzewem wystukałem numer, który mi podał, nabazgrany na stronicy jego wyświechtanego notesu. Wziął ode mnie telefon, uśmiechnął się, po czym rozpoczął zupełnie niezrozumiałą rozmowę. Przez chwilę zastanawiałem się, w jakiej sytuacji stawia mnie to zdarzenie. Oto pomagałem partyzantom w uzyskaniu zaopatrzenia od gwinejskiego rządu. Co prawda, od tego daleko było jeszcze do zestrzelenia helikoptera... Ale nie aż tak bardzo daleko. Miałem wrażenie, że łamię jedną ze świętych zasad dziennikarskich: „Nie będziesz opowiadał się po żadnej ze stron”. Innymi słowy, zachowałem się jak najemnik.

Przez kolejne cztery dni ataki na Tubmanburg nie ustawały. Każdego ranka, dokładnie o szóstej trzydzieści, a potem jeszcze raz, po południu lub wieczorem, około trzech setek doborowych żołnierzy Taylora szturmowało pozycje partyzantów.

Radiostacje buntowników trzeszczały od podsłuchanych wiadomości. Helikopter Taylora, trzymając się poza zasięgiem partyzanckich granatników, przywoził z Foi najemników należących do Zjednoczonego Frontu Rewolucyjnego. Przewaga nieprzyjaciela rosła, lecz ludzie Deku trzymali się dzielnie. Kolejne dostawy amunicji pojawiały się od czasu do czasu, jednak wciąż nie dotarł większy transport, który miał liczyć czterdzieści tysięcy sztuk. Oczekiwaliśmy jego przybycia z Fassamy każdego dnia. Dzięki temu nie traciliśmy nadziei, naboje do kałasznikowa i zielone granaty stanowiły jedyną szansę na przetrwanie dla LURD - i dla nas.

W przerwach podczas wymiany ognia Nick i ja zasiadaliśmy na tarasie, w nieskończoność rozważając rozmaite plany ucieczki, wpatrując się intensywnie w mapę, śledząc przebieg drogi do Robertsport, wzdłuż której bez wątpienia roilo się od żołnierzy

Taylor. Jednak tamtędy było najbliżej do Atlantyku. Rozmawialiśmy o taktyce, o klęsce, aż korzystając z okazji i mając w pamięci ową egzekucję fanatyków z AWB, spytałem Nicka, jak to było, kiedy w 1994 roku zrezygnował ze służby wojskowej.

- Jak uważasz, czy te tak zwane komanda burskie miały szansę utworzyć odrębne afrykańskie państwo?

- Nie. - Machnął ręką. - To byli zwyczajni idioci. Ekstremiści. Nie byli w stanie niczego zmienić. Nie, w wojsku chcieli, żebym został, ale wszystko się zmieniało. Nowi dowódcy z MK byli do niczego. Żaden z nich nie miał porządnego wykształcenia. Wielu białych odeszło - chociaż z drugiej strony, wielu czarnych pozostało, ponieważ tylko w ten sposób byli w stanie zarobić jakieś pieniądze. Ale wszyscy prawdziwi zawodowcy źle znosili to, co się wtedy działo.

Ludzie z MK to bojownicy *Umkhonto we Sizwe*, czyli Włóczy Narodu - partyzanci ANC, którzy walczyli przeciwko państwu apartheidu od 1961 do 1990 roku.

- Część z nich z powodzeniem przeszła przeszkolenie, ale dowódcy nie nadawali się do niczego. A poza tym, wojna się skończyła. Moja druga żona i ja kupiliśmy sklep w Atlancie, w pobliżu Pretorii i próbowaliśmy ruszyć z interesem. Chciałem odciąć się od mojej wojskowej przeszłości. Zresztą moja żona chyba też miała tych spraw powyżej uszu.

Wstał i znikł w pokoju, a po minucie wyszedł, niosąc dwa kubki wody, świeżo zaczerpniętej z przefiltrowanego zapasu.

- Rany, człowieku, na tym miejscu ciążyła jakaś klątwa! Wydaliśmy na sklep odprawę, jaką dostałem po odejściu z wojska. Nasza klientela składała się głównie z czarnoskórych. Tylko że - *fok!* - okazało się, że ten lokal mieści się w samym środku siedliska węży. Nigdy w życiu nie widziałem tylu węży naraz. Wszędzie było ich pełno - pod wpływem tego wspomnienia zaczął mówić głośniej. - Nieważne, ile byś zabił, następnego ranka znów zjawiało się ich kilkanaście. Moja żona odchodziła od zmysłów. No i sklep okazał się totalną klapą, musieliśmy go zamknąć. Sprzedaliśmy wszystko, a w dziewięćdziesiątym piątym trafiła mi się ta robota w EO.

Trudno mi było określić, czy owa plaga niepokonanych gadów bardziej pasowała jako alegoria jego zmagania, by przystosować się do życia w nowej Afryce Południowej, czy też jako metafora naszej obecnej sytuacji w obłąkanym mieście.

- Czy nie kusilo was, to znaczy wojskowych, żeby w dziewięćdziesiątym czwartym chwycić za broń? Nie mieliście ochoty stawić oporu ANC?

Z trudem przychodziło mi uwierzyć, że po niemal dwudziestu latach służby Nick oraz jego towarzysze po prostu zrezygnowali ze wszystkiego, w imię czego walczyli, wzruszając

jedynie ramionami; że tak zwyczajnie pogodzili się z losem.

- Już w osiemdziesiątym ósmym było po wszystkim. Politycy wyczuli, skąd wieje wiatr, więc doszli do porozumienia znacznie wcześniej, niż się na ogół sądzi.

Usadowił się wygodniej, skrzyżował nogi. Upił łyk wody.

- W Angoli w osiemdziesiątym siódmym i osiemdziesiątym ósmym zginęło mnóstwo młodych ludzi, zupełnie na darmo. Czuliśmy się zdradzeni, ale przecież tak jest zawsze, tak było zawsze i wszędzie. Z jednej strony masz takich, którzy walczą i narażają życie, a z drugiej możliwych tego świata, którzy dogadują się nad ich głowami, żeby ich sprzedać.

Zamyślił się na chwilę, otarł pot z oczu.

- Ag, do tego musiało dojść. Nie mieliśmy innego wyboru. Nie można walczyć z całym narodem. Ich po prostu było zbyt wielu. To żaden sposób na życie. A zresztą, na razie ten nowy rząd radzi sobie nie najgorzej. Z gospodarką wszystko w porządku. Układ polegał między innymi na tym, żeby odpuścili sobie wszystkie komunistyczne koncepcje z dziedziny ekonomii. Pod tym względem odnieśliśmy zwycięstwo. Chyba większość ludzi już zdaje sobie sprawę, że komunizm to byłby *fokken* koniec wszystkiego.

Zapomniałem, a może nigdy tego nie wiedziałem, że aktywiści ANC byli zaprzysięgłymi marksistami. Kiedy Nick wsiadł na tego konika, trudno było go powstrzymać. Ta walka go ukształtowała, nadal nią żył i oddychał.

- W osiemdziesiątym siódmym i osiemdziesiątym ósmym prowadziliśmy w Angoli działania wojskowe zakrojone na szeroką skalę. Walczyliśmy z angolskim rządem, czyli z marksistami, oraz przeciwko Kubańczykom i Rosjanom, którzy byli komunistami. Prowadziliśmy z nimi wojnę od uzyskania niepodległości przez ten kraj, czyli zaczęliśmy w roku siedemdziesiątym piątym. Większość chłopaków, którzy wstąpili wtedy do wojska albo trafili do niego w wyniku poboru, wylądowała w kamaszach właśnie po to, żeby bronić RPA przed tą zmorą. Nie szło wcale o kwestie rasowe. Zresztą w 3-2 albo w Recces nie istniał apartheid w ścisłym tego słowa znaczeniu, mało kto w ogóle o tym myślał. A potem, wiesz, rząd dogadał się z komuchami. Mnóstwo ludzi strasznie się wkurzyło. Niektórzy twierdzili, że Rosjanie grozili eskalacją, Chińczycy tak samo.

Z punktu widzenia Nicka zimna wojna wcale nie była „zimna”. Kiedy na Zachodzie trwała gadanina o zmaganiach z imperium zła i odbywały się kolejne działania dyplomatyczne skierowane przeciw Moskwie, Nick oraz jego Recces w trudzie i znoju naprawdę zabijali czerwonych, niezależnie od koloru ich skóry. Rząd południowoafrykański wspierał wówczas niemal każdego, kto głosił antykomunizm. Zbrodnicze bojówki Renamo działające w Mozambiku, a utworzone przez Rodezję, by walczyć z nowo powstałym

niepodległym marksistowskim rządem, jak usłyszałem od Nicka, potajemnie szkolił i zbroił w latach osiemdziesiątych 5. Pułk Recces. Wojna i głód pochłonęły niemal milion ofiar, kilkakrotnie więcej osób zostało przesiedlonych lub straciło dach nad głową. Rasistowski reżim przyczynił się do powstania, a potem zbrojnie wspierał tyranów, takich jak Jonas Savimbi i jego buntownicza armia UNITA w Angoli. Zapytałem Nicka o ostatnie lata tej wojny. Czy widział na własne oczy jakichkolwiek kubańskich żołnierzy ponoć wysłanych tam przez Castro, aby walczyli u boku angolskiej armii? Dowiedziałem się, że Nick brał udział w walkach, które stanowiły wstęp do całej serii masowych konfrontacji między wojskami RPA, Kubańczykami, Rosjanami oraz Angolijczykami opowiadającymi się po obu stronach konfliktu. Jego misje w szeregach Recces przyczyniły się do zapoczątkowania działań wojennych na skalę niespotykaną dotąd w krajach afrykańskich położonych na południe od Sahary.

- Nie widywało się ich zbyt wielu, chyba że zabitych, ale ja, był taki jeden kubański żołnierz. Zobaczyłem go między dwoma czołgami, które rozbiliśmy. Odwróciłem się i zauważyłem go, celował do mnie z odległości kilku metrów, stał bardzo blisko. Miał już pusty magazynek. Odrzucił broń i uśmiechnął się do mnie.

- I co zrobiłeś?

Próbowałem wyobrazić sobie gorączkę walki prowadzonej na tak krótki dystans. To, co widziałem w Liberii, stanowiło zaledwie jej przedsmak. Nick zmieszał się lekko.

- No, zastrzeliłem go.

W 1987 roku miałem piętnaście lat. Wypisywałem na moim chlebaku hasła popierające ANC. Nie miałem o niczym pojęcia. Odtąd postanowiłem oceniać Nicka wyłącznie według tego, jak postępował obecnie, a nie na podstawie jego wyznań dotyczących przeszłości. Nie zawiódł mnie ani razu. Przyznawał przy tym uczciwie, że robił to, co robią żołnierze: zabijał. W czasach, kiedy ja bazgrałem po torbie z książkami, Nick walczył na wojnie. I nie była to wojna prowadzona wyłącznie i jednoznacznie w obronie apartheidu, lecz zgodnie z tym, w co wierzył Nick, wojna o przetrwanie narodu.

Właśnie w tym rzecz: ja nigdy o nic nie walczyłem, przynajmniej fizycznie, w imieniu takiej czy innej, słusznej lub niesłusznej sprawy. Nick - owszem, a jego przeszłość podążała za nim jak cień. On był kimś takim jak moi dziadkowie; człowiekiem, którego określały dokonywane przezeń wybory, o którego godności stanowiła odwaga przekonań, niezależnie od tego, czy były właściwe. Pod tym względem mogłem go tylko naśladować, ufać mu i go podziwiać. W tej „szkole ognia” był moim nauczycielem.

7. Trzewia wojny

Tubmanburg płonął. Czołgając się, dotarliśmy do linii frontu. Tłuste pociski z karabinu maszynowego świstały nad naszymi głowami, odłupywały kawałki betonu z murów domostw, które ostały się jeszcze w południowej części miasta. Odpowiadały im terkotaniem AK-47 partyzantów, ich kule przeorywały czarny asfalt ciągnącej się przed nami drogi. Nick wypatrzył szeroką aleję po prawej stronie, gdzie dżungla wdzierała się na ulicę. Pobiegliśmy w tamtym kierunku, klucząc od domu do domu, przyciskając się do ścian, aż ku miejscu po lewej, gdzie grupa dowódców omawiała przebieg bitwy. Tuż przed nimi w trawie klęczeli prowadzący ogień partyzanci.

A potem, całkiem niespodziewanie, gdy usiłowałem jeszcze złapać oddech, żołnierze sił rządowych ruszyli w naszą stronę, znajdowali się trzydzieści metrów od nas. Przycisnęliśmy się do muru - ja próbowałem filmować, Nick z kałasznikowem gotowym do strzału, wzrokiem sondował busz.

- Musimy stąd wiać. Natychmiast - stwierdził.

Wzruszyłem ramionami. Czołgaliśmy się przez miasto prawie dwie godziny. Nie zamierzałem wracać, nie mając na taśmie nic godnego uwagi.

- Dwie minuty! - poprosiłem.

- Nie, chłopie. Natychmiast. Ci goście ich nie powstrzymają. No, już!

Filmowałem dalej. Jeden z partyzantów upadł w krzaki. Byliśmy całkowicie odsłonięci.

- Jeszcze dwie minutki, dobra? - powtórzyłem.

Pojawił się Deku, w szortach i furażerze. Był tego samego zdania co Nick, kazał mi się wycofać. Z byka spadł, czy co? Od adrenaliny czułem się jak pijany.

- Bomby się skończyły, musimy się stąd ruszyć.

Nie żartował, przemawiał stanowczym tonem. Ale ja ledwo go słyszałem. Nick krzyczał mi prosto do ucha:

- Skończyły im się granaty RPG. Bez nich nie będą walczyć. Musimy się wycofać, natychmiast.

Nick nalegał. Ja przykląknę. Myślałem tylko o tym, żeby sfilmować działanie karabinu maszynowego. Zrobiłem zbliżenie na jego zamek, aby pokazać wylatujące łuski. Jednak wtedy Nick chwycił mnie za nadgarstek i przeciągnął na drugą stronę ulicy. Potem na

bok; zmusił, żebym się pochylił, przeprowadził mnie przez dom po naszej prawej. W samą porę. W miejscu, gdzie znajdowaliśmy się przed chwilą, eksplodowała fontanna ziemi. Bezpośrednie trafienie, wszyscy z naszego oddziału oberwali. Odzyskałem równowagę, gapilem się na drugą stronę drogi, nie mogłem oderwać oczu od zakrwawionych szczątków żołnierza, który przed chwilą stał obok nas.

Ogłuszony wybuchem, porażony myślą o tym, co mogło się wydarzyć, stałem jak wryty, a Nick wykrzykiwał jakieś polecenia. Wciąż znajdowaliśmy się pod ostrzałem. Kula przeleciała między naszymi twarzami i wybiła dziurę w ścianie za nami. Zachwiałem się, Nick mnie podtrzymał.

- Mało brakowało!

Nick naprawdę się uśmiechał. Nie do wiary. Chyba nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi.

Znów zaciągnął mnie w bezpieczne miejsce. Ogień z karabinu maszynowego przegnał nas na drugi koniec ulicy, ołowiane kule deptały nam po piętach. Potem znaleźliśmy się na asfalcie, poza bezpośrednim zasięgiem działań wojennych.

Filmowanie tak mnie wciągnęło i tak bardzo czułem się sfrustrowany, że nie mogłem uchwycić „kontaktu” na taśmie, iż dopiero po powrocie do domu oświeciło mnie, jak blisko otarliśmy się obaj o śmierć. Nick właśnie dwukrotnie uratował mi życie.

Siedząc na tarasie, zapełniałem notes datami i szczegółami, faktami i liczbami. Z wielką dokładnością zapisywałem godziny rozpoczęcia i zakończenia potyczek, jak gdyby tworząc porządek na tych stronicach, można było odnaleźć sens panującego wokół mnie chaosu, jakoś na niego wpłynąć, zaprowadzić ład. Kolana bolały mnie tak okropnie, że nie potrafiłem się porządnie skoncentrować, dlatego przerwałem, żeby na nowo je obandażować, jeszcze ciaśniej. Mój organizm zaczął wysiadać. Zęby bolały mnie tak bardzo, że przestałem je szczotkować. Skóra na udach swędziała niemal bezustannie, nie miałem pojęcia od czego, przypuszczałem, że od jakichś pasożytów. Skończyło nam się mydło, więc żyliśmy w brudzie. Na dodatek zaczęło mnie boleć lewe ucho. Nieświadomie co kilka minut unosiłem rękę, żeby dotknąć twarzy z tej strony.

- To od strzelaniny? - spytał Nick.

- Nie sądzę. Boli mnie ucho. Dlaczego pytasz?

- Ag, to dlatego, że ja wciąż słyszę dudnienie w uszach. Od artylerii.

- Od artylerii?

- Tak, pamiątka z wojska. W Angoli mieliśmy duże działa typu G5, naprawdę bardzo dobre. Kilka razy ocaliły nam skórę, ale wtedy nikt się nie przejmował ochroną słuchu i

takimi rzeczami. Fachowo to się nazywa szum uszny. Czasami bywa naprawdę irytujący.

Nieuleczalne schorzenie, które w ekstremalnych przypadkach może doprowadzić do szaleństwa. Kto wie, może skłonność do pracy bez zapłaty to jeden z pierwszych objawów?

- Ciągłe ci dokucza?

- Tak, nawet teraz. W bitwie jest lepiej, zgiełk zagłusza to brzęczenie. Kiedy milkną strzały, robi się dosyć głośne, zwłaszcza nocą.

Umilkliśmy obaj.

Buntownikom kończyły się pociski do granatników i jak słusznie stwierdził Nick, bez nich nie zamierzali walczyć. Jeśli chodziło o dostawy z Gwinei, to chyba nie było z nimi żadnych kłopotów, natomiast problemy pojawiały się, gdy trzeba było przewieźć transport z Voinjamy albo Zorzoru na drugą stronę rzeki Via. Dla nas jej wody wezbrane po deszczach oznaczały, iż droga odwrotu została najprawdopodobniej odcięta.

- Tak sobie myślałem - odezwał się nagle Nick, jakby przebudzony ze snu na jawie - że głównym problemem rebeliantów jest brak samowystarczalności. Są uzależnieni od Gwinei pod każdym względem, a w porze deszczowej mają przesrane, bo linie dostaw Taylora są o wiele krótsze. Ludność cywilna na ich terytoriach nie może uprawiać pól, a partyzanci nie są w stanie jej dostarczyć ani żywności, ani pracy. Muszą znaleźć własne źródło dochodu.

Oczywiście, miał rację, tylko jakim sposobem można utworzyć źródło dochodów na tym pobojuwisku?

- Słusznie. Tutaj mają przejebane. W lesie nie ma nawet owoców, ludzie wszystko wyjedli - stwierdziłem.

- *Ja* - uśmiechnął się Nick - ale w tutejszej ziemi kryje się coś ciekawego. Pozycja sąsiadująca z naszą mieści się opodal mostu Lofa, a tam znajduje się sporo diamentów. - Magiczne słowo zabłysło w mojej wyobraźni. - Muszą utrzymać Lofa, ponieważ w przeciwnym razie Tubmanburg padnie, ale tak są zajęci wojną, że nie ma żadnych szans, żeby wyciągnęli z tego jakieś korzyści.

Jak dotąd nie było mowy o diamentach, ale rzeczywiście, one tam były. Co prawda ich liberyjskie złoża wydawały się mikroskopijne w porównaniu z zasobami kryjącymi się na terenie Sierra Leone, lecz przecież i tego starczyło, by zainteresować wielkie przedsiębiorstwa wydobywcze. A także, jak się okazało, najemników.

Podczas dalszej rozmowy wiedza Nicka w tej dziedzinie okazała się dość rozległa. Swego czasu pełnił funkcję jednego z dowódców prywatnej armii, której postawiono za zadanie odbicie z rąk nieprzyjaciela pól diamentowych położonych całkiem niedaleko

miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, po drugiej stronie granicy z Sierra Leone.

- Deku mówi, że Sekou zdecydowanie się sprzeciwił wydobyciu diamentów. Rok temu powstało spore zamieszanie, kiedy z powodu kamieni zginął pewien dowódca. Wykończyli go jego podkomendni. Teraz za wykopywanie diamentów na własną rękę grozi kara śmierci.

Zrozumiałem, że Nick rozmawiał z Deku, a pewnie też z innymi dowódcami, nie tylko na temat przebiegu działań wojennych.

- Dobra, ale to wciąż nie rozwiązuje kwestii dostaw. Jeżeli są tu diamenty, to Taylor wylezie ze skóry, żeby jak najprędzej odbić ten region. Poza tym nawet gdyby LURD zdołało wydobywać kamienie, a potem je sprzedawać, nadal nie widzę sposobu, by partyzanci byli w stanie dłużej się tu utrzymać.

Mój argument dotyczył tej wojny jako takiej, nie tylko kwestii diamentów. Dopóki jedyne dostawy docierały drogą lądową z północy, zwycięstwo było prawie niemożliwe.

- *Ja*, właśnie dlatego zamierzam spróbować załatwić im helikopter.

Tego się nie spodziewałem.

- Czy to możliwe? - spytałem z niedowierzaniem w głosie.

- Chyba tak. Jeśli kamienie okażą się dość dobre, to będą mogli kupić sobie maszynę albo przynajmniej wyczarterować od operatora mającego swoją bazę we Freetown lub gdzieś w Gwinei. Wtedy mogliby śmigłowcem wywozić diamenty, co jest znacznie bezpieczniejsze, nie będą im grozić zasadzki po drodze, no i przerzucać na front żołnierzy oraz zaopatrzenie.

Aż mnie zatkało.

- A poza tym - dodał Nick - jeżeli zechcesz wrócić tu, żeby nakręcić następny film, nie będziesz musiał drałować taki kawał na piechotę!

Następnie Nick rozwinął swój plan. Zamierzał porozmawiać z Sekou Connehem, gdy wrócimy do Voinjamy i „złożyć mu propozycję”. Potrzeba będzie łopat, sit, małych pomp wodnych; poza tym ryżu i innych artykułów spożywczych. To wystarczy, by przeprowadzić podstawową operację: wobec potencjalnych zysków - praktycznie żadna inwestycja. Z dziecinnym entuzjazmem Nick opowiadał o tych, którym się poszczęściło w Angoli, o ludziach, którzy dzięki jednemu znalezionemu kamieniowi stali się milionerami; o wolności i przygodach. Była to ciężka praca, praca niebezpieczna, a przy tym absolutnie i bezwzględnie nielegalna. W pojęciu prawa międzynarodowego słowa „diament” i „opium” brzmiały niemal równie groźnie.

Nickiem powodowała prosta motywacja. Nikt mu nie płacił za trudy i znoje w Liberii. Tymczasem pojawiła się możliwość, by mimo wszystko coś na tej wyprawie zarobić. Jednak

jeśli miał czerpać zyski z wydobycia diamentów, to do zrealizowania tego planu potrzebował partnera: kogoś, komu mógłby zaufać, kto w miarę zna teren, kogo szanują partyzanci. Jak się okazało, Nick do tej roli upatrzył sobie mnie.

- Przemyśl to. Możemy stać się bardzo bogaci, a przy tym pojawia się szansa, żeby coś zrobić dla mieszkających tu zwykłych ludzi. Bo przecież oni niczego nie mają.

Nie odpowiedziałem. Co miałem odpowiedzieć? Proponował mi zupełne szaleństwo, awanturnicze przedsięwzięcie - nie do pomyslenia.

Nasze milczenie przerwały krzyki dobiegające spod tarasu. Paru partyzantów przybyło, aby oznajmić nam pomyslną wiadomość. Tego ranka pojмали jeńca i pragnęli, byśmy stali się świadkami przesłuchania.

Ów jeńiec okazał się mocno zbudowany, ociężały. Leżał na betonie przed budynkiem miejskiego więzienia - czyli solidnym bunkrem mieszczącym dwie cele, a znajdującym się około stu metrów od naszej kwatery. Był już nagi. Pozostawiono mu tylko podarte i zakrwawione białe majtki.

Spojrzałem na Nicka i odezwałem się:

- Już po nim, tak?

Gdy tam szliśmy, Nick mi wyjaśnił: jeśli więzień jest nagi, to jakby już był trupem. Nick skinął głową, ruszył przodem. Ogarnęło mnie złowrogie uczucie wyczekiwania, w napięciu zacząłem filmować.

- Złapaliśmy go żywcem - pochwalił się jeden z partyzantów. Najczęściej rozmawiali ze sobą w dialekcie, czasem trudno mi było stwierdzić, czy mówią po angielsku, czy w języku plemienia Mandingo.

Ten więzień był starszy, dobrze po trzydziestce. Na jego skórze widniały czerwone ślady od wleczenia po ziemi. Ujrzałem ranę z boku prawego kolana, a gdy jego tułów przekręcił się na bok, zauważyłem większy otwór w dolnej części pleców. Doszedłem do wniosku, że został postrzelony w nogę, a pocisk wyszedł właśnie tędy.

Otaczały go różowe, czerwone i zielone klapki bojowników, lufy ich kałasznikowów kierowały się w dół, na niego. W większości mieli poniżej dwudziestki, najwyżej dwadzieścia parę lat. Obwieszeni magazynkami nosili hełmy tropikalne i czarne kurtki. Jeden z młodszych miał na sobie ortalionową wiatrówkę w krzykliwe turkusowe i różowe pasy, do tego żółte szorty; inny był ubrany w niebieską bluzę futbolową.

- Złapali go na głównej drodze, od frontu - zawołał do mnie bojownik w fioletoworóżowej czapce typu „beanie”. Podekscytowanie rosło, młodzi partyzanci gromadzili się wokół, odpychając pozostałych.

- Jak go pojмалиście? - spytałem zza kamery tego w czapce.

- Złapaliśmy go, bo byliśmy dla niego za mocni!

Gdy tylko to powiedział, jego towarzysze zerwali mu czapkę z głowy, śmiejąc się głośno; ukazały się krótkie warkoczyki lśniące od potu. Koledzy zadbali, żeby lepiej prezentował się przed kamerą.

Chciałem się dowiedzieć, do jakiej jednostki należał jeńiec. Niektórzy przypuszczali, że do Navy Division.

- Nie, nie. On jest z RUF, z Sierra Leone - sprostował jeden z młodych.

A więc być może więzień zaliczał się do najemników, których, jak wskazywały na to dane z nasłuchu radiowego, Taylor sprowadził z granicy z Sierra Leone, by wsparli Navy Division podczas oblężenia Tubmanburga.

Partyzant dobył z pochwy bagnet i rozciął woreczek zawieszony na szyi jeńca. Posypały się sucha trawa i zioła.

- To są leki, afrykańskie leki. Żeby chronić przed kulą!

Dwaj inni buntownicy podnieśli więźnia i włali do jego ust nieco wody. Jeńiec pozostawał przytomny, mówił. Przypuszczalnie zjawilem się pod koniec długiego przesłuchania. Uniósł ramiona, machał nimi, jak gdyby tańczył.

- A-wooh! A-wooh! - skandowali buntownicy.

Cofnąłem się, uważając, żeby stabilnie trzymać kamerę. Partyzanci jeden po drugim wykrzykiwali do jeńca, naśmiewając się z niego, jako że dał się pojmać. Jakaś kobieta przyglądała się, kiedy na języku złapanego ktoś zgasił papierosa.

- Utnijcie mu go - zażądała.

Jeden z nastolatków wskazał palcem jęczącego więźnia i zaczął opowiadać mi coś o jego czy też swojej „mocy”. Nie zrozumiałem jednak nic oprócz tego słowa, dlatego jego starszy towarzysz, który mówił lepiej po angielsku, wyjaśnił:

- On mówi, że chce wyrwać mu serce i je zjeść.

- Tak - odezwał się młody. - Wtedy będę lepiej zabijać.

Bagnet od kałasznikowa przeszedł z rąk do rąk, zaczęto go ostrzyć na kamiennych stopniach budynku więziennego. Po chwili znów powrócił do swojego właściciela. Trzema zdecydowanymi cięciami partyzanci oddzielili ucho więźnia od jego głowy, potem wepchnęli mu je do ust. Szarpnął głową, jego oczy się zamglily. Wciąż żył, kiedy za nogi powlekli go po nawierzchni drogi. Czaszka stuknęła o stopnie. Śpiewając i skandując, nieśli go przez miasto. Na ulicę wylegli wszyscy, by się przypatrzeć: kobiety owinięte barwnymi, pasiastymi batikami; dzieci trzymające w rękach szmaciane, miękkie zabawki; starcy w wyświechtanych

garniturach. Kilkaset metrów dalej bojownicy odcięli jeńcowi drugie ucho. Teraz znów ciągnęli go po ziemi.

- Jay! - zawołał nastolatek. - Jay, chcę zjeść serce, chcę zjeść jego serce. Jestem dziki, jestem zły, jestem buntownikiem!

- To pomaga, daje ochronę, kiedy wojownik zje wroga, kiedy zje jego serce - uściślił inny partyzant, który miał na sobie czarny T-shirt.

- A ja jestem prawdziwy Sonny Boy - rozległ się piskliwy głos po mojej lewej stronie. Należał do partyzanta, który z pewnością miał nie więcej niż piętnaście lat, przypuszczalnie o wiele mniej. - Zjem serce w zupie pieprzowej. Tak! To będzie moja ochrona!

Zatrzymali się w końcu, by najpierw znów naigrawać się z jeńca, a następnie wbić bagnet w jego pierś, tuż pod mostkiem. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ta rana spowodowała jego śmierć - właśnie wtedy, przy mnie, przed obiektywem. Przynajmniej taką miałem nadzieję, bo potem zaczęły się dziać rzeczy wprost nieludzkie, potworne. Nie wierzyłem własnym oczom. Gdybym tego nie sfilmował, wkrótce zwątpiłbym, czy te wydarzenia rzeczywiście miały miejsce. Czy mogły nastąpić.

Czerwone i żółte wnętrzości wypłynęły z rozciętego brzucha, rebelianci odcięli penis i mosznę.

- *Y' ma pusseh!* - wykrzykiwali buntownicy. Zaczęli go ćwiartować.

Filmowałem wszystko, od początku do końca; szerokie ujęcia i zbliżenia detali: zakrwawiony nóż, stopy ofiary; zoom - i wypruwanie flaków z ludzkiej istoty. Chroniłem siebie, a raczej mój umysł - przynajmniej tak mi się wydawało - kolekcjonując klatka po klatce szczegóły bestialskiego mordu.

Nie tak łatwo pociąć człowieka za pomocą bagnetu. Potrzebny był kamień, którym posłużono się jak młotkiem, aby wbić klingę między żebra i dostać się do tak cenionych organów. Kiedy atakujący walili kamieniem, rozlegał się mokry odgłos: „tuk, tuk, tuk”; rezonował w częściowo już otwartej klatce piersiowej. Ciałem szarpało na wszystkie strony. Gdy partyzanci wyciągnęli serce, dał się słyszeć dźwięk przywodzący na myśl siorbnięcie, a może chlupot rozciągnięty w czasie. Zapach krwi uderzał do głowy, przylegał do podniebienia metalicznym posmakiem.

Aż wreszcie młodzieniec uniósł wysoko serce wydarte ofierze.

- Ja jestem dziki, jestem zły, totalnie zły! - oznajmił.

- My jesteśmy lwami z dżungli! - zaintonowała reszta.

Zwiększyłem ogniskową do zbliżenia, a gdy ustawiła się ostrość, zorientowałem się, że filmuję wewnątrz rozwartej piersi nieboszczyka. Odwróciłem kamerę, bo poczułem się jak

podglądacz, jak złodziej, jak gdyby takie zdjęcia stanowiły kolejny akt przemocy. Jednak nie mogłem oderwać wzroku od tego ciała. A zresztą nie widziałem powodu, żeby teraz przestać filmować. Gdybym mógł go ocalić, uczyniłbym to. Ale przecież już był nagi. Już był nagi. Już był nagi - powtarzałem sobie, a taśma przewijała się w kamerze.

- Jesteśmy Kamajorami z Kenemy! - oświadczył inny z bojowników, trzymając w dłoni nerkę. - Dobra to dla nas strawa.

- Jesteście z Sierra Leone? - upewniłem się.

- Taaak.

Wojna domowa w Sierra Leone miała rzekomo skończyć się rok wcześniej, a jednak każdego dnia trwały śmiertelne zmagania obu stron konfliktu: bojowników obywatelskiej milicji Kamajorów, wspieranych dawniej przez Zachód, oraz ugrupowania RUF popieranego przez Taylora. Partyzanci śpiewali i okrażali w tańcu zbezczeszczone zwłoki; następnie przy wtórze okrzyków i wrzasków skierowali się do miasta, by rozłożyć odcięte fragmenty wnętrzości niczym na targowym stoisku. Potem ponieśli swój łup do kwater, by zmieszać ludzkie ochłapy z pikantnymi chilli oraz parzonymi liśćmi manioku jako omastę do mączystego białego ryżu.

Nadzwyczaj trudno mi było odnaleźć poczucie wspólnoty z kanibalami, którzy pod przykrywką antropologicznego żargonu dokonali ohydnej zbrodni. Owszem, niby to w myśl tradycji i spuścizny magicznych rytuałów, podczas których wojownicy zachodnioafrykańskiej dżungli pożerali swych nieprzyjaciół, aby pozyskać ich wojowniczą moc. Słyszałem już o tym od Cobusa we Freetown, ale jeśli miałyby to usprawiedliwiać tortury i mordowanie jeńców wojennych - choćby i takich, którzy podzielali te wierzenia - wówczas wszystko można by usprawiedliwić. Doszedłem do wniosku, że relatywizm moralny na wojnie to pierwszy krok na krótkiej drodze do ludobójstwa.

Podczas gdy filmowałem, Nick czuwał nade mną, zachowując pełen uszanowania dystans. Nie mówił nic, nie wtrącał się; nie wyraził żadnej opinii, nie udzielał rad. Kiedy było po wszystkim, rzekł po prostu:

- Ag, zrobili to dla kamery.

Byłem uprzejmy, ale jednocześnie ogarnął mnie gniew. Stanowczo zaprzeczyłem. Powiedziałem mu, że nie poczuwam się do żadnego współudziału w tym brutalnym zabójstwie - a jednocześnie nagle straciłem co do tego pewność.

W drodze powrotnej na nasz taras wyjaśniłem mu, że oni wszyscy przybyli z Sierra Leone. Ten szczegół umknął jego uwadze. W gruncie rzeczy mieliśmy do czynienia z tymi samymi siłami, przeciwko którym i u boku których Nick walczył razem z Executive

Outcomes. Wówczas rozumiał. Jeśli pominąć całą inscenizację, uczestniczyliśmy w zwyczajnej egzekucji.

Ze swojej strony nie byłem w stanie uczciwie stwierdzić, dlaczego właściwie filmowałem tę scenę. Wiedziałem tylko, iż tak właśnie się złożyło, że przy niej byłem. Znalazłem się w Liberii, żeby filmować, więc kręciłem film. Gdybym przestał, gdybym wyłączył kamerę w trakcie owego wydarzenia, stanowiłoby to jasną deklarację, jeszcze bardziej wyrazistą, niż gdybym w ogóle nie zaczął rejestrować tego zabójstwa - a to mogłoby się wiązać z poważnym zagrożeniem dla nas obu. Moje bezpieczeństwo zależało od ich szacunku, od akceptacji ze strony partyzantów. Co stanie się dalej z nakręconym materiałem, to już całkiem inna sprawa.

Istniała też zapewne druga przyczyna. Można przez setki godzin oglądać telewizyjne wiadomości i ani razu nie ujrzeć śmierci na wojnie: konflikty zbrojne, tak jak i politykę, podaje się w gustownym opakowaniu; śmierć ulega sterylizacji, okropieństwa wojny są neutralizowane, a przy okazji przedzielane przerwami na reklamy. Szok, wstręt, groza nie zwiększają oglądalności, nie sprzedadzą dziennika o dziewiątej wieczorem. Nikt nie pokazuje prawdziwych trzewi wojny, szczególnie tak niecywilizowanej wojny, jaka toczyła się w Afryce Zachodniej. Uważałem, że moim obowiązkiem jest ukazać rzeczywisty obraz konfliktu. Oto więc tkwiłem po łokcie w krwi i gównie, powiadając sobie: „James, wreszcie znalazłeś coś, w czym jesteś dobry”. Wiedziałem, że będę musiał jakoś żyć z konsekwencjami tego odkrycia.

Ta krwawa jatka przypomniała mi o czymś, co we Freetown powiedział mi Cobus, kiedy rozmawialiśmy o RUF: „Na pewnym etapie istota ludzka przestaje być człowiekiem, przeistacza się w bestię, a wówczas należy ją jak najprędzej wytropić i zlikwidować, żeby pozwolić innym ludziom na normalne życie. Takie bestie należy całkowicie wyeliminować”.

Doskonale zapamiętałem te słowa, bo były dla mnie wstrząsające. Wówczas sądziłem, iż są przejawem rasistowskich uprzedzeń - żaden człowiek nie jest przecież zły do szpiku kości, nikomu nie powinno się odmawiać prawa do uczciwego procesu przed niezawisłym sądem. Teraz straciłem tę pewność. Przyszło mi na myśl, że być może bezlitosna eksterminacja buntowników czy też sił rządowych - wszystko jedno - to skuteczny sposób na przywrócenie normalności w Afryce Zachodniej.

Podzieliłem się tą refleksją z Nickiem. Czy można postrzegać otaczających nas ludzi inaczej niż jako krwiożerczych dzikusów?

- W Sierra Leone niektórzy z miejscowych służących pod moim dowództwem zaczęli obcinać głowy schwytanym rebeliantom - odpowiedział na to Nick. - Natychmiast położyłem

temu kres. Kiedy do tego dochodzi, kiedy ścina się głowy, stajemy się tak samo nikczemni jak przeciwnicy, z którymi walczymy.

Tego dnia bardziej niż kiedykolwiek Nick wydał mi się uosobieniem zawodowego żołnierza; jego spokój, jego wyważone słowa odebrałem jako przejaw życiowej mądrości, a zrobiły na mnie wrażenie do tego stopnia, iż nie spostrzegłem, że nie odpowiedział na moje pytanie. Jakoś w tamtej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jakie to paradoksalne, że poszukuję wsparcia moralnego u człowieka, który służył w oddziałach szturmowych armii państwa apartheidu. Jakże odległe stały się czasy, kiedy gryzmołem na okładkach swoich zeszytów szkolnych hasła o wyzwoleniu czarnej rasy. Nick oparł kałasznikowa o balustradę i rozsznurował buty, po czym opowiedział mi, jak w 1991 roku rozpoczęła się przeprowadzona przez RUF, a wspierana przez Taylora z Liberii ofensywa, na czele której stał Sankoh - kapral zwolniony z armii Sierra Leone za bunt.

Najpierw buntownicy twierdzili, iż pragną ukrócić korupcję w rządzie - bo i rzeczywiście panoszyła się w zastraszającym stopniu, nawet jak na afrykańskie standardy. Jednak kiedy dostali broń do ręki, ogarnęło ich szaleństwo. Wprost nie do wiary.

Lokalnym przywódcą, którzy się im sprzeciwiali, ścinano głowy, zmuszano ich dzieci, by gwałciły swoje matki; porywano mieszkańców wiosek, żeby zaprząć ich do niewolniczej pracy przy wydobywaniu diamentów.

Nick przypomniał mi o wydarzeniach, których historię poznałem rok wcześniej, podczas pobytu we Freetown u Cobusa. Buntownicy zdobywali coraz rozleglejsze tereny, popełniali kolejne zbrodnie, a społeczność międzynarodowa biernie się temu przyglądała, nie kwapiąc się z wysłaniem wojsk i wyasygnowaniem środków niezbędnych, by powstrzymać postępy RUF. Organizacja Narodów Zjednoczonych nie uczyniła nic, pomna strat poniesionych w Somalii oraz Rwandzie, a także upokorzenia, jakie spotkało siły pokojowe, gdy bośniaccy Serbowie użyli ich jako żywych tarcz. Nigeryjczycy posłali do Sierra Leone garstkę swoich żołnierzy, by pilnowali urzędów o kluczowym znaczeniu, ci zaś w końcu również wzięli udział w eskalacji przemocy oraz rabunkach. Tymczasem Libijczycy szkolili rebelianckich przywódców w obozie pod Trypolisem, a Charles Taylor, liberyjski prezydent, który wygrażał nam z odległości kilkudziesięciu kilometrów, szczerze sypał gotówką i dostarczał broń oraz szkolił buntowników - w zamian za krwawe diamenty wydobywane nielegalnie rękami niewolników pojmanyh przez RUF. Jak stwierdził Taylor w wywiadzie udzielonym BBC, „Sierra Leone pozna gorzyc wojny”. Zdesperowany Valentine Strasser, wówczas piastujący stanowisko prezydenta Sierra Leone, w marcu 1995 roku zawarł umowę z Executive Outcomes. Wobec całkowitej bezczynności wspólnoty międzynarodowej

najemnicy Nicka pozostawali jedynymi ludźmi gotowymi nieść pomoc - choć nie za darmo.

Przedsiębiorstwo zostało utworzone w 1989 roku przez agentów południowoafrykańskiego CCB, czyli Civil Cooperation Bureau (Biura Współpracy Obywatelskiej), złowrogiej instytucji założonej w celu zwalczania opozycji i specjalizującej się w morderstwach oraz innych nikczemnościach. Była to agencja do tego stopnia tajna, że dopiero po roku 1990 oficjalnie potwierdzono jej istnienie. Ludzie ci nie rekrutowali się z szeregów regularnej armii, jak Nick, lecz byli swego rodzaju ochotnikami, którzy chętnie podjęli się obrony apartheidu. Nick uważał, że CCB powstało w założeniu jako załączek przyszłej organizacji ruchu oporu białych zwalczającej władzę czarnej większości, kiedy rząd stwierdził, iż czeka go długotrwały konflikt zbrojny z ANC oraz MK. W końcu większość agentów CCB wylądowała w więzieniu, zapadła się pod ziemię lub objęła lukratywne stanowiska w biznesie.

Firma Executive Outcomes powstała jako na pozór całkowicie legalne i niezależne przedsiębiorstwo, mające jednak w rzeczywistości wspierać coraz bardziej odizolowany reżim Republiki Południowej Afryki - obok wielu innych, jakie utworzono pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych w ramach zakrojonej na szeroką skalę operacji służącej ominięciu sankcji międzynarodowych. W 1993 roku EO została przekształcona przy udziale konsorcjum angielskich inwestorów, między innymi zamożnego biznesmena, Tony'ego Buckingham, oraz wpływowego eks oficera SAS, niejakiego Simona Manna.

Potrzebowali oni przedsiębiorstwa zarejestrowanego w RPA oraz wykwalifikowanego personelu wojskowego, by zrealizować ambitny projekt utworzenia nowoczesnej, korporacyjnej maszyny militarnej świadczącej odpłatne usługi na całym świecie. Wnieśli do spółki fundusze i żyłkę biznesową, jednocześnie zwiększając wiarygodność firmy. Executive Outcomes kierowane przez doświadczonych oficerów południowoafrykańskich sił specjalnych przekształciło się z konspiracyjnej afrykańskiej komórki w największą wówczas na świecie prywatną armię. Posiadało własne samoloty i helikoptery, zatrudniało setki ludzi i zawierało wielomilionowe kontrakty, na mocy których przeprowadzało operacje militarne przy użyciu najdłuższych w historii nowoczesnej wojskowości dróg zaopatrzenia - niekiedy z Pretorii do Sierra Leone czy Kabindy, lecz także do Nowej Gwinei na Pacyfiku. EO twierdziło, iż współpracuje tylko z legalnymi rządami, a więc nie bierze udziału w przewrotach, zamachach, nie dokonuje zabójstw na zlecenie i nie wspiera grup powstańczych. Właściciele firmy wzbogacili się niezmiernie.

Strasser - „prawomocny” przywódca Sierra Leone - tak naprawdę objął władzę wraz z

juntą wojskową w drodze przewrotu, który nastąpił trzy lata wcześniej. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia pięć lat, stał się więc najmłodszą w świecie głową państwa. Kiedy bojownicy RUF ruszyli na Freetown, zaistniała uzasadniona obawa, iż wkrótce okaże się zarazem jednym z najkrócej żyjących przywódców. Sprowadził więc do kraju EO, w zamian za wynagrodzenie w wysokości trzydziestu jeden milionów dolarów rocznie; pieniądze te miały pochodzić z dochodów uzyskanych z eksploatacji złóż diamentowych (dodajmy, że aż dziewiętnaście milionów dolarów nigdy nie wpłynęło na konta EO). Dzięki doświadczeniu nabytemu podczas walk z powstańcami UNITA w Angoli żołnierze oraz dowódcy EO wierzyli, iż odniosą sukces.

Nick ciągnął swoją opowieść:

- Mniej więcej od maja dziewięćdziesiątego piątego roku w kraju znajdowało się około dwustu ludzi z RPA; buntownicy podchodzili już pod Freetown. *Ja*, mieliśmy na wyposażeniu tylko lekką broń, ale dysponowaliśmy kilkoma transporterami opancerzonymi i jednym helikopterem szturmowym, który bardzo nam się przydał. Pierwsi z naszych, którzy tam pojechali, w ciągu sześciu tygodni sprawili, że Freetown przestało zagrażać niebezpieczeństwo.

Nick pojawił się w Sierra Leone wkrótce potem. W osiemnaście miesięcy on i jego towarzysze unicestwili liczącą trzy do czterech tysięcy armię buntowników RUF. Kiedy pod naciskiem wspólnoty międzynarodowej rozwiązano umowę z EO, partyzanci RUF stracili już wpływy na niemal całym terytorium Sierra Leone.

- Chłopaki dokonali tego przy użyciu takiego sprzętu - stwierdził, wskazując ruchem głowy swój karabinek. - Zlokalizowali najbliższe Freetown zgrupowanie RUF, po czym je zaatakowali. Potem działaliśmy w ten sam sposób. Chociaż dysponowaliśmy podobną bronią, jak tamci, to nasza nie tylko była lepiej utrzymana, lecz przede wszystkim umieliśmy się nią posługiwać.

Sekret powodzenia działań EO nie sprowadzał się bynajmniej do faktu, iż rebelianci stanowili bezładną zbieraninę i nie potrafili porządnie walczyć; raczej odwrotnie: żołnierze sprowadzeni tam przez EO legitymowali się najwyższej klasy wykształceniem oraz byli zaprawieni w bojach podczas wojny w Afryce Południowej toczącej się przez dwie dekady. Umieeli też uczyć się na własnych błędach. Pewnego razu oddział Cobusa omal nie uległ całkowitej zagładzie.

- *Ja*, jeszcze zanim tam przyjechałem, dostał się raz w zasadzkę zastawioną przez buntowników. Ci z RUF obsadzili obie strony drogi, w niewielkich odstępach, a potem przywalili do nich ze wszystkiego, co mieli. Pierwszy pojazd stracił gąsienicę, bo kierowca

zbyt szybko usiłował zakręcić, drugi również został unieruchomiony po bezpośrednim trafieniu granatem - prosto w wieżyczkę. Strzelec, Henri, stracił wtedy oko.

Po tym, co widziałem podczas minionego tygodnia w Liberii, nietrudno mi było sobie wyobrazić tę scenę: wszędzie pełno krwi, hałas nie do opisania, krzyki rannych.

- Ag, Henri pozostał uwięziony w wieżycy, ale dalej prowadził ogień. Wystrzelał setki nabożów, tymczasem Cobus pokierował swoimi żołnierzami i zaszedł przeciwników od tyłu. Rozpoczął kontratak akurat wtedy, kiedy Henriemu skończyły się pestki.

Jakby zachęcony nastaniem ciemności, deszcz zaczął chłostać blaszany dach naszego domu, wprawiając żaby kryjące się gdzieś na zewnątrz w paroksyzmy zachwytu.

- Tak czy inaczej, mało brakowało - podsumował Nick.

Pracujący dla EO żołnierze, o których mówił, wywodzili się z rozmaitych nacji, około dziesięćdziesięciu procent z nich było czarnoskórymi, a nie białymi Afrykanami. Wielu pochodziło z Angoli, miało za sobą służbę w 32. Batalionie „Buffalo” południowoafrykańskiej Legii Cudzoziemskiej. Walczyli przeciwko marksistowskiemu rządowi swojego kraju i wkrótce zyskali renomę jednej z najgroźniejszych jednostek armii RPA. Pod rozkazami białych oficerów, wspierani podczas dziesiątek operacji przez komanda sił specjalnych, również formacje dowodzone przez Nicka, wyspecjalizowali się w śmiałych akcjach dalekiego zasięgu skierowanych przeciwko swoim rodakom. Nowy, demokratyczny rząd w Pretorii nie przepadał za nimi, dlatego kontrowersyjna jednostka została rozwiązana. Wielu żołnierzy, nie mogąc odnaleźć się w nowej RPA, przystąpiło do Executive Outcomes.

Po sromotnej klęsce, jaką Nick poniósł jako sklepikarz w „Wężowej Dolinie”, pokusa, by znów wyruszyć na poszukiwanie przygód u boku dawnych towarzyszy broni, okazała się nie do odparcia. Nick objął funkcję jednego z trzech dowódców kierujących operacjami polowymi EO. Zdumiewający sukces, jaki odniosło przedsiębiorstwo w walce ze znacznie przewyższającymi siłami nieprzyjaciela, był więc także częściowo jego zwycięstwem.

Nick znalazł nie tylko pracę odpowiadającą jego kwalifikacjom, lecz także coś innego: diamenty. Jedno z zadań EO polegało na tym, by udać się jak najprędzej do Kono i uruchomić tam wydobycie diamentów - aby rząd Strassera mógł pozyskać dochody i opłacić rachunki wystawione przez EO. Wiedziałem od Cobusa, że podczas pospiesznego marszu na Kono ominęto inne bazy buntowników, co nie przypadło do gustu niektórym z wynajętych żołnierzy. Nick nie musiał się tym przejmować. Zajmował się koordynacją działań militarnych. Handel diamentami przypadł w udziale komu innemu. W zasadzie sprawa była prosta: nie będzie diamentów, nie będzie zapłaty.

Nick wyluszczał mi taktykę wojny prowadzonej przez najemników, jakby opowiadał

mi na dobranoc jakąś przerażającą bajkę. W pewnej chwili wieczorne powietrze wypełniły niedające się z niczym pomylić odgłosy wybuchów, gdzieś daleko, za horyzontem, stłumione szumem deszczu. Niestety, dochodziły od strony szosy prowadzącej do Bopolu, czyli drogi, którą tu przybyliśmy. Potem rozległ się trzask ręcznej broni, ledwie słyszalny w strugach ulewy, i łoskot eksplodujących granatów RPG. Nie było co się łudzić: z pewnością tak długo wyczekiwana dostawa amunicji z Fassamy wpadła w ręce nieprzyjaciela. Nie tylko znaleźliśmy się w okrążeniu, lecz także nie mieliśmy środków, by odeprzeć kolejną ofensywę.

Omówiliśmy z Nickiem sytuację. Byliśmy znudzeni i zaniepokojeni powtarzającymi się nieodmiennie codziennymi atakami na miasto. Nadszedł czas, by przejąć inicjatywę. Posłaliśmy więc chłopaka, który przyniósł nam ryż, po Deku i Dragon Mastera. Pojawili się wkrótce, przemoczeni, w podłych nastrojach.

- Deku - zacząłem ostrożnie - chciałbym cię prosić, żebyś coś dla nas zrobił. - Spojrzeli na mnie pytająco. - Otóż pragnęlibyśmy, żebyś posłał dziś w nocy oddział na drogę do Monrowii. Wojska rządowe atakują nas codziennie z tego samego kierunku. Jeśli uderzymy na nich, zanim dotrą do miasta, wówczas się wycofają.

Dragon Master oraz Deku zastanawiali się. Proponowaliśmy im nietypowe posunięcie. Nikt nie lubił walczyć w deszczu, a o prowadzeniu działań nocą zazwyczaj w ogóle nie było mowy. Nick postawił sprawę jasno: rankiem nastąpi kolejny atak, wobec czego mieliśmy do wyboru trzy wyjścia: albo natychmiast się ewakuować, albo ponieść klęskę - z honorem, lecz bez amunicji, albo wykorzystać niewielkie zapasy, jakie nam pozostały, by powstrzymać ich, nim się tu zjawią.

Deku wyraził zgodę. Na naszej wyświechtanej mapie Nick naszkicował plan zasadzki. Nie minęła godzina, a pluton partyzantów wyruszył z miasta pośród szalejącej burzy.

W czasie, jaki zajęła ta krótka rozmowa, przekroczyłem kolejną granicę. Pragnąłem przeżyć za wszelką cenę. Narażałem się każdego dnia, nie zamierzałem jednak dać się zabić z powodu głupoty niekompetentnych taktyków partyzanckich. Byłem kowalem swojego losu, a zarazem wykuwałem własny kodeks moralny reportera wojennego. Jeśli trzeba było uczestniczyć, aby przetrwać - trudno.

8. Wielka ucieczka

Nim nastał świt, odległy huk wybuchów powiadomił nas, iż rozpoczęła się potyczka. Nick i ja siedzieliśmy w ciemnościach, czekając, aż przemoczeni ludzie powrócą do miasta. Wrócili wszyscy. Żaden z nich nie odniósł ran; nie byli też w stanie stwierdzić, czy zabili choć jednego żołnierza z sił rządowych. Przynieśli za to dziesięć tysięcy sztuk zdobyczej amunicji oraz trzydzieści pięć kałasznikowów.

Wychyliłem się z tarasu i w bladym świetle poranka zaczerpnąłem z ulgą świeżego powietrza. Nasza sytuacja przedstawiała się nieco korzystniej.

- Za dużo było kul, żeby je przytargać - oświadczył ociekający wodą kapitan odpowiedzialny za operację, wielce dumny z siebie i ze swojego śmiałego wypadu. - Spaliliśmy resztę na skraju drogi, żeby nie mogli ich użyć przeciw nam.

Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech. Nick, który początkowo ucieszył się ze zdobyczy, teraz się rozżłościł. Dziesięć tysięcy nabojev to bardzo dużo amunicji, ale dwa razy tyle oznaczało zapas, którego posiadanie mogło mieć decydujący wpływ na dalszy przebieg oblężenia. Przecież nic nie stało na przeszkodzie, by ukryć gdzieś resztę cennego ładunku i później po niego wrócić. A tak, spalona amunicja przepadła bezpowrotnie.

Przynajmniej jednak przeszkodzono siłom rządowym w dotarciu do miasta. Dzięki temu zyskaliśmy nieco luzu, mogliśmy się przekonać, co naprawdę stało się z wielkim transportem mającym nadejść z Fassamy, a potem, zależnie od okoliczności, snuć dalsze plany. Wciąż nie otrzymaliśmy ani znaku życia, ani słowa o wyczekiwanej dostawie, więc obawialiśmy się najgorszego.

Deku ośmielony sukcesem, jakim skończyła się zasadzka o świcie, posłał stu bojowników LURD z batalionu „Cobra”, by natychmiast przypuścili atak na siły rządowe w Klay Junction. O dziwo, powracając, przynieśli oni kolejne siedem i pół tysiąca sztuk amunicji oraz sześćdziesiąt pięć kałasznikowów. Wciąż jeszcze fabrycznie opakowane, pokryte konserwującym smarem nowe AK-47 wyglądały jak przerośnięte sardynki świeżo wydobyte z gigantycznej puszki. Zdjąłem plastikowe opakowanie, by się im przyjrzeć. Deku wpadł w euforię na widok zdobyczy; Nick jak zawsze interesował się każdym rodzajem broni. Obu umknęło prawdziwe znaczenie trofeum: okazało się, że Taylor naruszył embargo dotyczące dostaw broni nałożone na jego kraj przez ONZ oraz regionalną ECOWAS. Nad miejscem, gdzie montuje się magazynek AK-47 oprócz oznaczeń serii widniała data

produkcji - 2002 rok. Tak więc buntownicy nie tylko zdobyli broń, ale zarazem zgromadzili dowody. Nick zamienił swojego kałasznikowa na jednego ze zdobywczych. Był co prawda słabszej jakości od tego, którym się dotąd posługiwał, jednak nie istniał inny sposób, by zyskać pewność, że zdołamy zatrzymać broń na tyle długo, aby przekazać ją Amerykanom w Konakry.

- Wschodnioeuropejska produkcja - stwierdził, zafascynowany odkryciem, obracając w dłoniach groźny przedmiot z ciemnego metalu.

Sfotografowałem broń, numery seryjne oraz daty produkcji, po czym zadzwoniłem do BBC - i w odpowiedzi usłyszałem, że tej wiadomości nie mogą podać.

- Chodzi o zbyt poważne oskarżenie - powiadomił mnie producent, pewnie na wypadek, gdyby mi się zdawało, że pomawianie głów państwa o łamanie prawa międzynarodowego to zwykły drobiazg. - Musielibyśmy zobaczyć dowód na własne oczy.

- Mam ten dowód w ręce - zapewniłem i skinąłem na Nicka, żeby mi go podał. Trzymał karabinek niemal w objęciach, zachwycony. - W tej chwili mogę podyktować numer serii.

Producent nie ustąpił. Wszystko wskazywało na to, że pospiesznie przekazywane wrywkowe szczegóły dotyczące wojny prowadzonej przez partyzantów jak najbardziej kwalifikowały się do emisji, natomiast rzetelnie udokumentowana wiadomość o istotnym znaczeniu - już nie. Sfrustrowany rozłączyłem się, a potem się roześmiałem. Śmiałem się z samego siebie. Co prawda nadal nie mogłem im darować, że nie chcą spojrzeć na zagadnienie z szerszej perspektywy, ale przynajmniej wciąż trzymałem się tematu. To było najważniejsze. Niejedno miałem sobie do zarzucenia, lecz w istocie rzeczy pozostałem dziennikarzem - a nie propagandzistą, nie przyszlým handlarzem diamentów, no i z pewnością nie żołnierzem.

Kiedy tylko zakończyłem rozmowę, do miasta zaczęli przybywać pierwsi ranni z oddziału eskortującego dostawę amunicji - tę, która w naszym mniemaniu została poprzedniego wieczoru zaatakowana przez siły rządowe. Wędrówka drogą prowadzącą z Bopolu do Tubmanburga zajęła im całą noc. Okazało się, że stłumione wybuchy, które słyszeliśmy w deszczu, wcale nie oznaczały zasadzki. Dragon Master, trzymając się rękami za głowę, opowiedział mi historię skleconą z chaotycznych wypowiedzi tych, którzy przeżyli. Zdobywczy ambulans, ten sam, który towarzyszył nam osiemnaście dni wcześniej w drodze do Tubmanburga, przewoził amunicję, pociski do moździerzy oraz granatników przeciwpancernych, a także inny cenny towar: benzynę. Strażnik jadący na dachu wyrzucił niedopałek papierosa, lecz pęd powietrza wessał go do środka przez otwarte okno. Cały ładunek przepadł w wyniku eksplozji. Trudno było określić, ilu ludzi zginęło, ilu odniosło

rany.

Dragon Master unikał mojego spojrzenia. Deku, kręcąc głową, wyznał, że jeszcze większa dostawa amunicji została przekierowana do Gbarngi dla innych oddziałów, podlegających szefowi sztabu LURD, czyli Prince Seo. Deku utrzymywał, że Seo pragnie przywłaszczyć sobie zwycięstwo i z rozmysłem osłabia siły działające pośród wzgórz Bomi.

Wtedy zrozumieliśmy, że to już koniec. Odwrót stał się nieunikniony.

- Chodźmy, spróbujemy im pomóc - zaproponował Nick. Poszedł do naszego pokoju po torbę z lekarstwami oraz opatrunki.

Partyzanci nie byli w stanie wykorzystać chwilowej przewagi zyskanej dzięki dwóm wypadom, zajęli się więc tym, co potrafili najlepiej - czekaniem. Minął zaledwie jeden dzień - akurat tyle czasu było trzeba, żeby opatrzeć bojowników rannych podczas wybuchu ambulansu - nim rozpoczęły się kolejne ataki. Wzmocnione siły rządowe zasilone nowymi dostawami nacierały bezustannie, jeszcze bardziej zawzięcie niż dotąd.

Każdy dzień spędzony w Tubmanburgu wiązał się z tą samą kwestią: po co dalej filmować? Powodowała mną irracjonalna potrzeba samousprawiedliwienia. Przecież jedyny sens mojego pobytu w tym mieście polegał na tym, że kręciłem film. W przeciwnym razie cóż mi pozostawało? Nie miałem wyboru. Gdy tylko obserwowałem - bo przecież nie strzelałem - czułem się na tej wojnie nieswojo, jak turysta.

Być może jeszcze trudniej zrozumieć, dlaczego Nick z niesłabnącym entuzjazmem rzucał się wraz ze mną w wir bitwy. Nikt mu nie płacił, nie miał nic do zyskania w zamian za to, że pomoże mi w zdobyciu kolejnych ujęć coraz bardziej morderczych zmagają. Jego motywacja pozostawała dla mnie niezrozumiała, jednak nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Jeśli chciałem filmować, dokonywał oceny sytuacji, po czym wyruszał razem ze mną. Nigdy nie odmówił i nigdy się nie skarżył.

W ciągu kilku następnych dni pojmano kolejnych jeńców, przesłuchano ich i dokonano egzekucji. Próbowałem ocalić jednego z nich, żołnierza obsługującego karabin maszynowy. Pochwycono go, lecz nie torturowano. Usiłowałem przekonać dowódców, że warto, by do żołnierzy sił rządowych dotarł sygnał: jeśli się poddadacie, to nic wam się nie stanie. Pomysł nawet spodobał się Dragon Masterowi. Więźnia odprowadzono do celi w dawnym komisariacie policji, tymczasem Deku obiecał, że się zastanowi. Następnego dnia o świcie wyprowadził więźnia do lasu i go zastrzelił.

Poniosłem klęskę. Co prawda poprzednio spełnili moją prośbę, lecz wówczas chodziło o zaatakowanie nieprzyjaciela. Byłem wygłodzony i znużony, przemęczenie coraz bardziej

dawało o sobie znać. Przestałem sporządzać notatki. Zdałem sobie sprawę, że boję się o własne zdrowie psychiczne. Nocami w łóżku wydawało mi się, że spadam w ciemność. Wciąż bolało mnie lewe ucho; grube strupy niewiadomego pochodzenia pokryły moje nogi oraz mosznę, swędzenie głowy stało się nie do zniesienia. Nick także zapadał na zdrowiu, ale nadal zachowywał chłód profesjonalisty i nie narzekał, chociaż wyraźnie wychudł i jego cera przybrała niezdrowy odcień bladości.

Dwadzieścia cztery godziny później Deku z mieszaniną rozczarowania i ulgi oznajmił nam nieuniknioną, ponurą wieść. Nadszedł czas ewakuacji Tubmanburga. Znów kończyła się amunicja, a to, co pozostało, akurat starczy na przeprowadzenie planowanego i uporządkowanego odwrotu.

- *Sarry* - rzekł przygnębiony, kiedy nas o tym powiadomił. Znajdowaliśmy się na naszym tarasie.

- *Ja*, czas się wycofać - zgodził się z nim Nick.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć Deku.

- Będzie dobrze - próbowałem go pocieszyć. - Gdy skończy się pora deszczowa, zdobędziecie Monrowię.

I po chwili do Nicka, gdy szedłem, żeby zabrać swoje rzeczy:

- Możemy ruszać w drogę.

Jeszcze jedno spojrzenie na naszą sypialnię, a potem dołączyłem do Nicka na tarasie. Przybyłem do Liberii na mającą trwać trzy tygodnie wyprawę filmową, a w końcu spędziłem akurat dwadzieścia jeden dni tylko w samym Tubmanburgu, niemal cały czas pod ostrzałem. W dole Deku ustawił swoich ludzi w szeregi i wydzielił im resztki cennej amunicji. Każdy z partyzantów opuszczających miasto otrzymał po jednym pełnym magazynku. Resztę oddano bojownikom, którzy „na ochotnika” zgodzili się zostać. Zeszliśmy, żeby się pożegnać z Deku. Zapewnił, że powstrzyma nieprzyjaciela w centrum wystarczająco długo, byśmy mogli się wycofać.

- Zobaczycie mnie w Bopolu - obiecał. - Jestem wojownikiem z dżungli, więc wędruję szybko.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Odwrócił się do nas plecami i ruszył w stronę, z której miał nadejść nieunikniony atak.

- Deku! - zawołałem za nim. Zatrzymał się, spojrzął w tył. - Jak tam? Zwarci i gotowi?
- krzyknąłem z uśmiechem na twarzy.

- Tak jest! - zaśmiał się. - Zwarci i gotowi!

O jedenastej przed południem, 19 lipca, Nick i ja wyszliśmy z miasta, w którym pozostali jeszcze Deku oraz główne siły LURD. Towarzyszyło nam około czterystu cywili. Zapakowałem kamerę, a potem uwolniłem się od brzemienia, oddałem torbę tragarzowi. Bez żalu zegnałem naszą kwaterę...

- Pan pierwszy, panie Brabazon - rzekł z uśmiechem Nick, kiedy ruszyliśmy przed siebie, pozostawiając w tyle Tubmanburg.

Szliśmy gęsiego, minęliśmy hałdy po opuszczonych kopalniach rudy żelaza i ujrzeliśmy wreszcie gęstą, soczystą zieleń dżungli rosnącej na północ od miasta. Dopiero kiedy otworzył się przed nami ten widok, zdałem sobie sprawę, jak klaustrofobicznym miejscem był oblężony Tubmanburg. Po raz pierwszy od trzech tygodni widziałem coś więcej niż tylko koniec ulicy. Było to wspaniałe wrażenie.

Mimo odczuwanej ulgi coraz bardziej i gwałtowniej dokuczał mi ból ucha. Gdy brnęliśmy przez wysokie trawy, moje ciało rezonowało od uderzeń stóp o ziemię i ból stał się naprawdę dotkliwy. Każdy krok drażnił moje ucho wewnętrzne niczym potężny cios w głowę. Nagle zatrzymałem się i zwymiotowałem, oparty o drzewo. Nick dał mi ostatnią tabletkę środka przeciwbólowego, a potem dokonał istnego cudu: z kieszeni umocowanej do swych szelek wydobyl penicylinę.

- To powinno ci pomóc - zapewnił. - Zachowałem ją na czarną godzinę.

Połknąłem więc dwie ogromne kapsuły zawierające po tysiąc miligramów antybiotyku i popiłem wodą z manierki Nicka. Zacisnąłem zęby, ruszyłem dalej. Modliłem się, by lekarstwo rozprawiło się z infekcją, zanim infekcja rozprawi się ze mną. Nie czułem nóg, a przecież wędrówka nawet się nie rozpoczęła.

Armia Taylora pozostawiła nam tylko jedną drogę ucieczki - wąską myśliwską ścieżkę szerokości może dwudziestu centymetrów, wijącą się przez las na tyłach starych budynków kopalni. Stąpaliśmy po mokrej ziemi, deszcz padał o tej porze roku niemal nieustannie. Minęliśmy jeszcze ostatnią wioskę, jej zrujnowane domy zaczęła już pochłaniać dżungla. Osada była opuszczona, lecz panował w niej zaduch, odór rozkładających się zwłok. Szliśmy w milczeniu; z cienia jedynej chaty wciąż pokrytej poszarpaną strzechą z rafii wychynęła dziewczynka, na całym jej ciele jątrzyły się rany od poparzeń. Kończyny spuchły od gangreny. Stała i patrzyła, jak odchodzimy. Smród był wprost nie do zniesienia. Nikt się nie zatrzymał. Nikt się nie odezwał. Maszerowaliśmy przed siebie w ciszy i zostawiliśmy ją tam na pewną śmierć.

Kiedy sześć tygodni wcześniej wkroczyłem do dżungli, wojna wyszła mi na spotkanie, ukazując się z czasem od coraz gorszej strony. Z początku ujrzałem rannych, potem

pierwszych zabitych, lecz ich ciała nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia. Teraz, kiedy ruszyłem w drogę powrotną, czułem się niczym duch tamtego wędrowca: litość, współczucie, empatia - te emocjonalne luksusy odeszły w niepamięć; ich miejsce zajęły rosnąca determinacja oraz obrzydzenie.

Brnęliśmy, przełaząc przez kolejne zalane wodą pnie drzew.

- Zawsze wolę wracać inną drogą - stwierdził pogodnie Nick. - Dobrze się składa, bo dzięki temu zwiedzimy inne okolice.

Jakbym wracał z wycieczki odbytej w towarzystwie ojca. Wycieczki do piekła.

Po siedmiu godzinach marszu rozległy się wybuchy granatów z pancernic, co oznaczało, że rozpoczął się atak na Tubmanburg. Słysząc je było w oddali, więc nie brzmiały groźnie. Wiedziałem, że wkrótce tylna straż LURD się wycofa i będzie próbowała nas dogonić, dlatego wieczorem nie mogliśmy sobie pozwolić na odpoczynek. Istniała obawa, że Navy Division ruszy jej śladem - oraz naszym. Gdy zapadła noc, szliśmy dalej przez dżunglę, najpierw o zmroku, potem w zupełnych ciemnościach. Nie widziałem absolutnie nic, nawet wyciągniętej przed siebie ręki, nie mówiąc już o drodze. Nic a nic. Potykałem się o niewidzialne korzenie; pnie drzew wylaniały się jak góry lodowe z gęstej, czarnej toni. Trzymałem za rękę kobietę, która szła przede mną; Nick trzymał się poły mojej koszuli. Nie wolno nam było użyć pochodni. Czasem przez monsunowe chmury przebijał się księżyc, sącząc poświatę przez liście wysoko nad nami. Wówczas mogłem dostrzec wąską, srebrną wstążkę piaszczystej ścieżki wijącej się zakosami w kierunku północnym.

Wstał dzień, a my nadal szliśmy. Przed południem usłyszeliśmy dalekie odgłosy walki - co parę minut eksplozje, między wybuchami serie wystrzałów. Czasem rozlegały się bliżej, potem znów odpływały, ginęły pośród drzew. Tropili nas.

- Lepiej się nie zatrzymywać - stwierdził Nick. - Trzeba iść dalej. W wojskach rządowych nie panuje zbyt ścisła dyscyplina. Pewnie w końcu zrezygnują albo znudzi im się maszerowanie.

Tak więc my - maszerowaliśmy. Po sześćdziesięciu godzinach od opuszczenia Tubmanburga, z jedną przerwą na noc spędzoną w małej wiosce pośrodku dżungli, dotarliśmy do Bopolu. Penicylina zaczęła działać, ale kolana miałem tak osłabione, że byłem w stanie iść tylko, gdy podpierałem się kijem. Jeden z bojowników, krępy, lecz potężnie zbudowany siłacz imieniem Abe, dźwigał mnie, prawie dwumetrowego dryblasza, na plecach przez dobre osiem kilometrów; moje stopy wlokły się po ziemi, a ja złożyłem głowę na jego ramieniu - jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem, kładłem głowę na plecach ojca.

Gdy Abe, Nick oraz ja w charakterze bagażu wyłoniliśmy się z buszu i wkroczyliśmy

do miasta, starcy śmiali się z nas. Abe pomógł mi stanąć. Nazwali mnie Mojżeszem, gdyż opierałem się o swój kostur, otrzepując pot z brody. Nasi towarzysze wędrówki rozeszli się po mieście, w poszukiwaniu schronienia na noc. Siadłem na rynku i zapaliłem papierosa, tymczasem Nick sprawdzał odczyty GPS. Zobaczyłem znajomą sylwetkę i poznałem nierówny krok; Deku biegł w moją stronę.

- Hej, brachu! Mówiłem, że tu się zobaczymy!

Wziął ode mnie papierosa, po czym opowiedział mi o ewakuacji Tubmanburga. Obeszło się bez ofiar, ale powstańcy musieli zostawić cały ciężki sprzęt, co oznaczało, iż Taylor odniósł decydujące zwycięstwo. Navy Division w ciągu zaledwie trzydziestu pięciu minut zajęła miasto, którego ludzie Deku bronili przez dwadzieścia trzy tygodnie. A teraz wyprzedzaliśmy armię rządową o zaledwie jeden dzień marszu. W Bopolu miał pozostać oddział partyzantów - sam Deku zdołał dotrzeć tu tak prędko, ponieważ przemierzył dżungłę sobie tylko znanym skrótem. Spytałem go, kiedy jego zdaniem LURD uda się przypuścić kolejny atak na Tubmanburg.

- Planujemy rychły powrót do „Tocmanbur” i zamierzamy opanować miasto, bo ma ono wielkie znaczenie militarne - poinformował mnie, po czym umilkł, być może zdając sobie sprawę, że to tylko puste frazesy. - Stąd cofamy się aż do samej Gwinei - dodał.

Od granicy z Gwineą dzieliło nas ponad trzysta kilometrów, w dodatku przez dżungłę, czyli tak, jakby to było dwa razy dalej. Przerazająca perspektywa. Nie wiedziałem, czy jestem w stanie tego dokonać. Aby odwrócić myśli od tego, co mnie czekało, zadzwoniłem do matki. Powiedziałem jej, że jestem już w drodze do domu.

- To świetnie, kochanie - ucieszyła się, gdy jej to oznajmiłem. W jej głosie słyszałem beztruskę kobiety, która nie zdaje sobie sprawy, jak wiele śmierci ujrzał jej syn. - Posłuchaj, muszę ci przekazać ważną wiadomość - dodała.

Ścisnęło mnie w dołku, gdyż obawiałem się, że usłyszę kolejne złe wieści, okazało się jednak, że to tylko zaproszenie do Dublina na pewien ślub. Chodziło o to, że na nie nie odpowiedziałem. Roześmiałem się; oto mi uświadomiono, co jest naprawdę ważne, a co nie.

- Jak myślisz, zdążysz wrócić do tego czasu?

Nie miałem pojęcia, ale na wszelki wypadek poprosiłem, żeby zarezerwowała dla mnie bilet na samolot i miejsce w hotelu. Przynajmniej będę miał czego się trzymać, będę mógł myśleć o czymś miłym i normalnym, co mnie czeka. Podtrzymała rozmowę, mówiąc o różnych drobiazgach, byle jak najdłużej.

- Wkrótce się zobaczymy, mamó. Obiecuję - przerwałem jej, ale zaraz i tak połączenie zostało zerwane.

Rankiem pojawili się kolejni bojownicy, przynieśli też amunicję, a o świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Kolana mocno obwiązałem bandażami, ucho dolegało mi coraz mniej, jednak myśl o wielokilometrowej wędrówce wprawiała mnie w przygnębienie. Szansa zobaczenia wojny z bliska dodawała mi sił, kiedy wyruszałem na front; powrót stanowił tylko niemiłą konieczność, należało uporać się z nią jak najprędzej i w miarę jak najmniej boleśnie.

- Nikt nie wie, kto kontroluje drogi - odezwał się Nick, który zdawał sobie sprawę z mojego ponurego nastroju, kiedy znów brnęliśmy przez busz - więc lepiej trzymać się tych ścieżek.

Szliśmy przez pięć dni; nocowaliśmy w zrujnowanych domach, które niczym ranni giganci wznosiły się w wioskach poza tym niemal całkowicie zrównanych z ziemią. Dwa dni po wyjściu z Bopolu usłyszeliśmy wybuchy i strzelaninę, a to oznaczało, iż siły rządowe znalazły się w mieście. Tym samym od Navy Division dzielił nas jeden dzień drogi więcej. Mogłem sobie wyobrazić, co spowodowało opóźnienie: ludność cywilna płaciła wysoką cenę za udzielenie gościny partyzantom, niezależnie od tego, iż była to gościna wymuszona.

Nasze zapasy żywności niemal się skończyły. Jedliśmy wszelkie owoce, jakie udało nam się znaleźć w lesie, a Nick za pomocą swojego karabinka zestrzeliwał pęki zielonych kokosów, którymi dzieliliśmy się ze wszystkimi rebeliantami. Sok spływał przez gęsty zarost pokrywający moją twarz. Pierwszy raz od miesiąca piłem coś innego niż wodę. Od czasu do czasu któryś z partyzantów rzucał granat do strumienia, by pozbić potem martwe ryby.

W dżungli nie spotykaliśmy żywych ludzi, ale pewnego dnia zobaczyliśmy na naszej drodze zwłoki. Spękana, pozieleniała od zgnilizny, ciemna skóra nieboszczyka opuchła; z głębokiego rozcięcia w brzuchu wypływały jelita - na boki i dalej, w poszycie buszu. Z zatkanymi nosami ominęliśmy trupa.

Dotarliśmy do Fassamy, przeszliśmy obok drzwi frontowych Pajęczej Chaty, która wydawała mi się teraz wspomnieniem ze snu na jawie. Przypomniałem sobie niekończące się partyjki kart z Nickiem i panikę, jaka ogarnęła mnie, kiedy sądziłem, że umarł - a następnie uświadomiłem sobie, jak zupełnie nieprzygotowany byłem na to, co nastąpiło później. Potem zaś znów zagłębiliśmy się w dżunglę, przemierzaliśmy ścieżkę dotąd nam nieznaną. O zmierzchu tego piątego dnia Nick i ja schroniliśmy się w ruinach domostwa zbudowanego z błotnych cegieł. Między spalonymi belkami i splądrowanymi ogrodami wioski świszczał orzeźwiający wiatr: nadchodził kolejny monsunowy opad. Pośród gruzowiska znaleźliśmy skrawek suchej ziemi, na której mogliśmy ułożyć się do snu. Nick rozpiął wodoodporną plandekę, by osłonić nas przed deszczem.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - stwierdził, postąpiwszy krok w tył, by

podziwiać swoje dzieło.

Daliśmy nura do środka. Nad nami niebo otwarło podwoje, wylewając na obozowisko partyzantów galony wody. Sięgnąłem do plecaka, wyczułem znajome kształty przedmiotów, których szukałem. Ogarnęła mnie fala błogiej radości.

- Ag, chyba skończyło nam się żarcie. Może mają jeszcze trochę ryżu.

Nick był głodny jak wilk, cały dzień maszerowaliśmy na czczo.

- Ha! - stwierdziłem, czując się jak dzieciak w święta Bożego Narodzenia. - To powinno poprawić ci humor.

Z plecaka wyciągnąłem puszkę gotowanej fasoli Heinza oraz do połowy pełną butkę Johnniego Walkera.

- Zachowałem ją na czarną godzinę.

- Człowieku, to jest *fokken* dobra wiadomość!

Jego twarz zabłysła w świetle latarki. Jedliśmy fasolkę na zmianę, zimną, prosto z puszki, w sekrecie. Potem każdy z nas pociągnął uczciwy łyk z magicznej flaszki.

- Ach! - westchnął Nick. Obliznął wargi i osuszył je wierzchem dłoni, a następnie kurtuazyjnie otarł szyjkę butelki, nim mi ją podał. - Smakuje jak mleko matki.

Dopiliśmy do dna, po czym chyłkiem przełknąłem ostatnią pigułkę valium - ze wstydem, obawiając się, że Nick może to zauważyć.

- Nie do wiary, że przez cały ten czas przechowałeś whisky. Tajemniczy z pana gość, panie Brabazon - wyszeptał zdumiony.

Odpłynąłem w sen, pijany i naćpany, leżąc obok Nicka w przestrzeni nie większej niż trumna.

Rankiem zobaczyliśmy wezbrane wody rzeki Via rwącej przez las opodal skraju wioski. Nad nimi rozciągał się sznurowy most, zwisający w strzępach od jednego wielkiego pnia drzewa do drugiego.

- Nie wiem, czy ci się zwierzałem, ale nigdy nie ciągnęło mnie do cyrku - usiłowałem dowcipkować, próbując nie patrzeć w dół na szalejące pode mną wiry.

- *Ja*, ale teraz nie marudź, bo nie mamy całego dnia do dyspozycji, a coś mi mówi, że ludzie pana Taylora nadal chętnie ucieliby sobie z tobą pogawędkę.

Wziąłem sobie jego uwagę do serca i szybciej przesuwałem nogami, wpatrzony w przeciwległy brzeg, zaciskając kurczowo dłonie na wytartych linach służących za poręcze. Nikt nie spadł. Przyglądałem się już z drugiego brzegu, jak kobiety dźwigające na głowach pakunki oraz po dzieciaku na każdym biodrze przechodziły przez most pewnym krokiem, dwa razy szybciej niż ja, choć nie miałem żadnego bagażu.

Brnęliśmy dalej, teraz nasza kolumna uciekinierów i partyzantów ciągnęła się przez niemal dwa kilometry. Gdy wyszliśmy z wąskiego parowu, ujrzelśmy porośniętą trawą, otwartą przestrzeń wielkości mniej więcej stadionu piłkarskiego, pośrodku wznosiła się samotna chata.

- Świetne miejsce na zasadzkę - zauważyłem, zwracając się do idącego za mną Nicka.

- *Ja*, idealne, nie?

Jeszcze przez pięć minut deptałem nogami ziemię, nim rozległy się wystrzały. Padłem płasko na brzuch. Partyzanci wędrujący za nami próbowali uciec przed kulami z kałasznikowa rozdzierającymi popołudniowe powietrze, lecz drogę zagradzali przerażeni cywile. Wciąż leżąc, wsłuchiwaaliśmy się w odgłosy. Dwa dudniące wybuchy, potem cisza. Strzelanina umilkła.

- Granaty ręczne - stwierdził Nick. - Mam nadzieję, że to nasi.

Nikt już więcej nie strzelał. Trudno było ocenić, czy okrążyły nas siły rządowe, czy też wpadliśmy na jakiś inny zabłąkany oddział i tylko przypadkiem utworzyliśmy zupełnie nową linię frontu. Szliśmy dalej; zdałem sobie sprawę, jak stałem się zblazowany po opuszczeniu Tubmanburga. Wydawało mi się, że kiedy pożegnam to miasto, pożegnam też wojnę. Cóż, myliłem się.

Szlak doprowadził nas do wsi Zolowo, a potem zawiódł na szerszą drogę, którą szliśmy pięćdziesiąt dni wcześniej. W Salayie panował chaos. Wpadliśmy tam na horde nastolatków z kałasznikowami oraz zielonymi flaszkami bimbru w dłoniach. Ludności miejscowej ani śladu. Pijani, upaleni partyzanci rządzą tam niepodzielnie. Wszyscy ich dowódcy albo zginęli, albo zdezerterowali. Jaskrawe bandany na głowach, splify zwisające z ust - za ich sprawą ta malownicza miejscowość wyglądała niczym sceneria jakiegoś filmu w rodzaju *Mad Maxa*.

- Niedobrze, *fokken*, niedobrze. Tutaj wszystko się sypie. Idź dalej i staraj się nikomu nie patrzeć w oczy - przestrzegł Nick.

Przeszliśmy przez sam środek tej grupy młodych ludzi, którzy otwarcie okazywali lekceważenie Dragon Masterowi oraz Deku. Tańczyli przed nimi, wymachując bronią. Wątle pozory plemiennej jedności spajającej LURD zaczęły się rozwiewać w obliczu odwrotu. Zauważyłem, że Nick przesunął broń, teraz przyciskał ją do piersi. Przepadły z kretesem resztki nadziei czy szacunku, jakie żywiłem wobec LURD. To był nie tylko dom wariatów, lecz także zbieranina świrów uzbrojonych po zęby, którzy w dodatku nie mieli nawet piętnastu lat.

Gdy wędrowaliśmy dalej, miewałem przyływy i odpływy energii. Czasem, kiedy

zdawało mi się, że nie postąpię już ani kroku, nagle jakaś tajemnicza siła wstępowała w moje nogi i maszerowałem dalej, odzyskując wiarę, że może jednak dotrąm do końca tej wędrówki. To samo działo się z Nickiem. Jakimś cudem zdarzało się nam to mniej więcej na przemian, tak więc gdy ja słabłem, on mnie poganiał, kiedy zaś on zwalniał kroku, drażniłem się z nim, nazywając go starcem, na co on przyspieszał, żeby nie zostawać w tyle.

- Pomyśl tylko - zwróciłem się do niego, gdy mozolnie wdrapywaliśmy się na wzgórze, którego gliniaste, czerwone zbocza były śliskie jak lód - każdy krok przybliżył nas do pieczonego kurczaka w Petit Bateau. Inaczej mówiąc, idziemy na kurczaka.

- I na piwo - dodał.

Pogawędka pogawędką, lecz Nick wciąż miał baczenie na to, co może się czaić za horyzontem.

- Zostań w tyle - polecił mi. - Niech oni idą przodem.

Szedłem właśnie na czele pochodu. Oczekaliśmy więc razem, aż prowadzący grupę oddział przejdzie, wyprzedzając nas o jakieś sto metrów.

- *Ja*, w porządku. Chodźmy.

Nick także czuł się zmęczony. Zbliżaliśmy się do kresu naszej wytrzymałości. Nic dziwnego, było już dobrze po południu, a szliśmy właściwie bez przerwy od samego świtu. Schodząc po stoku wzgórza, ujrzelśmy wioskę rozciągającą się po obu stronach drogi. Drogi, która niczym czerwona wstęga przecinała otwartą, zieloną przestrzeń, prowadząc ku kilkunastu drewnianym chatom wznoszącym się na skraju lasu; obszar wioski został oflankowany rowami melioracyjnymi. Pośrodku placyku porośniętego trawą dostrzegłem samotną ławeczkę. Zapragnąłem usiąść na niej i odpocząć, patrzyłem tylko w tamtą stronę. Nick szedł krok za mną.

Najpierw zauważyłem dym, dopiero potem usłyszałem strzały. Z okna chaty w ciężkie, wilgotne powietrze wznosiła się smuga siwobłękitnego dymu. Potem w naszych uszach rozległy się terkot karabinu maszynowego i kakofonia gwizdzących nad nami kul. Rzuciłem się do rowu, Nick schował się w drugim. Zostaliśmy rozdzieleni. Tymczasem nad moimi plecami wyrosła ołowiana kurtyna: przednia straż LURD odpowiedziała ogniem. Świsnął jeden granat z RPG, potem drugi i następny. Strzelanina nie zamierała, przeciwnie, wzmagala się. Oprócz karabinu maszynowego rozlegały się serie z kałasznikowa oraz wybuchy ręcznych granatów. W tym samym rowie co ja, obok, przycupnęli jakaś młoda kobieta i wychudzony starszy mężczyzna. Nie do wiary, ale to był właśnie mój tragarz i miał mój plecak. Uśmiechnął się blado, kiedy przyczołgałem się do niego. Zdjął plecak i nic nie rozumiejąc, przyglądał się, jak składam kamerę.

- Muszę to mieć - usłyszałem swój głos. - Muszę to mieć na taśmie.

Jednak partyzanci byli innego zdania.

- Ej, człowieku, co ty wyprawiasz? Jazda, biegiem! Biegiem! Biegiem!

Dowódca, którego nie rozpoznałem, ukrył się w tym samym rowie. Sam pomyślałem, że w takiej chwili filmować, wydał mi się absurdem. Przecież chodziło wyłącznie o to, żeby przetrwać, o nic innego. Miał rację. Nagle poczułem się jak ostatni głupiec, jakby minione tygodnie niczego mnie nie nauczyły. Zamknąłem torbę i oddałem ją tragarzowi. Spojrzałem na dziewczynę, pochwyciliśmy się za ręce i razem stawiliśmy czoło burzy.

Zebrałem siły, ruszyłem przed siebie, pochylony, z lewą ręką nad głową, jakbym osłaniał się przed ulewą. Czulem kule, widziałem je: pył wzbijający się w powietrze, gliniastą drogę zrytą pociskami. Wokół zrobiło się gęsto od dymu. Wzdłuż drogi zajęło pozycje siedmiu czy ośmiu partyzantów, którzy rzucali w leśny gąszcz granat za granatem. Huk wypełnił moją głowę bez reszty, wypierając z niej wszelkie myśli oraz uczucia. Nagle pojawił się Nick, chwycił mnie, a potem pędziliśmy wszyscy troje, trzymając się za ręce; dowódca biegł przed nami, z moim plecakiem przewieszonym przez ramię, AK-47 w jego rękach drgał niczym żywa istota, obsypywał nas pustymi łuskami. Aż wreszcie znaleźliśmy się w cieniu drzew, w bezpiecznym cieniu. Padliśmy na plecy, zdumieni, że jeszcze żyjemy. Widziałem tylko chmury i liście.

- Wybacz, chłopie.

Usiadłem i odezwałem się tak do nieznanego dowódcy, który tylko wzruszył ramionami. Wstał i pobiegł w las. Wyjaśniłem Nickowi:

- Wkurzył się, bo próbowałem filmować. Trzeba przyznać, że słusznie.

Nick nie odpowiedział. Dźwignęliśmy się i zaczęliśmy również biec truchtem, coraz głębiej w busz, razem z cywilami. Odgłos strzelaniny i krzyki rannych prześladowały nas, gdy zmierzaliśmy dalej drogą prowadzącą do Zorzoru. Wreszcie wszystko umilkło, a wojska rządowe znikły w dżungli. Podczas starcia kilkoro ludzi odniosło rany, ale nie było zabitych.

Od Zorzoru dzieliła nas tylko godzina drogi. Żołnierze Taylora zbliżyli się niebezpiecznie do posiadającego kluczowe znaczenie ośrodka dowodzenia LURD, w dodatku prawie wcale niebronionego. Jeśli siły rządowe zajmą Zorzor, to partyzanci w zasadzie stracą możliwość wspierania bojowników działających na wschodzie kraju. Usiedliśmy na ganku opuszczonego domu i napiliśmy się wody ściekającej z blaszanego dachu.

- Już nie dam rady - odezwał się Nick głosem spokojnym, lecz stanowczym. - Nie przejdę ani kroku więcej.

Oznajmił to rzeczowym tonem, pozbawionym emocji. Zdjął buty i rozsiadł się w

starym drewnianym fotelu, wyczerpany. Słaniałem się na nogach ze zmęczenia i wcale nie byłem pewien, czy zdołałbym wędrować dalej. Przypuszczałem zresztą, że Nick zrobił to specjalnie, aby dać mi chwilę wytchnienia. Zdawało się to niemożliwe, żebyśmy tego dnia mieli jeszcze dokądś pójść. Jednak po godzinie Dragon Master wyprostował się i zarzucił kałasznikowa na ramię.

- No, idziemy! Nie ma samochodu.

Gapiliśmy się na niego z niedowierzaniem, lecz po chwili Nick w milczeniu zasznurował buty, a ja zacisnąłem bandaż na kolanach.

- *Ja*, w sumie to żadna niespodzianka. Coś mi się wydaje, że całą drogę przejdziemy pieszo. - Nick zdołał zmusić się do uśmiechu. - Całkiem nieźle jak na starca.

Teraz nosił już długą bielutką brodę. Wyglądał jak Święty Mikołaj w kamuflażu. Wyruszyliśmy więc, parliśmy naprzód przez bezlitosne zarośla równikowej dżungli, bo musieliśmy zrezygnować z drogi. Teraz szliśmy jeszcze wolniej. Nick oddał swojego kałasznikowa jakiemuś chłopcu. On, który dotąd obywatel się bez tragarza.

- Ten kurczak - mruknął mój towarzysz - to będzie najlepszy *fokken* kurczak, jakiego w życiu jadłem.

Potem już nie rozmawialiśmy, wlekliśmy się na północ, snując na jawie własne sny o domu.

Po wielu godzinach - choć nie wiem, ile ich upłynęło - wyszliśmy z dusznej gęstwiny na polanę, gdzie ujrzeliśmy ceglany bunkier oraz kilku młodych ludzi odzianych w sfatygowane oliwkowe mundury. Partyzanci powitali ich radosnymi okrzykami: wyblakłe żółto-zielone odznaki stanowiły nasze wybawienie. To byli gwinejscy żołnierze. Po dziewięciu dniach i z górą trzystu kilometrach marszu przez trzewia liberyjskiej dżungli przekroczyliśmy granicę.

II

9. Pomocna dłoń

Ocknąłem się w swojej dawnej sypialni, w domu mojej matki; obudziło mnie gruchanie grzywaczy na gałęziach pobliskiego dębu. Wyciągnąłem rękę i odsłoniłem zasłony; zmrużyłem oczy, gdy ciepłe światło sierpniowego poranka zalało maleńki pokój. Widziałem tylko chmury i liście. Na parterze pomrukiwał z gramofonu Champion Jack Dupree. W kuchni działała już magia grzanek oraz smażonego bekonu, rozkoszny aromat przecisnął się pod drzwiami, by powitać mnie w domu. Mama łyżeczką w kubku kawy wystukiwała tajemne, a tak dobrze mi znane sygnały. Odchrząknęła - zawsze mnie tak wołała, zamiast krzyczeć na cały dom.

Co sobie o mnie pomyśli, o swoim wychudzonym synu z twarzą porośniętą bujnym, zmierzwionym zarostem, który zakradł się do domu wczesnym rankiem poprzedniego dnia, a potem spał przez prawie dwadzieścia cztery godziny?

Zszedłem na dół, do swojskiego sanktuarium jadalni, pocałowałem ją w policzek i usiadłem przy stole, skąd miałem widok na ogród. Mama chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i znikła w kuchni. Minutę później uraczyła mnie ogromną kanapką z bekonem i kubkiem gorącej herbaty.

- Byłeś na to przygotowany - zauważyła, zgarniając po minucie pusty talerz. - Jak rozumiem, to kropla w morzu potrzeb.

- Hm, czy ja wiem? To znaczy, czy rzeczywiście byłem na to gotów? - odparłem ni w pięć, ni w dziewięć.

Nie czułem się przygotowany, na nic ani do niczego. A ona uśmiechnęła się i zerknęła na mnie. Tylko matki potrafią tak spoglądać na swoje dzieci: uważnie, jak gdyby chcąc się przekonać, czy w szkole nie zdarzyło się tego dnia coś złego. Byłem boso, miałem na sobie swój ulubiony zielony płaszcz kąpielowy z dawnych czasów. Odnosiłem wrażenie, że dopiero w tym małym, cichym domu w Canterbury ustąpiło napięcie, presja towarzysząca mi przez wiele tygodni. Mieliśmy sobie tak wiele do powiedzenia, być może zbyt wiele, a żadne z nas nie wiedziało, od czego zacząć.

- Poproszę o dokładkę, jeśli można.

Wstała, znów się uśmiechnęła i poszła dokroić chleba. Do pokoju zajrzała nasza kotka, węsząc niby sommelier przymierzający się do skosztowania dojrzałego klaretu. Przez okno sączył się do wnętrza blask bezchmurnego, letniego dnia, prześwitujący między zwisającymi nad trawnikiem gałęziami drzew. Kotka wskoczyła na parapet obok mnie, razem

spoglądaliśmy na ogród. Świat rozciągający się za drzwiami domu zawsze nappełniał ją przerażeniem. Wiedziałem, co czuje.

Gdy minęliśmy ów rozsypujący się posterunek graniczny, Nick i ja szliśmy dalej, teraz przemierzaliśmy terytorium Gwinei, wraz z towarzyszącymi nam partyzantami, aż dotarliśmy wreszcie do pewnego miasteczka, gdzie czekał na nas oddział LURD. Nim wcisnęliśmy się do szoferki zdezelowanej, białej półciężarówki, Nick i ja urządziliśmy sobie ucztę złożoną z produktów, jakie udało nam się dostać na przydrożnym targowisku: rozcięta na pół bagietka (od dwóch miesięcy nie mieliśmy w ustach żadnego pieczywa), nasączona skondensowanym mlekiem, na to sardynki z puszki. Pożerając łączywie ów smakołyk, uśmiechaliśmy się do siebie z pełnymi ustami, ale byliśmy zbyt wygłodniali, by zauważyć, czy ten improwizowany posiłek jest pyszny, paskudny, czy też może w ogóle pozbawiony smaku. Przepijaliśmy do siebie butelkami pomarańczowej fanty. A potem na cukrowym haju pojechaliśmy do Macenty.

Dotarliśmy do koszar LURD wieczorem, przekroczyliśmy bramę, która poprzednio otworzyła się przed nami, gdy wyruszaliśmy na wojnę. Wtedy Macenta wydawała mi się miejscem dziwnym i obcym - miasteczkiem zagubionym w lasach wschodniej części kraju, odciętym od normalnego życia, gdzie mijało się wielu partyzantów, uciekinierów i w ogóle wszelkiego rodzaju niezwykle postaci krążących po ulicach pełnych handlarzy oraz żołnierzy. Teraz wydała mi się zupełnie zwyczajną mięsciną: tak właśnie powinny wyglądać zachodnioafrykańskie miasta, kiedy eksplozje nie rozrywają ich na strzępy, a ścian nie siecze ogień z broni maszynowej.

Przewodniczący Sekou Conneh czekał na nas na dziedzińcu, tam, gdzie dwa miesiące wcześniej przyglądałem się, jak Nick opatruje kierowcę ranionego odłamkami nieopatrnie zdetonowanego granatu. Miał nasze torby ze sprzętem, które zostawiliśmy w Voinjamie. Nic nie zginęło. Voinjama, jak nas zapewnił, była wciąż bezpieczna w rękach partyzantów, pozostawało jednak niejasne, jak znaczną część terytorium buntownicy spodziewają się stracić, a także czy liczą na jej odzyskanie.

- Taylor nie da nam rady - powtarzał w kółko Conneh i uparcie trzymał się tego szumnego frazesu, choć wojska rządowe przegoniły jego ludzi aż do samej granicy. Byłem pewien, że Zorzor został już zdobyty, a przynajmniej otoczony.

Pospiesznie spożyliśmy posiłek złożony głównie z przesolonego ryżu, od którego aż paliło nas w ustach, po czym ruszyliśmy nocą, w towarzystwie Conneha oraz Bengury, niemal trzeźwego kierowcy gwinejskiego prezydenta, w drogę do Konakry. Bengura ładował bagaże do dżipa na kiepsko oświetlonym dziedzińcu koszar, tymczasem Nickowi i mnie

przyszło pożegnać się z Deku oraz Dragon Masterem. Jakoś tak wyszło, że zwykle „do widzenia” nie wystarczyło. Chciałem zostawić coś po sobie, jakąś pamiątkę, która będzie im towarzyszyć, uczestniczyć w wojnie. Bezstronny dziennikarz przepadł gdzieś podczas mozolnego marszu na północ.

Dragon Masterowi podarowałem swój plecak, którego zawartość przełożyłem do innych toreb; w jego przypadku sprawa była prosta - już od dwóch tygodni się tym plecakiem zachwycał. Z Deku poszło trudniej. Nie miałem pojęcia, czego mógłby chcieć, byłem jednak pewien, że na jakąś pamiątkę liczy. Stał, nie wiedząc, co zrobić z rękami, jak dzieciak czekający na prezent od sklepowego Świętego Mikołaja. Wreszcie wpadłem na pomysł i wręczyłem mu składany nóż, który zostawiłem razem z bagażami w Voinjamie. Nie uszedł mojej uwagi absurd, jakim było wręczanie tej namiastki broni zbrodniarzowi wojennemu; on zaś, rozpromieniony, otwierał i zamykał ostrze w wątlym blasku brudnej żarówki oświetlającej nasze pożegnanie. Kimkolwiek byli, czegokolwiek się dopuścili - lub na co zezwolili, by się stało - pomogli mi pozostać przy życiu i filmować; trochę żał mi było się z nimi rozstać.

W Konakry udaliśmy się prosto na taras restauracji, w której poznaliśmy Franka i Joego. Obsługa jak zwykle snuła się ospale, znudzone oblicze kelnerki ożywiło się jednak, zdumione, kiedy złożyliśmy zamówienie. Cóż za ekstrawagancja: o dziesiątej rano zażądaliśmy czterech pieczonych kurczaków, a do tego czterech dużych piw.

- *Les autres, ils viennent tout de suite?* - chciała się upewnić.

Wy tłumaczyłem, że nikogo więcej nie będzie, aż wreszcie, po trzydziestu minutach wpatrywania się w drzwi kuchni Nick i ja wbiliśmy zęby w miękkie mięso i chrupiącą skórkę najsmaczniejszego posiłku naszego życia. Zjedliśmy wszystko, co do kawałeczka, ogryźliśmy każdą kostkę, osuszyliśmy kufle do dna. Pośród piętrzących się bagaży - nawet nie zameldowaliśmy się w hotelu - zapaliłem czerwonego marlboro, rozparłem się w krześle. Wypuściłem kłęb błękitnego dymu w stronę niebios. Od Atlantyku wiała chłodna bryza. Zrobiłeś to - powiedziałem sobie. - Kurwa, zrobiłeś to.

- Coś panu wyjawię, panie Brabazon - odezwał się Nick, dopijając ostatnie piwo. - Było świetnie. Mam jedynie nadzieję, że nie będziemy musieli iść równie długo, żeby smakował nam też następny posiłek.

- Zaczekaj tylko - zapowiedziałem. - Wrócisz tu i to prędzej, niż ci się zdaje. Ani się obejrzysz. To jeszcze nie koniec!

Zawlekliśmy bagaże do naszych pokojów. Czekala mnie pierwsza noc sam na sam ze sobą, pierwsza od dwóch miesięcy noc, której nie spędzę w towarzystwie Nicka. Kiedy mój

towarzysz znikł w głębi korytarza, wszedłem do swojego pokoju, obrałem z siebie drugą skórę, którą stały się sparszywiła koszula i skarpety, otworzyłem na oścież źle dopasowane drzwi łazienki. W słabym blasku pojedynczej gołej żarówki dostrzegłem swoje odbicie w lustrze - po raz pierwszy, odkąd opuściłem ten hotel w czerwcu. Moja klatka piersiowa się zapadła, skóra przybrała niezdrowy odcień, była upstrzona strupami i śladami ukąszeń insektów. Widać było wyraźnie żebra i obojczyki, mięśnie uległy atrofii. Twarz pokrywał niechlujny, zmierzwiony zarost; właściwie dało się zauważyć tylko zapadnięte oczy spoglądające na mnie niepewnie ze szklanej tafli.

Z kieszeni spodni wyciągnąłem kompaktowy aparat, skierowałem obiektyw na moje odbicie. A, niech tam. Zrobiłem zdjęcie, potem drugie. Odłożyłem aparat i pomyślałem: „Zapamiętaj to sobie”. Nigdy już nie będziesz tak wyglądał. Przygotowałem sobie letnią kąpiel, wymyłem błoto oraz krew pomiędzy paluchów u stóp, szykowałem się na spotkanie z kumplem Cobusa, pułkownikiem Frankiem, pracującym dla amerykańskiego wywiadu. Wszelkie opory natury moralnej, które miałem uprzednio co do informowania go na temat sytuacji w Liberii, ulotniły się bez śladu. Jeśli interesują go szczegóły, pozna szczegóły. Wojna się nie skończyła, a moje stosunki z amerykańskim wywiadem pewnie także nie. Skoro pojawiła się taka szansa, chciałem zapewnić sobie ich zdecydowane wsparcie dla mojego projektu filmowego.

Kiedy się umyłem, wzięliśmy z Nickiem taksówkę do miasta. Odszukaliśmy Franka, który popijał piwo po lunchu w towarzystwie kilku nieumundurowanych mięśniaków z zielonych beretów. Wszyscy mieli po dwadzieścia kilka lat, byli gładko ogoleni, przybyli prosto z Fort Bragg w Karolinie Północnej i wprost nie mogli się doczekać, żeby obejrzyć nakręcony przeze mnie materiał. Podłączyłem więc mój miniodtworacz do telewizora w ich kwaterze, po czym włączyłem zapis strzelanin w Tubmanburgu. Po trzydziestu minutach wszyscy wiedzieli już, w czym rzecz.

- No, pięknie - odezwał się jeden z młodszych; miał na sobie wyprasowaną koszulę i pachniał płynem po goleniu. - Mam nadzieję, że nie ominie nas ta zabawa. Wszyscy jesteśmy gotowi.

Nie tylko szkolili w Konakry gwinejskie siły specjalne, lecz także przygotowywali się do porwania dwóch przedstawicieli Al-Kaidy podejrzanych o pomaganie prezydentowi Taylorowi w upłynnianiu nielegalnie wydobytych, krwawych diamentów. Spostrzegłem, że na wzmiankę o kamieniach szlachetnych oczy Nicka zabłyśły. Odkąd wyluszczył mi swój plan, owo magiczne słowo nader często gościło na jego ustach. Teraz jednak milczał.

Przedstawiłem Frankowi ogólny zarys sytuacji, w jakiej znajdowali się partyzanci,

starając się ująć w odpowiednie słowa to, co widziałem na własne oczy. Z trudem mi przychodziło wyjaśnić, na czym polega wojna, której wynik może zależeć od niedbale rzuconego niedopałka, jednak odnosiłem wrażenie, że Frank doskonale mnie rozumie. Przegrałem mu kilka fragmentów materiału filmowego na VHS, a Nick oddał zdobycznego kałasznikowa. Wszystko odbyło się w luźnej atmosferze; nie wiem, czego się spodziewałem - może jakiejś wymiany zdań w stylu Jamesa Bonda. Tymczasem popijaliśmy piwo i po prostu sobie rozmawialiśmy.

W konkluzji Frank stwierdził:

- Jeśli ci faceci naprawdę zamierzają obalić Taylora, to muszą jakoś uregulować kwestię dostaw. Gwinejczycy nie dadzą im zginąć, ale będą na bieżąco dostarczać tylko tyle amunicji, ile akurat trzeba, nie więcej, bo tak naprawdę wcale im nie zależy, żeby partyzanci zbyt szybko zwyciężyli. Właściwie w ogóle tego nie chcą. Zresztą, czy ktoś sobie wyobraża tych ludzi u władzy?

Roześmialiśmy się wszyscy, bo rzeczywiście, po obejrzeniu na ekranie telewizora całego zamętu, jaki panował w Tubmanburgu, koncepcja rządu utworzonego z członków LURD wydawała się wręcz absurdalna.

- Jednak tutejszy prezydent robi, co będzie należało, żeby chronić wschodnią część kraju przed kolejną napaścią.

Trzeba przyznać, że Frank nie owijał w bawełnę. A przy tym z pewnością miał rację. Wstaliśmy z Nickiem, żeby się pożegnać.

- Nie zapomnij wysłać mi kopii ukończonego filmu - rzekł na odchodnym Frank. - I pozostajemy w kontakcie.

Powiedział to spokojnym tonem, odniosłem wrażenie, iż nie były to tylko puste słowa; poczułem się, jakby przyjęto mnie do klubu. Frank wymienił krzepki uścisk dłoni z Nickiem, który najwyraźniej miał zapewnione dożywotnie członkostwo w owym klubie.

Kiedy jechaliśmy taksówką z powrotem do hotelu, Nick przez dłuższą chwilę przyglądał się ruderom, które przemykały za otwartym oknem samochodu.

- Za dużo czasu spędzają na siłowni, a za mało na wojnie. Te ich mięśnie nic nie znaczą.

Skinąłem głową z rękami skrzyżowanymi na piersi, dotykając palcami swoich wymizerowanych bicepsów.

Po dwóch miesiącach i dwóch dniach od naszego przybycia do Konakry nadszedł czas odjazdu. Na lotnisko zawiózł nas wojskowy gazik. Ominęliśmy wszystkie kontrole, zaprowadzono nas prosto do lotniskowego pomieszczenia dla VIP-ów. Aby uchronić nas

przed ewentualnymi zakusami ze strony urzędników celnych, mogącymi przejawić się w ostatniej chwili, wcisnąłem kilka studolarówek w dłoń człowieka, który zaprowadził nas do klimatyzowanej poczekalni. Jeszcze pół godziny, a wetknąłbym łapówkę wszystkim pracownikom ochrony lotniska w Konakry.

Jednak już po chwili głos w megafonach zapowiedział mój samolot Air France - i odtąd pamięć mnie zawodzi. Pamiętam z najdrobniejszymi szczegółami potyczki, które przeżyliśmy, całe odcinki drogi przez dżunglę - ale odkąd Nick i ja wstaliśmy, żeby się pożegnać, mam zupełną pustkę w głowie. Nie mogę sobie przypomnieć, czy objąłem ramionami człowieka, który uratował mi życie, czy tylko podaliśmy sobie ręce, nie pamiętam ani jednego słowa wygłoszonego na pożegnanie. Nie pamiętam, jak wróciłem do domu. Nic, aż do chwili tamtego przebudzenia, kiedy do moich uszu dotarły pierwsze odgłosy lata w Kent.

Mama wróciła do jadalni, niosąc gorącego tosta; wraz z nią w pomieszczeniu pojawiła się nieskrywana troska o syna.

- Umówiłam ci wizytę u lekarza na przyszły tydzień, wcześniej nie zdołałam cię wcisnąć.

Mama stała w drzwiach kuchni, niepewna, czy postąpiła słusznie.

- Świetnie, bardzo dziękuję. Chyba to dobry pomysł, żebym dał się przebadać. Jutro jadę do Londynu, żeby nagrać „Od naszego korespondenta” dla BBC. Wrócę na kolację. Ale dzisiaj zamierzam jeszcze odpoczywać.

Potrzebowałem łagodnej dekompresji, chciałem się wynurzyć stopniowo, w spokoju; niech obrazy i wspomnienia z ostatnich tygodni ułożą się, zanim spróbuję je uporządkować. Mama zachwyciła się na wieść, że będę w radiu, dumna i zaskoczona zarazem. Ta nowina rozproszyła troskę towarzyszącą jej przez cały ranek. Dla niej, tak samo jak dla partyzantów, radio tworzyło rzeczywistość.

- Co chcesz na kolację? Mogę przyrządzić potrawkę.

Nie musiała dodawać: „żeby cię dożywić”, to było zrozumiałe samo przez się, ponieważ mimo sierpniowych upałów potrzebowałem jak najwięcej kalorii.

- Wyśmienicie. Zresztą, co tylko zechcesz, oprócz ryżu. Bardzo proszę, pamiętaj o tym, ryżu chyba już nigdy nie tknę.

Jej syn - sama skóra i kości, i jeszcze zmierzwił włosy - wstał, by ją uściskać. Zdał sobie sprawę, że przez ponad dwa miesiące właściwie nikogo nie dotykał.

- Obawiam się, że to nic szczególnie egzotycznego, panie Brabazon - oznajmił lekarz, spojrzawszy na mnie znad wielkiego szkła powiększającego, które trzymał nad moją dłońią.

Patrzył mi prosto w oczy. - To tylko ostry przypadek świerzbu. Proszę, niech pan sam popatrzy.

Zajrzałem, ale jakoś nie dostrzegłem maleńkich insektów, które ponoć roiły się w otwartych ranach na moich palcach.

- Zapiszę panu maść. Będzie pan odczuwał pieczenie, dość uciążliwe, szczególnie tam - ruchem głowy wskazał moje krocze.

Nim włożyłem koszulę i spodnie, sympatyczny doktorek powiadomił mnie, iż bez wątpienia cierpię też na niedożywienie. Prócz tego zanik mięśni i przypuszczalnie trwałe uszkodzenie obu kolan. Cóż, według wskazań GPS-u Nicka przemierzaliśmy na piechotę 467 kilometrów.

- Przeszedł pan, pański organizm przeszedł epizod traumatyczny. Nieco potrwa, nim odzyska pan zdrowie.

Spoglądaliśmy na siebie nad jego biurkiem, przyozdobionym zdjęciami szczęśliwej rodziny; przed lekarzem leżał blok z logo-typami firm farmaceutycznych. Zastanawiałem się, jak wielu internistów w Wielkiej Brytanii miewa do czynienia z ludźmi powracającymi prosto z wojny.

Zwlekałem, nie chciało mi się wstać z krzesła. Miałem mu coś jeszcze do powiedzenia.

- Przez ten tydzień, który spędziłem w domu, czułem się dość podle - wymamrotałem.
- Chodzi mi o to... No, obawiam się, że ta wyprawa wywarła na mnie wpływ, wie pan, też pod innym względem. Nie mam na myśli niczego konkretnego, ale wszystko to było dość... bo ja wiem... ekstremalne. Zastanawiam się, czy nie powinienem spotkać się z jakimś specjalistą? Czuję się nieco dezorientowany.

- A jak pan uważa?

Lekarz stukał palcami w oprawkę długopisu. Ta kwestia nie dawała mi spokoju, odkąd byłem świadkiem szlachtowania więźnia w Tubmanburgu. Choć nie dręczyły mnie koszmary ani nie popadałem w depresję, to chwilami czułem się bezradny, z trudem przychodziło mi odnaleźć się we własnej skórze. Popatrzyłem znów na niego i wzruszyłem ramionami.

Odłożył długopis, odsunął na bok kartkę z notatkami. Czekał, a ja próbowałem pozbierać myśli. Starąłem się spowolnić galopujące w mojej głowie obrazy drzew, wybuchów, trupów i twarzy, jakie pojawiały się, gdy wspominałem moją wyprawę. Z jakiegoś powodu obrazem, który powracał najczęściej, jakbym miał go stale przed oczami, był widok pozieleniałych, wypatroszonych zwłok zalegających na ścieżce. Wspomnienie ciemnych, rozkładających się wnętrzności pozostało tak żywe, że przysięgłbym, iż czuję ich

smród. Chciałem powiedzieć lekarzowi prawdę, ale przyszło mi do głowy, że lepiej ograniczyć się do półprawdy.

- Trudno powiedzieć. Nie jest mi łatwo... Chodzi o to, że moje przeżycia z ostatnich dwóch miesięcy nie bardzo się nadają na temat do grzecznej pogawędki. Właściwie nie ma nikogo, z kim mógłbym tak naprawdę o tym porozmawiać (Jeśli nie liczyć Nicka - pomyślałem). Prawdę mówiąc, było, kurwa, dosyć strasznie. Czuję się zagubiony. Tak, to chyba dobre określenie. Myślę, że jestem nieco zagubiony.

Lekarz nie odpowiedział, grzebał przez chwilę w papierach na biurku, nie znalazł tam tego, czego szukał, więc zaczął przerzucać fiszki w jednym z dwóch pudełek stojących na podłodze. Na skrawku papieru napisał nazwisko i numer telefonu, dołączył kartkę do recepty. Skierował mnie do kliniki The Priory Ticehurst House.

- Warto spróbować. Nie uważam, żeby pan potrzebował pomocy psychiatry, natomiast sesja z terapeutą może się panu przydać. - Uśmiechnął się i wsadził długopis do kieszeni koszuli, zupełnie tak samo jak Nick. - Specjalizują się w różnego rodzaju traumach, zajmują się żołnierzami, ludźmi z mediów, a także ofiarami wypadków oraz podobnymi problemami.

Odsunął na bok moją dokumentację, wstaliśmy obaj.

- Rzecz jasna to całkowicie poufne.

Wędrowałem pod górę znajomą ulicą, którą przemierzałem codziennie podczas dwóch ostatnich lat nauki w szkole średniej, dawno, dawno temu... Wsadziłem poskładaną kartkę do portfela. No pięknie. „Poufne”, ładne rzeczy - pomyślałem. - „Poufne” to znaczy wstydlive. Coś, z czym należy się kryć. Czy fakt, iż nie potrafię odnaleźć się we własnej skórze, zalicza się do czynników hańbiących? Obawiałem się jednak, że skoro nie umiem nawet opisać swojego samopoczucia, to nie zdołam zmontować spójnego filmu o tym, co widziałem. Nie byłem przecież wyłącznie obserwatorem, stałem się raczej świadkiem i powoli docierała do mnie świadomość, iż ta rola nie jest pozbawiona znaczenia, co wiązało się z odpowiedzialnością. Nie wiedziałem tylko przed kim ani za co.

Jak na Canterbury dzień okazał się wyjątkowo upalny. Jaskółki śmigły, zataczając kręgi na czystym niebie Kentu, lecz byłem zbyt zaabsorbowany własną osobą, by cieszyć się z pogody. Przez miniony tydzień usiłowałem bezskutecznie upchnąć do którejsz z londyńskich gazet mój artykuł o wojnie. Nie wiedzieli, kim jestem ani że w Liberii trwa wojna. Jeśli nie liczyć pięciominutowego kawałka dla Kate Adie, nikt się szczególnie moimi rewelacjami nie zainteresował. Mój materiał nie przyciągnął uwagi nawet śledczego z Panelu Ekspertów Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, specjalizującego się w nielegalnym

handlu bronią: facet zachowywał się tak, jakby robił mi łaskę, że w ogóle ze mną rozmawia. Odłożyłem słuchawkę oszołomiony, nie byłem przygotowany na tak daleko posuniętą izolację.

Wróciłem do domu po wizycie u lekarza, siadłem przy stole pod schodami i nie bez zaleknienia wystukałem międzynarodowy prefiks do RPA.

- Pan Brabazon, jak sądzę?

Usłyszałem głos Nicka po raz pierwszy, odkąd rozstaliśmy się w Konakry. Od razu poczułem się jak na tarasie w Tubmanburgu.

- Cześć, chłopie, co słyhać? Ciągle jeszcze jestem do niczego, wiesz? A jak ty się czujesz?

- Całkiem nieźle. Tyle że spałem przez cały tydzień. Marzaan też uznała, że z tą brodą wyglądam jak Święty Mikołaj, więc musiałem ją zgolić. A ty?

- Nie, nie ogoliłem się. To trochę tak, jakbym miał pod samym nosem skrawek Liberii. Zresztą śmierdzi podobnie. Miałeś jakieś wiadomości od przewodniczącego?

- *Ja*, nadal przebywa w Konakry, ale zamierza wrócić w przyszłym tygodniu w rodzinne strony. Mówi, że wszystko idzie dobrze i przygotowuje swoich ludzi do tej sprawy, o której mówiliśmy.

Głos Nicka rozbrzmiewał krystalicznie czysto, jednak w naszej rozmowie z rozmysłem unikaliśmy konkretów. Już podczas naszego pierwszego spotkania w Johannesburgu Nick ostrzegł mnie, żebym uważał, co mówię przez telefon.

- Miejsce w pobliżu głównej bazy, czyli tam, gdzie działają faceci z sąsiedztwa, a także miasto obok sprawiają im mnóstwo kłopotów. Kiedy przejmą nad nimi kontrolę, będą mogli pomyśleć o kontrataku.

Innymi słowy, Voinjamę kontrolowali partyzanci i Sekou Conneh zamierzał się tam udać, lecz Foya (gdzie Taylor posługiwał się przybyłymi z Sierra Leone najemnikami należącymi do RUF) oraz sąsiednie miasto Kolahun pozostawały w rękach sił rządowych. Dzięki temu Taylor dysponował bazami wypadowymi, z których jego wojska mogły odcinać dostawy dla partyzantów z LURD, co uniemożliwiało działania mające na celu odbicie terytoriów położonych na południu - dopóki siły rządowe nie zostaną skutecznie związane lub zniszczone.

Zdaniem Nicka właśnie te dwa miasta w pobliżu granicy z Sierra Leone miały teraz decydujące znaczenie dla przebiegu wojny. Dragon Master powiedział mi w Tubmanburgu, że gwinejscy żołnierze służący w kontyngencie ONZ w Sierra Leone pozostawili w pobliżu liberyjskiej granicy skrytki z amunicją dla partyzantów. Dragon Master osobiście odpowiadał

za kontakty z Gwinejczykami, a następnie za pozyskanie wspomnianych zapasów. Biorąc pod uwagę, że operacje pokojowe ONZ odbywały się za pieniądze między innymi brytyjskich podatników, mogłem bez wątpienia stwierdzić, że przynajmniej część wpłat wnoszonych przeze mnie fiskusowi poszła w ten czy inny sposób na rzecz LURD. Nicka tymczasem interesowało zapewnienie partyzantom bardziej bezpośrednich form finansowania; mówiąc o „tej sprawie”, miał na myśli oczywiście wydobycie diamentów. Conneh wyraził zgodę, przynajmniej wstępnie. Teraz zarówno on, jak i Nick rozglądali się gorączkowo za helikopterem.

- Za parę dni wyjeżdżam do Irlandii, na ślub znajomych - powiedziałem, pragnąc zakończyć tę rozmowę wiadomością, która dotyczyłaby czegoś legalnego. - Gdy wrócę, powinienem się czegoś dowiedzieć, jeśli chodzi o sprzedaż mojego filmu.

To z kolei miało znaczyć, że być może będę już wiedział, czy zdołam mu zapłacić. Nie podjął tematu.

- *Ja*, w takim razie powodzenia i trzymaj się, stary. Na razie.

- Ty też się trzymaj.

W słuchawce trzasnęło, zapanowała cisza.

Choćbym nie wiem jak intensywnie się wpatrywał, ten facet nie wyglądał jak ja. Zmierzwiony zarost, ciemne oczy, skóra i kości: lustro w łazience dublińskiego hotelu okazało się równie bezlitosne jak to w Konakry. Dopiero co widziałem, jak Tara, moja bliska przyjaciółka z uczelni, wyszła za swojego amerykańskiego chłopaka podczas cudownej, utrzymanej w duchu cyganerii ceremonii na szczycie prastarego celtyckiego kurhanu opodal Dublina. Wysoka, piękna i aż do bólu zachwycająca Tara: niegdyś marzyłem wbrew wszelkiej nadziei, że to ja zostanę jej mężem. Jadąc tam, fantazjowałem, jak przerwę ceremonię, by wyznać wszem wobec moją niewygasłą miłość, tak jak czynią bohaterowie pocziwych komedii romantycznych. W rzeczywistości jednak trzymałem się z tyłu i stałem z założonymi rękami. Strupy swędziały mnie jak wszyscy diabli.

Nikt mnie nie poznał. Ani moi przyjaciele, ani rodzina panny młodej, choć znałem ich wszystkich od lat. Nikt a nikt. Kiedy powiedziałem im, że to przecież ja, zrobili wielkie oczy, zupełnie jak na kreskówkach. Potem wśród radosnego zgiełku i ekscytacji zagubiłem się w tłumie; w końcu wylądowałem przy hotelowym barze i na próżno usiłowałem pochwycić spojrzenie kogoś ze znajomych - ludzi, z którymi dzieliłem tamto życie. Nagle poczułem się tak, jakbym znowu znalazł się w sytuacji zagrożenia, zacząłem się pogrążyć pośród tac z kieliszkami szampana i kanapkami. Coś jakby we mnie pękło, jakby odcięto mi dostęp powietrza. Odgłosy weselne - brzęk szkła, szmer wesołych rozmów - powoli odpłynęły w dal,

aż pozostała tylko bezgłówna wizja wypatroszonych zwłok zagradzających ścieżkę.

Rzuciłem się do drzwi, zaczerpnąłem pełne płuca ciepłego, świeżego powietrza. Minęła mnie grupa dziewczyn z Anglii, które najwyraźniej urządziły sobie babską imprezę. Taksówki, samochody, turyści, zakochani... Wszyscy i wszystko zmierzało w jakąś stronę, pospiesznie lub leniwie. Zwykły wieczór nad rzeką Liffy, nic więcej. Wciąż byłem wśród żywych. Przyglądałem się światłom migoczącym w wodzie. To wreszcie mnie uspokoiło, powędrowałem więc do mojego niedalekiego hotelu, aby spróbować odnaleźć siebie w lustrze. James - mówiłem, jakbym zwracał się do kogoś obcego - wszystko będzie dobrze. Umyłem się, znów natarłem skórę maścią, po czym łyknąłem małe niebieskie pigułki valium z zapasu przepisanego mi przez lekarza wiele lat wcześniej.

Uznałem, że nieźle mi poszło, kiedy na ślubie udawałem normalnego. Jednak w rzeczywistości, kiedy próbowałem opowiedzieć komuś o okropnościach tej wyprawy, odpowiadało mi pełne zażenowania milczenie lub zapewne szczery niepokój o moje zdrowie psychiczne. Podczas kolacji siedzący obok mnie aktor, którego filmy zawsze podziwiałem, zasugerował mi bardzo delikatnie - usłyszawszy krótkie streszczenie mojej podróży z linii frontu na wesele - że „chyba powinienem z kimś o tym porozmawiać”.

Tydzień później to właśnie zrobiłem. Wybrałem się do The Priory w pobliżu Tunbridge Wells. Nie umiałem sobie wyobrazić, z kim przyjdzie mi rozmawiać, gdy już się tam znajdę. Zapewne ze znudzonym zawodowym terapeutą, który nigdy nie był na wojnie, z pełnym jak najlepszych chęci psychologiem, który nigdy nie był przy tym, jak ktoś w gniewie oddaje strzał, nie wspominając już o tym, czy widział, jak komuś wydziera się serce z piersi. Jednak udałem się tam z dość pozytywnym nastawieniem.

Czytałem wcześniej o wpływie, jaki wywiera wojna na psychikę walczących. Pewne studium poświęcone badaniom przeprowadzonym na amerykańskich żołnierzach biorących udział w drugiej wojnie światowej wykazało, że dziewięćdziesiąt osiem procent z tych, którzy przebywali na froncie bez przerwy przez trzydzieści pięć dni i dłużej, przejawiało zaburzenia psychiczne różnego stopnia. Ja w Liberii spędziłem trzydzieści dni, asystowałem przy walkach lub też rozgrywały się one w moim bezpośrednim pobliżu. Wziąwszy to pod uwagę, miałem racjonalne powody, by niepokoić się o swoje zdrowie.

Steven okazał się korpulentnym, sympatycznym facetem po czterdziestce. Jego otwarte oblicze budziło zaufanie, a prosty sposób wysławiania się, niezaśmiecony żargonem czy terminologią medyczną, sprawiał, że nietrudno go było zrozumieć. Zanim zaczęliśmy, wyjaśnił, na czym polega PTSD - Post Traumatic Stress Disorder (zespół stresu pourazowego). Podkreślił, iż nie jest to schorzenie psychosomatyczne spowodowane

przerostem wyobraźni, lecz dolegliwość fizyczna równie rzeczywista jak złamanie nogi. Procesy chemiczne zachodzące w mózgu wskutek wydzielania się adrenaliny mogą wywołać specyficzne zmiany behawioralne, które - by ciągnąć dalej tę analogię - są tak samo realne jak utykanie na ową złamaną nogę.

- No a złamanej nogi przecież by się pan nie wstydził - stwierdził, bez wątpienia słusznie. - Tak więc nie ma też powodu do wstydu, jeśli okaże się, że w pańskim organizmie zadziało się coś, czego co prawda nie widzimy, lecz co pozostaje nie mniej rzeczywiste.

Oprócz bardzo realistycznych nawrotów wspomnień złożonych z bodźców dostarczanych na pozór przez różne zmysły, syndromem PTSD jest także nieustanna nadpobudliwość umysłu, ponieważ chory nieustannie wypatruje zagrażającego niebezpieczeństwa (i w związku z tym nie potrafi się zrelaksować); ponadto występują zachowania unikowe, włączając w to nadużywanie alkoholu oraz narkotyków, głównie jednak człowiek dotknięty schorzeniem unika ludzi, miejsc lub innych okoliczności, które mogłyby uwolnić z uwięzi reminiscencje traumatycznych wydarzeń.

Szczególny nacisk Steven położył na jeden punkt: otóż uważa się, że PTSD zazwyczaj zaczyna się od jakiegoś szczególnego wydarzenia, w którym pojawiło się zagrożenie życia lub też poczucie takiego zagrożenia, nawet jeśli było ono mylne.

- Może zaczęlibyśmy od tego, że opowie mi pan, gdzie pan był, jaką pracę wykonywał pan w Afryce.

Tak oto w tym sterylnym pomieszczeniu, mając tylko wodę do picia i długopis, żeby zająć czymś palce (obowiązywał zakaz palenia), zacząłem opowiadać o wojnie. Steven dopytywał o mnóstwo spraw, pomagał w formułowaniu odpowiedzi oraz uściśleń, nigdy jednak nie zadał pytania, którego obawiałem się najbardziej. Nie pytał dlaczego. Dlaczego nie przestałem filmować? Dlaczego nie próbowałem udzielić pomocy? Bałem się, że zechce mnie osądzać, jednak okazało się, że ten człowiek umiał odegrać rolę pomocnika, który tylko odkręcił kran i ukierunkował strumień wspomnień, lęków i żalów, spływający z moich ust, wspierając mnie przy tym w odnajdywaniu ich sensu.

- A kiedy wyrwali mu serce, jaki dźwięk temu towarzyszył? Jak to brzmiało?

A potem:

- Kiedy ujrzał pan zwłoki na ścieżce, jaki zapach towarzyszył temu widokowi?

Odpowiadałem na pytania, a następnie wyznałem:

- Wie pan co? Ani razu się nie rozplakałem. Ani razu. Przeszedłem przez to wszystko tak, jakby ich śmierć była jakimś zjawiskiem z innego świata, tak trudna do pojęcia, że w zasadzie nie robiła na mnie wrażenia. Po prostu, zdarzało się to, co się zdarzało, a ja przy tym

byłem. I wie pan, teraz z tego powodu czuję się jak potwór, jak jakiś, kurwa, potwór. No bo to, kurwa, nie jest normalne. Człowieku, to jest, kurwa, pojebane, żeby widzieć to wszystko i się nie rozplakać. Patrząc na dzieciaki, które umierają od gangreny czy od oparzeń, i kręcić film. Nie, kurwa, nie czuję się normalny. Wręcz przeciwnie, to jest zupełne przeciwieństwo normalności i naprawdę boli, boli mnie w środku.

I właśnie wtedy się poryczałem, napłynęły łzy i myślałem, że nigdy nie przestaną płynąć.

Wyszedłem z gabinetu z zaczerwienionymi oczami, smarkając w całkiem mokrą papierową chusteczkę. Jakoś udało mi się dojechać do spokojnego hoteliku w Dorset. Wewnątrz czułem pustkę, byłem fizycznie wyczerpany, tak jakbym przeszedł długotrwałą chorobę. Znowu spojrzałem na siebie w lustrze i nagle zapragnąłem pozbyć się brody. Ściałem ją i ogoliłem się na gładko, aż wreszcie zobaczyłem skrytego za nią samego siebie.

Steven uważał, że cierpię na ostry zespół reakcji na stres - PTSR. Trudno mi było się z nim nie zgodzić. Bez wątplenia przez dłuższy czas żyłem w stresie, no i niewątpliwie teraz moja psychika na to reagowała. Do moich myśli zakradła się jeszcze jedna niepokojąca wątpliwość, zacząłem się mianowicie zastanawiać, czy przypadkiem nie był to pierwszy krok na drodze do tego, żeby ktoś mi wreszcie powiedział, iż po prostu popadam w szaleństwo. Steven utrzymywał, że minie sześć tygodni, nim się okaże, czy jestem w stanie przepracować emocje dotyczące wydarzeń w Liberii, natomiast zespół stresu pourazowego w całej swojej okazałości może objawić się w ciągu sześciu miesięcy.

*

Trzeba przyznać, że to, co wydarzyło się w ciągu kolejnych sześciu tygodni, kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Producent z BBC, z którym rozmawiałem, będąc jeszcze w Liberii, odrzucił mój materiał. BBC News oraz Channel 4 News podobnie. Wstrzymywałem oddech w montażowni kryjącej się w podziemiach budynku Channel 4 News przy Gray's Inn Road. Towarzyszył mi dyrektor domu produkcyjnego z Kenii, który przybył do Londynu, żeby pomóc w sprzedaży mojego filmu telewizji. Przypatrywałem się producentce, która przeglądała taśmy z Tubmanburga tylko po to, by oznajmić, iż tego rodzaju materiał wszyscy już widzieli, a poza tym jest on niezbyt interesujący, jako że w żaden bezpośredni sposób nie dotyczy Wielkiej Brytanii.

- Ejże - zaprotestowałem, starając się nad sobą panować. - Owszem, nie ma tam pojmanyh do niewoli angielskich pielęgniarek o blond włosach, ale są to jedyne relacje wizualne z wojny, o której nie powstały dotąd inne dokumenty. Te wydarzenia mają ogromny wpływ na bezpieczeństwo w całym regionie, zwłaszcza że nasze siły stacjonują przecież w

sąsiednim Sierra Leone.

Nie przekonałem jej, więc wyszedłem, pozostawiając szefa firmy, żeby sobie to wszystko z nią omówił. Tego samego dnia otrzymałem odmowę również z amerykańskiej sieci ABC, chociaż wydarzenia w Liberii niewątpliwie dotyczyły Stanów Zjednoczonych. Kilka dni potem mój materiał odrzucił wydział bieżących spraw międzynarodowych Channel 4, który odpowiada za serię *Dispatches*; minęło jeszcze parę dni i to samo uczynił redaktor programu BBC noszącego nazwę *Correspondent*.

Aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy, że posiadanie samego nakręconego materiału - choćbym go uważał za wprost rewelacyjny - stanowiło dopiero wstęp, zaledwie część równania prowadzącego do sprzedaży filmu telewizji. Tego rodzaju programy emitowano w ramach stałych serii, zwanych przez speców z telewizji pasmami, których poszczególne odcinki montowano według ustalonego wzorca, przy udziale zawsze tych samych, wszystkim znanych reporterów, zgodnie ze sprawdzonymi po wielokroć schematami. Jednorazowe zamówienie materiału od kogoś zupełnie nieznanego, takiego jak ja, stanowiło zjawisko rzadkie, a ściślej rzecz biorąc, niespotykane. Choć wkrótce zdałem sobie z tego wszystkiego sprawę, to niemożność sprzedania filmu przyprawiła mnie o frustrację. Jeśli to, co miałem do zaoferowania, nie było dla nich dość dobre, czym można ich zadowolić? Trudno było znieść myśl, że cała ta męka, wędrówka, głód i przemoc nie zdadzą się na nic.

Pisałem do Nicka maile, często z nim rozmawiałem, starając się przy tym zachować fason, tryskać optymizmem i przyjmować pozytywną postawę. Myśl, że mam w nim przyjaciela, że mnie rozumie, podtrzymywała na duchu, usiłowałem się więc skupić na tym, że skoro obaj wyszliśmy z tego wszystkiego żywi, to cała reszta trochę mniej się liczy. Pozostawiłem negocjacje mojej firmie produkcyjnej, a kiedy stało się jasne, że w Londynie nic nie da się wskórać, poleciałem szukać ukojenia w Glasgow.

Trwała letnia przerwa w zajęciach uniwersyteckich, Rachel miała więc wakacje. Nie wyjechała, zaszyła się na ten czas w zbudowanym z kamienia miejskim domostwie swoich rodziców. Nim wyruszyłem do Liberii, wyraźnie odczuwałem dzielącą nas różnicę wieku oraz doświadczenia - Rachel miała dwadzieścia dwa lata, a ja trzydzieści - ale była to wesoła, seksowna dziewczyna i cechowało ją inteligentne poczucie humoru, dzięki czemu nigdy nie pozwalała, bym brał siebie zbyt serio.

Gdy tylko ją zobaczyłem, ogarnęło mnie szczęście. Tego nie dało się zafałszować. Odetchnąłem z ulgą, gdy ujrzałem jej uśmiech, a potem objęła mnie, kiedy witaliśmy się na lotnisku. Siedzieliśmy w taksówce, a jej lśniące zielone oczy patrzyły uważnie. Ciekawe, czy dostrzegły coś, co umknęło mojemu spojrzeniu, kiedy przeglądałem się w lustrze.

Przypuszczałem, że niewiele, po prostu różniłem się od chłopców na uniwersytecie, którzy byli w tym samym wieku co ona. Kto wie, może nawet mnie kochała. Odgarnęła kosmyk ciemnych włosów za ucho i przysunęła się, żeby mnie pocałować. W moim sercu zamigotała iskierka nadziei. Pochwyciłem wzrok taksówkarza w lusterku wstecznym i odsunąłem się, lecz z uśmiechem.

Jednak w Glasgow, tak jak w Londynie, towarzyszyło mi poczucie, że mój umysł nie w pełni do mnie należy. Nawet gdy szliśmy ulicą, trzymając się za ręce, czułem się chwilami jak pod ostrzałem. Natrętne myśli wciskały się do mojej głowy bez ostrzeżenia, przeistaczały miejskie chodniki w pole bitwy, przechodniów - w ofiary wojny. Gdy kupowałem gazetę, nagle zdałem sobie sprawę, że moja wyobraźnia usiłuje dociec, jak wyglądałaby ta starsza pani w kiosku, gdyby kula trafiła ją w czoło. Wymieniałem uściski dłoni z różnymi ludźmi i zastanawiałem się, jak bym się zachował, gdyby właśnie w tej chwili wybuch urwał im nogi; mimowolnie wyobrażałem sobie, jakie spustoszenie na George Square poczyniłby karabin maszynowy. Potrafiłem odgonić te wizje, zmusić siłą woli natrętne myśli, by skryły się w mroku - wiedziałem jednak, że powrócą, niekiedy działo się to już po kilku minutach. Demony, które przywołałem, nie dawały mi spokoju, ale nikomu o tym nie powiedziałem.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Otuliła się krótkim chińskim szlafrocikiem z błękitnego jedwabiu. Siedzieliśmy na jej sofie.

- Spoko, nic mi nie jest. Tylko czuję się trochę wytrącony z równowagi. Wiesz, dziwnie jest wrócić do domu. Mam za sobą długą wędrówkę, wszystko to trwało o wiele więcej, niż przewidywałem, no i teraz trudno mi wytłumaczyć sobie, że już wróciłem. - Poczuję, że przysuwa się do mnie. - Ale jest dobrze, właściwie świetnie. Cudownie być tutaj, z tobą, tylko... Nie wiem, nie potrafię ująć tego w słowa. Naprawdę. Widziałem mnóstwo okropnych rzeczy. Zabitych ludzi... i jeszcze gorsze sceny...

Słyszałem jej oddech.

- Po prostu trudno jest zostawić to wszystko za sobą, dopiero co byłem tam, a potem wsiałem do samolotu i nagle, jak za sprawą magii, znalazłem się tutaj.

Rachel wyprostowała się, popatrzyła na mnie. Miała potargane włosy, jej twarz wyglądała nagle o wiele młodziej.

- Ale z nami wszystko w porządku, prawda? Nadal chcesz być ze mną?

Uśmiechnąłem się do niej, starając się jednocześnie przybrać odpowiednio poważny wyraz twarzy; zamiast tego wyszedł mi grymas, który ją rozśmieszył. Nie byłem pewien, czy jestem w stanie ciągnąć rozmowę o tym, jak tam naprawdę było. Jakoś głupio rozmawiać o

zabijaniu, kiedy znaleźliśmy się sam na sam i usiłowaliśmy być szczęśliwi.

- Dlaczego nie dzwoniłeś do mnie, kiedy cię nie było? - spytała z teatralną emfazą. - Tyle razy już o mało z tobą nie zerwałam. Wszyscy wiedzieli, że wyjechałeś i że do mnie nie dzwonisz. Coś okropnego.

Zbyt zajęty uganianiem się za własnymi demonami dopiero wtedy zrozumiałem: ona także miała za sobą niełatwe przejścia. Była młoda, piękna i miła, chciała dobrze się bawić. Gdy rok wcześniej zaczęliśmy się spotykać, nie spodziewała się ani też nie oczekiwała ode mnie opowieści wojennych; nie mogłem liczyć, że właśnie teraz zapragnie je usłyszeć.

- Wybacz. To... To było bardzo dziwne miejsce.

Dotknąłem dłonią jej twarzy. Gładkość jej policzków przypomniała mi o moich wystających żebrach i strupach na skórze.

- Nie mówmy już o tym - zaproponowała.

Zamknąłem oczy i ujrzałem zielonego człowieka z wyprutymi trzewiami, który zawisł gdzieś w półmroku na skraju mojego umysłu. Błagam - zwróciłem się do niego bezgłośnie, kiedy Rachel zakryła moją twarz swoimi włosami. - Błagam, odpierdol się wreszcie i zostaw mnie w spokoju.

Wyjechałem po czterech dniach pełnych pocałunków, uśmiechów oraz obietnic. Nie obeszło się bez łez i kłótni w kinach czy restauracjach, ale wciąż byliśmy parą. Nie powiedziałem jej ani słowa o bitwach, jakie toczyłem na ulicy, w naszym łóżku, w mojej głowie. Liczyło się tylko to, że zaakceptowała mnie takim, jakim się stałem, tak mi się przynajmniej wydawało. Dzięki niej czasami czułem się prawie normalny; było to więcej, niż mógłbym oczekiwać od kogokolwiek.

Pozostała jeszcze jedna osoba, z którą koniecznie chciałem się spotkać. Z Londynu pojechałem na południowe wybrzeże Anglii, gdzie z North Downs rozciąga się widok na kanał La Manche.

- Matka cieszy się z twojego powrotu, ale zarazem trochę się o ciebie martwi.

Miałem wrażenie, że przystojne oblicze mojego dziadka nie zmieniło się od czasów, kiedy byłem dzieckiem. Wydatne kości policzkowe oraz włosy zaczesane do tyłu sprawiały, iż przywodził mi na myśl filmowego gwiazdora, nawet teraz, w roboczym ubraniu ogrodnika.

- No i jak? Działo się, co?

Musiałem się roześmiać.

- A jakże. Działo się, działa. Prawie bez przerwy.

- Pewnie wyglądało to inaczej niż moja wojna na pustyni. W dżungli zawsze wszystko się kielbasi. Twój drugi dziadek mógłby ci o tym opowiedzieć. Zresztą pewnie już to zrobił.

Rodzice moich rodziców nie przepadali za sobą, ale ci dwaj mężczyźni jako żołnierze darzyli się szacunkiem.

Byliśmy sami w pokoju, mama i babcia wyszły do kuchni po kawę oraz ciastka.

- To mi przypomina - mówił dalej dziadek - że na strychu przechowuję trochę papierów: dziennik, który pisałem w Egipcie i Tobruku. Może kiedyś będziesz miał ochotę go przejrzeć. Znajdziesz tam także parę starych zdjęć z Palestyny i Libii.

- Wolno ci było robić coś takiego?

Pierwszy raz wspomniał o tym pamiętniku. Wiedziałem od razu, że „kiedyś” znaczyło „po jego śmierci”, w przeciwnym razie już by mi go pokazał.

- Nie - zaśmiał się - ale dobrze się pilnowałem.

- Tam panuje straszny zamęt - stwierdziłem. - Oczywiście cierpi na tym ludność cywilna. Spróbuj sobie wyobrazić; oni wszyscy właściwie nie mają pojęcia, o co im chodzi i co mają robić. W pewnym momencie Nick i ja przejęliśmy inicjatywę, by doprowadzić do jakiegoś przełamania impasu. Nie potrafili nawet urządzić zasadzki.

- Spodobałoby ci się na pustyni - rzekł cicho. - Tam wszystko było proste. Żadnej ludności cywilnej, nikogo, tylko my i oni. Mogłeś walić z dział całymi dniami i wiedziałeś, że trafiasz albo w piach, albo w Niemców. Co prawda - zachichotał - nie należy zapominać o Afrika Korps. Ci goście potrafili niezłe namącić.

Uśmiechnąłem się do niego. Od tego „mącenia” stracił pod Tobrukiem palec wskazujący lewej dłoni.

- Czasem nie mogę sobie darować, że nie byłem w stanie zrobić więcej, właściwie niczego nie byłem w stanie zrobić. Tam było tyle dzieci.

Chciałem mu opowiedzieć o dziewczynce chorej na gangrenę, ale słowa nie przechodziły mi przez gardło.

- Nie wiem, od czego zacząć - stwierdziłem zamiast tego. - Nie mieliśmy nawet antybiotyków.

- My też nie! - odpowiedział.

Popatrzyłem na niego, uśmiechnąłem się. O swojej wojnie prawie wcale nie opowiadał, lecz po sześćdziesięciu latach wizja pozostawała w jego oczach tak wyrazista jak tamtego dnia, gdy popłynęli do Kairu. Chciałem porozmawiać, otworzyć się i wyznać mu, jaki zagubiony się czuję. Jednak jeszcze bardziej pragnąłem, by się przekonał, że wszystko jest ze mną w porządku; że byłem na wojnie i przeżyłem. Przez chwilę milczeliśmy obaj.

- Tak - powtórzył. - Spodobałoby ci się na mojej wojnie.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie. Ruchem głowy wskazał okno i ocenił:

- Joy popisała się w tym roku, jeśli chodzi o róże. Zobacz, jakie piękne. Muszę jednak przyznać, że i ja się nieźle napracowałem, przekopałem cały ogród.

Wyszliśmy na zewnątrz, by podziwiać wrześniowe róże. Krwawe sceny odeszły w niepamięć, ani śladu dżungli w mojej głowie. Wyprawa skończona, wojna stopniowo przestawała mnie prześladować.

10. Braterstwo krwi

W następnym tygodniu dostałem wiadomość od Roberta, amerykańskiego dziennikarza, z którym rok wcześniej pojechałem do Sierra Leone. Pozostawaliśmy w kontakcie, więc wysłałem mu mail, pisałem w nim o przyjaźni z Cobusem i wyprawie do Liberii. Oddzwoniłem, żeby się dowiedzieć, co u niego słychać. Okazało się, że jest teraz gwiazdą własnego programu telewizyjnego i właśnie nie udało mu się zrealizować jednego z odcinków, który miał dotyczyć Czeczenii.

Zaraz przeszedł do rzeczy. Skontaktował się ze mną, bo chciał spytać, czy mógłbym go w takim razie zabrać do partyzantów w Liberii. Poczulem przypływ adrenaliny. Wrócić tam?

W pokoju stało się nagle bardzo cicho. Wrócić. Nick i ja rozmawialiśmy o ewentualnym powrocie do Konakry, ale nie wyobrażałem sobie, że miną zaledwie tygodnie, nim znów zacznę się nad tym zastanawiać. Ledwo przyszedłem do siebie, nie zdołałem jeszcze sprzedać mojego filmu - tylko że z drugiej strony, zostałem na lodzie. Chciałem zrobić karierę telewizyjną, a oto właśnie otrzymałem wymarzoną propozycję, co jednak wiązało się z określoną odpowiedzialnością. Odetchnąłem głęboko.

- Jasne - powiedziałem ostrożnie.

Należało zadzwonić tu i ówdzie, pozalaćwiać papiery - oraz zapłacić łapówki. Słyszałem szum w słuchawce, gdy sięgałem po kartkę i długopis. Ogarnęło mnie podniecenie i zdenerwowanie.

- W tej chwili w rękach partyzantów znajduje się tylko obszar wokół ich kwatery głównej, ale możesz posłużyć się materiałem, który nakręciłem podczas ostatniej wyprawy, żeby ożywić swój film.

Minęła pora deszczowa, buntownicy planowali ofensywę. Mogło to potrwać jeszcze dwa albo nawet trzy miesiące.

- Kiedy chcesz tam jechać?

Zaniemówiłem, usłyszawszy odpowiedź:

- Natychmiast.

W prawdziwie liberyjskim stylu „natychmiast” zajęło cztery tygodnie.

Najłatwiej przyszło mi namówić na to przedsięwzięcie Nicka. Zadzwoniłem do niego, gdy tylko rozłączyłem się z Robertem.

- To świetna wiadomość, chłopie - ucieszył się od razu. Nic dziwnego, po pierwsze oznaczało to dla niego ofertę pracy, a poza tym chyba chciał wrócić do Liberii, żeby omówić z partyzantami kwestię diamentowego biznesu. Teraz mógł to zrobić za pieniądze, które mu zapłacę. Tak więc praca ze mną oznaczała dla niego zarobek, a w dodatku mogła przynieść dalsze zyski. Po tej rozmowie wystukałem numer w Konakry należący do krajowego przewodniczącego LURD.

- Sekou? Mówi James... - Po drugiej stronie zapanowało znamienne milczenie. - Skontaktowali się ze mną ludzie, którzy chcieliby cię poznać, zamierzają przyjechać do Voinjamy. To dobrzy ludzie. Chodzi o program telewizyjny.

Wreszcie po tamtej stronie odezwał się donośny głos przemawiający po angielsku z dziwaczną intonacją:

- Jay, kiedy znów przyjedziesz? Dawno cię nie było - wykrzyczał do słuchawki.

Jednak bardziej niż cokolwiek innego interesowało go, czy przywiozę ze sobą Nicka.

Potem zatelefonowałem do Nowego Jorku, żeby porozmawiać z Jonathanem Stackiem, reżyserem, który miał nadzorować ten projekt. Chciałem dopracować szczegóły. Mieliśmy wyruszyć za parę tygodni razem z Jonathanem, skontaktować Roberta z partyzantami, zrobić kilka wywiadów i nagrać na taśmę sceny z walk. Czego nie uda nam się nakręcić, uzupełnimy materiałem, który leżał już w moim archiwum, całe godziny strzelanin z niedawno zakończonej wyprawy.

To było dziwne wrażenie: zaledwie kilka tygodni wcześniej nie miałem żadnych doświadczeń w kręceniu filmów telewizyjnych, a teraz właśnie nająłem się jako producent i kamerzysta reżysera, który miał na swoim koncie nominację do Oscara. Jednak najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało, nikt nie kwestionował moich kwalifikacji. Spytałem Jonathana, czy uwzględni mój udział w tworzeniu filmu. Nie zamierzałem znów narażać życia tylko po to, żeby kto inny brylował przed obiektywem.

- Robert jest gwiazdą, ale ciebie też pokażemy - zapewnił mnie Jonathan. - Nie obawiaj się, gwarantuję, że dostaniesz dla siebie trochę czasu antenowego.

Przeszliśmy do dalszych niezbędnych ustaleń. Umówiliśmy się, że poufna informacja dotycząca roli Gwinei w konflikcie nie zostanie ujawniona, dopóki nie wyrażę na to zgody. Pozostawał jeszcze jeden warunek: Nick musi uczestniczyć w projekcie i nie podlega to negocjacjom.

Jonathan nie miał nic przeciwko temu; co więcej, sprawiał wrażenie zachwyconego, iż towarzyszyć mu będzie opiekun mający za sobą służbę w siłach specjalnych.

- No i muszę przyznać, że nie jestem jeszcze w najlepszej formie.

Milczał przez chwilę, rozważając, co wynika z tego stwierdzenia, po czym odparł:

- A ja niedawno przeszedłem operację. Wiesz, kłopoty z nogą... Tak więc gdyby trzeba było maszerować dwieście kilometrów na piechotę, z mojego punktu widzenia to nie najlepszy pomysł.

Mówił nerwowo, pospiesznie, co wywoływało chwilami wręcz komiczny efekt. Stwierdził, że Afryką interesuje się od dawna i wiele swoich filmów poświęcił kwestiom dotyczącym Afroamerykanów. Zacząłem mu opowiadać, z jakimi warunkami mieliśmy tam do czynienia - o życiu pod ostrzałem, braku żywności.

- Oj, dobrze, dobrze - przerwał mi. - Powiedz, ale tak nie owijając w bawełnę, co najgorszego może nam się zdarzyć?

- Mogą nas zabić w jakiejś potyczce. Jeśli znajdziemy się pod ostrzałem, co niechybnie nastąpi, jeżeli mamy filmować walki, to istnieje spore prawdopodobieństwo, że zginiesz lub zostaniesz ciężko ranny.

- No tak. To nie byłoby najlepiej. A ten twój Nick - dopytywał Jonathan - pomoże nam się ustrzec śmierci lub kalectwa?

- Tak.

Do tego sprowadzała się prosta prawda. Wyjaśniłem mu, że dla mnie obecność Nicka oznaczała różnicę między życiem a śmiercią. Będzie uzbrojony, poza tym jest wysoko wykwalifikowanym paramedycznym.

- Dobra, ma tę robotę! - słyhać było, że po drugiej stronie Atlantyku Jonathan odetchnął z ulgą. - A tak nawiasem mówiąc, jestem żydowskiego pochodzenia, więc wiesz, miałem trochę do czynienia z dziwacznymi zachowaniami plemiennymi.

Jonathan się niepokoił, i to nie na żarty, czego wcale nie uznałem za niepomysłny objaw. Jego ironiczne poczucie humoru oraz silnie ukształtowany instynkt samozachowawczy stanowiły doskonale cechy dla kogoś, kto miał pracować w Liberii - niezależnie od tego, jak bardzo będzie utykał z powodu uszkodzonego kolana. Pokora sprzyja przetrwaniu.

Tego samego wieczoru powiadomiłem mamę.

- Wracam, to już postanowione. Gdy tylko dostaniemy wize, lecę do Johannesburga, żeby spotkać się z Nickiem. Będzie mi towarzyszył.

- Och, Jamo... - W jej oczach dostrzegłem smutek. - Przecież ledwo do siebie przyszedłeś, a i to...

Oczywiście miała rację. Ledwo do siebie przyszedłem - oględnie mówiąc. Nadal nie dawały mi spokoju codziennie powracające sceny przemocy, a blizny po świerzbie pokrywające moje ciało dopiero zaczęły znikać.

Potem było już tylko trudniej. Rachel, kiedy rozmawiałem z nią wieczorem tego samego dnia, odpowiedziała, oburzona i obrażona zarazem:

- James, do cholery, kiedy wreszcie spędzisz trochę czasu ze mną?

Pytanie jak najbardziej na miejscu. Wydawała się raczej rozczarowana niż rozgniewana. Nie potrafiłem mieć jej tego za złe. Chyba trudno było sobie wyobrazić kogoś bardziej nieodpowiedniego na chłopaka dla niej.

- Wybacz - tylko na takie wytłumaczenie się zdobyłem. Obiecałem jej, że kiedy wrócę, wyjedziemy gdzieś razem. I jakoś jej to wszystko wynagrodzę.

Tymczasem tak naprawdę tęskniłem za wojną i kolejną przygodą w towarzystwie Nicka, pragnąłem tego bardziej niż domowego bezpieczeństwa - i bardziej, niż pragnąłem Rachel.

*

Tydzień później, udawszy się wpierw do RPA, aby wreszcie sfinalizować pierwszą sprzedaż mojego oryginalnego materiału do tamtejszego programu poświęconego aktualnym wydarzeniom, noszącego nazwę *Special Assignment*, spotkałem się z Nickiem, następnie obaj wylądowaliśmy znów w Konakry. Minęło parę dni - Nick i ja wybraliśmy się na lotnisko po Roberta i Jonathana. Robert się nie zmienił, takim go pamiętałem: wysoki, kanciasty, o twarzy przyozdobionej siwiejącym, krzaczastym wąsem. Przywiózł ze sobą cały stos wyposażenia obozowego, kamery, a także „gadżety podróżne”: od lśniących składanych noży i żelu alkoholowego do dezynfekcji rąk, przez wyrafinowane kieszonkowe kamery oraz przenośny odtwarzacz, po słuchawki eliminujące hałas. Co do Jonathana, nie przesadził, mówiąc o swoim stanie zdrowia. Obaj od razu rzucali się w oczy pośród tłumku pasażerów kierujących się do budynku przylotów.

- Zawsze tu tak gorąco? - spytał Jonathan.

Już po dziesięciu krokach stał się mokry od potu, zupełnie jak ja, gdy zjawiłem się tam po raz pierwszy.

- Miło cię poznać - odpowiedziałem. - A co do upału, to owszem. Obawiam się, że dzisiaj jest nawet dość łagodny. Bywa znacznie gorzej.

Gdzieś na przeciwnym krańcu płyty lotniska rozległo się wycie silnika odrzutowego.

- Kim są ci faceci? - zainteresował się Robert, wskazując nieznacznym ruchem głowy gwinejskich żołnierzy, którzy nam towarzyszyli.

- Czerwone berety. Czyli gwardia prezydencka. Miło się z nimi robi interesy, a poza tym przyjaźnią się z partyzantami. Prawdę mówiąc, tylko dzięki nim żołnierze innych formacji nie próbują nas aresztować. Nasze wizy uzyskały osobiste poparcie prezydenta.

Wszystko wyjaśnię, kiedy znajdziemy się w hotelu.

Przedstawiłem Amerykanom Nicka. Jonathan o mało go nie uściskał.

- Chłopie, jak się cieszę, że cię poznałem. Dzięki, że zgodziłeś się wyruszyć z nami.

- Znasz Cobusa z Executive Outcomes? - chciał wiedzieć Robert.

- *Ja* - potwierdził Nick, spoglądając na mnie. - Pan Brabazon i ja poznaliśmy się dzięki niemu.

Nick uśmiechnął się do wszystkich.

- I od tego czasu świetnie się razem bawiliśmy, co? - przypominałem mu, prowadząc moich gości w stronę wejścia dla VIP-ów.

Cztery miesiące wcześniej szedłem niepewnie przez zabudowania lotniska w obawie przed aresztowaniem lub deportacją. Teraz dysponowałem własną świątą, a raczej obstawą, dzięki czemu otwierały się przede mną wszystkie drzwi. Wkrótce zmierzaliśmy ku gościnnym podwojom hotelu Petit Bateau.

W drodze wyjaśniłem Robertowi i Jonathanowi, że w czasie, kiedy Nick i ja czekaliśmy na nich w Konakry, partyzanci usiłowali naciągnąć mnie na coraz większe sumy pieniędzy. W końcu zgodziliśmy się na tysiąc pięćset dolarów, tylko że tym razem wręczyłem pieniądze rzecznikowi LURD, Hansonowi Williamsowi, który zaprowadził mnie prosto do samej Aichy Conneh - małżonki krajowego przewodniczącego LURD oraz przewodniczki duchowej prezydenta Gwinei.

W jaskrawym kaftanie oraz marszczonym zawoju na głowie sprawiała wrażenie ważnej, wpływowej postaci. Rozparta za biurkiem w ciasnym gabinecie na tyłach siedziby LURD w Konakry wzięła od Hansona moje pieniądze i przeliczyła przy nas zielone banknoty. Gawędziliśmy zartobliwie po francusku, podała mi rękę. Byłem pierwszym europejskim dziennikarzem, być może jedynym dziennikarzem, któremu dane było ją poznać. Powiedziałem Amerykanom, że w drodze powrotnej do hotelu ów niemal trzeźwy prezydencki kierowca, Bengura, wyjawiał mi, także po francusku:

- „Madame” to bardzo potężna osoba - rzekł. - Jeżeli chce, żebyś zniknął, to nikt cię już nie znajdzie. Nawet jeśli jesteś ministrem w rządzie.

Wręczyłem mu paczkę marlboro i podziękowałem za ostrzeżenie.

Tymczasem Nick załatwiał interesy bezpośrednio z przewodniczącym Sekou. Doszliśmy do porozumienia bez słów: co prawda nie przyłączy się do jego przedsięwzięcia związanego z diamentami, ale też nie będę o tym rozmawiał z nikim innym. Krótko mówiąc, przymknę na nie oczy. Miałem na podorzędziu proste usprawiedliwienie - bez Nicka nic nie wskóramy. A poza tym pomógł mi w o wiele większym stopniu, niż ktokolwiek mógłby się

po nim spodziewać, tak więc nie mieszałem się w jego osobiste układy z partyzantami.

Następnego wieczoru, gdy Amerykanie otrząsnęli się już nieco z jet lagu, wyruszyliśmy na wycieczkę po barach Konakry. Jonathan koniecznie chciał posłuchać tutejszej muzyki, przekonać się, jak wygląda ta część świata, kiedy nie ogarnia jej wyniszczająca wojna. Musiałem przyznać, że to dobra myśl. Nigdy nie wpadłem na pomysł, żeby powłóczyć się po mieście. Stanowiło dla mnie punkt tranzytowy w drodze na front, dlatego usiłowałem raczej nie rzucać się niepotrzebnie nikomu w oczy; było to także miejsce wypoczynku po pobycie w dżungli, tu odbywały się również ukradkowe spotkania, dogadywaliśmy się po cichu z różnymi ludźmi.

- Teraz wybierzemy się na front całkiem innego rodzaju - tłumaczył Jonathanowi Nick, kiedy podskakiwaliśmy na wybojach, jadąc słabo oświetlonymi, pełnymi kolein ulicami stolicy. - Dzisiaj poznacie „nocną guerillę”.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale zrobiłem mądrą minę, obserwując przez okno wozu ciemne miasto. Poprosiłem taksówkarza, żeby zawiózł nas „w jakieś ciekawe miejsce z muzyką”. Rzucił na nas okiem: burski żołnierz, blady, wychudły Angol, żydowski reżyser i gadżeciarz z wypielęgnowanym wąsem - po czym zabrał nas w samo serce tamtejszej dzielnicy rozpusty, a w każdym razie do części Konakry, która sprawiała szczególnie podejrzane wrażenie. Bez wątplenia uznał, że takich czterech dziwaków może łączyć tylko jedno pragnienie: piwa i dziwek.

Pojedyncza naga żarówka zwisała nad drzwiami klubu niczym nader wątpliwej konduity gwiazda polarna, aby zwieść nas na bezdroża moralnego zepsucia. Weszliśmy do środka i natychmiast powitały nas dziesiątki (i dziesiątki) półnagich, przepięknych młodych kobiet. Oplotły naszych wpływowych amerykańskich przyjaciół siecią smukłych ramion, mamili ich słodkimi uśmiechami. Oblicze Jonathana przybrało męczeński wyraz.

Nick jako jedyny wyszedł z tego starcia obronną ręką. Otoczony jakąś niepojętą afrykanerską aurą odnalazł drogę pośród morza ponętnych, lśniących ciał i zamówił u przepracowanego barmana piwo; żadna nie próbowała go pochwycić ani zaczepić. Ja tymczasem bohatercko odpierałem awanse długonogich imprezowiczek. Po drodze przez wnętrze klubu dopadło mnie kolejno chyba z dziesięć dziewczyn, każda starała się mnie ciągnąć w swoją stronę.

W lokalu panowała gorąca atmosfera, dosłownie i w przenośni. Atmosfera ciężka, ociekająca seksem - z powodu kobiet, muzyki i całej tej surrealistycznej scenerii. Komuś, kogo tak jak mnie odurzył skwar, zapach potu i perfum, łatwiej przychodziło uwierzyć, że tutaj być może obowiązują całkiem inne reguły gry.

- Rany, czy one wszystkie są prostytutkami? - spytałem, przekrzykując grzmiący bas.

Nick zaśmiał się na te słowa. Rzeczywiście, w moim głosie pobrzmiwało raczej zdumienie niż ciekawość.

- Nie, chłopie. Nie sądzę, żeby wszystkie były profesjonalistkami, że tak powiem. Po prostu w ten sposób wpada im trochę grosza ekstra. Z ich punktu widzenia jesteś chodzącym portfelem. Nie mają zbyt wielkiego wyboru. Ludzie tutaj są cholernie biedni. W Sierra Leone mówiliśmy o tych dziewczynach „nocna guerilla”. Są bardzo sprytne i potrafią tak człowieka osaczyć, że ani się obejrzy... - Nick przechylił się nieco w moją stronę. - Tak na wszelki wypadek, gdybyś chciał zawierać jakieś bliższe znajomości: pamiętaj, panie B., że na skutki takiej przygody nie ma antybiotyku.

Zgromadziliśmy się szczęśliwie w czterech przy barze. Gadaliśmy, piliśmy i zastanawialiśmy się na głos, co nas czeka podczas wyprawy. Robert i Jonathan przejrzeni co prawda moje taśmy, ale i tak była to dla nich podróż w nieznaną; dla mnie i dla Nicka raczej powrót do naszego swojskiego piekła. Czy będziemy świadkami walk? Gdzie znajdują się żołnierze sił rządowych? Czy partyzanci otoczą nas ochroną? Amerykanie zasypywali nas pytaniami. Robert całkiem słusznie domyślał się, że czeka nas ekstremalna wersja tego, co widział rok wcześniej w Sierra Leone, kiedy się poznaliśmy. Natomiast dla Jonathana Liberia stanowiła jakiś niepojęty matecznik lęku, a zarazem niewiarygodną szansę. Wytrwaliśmy przy barze aż do świtu, dając się porwać atmosferze klubu, drinkom i pogawędkom. Udawaliśmy przed samymi sobą, że zdołaliśmy zapomnieć o tym, co czeka nas za granicą.

*

- On nie żyje. - Sekou Conneh, krajowy przewodniczący LURD, bezradnie rozłożył ręce, spoglądając na mnie, potem na Nicka i znów na mnie. Siedział, spocony, na werandzie swojej siedziby w Voinjamie, tej samej, w której poznaliśmy go cztery miesiące wcześniej.

- Jak to się stało? - spytałem.

Przebywałem na terenie partyzanckiej Liberii od niespełna pięciu godzin, a już wszystko zaczęło się rozsypywać.

- Cholera.

Wymówił to słowo jak „clorah”, zabrzmiało to zresztą raczej jak sugestia, a może zaprzeczenie faktu niż jego stwierdzenie. Nick i ja wpatrywaliśmy się w niego. On gapił się na nas, dopiero po chwili spojrzął na Jonathana i Roberta, jakby szukając u nich wsparcia.

- W zeszłym tygodniu, a może... Tak, raczej dwa tygodnie temu zmarł na „clorah”.

Nie wiedziałem, co mam myśleć. Wojenna niepewność i intrygi natychmiast powróciły.

- To wielka szkoda. Był groźnym wojownikiem - odezwałem się do butów Sekou. - Naprawdę bardzo nam pomógł.

Potem zmieniłem temat, a przewodniczący już ani razu nie wspomniął o Deku.

Przydzielono nam kwatery w tym samym budynku, w którym spaliśmy za pierwszym razem, co przyjąłem z niejaką ulgą - pomyślałem sobie, że na tym etapie im mniej niewiadomych, tym lepiej. Dzieliłem pokój z Robertem, Nick nocował z Jonathanem. Kiedy rozwiesiliśmy hamaki, Nick udał się z powrotem do Sekou, by porozmawiać z nim w cztery oczy.

- Co on knuje? - zainteresował się Robert, wypakowując aseptyczny żel do rąk i T-shirty z logo swojej firmy. - Próbuje coś wyniuchać?

- Owszem, tak jakby. Ma nadzieję, że uda mu się dowiedzieć, co tu się tak naprawdę dzieje. Wszyscy sprawiają wrażenie przygnębionych. A ta główniana historia z Deku naprawdę mnie niepokoi.

- Zaraz, zaraz. Kim on był? Czy to ten zwariowany pojeb, który lubił strzelać do jeńców, ale bardzo kochał żonę i dzieci?

- Tak, to właśnie on. Twardy skurwiel. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś w tych okolicach umarł na cholere. Pieprzony kit i tyle. Nie wiem tylko po co i dlaczego.

Robert dalej rozpakowywał bagaże, a ja rozmyślałem o pierwszej podróży do Liberii. Wspominałem Deku biegnącego ku nam w Tubmanburgu; ociekał potem, potrząsał kałasznikowem w powietrzu. „Widzieliście? Widzieliście mnie? Mówiłem, że te małpy nie mają ze mną żadnych szans!” - wykrzykiwał triumfalnie. Jakkolwiek do tego doszło, nic dziwnego, że zginął. Po tym, co widziałem w Tubmanburgu, należało się raczej dziwić, że którykolwiek z partyzantów pozostał jeszcze przy życiu. Trudniej natomiast pojąć, że jego śmierć mnie zmartwiła. Nie spodziewałem się tego. Chodziło bowiem o coś więcej niż pragnienie, by ujrzeć znajomą liberyjską twarz, która powita mnie znów na tej wojnie. Naprawdę szczerze ubolewałem z powodu jego odejścia. Bez wątpienia morderca i zbrodniarz, ale zarazem, choć w znacznie mniejszym stopniu niż Nick, przyczynił się do mojego cudownego ocalenia podczas tamtej wyprawy. Miałem wobec niego dług wdzięczności, którego już nigdy nie zdołam spłacić.

Po godzinie wrócił Nick i przyniósł wiadomości.

- *Ja*, no cóż. - Nick przysunął sobie białe, plastikowe krzesło i siadł na nim okrakiem.
- Nie jest najlepiej. Jedyne terytorium, nad którym w stu procentach sprawują kontrolę, znajduje się właśnie tutaj.

- O, kurwa. A co ze wschodem: Zorzor, Gbarnga? - spytałem.

Nick wzruszył ramionami.

- No właśnie. Odkąd opuściliśmy Liberię dwa miesiące temu, Sekou nie pokazał się tam ani razu, a to wkurza innych dowódców. Powiada, że przygotowują kontrnatarcie, ale większość jego ludzi przebywa na terenie Gwinei. Nie ponieśli zbyt wielkich strat, więc ich liczebność się nie zmieniła, natomiast nadal mają kłopoty z logistyką i dostawami broni.

Voinjama mieściła się tuż przy granicy. W parę miesięcy LURD utraciło ponad połowę terytorium państwa, organizacji pozostał tylko ten skrawek ziemi w północno-zachodnim rogu kraju. Conneh twierdził również, iż LURD prowadzi potajemne rokowania, w których partnerami są prezydent Sierra Leone, Kabbah, oraz prezydent Senegalu, Wade. Nie zamierzają natomiast rozpoczynać rozmów z Taylorem, ponieważ nadal odmawiają uznania go za prawowitą głowę państwa.

Nick ciągnął niewesołe sprawozdanie:

- Dowiedziałem się od Sekou, że kwatera główna LURD w Macencie została splądrowana przez gwinejskich żołnierzy. Dowódcom partyzantów skradziono mnóstwo rzeczy, obrabowano wszystkie domy. Być może jednak chodzi o jakiś problem na skalę lokalną. Sekou chyba uważa, iż sprawa została już rozwiązana.

Jonathan sformułował jedyne pytanie godne zadania w tej sytuacji:

- Tak więc, gdzie teraz rozgrywa się wojna?

- Obecnie w Foi i Kolahunie. Stracili oba te miasta, ale teraz nacierają, by je odbić. Najprawdopodobniej toczą się tam ciężkie walki, coś w rodzaju tego, co widzieliśmy z Jamesem w Tubmanburgu. Taylor posługuje się ludźmi z RUF i zapewnia im dostawy za pomocą helikoptera. Tam właśnie przebywa większość najlepszych sił partyzantów. Jeśli nie opanują tamtego regionu, nie będą w stanie przekazywać żadnych dostaw na południe.

- Jak sądzisz, pozwolą nam to sfilmować? - spytał Robert.

- Nie wiem. Sekou powiedział, że na razie nie może pozwolić nam się tam udać, bo nie ma żadnych bojowników, których mógłby posłać z nami w charakterze eskorty. Voinjama jest raczej słabo broniona.

A więc znów to samo. Czekaliśmy. Jedliśmy ryż i „pomyje”, jak Nick nazywał gorzkie liście manioku ugotowane jak szpinak i przyprawione chilli. Kręciliśmy wywiady z lokalnymi dowódcami oraz bojownikami. Siedzieliśmy i pociliśmy się w południe, unikając choćby najmniejszego ruchu. Nagrywaliśmy na taśmę szkolenie oraz musztrę nowych rekrutów, aż wreszcie, kiedy sfilmowaliśmy już Voinjamę pod każdym możliwym kątem i przeprowadziliśmy wywiady ze sobą nawzajem, przesiadywaliśmy tylko na werandzie i czytaliśmy książki, czekając, aż coś się wydarzy.

Przynajmniej jednak zdobywałem cenną wiedzę na temat sytuacji buntowników. Otóż przedstawiała się ona wprost katastrofalnie. Teraz w obozowisku przy głównej kwaterze przebywały dziesiątki uzbrojonych dzieciaków, wielu z tych chłopców nie miało nawet dziesięciu lat, wzrostem niewiele przewyższali swoje kałasznikowy. Nazywali siebie Small Boys Unit, Jednostką Chłopców - co stanowiło bezpośrednią parodię podobnego szwadronu utworzonego podczas poprzedniej wojny przez prezydenta Taylora, noszącego tę samą nazwę.

Robert zaczepił jednego z nich, chłopaka ubranego w strzępy zbyt obszernego kamuflażowego stroju; mały dźwigał zardzewiałego kałasznikowa.

- A ty - spytał - jak masz na imię?

- Kaka-Plusk - odparł dzieciak, całkiem poważnie.

- A czemu cię tak nazwali? - dopytywał Robert.

Powietrze dusznego, październikowego popołudnia wypełnił głośny śmiech. Odpowiedział mu inny z chłopaków:

- Bo on się boi, kiedy mężczyźni zaczynają strzelać.

Widziałem, jak wygląda rzeź na froncie i jakim może być przeżyciem dla dzieci tak małych i ogarniętych takim lękiem, że potrafiły tylko krzyczeć i robić pod siebie. Ci malcy - wykorzystywani, zaniedbani i podle zdradzeni przez dorosłych, którzy na dodatek utrzymywali, że ich chronią - mieli przed sobą zaledwie dni, nawet nie tygodnie życia.

Do pewnego stopnia było mi też przykro ze względu na sprawę, o którą walczyli partyzanci. Życzyłem LURD powodzenia, ponieważ Taylor zaliczał się do najgorszych prezydentów nowoczesnej ery. Ktokolwiek zdołałby go obalić, niewątpliwie przysłużyłby się mieszkańcom Liberii, choćby nawet sam nie był wolny od licznych wad. Pragnąłem także, by im się powiodło, gdyż dobrze ich znałem, a kiedy poprzednio ponieśli klęskę, ledwo uszedłem z życiem.

Nasilały się rozdzwięki wewnątrz powstańczej armii. Fexon Jackity, pełniący obowiązki szefa sztabu LURD, w wyniku konfliktu, którego świadkiem byłem w lipcu, przejął funkcję sprawowaną przez Prince Seo. Starannie dobierał słowa, wydawał się wręcz zbyt inteligentny jak na bojownika w tej obskurnej wojnie. Traktował nas z wielką kurtuazją oraz szacunkiem; zapewniał usilnie, iż Voinjama nie może upaść, lecz pomaganie mediom najwyraźniej nie leżało mu na sercu.

- A przy okazji, co się stało z Seo?

Chciałem wiedzieć, jaki los spotkał poprzedniego szefa sztabu. Jackity poprawił swój czarny beret i wsunął kciuk pod pasek, na którym nosił karabin.

- Zostanie odsunięty od dowodzenia - padła odpowiedź. - Już napisano list informujący go o tej decyzji.

O ile dobrze zrozumiałem, Seo miał teraz szansę spędzić więcej czasu ze swą rodziną w Konakry, a okoliczności tego przymusowego urlopu nie bardzo różniły się od aresztu domowego. Ponoć Seo wzbudził też niezadowolenie Conneha, ponieważ na krótki czas uwięził w Macencie dwóch lokalnych dziennikarzy. Nie od rzeczy było o tym pamiętać, jeśli ktoś by zapomniał, że choć znajdujemy się pod ich opieką, to nie mamy zagwarantowanych żadnych praw.

- No tak, to jasne - stwierdziłem, próbując nadać tej rozmowie formę niezobowiązującej pogawędki poza kamerą. - A jak się przedstawia, w ogólnym zarysie, kwestia prawa i porządku? Czy udało wam się stworzyć cywilne struktury, o których mówił przewodniczący?

- Tak, ale tutaj władzę stanowią siły „Lor”, więc to one wszystko kontrolują. Stworzyliśmy specjalną jednostkę, która tego pilnuje.

Wszystko wskazywało na to, że sprawy rozwijają się w niepokojącym kierunku:

- Mieliśmy już jedną egzekucję. Teraz ludzie wiedzą, czym jest „Lor”.

A więc grupa bojowników LURD, na czele której stał partyzancki „pułkownik”, zabrała się do przeprowadzania czystki we własnych szeregach, a także likwidowania niepożądanych elementów pośród miejscowej ludności. W gruncie rzeczy partyzanci utworzyli tym samym szwadron śmierci, za którego sprawą już jeden cywil stanął przed plutonem egzekucyjnym, choć nie zdołałem dociec, na jakiej podstawie tak się stało.

- Jak to było z Deku? Przewodniczący mówi, że...

Jackity przerwał mi w pół zdania.

- Zabili go podwładni. Może to była zabłąkana kula albo bomba, ale zginął z ich rąk. - Spojrzał na mnie jakby wyzywająco, a następnie dokończył tonem wykluczającym dalszą rozmowę na ten temat: - To był wypadek.

Zatem Deku zabili jego ludzie. Koniec pytań. Wróciłem do Nicka, który siedział na ganku naszej kwatery, ubrany we wzorzystą hawajską koszulę. Opowiedziałem mu o rozmowie z nowym przywódcą wojskowym rebeliantów.

- Szwadron śmierci? Nie, to fatalnie, to naprawdę *kak*. Tylko głupiec ucina własny ogon, bo wykrwawi się na śmierć. Nie wiem, do jakiego stopnia Sekou ma z tym coś wspólnego. - Sięgnął po karabin. - Myślę, że może zdołają odbić Tubmanburg, ale najpierw muszą uporać się z tym głównym, w przeciwnym razie zaczną katować swoich rodaków tak samo jak Taylor.

Cała ta paranoja i ciągła niepewność, odkąd znalazłem się znów w Liberii, nie wywarła większego wpływu na stan mojego umysłu. Co prawda przesładujące mnie obrazy przemocy i natrętne myśli ulotniły się kilka dni po przekroczeniu granicy, lecz fizycznie cofnąłem się do stanu, w jakim znajdowałem się pod koniec wyprawy do Tubmanburga. Projekt, który usiłowali zrealizować Amerykanie, kręcił mnie coraz mniej, nudziło mnie nieustanne wyczekiwanie. Interesowała mnie tylko jedna rzecz, jeśli nie liczyć zbierania informacji, a mianowicie filmowanie walki.

Pewnej nocy w odpowiedzi na rzekomy atak partyzanci otwarli ogień z moździerzy. Robert i Jonathan biegali jak opętani, filmując w ciemnościach co się dało, ja jednak całe to zamieszanie przespałem. W przekonaniu, że nie grozi nam żadne natarcie, zaniechałem środków ostrożności, które w Tubmanburgu stosowałem na co dzień, i odcinałem się od świata za pomocą zatyczek do uszu oraz valium. Nad naszymi głowami nie świstały kule, a Nick pozwalał mi spać. Może zdawał sobie sprawę, że jestem wyczerpany.

Przez całe dni Nick nawet nie dotykał swojego kałasznikowa. Przesiadywał zamiast tego na werandzie i gryzmołił notatki, a czasem znikał na potajemne spotkania w cztery oczy z Sekou. Porzucił kamuflaż i szelki z kieszeniami na rzecz rozmaitych, coraz bardziej absurdalnych T-shirtów, co uznałem za kolejny dowód na to, że żadnych strzelanek nie ujrzymy. Podejrzywałem również, że Nick wolał, aby partyzanci nie narażali Amerykanów na bezpośredni ostrzał.

Zwróciłem się więc najpierw do Sekou, a potem do Jackity. Przedstawiłem im swoje żądanie: chcę zobaczyć akcję - całkiem jak ćpun, który błaga dilerka o działkę. Nikt mi nie odmówił, ale też nikt mi niczego nie obiecał. Odpowiedzi zmieniały się zresztą z dnia na dzień. Czasem okazywało się, że nie ma ludzi, którzy mogliby nas eskortować; potem, że może za dwa tygodnie; wreszcie usłyszałem, że musimy poczekać na dostawę amunicji. W końcu poprosiłem Nicka, by wstawił się u przewodniczącego w naszej sprawie. Przecież niemal obiecałem Jonathanowi i Robertowi, że utrwalimy na taśmie sceny walki. Byliśmy na miejscu, a nikt do nas nie strzelał. Fatalnie.

Pełniący obowiązki szefa sztabu Jackity, zakłopotany moim zdeterminowaniem, wytłumaczył Nickowi, że bardzo się lęka o bezpieczeństwo Jonathana oraz Roberta - gdyby któryś z nich zginął albo został ranny, pociągnęłoby to za sobą nieuchronnie falę złej *publicity*; czyli, jak podsumował to Nick:

- Nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy się dali zabić, ty albo ja; natomiast facet życzy sobie, żeby nasi przyjaciele z Ameryki mile spędzili wakacje.

Skoro my nie poszliśmy na wojnę, wojna przyszła do nas.

Sześć dni po naszym przyjeździe popołudniową lekturę zakłócił mi wybuch najpierw jednego, potem kolejnych pocisków RPG spadających na miasto. Odgłos odbijał się echem od ścian wokół nas, więc nie potrafiliśmy stwierdzić, z której strony jest prowadzony ostrzał. Potem o dachy domów wznoszących się od strony drogi do Kolahunu zabębnił deszcz pocisków z broni ręcznej. Strach minął, gdy zerwaliśmy się do biegu. Doskonale - pomyślałem. - Naprzód! Nick, w szortach i T-shircie, truchtał obok mnie, trzymając kałasznikowa w prawej dłoni. Jackity stał na skrzyżowaniu opodal naszej kwatery i wymachiwał ramionami, jakby kierował ruchem ulicznym. Miał na sobie jaskrawoczerwone spodnie, biały T-shirt i fioletowe klapki. Przez ramię przewiesił RPG.

- Nie przejmujcie się, zaraz wszystko będzie pod kontrolą - zapewnił nas.

Gdy biegliśmy w stronę strzelaniny, za nami podążała chmara chłopców-żołnierzy oraz Jonathan, który kuśtykał na chorej nodze, z twarzą czerwoną od wysiłku, upału i bólu. Jednak parł zawzięcie przed siebie, nie bacząc na nic. Robert gdzieś się zapodział, a nie było czasu, żeby po niego wrócić. Wszystko wskazywało na to, że atak wkrótce się zakończy.

- Musimy biec, bo zaraz będzie po wszystkim. *Fok*. Już się wycofują.

Nick miał rację. Kiedy znaleźliśmy się na polu bitwy, strzelanina właściwie już umilkła. Skoro zaprzestano ognia, mogłem złapać oddech i przyjrzeć się pobojowisku i zobaczyć pokłosie „kontaktu”.

Żołnierz sił rządowych pojmany przez partyzantów leżał na poboczu. Wokół niego roili się młodzi bojownicy. Przepchnąłem się przez tłum, który chętnie się rozstąpił, bym mógł podziwiać dzieło rebeliantów. Jeniec został częściowo obdarty z ubrania, jego tułów ociekał krwią. Spojrzałem na Nicka, który czuwał obok, uważnie obserwując drogę przed nami. Zgromadzeni pozwolili mi przejść, a potem obstąpili mnie dookoła... I dopiero wtedy zorientowałem się, w czym rzecz. Tak jakby moje oczy przystosowały się do nagłego zapadnięcia mroku, poszczególne elementy widzianej przeze mnie sceny ułożyły się w spójną całość.

Nieszczęśnikowi właśnie poderżnięto gardło zębatą stroną bagnetu, lecz partyzant nie ustawał w wysiłku, zamierzając odciąć wrogowi głowę. Przykucnąłem i szybko ustawiłem ostrość, kadrując starannie, by głowa znalazła się w jednym ze złotych punktów klatki, podczas gdy blask słońca chylącego się ku zachodowi podkreślał mięśnie przedramienia oprawcy. Niełatwo jest uciąć głowę tępym nożem, więc bojownika od wysiłku aż zalewał pot. Przyglądający się temu partyzanci szczyrzyli zęby, uśmiechając się z aprobatą; chłopcy-żołnierze obserwowali morderstwo zafascynowani. Unoszono broń w powietrze w triumfalnym geście, znane mi już okrzyki buntownicy skandowali wciąż na nowo.

Kamera pracowała, a ja byłem spokojny, przysunąłem się nawet bliżej, żeby uzyskać czystszy kadr. Gdy w Tubmanburgu kręciłem rzeź na środku głównej ulicy miasta, prowadziłem sam ze sobą wewnętrzny dialog. Teraz było inaczej. To wszystko po prostu się działo. Byłem na miejscu i filmowałem. Ponad ową wewnętrzną ciszę wybiła się tylko jedna wyraźna myśl. Gdzieś w głębi jakaś część mnie ucieszyła się, że zabito tego człowieka akurat w tej chwili, ponieważ dzięki temu mogłem ów fakt nagrać. A więc „pełna przygód wyprawa do Liberii”, którą obiecałem Jonathanowi i Robertowi, doszła do skutku. Wystarczyła ta jedna sekwencja.

Filmowałem zgromadzony tłum; Nick przełączył bezpiecznik kałasznikowa, a Jonathan, błądzący jak płótno, gapił się, niczego nie rozumiejąc. Rebelianci podnieśli odciętą wreszcie głowę, żebym mógł zrobić zbliżenie, i wtedy zjawił się Robert, akurat w porę, by wygłosić do kamery swój kawałek o „trofeum” partyzantów; stał przy tym tuż obok zabitego. Zarejestrowaliśmy ostatnie ujęcie, niebo zasnęło się już ciężkimi chmurami; nieznośna wilgoć panująca przez cały dzień znalazła ujście w strugach tropikalnej ulewy. Przebiegliśmy przez otwartą przestrzeń, by schronić się w bramie wypalonego budynku szkolnego, stłoczeni razem z grupką chłopców żołnierzy, którzy umykali przed wielkimi kroplami, jakby to były kule. Spojrzałem w dół, zobaczyłem odciętą głowę przyciśniętą do mojego uda. Przez jej uszy ktoś przeciągnął jaskrawoczerwony kabel elektryczny, robiąc sobie z niej wstrętą torebkę na ramię. Na zewnątrz - zapewne kiedyś było to boisko - na starym szkolnym krzeselku, spoczywała druga głowa oddzielona od ciała innego pojmanego jeńca, skąpiana w strumieniach letniego deszczu.

Nieco później rozsiedliśmy się na werandzie naszej kwatery, czytając, gawędząc i paląc papierosy. Buntownicy tymczasem umieścili ścięte głowy przy głównej drodze, zatknęli je na drągach w charakterze przestrogi dla rządowych żołnierzy. Rozmyślałem o naszych planach, o filmie, który robiliśmy. Pod wieloma względami wyprawa okazała się nieudana: nie zdołaliśmy się wydostać poza Voinjamę, więc nie byliśmy w stanie pokazać skali konfliktu ani unaocznić w szerszej perspektywie jego wpływu na całą Liberię. Jeszcze rankiem tego dnia w ogóle nie mieliśmy filmu i nie rysowały się przed nami żadne realne szanse na zdobycie potrzebnego materiału. Teraz jednak wiedziałem, że sekwencja przedstawiająca dekapitację będzie stanowić świetną wymówkę, nikt już nie będzie mógł powiedzieć, że nie nakręciliśmy prawdziwej wojny. I z tego powodu czułem się szczęśliwy. Praca w Liberii przypominała jakiś perwersyjny romans: kiedy mnie uderzyła, odebrałem to jak pocałunek.

Dotąd w obecności Amerykanów Nick nie puszczał pary z gęby na temat swojej

przeszłości. I właśnie wtedy, ni stąd, ni zowąd - czy ja wiem, może z nudów - oznajmił nam wszystkim, że właśnie dopina szczegóły kontraktu, który miałyby zrealizować na wschodzie Demokratycznej Republiki Konga. Zapaliłem papierosa, zamieniłem się w słuch.

- Plan sam w sobie jest dość prosty - perorował Nick, rozpromieniony i zachwycony. - Zamierzam dostarczyć pewnej grupie powstańczej we wschodnim Kongu nieco broni i kilku doradców. Chodzi o to, żeby rozpocząć walkę z Rwandyjczykami, którzy okupują część kraju, gdzie znajdują się liczne pola diamentowe. Obszar ten kontroluje też Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Zaciągnąłem się mocno papierosem, próbując zwrócić na siebie uwagę Nicka. Nie należało prowadzić takiej rozmowy w obecności osób, których prawie nie znaliśmy. On jednak kontynuował:

- Mamy nadzieję, że armia kongijska wykorzysta to wydarzenie jako pretekst, by zająć na powrót ten teren i odzyskać pokłady diamentów.

Taka operacja posłużyłaby jako zasłona dymna, umożliwiłaby Nickowi wywiezienie wydobytych już diamentów znajdujących się teraz w ukryciu - a zyskami miał się podzielić z Josephem Kabilą, prezydentem Konga wspieranym przez USA, oraz „agentem”, czyli inicjatorem i pomysłodawcą całego przedsięwzięcia. I wtedy Nick wygarnął z grubej rury:

- Ja, jeśli ten plan wypali, możecie wszyscy tam pojechać i sfilmować akcję.

Nicka chyba ogarnęła diamentowa gorączka. Martwiło mnie nie tylko to, że rozmawiał o tych sprawach przy Amerykanach, lecz także to, iż poważnie traktuje plan, który odznaczał się raczej marnymi widokami na powodzenie. Wstałem i zacząłem się przechadzać po werandzie, wciąż nie dowierzałem własnym uszom. Być może Nick dostrzegł wyraz mojej twarzy, a może opowiedział o tym pomysłe tylko po to, żeby jakoś zabić nudę kolejnego ciągnącego się w nieskończoność liberyjskiego wieczoru... Tak czy inaczej, dopóki znajdowaliśmy się w Voinjamie, nigdy już o tym projekcie nie wspomniał.

Tej nocy spałem mocno i dobrze, moje myśli bardziej zaprzątnęła ta dziwna rozmowa niż egzekucja, której byłem świadkiem. A przy tym spałem ubrany jak na wojnę - partyzanci trzymali się jeszcze, ale wyraźnie niewiele brakowało do klęski, w dodatku tego garnizonu broniły głównie dzieci.

Dwa dni później buntownicy zgodzili się wreszcie, żebyśmy nakręcili trochę strzelaniny - przy czym dali nam do zrozumienia, że zaraz potem mamy spakować manatki i wrócić do Konakry. Partyzantom sprzykrzyła się już obecność Amerykanów, chcieli się skupić na planowaniu nowej ofensywy. Rankiem tego dnia, czyli 17 października, wojska rządowe zdobyły kwaterę rebeliantów w Kolahunie, co Jackity skwitował słowami: „Nic

takiego”. Żołnierze Taylora znaleźli się w odległości niespełna dwudziestu kilometrów od nas. Nadeszła pora, by się wycofać.

Otwarto skrzynię z cenną amunicją, którą rozdano wybranym bojownikom, ci zaś na nasz użytek urządzili pokazówkę, zwaną „ćwiczeniem ogniowo-manewrowym”. Dla niewprawnych oczu wyglądało to tak, jakby grupka uzbrojonych mężczyzn biegała w kółko, prując na oślep z automatycznej broni w krzaki. Dziwne to było widowisko, lecz dostarczyło nam zabawnego materiału.

Nakręciłem końcowe ujęcie, w którym Robert przygląda się tej bezładnej strzelaninie, mogło się przydać do zmontowania dramatycznej sceny wpisującej go w wojenny kontekst. Potem zaś wypadało dotrzymać słowa, dlatego następnego dnia, dziesięć dni po przyjeździe do Liberii, wyjechaliśmy z Voinjamy. Czekala nas wyczerpująca dwudziestoczworgodzinna jazda do Konakry. Po nocy spędzonej w hotelu Petit Bateau Amerykanie udali się w drogę do domu.

- To było prawdziwe przeżycie. Dzięki za świetną wyprawę.

Jonathan - zmęczony, wyraźnie pod wrażeniem i zainspirowany kontaktem z buntownikami - uściśnął nam dłonie i skierował się do samolotu, przed nim sprężyście kroczył Robert. Nie mogli się już doczekać powrotu do swoich bliskich.

Usadowiwszy się znów na tarasie Petit Bateau, Nick i ja podjęliśmy rozmowę przerwana swego czasu w Tubmanburgu. Chciałem się dowiedzieć, jakim sposobem wylądował w biznesie związanym z handlem bronią; poprzednio nie dokończył opowieści.

- Kiedy przestałem pracować dla EO w roku dziewięćdziesiątym szóstym, pojechałem do Angoli w charakterze menedżera koncesji Namco na eksploatację jednego z pól diamentowych. Przy tej okazji sporo się nauczyłem o diamentach. Z założenia miał to być krótki kontrakt, ale zostałem na długie miesiące. Dość dobrze poznałem ten biznes. Potem wybrałem się do Mozambiku, zatrudniła mnie firma Coin Security. Pracowałem przez rok w ochronie jednej z ich kopalni.

Nick skinął ręką na kelnerkę kryjącą się za kuchennymi drzwiami i uniósł dwa palce w nadziei, iż tym gestem nakłoni ją do przyniesienia nam dwóch piw.

- Czyli, krótko mówiąc, przekwalifikowałeś się z zawodowego żołnierza i przerzuciłeś się na przemysł wydobywczy?

- Niezupełnie. Po prostu z moją przeszłością akurat taką pracę można było dostać. Dziś jest podobnie. A potem, kiedy wróciłem do RPA, zobaczyłem się ze starym kumplem, Paulem Haynesem. Po tym spotkaniu rzeczywiście sporo się zmieniło.

Nick wyjaśnił mi, że Haynes pracował jako pilot wojskowy, przewoził uczestników

tajnych misji, zarówno z Recces, jak i z CCB, cywilnego wydziału specjalizującego się w brudnej robocie, czyli w zabójstwach oraz innych nielegalnych operacjach. Zachował bliskie powiązania z południowoafrykańskimi służbami wywiadowczymi (choć nastąpiła nowa era i od 1994 roku władzę sprawowała nowa formacja polityczna), dzięki czemu mógł założyć przedsiębiorstwo o nazwie MTS, Military Technical Services. Zaproponował Nickowi, by wszedł z nim w spółkę.

- To się zdarzyło jakoś pod koniec dziewięćdziesiątego ósmego, może na początku dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Paul miał już pełne ręce roboty z umowami dotyczącymi części do samolotów oraz broni ręcznej. Ja skupiłem się głównie na broni. Bardzo dobrze mi poszło. Tak naprawdę to jego firma, ale on nie ma nic przeciwko temu, żebym wykonywał też taką robotę jak ta teraz. To mój dobry przyjaciel. Nie każdy ma szczęście trafić na tak porządnego współnika w biznesie.

Zadzwęczały kufle stawiane na stole. Zapaliłem papierosa.

- Słuchaj, o co chodzi z tym cholernym Kongiem? Co ci strzeliło do głowy?

- Ja, no cóż. To się całkiem niegłupio zapowiada. Facet, który się ze mną skontaktował, reprezentuje grupę bojowników raczej z centralnej części kraju, ale ma też kontakty w regionie Katanga i zna partyzantów na wschodzie.

Nick wyjaśnił mi, że Katanga to rozległa prowincja na południu Konga, posiadająca bajeczne złoża minerałów i diamentów, między innymi tam właśnie wydobyto uran, który posłużył do budowy bomb atomowych zrzuconych na Japonię pod koniec drugiej wojny światowej. Kraina owa już od lat sześćdziesiątych XX wieku niczym magnes przyciągała najemników. Odkąd Kongo uniezależniło się od Belgii i zyskało niepodległość, Katanga, posługując się przy tym armią najemników, starała się oderwać od Konga, aby zostać bardzo bogatym, autonomicznym państwem.

- Naturalną fortecą partyzantów we wschodnim Kongu są góry - praktycznie niedostępne. W zasadzie można tam dotrzeć tylko drogą lotniczą i skoczyć ze spadochronem z niskiego pułapu. Tak samo, jak to robiliśmy w Mozambiku. - Spojrzał na mnie, gdy zamarłem w połowie przeżuwanego kęsa potrawy. - Spokojnie, mogę cię nauczyć. To wcale nie jest trudne. Głównie chodzi o to, żeby znaleźć jakieś miejsce do lądowania nieporośnięte drzewami, bo z tym rzeczywiście może być kłopot.

- No dobrze - odpowiedziałem, podejrzewając, że kpi sobie ze mnie w żywe oczy. - I jak konkretnie mielibyśmy przeprowadzić tę akcję?

Już sobie wyobrażałem, jak lecę w dół niczym kamień, trzymając w ręce kamerę i modląc się, by trafić w strefę lądowania wyznaczoną flarami na przecince w dżungli.

- Amunicję najprawdopodobniej wzięlibyśmy od Rosjan...

- Od rosyjskiego rządu? - przerwałem.

- Nie, od prywatnych handlarzy, którzy mają kontakty w dawnych republikach radzieckich. Broń trzeba będzie zrzucić na paletach, no i my również wtedy byśmy skoczyli. Myślę, że z jakichś stu pięćdziesięciu metrów.

- Słucham? Ze stu pięćdziesięciu?

Nigdy w życiu nie skakałem ze spadochronem, więc nie miałem o tym pojęcia, jednak sto pięćdziesiąt metrów to bez wątpienia bardzo, ale to bardzo nisko.

- *Ja*, skakaliśmy nawet ze stu, chociaż na linie. Niżej już się raczej nie da. W Rodezji zazwyczaj stałem obok dispatchera, w drzwiach dakoty. W dole widać było strefę zrzutu. Czasem także pociski smugowe z serii wystrzeliwanych przez terrorystów na ziemi - ale kiedy kazali skakać, to *fok*, trzeba było skakać, prosto między kule. Można sobie wyobrazić, jak czuli się ci, co skakali pod Arnhem. Kiedy teraz o tym myślę, to aż dziwne, że nie zginęło więcej ludzi. Kilku Rodezyjczyków zostało ciężko rannych, w końcu powiedzieli, że *fok*, dłużej nie będą tak skakać, ale ogólnie rzecz biorąc, nie mieliśmy z tym kłopotów.

Nie byłem pewien, czy chciał w ten sposób zachęcić mnie do skakania z samolotu transportowego lecącego na wysokości zaledwie stu pięćdziesięciu metrów, czy też uświadomić mi, że jest to jednak odrobinę niebezpieczne. Tak czy inaczej, plan niezbyt mi się podobał.

- No dobrze. A gdy już skoczymy, to jak się potem stamtąd wydostaniemy?

Nie do wiary, ale zacząłem zadawać pytania dotyczące szczegółów operacji, podczas której musiałbym wyskoczyć z samolotu.

- Przypuszczalnie na piechotę. W tym akurat jesteśmy całkiem dobrzy.

„Plan” Nicka był tyleż ogólnikowy, co nieprawdopodobny, lecz zarazem intrygujący mimo braku jakichkolwiek konkretnych detali - a może właśnie z tego powodu. Natomiast po raz pierwszy w tak jasny sposób wyszło na jaw, że Nick, ów trzeźwy pragmatyk, za którego go dotąd miałem, kryje w sobie drugi, odmienny aspekt osobowości. Kwalifikacje, rozsądek, doświadczenie - to jedno, ale poza tym wszystkim - awanturnicza żyłka. I za jej sprawą zdarzało mu się widzieć tylko to, co chciał dostrzegać. Wyraźnie miał ochotę na tę robotę w Kongu nie tylko ze względu na potencjalne zyski, lecz także dla zabawy.

Nie dałem się tak łatwo przekonać do tego pomysłu, choćby dlatego, że odstręczały mnie założenia logistyczne. Jednak oprócz tego, że stanowczo nie miałem chęci na skok ze spadochronem i zaraz potem udział w intensywnych walkach, a wreszcie długą wędrówkę przez dżunglę, dostrzegałem też inny kłopot: jak miałem filmować nielegalną operację,

zachowując przy tym zawodową rzetelność i uczciwość, skoro nakręcony przeze mnie materiał stanowiłby niezbity dowód, na podstawie którego Nick mógłby wylądować w więzieniu?

- Musielibyśmy to tak urządzić, żebyś mógł filmować, nie wyjawiając pewnych szczegółów, na przykład pochodzenia broni - odparł.

Słuszna uwaga. W jego obecności zgodziłem się na podobny układ podczas rozmowy z przedstawicielami amerykańskiego wywiadu; niby dlaczego nie miałbym zrobić tego dla Nicka?

Jak mnie zapewnił, cokolwiek z tego wyjdzie, ta robota w Kongu z pewnością będzie niezwykłą przygodą.

- Wiesz - oświadczyłem - właściwie odkąd pamiętam, ciągnęło mnie do przygód. Kiedy dorastałem, zawsze chciałem być taki jak ci z mojej rodziny, którzy służyli w wojsku. Moja mama była bez grosza, ale mnie to wcale nie przeszkadzało, bo dzięki temu miałem całe godziny dla siebie i mogłem wymyślać różne gry wojenne. Na przykład wyobrażałem sobie, że jestem ostatnim, który przeżył z jednostki mojego dziadka w Birmie. Taka tam dziecinada.

- *Ja* - przytaknął Nick. - A potem pewnego dnia to wszystko zaczyna się dziać naprawdę.

Nie odpowiedziałem na jego propozycję wspólnej wyprawy do Konga, jednak nie chciałem odmawiać, zanim dobrze tego nie przemyślę. Powiedziałem mu, że kiedy dorosłem, zastanawiałem się, jak może toczyć się życie poza dobrze znajomą i przewidywalną brytyjską rutyną. Gdy miałem dziewięć lat, mój ojciec wziął pożyczkę z banku i zabrał mnie na wycieczkę do Irlandii. Nocowaliśmy na podłodze w hostelach młodzieżowych, obcy ludzie dzielili się z nami jedzeniem.

- Pierwszą flaszkę guinnessa dostałem od wiekowego kuzyna mojego irlandzkiego dziadka - wyznałem. - Nie mieściło mu się w głowie, żebym miał się nie napić z nim i z tatą, więc wychłptałem ją przy ognisku, czując się jak prawdziwy facet. A potem bardzo dobrze mi się spało.

Później wspinaliśmy się z ojcem na szczyty Connemary - wówczas wydawały mi się one dachem świata. Te wakacje otwarły mi oczy na prawdziwą rzeczywistość, wobec której przestały się liczyć wszelkie gry, w jakie zabawiałem się sam w domu.

Zwierzyłem się Nickowi, że tak naprawdę nie miałem pojęcia, co chcę „robić w życiu”, ale im byłem starszy, tym bardziej ogarniał mnie głód podróżowania. Jako szesnastolatek, wyjeżdżałem sam na wycieczki autostopowe. Gdy skończyłem osiemnaście lat, zanim poszedłem na Cambridge, zainspirowany książkami wojennego bohatera i

podróżnika Patricka Leigh Fermora, wybrałem się jego śladami do Stambułu.

- Podczas tej podróży zacząłem robić zdjęcia. Oczywiście nie miałem pojęcia, co robię, jednak kiedy teraz to wspominam, zdaje mi się, że wówczas wstąpiłem na drogę, którą podążam do dzisiaj. Co prawda nie przypuszczałem, iż wyląduję pośród takich luksusów jak tutaj, w Petit Bateau. Zapewniam, że nie.

Nick się roześmiał. Opowiedziałem mu potem, jak Fermor - którego po drodze do Turcji odwiedziłem w Grecji - zachęcił mnie, żebym złożył też wizytę Fitzroyowi Macleanowi, autorowi książki *Eastern Approaches*. Niektórzy sądzą, że Maclean zainspirował Iana Fleminga do stworzenia postaci Jamesa Bonda; z pewnością walczył na Saharze Zachodniej w tym samym czasie co mój dziadek. Fermor oznajmił mi, iż jego zdaniem mam szansę zrobić karierę w stosunkach międzynarodowych.

- Pamiętasz, jak mówiłeś, że twój ojciec chciał, żebyś pracował w winnicy? W mojej rodzinie było podobnie. Chcieli, żebym wybrał jakiś zawód cieszący się powszechnym szacunkiem, a przynajmniej dający poczucie bezpieczeństwa, na przykład żebym został nauczycielem albo urzędnikiem państwowym.

Nick skinął głową, popił piwem garść prażonych fistaszków.

- Zawsze chcę dla ciebie jak najlepiej - zauważył - a ty nie potrafisz tego docenić, dopóki nie masz własnych dzieci. Wtedy to wszystko nabiera sensu i jeszcze bardziej się o nie troszczysz niż twoi rodzice o ciebie.

Opowieści Fermora o brawurowych wyczynach partyzantów walczących z Niemcami sprawiły, iż dała o sobie znać żądza przygód, którą już wcześniej swoimi wojennymi wspomnieniami zaszczepili mi dziadkowie. Zawsze chciałem iść na wojnę, a teraz, dzięki Nickowi, pojawiła się taka możliwość, w zasadzie niczym nieograniczona. Rzecz w tym, jak dalece pragnę tę możliwość wykorzystać.

11. Niespokojny duch

W uszach huczało mi od wystrzałów. Deku przeszedł obok mnie; zmierzał dokądś stanowczym krokiem, otrząsnął pot z dredów. Moja kamera skierowała się na umierającego człowieka, wciągnęła jego podziurawiony kulami tors w środek kadru. Zrobiłem zbliżenie na twarz, na oczy.

- Chciałbyś kawy?

Nacisnąłem przycisk „stop” w odtwarzaczu. Hannes, technik pracujący dla programu *Special Assignment* telewizji SABC, stał w drzwiach montażowni i zaglądał mi przez ramię. Minęła już północ, byliśmy prawie sami w wielkim budynku SABC w Johannesburgu. Od tygodnia montowaliśmy film z mojej pierwszej wyprawy do Liberii. Niezwykle męczące zajęcia.

- Coraz gorzej i gorzej, no nie? - zagadnął, wskazując ekran ruchem głowy.

- No, faktycznie. - Spojrzałem znów na twarz zabitego. - Muszę zapalić. Kawa też mi dobrze robi, dzięki. To bardzo uprzejme z twojej strony.

Hannes pojawił się po kilku minutach, przyniósł biały kubeczek z cienkiego plastiku pełny gorącej jak wrzątek kawy zrobionej z proszku. Taki sam pusty kubeczek przykleiliśmy taśmą, zasłaniając czujnik alarmu przeciwpożarowego, po czym zapaliliśmy papierosy. Jego twarz, szczęśliwa, choć zmęczona, spoglądała na mnie poprzez kłęby niebieskiego dymu.

- Dzisiaj skończymy - oznajmił. - Kiedy uporamy się z sekwencją przedtytułową, jesteśmy w domu. Grafikę i napisy możesz zrobić jutro. Spisałem wszystkie kody czasowe, teraz tylko będę musiał wrzucić je, gdzie trzeba. Trochę z tym zachodu, ale potem już naprawdę będziemy mieli robotę z głowy.

Szybko się zorientowałem, że tworzenie filmu polega na czymś więcej niż rejestrowaniu walk na taśmie. Początkowo wydawało mi się, że film powstaje w Liberii, lecz w rzeczywistości narodził się dopiero w listopadzie, podczas montażu. Był to mozolny proces, któremu towarzyszyły niezliczone przekleństwa wykrzykiwane przez Hannesa w afrikaans, ja zaś kręciłem głową i mruczałem pod nosem: „Cholera, szkoda, że nie wiedziałem”. Wreszcie wyszedł nam z tego trzydziestominutowy film, któremu postanowiłem nadać nieco pretensjonalny tytuł *Liberia. A Journey Without Maps* (Liberia. Podróż bez map), nawiązując do książki podróżniczej o Liberii napisanej przez Grahama Greene’a w 1936 roku.

Kilka dni później, 12 listopada 2002 roku, materiał wyemitowała telewizja.

Zebraliśmy się w domu jednego z przyjaciół - my, czyli producenci oraz dziennikarze z SABC - żeby sobie obejrzeć *Journey*, popijając zimne piwo. Przez całe pół godziny ledwo oddychałem. Kiedy film się skończył, zabrzmiały krótkie oklaski; wszyscy spojrzeli w moim kierunku, lecz nie potrafiłem wykrztusić ani słowa. Dziesięć tygodni filmowania, dwadzieścia dwie godziny materiału nagranych na taśmę skondensowane w trzydziestu minutach i szesnastu sekundach. Oto rzeczywistość, którą wszyscy ujrzeli; rzeczywistość, która została uwieczniona. Wszelkie pomyłki, wypaczenia, przeinaczenia, błędne oceny... stały się teraz utrwalonymi „faktami”. Moje wspomnienia stanowiły już własność ogółu.

Podczas tego przyjęcia brakowało tylko jednej osoby, Nicka. Wrócił już do Liberii, by ciągnąć negocjacje z Sekou Connehem w sprawie helikoptera oraz diamentów. Nie miałem z nim żadnego kontaktu. W ciągu siedemnastu dni od naszego powrotu z wyprawy, w której towarzyszyli nam Amerykanie, nie widzieliśmy się ani razu.

Ciekaw byłem, z jaką reakcją spotkał się mój film, więc w tygodniu po emisji, skoro Nick znalazł się poza zasięgiem, zadzwoniłem do jego przyjaciela w Monrowii. Piet poinformował mnie, że Taylor widział *Journey*. Z początku o mało nie dostał apopleksji, wściekał się na mnie, a potem wściekał się jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że kilkanaście międzynarodowych firm handlowych i inwestycyjnych z miejsca zrezygnowało ze swoich planów dotyczących Liberii. Później kazał przemontować film, by stworzyć własną wersję, w której nie pojawiła się ani jedna wzmianka o tym, że prezydent jest zbrodniarzem wojennym, a jego żołnierze gwałcą młode dziewczyny, następnie postarał się, by moje okrojone „dzieło” obejrzało jak najwięcej ludzi w Monrowii. Przekaz był oczywisty: „Patrzcie! Rebelianci to psychopatyczni mordercy! Tylko ja, Charles Taylor, mogę was przed nimi obronić!”. Cóż, nie przewidziałem, że mój materiał zostanie wykorzystany w celach propagandowych przez Taylora. Gdy tylko film opuścił studio i został nadany przez telewizję, straciłem nad nim kontrolę. Jednak zanim Nick wyruszył na front do Kolahunu, czyli w miejsce, którego Jackity nie chciał pokazać Robertowi i Jonathanowi trzy tygodnie wcześniej, odbyliśmy rozmowę przez telefon.

- Powodzenia, stary. Uważaj na siebie, naprawdę. Tym razem nie będę mógł się tobą opiekować - powiedziałem. - A poza tym to kawał drogi, jak bym musiał wyruszyć ci na ratunek.

Nie wiem, czy byłbym w stanie tak od razu tam wrócić. Jego determinacja - a może desperacja - zrobiła na mnie wrażenie.

- Ja, cóż, postaram się być grzeczny. Jeśli nie zobaczymy się wcześniej, to urządzimy sobie wielkie *braai* w moim domu za rok. Moja rodzina jest ogromnie ciekawa, jak wygląda

ten tajemniczy Angol.

Skończyliśmy rozmowę i tyle. Wyjechał. W myślach wykreśliłem na mapie jego marszrutę i próbowałem się nie zastanawiać, jakie pułapki mogą na niego czyhać.

W Johannesburgu nauczyłem się uważać, komu i jak opowiadam o tej przyjaźni. Nick od początku nie chciał figurować na liście płac emitowanej pod koniec filmu, teraz tym bardziej zależało mu, żeby pozostać w cieniu - a to ze względu na interesy, jakie zamierzał prowadzić z partyzantami. Ponadto młodzi Afrykanerzy najrozmaitszego pochodzenia, z którymi zadawałem się w pracy i po niej, jak się okazało, nie żywili szczególnej sympatii do funkcjonariuszy sił specjalnych z czasów apartheidu. Z początku mówiłem dość otwarcie, jaką rolę odegrał Nick podczas kręcenia filmu i o tym, że nająłem go w charakterze ochrony osobistej, nadmieniając czasem o jego przeszłości w siłach specjalnych. Do momentu, kiedy pewien biały kolega stwierdził, iż cieszy się, że „skurwysyny tego pokroju mogą wreszcie na coś się przydać”.

Co ty, kurwa, możesz o tym wiedzieć? - oburzyłem się w myśli. Ilu widziałeś ludzi rozerwanych na strzępy? - Tak jakby to cokolwiek wyjaśniało lub usprawiedliwiało. Wkrótce jednak przekonałem się, że wiedział o tym znacznie więcej niż ja, a i widział na własne oczy niemało okropności wojny.

- Nie doświadczyłeś apartheidu na własnej skórze - mówił dalej - dlatego jesteś w stanie wybaczyć jego poplecznikom, kiedy ci to pasuje. Tymczasem mnie skurwysyny pokroju Nicka próbowały zabić. Bałem się o życie, a zagrażali mi właśnie tacy ludzie. Z ich rąk zginęli moi znajomi. Mój ojciec uciekł przed nimi na emigrację. Połamali mi zębra, traktowali gazem łzawiącym, na moich oczach strzelali z broni maszynowej do dzieci. Zakładali podsłuchy na naszych telefonach, gwałcili nasze dziewczyny, wlekli czarnoskórych samochodami po ziemi i wyrzynali w pień całe wioski, przebrani za bojowników o wolność. Wyobraź sobie białych Interahamwe, a będziesz miał jakie takie pojęcie!

Wpatrywaliśmy się w siebie, rozdzieleni otchłanią odmiennego doświadczenia życiowego. Nie potrafiłem pogodzić się z tym, że Nick, jakiego znałem, miał być człowiekiem, za jakiego większość ludzi go uważała; nawet nie zamierzałem próbować. Nasze wspólne doświadczenia z Liberii stanowiły wartość o wiele silniejszą od cudzych wspomnień.

Odtąd stałem się bardziej defensywny w kwestii swojej przyjaźni z Nickiem, tłumaczyłem, co i dlaczego, starając się zachować zawodowy, racjonalny ton. Nawet nie usiłowałem opisać prostej więzi, która między nami powstała.

- Nie - odezwałem się do dziennikarki, która pracowała w biurze *Special Assignment* -

nie używa słowa *kaffiri* nie darzy czarnoskórych nienawiścią.

Była to moja odpowiedź na wyrażone przez nią przypuszczenie, graniczące zresztą z pewnością. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy stole, pokrytym sztywnym obrusem i lśnącymi sztućcami, w eleganckiej johannesburskiej restauracji. Dziewczyna była mieszanego pochodzenia, a więc „kolorowa”; zdziwiła się, czemu tak się najeżyłem, kiedy wspomniała, że Nick z pewnością jest rasistą. Przecież to chyba oczywiste?

- Nick taki nie jest - ciągnąłem. - Jasne, z pewnością nie należał do entuzjastów ruchu wyzwolenieckiego, ale był żołnierzem, nie mordercą. Nie wykańczał ludzi w hotelowych pokojach...

- Na pewno? - przerwała mi.

Poprawiła się na krześle, zasłoniła usta dłonią - nie wiedziałem, czy chce ukryć uśmiech, czy może ziewnięcie.

- Jesteś pewien? A byłeś tam? W Gaborone, Maseru...

Wymieniła nazwy stolic dwóch dawnych tak zwanych państw frontowych, Botswany i Lesoto, żeby mnie sprowokować. W obu tych miastach, podobnie jak w wielu innych, miały miejsce tajne operacje prowadzone przez Recces, w których rezultacie zginęli niewinni i przypadkowi ludzie. Nick dowodził jednym z oddziałów podczas niesławnego rajdu w Gaborone, napaści sił specjalnych na rzekome kryjówki ANC. Pośród wielu innych ofiar, śmierć poniosły małe dziecko oraz ciężarna kobieta. Nick utrzymywał, że akurat jego grupa tylko splądrowała biuro prasowe ANC w poszukiwaniu dokumentów zawierających istotne informacje i nikomu przy tym nic się nie stało. Nawet budynek nie został zniszczony, prawdopodobnie dlatego, jak uważał, że miały tam swoje siedziby również inne lokalne firmy. Oświadczył wyraźnie: „W Botswanie nigdy nikogo nie zabiłem”. Na koniec dość niefortunnie stwierdziłem:

- W zasadzie, był zawodowym żołnierzem, wykonywał rozkazy.

Zabrzmiało to jak frazes obrońcy podczas procesu norymberskiego. Spojrzała na mnie z uśmiechem. Oboje wiedzieliśmy, że nie mam pojęcia, jakie rozkazy wykonywał Nick podczas swojej służby wojskowej, a jakich nie. Mogłem tylko wierzyć, że był tym, za kogo się podawał. Nie dysponowałem żadnym dowodem na to, że mówił prawdę. Ani na to, że kłamał.

Gdy wróciłem do ojczyzny, mój film spotkał się wreszcie z niejakim zainteresowaniem. Wybrałem się do Dublina na konferencję poświęconą mediom informacyjnym, gdzie na wielkim ekranie w głównej sali pokazano *A Journey Without Maps*. Kiedy film się zaczął, przekradłem się i zająłem miejsce z tyłu sali. Czułem się tak

zdenerwowany wobec tej widowni złożonej z producentów, redaktorów oraz znanych dziennikarzy, że nie byłem w stanie wytrzymać napięcia, nie chciałem obserwować ich reakcji.

Jednak wszystko poszło dobrze. Gratulowano mi odwagi, oryginalności i przepowiadano, iż jeszcze zdobędę niejedną nagrodę. Wiara w siebie, jaką odczuwałem podczas filmowania strzelanin w Tubmanburgu, okazała się więc być może niezupełnie nieuzasadniona. Nagle jednak ogarnął mnie wstyd. Pomyślałem, jak całkowicie nie na miejscu byłby tu Nick oraz jak mało to wszystko by dla niego znaczyło. Sącyłem szampana i wkroczyłem na drogę wiodącą do zdobycia uznania, a on znów wylądował w dżungli, na froncie.

Choć tak naprawdę mógłby się całkiem nieźle odnaleźć i w tym środowisku, przecież wbrew pozorom różnice nie były aż tak istotne. Przesiedzieć bezpiecznie, przyglądając się cierpieniu innych ludzi, a potem wyjść do baru: czyż nie tego wszyscy pragnęliśmy? Doświadczyć, przeżyć i zgarnąć wynagrodzenie. Jedni czynią to w rzeczywistości, inni wyręczają się pośrednikami. W pewnym momencie aż zaszyłem się w kąt, bo zrobiło mi się głupio, kiedy faceci w garniturach krążyli wokół mnie jak wysuwające języki jaszczurki, węszyli w powietrzu, bo wyczuwali słodko-gorzki odór dżungli, którym przesiąkłem.

Nie miałem pojęcia, czy kiedykolwiek wrócę do Liberii: film się sprawdził, moja kariera zaczęła nabierać tempa. Każda rozmowa, każde spotkanie wprowadzało mnie dalej w świat mediów. Po raz pierwszy w życiu musiałem odpowiadać przed profesjonalną widownią na pytania dotyczące motywacji, jakie mną powodowały podczas tej wyprawy. Chcieli usłyszeć, jak to jest znaleźć się na wojnie i po co to uczyniłem. Te pytania wprawiły mnie w zakłopotanie. Czy chodziło tu o moralną krucjatę, czy o zwykłą ciekawość, podobną do tej, jaką przejawiają gapie gromadzący się wokół wypadku... który sfilmowałem, żeby inni też mogli nacieszyć oczy? Czy cała ta wyprawa miała stanowić dla mnie rytuał przejścia? A może po prostu uległem młodzieńczemu pędowi do przygody? Czy jednak udałem się do Liberii z misją, której celem było poszukiwanie odwiecznej Prawdy? Nie przygotowałem się na takie pytania, więc odpowiadałem spontanicznie, wyjaśniając przy okazji to wszystko samemu sobie.

- Jeśli ktoś staje się świadkiem wydarzeń, lecz nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności, to kreuje tylko rozrywkę - ciągnąłem na głos swoje rozważania, a oni zapisywali je w notesach. Tak, chyba dobrze to sformułowałem. - Więc jeśli jesteśmy świadkami wojny, bierzemy na siebie odpowiedzialność za opowieść, a co ważniejsze, za ludzi, których historię opowiadamy.

Odniosłem wrażenie, że to przypadło słuchaczom do gustu. Pomyślałem o umierającym w pyłe człowieka, na którym Deku dokonał egzekucji, oraz o dumnych, głodnych kobietach oddzielających od plew ostatnie ziarna cennego ryżu.

- Chodzi mi o to, że różnica między pornograficznym reportażem wojennym a prawdziwym reportażem wojennym sprowadza się do prawdy. Historia, którą opowiadamy, musi być rzetelna, a to oznacza, że powinna być ich historią, nie naszą. Z początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, lecz tego właśnie się nauczyłem. Jeśli nie uchylamy się od odpowiedzialności...

Wpatrywali się we mnie, jak gdyby domyślając się w milczeniu, co zaraz powiem. Miałem na sobie garnitur, a w ręce trzymałem pintę guinnessa i ni mniej, ni więcej, tylko właśnie opowiadałem swoją historię. Absurdalne. Dokonałem więc nieznacznej zmiany kursu. Wcale nie byłem pewien, w jaki sposób powinienem wywiązywać się z obowiązków reportera wojennego. Wydało mi się, że dobrym początkiem, jeśli nie jedynym, będzie mówić prawdę.

- Wybrałem się tam dlatego, że moja praca polega na opowiadaniu historii. Na opowieściach zostałem wychowany. Lubię opowiadać. Myślę, że to kwestia wewnętrznego przymusu - mówiłem dalej. - Nie potrafiłbym pisać o gospodarce albo o sporcie, ale to umiem, dlatego pojechałem do Liberii i wróciłem żywy. Jest bardzo niewielu ludzi, którzy mogą to zrobić, którzy chcą to robić. Więc jeśli ja się tego nie podejmę, kto to uczyni? Kto opowie te historie?

Moje przemówienie nabierało tempa i w moim odczuciu brzmiało całkiem niezłe.

- To kwestia imperatywu moralnego. Jeśli ktoś mieszka w miejscu, skąd trudno usłyszeć jego głos, ponieważ rząd stosujący ucisk zmusza go do milczenia albo dlatego, że jego krzyk zagłuszają odgłosy wojny, nie znaczy to, iż ów głos z jakiegoś powodu jest mniej godny wysłuchania, że na to nie zasługuje. Wręcz przeciwnie. Są to głosy, których słuchamy nie dość często, które nie wybrzmiewają dostatecznie głośno. Moja praca polega na tym, by pomóc w interpretowaniu tych historii, na osadzeniu ich w kontekście, opatrzeniu wyjaśnieniami i doprowadzeniu do tego, żeby zostały usłyszane. To wszystko. Jestem przekąźnikiem. Moja kamera jest narzędziem.

Uwierzyli mi, więc i ja zacząłem w to wierzyć. Przedstawiłem wyjaśnienie równie dobre jak każde inne.

Uzbrojony w tę nową mantrę poleciałem z Dublina prosto do Amsterdamu, na Międzynarodowy Festiwal Filmu Dokumentalnego. Tam spotkałem Jonathana, z którym

byłem w Liberii. Wciąż pozostawał pod wrażeniem wyprawy do Voinjamy, dlatego przedstawił mi nową propozycję. Uważał, że warto nakręcić dłuższy film o Liberii. Twierdził, że choć był świadkiem dekapitacji, pobyt w Voinjamie mu się spodobał, przypadł mu do gustu ten dziwny kraj oraz jego mieszkańcy. Inaczej mówiąc, złapał bakcyła, a przy tym fascynowała go niezwykła historia Liberii.

- Więc jak to jest? Czy z partyzantami już naprawdę koniec? Wydawało mi się, że czekają na właściwy moment, by znów wyruszyć przeciwko Taylorowi.

Jonathan i ja staliśmy w kolejce we foyer kinowym, by obejrzeć inne dokumenty o Afryce.

- Tak, chyba masz rację - odpowiedziałem. - Nick jest teraz na miejscu, u buntowników. Można powiedzieć, że przeprowadza dla mnie rozpoznanie, więc wkrótce będę wiedział coś więcej. Jeśli zdołają się zjednoczyć, to będą w stanie zdobyć stolicę. Jestem pewien, że to możliwe.

Później tego samego dnia spotkaliśmy producenta z Discovery Times Channel, któremu spodobał się pomysł nakręcenia dłuższego filmu o partyzantach. Umówiliśmy się, że wkrótce zobaczymy się znowu, aby porozmawiać o zamówieniu. Popijając kawę między seansami, poznałem też inną znajomą Jonathana, niejaką Kathi Austin.

- Kathi, to jest James. Powinniście pogadać. Oboje zajmujecie się Liberią. Tylko musisz wiedzieć, że to niezły świr.

Zaraz potem Jonathan pogrążył się w dyskusji z innym reżyserem.

- Wróciłeś niedawno?

Mówiła z akcentem trudnym do określenia, jakby z południa USA, jednak wymawiała głoski twardziej, więc kiedy się odzywała, nie brzmiało to jak „typowy” dialekt, który słyszałem, oglądając filmy w telewizji. Wyciągnęła torebkę z kubka ziołowego naparu o mętnie zielonej barwie, a potem zdjęła zakiet. Była drobnej budowy, piękna, około czterdziestki. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Uświadomiłem sobie, że nie odpowiedziałem na jej pytanie.

- Długo tam byłeś?

- Miesiąc temu wróciłem z wyprawy, którą odbyłem razem z Jonathanem. Dopiero co zmontowałem w Johannesburgu film z mojej pierwszej wyprawy, a teraz znalazłem się tutaj. Mamy dzisiaj wtorek, prawda? A więc jeśli wtorek, to jesteśmy w Holandii. Tak to mniej więcej wygląda. Już nie bardzo wiem, czy właśnie przyjechałem, czy zaraz wyjeżdżam.

Kathi wyjaśniła, że zajmuje się gromadzeniem materiałów oraz informacji, czyli jest kimś w rodzaju aktywistki śledczej, a jej specjalność stanowi demaskowanie stron i

ujawnianie transakcji w dziedzinie międzynarodowego handlu bronią. Mieszka w San Francisco, ale teraz wybiera się do Frankfurtu, aby przeprowadzić w więzieniu wywiad z facetem zamieszkanym w przemyt broni do Ameryki Południowej. Odniosłem wrażenie, że z jej punktu widzenia to ważny przełom, ale trudno mi było połączyć się w szczegółach. Większość z tego, co mówiła, sprowadzała się do ogólników, choć bardzo sugestywnych. Dała mi chyba do zrozumienia, że ów człowiek znalazł się w więzieniu częściowo za jej sprawą, słuchałem jednak tylko jednym uchem.

Uwaga - napomniałem sam siebie. - Nick handluje bronią. Uważaj na każde słowo.

- A co masz wspólnego z Liberią? - spytałem ostrożnie. - Czy popełniłaś w poprzednim wcieleniu jakiś bardzo zły uczynek?

- Pracowałam dla Panelu Ekspertów Rady Bezpieczeństwa ONZ, chodziło, jak zwykle, o handel bronią - wyjaśniła.

Wspomniałem o niezbyt gościnnym przyjęciu, jakiego doznałem od obecnych śledczych Panelu, kiedy w sierpniu wróciłem do Europy.

- Chętnie bym powiedziała, że jestem zaskoczona, ale tak naprawdę to typowe. W ogóle ONZ jest niezwykle upolityczniona, a przy tym wpatrzona we własny pępek; niczego nie da się tam załatwić. Przykro mi, że dali ci popalić. Prawdę mówiąc, w końcowym raporcie Panelu niemal całkowicie pominięto mój udział w badaniach, dobrze, że chociaż wymienili moje nazwisko. Tak bywa.

Dopiero zaczęliśmy rozmowę, ale ona musiała już iść. Spytałem, skąd pochodzi jej akcent.

- Z Wirginii - odpowiedziała, przeciągając sylaby na mój użytek jeszcze bardziej niż dotąd. - Okolice Richmond.

- Ach, jedna z Piękności z Południa, tak?

- A jakże - zaśmiała się. - Odezwij się.

Dała mi numer telefonu, po czym się rozstaliśmy.

Wyglądało na to, że wyrobiłem sobie nazwisko, jeśli chodzi o Afrykę Zachodnią. Po powrocie do Londynu odebrałem dziwny telefon.

- O, witam. Czy rozmawiam z Jamesem?

Męski głos, którego nie rozpoznałem, ale bez wątplenia Anglik. Przyznałem, że owszem, to ja.

- Witaj, James - rzekł. - Mam na imię Mick. Dzwonię z Foreign Office.

- Foreign Office? Ale o co chodzi?

- Dostałem twój numer od wspólnego znajomego. Powiedz, czy moglibyśmy się

spotkać i pogadać?

Z tonu jego głosu nie byłem w stanie niczego wywnioskować.

- Od wspólnego znajomego, powiadasz? - powtórzyłem jak debil. Uznałem, że pewnie od Franka. Nie odpowiedział, więc stwierdziłem: - Tak, jasne. Kiedy ci pasuje?

Podał mi numer komórki, wyznaczył czas i dokładnie określił miejsce: drewniana ławka przy jezioru w Saint James's Park. Nie podał swojego nazwiska i nic więcej nie wyjaśnił. Rozłączył się zaraz potem.

O, cholera, dziwna sprawa. Właśnie skontaktowała się ze mną władza - pomyślałem.

Tydzień później zobaczyłem go na tej właśnie ławce; siedział owinięty brązowym trenczem. Przeszło mi przez głowę, że pewnie urzęduje tu cały czas.

- Witaj, James - odezwał się.

- Cześć, Mick - odpowiedziałem.

- Zimno dzisiaj, nie? - stwierdził, gdy usiadłem obok niego. Nie mogłem się nie zgodzić. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci to miejsce. Wydawało mi się, że tak będzie najwygodniej, bo to w samym centrum.

Skinąłem głową i spróbowałem dyskretnie spojrzeć za siebie, starając się nie okazywać zbytniego rozbawienia ani też nie popadać w paranoję. Przez jakiś czas siedzieliśmy i gawędziliśmy o rzeczach nieistotnych: o pogodzie, o korkach na ulicach. Potem zapytał, gdzie byłem w Liberii, dla kogo pracowałem, czy wybieram się tam znowu. Przypuszczałem, że zna odpowiedzi na większość z tych pytań, ale przyjąłem wyznaczone przez niego reguły gry, odpowiadałem szczerze i zgodnie z prawdą, czekając, do czego to doprowadzi.

Znał się na rzeczy. Zadał dość szczegółowe pytanie o dawną prorządową milicję z Sierra Leone walczącą u boku powstańców z LURD w Liberii. Interesujące pytanie, które dowodziło, że naprawdę porządnie odrobił lekcje.

- Jest ich kilkudziesięciu. Wywodzą się głównie z Sił Obrony Cywilnej - potwierdziłem. - Z drugiej strony, Taylor w Foi wykorzystuje bojowników RUF, zapewnia im dostawy, które są przewożone helikopterem...

Na dźwięk słowa „helikopter” spojrzeliśmy po sobie. Zastanowiłem się, czy przypadkiem nie wie o planach Nicka. Czy służby brytyjskie podsłuchiwały jego rozmowy prowadzone przez telefon satelitarny z Freetown? Mówiłem dalej:

- Kiedy ostatnio znalazłem się w Voinjamie...

- To znaczy w październiku? - przerwał.

Tym mnie zaskoczył. O drugiej wyprawie nie wspomniałem dotąd ani słowem.

Ostrożnie ważyłem każde słowo.

- Tak, niedawno. No więc pojмали jeńca z RUF i dla odmiany nie zabili go. Facet pokazał mi jugosłowiańską walutę - dinary - które dostał od pilota helikoptera, po czym opowiedział, że Benjamin Yeatin, główny dowódca Taylora, osobiście zajmuje się kwestią dostaw amunicji. Jestem prawie pewien, iż pochodzi ona z Europy Wschodniej.

Oprócz krótkiej strzelaniny na skraju miasta było to jedyne interesujące wydarzenie podczas filmowej wyprawy w towarzystwie Amerykanów.

- Czy partyzanci zatrudniają najemników?

Hm - pomyślałem sobie. - O co może mu chodzić?

- Nie, nie mają najemników. Za to w ich szeregach walczą dzieci. - Nagle coś przyszło mi na myśl: - Posłuchaj, chętnie o wszystkim opowiem, ale zastanawiałem się... Zastanawiałem się przy okazji, czy może w przyszłości, jeśli będę potrzebował jakiejś pomocy, mógłbym - czy ja wiem - liczyć na współpracę?

Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, zrobiło mi się strasznie głupio. Zupełnie jakbym grał w jakimś wyimaginowanym filmie i nagle zapomniał roli.

- O jakiego rodzaju pomoc chodzi?

Spoglądał na mnie tak, jakby naprawdę go zainteresowało, czego też mogę od niego chcieć.

- Nie wiem jeszcze - przyznałem zgodnie z prawdą. Odwróciłem wzrok i zacząłem przyglądać się barwnemu upierzeniu kaczki oddalającej się od naszego brzegu. - Jakby co, dam znać.

- W porządku. Masz mój numer.

Mijał grudzień; Nick nadal się nie odzywał, a Rachel i ja wybraliśmy się na wycieczkę do Włoch. Z mojej strony była to ostateczna próba uratowania naszego związku. Spędziliśmy ze sobą prawie tydzień w pięknym jak z obrazka umbryjskim domku na wsi i nie wiedziałem, o czym mam z Rachel rozmawiać. Obsesja mojej telewizyjnej kariery nie dawała mi spokoju, moje myśli wciąż krążyły wokół następnej wyprawy. Znalazłem się sam na sam z piękną kobietą w Italii; co za nudziarstwo w porównaniu z towarzystwem buntowników w liberyjskiej dżungli.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego chcesz to zrobić - stwierdziła, kiedy zwierzyłem jej się, że kombinuję, by znów tam pojechać.

Nie potrafiłem jej tego wytłumaczyć, więc nie wytłumaczyłem. Zabrakło nam wspólnych tematów. Ona była zbyt młoda, a ja zbyt zapatrzony w siebie. Zrozumiałem, że nic z tego nie będzie. To był koniec.

O drugiej po południu tego samego dnia, kiedy wróciłem z Włoch, wybrałem się na spotkanie z szefem Programu Afrykańskiego przy Royal Institute for International Affairs w Chatham House. Pokazałem mu zdjęcia nowiotkich AK-47 zdobytych przez partyzantów pod Tubmanburgiem, odebranych żołnierzom Taylora. Zażądałem, by odnaleźli trop prowadzący najpewniej do Europy. Ku mojemu zaskoczeniu podczas tej wizyty poproszono mnie, bym przygotował odczyt o bojownikach z LURD; dostałem na to czas do lutego przyszłego roku.

W Londynie nastąpiła mroźna zima. Rok zmierzał ku końcowi.

W sylwestra zadzwonił do mnie Nick.

- Tym razem nie musiałem iść aż tak długo - rozległ się w mojej komórce znajomy głos. Nick wy dostał się z dżungli cały i zdrowy. - Z tego głównego miejsca przeszliśmy tylko do drugiego miasta, tam, gdzie chcieliśmy dotrzeć razem, ale turyści nie otrzymali zezwolenia na zwiedzanie.

- W porządku, rozumiem.

To znaczyło, że udał się do Kolahunu. Widział też miejsce śmierci Deku.

- Bezpośrednie trafienie. Granat z RPG wpadł przez okno domu, w którym się skrył, i rąbnął go prosto w głowę. Wszędzie było pełno resztek mózgu, na ścianach, na suficie. Ciało porzucili w dżungli.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zabili go żołnierze rządowi?

- Ja, zgadza się. Kiedy tam byliśmy, szef nie chciał, żebyśmy wiedzieli, że niemal zostali pobici.

Nick cieszył się z sukcesów filmu - słyszał o tym także od Pieta z Monrowii. Zdradziłem mu, że próbuję zdobyć fundusze na kolejną wyprawę do Liberii. Roześmiał się.

- No to szczęśliwego Nowego Roku - rzekł na pożegnanie - i pozdrowienia dla twojej rodziny. Myślę, że jeśli to wyjdzie, może być naprawdę ciekawie.

Sprawy rzeczywiście zaczęły układać się pomyślnie. Kilka dni później odezwał się do mnie producent z BBC zajmujący się w Londynie programem *Newsnight*. Planował kupić *Journey Without Maps* i przemontować go do emisji w Wielkiej Brytanii. W trakcie montażu postanowiłem porozmawiać z Kathi, więc zadzwoniłem do San Francisco. Powiedziałem jej, że chcę sprawdzić pewne fakty dotyczące skryptu, a w rzeczywistości chciałem ją podpytać, czy przypadkiem nie zamierza wybrać się do Londynu. Nie zamierzała. A ja po naszym spotkaniu w Amsterdamie wciąż o niej myślałem. Nie znałem żadnych kobiet, które byłyby tak atrakcyjne i zarazem miały cokolwiek do czynienia z wojnami w Afryce. Nawet nie wiedziałem, czy jest wolna. Żeby przeciągnąć rozmowę, wspominałem o odczycie zamówionym przez Chatham House.

- James, musisz być ostrożny. Nie chcę cię straszyć, ale przez swoje doniesienia z Liberii naraziłeś się pewnym osobom. Uraziłeś ich ego.

- W jaki sposób?

- Zrelacjonowałeś fakty, o których powinni wiedzieć w ONZ, a nie wiedzieli. Dopiero co stwierdzili, że na tereny opanowane w Liberii przez LURD nie da się przedostać, po czym nie minął miesiąc i pojawiłeś się w kwaterze głównej partyzantów, w dodatku z kamerą. W pewnym sensie pokonałeś tych gości na ich boisku, co niektórym z nich się nie spodobało.

- Co to znaczy, że im się nie spodobało? - Zupełnie zgłupiałem.

- Jeden z nich stwierdził, że jesteś najemnikiem.

- Co?

- No tak. Facet utrzymuje, że opowiedziałeś się po ciemnej stronie.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Jakiej znowu ciemnej stronie? To dopiero numer! Ratuj mnie, Obi-Wan, jesteś moją ostatnią nadzieją!

- James, to nie są żarty. Oskarżyli cię, że przewiozłeś broń przez granicę z Gwineą. Określili twoje doniesienia jako niewiarygodne.

Przestałem się śmiać.

- Rany, nie przewiozłem żadnej broni przez żadną granicę.

Myśli galopowały w mojej głowie. Faktycznie, nie przewiozłem. O ile nie liczyć kałasznikowa, którego dostarczyłem Frankowi w Konakry. Cholera.

W końcu postanowiłem, że to ja złożę Kathi wizytę. Miałem kręcić jakiś materiał w Los Angeles z Robertem, a stamtąd do San Francisco było już niedaleko.

Przyjechała po mnie na lotnisko.

- Cześć - powiedziałem, by zaraz uświadomić sobie, że nie mam pojęcia, co mówić dalej.

Pochyliłem się, żeby pocałować ją w policzek, ale nie trafiłem. Ona też wymamrotała coś na powitanie, a potem zawiozła mnie do swojego mieszkania. Mieliśmy sporo ważnych spraw do omówienia - kwestie dotyczące najemników, szpiegów, inspektorów Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz inne - lecz mój umysł przede wszystkim pracował usilnie nad rozwiązaniem logistycznego problemu sprowadzającego się do tego, w jaki sposób zaciągnąć ją do łóżka.

Miałem tylko kilka dni, potem musiałem ruszyć dalej w drogę. Robert, scenarzysta, załatwił mi udział w kursie treningowym dla dziennikarzy, odbywającym się w bazie Marine Corps w Wirginii. Stamtąd miałem jechać do Nowego Jorku na spotkanie z Jonathanem oraz

przedstawicielami Discovery Times Channel. Zdziwiło mnie, że coś się odblokowało w telewizyjnych kanałach przepływu informacji oraz środków i kierownictwo wyraziło zgodę na sfinansowanie filmu, jednak pod warunkiem że pojawią się istotne przesłanki wskazujące, iż powstańcy przypuszczają natarcie na Monrowię. Pomysł polegał na tym, żeby filmować te wydarzenia z obu stron. Jonathan miałby przebywać w mieście z ludźmi Taylora, a ja byłbym po stronie partyzantów. Aby mogło do tego dojść, LURD musiało odzyskać znaczną część terytorium. Tymczasem, jak twierdził Nick, buntownicy z trudem utrzymywali skrawek ziemi wokół swojej głównej kwatery nad granicą z Gwineą.

Ku swojemu zachwytowi i zaskoczeniu stwierdziłem, że staromodny apartament Kathi - przez którego wielkie okna rozciągał się widok na wyspę Alcatraz i zatokę - ma tylko jedną sypialnię.

- Jest jeszcze sofa - przyznała, wskazując lekceważącym gestem tapczan widoczny przez otwarte drzwi do salonu - ale tu ci chyba będzie wygodniej.

Była starsza ode mnie o trzynaście lat i jej praca zawodowa polegała na zdobywaniu informacji w dziedzinie, która stała się najważniejszą częścią mojego życia; ktoś mógłby uznać, że dokonałem dziwnego wyboru. Tyle że po prostu nie byłem w stanie jej się oprzeć.

Przez te kilka dni włóczyliśmy się po mieście, odwiedzając rozmaite atrakcje turystyczne, sporo piliśmy, żywiliśmy się w niezliczonych restauracjach i gadaliśmy bez przerwy. Tematy naszych rozmów zawsze były podobne: Afryka Zachodnia, najemnicy i handlarze bronią. Niezbyt to romantyczne, ale niezwykle ciekawe. Kathi wiedziała na ten temat mnóstwo, a chciała wiedzieć jeszcze więcej, więc zasypywała mnie pytaniami. Na tym właśnie polegały owe „wspólne zainteresowania”, których brakowało mi z Rachel. Sącząc z butelki piwo Anchor Steam i zajadając się w towarzystwie Kathi ostrygami z grilla na brzegu oceanu, miałem wrażenie, że się zakochałem. Jej doświadczenie, zainteresowania i kontakty w Liberii - to były konkretne fakty, nader zresztą zajmujące; natomiast jej życie prywatne otaczała zasłona tajemnicy, nie zdołałem poznać żadnych szczegółów. Ameryka zmierzała do rozpoczęcia drugiej wojny w Zatoce Perskiej. Ja tymczasem wpłatałem się w romans, urzeczony opowieściami o intrygach i zdradzie w Monrowii.

Podróżowałem częściej niż kiedykolwiek dotąd. Po spotkaniu z Jonathanem w Nowym Jorku, na początku lutego razem z Kathi poleciałem znów do Londynu. Udałem się do Chatham House, aby wygłosić ów odczyt na temat Liberii, potem zaś planowałem podróż do Brukseli i spotkanie z Nickiem. Odczyt poszedł zaskakująco dobrze, choć Kathi spotkało początkowo bardzo chłodne przyjęcie ze strony gospodarzy. Zająłem miejsce na podium obok eksperta do spraw Liberii i przez czterdzieści minut opowiadałem, kim są partyzanci z LURD,

jakie przyświecają im cele oraz w jaki sposób zamierzają je osiągnąć. Sala była pełna dziennikarzy, analityków - i tajniaków. Dwaj Amerykanie, którzy nie kwapili się do rozdawania wizytówek, dostarczyli mi jednak tajemniczych adresów mailowych oraz numerów na komórki w Wielkiej Brytanii - wraz z sugestią, żebyśmy pozostali w kontakcie. Jeden z nich pracował dla DIA (Defence Intelligence Agency, Agencji Wywiadu Obronnego), drugi dla CIA. Obaj widzieli mój film, obaj wiedzieli o Nicku. Kathi tymczasem krążyła po sali, także zbierając numery telefonów oraz rozmaite anegdoty; ja uśmiechałem się do wszystkich i próbowałem dojść, kto z zebranych darzy mnie przyjaźnią, a kto wręcz przeciwnie.

W kwestii ponownego wyjazdu do Liberii z całą pewnością mogłem liczyć jedynie na Nicka. Moje zlecenie dla Discovery zależało od tego, czy partyzanci pozbierają się i zorganizują rokującą szanse powodzenia ofensywę na Monrowię. Dla mnie osobiście ta umowa miała kolosalną rangę - była pierwszym zamówieniem na film telewizyjny złożonym z góry przez nadawcę. Jakaś część mnie lękała się fizycznych konsekwencji powrotu do Afryki, jednak perspektywa trzeciej wyprawy przepełniła dobrze już znanym podekscytowaniem. Podobał mi się również pomysł na film. Skoro Jonathan miał kręcić po tamtej stronie, za rządowymi liniami, mogłem mieć nadzieję, że uda nam się wspólnie osiągnąć to, czego nie zdołałem dokonać samodzielnie: stworzyć w miarę pełny, zrównoważony obraz prawdziwej natury tej wojny oraz jej wpływu na losy ludności cywilnej.

Nie sposób było przewidzieć, co tak naprawdę może się wydarzyć w Liberii, jednak samo zamówienie ze strony Discovery zapowiadało przełom w mojej karierze. Wiązało się z tym również ryzyko: jeśli partyzanci nie przejdą do ofensywy, to z filmu nici. Dogadanie się z Sekou Connehem graniczyło z niepodobieństwem. Moim jedynym, kluczowym źródłem informacji co do szans buntowników na powodzenie pozostawał Nick.

Umówiliśmy się w centrum Brukseli. Zasiedliśmy w knajpce o wielkich oknach i zamówiliśmy późne śniadanie. Wprost umierałem z ciekawości, co porabiał. Opowiedziałem mu o odczycie w Chatham House, potem on streścił przebieg swojej ostatniej wyprawy. Pojechał bowiem do Liberii jeszcze raz, w styczniu. Spotkaliśmy się zaś 7 marca.

- Za pierwszym razem dotarłem tylko do Kolahunu. Ogólnie porażka. Żadnych diamentów, za to mnóstwo nocnych wędrówek na piechotę. A przede wszystkim beczyność i oczekiwanie.

- Czyli nic nowego.

Przyznam, że odetchnąłem. Cała ta awantura z diamentami w Liberii stanowiła dla mnie uciążliwą przeszkodę i komplikację w kontaktach z Nickiem. Podejrzywałem jednak, że

nie powiedział mi całej prawdy. Organizacja Narodów Zjednoczonych śledziła poczynania zarówno Taylora, jak i LURD, oraz wiedziała o tym, że obie strony zajmują się szmuglem drogocennych kamieni.

Potem nastąpiły pomyślne wieści:

- Siły Sekou poczyniły znaczne postępy. Foya wciąż znajduje się w rękach rządowych, ale jest całkowicie odizolowana, jak wyspa. Partyzanci zajęli na powrót cały obszar, który utracili, kiedy tam byliśmy razem, łącznie z Tubmanburgiem. - Trzymając koniuszkami palców łyżeczkę, zakreślał nią koncentryczne kręgi w piance. - Tylko tym razem zabrali się porządnie do rzeczy. Sekou zapowiada, że zanim wyruszy na Monrowię, musi uporać się z Foyą.

- A jak z dostawami?

- Ag, no właśnie, w tym problem. Póki co mają amunicji akurat tyle, ile im trzeba, jednak zdają sobie sprawę, że nie sposób zwyciężyć, jeśli będą musieli targać wszystko na południe z Voinjamy przez tę cholerną rzekę. Poza tym droga zaopatrzenia pozostawałaby w ciągłym zagrożeniu z powodu Foi. Tak więc przede wszystkim planują zajęcie Robertsportu. Jest tam całkiem niezła przystań, co prawda w tej chwili zamulona, ale mogą do niej zawijać statki o niewielkim zanurzeniu, o ile będzie się je wyładowywać za pomocą łodzi. Dragon Master zapewnia, że dostaną od Gwinei wszystko, czego potrzebują. Jeśli uda im się przeprowadzić dostawę statkiem, to stamtąd już prosta droga do Tubmanburga, a potem do stolicy.

- A jeżeli im się nie uda?

- *Ja*, no właśnie nad tym pracujemy z Pietem. Stara się załatwić zrzut amunicji dla Taylora. W tej chwili trudno jest lądować na Robertsfeld, ponieważ ostatnio ONZ bardzo skrzętnie Taylora pilnuje. Chociaż w trakcie naszego pobytu, zeszłego lata, udało mu się przewieźć tą drogą dwieście ton wyposażenia.

- Wiesz, wydaje mi się, że zainteresowanie ze strony ONZ może mieć coś wspólnego z naszym filmem. Zapewniam cię, że nasze dzieło spowodowało znaczny wzrost presji na prezydenta.

- *Ja*, bardzo możliwe. Wiem, że nie próżnowałeś. No dobrze, czyli tym lepiej dla nas, gdyż w tej chwili można dostarczyć Taylorowi amunicję tylko w jeden sposób, mianowicie zrzucając ją z samolotu. Dzięki temu możemy się postarać, żeby piloci dostali błędne namiary i dokonali zrzutu kawałek dalej, po naszej stronie.

Niezwykle śmiały plan, a zarazem genialny w swojej prostocie. Nick zamierzał przekazać buntownikom broń kupioną przez Taylora na użytek wojsk rządowych. Pomysłowe

- lecz również bardzo niebezpieczne.

- Piet naprawdę by to zrobił?

- *Ja*, naprawdę. Musi przecież myśleć o tym, co się stanie po odejściu Taylora. Sądzę, że pragnąłby zyskać sobie nowych przyjaciół. Poza tym nic mu nie grozi. Cały teren znajduje się poza zasięgiem jakichkolwiek radarów, najbliższe działają dopiero w Ghanie.

- A co z diamentami? Naprawdę nic z tego nie wyszło?

Ciekawość jednak wzięła górę.

- Nic a nic, chłopie. Bardzo niskiej jakości, nikt nie jest zainteresowany. Właśnie wracam z Zurychu, próbowałem zdobyć trochę pieniędzy na inwestycje. Prawdę mówiąc, to fajnie było. Zabrali nas, to znaczy mnie i Henriego, mojego nowego współnika, do baru z tańczącymi dziewczynami. - Uniósł dłonie i wymownym gestem pokazał, jak wielkim biustem były obdarzone tancerki. - *Ja*, wszystko to bardzo miłe, ale diamentów nie będzie. Natomiast sprawa z helikopterem wciąż w toku.

Na chwilę znikł gdzieś ten skromny, zapracowany człowiek, którego znałem z dżungli. Nick wyraźnie cieszył się życiem, a może po prostu próbował żyć tak, jak przystało na handlarza bronią, żeby zaimponować swoim rosyjskim kontrahentom.

Skierowałem rozmowę na bliższy mi temat.

- A co z robotą w Kongu? Aktualna?

- Chyba tak. Mój znajomy snuje ambitne plany co do buntowników w Katandze. Wszystko idzie jak najlepiej. - A potem, jakby przypomniał sobie ostatnią, zapomnianą pozycję na liście zakupów w supermarkecie, dodał: - Próbuję też gdzieś dorwać kilka SAM-16. Sprawa nie jest prosta. To dobry sprzęt, z porządnym systemem naprowadzania, dużo lepszym niż w tych SAM-7, które znaleźliśmy. Mają podwójny system naprowadzania na podczerwień.

W rzeczy samej, SAM-16, czyli Igła-1E, to zupełnie co innego. Nadzwyczaj skuteczne pociski rakietowe typu ziemia-powietrze, będące w stanie zestrzelić nie tylko samolot pasażerski, lecz także nowoczesny myśliwiec.

Dobry sprzęt, powiadasz - pomyślałem. - No nieźle.

- Stary, jeśli ci to nie sprawi różnicy, wolałbym o tym nie wiedzieć. James Bond ma numer mojej komórki, a moja dziewczyna zsikałaby się w majtki, gdyby miała najmniejsze pojęcie, o czym teraz rozmawiamy. Rzecz jasna nigdy się nie dowie.

- Z pewnością tak będzie lepiej. Przecież nie chcesz jej martwić.

Na kawałku papieru napisał nazwisko i numer, przesunął kartkę w moją stronę.

- Proszę. Jeśli potrzebuje kogoś, kogo mogłaby ujechać, to ten koleś będzie w sam raz.

Kilka lat temu przerobił mnie na pewnym dylu. Zły człowiek.

- Dzięki. Nie bardzo wiem, w jaki sposób wyjaśnię, skąd to wziąłem, ale co tam...

Aha, a kiedy planujesz występy gościnne w Kongu?

- Które? Te na wschodzie czy te w Katandze?

- Jasna cholera, jeżeli tak dalej pójdzie, nieprędko zabraknie dla mnie pracy. Pytam o obie imprezy.

Dat jeszcze nie ustalono, ale obiecał, że da mi znać. Z tego, co mogłem się zorientować, kongijski kontrakt Nicka wydawał się mocno podejrzany. Całe przedsięwzięcie, ogólnie rzecz biorąc, zakrawało na jakieś bujanie w obłokach i prawdopodobnie było niewykonalne. Dawno minęły czasy, kiedy do Katangi ściągaly zastępy najemników.

Nasze cienie przesuwaly się po blacie stolika, aż uznaliśmy, że czas już na lunch. Szklance mocnego belgijskiego piwa rozweseliły mnie, poczułem się zrelaksowany. Rozmawialiśmy głównie o powrocie do Liberii i nowym filmie, który zamierzałem nakręcić. Tym razem chciałem starannie udokumentować, jak broń wędruje z Gwinei do rąk partyzantów z LURD, ale również rzetelnie zmierzyć się z zagadnieniami struktury dowodzenia organizacji oraz jej programu politycznego. Gdyby udało im się dotrzeć do samej stolicy, uważałem, że trzeba koniecznie sfilmować natarcie oraz jego konsekwencje. Conneh zapewniał, że będę jedynym dziennikarzem, którego wpuści na swoje terytorium, co oznaczało kolosalną odpowiedzialność; musiałem się tam znaleźć, żeby uwiecznić te wydarzenia.

Nick tryskał entuzjazmem. Według jego przewidywań wszystko wskazywało na to, że sprawy ułożą się pomyślnie. Nawiązał teraz ściśle kontakty z partyzantami, miał dostarczać im broń, czy przynajmniej zorganizować takie dostawy. Gdy tylko stwierdzimy, że zanosi się na natarcie w kierunku Monrowii, mamy udać się do Konakry, a stamtąd na front.

- Facet, który służył ze mną w Recces, walczył na terenie Wybrzeża Kości Słoniowej z Liberyjczykami. Na zachodzie, blisko Manu. Taylor dokonał próby inwazji, chciał załatwić ich prezydenta, Gbagbę, ale posunął się za daleko i jego wojska są chyba poważnie osłabione. Pojawiła się też inna grupa o nazwie MODEL (Movement for Democracy in Liberia, Ruch na rzecz Demokracji w Liberii), jej członkowie zostali tam przeszkoleni przez ludzi z RPA, teraz przemieszczają się w głąb Liberii.

- To znaczy, że w Liberii istnieje inne ugrupowanie partyzanckie?

Tego nie wiedziałem. A więc konflikt się nasilał.

- *Ja*, na to mi wygląda. Chyba stanowili część LURD, ale należeli do tego chrześcijańskiego plemienia, jako ono się nazywa? Krahn? Stworzyli teraz własne

ugrupowanie wyposażone w lekką broń. Gbagbo posłużył się nimi przeciw Taylorowi. Chyba ich głównym celem jest pewien port na południe od Monrowii.

Siły Taylora uległy więc rozproszeniu, być może zostały nawet okrążone. Co gorsza, prezydent miał teraz do czynienia z dwoma buntowniczymi ugrupowaniami, z których oba były wspierane przez sąsiednie kraje, odpłacające mu w ten sposób za agresywne poczynania w niedawnej przeszłości.

Po lunchu i jeszcze kilku piwach wezwałem taksówkę. Na pożegnanie życzyliśmy sobie wzajemnie wszystkiego najlepszego.

- No to do zobaczenia w Konakry - zawołałem przez okno samochodu.

- *Ja* - odpowiedział Nick. - I powodzenia z tą kobietą.

*

Moje życie stało się skomplikowaną pajęczyną kłamstw oraz niepewności. Powiernikiem, jeśli chodziło o wojnę w Liberii, był oczywiście Nick, ale angażował się w ten konflikt coraz bardziej, czynnie pomagając powstańcom w przygotowaniach do ofensywy skierowanej w stronę wybrzeża, a później na Monrowię. Tak więc przed Kathi skrywałem wszystko prócz nieistotnych szczegółów dotyczących mojej współpracy z Nickiem. Za to wobec Nicka musiałem się pilnować, żeby nie dać mu do zrozumienia, jak bardzo mi są nie na rękę jego diamentowe kombinacje; w dodatku nie miałem pojęcia, czy zdołam pogodzić fakt udzielania przez niego bezpośredniego wsparcia buntownikom z koniecznością rzetelnego opowiedzenia historii tej wojny, co uważałem za swój zawodowy i moralny obowiązek. Krótko mówiąc, czułem się, jakbym utkwiał w jakimś niedorzecznym szpiegowskim *ménage à trois*.

Kathi nagle zaczęła bardzo się interesować moimi rozmowami przez telefon, wypytywała też, dokąd idę i skąd wracam. Nie opowiedziałem jej o Micku ani o dwóch kolejnych spotkaniach z przedstawicielami wywiadu USA, którzy skontaktowali się ze mną w Londynie. Mimo całej spontaniczności, jaka była w naszym związku, jakaś część mnie instynktownie nie ufała tej kobiecie. Bo też i niczego nie mogłem być pewien. Nie miałem pojęcia, co Nick tak naprawdę knuje z Pietem oraz partyzantami, a Kathi pozostawała zaabsorbowana swoją tajemniczą działalnością - niekiedy pogrążała się w niej bez reszty. Nie było więc nikogo, na kim mógłbym całkowicie polegać - poza jedynym wyjątkiem, czyli jak zawsze moim dziadkiem, Donem. Telefonicznie i podczas krótkich wizyt w jego domku w Kencie zwierzałem mu się ze swoich planów i razem z mamą namawiałem go, żeby wybrał się do lekarza z tym swoim kaszlem.

Wyjazd do Liberii wciąż się odwlekał. Zadzwoiłem do Micka z Foreign Office. Spotkaliśmy się w pewnym bistro przy Saint Martin's Passage - cichej alejce w samym sercu

kipiącego ruchem, turystycznego Londynu. Zarządzający, mój dobry przyjaciel, zarezerwował dla nas stół na uboczu, tuż przy oknie. Tam czułem się swobodnie i bezpiecznie.

- Posłuchaj, Mick - zacząłem, kiedy kelner zabrał menu - doszła mnie wieść, że rząd brytyjski uważa mnie za najemnika. Ponoć miałem przewozić broń przez liberyjską granicę.

Mówiąc to, odczuwałem dziwną mieszaninę emocji: lęku, podniecenia i dręczącej niepewności.

- Powiedziałbym, że bez wątpienia pojawiło się takie wrażenie. Tak.

Spoglądał na mnie szarymi oczami bez wyrazu. W życiu nie spotkałem kogoś bardziej niepozornego, niewyróżniającego się z tłumu.

Jasna cholera - pomyślałem. - Kathi miała rację. Rany, jak się do tego zabrać?

- To jakaś kpina - stwierdziłem. - Owszem, towarzyszył mi zawodowy żołnierz, co, jak doskonale wiesz, stanowi dość powszechną praktykę. Dziennikarze z BBC wynajmują regularnie byłych żołnierzy SAS w charakterze obstawy. W przemyśle filmowym to typowe postępowanie. On wystarał się o broń już na miejscu, przy czym nie użył jej ani razu.

Przypomniała mi się potyczka, podczas której kule z karabinu maszynowego siekły wysoką trawę. Mick rozłożył serwetkę, upił łyk wody.

- Jak ci zapewne wiadomo, nawiązałem dość bliskie stosunki z Amerykanami, których żywo zainteresowało, co robię. Natomiast zupełnie nie rozumiem, dlaczego nikt inny się tym nie zaciekał. Wszystkie te bzdury o moich rzekomo nielegalnych działaniach to szkodliwe pomówienie i życzyłbym sobie, żeby położono temu kres. Nie jestem żadnym najemnikiem, tylko dziennikarzem.

Nie odzywał się.

- Wykonuję swoją pracę, nic więcej - dodałem.

- Jak wspomniałem - odparł tym samym monotonnym głosem, uważnie dobierając słowa - pojawiło się takie wrażenie. Uważam jednak, że fakt, iż poproszono cię o wygłoszenie odczytu w Chatham House, należy uznać za sygnał, że zostałeś przywrócony do łask, bo tak właśnie się stało.

Nie wierzyłem własnym uszom. Przywrócony do łask? O co tutaj chodzi? To jakiś romans dworski czy tani thriller?

- Jak sądzę, możesz z tego wnioskować, że wszystko zostało ci wybaczone. Propozycja wygłoszenia takiego wykładu oznacza... rehabilitację.

- Rozumiem. Domyślałem się, że zawierał pewne cenne informacje. Spodziewam się, że niektórzy są takowymi żywo zainteresowani.

- Tak - podsumował. - Do tego się rzecz sprowadza.

Nie sposób było lubić Micka albo go nie lubić - jego osobowość pozostawała dla mnie nieuchwytna, a sens tekstów wygłaszanych przez tego faceta także mi umykał. Jednak, o ile dobrze rozumiałem, jeśli w przeszłości pojawiły się jakieś problemy, to teraz przestały być aktualne - co przyjąłem z ulgą, bo wiedziałem, że po powrocie do Liberii, gdy wpakuję się w kłopoty, pomoc ze strony Foreign Office może mi się bardzo przydać.

Dopiliśmy, uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Będę się odzywał - zapowiedziałem. - Wkrótce mogę mieć dla was coś bardzo ciekawego.

Zaczynałem się naprawdę dobrze bawić, poznając ten język niedomówień. Tak jakbym uczestniczył w jakiejś fascynującej grze, której reguł nikt nie zna.

Wciąż planowałem kolejną wyprawę do Afryki, a tymczasem wojska amerykańskie wraz z sojusznikami dokonały inwazji na Irak. Reportaż wojenny, swego czasu rzadki przysmak, którym można było się delektować jedynie w nocnych wiadomościach, stał się daniem głównym, emitowanym bezustannie przez telewizyjne programy informacyjne, a przedstawiciele dziennikarskiej profesji wyłazili ze skóry, żeby uzyskać jak najlepsze miejsca u boku wojsk wyruszających na wojnę i sfilmować krwawe postępy okupacji. Ja tymczasem skupiłem całą uwagę na małym, zatęchłym zakątku położonym w sercu zachodnioafrykańskiej dżungli. Planowanie następnej podróży do Liberii zajęło mnie bez reszty. Pakowałem i rozpakowywałem kamery, spędzałem godziny, wpatrując się w mapy i wczytując się w nieliczne doniesienia autorstwa innych dziennikarzy. Im bardziej spektakularny stawał się najazd na Irak, tym bardziej poświęcałem swoje siły dążeniu, by powrócić do Liberii. Jeśli buntownicy zaatakowałyby Monrowię, to musiałbym się postarać, żeby film okazał się mocny, oryginalny, żeby przebił się przez medialny szum i zgiełk towarzyszący wszechobecnej operacji „Wolność dla Iraku”.

Tymczasem Sekou Conneh nabrał zwyczaju dzwonienia do mnie ze swojego telefonu satelitarnego, robił to często i o najbardziej niespodziewanych porach. Informował mnie o rozwoju wydarzeń na wojnie oraz o tym, na jakim etapie są kolejne dostawy broni dla buntowników. Pewnego dnia, usiłując przekrzyczeć szum w telefonie, przeprosiłem przyjaciół, u których byłem z wizytą, i wyszedłem na korytarz.

- To ile w końcu amunicji potrzebujesz? - ryknąłem do słuchawki; pamiętam, że jednocześnie odruchowo poprawiłem obraz, który wisiał krzywo w białym, rozjaśnionym świetle korytarzu.

Sekou z jakichś powodów nie zdołał uzyskać połączenia z Nickiem, dlatego mnie

zaczął tłumaczyć, czego mu trzeba, by mógł rozpocząć natarcie.

- Jay, mamy duże potrzeby. Pięćset kilo plastiku i więcej bomb. Nie mamy dość amunicji, żeby teraz przejść do ataku - oznajmił.

- Ale do kałasznikowa czy do PKM? - chciałem się upewnić.

I tak krzyczeliśmy przez dzielące nas tysiące kilometrów oraz kiepskie połączenie telefoniczne. Jego dziwaczna intonacja unosiła się i opadała.

- A ilu karabinów maszynowych potrzebujesz? - wrzasnąłem; w następnej chwili młoda dziewczyna ubrana w zdumiewająco krótką spódniczkę pojawiła się w korytarzu i wręczyła mi moją szklaneczkę pełną wina.

Rozmowa trwała jeszcze dobrych kilka minut. Wróciłem do stołu; powitało mnie wymowne milczenie zgromadzonych gości. Jeden z nich zaśmiał się, kiedy usiadłem, i spytał:

- Ty tę wojnę filmujesz czy prowadzisz?

12. Rewolucja będzie w telewizji

Rok po tym, jak pierwszy raz pojawiłem się w Konakry, wmaszerowałem do budynku przylotów osławionego portu lotniczego, zbrojny w zamówienie od Discovery Times Channel na pełnometrażowy film dokumentalny poświęcony zbliżającej się bitwie o Monrowię. Tym razem towarzyszył mi fotoreporter, Tim Hetherington.

Tim, starszy ode mnie o dwa lata, chlubił się przynależnością do „stajni” Network, wiodącej londyńskiej agencji fotograficznej. Gdy skontaktował się ze mną po raz pierwszy i spytał, czy moglibyśmy pracować razem, odrzuciłem jego propozycję; jednak kiedy stało się dla mnie jasne, na jak ambitne przedsięwzięcie się porwałem, zrozumiałem też, że jego pomoc może okazać się cenna. Co prawda nigdy dotąd nie znalazł się w ogniu walki, ale tak się przypadkiem złożyło, że w roku 1999 otrzymał zlecenie na zdjęcia z Liberii, a potem sporo pracował w Sierra Leone i innych krajach Afryki Zachodniej. Jego fotografie wzruszały mnie intymnością, różniły się od jakichkolwiek przywiezionych z tego regionu zdjęć, które miałem okazję widzieć. Droga Tima do fotografii była równie niezwykła jak moja przygoda z telewizją. Ukończył studia na Oxfordzie, udało mu się zgromadzić dość pieniędzy, by odbyć podróż do Indii. Dwa lata później wrócił do Londynu, wpadł mu w ręce aparat fotograficzny, po czym doznał olśnienia. Zawodu uczył się w szkole wieczorowej; podjął pracę dla „The Big Issue”, a następnie dla „The Independent”. Nieobciążony kamerą wideo miał pomagać mi podczas kręcenia na tyłach partyzanckich linii. Tymczasem Jonathan Stack odpowiadał za część filmu mającą powstać w Monrowii pod rządami prezydenta Taylora. Tim po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z produkcją telewizyjną.

Nick czekał na nas w asyście czerwonych beretów z gwardii prezydenckiej. Powitał nas uśmiechem.

- Nick, to jest Tim, o którym ci opowiadałem. Tim, przedstawiam ci Nicka.

Obaj panowie uścisnęli sobie dłonie, mierząc się jednocześnie wzrokiem.

- Miło cię poznać. Sporo o tobie słyszałem. Wygląda na to, że cieszysz się tu sporym poważaniem.

Tim mówił pewnym głosem, ale widziałem, jak strzela oczami na boki, rejestrując szczegóły scenerii, takie jak udręczeni pasażerowie, aroganckie, pełne wyższości uśmieшки żołnierzy. Zdążył już poznać niejedno afrykańskie lotnisko, dlatego rozglądał się, oczekując kłopotów.

- *Ja*, cóż, jest coraz łatwiej. Jedźmy teraz prosto do hotelu, tam sobie pogadamy. Jak tam lot?

- Z przygodami - odparł Tim. - Lecieliśmy przez Nawakszut i wygląda na to, że jedna z moich toreb została tam na dłużej.

- Niezły początek. Mam wrażenie, że wkrótce dojdzie tam do przewrotu. W armii panuje niezadowolenie - rzucił mimochodem Nick, podczas gdy prezydenci żołnierze odebrali nam paszporty, aby je ostemplować.

Skąd on może wiedzieć takie rzeczy? - zastanowiłem się.

- Więc, *ja*, mogło być gorzej - mówił dalej. - Mogłeś zostać w Mauretanii razem ze swoją torbą!

Po krótkiej przejażdżce znaną mi już trasą na przedmieścia Tim i ja rozgościliśmy się w nieco odrapanej bezpiecznej przystani, jaką zapewniał hotel Petit Bateau. Nick urządził się inaczej, nocował w siedzibie przewodniczącego LURD. Zasiedliśmy na tarasie do późnego śniadania, Nick pokrótce przedstawił nam sytuację.

Bojownicy LURD - świeżo zaopatrzeni w amunicję pochodzącą z Gwinei, mogą liczyć na wsparcie ze strony nowego ugrupowania partyzanckiego noszącego nazwę MODEL, które walczyło z Taylorem na południowym wschodzie - byli gotowi, by zadać reżimowi decydujący cios. Przynajmniej taką żywiliśmy nadzieję.

- Zdobyli już Robertsport, mają go pod kontrolą, a przewodniczący utrzymuje, że uporali się też z Foyą. Ag, wiadomo. Pewnie jeszcze niezupełnie, ale z tamtej strony już nie ma zagrożenia.

Rebelianci, którzy w październiku uprzedniego roku o mało nie zostali pokonani na swoim rdzennym terytorium w regionie Lofa, teraz opanowali część kraju większą niż kiedykolwiek.

- Dopiero co otrzymali dostawę trzystu tysięcy naboju do kałasznikowa, wkrótce powinna pojawić się kolejna, z pociskami do RPG i zapalnikami. - Spojrzał na Tima, wyjaśnił: - Bez RPG w ogóle nie chcą walczyć. Wkurzające.

Wszystko wskazywało na to, że prezydent Gwinei, Lansana Conté, postanowił wreszcie zapewnić buntownikom niezbędne dostawy, bez których nie mogli uporać się z zaczętą robotą. Oznaczało to, że nie zajdzie konieczność dokonywania nielegalnego zrzutu amunicji.

- Panie B., jak przedstawia się sytuacja z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi? Czy nadal nam pomagają, czy jak to z nimi jest?

Nick zerknął na mnie, zastanawiając się pewnie, czy wtajemniczyłem Tima.

- Tim zna sprawę - oznajmiłem. - Jutro rano spotykam się z ich człowiekiem. Ale mam wrażenie, że film zanadto się Frankowi nie przysłużył. O ile wiem, sporo ludzi w Waszyngtonie go oglądało. Wspieranie kanibali jakby nie wchodziło w grę. W zasadzie misja Franka wzięła w łeb. Odnoszę wrażenie, iż powiedziano im, żeby się wycofali.

- A jak tam Conté? - zainteresował się Tim. - Czy Jankesi nadal go popierają?

Pozycja gwinejskiego prezydenta pozostawała tajemnicza jak zawsze, chociaż w Waszyngtonie dokonano pewnych politycznych posunięć zmierzających do ograniczenia jego regionalnych aspiracji.

- Kathi mówi, że ambasador USA w Gwinei wystosował do Contégo ostro sformułowaną notę dyplomatyczną, żądając, by zaprzestał udzielania wsparcia partyzantom. Twierdzi, że widziała to pismo albo jego kopię. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby to miało cokolwiek zmienić.

Nick zgodził się ze mną.

- Conté nienawidzi Taylora. Zrobi wszystko, żeby go udupić - ocenił rzeczowo.

Tim kiwał głową, składając w całość wszystko, czego się dowiedział. Nick jak zwykle gryzmolił w notesie. Pojawiły się kawa i croissanty. Tim zamówił jajka sadzone. Nick i ja również. Wszyscy trzej zgłodnieliśmy jak wilki. Słońce uniosło się wyżej na niebie, jego żar łagodziła tylko silna bryza od Atlantyku.

- Kiedy wyruszymy? - spytał Tim.

- Chyba już niedługo, mam nadzieję, że w ciągu tygodnia. Za parę dni Sekou powinien was poinformować. Mówi, że na razie musi uporać się z jakimiś wewnętrznymi sporami w LURD.

Nick także chciał jak najszybciej wejść do akcji oraz przekonać się, jak naprawdę wygląda sytuacja. Kiedy obszar w okolicy mostu Lofa zostanie opanowany, jego diamentowe przedsięwzięcie stanie się wykonalne, przynajmniej teoretycznie.

- Okej, doskonale, tydzień to w sam raz - uznał Tim z wyraźną ulgą. - Potrzebuję trochę czasu, żeby przyjść do siebie. Mam problem z zatokami. Myślę, że to przez suche powietrze w samolocie i ten pył, ale za parę dni wszystko będzie w porządku.

Tej nocy - pierwszej nocy od dłuższego czasu - spałem naprawdę dobrze.

Miałem do pomocy Tima, więc filmowanie nie wydawało mi się już tak przytłaczającym przedsięwzięciem, a skoro Nick występował w roli ochotnika, nie zaś mojego podwładnego, to nie musiałem przejmować się, iż w jakiś sposób firmuję jego biznesy z partyzantami. W gruncie rzeczy niepokoiło mnie tylko, jak sami buntownicy odniosą się do mnie teraz, kiedy film *A Journey Without Maps* został wyemitowany. Nie

ukazałem w nim szczególnie pochlebnego wizerunku ich ugrupowania. Pewien były dowódca LURD, który przeniósł się do Waszyngtonu, żeby lobbować na rzecz ruchu przy rządzie Stanów Zjednoczonych, wygłosił z lekka tylko zawołowane pogroźki z racji kłamstw według niego zawartych w filmie. W pierwszej chwili zlekceważyłem to jako bełkot szaleńca, ale przecież nie miałem pojęcia, kto i co może mnie spotkać po drugiej stronie granicy.

Następnego dnia Tim się nie pojawił. Zapalenie zatok przykuło go do łóżka. Zatem tylko my dwaj z Nickiem zasiedliśmy na tarasie, przy naszym ulubionym stoliku, popijając kolejne *grandes bières pressionnées* po zachód słońca. Dzień był duszny, niosący dotąd ulgę wiatr od morza ustał, więc pociliśmy się na potęgę, wciąż rozprawiając o wojnie. Tymczasem rozpoczął się przypływ. Małe mewy o szarych łebkach uwijały się w pośpiechu, by zdążyć wydziobać z błotnistej dna morza jak najwięcej przysmaków, nim uczta zniknie pod powierzchnią wody. Zanosilo się na kolejny zwyczajny, wlokący się w nieskończoność dzień wyczekiwania i knucia, jakich wiele spędziliśmy razem w ciągu minionych dwunastu miesięcy. A potem Nick uniósł kufel i poprowadził rozmowę w zgoła nieoczekiwanym, bardzo niepokojącym kierunku.

- Nie uwierzy pan, panie Brabazon, co ostatnio kombinuję.

- No nie, co znowu? - spytałem, widząc szelmowski wyraz, jaki nagle przybrała jego twarz. - Już nie chodzi o skoki z samolotu na terenie Konga?

- Nie, chłopie. To zupełnie inna misja. Wygląda na to, że wplątałem się w zmianę reżimu.

Zmiana reżimu? To dziwne, pomyślałem. Przecież tego określenia używała amerykańska propaganda, mówiąc o obaleniu Saddama Husajna, a jakoś trudno mi było sobie wyobrazić, żeby Nickowi przypadł do gustu Irak.

Nie chodziło jednak o Irak. Mój towarzysz, uśmiechnięty od ucha do ucha, wyjaśnił, że pewien „partner w interesach” skontaktował się z nim, by zaproponować robotę, na jaką jeszcze nikt w tym pokoleniu się nie poważzył.

- Zaproszono mnie do udziału w obaleniu rządu.

- Poważnie? - Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

- *Ja*, na to wygląda.

- Gdzie? - spytałem.

Czyżby tutaj, w Konakry? - przemknęło mi przez myśl.

- Całkiem niedaleko stąd, podążając wzdłuż wybrzeża - wyjaśnił, ruchem głowy wskazując wzbierający ocean.

- O, Jezu - mruknąłem.

Najwyraźniej mówił poważnie. Uśmiech znikł. Jak powiedział, istnieje pewien mały kraj, posiadający bogate złoża ropy, „całkiem niedaleko stąd”, a strzeże go armia nieliczna oraz nieudolna. Poproszono go, by dokonał oceny wykonalności obalenia tamtejszego rządu w drodze zamachu stanu poprowadzonego przez najemników.

- Gwinea Bissau? - przerwałem mu.

- Nie - odparł. - Nie w tę stronę.

Jakbyśmy bawili się w dwadzieścia pytań. W zasadzie mniej niż dwadzieścia, bo pozostawały tylko Wyspy Świętego Tomasza i Gwinea Równikowa.

Nick nagle stał się dyskretny.

- Jeszcze nie mogę ci powiedzieć. Najpierw trzeba poustawiać kilka spraw.

Pociągnął spory łyk piwa i zerknął na mnie przez stół. Poczulem się nieswojo.

- Sekou nam pomoże. Obiecał broń i zgodził się, żebyśmy dobrali sobie trochę spośród jego ludzi.

Sekou miał w zamian otrzymać wynagrodzenie, gotówką oraz pod postacią sprzętu - przede wszystkim chodziło o helikopter.

Nick co prawda nie wyjawiał, jaki kraj został wzięty na celownik, ale zaczął wchodzić w szczegóły wykluwającego się planu. Operacja miała się odbyć z morza. Oddział rebeliantów, przeszkolonych i dowodzonych przez Nicka, miał zostać zasilony niewielką grupą najemników z Republiki Południowej Afryki, a następnie wyruszyć albo z Gwinei, albo z samej Liberii - o ile partyzanci zdołają utrzymać Robertsport. Potem najemnicy mieli przesiąść się do mniejszych łodzi, a następnie dokonać nocnego desantu na „wyspę”, przeprowadzając klasyczną operację zdobywania przyczółków na wybrzeżu.

- Spadniemy na nich jak grom z jasnego nieba. Naszych ludzi wyposażymy w broń ręczną i kilka karabinów maszynowych PKM. Afrykanerzy, kiedy znajdziemy się już odpowiednio blisko, otworzą ogień zaporowy z sześćdziesięciomilimetrowych moździerzy. Sekou ma je otrzymać w następnej dostawie. A potem ruszymy naprzód. Ag, wszystko to dosyć proste. Akcja podobna do tych, które przeprowadzałem w wojsku.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Plan sprawiał wrażenie przepisu na krwawą jatkę.

- Jakiego rodzaju opór spodziewacie się napotkać? Czy mają helikoptery, artylerię?

- Nie, chłopie. Jak wszędzie w tym regionie - stwierdził, omiatając wzrokiem ciemniejące wybrzeże - nie dysponują potencjałem wojskowym, który by pozwolił na zorganizowanie stosownej obrony. Ich armia prawdopodobnie opiera się na bardzo niskich standardach; no i *lekker*, bo inaczej byłoby ciężko.

Wyjaśnił mi, że obecny prezydent, ponoć psychotyczny kanibal, którego tajna policja notorycznie dopuszczała się straszliwych pogwałceń praw człowieka, nie chce w odpowiednim zakresie współpracować z międzynarodowym przemysłem naftowym. Kiedy zostanie usunięty, na jego miejscu posadzi się głównego rywala przebywającego obecnie na wygnaniu. Zysk z operacji wyrazi się w lukratywnych kontraktach na wydobycie ropy dla spiskowców, natomiast Nick zajmie się nie tylko wyszkoleniem armii nowego prezydenta, lecz także dostawami broni dla niej. Z tego, co pamiętałem, choć nie było tego wiele. Wyspy Świętego Tomasza niezbyt tu pasowały, natomiast wszystkie wymienione kryteria spełniała wysepka Bioko, mikroskopijna prowincja Gwinei Równikowej, pod którą znajdują się trzecie co do wielkości subsaharyjskie złoża ropy. Nie odzywałem się jednak.

- *Fok*, James, tam kryje się niewiarygodne bogactwo. I może trudno w to uwierzyć, ale kraj jest tak mały, że można go całkowicie zmienić. Właśnie tego ci ludzie chcą dokonać. Facet, z którym to robię, mówi, że zamierza zrobić z tego kraju „afrykańską Szwajcarię”.

Siedziałem w milczeniu, przetrawiając te informacje, przynajmniej próbując przetrwać. Zamach stanu? Trudno mi było pozbierać myśli. Zastanawiałem się, czy ciąży na mnie moralny, a nawet prawny obowiązek, by kogoś o tym powiadomić. Projekt opisywany przez Nicka oznaczał złamanie prawa co najmniej czterech krajów. Jego realizacja mogła zostać uznana nawet za zbrodnię wojenną na skalę międzynarodową. Zapaliłem papierosa. Wtedy uświadomiłem sobie z całą jasnością: nigdy i nikomu nie będę mógł o tym opowiedzieć. Przenigdy. Gdybym tylko otworzył gębę i rozgłosił sprawę, Nick wylądowałby w areszcie. Wypuściłem chmurę szarobłękitnego dymu; zawisła w gęstym wieczornym powietrzu. Tak, problem miał wymiar moralny i prawny, ale także aspekt zawodowy. Gdybym zdołał ujawnić taki spisek, byłaby z tego istna bomba, medialny hit. Nie mogłem jednak nic zrobić, żeby wykorzystać uzyskaną wiadomość, ponieważ musiałbym zdradzić w tym celu przyjaciela.

No i zupełnie się nie spodziewałem, jaką propozycję wysunie Nick:

- Możesz to wszystko sfilmować.

- Słucham? Miałbym to sfilmować?

- *Ja*. - Chyba nie sprawiałem wrażenia przekonanego. - Byłby z tego film jak jasna cholera. Możesz popłynąć statkiem, z pierwszym rzutem. Taki film zrobiłby furorę. Dla ciebie świetna rzecz, miałbyś wyłączność.

Wciąż nie łąpałem, o co chodzi. Dlaczego Nick życzył sobie, żeby ktokolwiek sfilmował zamach stanu? Wyjaśnił: jeśli nowa władza i wracający z wygnania prezydent mają pozyskać międzynarodowe uznanie, to cała operacja musi wyglądać jak bohaterskie

powstanie wzniecone przez miejscową ludność.

- I na tym polega twoja rola - oznajmił z uśmiechem, po czym wyłożył swój plan.

Oprócz bojowników wywodzących się z partyzantki LURD, dowodzonych przez garstkę białych najemników, Nick zamierzał zwerbować też czarnoskórych żołnierzy z południowej Afryki, mówiących po portugalsku oraz hiszpańsku. Część z nich służyła z Nickiem w Recces, ale wielu z tych, których planował wcielić do swojego oddziału, miało za sobą 32. Batalion „Buffalo”. Przezywani przez przeciwników „The Terrible Ones” stanowili też swego czasu większość sił bojowych na usługach Executive Outcomes.

Według słów Nicka moje zadanie miałoby polegać na sfilmowaniu przybycia nowego „prezydenta” oraz na przedstawieniu go jako przywódcy powstańczej armii złożonej z obywateli kraju, a nie marionetkowego władcy przywiezionego przez dawnych członków jednostki sił specjalnych z czasów apartheidu. Gdy tylko walki ustaną, odbędzie się uroczyste powitanie na lotnisku, a potem parada zwycięstwa; w kamerze nie pokaże się ani jedna biała twarz. Te zdjęcia, jako jedyny dostępny materiał telewizyjny, obiegają media na całym świecie, dzięki czemu nowy reżim zyska cenny czas oraz wiarygodność, by przejąć w spokoju państwowe instytucje, unikając przy tym - w miarę możliwości - wtrącania się sąsiednich krajów. W zamian otrzymałbym wyłączny dostęp, pozwalający mi na sfilmowanie „wszystkich aspektów” przewrotu od wewnątrz w celu stworzenia własnego dokumentu, który jednak będę mógł opublikować dopiero wtedy, gdy Nick oraz jego kumple zostaną opłaceni przez nowego prezydenta i otrzymają paszporty dyplomatyczne. Krótko mówiąc, nie tyle proponował mi zadanie dziennikarskie, ile chciał mnie dokooptować jako konspiratora, uczynić ze mnie propagandzistę, Leni Riefenstahl swojego *coup d'Etat*.

- To musi wyglądać jak w stu procentach lokalna robota. Co o tym sądzisz? Nazywam to moją „afrykańską przygodą” - dodał żartobliwym tonem.

Znów zaciągnąłem się papierosem, spoglądaliśmy na siebie nad stolikiem. Żądał ode mnie niemałej przysługi - i zarazem oferował mi niebywałą zawodową szansę. Spędziwszy w moim towarzystwie sporo czasu, nauczył się o mnie oraz o mojej profesji co najmniej tyle samo co ja o nim i o jego zawodzie. Pojął, że reporter wojenny jest takim samym oportunistą jak najemnik. Wojna była potrzebna mnie, potrzebna była i Nickowi. Ja chroniłem nas obu za pomocą kamery jako atrybutu dążenia do prawdy; Nick chronił nas za pomocą AK-47.

Przedstawił mi propozycję wyreżyserowania filmu o jego prywatnej wojnie. Żaden dziennikarz pozostający przy zdrowych zmysłach z takiej możliwości by nie skorzystał.

Milczałem. Mimo upału, ociekającego potu i podniecenia towarzyszącego wyprawie na wojnę zdawałem sobie sprawę, że to, co powiem za kilka sekund, może wiązać się z

poważnymi konsekwencjami - dla mojej przyszłości i dla naszej przyjaźni.

Z jednej strony, przecież nie mogłem się zgodzić. Chodziło o przedsięwzięcie nielegalne, związane z przelewem krwi, będą ginąć niewinni ludzie. Udział w przewrocie, nawet jeśli będę uzbrojony tylko w kamerę, będzie oznaczać krew także na moich rękach.

Tworzenie filmu propagandowego to pomysł nie z tej ziemi: kompletnie niemoralny, w dodatku to zguba dla mojej z trudem pozyskanej wiarygodności. Od rzezi, której świadkiem byłem w Liberii, moją mantrą stało się „mówić prawdę”. Gdybym teraz miał stać się kłamcą, groziło mi to zrujnowaniem reputacji zawodowej i osobistej.

Z drugiej strony, stanąłem wobec możliwości sfilmowania czegoś, co może okazać się kluczowym wydarzeniem dekady na kontynencie afrykańskim, bo przecież taki przewrót wpłynie na życie wielu tysięcy ludzi. Jeśli nie powstanie wiarygodna dokumentacja, to być może nikt nigdy nie pozna prawdziwej historii. Tyle że opowiedzenie jej z całą pewnością narazi Nicka na kłopoty.

W głębi duszy bardzo chciałem znaleźć jakiś powód, żeby się zgodzić. Otrzymałem propozycję zbyt niezwykłą, żeby można było z niej po prostu lekkomyślnie zrezygnować. Istniał tylko jeden możliwy kompromis: jeśli udokumentowanie prawdy stanowi wartość nadrzędną, tak cenną, że rozgrzeszy mnie z tymczasowego wsparcia, jakiego udzielię zamachowcom, odgrywając rolę ich propagandyzisty... Ha, wówczas mogę na tę funkcję na razie przystać.

Jednak zawodowy kompromis to za mało. Potrzebowałem również moralnego usprawiedliwienia. W tym celu posłużyłem się jednym z argumentów Nicka: skoro prezydent jest zbrodniarzem, a usunięcie go pomoże ulżyć doli uciśnionych obywateli, wtedy przynajmniej na tym poziomie przewrót zyska uzasadnienie. Co zdarzy się potem i kto ostatecznie będzie dyktować warunki, tak czy inaczej pozostanie wielką niewiadomą.

Należało też wziąć pod uwagę jeszcze jeden nader istotny czynnik: prawdopodobieństwo, iż operacja w ogóle dojdzie do skutku, było nikłe. Wyglądało to na kosztowne przedsięwzięcie, więc szanse, że Nick rzeczywiście zdoła je sfinansować, wydawały mi się znikome. Ta myśl podniosła mnie na duchu, jakbym odgrodził się od tego, co miałem powiedzieć. Otwarłem usta, żeby się odezwać.

Pomyślałem o moim irlandzkim dziadku. Lubił stawiać wszystko na jedną kartę...

- Okej - zgodziłem się. - Wchodzę w to.

Chyba zwariowałem.

- A, to świetnie, bo zapowiada się akcja na większą skalę.

Nadeszły kolejne piwa. Wypiłem spory łyk, kiedy Nick wznosił toast za powodzenie

planu. W moim umyśle zaczął się tworzyć obraz pełen fantastycznych szczegółów: ściszone głosy, chłopot fal uderzających o burtę łodzi, kiedy zbliżamy się do brzegu; chrzęst dna o piasek, kiedy lądujemy na plaży; smugowe pociski świszczące nad naszymi głowami, gdy rozpoczyna się szturm. Pozostawał jeszcze jeden kłopot: ów wymagany D-Day rozgrywał się nocą, co niemal uniemożliwiało filmowanie.

- Nie ma sposobu, żeby tę operację przeprowadzić o świcie? - zastanawiałem się na głos, niczym jakiś zwariowany hollywoodzki reżyser. Po tyłu piwach o północy w barze hotelu Petit Bateau wszystko wydawało się możliwe.

*

Próby położenia kresu liberyjskiej wojnie w drodze negocjacji nabrały tempa, choć prawdopodobieństwo ich powodzenia zdawało się niewielkie. Dwa dni po tym, jak Nick wystrzelił ze swoją propozycją, Tim i ja wybraliśmy się wczesnym rankiem na lotnisko w Konakry, aby sfilmować delegację partyzantów LURD na rozmowy pokojowe, które miały się odbyć w Ghanie, w mieście Akra. Poczekalnia dla VIP-ów w hali odlotów wypełniła się „politykami”, jak nazywał ich Sekou Conneh. Nie znałem ich, a oni nie zachwycili się na mój widok. *A Journey Without Maps* zraził wielu sympatyków LURD. Nie byli to jednak bojownicy, a przynajmniej jeśli kiedyś się do takowych zaliczali, dawno już zamienili broń na garnitury i pokrętne frazesy.

Mówili o zgodzie narodowej oraz o dialogu, a także o pokonywaniu „wewnętrznych trudności”. Nick ostrzegł nas po drodze, że Conneh dopiero co musiał zmierzyć się z poważną próbą odsunięcia go od władzy ze strony owych wymownych negocjatorów; jednak dopóki to on dowodził siłami zbrojnymi na terytorium kraju, niewiele, albo i nic, nie mogli zdziałać, żeby pozbawić go wpływów. Pierwotny plan Conneha, przygotowany wiele miesięcy wcześniej, a polegający na tym, by stać się osobą powszechnie i publicznie kojarzoną jako przywódca powstania, właśnie wydawał owoce; dzięki telewizji przewodniczący zyskał odpowiednią pozycję wobec świata oraz w szczególności wobec swoich bojowników.

Kiedy wyszedłem, wciąż filmując, na płytę lotniska, gdzie przedstawiciele LURD mający reprezentować organizację podczas rozmów pokojowych wsiadali do ghańskiego samolotu wojskowego, jeden z negocjatorów zaczął krzyczeć na mnie, domagając się, żebym przestał go kręcić.

- Kto ci dał pozwolenie, co? - wrzeszczał. - Kto wyraził zgodę, żebyś mnie nagrywał? Za kogo ty się, do cholery, uważasz? - protestował, zasłaniając twarz notesem.

- Wszystko w porządku - odparłem. - Sekou wyraził zgodę. Jestem tutaj na jego zaproszenie.

Niezrażony kręciłem dalej.

- A kim jest Sekou? - odkrzyknął tamten. - Kim jest Sekou? Nikim!

Okazało się, że Sekou Conneh to człowiek zdolny rozpętać piekło. Tego dnia, podczas wizyty Charlesa Taylora w Ghanie, Sąd Specjalny Sierra Leone ogłosił wobec prezydenta akt oskarżenia, zarzucając mu zbrodnie wojenne, w tym morderstwa, gwałty, zmuszanie do usług seksualnych, wcielanie dzieci do wojska oraz zaprowadzenie terroru wśród ludności cywilnej - wszystko to podczas wojny domowej w Sierra Leone, kiedy wspierał RUF. Sąd wystosował oficjalne wezwanie do rządu Ghany, aby zatrzymał dyktatora. Rzecz jasna do zatrzymania nie doszło. Conneh cały ten dzień przesiedział przy radiu. Gdyby aresztowano Taylora, oznaczałoby to koniec wojny.

Tim i ja filmowaliśmy, kiedy BBC World Service relacjonował te wydarzenia. Taylor wracał do kraju. Conneh obrócił tę wiadomość na swoją korzyść. LURD nie było już zbieraniną rebeliantów próbujących obalić demokratycznie wybraną głowę państwa, buntownicy stali się bojownikami o wolność walczącymi ze zbrodniarzem wojennym.

- Teraz Taylor wróci do kraju i wojna będzie trwać. Zdobędziemy to miasto - oświadczył uroczyście Conneh, a potem powtórzył, jakby chciał przekonać siebie samego: - Możemy zapewnić obywateli, że zdobędziemy to miasto.

Spoglądał to na jednego, to na drugiego z nas, chyba oczekując, że przyznamy mu rację. Zajęliśmy się skrzętnie kamerą.

- Dysponujemy potencjałem wojskowym, ale nastąpiło opóźnienie, ponieważ obawialiśmy się rozlewu krwi i pragnęliśmy chronić ludność cywilną - oświadczył nieszczercze. - Teraz jednak nie mamy innego wyjścia, jak tylko zdobyć stolicę.

- A więc kiedy to się zacznie? - spytałem. - To znaczy, kiedy zacznie się szturm na Monrowię i czy jego ekscelencja będzie czekać...

Conneh przerwał mi w pół zdania. Wyciągnął ręce w stronę kamery.

- Bitwa rozpocznie się jeszcze dziś. Zaraz wydam rozkaz.

Tim i ja odetchnęliśmy głęboko, choć dyskretnie, z ulgą. Rząd Ghany nie tylko ocalił skórę Taylorowi, ale także przysłużył się nam. Gdyby prezydenta aresztowano, najprawdopodobniej nie pozostałoby nam nic innego, jak wsiąść w samolot i wrócić. Bez Taylora nie było wojny; bez wojny - nie mogło być mowy o filmie. Tym razem nikt już nie domagał się łapówki. Conneh chciał, żebyśmy jak najprędzej znaleźli się na froncie. Nick i ja uśmiechaliśmy się do siebie nad rozłożoną mapą, rozważając, jak dotrzeć do Liberii. Z różnych przyczyn, ale wszyscy potrzebowaliśmy tej wojny.

O dziewiątej wieczorem, przy pełni księżyca, wsiadłem do łódki kołyszącej się na

rozległych wodach rzeki Mano. Jej właściciel, stary rybak, zanurzył pięknie rzeźbione wiosło w fale bijące o brzeg. Tim i Nick czekali, ukryci pod drzewami.

- Do zobaczenia po drugiej stronie - szepnąłem.

- *Ja*, powodzenia.

Dłubanka pomknęła ku środkowi rzeki. Leśna gęstwina odpłynęła nagle, kiedy dziób łodzi skierował się na otwartą wodę. Noc była piękna. Najpierw poleciliśmy z Konakry do Freetown, a potem dwaj sympatycy partyzantów podwieźli nas potajemnie na wschód. Teraz wreszcie opuszczałem Sierra Leone, kierując się w stronę Liberii. Nie miałem pojęcia, kogo spotkamy na drugim brzegu ani czy ten ktoś polubi autora filmu, który ukazywał, jak rebelianci łamią prawa człowieka. Nie poprawiło to nam nastroju. Nick miał słuszość, mówiąc, że kto wie, czy nas nie rozstrzelają. Bądź co bądź „wypadki” chodzą po ludziach. Gorzej, bo nasi przewodnicy nie przepawali się z nami na drugą stronę i nie mieliśmy wcale gwarancji, że przeciwległy brzeg znajduje się pod kontrolą powstańców. Biorąc pod uwagę, jak szybko zmieniała się sytuacja na tej wojnie, było całkiem prawdopodobne, że zostaniemy dostarczeni prosto w ręce żołnierzy Taylora.

Rybak i ja wylądowaliśmy dwieście metrów dalej w dół biegu rzeki. Z ciemności wyłoniła się wyciągnięta ręka, aby pomóc mi wsiąść z łodzi.

- Witaj w Liberii - rzekła ręka. - Jesteśmy z „Lor”. Wszystko pod kontrolą.

Kiedy moje oczy przywykły do mroku panującego pod drzewami, dostrzegłem, że otacza mnie kilkunastu młodych bojowników, uśmiechniętych, uzbrojonych w kałasznikowy. Uścisnąłem dłoń każdemu, także szczerząc się od ucha do ucha. Nieoczekiwanie pomyślałem, że świetnie znaleźć się tu z powrotem.

Piętnaście minut później Nick oraz Tim dołączyli do mnie na brzegu, a wówczas otwarły się niebiosa. Nawet pod drzewami wrażenie było takie, jakbyśmy stanęli pod wodospadem.

- Jezu Chryste! - syknął Tim. - To jakiś obłąd.

- Tak, ale mimo to jest okej. Ci goście są w porządku. Teraz będziemy szli przez parę godzin do ich bazy, która znajduje się gdzieś tam, w pewnej wiosce - oznajmiłem, starając się, by mój głos brzmiał rażno i zachęcająco.

Wszyscy trzej wpatrywaliśmy się w na pozór nieprzeniknioną gęstwinę.

- Świetnie. - Tim zaśmiał się z przekąsem. - Przynajmniej dobrze, że nie pada. Tego by tylko brakowało.

- Owszem - zgodziłem się z nim, po czym zarzuciłem na ramię ciężką torbę z kamerą.

- Mogło być gorzej. Mogłoby się okazać, że idziemy na wojnę.

A potem za naszymi plecami odezwało się owo suche, afrykanerskie zaciąganie:

- *Fok!* Przestańcie zrzędzić, szkoda czasu.

Ruszyliśmy więc w drogę, przedzierając się przez dżunglę ku wojnie, chłostani strugami znamiennie gwałtownej tropikalnej ulewy.

Po południu następnego dnia Tim, Nick i ja stanęliśmy na tarasie tego samego domu w Tubmanburgu, w którym zakwaterowano nas poprzednim razem. Powodowany absurdalnym poczuciem, jakbym był tu gospodarzem, oprowadziłem Tima po rezydencji. Nasza dawna sypialnia została teraz przekształcona w rodzaj przedsionka prowadzącego do spiżarni czy też składziku, gdzie mieliśmy spać. Pomieszczenie znajdowało się na końcu korytarza, który skręcał na tyły domostwa. Najwyraźniej wszystkie meble zostały zrabowane przez wycofujące się wojska rządowe, więc czekał nas jedynie materac rzucony na podłogę.

- A tu - oznajmiłem - łazienka!

- O, więc nie żartowałeś!

Tim nie wiedział, czy ma się śmiać, czy pogrzyść w rozpacz. Biały porcelanowy sedes pod wpływem jakiegoś potężnego uderzenia pękł, niczym rozbita czaszka.

- O ile wiem, możemy chodzić do kibla na dół, do kwater żon. Nawiasem mówiąc, będą prały nasze ciuchy i będą dla nas gotować. Akurat pod tym względem nic się nie zmieniło. Przypomnij mi potem, żebym zostawił im trochę forsy, bo chyba nikt inny im nie płaci. Naprawdę, wszystko układa się pomyślnie.

Przeszliśmy z powrotem na taras. Nick stał pod drzewkiem owocowym i rozmawiał przez telefon satelitarny. Wróciłem do miasta duchów. W którąkolwiek stronę spojrzałem, wychylając się za balustradę, w pamięci pojawiały się obrazy potyczek i mordów, które rozegrały się w Tubmanburgu podczas mojej pierwszej podróży.

- Po tej historii czeka Nicka pewna większa robota - powiedziałem, próbując powstrzymać napływ wspomnień. - Może stanowić bezpośredni ciąg dalszy obecnej. Chodzi o operację z użyciem najemników, wygląda na to, że będzie mnóstwo strzelaniny. Jakie masz plany na następne kilka miesięcy?

Odkąd Nick zwerbował mnie do swojej „afrykańskiej przygody”, okropnie korciło mnie, żeby powiadomić Tima, na co się zanosi. Częściowo dlatego, że chciałem podzielić się z kimś ciężącym mi sekretem, ale też dlatego, że plany Nicka mogły wpłynąć na nasze działania w Liberii. Chciałem więc oszczędzić Timowi jakichś niemiłych niespodzianek, choć jednocześnie nie mogłem mu zdradzić całej prawdy.

- Brzmi nieźle. Też jakaś partyzantka?

- Niezupełnie. W tej chwili nie mogę wchodzić w szczegóły, a raczej Nick nie może.

Impreza jest całkowicie nielegalna, ale jeśli on się na to zdecyduje, znajdziemy się w dobrych rękach. Ufam mu.

Nick skończył rozmowę i wszedł po schodkach na taras. Popatrzył mi prosto w oczy i odkaszlnął.

- Amunicja przybyła do Robertsport. Muszę tam pojechać i spotkać się z nowym szefem sztabu, którym został Cobra. To jutro. A potem z powrotem do Konakry. Mam tam spotkanie, po nim muszę wrócić do RPA. Zupełnie nie w porę. Przykro mi.

- Cholera, naprawdę? Nie możesz jakoś się wykręcić?

Tim i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Nie, chłopie, nie da się. Niestety. Muszę jechać. Będę nadzorował przekazanie następnej dostawy. Dam ci znać, co mają. - Uniósł dłoń, w której trzymał telefon. - Porozmawiamy, kiedy się tam znajdę. Mnie także to nie na rękę. Mówię ci, chłopie, *kak*.

Złość, która zrazu mnie ogarnęła, szybko przeszła. Nie wątpiłem, że potrafimy z Timem zadbać o siebie. Poza tym informacje o stanie uzbrojenia buntowników mogą zrekompensować cios, jakim było porzucenie nas przez Nicka.

- Cóż - zwróciłem się do Tima - przygoda zapowiada się emocjonująco. Obawiam się, że jesteś na mnie skazany.

- Nie martw się - rzekł Tim, spoglądając na Nicka. - Dopilnuję, żeby nic mu się nie stało.

Jak na zawołanie po schodkach wkroczył Dragon Master, któremu towarzyszyło kilku innych zbrojnych dowódców.

- Jay, człowieku! - zawołał. - Miło cię widzieć. Jak się miewasz?

Podszedłem do niego, padliśmy sobie w ramiona.

- W porządku, u mnie wszystko w porządku. Cieszę się, że cię widzę, chłopie. Świetnie wyglądasz.

Dragon Master jak zawsze był ubrany w schludny mundur, na głowie miał jaskrawoczerwony beret. Nie skłamałem, naprawdę ucieszyłem się na jego widok. Był to jeden z bystrzejszych i z pewnością jeden z najbardziej ludzkich dowódców LURD; skoro utraciliśmy towarzystwo Nicka, mieliśmy szczęście, znalazłszy się u jego boku, pośród jego ludzi.

Ocierając pot z twarzy, Dragon Master poinformował nas o ostatnich starciach z armią Taylora. Kiedy my zmierzaliśmy do Liberii przez Sierra Leone, grupa powstańców z LURD przypuściła szturm na przedmieścia Monrowii. Walki trwały przez cały dzień i całą noc.

- Część naszych ludzi zaatakowała Klay Junction. Przebili się, chłopcy Taylora

zwiewali aż do Monrowii. Nasze siły ścigały ich aż na drugi brzeg Po.

- Aż do Monrowii? I co dalej? - spytałem.

- Skończyła im się amunicja i wrócili.

Nick rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Skończyła im się amunicja? - powtórzyłem. - Jak to, nic już nie zostało?

- Tak, zgadza się.

Niewiarygodne. Setka młodych ludzi zdołała wystrzelać w ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin ponad trzysta tysięcy sztuk amunicji, całkowicie na próżno. Teraz kolejny transport dostarczony statkiem, którym Nick zamierzał zabrać się z powrotem, stał się już nie tylko przydatny partyzantom, lecz także absolutnie niezbędny do ich przetrwania, w przeciwnym razie pozostaliby bezbronni. Dragon Master również zdawał sobie z tego sprawę.

- Spróbujemy powstrzymać Taylora i uzgodnić w Akrze zawieszenie broni.

Nagle Dragon Master jakby się zawstydyził i zerknął na mnie.

- Mógłbym użyć twojego telefonu? Na koncie mojego już nic nie ma. Muszę porozmawiać z Lady w Konakry.

Aicha, małżonka Sekou, nadal zajmowała się współpracą wojskową z Gwineą.

- Proszę, zadzwoń z mojego. - Nick podał mu swój telefon satelitarny, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Siedzieliśmy i nasłuchiwalismy sporadycznych wystrzałów, które rozlegały się w różnych częściach miasta. Dragon Master wyruszył na obchód pozycji obronnych.

- Więc wygląda na to, że będziemy czekać dłużej, niż planowaliśmy? - zauważył Tim.

- *Ja*, a jeśli chodzi o czekanie, to James i ja czegoś się w Liberii na ten temat nauczyliśmy. Pamiętaj, że rebelianci nie przejdą do porządnego natarcia, dopóki nie dostaną w swoje ręce całego mnóstwa pocisków do RPG, więc dopóki nie nadpłynie statek, nie ruszą się stąd. Jeśli zostaną zaatakowani, to prawdopodobnie są w stanie przez jakiś czas stawiać opór ludziom Taylora, ale zanim dojdzie do okrążenia, postarajcie się stąd wydostać - tą samą drogą, którą przybyliśmy. Bo na piechotę do Gwinei stąd fokban daleko.

Nagle poczułem się mniej pewnie na myśl, że mam zostać bez Nicka. Wiedziałem aż nazbyt dobrze, jak łatwo jest otoczyć miasto i jak potem trudno będzie się z niego wydostać. Brak amunicji oznaczał także, iż nasz film stanął pod dużym znakiem zapytania. Jeśli partyzanci nie zdołają dokonać niczego więcej prócz utrzymania swojej pozycji w Tubmanburgu, ludzie z Discovery będą bardzo zawiedzeni. Sprzedałem im przecież bitwę o Monrowię, a nie powtórkę z mojej pierwszej podróży.

Rankiem pełniący obowiązki szefa sztabu Cobra, którego poznałem w Bopolu w roku

2002, zgodził się udzielić wywiadu. Spod swojej oliwkowozielonej furazerki oznajmił na tarasie naszej siedziby, że Taylor „musi odejść”.

- Wyraziliście zgodę na zawieszenie broni - przypomniałem mu, choć obaj wiedzieliśmy doskonale, że to tylko wybieg taktyczny. - Jak sądzisz, długo ono potrwa?

- Dałem im siedemdziesiąt dwie godziny, to ostrzeżenie. Nie będziemy dłużej czekać, bo cierpi na tym ludność cywilna - powiadomił mnie Cobra groźnym tonem, jakby liczył na to, że ośmielę się zaprzeczyć. - Jeśli Taylor nie ustąpi albo nie zawrzemy ugody korzystnej dla narodu liberyjskiego, przejdziemy do działania.

On oraz Conneh prowadzili wojnę na terenie kraju. Tym samym negocjatorzy w Akrze pełnili funkcję zaledwie pionków w ich grze: bez poparcia partyzantów walczących w Tubmanburgu staliby się całkowicie bezsilni.

- Mam dość ludzi, żeby zdobyć Monrowię - mówił dalej Cobra. - Wystarczająco wielu. I dysponuję potencjałem wojskowym, żeby opanować to miasto.

- Siedemdziesiąt dwie godziny od tej chwili? - upewniłem się.

- Od teraz, czyli od dziś - potwierdził.

Kiedy zakończyłem wywiad, pojawił się Nick, żeby się z nami pożegnać. Za cały bagaż miał małą torbę zawieszoną na ramieniu, był ubrany jak cywil. Obiecał, że wróci, gdy tylko zdoła, swój wielki plecak zostawił w naszym pokoju.

- Chodzi o tę drugą robotę? - spytałem szeptem, gdy szliśmy do samochodów.

- Tak. Dam ci znać, jak się sprawy mają.

Nasza rozmowa przy barze w Konakry mi się nie przyśniła. Szybko wymieniliśmy spojrzenia, po czym ruszyliśmy dalej w kierunku samochodu. Mnóstwo pytań cisnęło mi się na usta. Kto inwestuje środki w tę operację, kto tak naprawdę zarobi na niej wielkie pieniądze? Bo przecież na ochronę ze strony tych właśnie ludzi, bardziej niż ze strony Nicka, będę musiał liczyć, jeśli wszystko pójdzie nie tak. Wiedziałem jednak, że na odpowiedzi jest jeszcze zbyt wcześnie.

- Trzymaj się. Miło było cię spotkać. - Tim uścisnął jego dłoń.

- Uważaj na siebie, stary. Głowę trzymaj nisko - dodałem, kiedy przyszła na mnie kolej.

- *Ja* - odpowiedział. - Bywaj zdrów.

Kierowca Cobry odpalił silnik półciężarówki, Nick oraz generał wsiedli do szoferki. Odjechali w chmurze czarnych spalin z diesla i szybko straciliśmy ich z oczu.

- Chodź - odezwałem się do Tima. - Pokażę ci miasto.

Snuliśmy się po Tubmanburgu, witałem się z bojownikami, których znałem, i

zawierałem nowe znajomości. Wszelkie przejawy normalnego życia znikły. Miasto stało się wyłącznie garnizonem, niczym więcej. Kilkuset partyzantów zajmowało zrujnowane domostwa. Zbieraliśmy razem owoce mango i awokado z drzew rosnących opodal miejsca, gdzie sfilmowałem, jak bojownicy zaszlachtowali pojmanego żołnierza. Wtedy opowiedziałem Timowi o tej jatce.

- Sądzisz, że to się powtórzy, jeśli dojdą do Monrowii? Mówię o egzekucjach - zapytał Tim, spoglądając na dawne miejsce kaźni.

- Owszem, tak myślę. Będzie dokładnie tak samo.

- A jeśli chodzi o nas, uważasz, że nic nam nie zagraża z ich strony?

Sam sobie zadawałem to pytanie. Tylko jeden z dowódców w mieście wyraził niezadowolenie z powodu filmu. Dałbym głowę, że żaden z nich go tak naprawdę nie widział, choć zapewne znali jego treść. Nie przychodziło mi do głowy inne wytłumaczenie faktu, że jak dotąd nikt nie próbował mnie zabić.

- Żaden z nich nie ma mi za złe filmu, bo żaden z nich nie uważa, że nakręciłem, jak robią coś zdrożnego - wyjaśniłem Timowi. - Po prostu tak się postępuje z jeńcami. Tyle że kiedyś przyjdzie taki dzień, że będę musiał przeciw nim zeznawać. Czuję to przez skórę. Mam wrażenie, że oni sobie z tego nie zdają sprawy.

- A gdyby do tego doszło, będziesz zeznawać?

- Tak, pewnie tak. Chociaż nie wiem, co więcej mógłbym sądowi powiedzieć. Wszystko zawarłem w swoim filmie. Poważnie, chyba nie miałbym nic do dodania. Poza tym Deku nie żyje, nie zapominaj o tym. Tymczasem to on był odpowiedzialny za większość z tego, co tu się zdarzyło.

- A zeznawałbyś przeciwko Nickowi?

I tę kwestię całkiem niedawno rozważałem, zwłaszcza że pojawiły się okoliczności, które mogłyby do tego doprowadzić. Nie potrafiłem na to pytanie odpowiedzieć tak z miejsca. Poza tym nie wiedziałem, jak w rzeczywistości wyglądał przebieg kariery Nicka w siłach specjalnych.

- Gdyby kogoś zamordował... wtedy tak. Tak, zeznawałbym. Cholera, to by było trudne, ale tak. Tylko że nie wiem za bardzo, co tutaj jest morderstwem ani jak wygląda współudział w zbrodni. Inaczej mówiąc, wszyscy tu stąpamy po cienkim lodzie.

Szliśmy, dźwigając owoce. Zerknąłem z ukosa na Tima. Być może właśnie rozważał, na jakie kompromisy już się niepostrzeżenie zdecydował i jakie jeszcze trudne decyzje czekały go na tej wojnie.

- Przynajmniej ja znajduję się w takiej sytuacji - mówiłem dalej. - Amerykanie,

Brytyjczycy - wszyscy tkwią w tym po uszy. ONZ mogłaby zakończyć tę wojnę w jeden dzień, lecz tego nikt nie chce. Czy to znaczy, że oni, że ich dowódcy są współwinni morderstwa? Nick to porządny facet. Jest najemnikiem, ale przynajmniej nie pozuje na kogoś innego. Jest szczery, a tego nie mogliby powiedzieć o sobie inni uczestnicy tych zdarzeń.

Wyładowaliśmy zdobyczą w naszej kwaterze, po czym zabraliśmy się do pakowania lekkiego, polowego bagażu na czekającą nas wędrówkę. Postanowiliśmy zabrać tylko jeden niewielki, czarny plecak jako nasze wyposażenie podręczne, a w nim, owinięte warstwami wodoodpornego plastiku, świeże taśmy i taśmy już nagrane, zapasowe baterie, ładowarki, latarkę, telefon satelitarny oraz małą apteczkę. Zdołałem jeszcze do niego wcisnąć dwie torebki płynu dożylnego na wypadek, gdyby któryś z nas potrzebował poważniejszej interwencji. Każdy z nas miał też nieprzemakalną torbę brezentową na sprzęt fotograficzny, by chronić ekwipunek przed ulewnymi deszczami, oraz po butelce z wbudowanym filtrem oczyszczającym, przytroczonej do paska. Resztę rzeczy umieściliśmy w kieszeniach. Musiało tego starczyć na dziesięć dni, na więcej i tak by się nie dało.

Tego wieczoru siedzieliśmy na tarasie i próbowaliśmy sobie wyobrazić, co też może nas czekać, a partyzanci odwiedzali nas od czasu do czasu, pokazując rozmaite fanty zdobyte na przedmieściach stolicy. Może na przykład chcielibyśmy kupić telefon satelitarny? A kalkulator? Może zepsutą kamerę wideo? Odsyłaliśmy ich z kwitkiem, rozdając na pociechę amerykańskie papierosy. Ostatni tamtego dnia, młodzieniec ogolony na łyso z kałasznikowem przewieszonym na sznurku przez ramię, przyniósł nowiuteńkie urządzenie elektryczne, które gwizdnął kilka dni wcześniej z czyjegoś domu.

- Co to jest? - dopytywał się, bardzo podekscytowany, ponieważ sądził, iż udało mu się zgarnąć coś wyjątkowo cennego.

- Lokówka - poinformował go Tim. - To jest lokówka.

Młodziak wybałuszył oczy.

- Przyrząd do kręcenia włosów, dla kobiet - dodał Tim, a potem, żeby poprawić mu nastrój: - Proszę, poczęstuj się marlboro. I niech ci się lepiej poszczęści następnym razem.

Młody człowiek znikł w ciemnościach, jeszcze przez chwilę widzieliśmy żar papierosa pośród mroku.

Ta noc nie upłynęła spokojnie. Spoczywałem w połowie na materacu, w połowie na betonowej podłodze, wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Tim zapadł w sen, zwinięty w śpiworze obok mnie. Leżałem w ubraniu pod moskitierą i nie mogłem zasnąć. Wsłuchiwałem się w odgłosy wystrzałów odbijające się echem, próbowałem określić, z której strony dochodzą, z jakiej odległości. Po południu tego dnia siły rządowe przypuściły atak na

wioskę Bar, około szesnastu kilometrów od Tubmanburga. To oznaczało, że pozycje powstańców wcale nie są pewne i bezpieczne. A w pokoju obok ktoś umierał.

Ciche jęki z czasem przerodziły się w głośne, powtarzające się krzyki, zagłuszające nawet serie z kałasznikowa dobiegające z zewnątrz. Byłem zmęczony podróżą, wilgotnym zaduchem, niepokoiłem się z powodu wyjazdu Nicka, więc wrzaski rozlegające się nocą nie tyle mnie przerażały, ile drażniły.

Kiedy już nie mogłem wytrzymać, wstałem, otarłem pot z powiek, czując w ustach słony smak. Odnalazłem drzwi na korytarzu, otwór w czarnej ścianie lśniący nikłym blaskiem: wewnątrz paliła się migocząca lampka, w której płonął olej palmowy. Na podłodze spoczywał skulony kilkunastoletni chłopak. Zwijał się z bólu, bełkotał coś bez ładu i składu. Był chudy jak szkielet, a z jego wilgotnego ubrania rozchodził się intensywny, przyprawiający o mdłości smród uryny. Czuwał nad nim jeden z bojowników, milczący i nieruchomy. Przyklęknąłem.

- Co mu się stało?

- Nazywa się Rocket - odpowiedział cicho mężczyzna. - Myślę, że z tego nie wyjdzie.

Dowiedziałem się, że Rocket brał udział w pierwszym ataku partyzantów na Monrowię dwa dni wcześniej - w tym natarciu, które nie doprowadziło do niczego poza rabunkiem, a potem bezładnym odwrotem. Miał zaledwie szesnaście lat i pełnił funkcję radiooperatora, więc nie nosił broni. Podczas szturm Rocket został postrzelony w głowę przez żołnierza liberyjskich sił rządowych. Kula trafiła go w czaszkę dwa lub trzy centymetry nad lewym okiem, ważąca osiem gramów bryła ołowiu pokrytego miedzią przeszła jego mózg z prędkością ponad sześciuset metrów na sekundę, a następnie wyrwała w tyle głowy otwór o powierzchni pudełka od zapalek.

Przykucnąłem w smrodzie dobywającym się z jego ciała, powstrzymując odruch wymiotny. Wyraźnie widziałem ranę na czole. Ktoś zaszył ją niezdarnie. Rana wylotowa znajdowała się pod spodem. Przewróciłem go na bok. Zobaczyłem opatrunek z waty przymocowany plastrem. Krzyki tego dzieciaka sprawiły, że wydał mi się niemal pozbawiony ludzkich cech. Tim przykucnął obok mnie, jego także mdliło. Jak w półśnie zacząłem grzebać w mojej apteczce.

- Co o tym sądzisz? - spytał Tim, spoglądając na mnie w drżącym świetle lampki.

- Nie wiem - odpowiedziałem.

Kusi mnie, żeby położyć kres jego cierpieniu - pomyślałem. Trzymałem w ręce małą, szklaną ampulkę syntetycznej morfiny zawierającą dawkę, która mogła zagwarantować mu ukojenie na długie godziny. W torbie miałem wystarczająco dużo leku, by przynieść mu ulgę

na zawsze.

Rocket kurczowo wpijał się palcami w podłogę, wyjął z bólu; przycisnąłem kciukiem szyjkę kruchej ampułki. Najbliższy szpital, w którym mogliby się nim zaopiekować, był odległy od nas o setki kilometrów, znajdował się za frontem i za granicą kraju. Nie było żadnej nadziei.

Prawdopodobnie nie dożyje do rana - pomyślałem. Przecież nie pozwoliłbym, żeby pies zdychał w takich męczarniach.

Choć zaczynałem już tracić moralne rozeznanie, kiedy wyczułem pod palcami słaby puls Rocketa, wreszcie głos mojego sumienia odezwał się wyraźnie. Tu i tak jest zbyt wielu zabójców. Stop. Nie ma żadnej różnicy między podaniem dziecku śmiertelnej dawki morfiny a obcięciem głowy jeńcowi. Wyobraziłem sobie, że w ręce trzymam nie morfinę, lecz bagniet - i schowałem ampułkę z powrotem do torby. Razem z Timem pomogliśmy Rocketowi przełknąć całą masę tabletek. Niemał natychmiast przestał krzyżeć i wkrótce usnął. Cierpienie nabrało znów ludzkiego, niezwięzłego wymiaru; widziałem przed sobą chłopca, któremu kula uszkodziła mózg, leżącego bezwładnie na mokrym prześcieradle.

Jeszcze długo potem nie mogłem usnąć. Im bardziej moje życie zawodowe wiązało się z postacią Nicka, przed tym trudniejszymi wyborami stawałem. Obawiałem się więc, że zatracam poczucie higieny moralnej, zamiast jasno opowiadać się po słusznej stronie, zawieram sam ze sobą kompromisy. Poważnie brałem pod uwagę możliwość zabicia dziecka. Zgodziłem się sfilmować zamach stanu. Kiedy za pierwszym razem uciekłem z Liberii, nie potrafiłem rozpoznać twarzy w lustrze jako swojej. Gdy teraz spoglądałem wstecz, zrozumiałem, że to był dopiero początek.

Przypomniała mi się wcześniejsza rozmowa z Timem o morderstwie. Kiedyś powiedziałem sobie, że podczas wojny nie ma miejsca na relatywizm moralny, ponieważ byłby to pierwszy krok na drodze do ludobójstwa. Teraz już nie byłem pewien, czy to prawda. Być może w tej sytuacji słuszne postępowanie sprowadzało się do tego, co trzeba było robić, aby przeżyć. Czy kiedy Deku zastrzelił jeńca, naprawdę dopuścił się morderstwa, czy po prostu dał wyraz instynktowi przetrwania wobec przemożnej, wszechobecnej obsceniczności wojny?

Pomyślałem też o rozmowie z Nickiem w Konakry. Obawiałem się, że zgoda, by wsiąść na łódź desantową z Nickiem i innymi najemnikami, oznaczała przekroczenie pewnej granicy. W rzeczywistości jednak przekroczyłem ją już wtedy, gdy zasugerowałem partyzantom, żeby urządzili zasadzkę na szturmujących żołnierzy; kiedy zgodziłem się na żądanie Amerykanów, by nie wyjawiać powiązań LURD z gwinejską armią, kiedy

uczestniczyłem w rozmowie o zestrzeleniu helikoptera. Już wówczas stałem się współlnikiem.

Gdy pierwszy brzask rozjaśnił niebo za oknem, wreszcie zdołałem spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedy powiedziałem „tak” w rozmowie z Nickiem, nie chodziło mi o to, żeby opowiedzieć nieopowiedzianą historię i dopuścić do głosu ludzi, którym głos odebrano. Moja decyzja przynajmniej w pewnej mierze była powodowana innymi, mniej szlachetnymi przesłankami. Pierwszy film, który stworzyłem, zaszokował widzów i w końcu spotkał się z ich uznaniem. Jednak gdyby nie doszło do szturmów na Monrowię, po prostu nie wiedziałbym, co robić dalej. Nick zaproponował mi ciąg dalszy. Film tak nowatorski, śmiały i drastyczny, jak tylko mogłem sobie wyobrazić. I to właśnie dlatego się zgodziłem.

13. Twardziele nie umierają

W poniedziałek 23 czerwca 2003 roku Cobra zgromadził bojowników LURD w Tubmanburgu na dziedzińcu spalonej stacji benzynowej, aby wygłosić do nich ostatnie przemówienie przed bitwą. Zawieszenie broni wygasło. Powstańcy, świeżo wyposażeni w broń z Gwinei, byli gotowi do ofensywy. Około czterystu mężczyzn, kobiet i dzieci przemoczonych deszczem i uginających się pod granatnikami, dźwigających kałasznikowy i bandolierę wypełnione lśniącoymi, mosiężnymi nabojami, miało wyruszyć pod dowództwem Cobry. Tim filmował z jednej strony, ja z drugiej.

- Naród liberyjski nie jest waszym wrogiem - przypomniał generał swoim ludziom. - Wasz jedyny nieprzyjaciel to Taylor.

Przyniesiono wiadro wody, wokół którego wszyscy się skupili. Zabrzmiwały odmawiane po arabsku wersety Koranu, a potem skandowane po angielsku *Ojciec Nasz*. Powtarzałem bezgłośnie: „i wybaw nas ode złego”, kręcąc jednocześnie zbliżenia twarzy dzieci wyruszających w bój. Po ostatnim „amen” cała ciżba zaczęła tłoczyć się do wiadra, by zanurzać dłonie w święconej wodzie i przyskać nią wokół, jak w ekstazie. Przed naszymi oczami rozgrywała się istic surrealistyczna scena. Jeden z mężczyzn biegał dookoła, ubrany w zieloną sukienkę, a na głowie miał wielką, bujną perukę; inny, pokrzykując dziko, podążał za nim, mając na sobie tylko obcisłe, czerwone majtki. Pot ściekał z jego czoła, potrząsał ręką, w której dzierżył naładowanego kałasznikowa.

- Nadałem tej operacji kryptonim „Motyl” - oznajmił Cobra. - Drugi etap, kiedy zaatakujemy budynek rządowy, będzie się nazywać „Sieć”.

Swą straż przyboczną Cobra nazwał oddziałem „Dzikich Gęsi”, natomiast siły, które przybyły do nas z Robertsport, otrzymały nieco mniej romantyczne miano „Brygady Talibów”.

- Wie pan - odezwałem się, starannie dobierając słowa - jeśli zależy wam na wsparciu ze strony USA, to może nie być najlepsza nazwa.

Spojrzał na mnie jak na idiotę. Nim powrócił do swych ludzi, wytłumaczył litościwie, że ta nazwa znaczy po prostu, iż są dzielnymi wojownikami. Każdy to wie.

- Taylor ucieknie - zapewnił. - Ucieknie, albo zostanie aresztowany... - A potem dodał po chwili namysłu: - Albo zabity.

Tim i ja wróciliśmy do pokoju, żeby się spakować - i czekać. Dragon Master wyruszył

przodem poprzedniego dnia, zabierając ze sobą dwustu ludzi. Plan polegał na tym, by utworzyć przyczółek po drugiej stronie mostu na rzece Po w pobliżu Monrowii; siły Cobry miały nadejść później i przebić się do miasta.

Minęło czterdzieści osiem godzin, podczas których nie wydarzyło się nic. Cobra znikł gdzieś bez śladu. Wyjaśniłem Timowi, że to typowa obsuwa w ich stylu. Zrobiło mi się głupio; jak mogłem kiedykolwiek uwierzyć, że powstańcy dotrą do stolicy. Oddział Dragon Mastera został już zapewne rozbity w puch. Właśnie zapaliłem papierosa i zastanawiałem się, co dalej robić, kiedy po schodach wbiegł na taras jeden z młodszych dowódców, z kałasznikowem przyciśniętym do piersi. Przywitał nas i oznajmił:

- Wyruszamy. Wszyscy, z całego miasta. Chcecie iść z nami?

Tim już był na nogach, wychylał się przez balustradę tarasu, usiłując coś zobaczyć.

- Jak to, teraz?

- Tak. Teraz, teraz, teraz, chłopie! Idziemy dorwać Taylora!

- Co? - zdumiałem się. - Wyruszamy na Monrowię? Właśnie teraz? Gdzie jest Cobra?

- Już wyruszył. Biegiem, jeżeli chcecie zdążyć!

Następnie odwrócił się na pięcie i ruszył truchtem w stronę miasta.

- Masz wszystko?

Mimo zaskoczenia byliśmy gotowi. Kieszenie mojej kamizelki fotograficznej wypychałem akcesoriami niezbędnymi do filmowania w marszu. Chwyciłem kamerę... Zajrzałem jeszcze przez drzwi do sąsiedniego pokoju. Rocket leżał na brudnym materacu, jęczał i od czasu do czasu słuchał po francusku wiadomości z radia nastawionego na cały regulator. Jakoś trzymał się życia. Powodzenia - pomyślałem, po czym ruszyłem za Timem w miasto, biegiem - zdążyliśmy akurat na czas, by ujrzeć, jak Cobra podąża główną ulicą, kierując się na południe.

Opuściliśmy niegdyś prosperujące i słynące ze swoich kopalń miasto Tubmanburg, położone pięćdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od Monrowii. Wędrowaliśmy pod piekącymi promieniami słońca, od których nasza skóra pokrywała się pęcherzami; a potem pośród siekących strug deszczu, tak bezlitosnych, że niemal zwały z nóg. Połacie porośnięte drzewami i trawą, dżungla nisko- i wysokopienna oraz mokradła wraz z wyspami zrujnowanych zabudowań pokaleczonych przez niemal trzynaście lat wojny - oto widoki, jakie mijaliśmy po obu stronach, podążając jakimś cudem nietkniętą szosą wiodącą partyzantów ku stolicy, być może na śmierć. Obaj szliśmy przodem, razem z Cobrą, a za nami około trzystu mężczyzn, dzieci i kobiet: awangarda liczącej trzy tysiące bojowników partyzanckiej armii LURD, która teraz sprawowała kontrolę nad dwoma trzecimi obszaru

Liberii. Wędrowaliśmy bez przerwy przez dziesięć godzin.

Byliśmy osłabieni z powodu odwodnienia oraz braku soli (jej niewielkie dostępne ilości służyły jako waluta, nie do gotowania); doznawaliśmy skurczów w palących od wysiłku mięśniach nóg. Przeżuwaliliśmy tabletki valium o smaku kredy, aby rozluźnić mięśnie. Rozmawialiśmy tylko wtedy, kiedy było to absolutnie niezbędne. Prędko ogarnęło nas zmęczenie, ale na przemian wybiegaliśmy przed oddział i kręciliśmy panoramiczne ujęcia podążających naprzód powstańców albo nagrywaliśmy krótkie offy, prosząc bojowników, by wygłosili parę słów do mikrofonu. Przez ostatnie kilka godzin maszerowaliśmy w ciemnościach czarnych jak atrament, zdając się na asfalt, który prowadził nas do celu.

- Stać! Kto idzie?

- Kurwa, co jest? - spytał szeptem Tim, gdy wyciągnąłem rękę, żeby go zatrzymać.

W mroku przed nami rozległ się czyjś głos. Ktoś skradał się w krzakach, niewidoczny, dał się słyszeć złowrogi szczęk odbezpieczanej broni.

- Cholera!

Rebelianci idący za nami też natychmiast stanęli jak wryci. Zawróciliśmy wszyscy i ruszyliśmy biegiem, by zaraz paść na ziemię na poboczu. Tylko żeby nie zaczęli strzelać - modliłem się. Przecież rozszarpią nas na strzępy. A potem pojawił się Cobra, błysnął latarką. Gasnący strumień światła był jednak dość mocny, by wyłonić z mroku żelazne podpory mostu oraz lśniące lufy broni partyzantów pełniących przy nim wartę. Rozległy się ściszone powitania; Tim i ja rozprostowaliśmy się, odetchnęliśmy głośno.

- Chyba wreszcie doszliśmy - stwierdził Tim i zapalił swoją latarkę. W jego głosie pobrzmiwało coś więcej niż tylko nutka niedowierzania. - Jak tam twoje kolana?

- Raczej kiepsko. Obwiązałem je naprawdę mocno, ale ten ostatni bieg dał mi w kość.

- Byłem tak wykończony, że z trudem kleciłem zdania. - Chyba naprawdę dojdzie do szturm na Monrowię. Mocna rzecz.

Staliśmy obaj i uśmiechaliśmy się głupio. Potem przeszliśmy przez most. Po drugiej stronie wznosiła się strażnica, której strzegł ciężki karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Tim, oficerowie i ja weszliśmy do środka.

- Tutaj dziś nocujemy - oznajmił Cobra. - Jutro: Monrowia.

Nie mieliśmy nic do jedzenia, obeszło się bez jakichkolwiek ceremonii ze strony rebeliantów. Nie pozostawało nic innego jak iść spać.

Zbudziłem się o pierwszym brzasku. Podmuch wiatru bryzgnął deszczem do środka przez strzelnicę i przywołał mnie na powrót do rzeczywistości. Atmosfera panująca w niskim, betonowym budynku była wprost namacalna - cuchnący miazmat stęchłego potu, nieświeżych

oddechów, pierdnieć i śmierdzących stóp. Zdrętwiała mi noga; okazało się, że przez sen przełożyłem ją nad Timem i stopa ugrzęzła między nim a śpiącym Cobrą. Zaczynał się dzień największej próby w karierze czterdziestotrzyletniego generała-majora. Uwolniłem się ostrożnie i wykuśtykałem na zewnątrz.

Znajdowaliśmy się po wschodniej stronie rzeki Po; trzystu bojowników kucalo, leżało, kuliło się, a niektórzy drzemali na stojąco między drzewami i otaczającymi nas budynkami. Upiłem porządny łyk wody z butelki przytroczonej do paska, zapaliłem papierosa. Jak mówiłem, nie mieliśmy nic do jedzenia. Komendanci zaczęli wyłazić jeden po drugim z bunkra, Tim również się pojawił. Wiatr ustał; nad szosą zwiślał tuman mgły niczym gęsty, mokry koc, który tłumiał odgłosy armii przygotowującej się do wymarszu.

- Wiesz co, stary? Jeśli się zrobiło naprawdę gorąco, mów mi, co mam robić, dobra? Żadnego kitu. Nie krępuj się.

Tim był spokojny i poważny. Czuję, że tak samo jak ja skupia się przed początkiem bitwy. Brakowało mi kałasznikowa Nicka za plecami. Gdyby przyszło do zamieszania, nie sposób stwierdzić, co mogło się z nami stać. Kurwa, człowieku - pomyślałem - dlaczego nie może cię tutaj być akurat teraz, kiedy jesteś potrzebny? Złościłem się na niego częściowo też z powodu zawiści i zdawałem sobie z tego sprawę. Co prawda i ja znajdowałem się w dość niezwykłej sytuacji, ale zazdrościłem Nickowi tajemnych spotkań i knowań podczas planowania zamachu. Na ile potrafiłem, starałem się podnieść Tima na duchu.

- Spokojna głowa. Nic się nie przejmuj, wszystko będzie dobrze.

Omówiliśmy już wcześniej potyczki, które filmowałem poprzedniego roku, rozważając przy okazji, jak należy się zachowywać, by ująć z życiem, jednak w gruncie rzeczy nie da się przygotować do chaosu panującego podczas bitwy.

- Nie wrywaj się do przodu, trzymaj się nisko. Jeżeli nie da się inaczej, padnij. Patrz na mnie, ale też uważaj na mnie. Jak już się zacznie, trudno jest dostrzec cokolwiek, co nie znajduje się bezpośrednio przed tobą. Ty też mi mów, co mam robić - i co kręcić. Mogę czegoś nie zauważyć. Złap mnie wtedy. Dosłownie, złap mnie rękami i skieruj w tę stronę, w którą będzie trzeba.

Tim skinął głową.

- W porządku, bierzmy się do roboty.

Podał nasz bagaż podręczny przydzielonemu nam strażnikowi przybocznemu - był to starszy już, żyłasty bojownik, którego wcale nie zachwyciła rola opiekuna. Zaczęliśmy filmować wymarsz powstańców.

Kiedy się rozjaśniło, słyszeliśmy wyraźniej eksplozje dochodzące z centrum miasta.

Po godzinie ostrego marszu w strugach deszczu busz zaczął się przeredzać, pojawiły się coraz gęściej skupione wille i domy, szkoły, kościoły. Witła nas stolica, monochromatyczna w płaskim świetle poranka podczas pory deszczowej.

Do pierwszego starcia doszło podczas urwania chmury; ugrzęźliśmy, bo droga akurat prowadziła zagłębieniem, więc nie mieliśmy w zasięgu wzroku żadnej rozsądnej kryjówki. Po obu stronach wznosiły się dwumetrowej wysokości skarpy - mokre, więc piekielnie śliskie. Kamerę, zamkniętą w szczelnej torbie, wrzuciłem do góry, nad głowę. Usłyszałem, jak upadła z łoskotem. Wbiłem palce w miękką, czerwoną ziemię. Tim pomógł mi się wspiąć, a zaraz potem brnęliśmy na czworakach przez czyjeś pole manioku w kierunku domu, gdzie zajęła pozycję grupa partyzantów. Co robili bojownicy na drodze, jak reagowali? Nie wiedziałem. Ubłoceni, dotarliśmy do budynku. Tim wyprostował się.

- Trzymaj się z daleka od okna.

Pomyślałem o pocisku, który zabił Deku. Tim przykucnął. Nie filmowaliśmy. Wyciągnąłem kamerę z niebieskiej torby, włączyłem ją. Wyglądało na to, że nic jej się nie stało.

- Nie ma czego się bać - zbeształ nas nasz tragarz. Dołączył do nas, stanął przy otwartym oknie. - Chodźcie bliżej! Nie ma czego się bać.

- Wcale się nie boję - odparłem nie bez urazy. - Po prostu nie chcę, żeby mnie zastrzelili.

Tim wyjrzał za róg, w stronę drogi. Wszędzie wokół leżeli na brzuchach partyzanci, kule świszczwały nad nami, w stronę wzgórza.

- Co się dzieje?

- Nie mam pojęcia. Trudno powiedzieć.

Mijały minuty, w końcu strzelanina ucichła. Wyszliśmy z powrotem na drogę. Chyba nikt nie został trafiony.

- W porządku?

Tim stwierdził, że owszem, nic mu nie jest. Zmieniliśmy taśmy, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Minęła kolejna godzina, nim znów powietrze wypełniło się odgłosem gradu walącego o blaszany dach. Sto metrów przed nami czaili się żołnierze sił rządowych. Pierwsze serie uderzyły w drzewa po mojej prawej stronie. Posypały się na mnie skrawki kory. Nie było czasu filmować. Najpierw przycupnąłem, potem wstałem i puściłem się biegiem w stronę kanału burzowego. Zauważyłem budynek szkolny odległy o dwadzieścia metrów od drogi; wyglądało na to, że tam będzie można się ukryć. Tim wpadł na ten sam pomysł. Świst nad

naszymi głowami oznajmił nam, że do gry wkroczył cięższy oręż. Bum! Bum!

- Kurwa, co to? Moździerze?

Tim pobladł jak ściana. Wciąż znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni.

- Nie, RPG - odpowiedziałem.

Zmierzałyśmy w stronę szkoły, tymczasem starcie przybierało na sile. Kula przebiła pierś bojownika idącego przede mną. Zwalił się, tocząc krew z ust, niczym upiorna szmaciana lalka; słyszałem syk powietrza wydostającego się przez dziurę w klatce piersiowej - otwór wielkości tarczy od zegarka. Patrzyłem na niego i filmowałem. Jego wzrok się rozmył. Tim pochylił się nad nim, robił zdjęcia, kule wciąż świstały nad nami. Tragarz Tima, który szedł z tyłu, został postrzelony w głowę. Pocisk oderwał kawałek czaszki wraz z fragmentem mózgu. Miałem na sobie krew. Tim biegł i filmował.

Uzbrojone dzieci zaczęły płakać. Bushmaster, wyższy oficer odpowiadający za ciężkie karabiny maszynowe, krzychał na nie:

- Co się dzieje? Co? Nie widzieliście, jak ginie człowiek? Jak do was strzelają, macie odpowiadać. Odpowiadać ogniem!

Wymachiwał kałasznikowem w stronę wojsk Taylora. Z jego brody kapąły kropelki potu i deszczu. Dzieci przestały płakać, rana w płucach żołnierza już nie syczała. Kule przeorywały ziemię wokół nas. Dzieci zaczęły też strzelać. Wreszcie Tim i ja znaleźliśmy się pod ścianą szkoły, bez tchu.

- Wszystko w porządku, chłopie? To jakiś obłąd. Nie da się prawie niczego sfilmować. Jak się miewamy?

Uważałem, że miewamy się jako tako. Tim gorączkowo przeładowywał taśmy, ja wciąż z trudem łapałem oddech. Bushmaster tymczasem wdrapał się na należąca do powstańców ciężarówkę załadowaną ciałami i uruchomił karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, zamontowany po somalijsku na pałku wzmacniającym dach. Pod bezpośrednim ostrzałem spokojnie wprowadził nabój do komory, po czym otworzył ogień. Gruba, czarna lufa wydała z siebie ogłuszającą, basową odpowiedź na trzaskające karabinki sił rządowych. Nie minęły dwie minuty, a Bushmaster położył kres zasadzce; nietknięty, jakby kule się go nie miały.

Znajdowaliśmy się już wówczas całkowicie poza obrębem buszu; otoczenie przekształciło się w scenę w pełni miejską. Znikł zapach lasu, ustępując miejsca wilgotnej woni cementu oraz opuszczonych domów. Wyraźnie zaniepokojeni partyzanci, z których wielu nigdy nie widziało dużego miasta, spoglądali podejrzliwie na budynki. Wszyscy byli zmęczeni, ociekali potem, niemal pragnęli się poddać, jednak właśnie nadszedł czas, by

ruszyć w dalszą drogę.

Dotarliśmy w ten sposób do przedmieść Monrowii. Plan rebeliantów polegał na tym, że mniejsze oddziały bojowników LURD miały uprzednio dokonać infiltracji terenów położonych po bokach od głównej linii natarcia; nie pokazały się jednak, a Dragon Master nie pozostawił za sobą żadnej tylnej straży, dlatego obszar wokół głównej drogi nadal znajdował się w rękach rządu. Grupa Dragon Mastera została wchłonięta za linię przeciwnika. Próba przemknięcia bocznymi ulicami nie wchodziła w rachubę, nikt z dowódców tak naprawdę nie znał miasta, więc istniało ryzyko, że zabłądzą, a to oznaczało samobójstwo. Tak więc Cobra parł prosto przed siebie i nim minęła następna godzina, znów znaleźliśmy się w ogniu.

- Padnij, padnij! - wrzasnąłem na Tima, który szedł dwa kroki przede mną, wyraźnie zwracając na siebie uwagę strzelających.

Karabin maszynowy zasilany z taśmy dziesiątkował partyzantów; wielu z tych trzystu mężczyzn i chłopców, którzy jeszcze niedawno otrząsali się ze snu i deszczu, rozszarpywały teraz na strzepy rozpalone do białości odłamki pocisków z RPG. Nabuzowany adrenaliną zacząłem szukać Cobry. Roznosili nas, nasza obrona była zbyt słaba.

Dopałem go na tyłach jakiegoś domu w pobliżu zmieniającej się linii frontu. Za całe uzbrojenie służył mu tylko kawał kabla elektrycznego, którym dosłownie chłostał swoich młodszych żołnierzy, nakłaniając ich w ten sposób, by ruszyli do boju.

- Co tu się dzieje? - spytałem.

Cobra zachowywał się bardzo spokojnie. Przemawiał tak cicho, że mikrofon mojej kamery z trudem zarejestrował jego chrapliwy szept:

- Teraz znajdujemy się w pobliżu Żelaznej Bramy. Tam są moi ludzie, wkrótce się z nimi spotkamy.

Nie wiem, czy Cobra był dobrym człowiekiem, czy nie. Nie wiem, czy był szczególnie bystry, czy niespecjalnie. Jednak wiem z pewnością, że był dobrym dowódcą, a przynajmniej miał cechy dobrego dowódcy. Wyszedł niedbałym krokiem przed żołnierzy, których przed chwilą walił kablem, wystawiając się na bezpośredni ostrzał. W tej chwili poczułem - wiedziałem - że dopóki będę z nim, nic mi się nie może stać, ponieważ byłem pewien, że ten człowiek nie zginie.

- Gotów?

Tim skinął głową. Przebiegliśmy od jednego domu do drugiego, a potem wychynęliśmy na otwartą przestrzeń, zmierzając do mostu drogowego, który prowadził w głąb miasta. Od domów po drugiej stronie dzieliło nas kilkaset metrów pustego placu. Mniej więcej w połowie rozpoczął się ostrzał. Kula z kałasznikowa drasnęła Cobrę. Bywa. Biegający

za mną Tim stęknął i ciężko upadł na ziemię. Cholera, pomyślałem, dostał. Biegłem dalej. Zatrzymaj się! - krzyczał mój umysł. - Wracaj! Ale nadlatujące kule były zbyt blisko, a akurat tym razem także nieźle wymierzone, więc nogi same mnie niosły - biegiem, biegiem, biegiem - ku bezpiecznemu schronieniu najbliższego budynku. Odwróciłem się, dręczony poczuciem winy, i z ulgą zobaczyłem, że Tim jest znów na nogach, niedaleko za mną.

- Poślizgnąłem się - wyjaśnił. - Zgubiłem osłonę mikrofonu.

Było mi strasznie wstyd. Zostawiłem go w potrzebie.

- Wybacz - przeprosiłem. - Spanikowałem.

Bo tak było w rzeczywistości. Aż zdrętwiałem. Nie wiedziałem, jak udało nam się ujść z życiem.

- E tam, daj spokój - mruknął, ale wydawało mi się, że ma mi za złe.

- Wróćmy po nią - zaproponowałem.

- Co, po osłonę mikrofonu?

- Tak. Jest nam potrzebna.

Zgięty wpół wyszedłem z powrotem na otwartą przestrzeń, wypatrując na ziemi niepozornego przedmiotu, przeciwwiatrowej osłony z pianki. Tim za mną.

- No dobrze, chociaż to wariactwo. Naprawdę tak jej potrzebujemy?

Znów do nas strzelali. Partyzanci ukryci za domem krzyczeli na nas i dawali znaki, żebyśmy padli na ziemię. Nie zwracając na nich uwagi, szukaliśmy dalej. Wcale się nie boję - powtarzałem sobie. W moim umyśle zapanowała pustka. Wojnę zatrzymałem przyciskiem „pauza”. Zgiełk zdawał się cichnąć, oddalać, podczas gdy przeszukiwałem trawę, wypatrując brakującego fragmentu ekwipunku. Po minucie czy dwóch dołączyło do nas jeszcze dwóch bojowników.

- Znalazłem! - zawołał Tim.

Puściliśmy się pędem z powrotem ku zabudowaniom, żeby się w nich ukryć. Z początku byłem zachwycony naszym drobnym zwycięstwem, ale wkrótce odzyskałem zmysły. Wojna znów wdarła się do umysłu, ogłuszająca, straszna.

Stamtąd biegliśmy znów, tym razem do muru z pustaków, za którym schowało się kilka żon dowódców. Nieco dalej przypadła do ziemi grupa rozpoznania LURD. Tim zrobił mi zdjęcie, kiedy się schylałem, właśnie wtedy za mną wybuchł granat z RPG. Przycupnęliśmy za murem, a chłopcy-żołnierze obok nas kulili się ze strachu w błocie. Nad naszymi głowami przeleciała salwa z partyzanckich granatników. Wydawało się, że trwa to całe wieki, nim tik-tik-tik nadlatujących kul zaczęło odzywać się rzadziej, aż w końcu ustało. Bojownicy LURD najpierw wyglądali ostrożnie zza muru, wychylali się nad nim, a potem

łękliwie wyszli na otwartą przestrzeń. Również my z Timem wzięliśmy się w garść; obeszlśmy mur i zobaczyliśmy ciała rządowych żołnierzy leżące w trawie wokół nas. Po drugiej stronie szerokiej asfaltowej ulicy zobaczyliśmy partyzantów w brązowych T-shirtach biegnących nam na spotkanie, a potem Dragon Mastera, który oddzielił się od grupy i nas powitał. A więc się przebiliśmy. Znaleźliśmy się w mieście.

Cobra przekazał mnie swojemu polowemu zastępcy noszącemu przydomek Iron Jacket (Żelazna Kurtka), po czym ruszyliśmy pędem w kierunku centrum miasta zdobyczym samochodem z napędem na cztery koła, tymczasem wzdłuż ulic ciągnęła się długa procesja niezliczonych cywili wędrujących od linii frontu. Dotarliśmy aż do Freeport, gdzie powstańcy utknęli. Walki toczyły się o Nowy Most, od zdobycia kontroli nad nim zależała możliwość dotarcia do pałacu prezydenckiego. Uciekinierzy przedzierali się przez ruiny, starając się czym prędzej opuścić ten rejon. Iron Jacket, odziany w olśniewającą żółtą koszulkę, strzelał nad ich głowami i śmiał się, krzyczał, poganiał ich. Filmowaliśmy przez krótką chwilę, a potem razem z Iron Jacketem wróciliśmy do tymczasowej kwatery głównej partyzantów, która mieściła się w browarze na skraju Monrowii.

Na miejscu ujrzelśmy istic apokaliptyczną scenerię. Tysiące uciekinierów tłoczyło się w magazynach i na rampach oraz dziedzińcach browaru. Byli przerażeni, tulili się do siebie, gdy ściany odbijały echo głuchych eksplozji dobiegających z miasta. Nie było tam toalet, żywności ani wody.

Część zakładów wydzielono jako klinikę polową. Za wkroczenie do stolicy partyzanci zapłacili straszliwą cenę. Tim i ja oglądaliśmy rannych podczas dzisiejszych walk. Odór skwaśniałego piwa mieszał się z ostrym zapachem amoniaku wydzielanym przez tych żołnierzy, którzy się zsikali, od czasu do czasu dochodziła do naszych nozdrzy mdląca woń krwi. Część bojowników została raniona w nogi odłamkami z granatów RPG, wybuchających na drodze przed nimi; jedni otrzymali postrzały z kałasznikowów w ramiona czy uda; innych zmasakrowały eksplozje, które powstrzymywały marsz partyzantów na Monrowię. Tragarz Tima wciąż żył, ale był w takim stanie jak niedawno Rocket. Tim próbował wmusić w niego nieco wodnistej zupy ryżowej, żeby nie wyrzygał podanych mu środków przeciwbólowych. Obok niego leżał martwy młody mężczyzna, częściowo zakryty prześcieradłem, jego ciało już się skręciło w stężeniu pośmiertnym. Miał na sobie brązowy T-shirt, a na nim widniał napis: „Twardziele nie umierają”.

Tej nocy nie spałem, ale valium otumańczyło mnie tak potężnie, że czułem się w miarę wypoczęty. Gdy tylko nastał świt, strzelanina znów się rozpoczęła. Zadzwoiłem do pułkownika Franka z wywiadu USA, ponieważ nadal działał w tym regionie. Jeśli tego dnia

partyzanci z LURD zamierzali spróbować zdobyć most, to chciałem wiedzieć, czego mogą się spodziewać.

- Witaj, James! - zawołał Frank, przekrzykując trzaski w telefonie. - Super, że się odezwałeś. Co tam słychać?

Frank wiedział doskonale, co i gdzie było słychać. Podałem mu moją pozycję i przekazałem szczegóły dotyczące dotychczasowego przebiegu walk.

- Dobrze, że zadzwoniłeś, James. Nawet próbowałem się z tobą skontaktować, ale pewnie byłeś poza zasięgiem. Słuchaj, bardzo stanowczo nalegam, żebyś opuścił to miejsce, o ile to możliwe. Mówię poważnie.

Rzeczywiście, zazwyczaj jowialny Frank przemawiał teraz tonem niezwykle jak na niego zasadniczym. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby odzywał się w ten sposób; nie rozumiałem, o co może mu chodzić.

- Co? Mam opuścić Monrowię? Za dużo ode mnie wymagasz. Nie mogę nigdzie się wybrać bez tych ludzi, chyba że ty sam po mnie przyjedziesz. Zresztą, tak czy inaczej moja telewizja nieźle by mi dokopała. Dlaczego mam wyjechać?

Nie było odpowiedzi. W słuchawce rozlegały się tylko intensywne trzaski. Kiedy połączenie stawało się niestabilne, zawsze postępowałem, jak nauczył mnie Nick, posługiwałem się pseudo-militarnym żargonem radiowym, chociaż nigdy nie zdołałem go porządnie opanować; w każdym razie chodziło o to, żeby uniknąć nieporozumień.

- Frank - wrzasnąłem - odbiór.

Nagle zrobiło mi się głupio, bo poczułem się jak w jakimś kiepskim filmie.

- James, tak, słyszę cię dobrze. Musisz opuścić Liberię. Powtarzam: opuścić Liberię. Mamy dane z nasłuchu. Taylor wydał wyrok śmierci na ciebie i Tima. Z naszych informacji wynika, że wyznaczył dwie jednostki, których zadaniem jest was odnaleźć. Odnaleźć i wyeliminować. Musicie natychmiast wyjechać. Jak mnie zrozumiałeś? Odbiór.

Czułem, że krew odpływa mi z twarzy.

- Tak... Odbiór. Słyszałem cię dobrze.

Wieczorem poprzedniego dnia Taylor zapewnił międzynarodowe środki przekazu, że Freeport znalazł się z powrotem w rękach sił rządowych. Wkrótce potem udzieliłem wywiadu przez telefon satelitarny, więc natychmiast wyszło na jaw, że skłamał. Ponadto ostatni raport dotyczący Liberii wydany przez Panel Ekspertów ONZ został opublikowany miesiąc wcześniej i po części opierał się na dowodach zgromadzonych przeze mnie w poprzednim roku. Taylor najwyraźniej miał mnie dosyć. Rozejrzałem się, zobaczyłem Tima filmującego jakieś sto metrów ode mnie.

- Będę cię powiadamiał o swoich posunięciach. W tej chwili nie jestem w stanie niczego stwierdzić. Słuchaj, jeśli znajdziemy się w sytuacji bez wyjścia, czy moglibyście przysłać po nas helikopter? Odbiór.

- Słyszałem cię dobrze, James. Odpowiedź negatywna, przynajmniej na razie. Odbiór.

- Trudno. Dzięki. A moglibyście załatwić z Brytolami, żeby otwarli dla nas most w Bo Waterside? Odbiór.

Przez most wiodła jedna z niewielu dróg prowadzących na drugą stronę rzeki Mano oddzielającej Liberię od Sierra Leone. Właśnie jej wody przebyliśmy łódką siedemnaście dni wcześniej, kilka kilometrów w górę jej biegu. Dodatkowo sprawę komplikował fakt, że zgodnie z regionalnym traktatem wody rzeki stanowiły suwerenne terytorium Gwinei, więc przepawy strzegli także gwinejscy żołnierze. Gdy trwała wojna, przez większość czasu most pozostawał zamknięty. Otwarcie go mogłoby się okazać sporym kłopotem dyplomatycznym.

- Słyszę cię dobrze. Odpowiedź pozytywna. To znaczy, zobaczę, co da się zrobić, chociaż coś mi mówi, że łatwiej ci przyjdzie dogadać się z nami niż z twoimi rodakami. Odbiór.

- To akurat dla mnie żadna niespodzianka. Dziękuję, słyszałem cię dobrze. - Zamilkłem na chwilę. - Frank, jeszcze jedno. Partyzanci chcą przekroczyć Nowy Most. Czy to dobry pomysł? Odbiór.

- Jezus Maria! Nie. Odpowiedź negatywna. Powtarzam: negatywna. Dojdzie do masakry. Spróbuj im to wybić z głowy.

- Przyjąłem. Wybić z głowy. Jeszcze raz dzięki. Bez odbioru - zakończyłem w iście militarnym stylu i się rozłączyłem.

Nick znajdował się gdzieś w terenie, poza zasięgiem, więc zatelefonowałem do Pieta, znajomego Nicka, który rezydował w Monrowii. Przebywał właśnie w towarzystwie syna Taylora, Chucky'ego, w Executive Mansion, czyli głównym budynku rządowym. Powiedziałem mu, iż doradzano mi, bym opuścił kraj, nie podając jednak szczegółów.

- Słuchaj, James - rzekł spokojnym głosem - ja ci tego nie radzę, ja tego żądam, nalegam. Dla twojego bezpieczeństwa musisz opuścić kraj w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin.

To przypieczętowało sprawę. Podeszedłem do Tima i dotknąłem jego ramienia.

- Przepraszam na chwilę.

Przestał filmować, spojrział na mnie pytająco. O co chodzi?

- Obawiam się, że mamy drobny problem.

Odprowadziłem go na bok. Osiemset metrów za nami wybuchła strzelanina. Dowódcy

frontowi biegali tam i z powrotem po zaimprovizowanych „koszarach”.

Usiedliśmy na murku. Przekazałem mu wiadomość otrzymaną od Franka i Pieta. Odebrał ją podobnie jak ja: był zszokowany, i to poważnie. Poza tym w jaki niby sposób mieliśmy się wydostać z Monrowii?

- Gdyby Nick był z nami, dalibyśmy sobie radę - stwierdził.

Potyczka wypłoszyła z browaru cywili. Rozpoczął się exodus, którego partyzanci nie byli w stanie powstrzymać. W ciągu kilku minut dwa tysiące kobiet oraz dzieci znikło spośród płonących zabudowań przedmieścia. Obecnie walki rozgorzały już tylko kilka ulic dalej. Odnalazłem Cobrę.

- Właśnie rozmawiałem z Amerykanami - wyjąłem. - Taylor bardzo mocno obsadził ten most. Radzą, żeby teraz nie próbować go przekraczać.

Cobra spojrzał na mnie uważnie.

- Okej, dzięki.

Odwrócił się i przywołał swoich dowódców.

Niemal niepostrzeżenie nastroj ulegał zmianie. Coraz więcej bojowników powracało od Nowego Mostu, przed browarem ustawiały się samochody. Strzelanina za nami wciąż narastała, gęstniał ogień maszynowy skierowany w naszą stronę, coraz rzadziej partyzanci odpowiadali z RPG. Zaczynałem pojmować, co się dzieje. Cobra minął nas, idąc w kierunku wozów, i uśmiechnął się w roztargnieniu.

- Wycofujemy się? - spytałem.

Spojrzał na mnie rozbawiony.

- Tak, odjeżdżamy. Skończyła się amunicja. Ale nie przejmuj się, znajdziemy jakieś wyjście.

Drużyna moździerzy LURD rozstawiła się, by zapewnić osłonę pospiesznego odwrotu partyzantów, sprowadziło się to do chaotycznego ostrzału domów wokół nas. Spoglądałem w wizjer, kiedy rozległa się trzecia salwa. Krótka lufa jednego z moździerzy pod wpływem odrzutu wysunęła się z rąk strzelca, pocisk śmignął nad moim lewym ramieniem, centymetry od ucha. Widziałem wyraźnie ziejący w moją stronę otwór lufy. Opuściłem wtedy kamerę. Weiśnięto nas do samochodu, jednak ten nie był w stanie ruszyć. Bezskutecznie usiłowaliśmy znaleźć jakiś pojazd na chodzie, w którym znalazłoby się miejsce dla nas. Bojownik w zielonej sukience podbiegł do Tima i chwycił go za ramię.

Wrzasnął coś prosto w jego twarz, po czym ruszył dalej biegiem tam, skąd rozlegała się strzelanina. Tim przypadł do mnie.

- Czego chciał?

- Powiedział: „Wyrucham cię w dupę”.

Po raz pierwszy Tim sprawiał wrażenie naprawdę przestraszonego.

- Świetnie - stwierdziłem. - Wynośmy się stąd.

Jednak żaden z nas nie wiedział, jak to zrobić. Ustawilo się trzydzieści pojazdów. Ciężarówek, dżipów, samochodów osobowych, nawet ciągnik siodłowy z naczepą - i wszystkie naraz próbowały ruszyć. Wehikuly wszelkiego kształtu oraz rozmiaru tłoczyły się w wąskiej ulicy, utworzył się straszliwy zator. Tim i ja znajdowaliśmy się na samym tyle. Bushmaster, ten dowódca, który poprzedniego dnia zlikwidował zasadzkę, dał znak, żebyśmy wsiedli razem z nim do zdobycznego range rovera. Tymczasem siły rządowe otrząsnęły się po ostrzale z moździerzy i zaczęły kierować ogień prosto na nasze pozycje. Wcisnęliśmy się do samochodu, Bushmaster wisiał na zewnątrz, podczas gdy kierowca, Joe T, ćmiąc skręta, lawirował pośród wlekących się ciężarówek załadowanych po brzegi bojownikami.

Konwój ugrzązł przy Żelaznej Bramie. Dopadli nas na otwartej przestrzeni. Za nami rozległ się potworny zgrzyt, jak gdyby jakiś ponaddzwiękowy korkociąg wbił się w metal i szkło, aż zadzwoniło mi w uszach. Spojrzałem w boczne lusterko.

- Kurwa, co to było? - zawołał Tim z tylnego siedzenia.

- Zapewniam cię, że nie chcesz wiedzieć - odpowiedziałem.

Ciężarówka za nami dostała bezpośrednie trafienie z RPG. Pośród terkotu broni maszynowej słyszałem, jak Tim przeklina.

- Kurwa, widzę ich. Spokojni, jakby nic się nie działo. Nie do wiary.

Z odległości osiemdziesięciu metrów Tim widział strzelających do nas żołnierzy sił rządowych. Trząskając zdjęciami swoim rolleiflexem - staromodnym aparatem fotograficznym, w którym co dwanaście klatek trzeba było zmieniać film.

- Trzymaj - rzekł, podając mi kolejną rolkę.

Pośliniłem papierową końcówkę pokrytą klejem, zalepiłem kliszę. Trzymałem ją w zębach, jak żółte cygaro, zmieniając taśmę w kamerze. W którymś z okien range rovera poszła szyba, wybita kulą z kałasznikowa. Drzwi po drugiej stronie zostały zablokowane workami zrabowanego ryżu, nie miałem więc wyboru, trzeba było otworzyć drzwi wychodzące prosto na pozycje strzelających do nas żołnierzy. Znajdowali się po drugiej stronie drogi, na niewielkim wzniesieniu, i pruli w nas, ile wlezie. W kilku susach wypadliśmy z samochodu, skryliśmy się za murkiem.

- O, cholera. Taśmy - rzekł Tim i wstał.

Zapomnieliśmy zabrać nasz plecak.

- Nie, człowieku! - zawołałem za nim, ale już było za późno.

Obiegł pędem samochód, znów otworzył drzwi i sięgnął po bezcenny czarny plecak. Kule gwizdały nad jego głową, kiedy przeskakiwał murek, wprzód przerzuciwszy plecak.

- Błagam cię, nie rób tego nigdy więcej - poprosiłem. - To było niepoważne.

Teraz zwątpienie ogarnęło już nawet najbardziej doświadczonych z partyzantów. Odwrót przerodził się w koszmar. Ofiary padały nie tylko na linii kontaktu, lecz także wewnątrz naszej formacji. W tumanach błękitnawego kordytowego dymu niemal wszyscy buntownicy walili z karabinków szturmowych Kałasznikowa ustawionych na ogień ciągły - seriami, na oślep w krzaki na poboczu. Pośród ogłuszającego łoskotu resztek ich amunicji Tim i ja pobiegliśmy, żeby skryć się za rzędem domów. W każdej chwili spodziewałem się trafienia, ale nie, udało nam się dotrzeć cało do tych zabudowań. Jakiś młody mężczyzna, uciekinier, przypadł do mnie i pochwycił, najwyraźniej zdesperowany.

- Uratuj mnie - błagał. - Uratuj. Nie chcę umrzeć. Nie jestem żołnierzem.

Plakał, jego ramiona zacisnęły się wokół mojego tułowia. Wpadł w histerię, czułem odór jego potu i strachu.

Wtedy ze zgrozą uświadomiłem sobie, że którykolwiek z tych cywili mógł zostać nasłany, żeby nas zabić. Ogarnął mnie niepokój. Trzasnąłem go mocno dłonią w twarz.

- Weź się w garść - zawołałem. - Opanuj się, kurwa! - Jeden z partyzantów spostrzegł, co się dzieje. - Zabierz go ode mnie, dobrze?

Uzbrojony nastolatek oderwał go i wetknął lufę kałasznikowa w brzuch płaczącego mężczyzny.

- Mam go zastrzelić?

Byłem tak spanikowany, że przez ułamek sekundy chciałem, żeby pociągnął za spust.

- Nie, nie, nie - zawołałem, odzyskując panowanie nad sobą. - Tylko go stąd zabierz.

Spojrzałem na faceta, którego przed chwilą wziąłem za nasłanego na mnie mordercę, i ujrzałem przerażonego, zdruzgotanego człowieka. Położyłem rękę na jego ramieniu.

- Już w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Wreszcie Bushmaster dopadł do swojego karabinu maszynowego na ciężarówce i zabrał się do roboty; zaraz potem mogliśmy wsiadać do samochodów. Konwój wyrwał się z okrążenia i przejechał przez most. Wyjechaliśmy z miasta na pełnym gazie. Znów lunął mściwy deszcz. Zdobyczna ciężarówka World Food Program wypełniona cywilnymi uciekinierami przewróciła się i przeturlała na śliskiej jezdni, miażdżąc dziesiątki kobiet oraz dzieci stłoczonych na skrzyni. Miasto, które wydawało się na krawędzi klęski, najpierw niemal nas pochłonęło, a potem wypuło z powrotem w busz.

Po godzinie znaleźliśmy się znowu w Tubmanburgu, wyczerpani, zdezorientowani. Uszliśmy z Timem cało, ale wstyd nam było tego poczucia ulgi tak ostro kontrastującego z poczuciem klęski partyzantów. Dragon Master przeszedł obok nas, wymieniliśmy kpiący salut - bez uśmiechu. Po tych ostatnich godzinach filmowania moje nerwy były w strzępach. Tim, blady jak ściana, siedział w deszczu na skraju drogi i w milczeniu palił papierosa. Wiedziałem, że musimy stąd wiać, wyrok śmierci wciąż nad nami ciążył. Nie mogłem pchać się tam z powrotem, nawet gdybym chciał; nie wolno mi było skłaniać do tego Tima. Zbyt długo traktowałem tę wojnę jako moją prywatną sprawę. Być może nadszedł czas, żeby się poddać.

W domu zjrzałem do pokoju Rocketa. Zdumiewające, ale już samodzielnie jadł ryż łyżeczką, śliniąc się przy tym nieco. Oczy spoglądały przytomniej, powiedziano nam także, iż jęczy już tylko najwyżej godzinę dziennie.

- Co słychać, Rocket? - spytałem.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Chciało mi się płakać: za niego, za siebie, za dziesiątki ludzi, którzy dopiero co na moich oczach ponieśli śmierć - ale łzy nie napływały.

Czterdzieści osiem godzin później Tim i ja opuściliśmy Liberię, pozostawiliśmy wojnę za sobą. Zadzwoiłem do Jonathana Stacka, który nadal przebywał w Monrowii. Miał dostęp do Taylora i zgodnie z planem kręcił swoją część dokumentu. Powiedziałem mu, że z Timem utrwaliśmy na taśmie dość materiału, żeby film zagrał, i wyjaśniłem, dlaczego wszyscy uznaliśmy, że czas się wycofać. Zadzwoiłem też do Kathi. Nie rozmawialiśmy ze sobą od mojego przyjazdu do Liberii. Zamartwiała się o mnie.

- Wracaj do domu, kochanie - nalegała. - Wtedy wszystko mi opowiesz.

Ale tak naprawdę wcale nie ciągnęło mnie do domu. Po udanej ucieczce ogarnął mnie nastrój euforii, myślałem tylko o tym, żeby przyłączyć się do zamachu projektowanego przez Nicka - i dociec, co się za tym planem kryje. Sama myśl o dusznym mieszkaniu w Londynie przyprawiała mnie o klaustrofobię.

- Już miałam dzwonić do Amerykanów, strasznie się niepokoiłam - mówiła dalej Kathi. - Myślę, że gdyby nie było innego wyjścia, posłaliby jednak po ciebie helikopter.

Nie było takiej potrzeby. Frank dotrzymał słowa, dogadał się z ambasadą brytyjską i most na rzece Mano został otwarty, specjalnie dla nas. Pożegnaliśmy się. Cobra nie tracił ducha:

- Siły „Lor” obalą Taylora - zapewnił mnie. - Ja sam obalę Taylora.

Straciłem już rachubę, ile razy słyszałem, jak powstańcy obiecywali, że uporają się z prezydentem. Jednak sytuacja LURD przedstawiała się lepiej niż przedtem, ale ponieważ

teraz rząd amerykański zaangażował się bezpośrednio w wysiłki mające doprowadzić do trwałego zawieszenia ognia, coraz bardziej wyglądało na to, że nie pozwoli partyzantom odnieść bezpośredniego zwycięstwa. Co więcej, dostawy z Gwinei wciąż kulały, zwłaszcza jeśli chodziło o RPG oraz amunicję większego kalibru. O ile należało sądzić, że rebelianci tym razem nie pozwolą się wyprzeć z Tubmanburga, o tyle trudno było stwierdzić, czy zdołają kiedykolwiek przełamać obronę Taylora.

Kiedy znaleźliśmy się już w rękach podejrzliwych służb granicznych Sierra Leone, jeden z powstańczych dowódców pomachał nam na pożegnanie zza zasieków. Życzył nam bezpiecznego powrotu, po czym zawołał:

- Do zobaczenia w Monrowii!

Na jego czarnym T-shircie widniały wielkie, białe litery tworzące napis: „Nie takie życie zamawiałem”.

14. Simon Mann

Spotkałem się z Nickiem w małym barze hotelu Comfort, odległego o pięć kilometrów od ruchliwych pasów startowych paryskiego lotniska Charles de Gaulle. Przybrał znów swój cywilny wygląd, na który składały się drelichowe spodnie, kraciasta koszula, notes oraz nieodłączny długopis w kieszeni tejże koszuli. Ostatnio widziałem Nicka zaledwie cztery tygodnie wcześniej, gdy wsiadał do zdezelowanego pojazdu z napędem na cztery koła w towarzystwie generała Cobry, w Tubmanburgu. Nie mogłem jednak oprzeć się złudzeniu, że nastąpiło to o wiele dawniej. Już nie miałem mu za złe, że mnie porzucił, poczucie ulgi związane z tym, że udało mi się ująć z życiem, sprawiło, iż wszelkie negatywne emocje odeszły w niepamięć. Ucieszyłem się, że go zobaczę.

- Pan Brabazon, jak sądzę?

Nick wstał, uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Nick, jak zwykle dzięki tobie poznaję wspaniałe miejsca.

O barze hotelowym można było w najlepszym razie powiedzieć, iż urządzono go w sposób funkcjonalny. Sterylny wystrój zaprojektowano z myślą o tym, żeby pozostawał niezauważalny, a nie, żeby się nim zachwycać. Nick zaśmiał się krótko i zamówił dla mnie piwo.

Telefował do mnie niecałe czterdzieści osiem godzin po moim powrocie z Liberii. Teraz zaś wybrał się do Paryża i chciał się tam ze mną spotkać, natychmiast.

- Powinieneś poznać jednego z moich przyjaciół - powiadomił mnie. - To może się okazać bardzo interesujące. Dasz radę?

Byłem wykończony. Dzień wcześniej zadzwonił do mnie Mick z Foreign Office, żeby się umówić na lunch. Potem montowałem materiał i nagrywałem komentarz do specjalnego raportu poświęconego walkom o Monrowię dla *Six O'Clock News* w BBC. Teraz Liberii nie trzeba było już nikomu wciskać na siłę, stała się pierwszorzędnym tematem. Poza tym agent Tima zdołał załatwić nam artykuł na pierwszą stronę magazynu „The Guardian”, w bardzo krótkim terminie. Kiedy zadzwonił Nick, właściwie już marzyłem o jakimś pretekście, który pozwoliłby mi uciec z Londynu.

Niezależnie od zaplanowanego przezeń spotkania cieszyłem się, że go zobaczę. Nie zanosilo się na to, bym miał odbyć kolejną wyprawę do Liberii, a miałem ochotę obgadać z nim wydarzenia minionego miesiąca. Opowiedziałem mu o dwóch dniach walk w mieście.

- Jonathan nadal przebywa w Monrowii - oznajmiłem. - Wiesz, robi drugą część filmu, po tamtej stronie. Taylor oczywiście nie wie, że pracujemy razem. Z tego, co usłyszałem od Jonathana, miasto jest w stanie ciągłego oblężenia i wszystko wskazuje na to, że pod kontrolą Taylora znajduje się już tylko sama stolica, jeśli nie liczyć odizolowanych skrawków terytorium, takich jak Ganta na północnym wschodzie. Mimo wszystkiego, co napisałem już do prasy, Brytole ciągle nie dają mi spokoju. Wczoraj jadłem lunch z tym facetem z MI6, czy skąd on tam jest. Zachodzą w głowę, żeby wykombinować, co zamierza Sekou.

Dodałem, że Mick wymienił przy okazji nazwę statku, którym buntownicy dowozili amunicję na front. Oczywiście udałem, że nic na ten temat nie wiem. Nick wysłuchał moich informacji i się uśmiechnął.

- *Ja*, w Monrowii zrobił się straszny burdel. Niezłe zamieszanie. Właśnie stamtąd wróciłem.

Uśmiechnąłem się również i skinąłem głową, dopiero w następnej chwili zdałem sobie sprawę, co powiedział.

- Jak to, w Monrowii? Czy ty oszalałeś? Czego, do diabła, tam szukałeś?

W razie pojmania przez siły Taylora egzekucja groziła Nickowi tak samo jak mnie, przywilej ten rozciągał się także na Tima. Z czasem okazało się, że obaj z Timem nie doceniliśmy w pełni grożącego nam niebezpieczeństwa. Kiedy dotarliśmy do Freetown, pułkownik Frank spotkał się z nami i opowiedział szczegółowo o kontraktach na nasze życie. Taylor wyznaczył za głowę każdego z nas dziesięć tysięcy dolarów nagrody. Rozkaz, by nas zabić, został przejęty przez wywiad brytyjski w GCHQ (Government Communications Headquarters, Rządowej Centrali Komunikacyjnej) w Gloucestershire, o czym powiadomiono ludzi, którzy najłatwiej mogli nam tę informację przekazać. Frank pod jednym względem miał racji - Brytyjczycy uczynili jednak wszystko, co w ich mocy, żeby pomóc. Niewykluczone, że Mick przysłużył mi się bardziej, niż chciał przyznać, choć podczas wspólnego lunchu twierdził, że nie wie, kto powiadomił Amerykanów. Żołnierze Taylora szukający mnie podczas odwrotu sił LURD znaleźli ciężko rannego Libańczyka, który chował się w ruinach swojego sklepu. Zawlekli go do koszar w przekonaniu, że pojмали mnie. Nie przeżył.

- *Ja*, no wiesz, to było dość niewygodne, oględnie mówiąc. Piet mnie przywiózł, potem ukrywałem się przez dwa dni w hotelu. - Nick upił kolejny łyk piwa. - A później poznał mnie z synem Taylora, to znaczy z Chuckym.

Chucky, znany socjopata, głównodowodzący cieszącej się złą sławą rządowej jednostki antyterrorystycznej. Partyzanci twierdzili, że do rytuałów inicjacyjnych tej formacji

zalicza się między innymi picie ludzkiej krwi.

- Jasna cholera! Wiedział, z kim rozmawia?

- *Ja*. Wiedział, powiadomiłem go też o tobie, że załatwiłem ci wjazd do Liberii. Oraz że pracuję z Sekou. Taylor chce, żebym dla nich szpiegował. Sekou już o tym wie. Będzie mi podawał informacje do przekazania, tak żeby sprawiały wrażenie wiarygodnych. Wygląda na to, że zostałem podwójnym agentem - stwierdził spokojnie Nick. - Sekou poleciał do Nigerii, nawiasem mówiąc, prywatnym samolotem Obasanji, aby omówić warunki rozejmu. Potem poprosił, żebym pojechał z nim na następną rundę rozmów do Włoch i do Ghany.

- Rozumiem. Z tego wniosek, że jesteś im naprawdę potrzebny. Czy Chucky miał coś do powiedzenia na mój temat?

- Nie radziłbym ci wybierać się do niego w odwiedzin. Mam wrażenie, że nasz film niezbyt ich zabawił. Panowała tam raczej nieprzychylna atmosfera. Wręcz paranoiczna. Nigdy nie wiadomo, co ci faceci zrobią i kiedy.

Czułem się równie zdezorientowany, jak zdumiony.

- Ale po co tam pojechałeś? Człowieku, przecież jaja ci mogli urwać.

- Prezydent chce kupić helikopter bojowy. Rozmawiała ze mną na ten temat jedna z kobiet Taylora, niejaka Fina. Nie jestem pewien, czy to jego żona, czy nie, w każdym razie możemy posłużyć się nią dla własnych celów. Rząd rosyjski ma na sprzedaż dziesięć Mi-24, z czego sześć w pełni na chodzie, można je wziąć prosto z fabryki na Ukrainie. Są jak nowe, wyremontowane i uzbrojone, ale kontrahent się wycofał, więc ugrzęzły w warsztatach.

Nie byłem pewien, do czego zmierza jego rozumowanie.

- Zaraz, jeżeli Taylor dostanie taki helikopter, to goście z LURD mają przejebane - zastanowiłem się na głos.

- *Ja*, nieźle by oberwali. Ale teraz, skoro wiem, że chce sobie kupić taką zabawkę, mogę mu to uniemożliwić. Wyjątkowo szczęśliwie się złożyło; możemy przeciągać tę sprawę w nieskończoność.

Nick uśmiechał się od ucha do ucha.

- To w pełni sprawne, gotowe do walki Mi-24. Są do wzięcia bardzo tanio za pośrednictwem pewnego handlarza, którego znam, a który przyjaźni się z bułgarskim prezydentem. Kosztują po czterysta tysięcy dolarów za sztukę, ze wszystkimi papierami. Pomysł jest taki, żeby wziąć dwa z nich na nasz użytek, dla wsparcia tej innej roboty, o której rozmawialiśmy. Mogłyby sobie stać i czekać na dużym lotnisku w Konakry. Sekou uzgodnił to już z prezydentem. - Nick napił się piwa i dodał: - Rozglądam się także za Mi-8 albo Mi-17 dla partyzantów, żeby mogli omijać linie rządowe i łatwiej zaopatrywać swoich żołnierzy.

Poczyniliśmy już przygotowania, by przewieźć paliwo lotnicze do Voinjamy. Tam helikopter mógłby tankować, a potem lecieć prosto do Monrowii czy gdziekolwiek indziej.

Nick udzielił mi właśnie kolejnej lekcji w ramach przyspieszonego kursu handlu bronią. Rozejrzałem się po wnętrzu, w którym się znajdowaliśmy. Byliśmy sami, jeśli nie liczyć jakiejś pary w średnim wieku gawędzącej po francusku nad filiżaneczkami kawy kilka stolików dalej.

- Czyli Taylor tego sprzętu nie zobaczy, a maszyna dla partyzantów będzie stanowić część zapłaty za ich udział w tej drugiej operacji? - Nick skinął głową. - Natomiast Mi-24 posłużą wam podczas natarcia w tym „drugim miejscu”. Nie będzie kłopotów z zasięgiem?

Nie wymieniłem nazwy owego miejsca. Nie chciałem wprawiać go w zakłopotanie pytaniami ani narażać siebie na ewentualną odpowiedzialność karną związaną z tym, że wiedziałem, gdzie ma się odbyć zamach.

- Helikoptery - jeden albo dwa - załaduje się na statek wypływający z Konakry. Istnieje też druga możliwość, żeby załadować maszynę do transportowego iliuszyna i w ten sposób przywieźć.

Przez chwilę obaj się nad tym zastanawialiśmy.

- Mi-24 świetnie się sprawdziły w Sierra Leone. Dobrze by było je mieć, ale nie są tak zupełnie niezbędne. Raczej na wszelki wypadek, dla pewności.

Wyjawił też, że znalazł już kogoś, kto zechce ten zakup sfinansować. Nick sprawiał wrażenie zadowolonego, a jednocześnie lekko rozbawionego implikacjami swoich poczynań.

- *Fok*, nie mogę uwierzyć, że wszystko idzie tak gładko. Co tydzień pojawia się teraz nowa robótka - zaśmiał się.

- A więc to postanowione, że operacja dojdzie do skutku? Mówię o „afrykańskiej przygodzie”.

- Na sto procent.

Zamówienie zostało złożone, helikoptery odbiorą za sześć tygodni. Wieczorne spotkanie z jego znajomym miało dotyczyć właśnie planowanego przewrotu. Ponadto Nick wyraził przypuszczenie, iż projekt wspierają po cichu zarówno Amerykanie, jak i Nigeryjczycy.

- Dokładnych szczegółów nie znam. Ogłoszą, że „nastąpiło zagrożenie ciągłości dostaw ropy”, więc interwencja w tamtym miejscu, o którym mowa, była uzasadniona.

Nick mówił mi tylko tyle, ile chciał powiedzieć, nabierałem jednak coraz silniejszego przekonania, że przygotowywana operacja nie tylko przybrała realny wymiar, lecz nawet znalazła wsparcie finansowe. Usiłowałem dociec, czy wszystkie jego plany wiązały się ze

sobą, a jeżeli tak, to w jaki sposób.

- Jak tam robota w Kongu? Wciąż aktualna?

Pomysł wyłuszczone mi przez Nicka, polegający na uzbrojeniu kongijskich buntowników, wydał mi się o wiele prawdopodobniejszy, odkąd Kathi potwierdziła, iż stolica kraju, Kinszasa, stanowi ważny ośrodek nielegalnego handlu bronią. Tamtejszy rynek w znacznym stopniu został opanowany przez rosyjskich handlarzy, część dostaw broni przybywa do Liberii właśnie stamtąd.

- *Ja*. Ten projekt nazwałem „amerykańska impreza”.

- O rany. Naprawdę? Czy aby na pewno chcę wiedzieć, o co chodzi?

- *Ja* - zaśmiał się znów Nick. - Pewnie, że chcesz. Odbyliśmy z nimi ciekawe rozmowy na ten temat. Otóż okazuje się, że Korea Północna usiłuje nabyć uran pochodzący z kopalni w okolicy Lubumbashi w Katandze. Ludzie, z którymi mam do czynienia, chcą zarządzać tym miejscem, jak przystało na niezależne państwo, natomiast Amerykanie żywo interesują się sprawami Korei Północnej.

- Czyli poprą Katangijczyków, jeśli Koreańczycy dostaną od nich kopa? - spytałem.

Południowy obszar Demokratycznej Republiki Konga stanowił strefę objętą działaniami wojennymi, a kraje sąsiednie, zwłaszcza Zimbabwe, zajmowały się intensywnym rabunkiem tamtejszych zasobów bogactw naturalnych.

- Mam nadzieję - zachichotał Nick.

Aż zakręciło mi się w głowie, kiedy zacząłem rozważać geopolityczne uwarunkowania planów Nicka. Nawet jeśli jedno czy drugie przedsięwzięcie się nie powiedzie, to konsekwencje będą poważne. Dopiliśmy piwo, po czym poszliśmy do swoich pokoi, żeby odpocząć przed wieczornym spotkaniem. Wszystko, o czym mówił Nick, bez wątpienia było nielegalne, niezależnie od tego, czy projekty te popierali Amerykanie. Kiedy wsunąłem kartę w szczelinę zamka do drzwi, wyobraziłem sobie, że w pokoju czeka na mnie zamaskowany zabójca, uzbrojony w pistolet z tłumikiem. Bądź co bądź zapadł już na mnie jeden wyrok śmierci, choć poza Monrowią prawdopodobieństwo jego wykonania było nikłe. Gdyby rozeszła się wieść o moich powiązaniach z planami Nicka, kto jeszcze mógłby zechcieć mnie wyeliminować? Wiedzieli już o mnie Amerykanie, ale przecież bez trudu mogli za pośrednictwem Franka dać mi do zrozumienia, żebym się wycofał albo zamknął gębę na kłódkę. A co z tajnymi służbami Konga, Gwinei Równikowej, Nigerii? Moją jedyną pociechą, gdy nacisnąłem na klamkę i wszedłem do ciasnego, lecz na szczęście pustego pokoju, pozostawał fakt, iż rządy tych krajów nie są w stanie zorganizować systemu kanalizacji miejskiej, co dopiero mówić o służbach wywiadowczych.

Około ósmej wieczorem poszedłem z Nickiem do jedynej restauracji w tej wiosce; jego znajomy już czekał na nas przy stoliku.

- Witam, nazywam się Simon Mann. - Szczupły mężczyzna pod pięćdziesiątkę, w okularach, potrząsnął moją dłonią i uśmiechnął się na powitanie. - Jak się pan miewa?

- Miło mi pana poznać.

- Wzajemnie. Nick wiele mi o panu opowiadał.

Mówił dobitnie i wyraźnie, z akcentem oraz intonacją charakterystycznymi dla brytyjskich klas wyższych.

- Faktycznie, w ciągu ostatniego roku przeżyliśmy wspólnie kilka ciekawych przygód. Nawet bardzo ciekawych. - Odsunąłem krzesło i już miałem usiąść.

- Przepraszam - rzekł szybko Simon. - Wrócę za minutę.

Odwrócił się i poszedł do łazienki.

- Nick - szepnąłem - to ten facet z EO?

Nick przytaknął. Simon Mann, jeden z twórców najemnej armii Executive Outcomes, zaliczał się do grona legendarnych zawodowych żołnierzy, a także politycznych szarych eminencji. Służył w szwadronie G SAS, był też współtwórcą Sandline International, prywatnej firmy militarnej, która wślawiła się powiązaniem z brytyjskim Foreign Office przy okazji dostaw broni dla Sierra Leone. Cieszył się reputacją specjalisty od wojen w Afryce. Byłem zaskoczony. Dotąd nie miałem pojęcia, z kim się spotkam ani po co - spodziewałem się ujrzeć innego żołnierza, a może kogoś takiego jak Piet, działający w Monrowii. Simon zaliczał się do innej ligi. A to znaczyło, że sprawa staje się naprawdę poważna.

- Czy on wie, że ja już coś wiem? - spytałem.

Nick usiadł i rozłożył serwetę na kolanach.

- Nic nie wie - odparł z promiennym uśmiechem.

- No nieźle. Zapowiada się wesoły wieczór. Co mam robić?

- Uważaj. - Wciąż uśmiechnięty, zerknął szybko nad moim ramieniem, powiadamiając mnie w ten sposób, że Simon już wraca. - Zamówmy jakieś wino.

Simon miał ochotę na różowe. W dużych ilościach. Wieczór był gorący, wino dobrze zmrożone, więc pierwsza flaszka poszła, jeszcze zanim przejrzelśmy menu. Siedzieliśmy przy okrągłym stoliku: Nick po mojej lewej, Simon po prawej. Ja między nimi.

Simon zaproponował, żebyśmy coś zamówili, nim kuchnia przestanie działać. Na nadgarstku nosił drogi zegarek; jasna, bawełniana koszula, którą miał na sobie, została doskonale uprasowana. Cała jego postać emanowała pewnością siebie, jakby dając do zrozumienia: „Jestem bardzo bogaty, a osiągnąłem to bez najmniejszego wysiłku”.

Stuknęliśmy się kieliszkami, a potem Simon przeszedł do rzeczy, pytając mnie o Liberię.

Zacząłem mówić. I mówić. Opowiedziałem mu różne historie o naszych wspólnych przeżyciach z Nickiem w Liberii, jak się tam dostaliśmy, czegośmy dokonali. Mówiłem o filmach, które nakręciłem, i o tych, które dopiero zamierzałem nakręcić. Rozumiałem wyśmienicie, iż jest to coś na kształt przesłuchania kandydata do pracy. Charakter proponowanego zajęcia wytłumaczył mi już Nick podczas naszej rozmowy w Konakry. Tak więc dokonywałem prezentacji swojej osoby w sposób na tyle staranny, na ile pozwalała na to trzecia już butelka wina. Podkreślałem delikatny charakter naszej pracy, relacje z amerykańskim wywiadem, mówiłem też o moich spotkaniach z przedstawicielami wywiadu brytyjskiego; przede wszystkim jednak starałem się go powiadomić nie tylko o tym, co przekazałem do wiadomości opinii publicznej, lecz także o tym, co przemilczałem.

- Kwestia powiązań z Gwineą była dość specyficzna - stwierdziłem. - Zgodzono się na mój kontakt z partyzantami pod wyraźnie sformułowanym warunkiem, że nie rozgłoszę żadnych szczegółów dotyczących pomocy otrzymywanej przez nich od prezydenta Contégo oraz gwinejskiej armii - miało to wyglądać jak całkowicie lokalne powstanie, zorganizowane wyłącznie przez Liberyjczyków.

Położyłem nacisk na ostatnie słowa. Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, chciałem jednak wyraźnie dać do zrozumienia, że można na mnie liczyć, że takie numery to dla mnie nie pierwszozna. Nick spojrzał z ukosa w moją stronę. Nie odzywał się ani słowem.

- Rzecz jasna sfilmowałem wszystko, ponieważ nadejdzie dzień, kiedy wszystko będzie można otwarcie powiedzieć. Chodzi o to, żeby nie gryźć ręki, która człowieka karmi, a jednocześnie postępować rzetelnie. W mojej branży wiarygodność to podstawa, bez niej jesteś nikim. Gdy raz się okaże, że wyjawileś niewygodną prawdę, publiczność - oraz zleceniodawcy - uwierzą we wszystko, co im potem powiesz. Tyle że w niektórych wypadkach całej prawdy nie można wyjawić od razu.

Miałem nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno.

Simon rozlał resztę wina z butelki i unióś kieliszek, spoglądając na mnie oraz na Nicka.

- Wznoszę toast za wasze sukcesy w Liberii - oznajmił. - I oby wkrótce nastąpiły dalsze.

Wypiliśmy, przywołaliśmy kelnera. Obsługa sprzątnęła nakrycia, po czym pojawiły się desery i szklaneczki z whisky oraz armaniakiem. Teraz nadszedł czas na monolog Simona. Rozprawiał głównie o Iraku, o konieczności zapewnienia stałych dostaw ropy naftowej oraz

zmiany reżimu, podkreślając przy tym rolę odgrywaną w tym procesie przez prywatne przedsiębiorstwa wojskowe.

Wyraził opinię, iż era światowej dyplomacji opartej na potężnych armiach narodowych zakończyła się, i to już jakiś czas temu. Wspominał o dokonaniach prywatnych przedsiębiorstw wojskowych, na przykład jego firmy, powołując się na wydarzenia w Angoli i Sierra Leone. Stwierdził, iż obecnie gra toczy się przede wszystkim o „bezpieczeństwo złóż”, jak to określił. Pola ropoosne, czy to w Afryce, czy na Bliskim Wschodzie, mają dla Zachodu ogromne znaczenie. Jednak o ile Chińczycy dzięki cichej dyplomacji czynią w tej dziedzinie znaczne postępy, o tyle Amerykanie wciąż pracują nad ustaleniem swojego programu działania w tych regionach.

Mówił też o dobrych rządach w Afryce (jego zdaniem stanowiących rzadkość, jeśli nie liczyć odizolowanych wyjątków, takich jak Botswana) i o tym, że wzrost wpływów Nigerii na północy kontynentu afrykańskiego ponoć dorównuje rozwojowi RPA na południu. Miał wiele do powiedzenia, był doskonale poinformowany i wykształcony, więc słuchałem go z nieskrywaną fascynacją. Co więcej, prawie każde jego stwierdzenie wydawało się doskonałym wstępem do rozmowy o przewrocie - dlatego mimo narastającego zamroczenia za sprawą mocnego alkoholu zmieszanego z uprzednio wypitym winem nerwowo wyczekiwałem, aż wreszcie odkryje karty.

Gdy zaczynał się ten wieczór, starałem się zachowywać jak najpoprawniej, tak jakbym spożywał kolację w towarzystwie zamożnego ojca któregoś z moich przyjaciół. Bałem się, że wyrażę się niewłaściwie, że przedstawię siebie w niekorzystnym świetle. Jednak kiedy wychodziliśmy, wszyscy byliśmy mocno zawiani, byliśmy też jednymi z ostatnich gości. Gdy kierowaliśmy się do wyjścia, jeden z pozostałych jeszcze klientów wstał, chwycił mnie za ramię.

- *Monsieur*, ja wiem, co zamierzacie. Wiem, kim jesteście - rzekł cicho po francusku, dotykając palcem nosa. - Tak, wiem, jaką prowadzicie grę.

- To doskonale - odpowiedziałem, także po francusku. - Cieszę się, że ktoś wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Gdy wyszliśmy niezbyt pewnym krokiem na świeże powietrze, Simon spytał:

- Czego chciał?

Powtórzyłem mu słowa nieznanego.

- Pewnie pracuje dla francuskiego wywiadu - stwierdziłem.

Simon roześmiał się, uściśnął mi dłoń na pożegnanie, po czym rozeszliśmy się do naszych hoteli. Decydujące słowa nie padły. Zacząłem się niepokoić, czy nie powiedziałem

czegoś, czym wykluczyłem się z udziału w operacji.

Już w hotelu Comfort, grzebiąc po kieszeniach, żeby znaleźć kartę, zapytałem:

- Nick?

- *Ja?*

- I jak mi poszło?

- Doskonale, panie B. W punkt.

Było już zbyt późno, zbyt wielkie ogarnęło mnie zmęczenie, żeby dalej go wypytywać.

Lodowaty prysznic w plastikowej kabinie hotelowej łazienki przywrócił mi jasność umysłu. Wciąż rozważałem rozmowę poprowadzoną poprzedniego wieczoru. Najdziwniejsze ze wszystkiego, że w ogóle brałem w niej udział. W Liberii postępowałem zawsze według ściśle określonego planu, powodowała mną niemal obsesyjna chęć utrzymania całkowitej kontroli nad projektem. A teraz wpadłem po uszy w spisek, którego zupełnie nie pojmowałem, nie mówiąc już o sprawowaniu nad czymkolwiek kontroli.

Ubrałem się i spakowałem rzeczy, tego dnia wracałem do Londynu. Nadal rozmyślałem o spotkaniu z Simonem. Simon okazał się czarującym rozmówcą, przejawiał nieskazitelne maniere, natomiast z całą pewnością nie zaproponował mi pracy, nawet nie wspomniał o jakimkolwiek przewrocie. Mimo zapewnień Nicka, że konfrontacja przebiegła całkiem pomyślnie, czułem się głęboko zawiedziony, iż Mann nie zaoferował mi z miejsca wyłączności na filmowanie swojej operacji - i sam się sobie dziwiłem, jak bardzo jestem rozczarowany.

Im dłużej roztrząsałem propozycję złożoną mi swego czasu przez Nicka, tym bardziej niepokoiła mnie rola, jaką miałem odegrać w tym planie. Coraz trudniej przychodziło mi bagatelizować moralne konsekwencje tego, czego będzie się ode mnie żądać. Wiedziałem, że gdy przyjdzie co do czego, nie zdołam się sprzeciwić Nickowi, nie zaprotestuję jak wtedy, gdy partyzanci w Liberii domagali się ode mnie rozgłaszania nieprawdziwych informacji. Mogłem jedynie trzymać się usprawiedliwienia typowego dla najemnika: wszak cel uświęca środki. Na pociechę pozostała mi nadzieja, że Nick i Simon wiedzą, co robią.

Gdy schodziłem po schodach do lobby i autobusu mającego mnie zawieźć na lotnisko, próbowałem się pocieszyć także inną myślą: wiele z rzeczy, które usłyszałem od Nicka, stanowiło może przejaw życzeniowego myślenia z jego strony. Może wcale nie dojdzie do żadnego zamachu? A nawet jeśli przewrót nastąpi, to kto wie, czy Nick w ogóle powiedział Simonowi, że zaproponował mi jego filmowanie? Całkiem niewykluczone, że nigdy więcej nie zobaczę wytwornego Simona Manna.

Na dole autobus już czekał. Czekał też Simon. Wrzuciliśmy bagaże na półki i siedliśmy obok siebie. Obu nam doskwierał coraz dotkliwszy kac.

Simon twierdził, że to za sprawą whisky. Chwilę potem dosiadł się do nas Nick. Wkrótce przybyliśmy na lotnisko. Tam o jedenastej pożegnaliśmy Nicka, który odlatywał do Konakry. Życzyłem mu bezpiecznej podróży.

- Ja, tobie także. Odezwę się.

Podaliśmy sobie ręce. On i Simon pożegnali się, a następnie plecy Nicka znikły za drzwiami lotniskowej kolejki, która miała zabrać go na inny terminal. Zwróciłem się do Simona:

- Miło było pana poznać i jeszcze raz dzięki za wczorajsze spotkanie.

Simon odparł, że cała przyjemność po jego stronie. Ostatni uścisk dłoni, po którym on także znikł za drzwiami terminalu. Do licha - pomyślałem. - Powinienem z nim pogadać sam na sam. Wszedłem do środka, skierowałem się do odpowiedniego stanowiska... Simon stał w tej samej kolejce, mieliśmy lecieć jednym samolotem. Po wylądowaniu, kiedy minęliśmy kontrolę, zaprosił mnie na śniadanie do salonu dla VIP-ów British Airways. Uśmiechnięta hostessa na jego żądanie dała znak, by mnie wpuszczono. Usiedliśmy do pogawędki przy czarnej kawie i biszkoptach.

Wyraził opinię, że trudno o „tak dobrych ludzi jak Nick”. Przede wszystkim, jego zdaniem, jest on „bardzo lojalny”. Stwierdził, że ma do niego zaufanie.

- Ja również - zgodziłem się z nim. - Wie pan, powierzyłem Nickowi własne życie. I nie ulega wątpliwości, że podczas pobytu w Liberii niejednokrotnie to życie ocalił. Szczerze mówiąc, chyba jest jedyną osobą, której bym zaufał w podobnej sytuacji.

Simon skinął głową. Mówiłem dalej:

- A jednak, zabawna rzecz. Mimo całego doświadczenia, mimo wszystkiego, co w życiu przeszedł, pozostała w nim pewna naiwność. A może to tylko optymizm? Kiedy już raz ci zaufa, otwiera się przed tobą, nawet aż do przesady. Chyba chodzi mu o to, żeby ludzie, za których odpowiada, czuli się swobodnie, żeby uwierzyli, że wszystko pójdzie pomyślnie.

Simon zgodził się ze mną, uznał, że mogę mieć słuszość. Dodał potem, że wraz z Nickiem pracuje nad pewnym interesującym projektem, nad pewnym przedsięwzięciem w Afryce. Spojrzałem na Simona, zastanawiając się, czy to może odpowiednia chwila, by spytać go, nad jakim konkretnie afrykańskim biznesem pracują z Nickiem. Otworzyłem usta, żeby się odezwać.

- Mógłby mi pan zostawić jakiś numer telefonu? - uprzedził mnie.

Wręczyłem mu wizytówkę, wstukałem też jego numer do swojej komórki.

Chwila minęła bezpowrotnie. Wymieniliśmy się kontaktami, potem zaś anegdotami na temat Nicka oraz naszych wojennych przeżyć. Gawędziliśmy tak, aż dotarliśmy do miejsca, skąd taksówki zabierają podróżnych, którzy przybyli na londyńskie lotnisko Heathrow. Gdy podjechała jego taksówka, raz jeszcze uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Będziemy w kontakcie - zapewnił z charakterystycznym półśmieszkiem. - Może niedługo będę miał dla pana jakąś pracę.

Pomachałem mu na pożegnanie. Czas wracać do domu, do Kathi.

*

- Wszystko w porządku, kochanie?

Staliśmy w salonie londyńskiego mieszkania, które wspólnie zajmowaliśmy. Zerknąłem na nią i siadłem do stołu.

- Tak, wszystko gra.

Wiedziałem, że mi nie uwierzyła.

- No dobrze, posłuchaj. Jest coś, o czym muszę z tobą pomówić. Tylko wiesz, to musi zostać między nami.

Skinęła głową, patrzyła na mnie uważnie. Stęskniłem się za nią. Jeśli nie liczyć mojej mamy i dziadka, nie miałem w Anglii oprócz niej nikogo, z kim czułbym się silniej związany, dlatego pokładałem w niej coraz większe zaufanie. Kathi żyła z tego, że prowadziła dochodzenia oraz pisała o rzeczach, które stały się podstawą mojej kariery: o handlu bronią, o nielegalnych dostawach, grupach buntowników, szpiegach i najemnikach - to wszystko był jej chleb powszedni. Trudno o odpowiedniejszą i zarazem bardziej nieodpowiednią osobę do zwierzeń. Trzeba mi było powiernika, który mógłby dzielić ze mną jarzmo zbieranych przeze mnie doświadczeń. Otwarcie i w zaufaniu mogłem rozmawiać tylko z nią, bo tylko ona potrafiła mnie zrozumieć.

- Kiedy byłem w Gwinei, jeszcze przed wyjazdem do Liberii, Nick opowiedział mi o nowym zadaniu, nad którym pracuje. Z tym, że to nie jest jego przedsięwzięcie, został zaproszony do współdziałania... Przysięgam, że nie zmyślam... Otóż został zaproszony do współdziałania w obaleniu pewnego rządu. Wiesz, taka operacja na całego.

Kathi nawet się specjalnie nie zdziwiła.

- Gdzie? W Afryce Zachodniej?

Zmarszczyła nos, jakby starając się wyczuć, skąd wieje wiatr, domyślić się, o jaki kraj może chodzić.

- Tak, ale nie wiem dokładnie gdzie - oznajmiłem, niemal zgodnie z prawdą. - Nie wiem też, skąd biorą na to pieniądze... Rzecz w tym, że w zasadzie planują zamach stanu, co z

pewnością nie jest tanim przedsięwzięciem, no i... Właśnie spotkałem się z Nickiem w Paryżu, a on przedstawił mi swojego przyjaciela, Simona Manna. Sądziś, że to coś poważnego?

- O, tak. Myślę, że możemy tak stwierdzić z całą pewnością. Rany, zdumiewasz mnie. Jasne, że to poważna sprawa! - odetchnęła głęboko. - Ale musisz bardzo uważać, James. Wiem, że Nick to twój dobry przyjaciel, ale ludzie, którzy zajmują się takimi interesami, nie patyczkują się, kiedy przyjdzie co do czego. Jeśli to realny projekt, musisz zadbać o swoje bezpieczeństwo. Czy podjąłeś jakieś zobowiązania?

- Tak - przyznałem. - Chociaż nieformalne. Obiecałem Nickowi, że sfilmuję to wydarzenie.

- Hm, to dość nietypowe. Serio. Powinieneś być ostrożniejszy - mówiła naprawdę poważnie. Przyglądała mi się badawczo. - Martwię się o ciebie, kochanie. Myślałam, że oszaleję, kiedy nie dzwoniłeś z Liberii. Po prostu... - Umilkła, podeszła do mnie i wzruszyła ramionami. - No wiesz.

Do tamtej chwili kwestia mojego udziału w „afrykańskiej przygodzie” Nicka nie budziła we mnie niepokoju natury bardziej osobistej. Owszem, wiązała się z oczywistym ryzykiem, jakim było uczestnictwo w nocnym szturmie na bronione wybrzeże u boku kilkudziesięciu płatnych zabójców, ale poza tym sprawa wydawała mi się dosyć prosta, jak zwykłe zadanie, któremu należało sprostać. Obawy Kathi dały mi do myślenia.

- Jeśli Simon naprawdę się w to zaangażował, to projekt jest poważny. To człowiek o szerokich powiązaniach i sam wiesz - akurat ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny - że właściwie to on stworzył Executive Outcomes. Nie mówię, że akurat jego miałbyś się wystrzeżać, bo to nie jest głupiec, lecz zawsze znajdzie się ktoś zamieszany w tę aferę, kto nie będzie sobie życzył, żeby pewne fakty wyszły na jaw. Ktoś, kto będzie chciał pozostać w cieniu, a ty możesz mu w tym przeszkodzić.

Zapaliłem papierosa, intensywnie się w nią wpatrując.

- Czy jest coś jeszcze? Wyglądasz na zmartwionego.

Jakby czytała w moich myślach, widziała mnie na wskroś.

- Tak, jest coś jeszcze. Coś, wobec czego całe to uganianie się za tematem na film wydaje się zwykłą, cholerną głupotą.

Patrzyłem na nią i nie byłem pewien, czy zdołam wypowiedzieć te słowa na głos, bo kiedy to uczynię, moje obawy przybiorą kształt jeszcze bardziej rzeczywisty. Człowiek, który pomógł w wychowaniu mnie, okazując tyle troski i miłości, właśnie umierał. Zgniotłem papierosa w popielniczkę.

- Kiedy byłem w Gwinei, rozmawiałem z mamą. U dziadka zdiagnozowali raka płuc. On przyjmuje to bardzo spokojnie, ale z tego, co się orientuję, sprawy źle się mają. Ukrywamy to przed babcią, lecz istnieje obawa przerzutu na kości.

Zaczęło się od uporczywego kaszlu, potem lekarze zrobili biopsję. Z początku sądzili, że zdołali powstrzymać rozwój guza, jednak okazało się, że nowotwór rozwijał się dłużej, niż przypuszczali. Gdyby w porę zastosować odpowiednią terapię, istniałaby szansa na wyleczenie. Teraz natomiast pojawiła się konieczność dokonania prześwietleń nóg. Jeśli rak zaatakował również kości, to stan zdrowia dziadka mógł bardzo szybko się pogorszyć. Nie potrafiłem znieść myśli, że mógłbym go stracić, powtarzałem więc sobie w kółko, że jakoś z tego wyjdzie. Palce dłoni moich i Kathi splotły się, przywarłem do niej, szukając ukojenia.

Nick zatelefonował do mnie z Konakry, żeby potwierdzić wiadomość, iż helikoptery będą gotowe za sześć tygodni. Według niego bez wątplenia dostałem angaż - mimo powściągliwości Simona w Paryżu. Oznaczało to, że mam czas na przygotowania do początku pierwszego tygodnia sierpnia 2003 roku. Spakowałem się, byłem gotów do drogi, a tymczasem rozważałem inne otwierające się przede mną możliwości zawodowe. Wobec nieoczekiwanego sukcesu, jaki odniósł program w *Newsnight*, BBC zaproponowała mi nakręcenie i wyreżyserowanie czteroczęściowego cyklu dla BBC 2 zatytułowanego *The Violent Coast*. Miałbym udać się do Sierra Leone, Liberii, Wybrzeża Kości Słoniowej, Beninu i Nigerii, żeby nakręcić materiał stanowiący, jak to określił producent, mieszankę spraw bieżących oraz rozrywkowych ciekawostek. Poza wszystkim innym byłyby to z mojego punktu widzenia świetny sposób, żeby pozostać na bieżąco z wydarzeniami rozgrywającymi się w tym regionie; w dodatku pracowałbym z Timem, który został zatrudniony jako asystent producenta. Pomyślałem sobie, że jeśli pójdzie nam dobrze, łatwiej mi będzie sprzedać BBC film o zamachu stanu. Zdjęcia miały się rozpocząć 18 sierpnia. Skontaktowałem się z Nickiem, aby sprawdzić, czy jeśli wyrażę zgodę, nie wykluczę się tym samym z jego przedsięwzięcia.

- Nie, chłopie, bierz tę robotę - usłyszałem jego entuzjastyczną odpowiedź. - Na razie moi ludzie wybrali się do tego miejsca, co wiesz, żeby zrobić rozpoznanie. Dla przykrywki zakładamy tam kilka firm. Bardzo to wszystko ciekawe. Wygląda na to, że czeka nas sporo pracy. Otwiera się wiele różnych możliwości.

Obiecał, że postara się informować mnie na bieżąco o rozwoju sytuacji. Podpisałem kontrakt z BBC, a zaraz potem zatelefonował do mnie Sekou Conneh. Jego siły znów przygotowywały się do natarcia na Monrowię.

- Tym razem - oznajmił - zbombardujemy miasto i zmusimy Taylora do ucieczki.

Powstańcy dawno temu uzgodnili strategię polegającą na tym, żeby przeprowadzić zmasowany ostrzał moździerzowy Monrowii i w ten sposób zmusić rząd do poddania. Już w czerwcu 2002 roku Conneh, Cobra oraz inni dowódcy uznali, iż wobec stosunkowo niewielkiej liczebności sił partyzanckich to najlepszy sposób, żeby wywołać zamieszki w stolicy.

- Kiedy przyjedziesz? - spytał.

Wyjaśniłem mu, że nie bardzo mogę to uczynić. Żeby go udobruchać, powiedziałem, że może zamiast mnie pojawi się Tim. Jednak w istocie nie mieliśmy po co pchać się tam znowu, chyba że nastąpiłaby jakaś radykalna odmiana sytuacji i wydarzyło się coś nieoczekiwanego, na przykład utworzyłby się nowy front lub, co mało prawdopodobne, Taylor zacząłby odnosić sukcesy.

Codziennie słuchałem World Service, starając się wysledzić postępy partyzantów. Dwa tygodnie później, 16 lipca, kiedy włączyłem radio, licząc na to, iż usłyszę wreszcie, że oto zbliżają się do siedziby Taylora, dowiedziałem się zamiast tego, że nastąpił przewrót na Wyspach Świętego Tomasza - jest to niewielki archipelag na Atlantyku, w pobliżu wybrzeża nigeryjskiego, oddalony o prawie pięćset kilometrów na południowy zachód od stolicy Gwinei Równikowej, Malabo. Natychmiast zatelefonowałem do Nicka i spytałem, czy dotarła już do niego ta wiadomość.

- Tak, niezła niespodzianka - usłyszałem jego śmiech w słuchawce. - Mieliśmy z tym trochę kłopotów.

Wtrąciła się Nigeria, co doprowadziło do niemal natychmiastowego zażegnania kryzysu. Zabiegi dyplomatyczne ze strony tego kraju były poparte realną groźbą interwencji zbrojnej: udziały nigeryjskie w podmorskich złożach ropy naftowej Wysp Świętego Tomasza oceniano na sto sześćdziesiąt dwa miliony dolarów.

- Mieliśmy też drobne opóźnienie w kwestii finansowania przedsięwzięcia, ale teraz pojawił się pewien Libańczyk, który inwestuje, więc nie ma powodów do niepokoju. Za tydzień wybieram się do Konakry. Dam ci znać, jak przedstawia się sytuacja, ale najpierw muszę porozmawiać z Sekou.

Pięć dni później partyzanci LURD znów dotarli pod Monrowię, otrzymawszy statkiem z Gwinei świeżą dostawę amunicji. Oblężenie i ostrzał zaczęły się na dobre. Doszło do bezpośredniego trafienia kompleksu Greystone należącego do ambasady USA. Ponad dziesięć tysięcy mieszkańców miasta pozbawionych domostw schroniło się tam w namiotach; zginęło dziewiętnaście osób, sześćdziesiąt zostało rannych. Zrozpaczeni ojcowie, mężowie, matki

znosili swych zmarłych przed bramę frontową ambasady, pozostawiając ich tam jako symbol żałoby, domagając się interwencji. Sprowadzono drogą lotniczą oddział US Marines, aby zabezpieczyć budynek i przeprowadzić ewakuację pewnej liczby cudzoziemców, lecz nie zdarzyło się nic więcej. Zamiast nadziei marines przywieźli ze sobą skrzynki piwa. Zamknęli się za zasiekami z drutu kolczastego i wysokimi murami ambasady.

25 lipca, dwa dni po tym, jak Nigeryjczycy na Wyspach Świętego Tomasza doprowadzili do powrotu wygnanego prezydenta, LURD dokonało dziesięciminutowego bombardowania z ponad trzydziestu moździerzy kalibru 81 mm okolic Newport Street oraz Mamba Point. Granaty spadły na kampus Newport High School, zginęło ośmioro uchodźców. Dalsze dwadzieścia pięć osób straciło życie w okolicach hotelu Holiday Inn przy Carey Street w centrum Monrowii, gdzie schronienia szukało około dwustu cywili. Następnego dnia kolejne pociski spadły na miasto, tym razem trafiły w kościół Greater Refuge, w którym zgromadziło się około trzystu osób: pięć zginęło, o wiele więcej odniosło rany.

27 lipca John W. Blaney III, ambasador USA w Liberii, oznajmił, że prezydent Bush, który wezwał już Taylora do ustąpienia ze stanowiska, wydał rozkaz skierowania do Liberii trzech okrętów wojennych wiozących korpus trzech i pół tysiąca marines. Spodziewano się ich w ciągu dwóch tygodni. Ambasador Blaney powiadomił Jonathana, wciąż przebywającego w Monrowii, że poza kwestią kryzysu humanitarnego (w której to sprawie rząd Stanów Zjednoczonych nie uczynił jak dotąd prawie nic) USA muszą podjąć stosowne działania, ponieważ sytuacja w Liberii prowadzi do poważnej destabilizacji w Afryce Zachodniej, skąd pochodzi około dwudziestu procent ropy naftowej importowanej do Ameryki. By doprowadzić do zawieszenia broni, Amerykanie podjęli rozmowy z LURD, domagając się zaprzestania ataków, a potem skontaktowali się i ze mną.

Frank z wywiadu USA spytał, czy mógłbym zatelefonować do Conneha i skłonić go do wyrażenia zgody na zawieszenie broni. Może przynajmniej zdołałbym namówić przywódcę LURD, żeby zaprzestano ostrzału moździerzowego.

- Stary, przecież my dokładnie wiemy, gdzie znajdują się te moździerze - oświadczył.
- Po prostu nie możemy pozwolić, żeby tak się działo dalej.

- Chcesz powiedzieć, że w tych okolicznościach jesteście gotowi je zlikwidować?

Frank potwierdził, że owszem, dysponują odpowiednimi środkami i są gotowi to zrobić, i poinformują o tym bezpośrednio powstańców. Wyjawiał także, iż wie, że LURD przewozi broń do Liberii statkiem z Gwinei.

- Frank, kojarzysz pewnego naszego wspólnego znajomego? Tego, który sporo ze mną podróżował?

- Kojarzę.

- Być może znajduje się na pokładzie tego statku. Jeśli jednostka miałaby zostać zatopiona, mógłbyś mnie ostrzec?

- Tak, mogę to zrobić, James.

Rozmawiałem z nim, gdy byłem na ulicy. Zatrzymałem się, widziałem przejeżdżające samochody, pary zakochanych podziwiających pierścionki zaręczynowe na wystawach jubilerów wzdłuż Bond Street. Wszystko wydawało się tak zwyczajne, normalne. Doszedłem do St James Street, przy Jermyn Street znalazłem spokojne miejsce, skąd mogłem zatelefonować. Jakiś osobnik w garniturze minął mnie spiesznym krokiem, pomstując pod nosem na turystów, którzy zagradzają przejście. Wystukałem numer Conneha. Akurat przebywał w Konakry.

- Niech pan posłucha, Sekou - odezwałem się, choć wciąż nie miałem pomysłu, jak się wywiązać z powierzonego mi zadania - prowadząc ostrzał moździerzowy Monrowii, LURD przedstawia się opinii publicznej w ogromnie niekorzystnym świetle. Jeśli zaprzestaniecie bombardowań, zyskacie sobie uznanie na skalę międzynarodową. Wystarczy tylko ogłosić, że czynicie to z pobudek humanitarnych. To zrobi bardzo dobre wrażenie.

Użyłem jedyne argumentu, który mógł zadziałać. Władza znalazła się w zasięgu rąk Sekou, zdawałem sobie sprawę, że niełatwo go będzie namówić, by się powstrzymał. I rzeczywiście.

- Będziemy walczyć dalej - upierał się.

Najwyraźniej rozmowy pokojowe w Akrze prowadził tylko dla zamydlenia oczu. Wszelkie ustępstwa ze strony rebeliantów, wzmianki o możliwym zaprzestaniu ognia stanowiły jedynie wybiegi taktyczne, by zyskać na czasie lub zdobyć terytorium.

- Negocjacje są po to, żeby poczekać, aż z Gwinei przyjdą nowe dostawy bomb do RPG - powiadomił mnie. - Potem znów możemy walczyć.

Dałem za wygraną. Zadzwoiłem do Nicka, który znalazł się już w Gwinei. Spodziewałem się, że zechce nadzorować kolejną dostawę broni dla partyzantów, i dlatego obawiałem się, że popłynie też transportującym ją statkiem.

- Nick? Tu James. Słuchaj, stary, właśnie rozmawiałem z naszym amerykańskim przyjacielem.

Przekazałem mu treść konwersacji z Frankiem.

- Dobra. Dzięki, stary, to cenna informacja - odparł Nick. - Spróbuję pogadać z Sekou. Chyba nie zdają sobie sprawy, jak bardzo cierpi na tym ludność cywilna.

Zresztą Nick także o tym nie wiedział. Był wyraźnie wstrząśnięty, kiedy mu

opowiedziałem.

- Ale *kak*, człowieku. Przecież jeżeli tak dalej pójdzie, nie mają żadnych szans na poparcie ze strony obywateli. Poza tym to czysta głupota, która niczemu nie służy. Jeżeli nie zabijają żołnierzy Taylora, to jest po prostu *fokken* strata czasu.

Nick potwierdził przy okazji, że rokowania pokojowe to jedynie wybieg, przynajmniej ze strony Sekou. Do ostatniego „zawieszenia broni” doszło wyłącznie po to, żeby siły LURD działające poza Monrowią mogły zaopatrzyć przybywających z południowego wschodu partyzantów z organizacji MODEL, którzy - w prawdziwie liberyjskim stylu - wystrzelali całą swoją amunicję. Miałem tylko bardzo mgliste pojęcie o tym, co Nick kombinuje z Sekou w Gwinei. W związku z tym towarzyszyła mi frustrująca i niepokojąca świadomość, iż co prawda ja zabrałem go na wojnę do Liberii, a on dokooptował mnie do swojego zamachu stanu, lecz nie można było mówić o równowadze w naszych relacjach. Bez wątplenia Nickowi groziło niebezpieczeństwo, jednak ponieważ nie powiedział mi niczego konkretnego o swoich planach, nie byłem w stanie go chronić.

Po tej rozmowie zdałem sobie sprawę, że zarówno nieudany pucz na Wyspach Świętego Tomasza, jak i bezmyślny ostrzał Monrowii przez partyzantów LURD mogą w istotny sposób wpłynąć na realizację „afrykańskiej przygody”. Obecność sił morskich i desantowych USA w regionie oraz wojskowe zaangażowanie Nigerii w czasie przewrotu na Wyspach Świętego Tomasza pociągnęły za sobą nieprzewidziane konsekwencje: stało się co najmniej nieprawdopodobne, by Gwinea lub Liberia mogły posłużyć jako bazy operacyjne. Co więcej, przeprowadzenie akcji od strony morza najpewniej okaże się wykluczone. Zrozumiałem, że być może przyjdzie mi jeszcze długo czekać.

Tymczasem doszło do nadspodziewanie prędkiego zakończenia wojny w Liberii. Sekou, który udał się w towarzystwie Nicka na ostatnią rundę rokowań do Ghany, został odsunięty od końcowych negocjacji przez „polityków” z Konakry. Utrzymał tytularne przywództwo armii, która nie mogła jednak już walczyć z powodu nacisków ze strony Amerykanów oraz nikłego poparcia społeczeństwa. Małżonka Sekou, która dotąd zapewniała LURD dostawy broni, zwróciła się teraz przeciw niemu, doprowadzając do podziału wśród starszych dowódców i tworząc własne zaplecze militarne. 31 lipca LURD podpisało zawieszenie broni, wciąż nie zdolawszy dotrzeć dalej niż do Freeport. Ani jednemu z partyzantów nie udało się przekroczyć Nowego Mostu i przedostać do centrum miasta.

3 sierpnia amerykańskie okręty wojenne wpłynęły na wody terytorialne Liberii. Dwa dni później siedmuset żołnierzy nigeryjskich sił pokojowych wylądowało na lotnisku Robertsfield, po czym zajęło Monrowię bez jednego wystrzału. Wojna się skończyła, na

froncie zapadła cisza.

Oglądałem wieczorne wiadomości. Ujrzałem dziesiątki dziennikarzy rojących się wokół Cobry, przemierzających terytoria opanowane dotąd przez LURD. Żołnierze sił rządowych oraz powstańcy trzymali się za ręce, unosili je do góry i krzyczeli: „ta sama skóra, ta sama skóra”, nazywali się wzajemnie „liberyjskimi braćmi”, obejmowali się, częstowali się papierosami i bimbrem. Dziwny to widok. Zaledwie kilka dni wcześniej rebelianci odcinali ręce schwytanym żołnierzom. A teraz nagle, w ciągu jednego popołudnia, długie lata wojny i rzezi poszły w niepamięć.

Gdy tylko bojownicy obu stron odkryli, iż ich dawni wrogowie także są ludźmi, zaczęły się tworzyć podziały między wyższymi dowódcami sił LURD. Cobra dał się przekupić obietnicą wysokiego stanowiska w nowej armii liberyjskiej, mógł też liczyć na pokaźny udział w sumach przeznaczonych przez Organizację Narodów Zjednoczonych na wykup broni od partyzantów w ramach wchodzącego w życie programu rozbrojeniowego. ONZ wysuwała pieniądze na rozbrojenie ponad stu tysięcy kombatantów w Liberii (w tym ponad dziesięciu tysięcy dzieci), choć według wszelkich wiarygodnych źródeł liczebność sił powstańczych oceniono na cztery do pięciu tysięcy, przy mniej więcej takiej samej liczebności wojsk oraz milicji rządowych. Dowodzący po obu stronach wzbogacili się na tym niebagatelnie: Cobra część uzyskanych w ten sposób środków zainwestował w wydobycie diamentów w swoim rodzinnym Bakedu.

11 sierpnia Taylor udał się na wygnanie do Nigerii. Tydzień później LURD, MODEL oraz rząd Liberii podpisały traktat pokojowy w Akrze, ustanawiając na dwa lata władzę Krajowego Rządu Przejściowego, do którego nie wszedł Sekou Conneh; wtedy też podjęto decyzję o demobilizacji ugrupowań zbrojnych.

Na razie trudno było się zorientować, kto tak naprawdę wygrał tę wojnę, choć przypuszczałem, że prawdziwi beneficjenci przejmą władzę, gdy skończy się kadencja rządu przejściowego. Tymczasem „politycy” z LURD i MODEL usunęli na margines Conneha oraz bojowników. Joe Wylie, który jeszcze przed rozpoczęciem natarcia na Monrowię skrytykował Conneha z powodu niekompetencji, ksenofobii, wywierania szkodliwego wpływu oraz dyktatorskich zapędów, wylądował na posadzie w Ministerstwie Obrony. Jasne w tym wszystkim było tylko jedno - że bojownicy zostali z niczym, odebrano im nawet broń.

Nick zniknął z zasięgu. Wody terytorialne Gwinei znajdowały się pod ścisłym nadzorem Amerykanów i Nigeryjczyków. Nick nie mógł już wykorzystać podczas swojego przewrotu liberyjskich partyzantów, zresztą i tak mieli przecież oddać broń.

Po nieudanym przewrocie na Wyspach Świętego Tomasza zyskałem już pewność, że

krajem, który spiskowcy obrali sobie za cel, jest Gwinea Równikowa i to jej prezydenta chcą odsunąć od władzy. Skoro Nick się nie odzywał, zacząłem zgłębiać nieliczne dostępne materiały dotyczące tamtejszego reżimu, zapoznając się z nader ponurą faktografią. Tak samo jak osiemnaście miesięcy wcześniej, kiedy szukałem informacji o Liberii, trudno teraz było znaleźć sprawdzone dane dotyczące rządów w Gwinei Równikowej. Wyglądało na to, że ta dawna hiszpańska kolonia pojawiła się w powszechnej świadomości politycznej tylko na krótki czas po opublikowaniu bestsellera autorstwa Fredericka Forsytha zatytułowanego *Psy wojny*. Ta barwna opowieść stanowi w istocie mocno sfabularyzowaną relację z rzeczywistego, nieudanego przewrotu, który miał tam miejsce w roku 1973, a w przedsięwzięcie był zamieszany również sam autor.

Obiang, czy raczej Teodoro Obiang Nguema Mbasogo, żeby wymienić jego imiona i nazwiska w pełnym brzmieniu, czyli prezydent Gwinei Równikowej, także mógłby rzec to i owo na temat przejmowania władzy w drodze przewrotu. W 1979 roku podczas krwawego powstania pozbawił władzy własnego wuja, po czym sam ustanowił się dyktatorem, a wkrótce zyskał sławę jednego z najokrutniejszych władców Afryki. Trzeba przyznać, że miał za sobą odpowiednie przygotowanie: nim sięgnął po najwyższą funkcję w państwie, pełnił obowiązki dyrektora gwinejskiego więzienia Playa Negra, słynnej w całej Afryce katowni, o której krążyły budzące grozę opowieści. Ponoć egzekucji dokonywano tam między innymi w ten sposób, że kładziono skazańca twarzą do podłogi, po czym wbijano mu w głowę żelazny drąg.

W ciągu trwających niemal ćwierć wieku rządów bezprawia setki działaczy opozycyjnych poddano torturom, zamordowano, a niektórzy być może zostali nawet pożarci przez funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, oskarżanych wraz z samym prezydentem o kanibalizm popełniany na przeciwnikach politycznych. Również odsunięty od władzy wuj dyktatora stanął przed plutonem egzekucyjnym, wprawdzie jednak jego dawny protegowany zatroszczył się, by przejąć na swój użytek należącą do obalonego prezydenta bogatą kolekcję czaszek zapewniających swojemu posiadaczowi magiczną moc. Makabryczny zbiór wydawał się dobrze pełnić swą funkcję przynoszącego szczęście talizmanu. Nowy władca rządził niepodzielnie. Wybory prezydenckie w latach 1998 oraz 2002 wykazały dziewięćdziesiąt osiem procent poparcia dla Obianga. Chyba rzeczywiście zbrojny przewrót stanowił jedyny sposób, by się go pozbyć.

Sześćdziesięciojednoletni prezydent zaprzeczył w końcu, jakoby jadał ludzi, podkreślając zarazem, iż czuje się „katolikiem oraz humanitarystą”. Przy okazji objawił, iż jest żyjącym bogiem. Państwowe radio jego kraju powtarzało twierdzenie Obianga, że

pozostaje on „w stałym kontakcie ze Wszechmogącym” oraz „może podjąć decyzję, żeby zabić, i nie musi przed nikim za to odpowiadać oraz nie pójdzie do piekła”. Mimo samoubóstwienia prezydenta papież Jan Paweł II wziął za dobrą monetę jego deklarację wiary rzymskokatolickiej, czego dał dowód, odprawiając mszę świętą, w której Obiang uczestniczył; miało to miejsce podczas wizyty papieża w Gwinei Równikowej w 1982 roku.

Najwyraźniej życie boga wcielonego wiąże się z określonymi korzyściami materialnymi. Według raportów zamieszczanych w działach finansowych gazet majątek prezydenta wyceniano na dość okazałą sumę sześciuset milionów dolarów netto, co czyniło zeń jedną z najbogatszych głów państw na świecie. Prawdopodobnie osobisty dochód Obianga z licencji udzielanych międzynarodowym przedsiębiorstwom na wydobycie ropy naftowej przekraczał dziesięć milionów dolarów tygodniowo; tymczasem większość obywateli jego kraju dysponowała ograniczonym dostępem do czystej wody pitnej, elektryczności i opieki zdrowotnej. Zgodnie z raportem Światowej Organizacji Zdrowia średnia długość życia w tym kraju wynosi zaledwie czterdzieści osiem lat - niewiele więcej niż we wstrząsanej wojną Liberii. Kiedy Obiang ponownie ogłosił swą boskość, uznał też za obowiązek prezydenta osobiste sprawowanie pełnej kontroli nad skarbem państwa. Jak wyjaśnił, było to posunięcie mające na celu położenie kresu „korupcji w łonie rządu” przywłaszczającego sobie dochody z ropy naftowej. Jego syn i przypuszczalny następca tronu, a na razie producent muzyki rap w Los Angeles, znany jako Teodorín, choć otrzymywał skromną pensję wynoszącą rocznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, zdołał zgromadzić imponującą kolekcję wozów marek Lamborghini, Ferrari oraz Bentley. Myśl o tym, iż miałby naprawdę zostać spadkobiercą Obianga, przyprawiała o zimne dreszcze zachodnie rządy importujące coraz większe ilości zachodnioafrykańskiej ropy naftowej, ponieważ w ich interesie leżała przede wszystkim stabilność władzy w regionie, a co za tym idzie, stały dopływ surowca.

Gwinea Równikowa posiada bogate zasoby ropy naftowej. Jest trzecim producentem tego surowca w Afryce Subsaharyjskiej, a mała, zatęchła równikowa wysepka Bioko siedzi na samym czubku gigantycznego zbiornika ropy naftowej najlepszego gatunku, według pewnych źródeł zawiera on 1,1 miliarda baryłek surowca. Gwinea Równikowa wytwarzała 250 tysięcy baryłek dziennie. Same Stany Zjednoczone importowały stamtąd w roku 2001 niemal 5,5 miliona baryłek. W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 2002 roku sprowadziły z Gwinei Równikowej tyle ropy, co przez cały rok 2001, a bezpośrednie inwestycje USA w tym kraju sięgnęły już 1,7 miliarda dolarów.

Klucze do prezydenckiego pałacu oznaczały licencję na drukowanie pieniędzy - tyłu,

ile najemnik mógłby sobie zamarzyć.

Minęły trzy tygodnie. Niespodziewanie odezwał się do mnie Simon Mann. Usiłował nawiązać kontakt z Nickiem. Odpowiedziałem mu, że i ja próbowałem. Od tygodni żadnemu z nas się to nie udało. Obiecałem, że w miarę możliwości przekażę wiadomość, i natychmiast wybrałem wszystkie znane mi numery Nicka. Na żaden z nich nie uzyskałem połączenia.

Dzielił mnie już tylko miesiąc od wyjazdu do Sierra Leone, gdzie miałem kręcić film dla BBC. Przygotowania do tej wyprawy różniły się znacznie od czynności, jakie podejmowałem w związku z poprzednimi wyjazdami do Afryki Zachodniej. W BBC obowiązywały skomplikowane procedury, dokonywało się oceny ryzyka, należało zapoznać się z opasłymi tomami *Wskazówek dla producentów*. Nauczyłem się opisywać wyzwania, jakim być może będę musiał stawić czoło w terenie, językiem optymistycznym, niebudzącym niepokoju. Na przykład Liberia została określona jako „nieprzyjazne środowisko, w którym rozpoznano szereg potencjalnych przeszkód zagrażających personelowi produkcyjnemu, jednak - dzięki odpowiedniemu planowaniu oraz uwzględnieniu strategii na wypadek sytuacji kryzysowych - nie na tyle uciążliwych, żeby miały zakłócić pomyślną realizację zamówienia”. Mimo straszliwej biurokracji BBC cieszyłem się, że znów jadę do Afryki Zachodniej i przekonam się, jakie zmiany zaszły w Liberii, odkąd umilkły tam strzały.

Wreszcie, 9 września 2003 roku, Nick znów wypłynął na powierzchnię. W odpowiedzi na moje pytanie o czas dokonania przewrotu napisał mail: „James, na razie brak ustaleń. Będę Cię informował”.

Znaczyło to, że operacja pozostaje aktualna.

Pod koniec pierwszego tygodnia października rozpocząłem pierwszą turę długotrwałej, ciężkiej harówki w Afryce Zachodniej. Chodziłem po Monrowii, przeszedłem mostami, o które toczyły się bitwy; zginęły podczas nich dziesiątki młodych bojowników i setki osób postronnych. Znalazłem się w miejscu, gdzie Tim i ja filmowaliśmy Iron Jacketa strzelającego do szabrowników, a gdzie później, wieczorem tego samego dnia, pośród trupów zalegających ulicę piliśmy z butelek skradzione, ciepłe piwo marki Club.

W gruncie rzeczy cel wszystkich walk stanowiło zdobycie tych mostów; tylko w ciągu ostatnich czterech lat wojny zginęły tam trzy, a może nawet cztery tysiące ludzi. Dokładnych liczb nie sposób było ustalić. Niemal wszyscy partyzanci, o których pytałem, padli właśnie przy mostach, choć część z nich rozstrzelali ich towarzysze, często właśnie za szabrownictwo. Dragon Master ukrywał się gdzieś w stolicy; Deku zyskał pośmiertnie sławę ponurego zwiastuna śmierci. Popularny slogan głosił: „Nigdy więcej Deku, nigdy więcej Taylora”.

Znalazłem się w smutnym mieście, pełnym ludzi pozbawionych dachu nad głową,

pokładających rozpaczliwą nadzieję w nieudolnej i skorumpowanej misji pokojowej Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz w kleptokratycznym rządzie przejściowym. Adrenalina, pycha, animusz przebytych bitew rozpuszczały się nieubłaganie w mdłej rzeczywistości miejskiego ubóstwa.

Udałem się znów do Tubmanburga i spotkałem się tam z Connehem, postacią niemal tragiczną, rycerzem przegranej sprawy, który, jak się okazało, wciąż usiłował ubić z Nickiem interes. Jednak teraz, gdy cały kraj przemierzały patrole sił pokojowych, a Amerykanie mieli wszystko na oku, szanse zorganizowania wspólnego przedsięwzięcia zajmującego się wydobywaniem diamentów malały z dnia na dzień. Liczący się liberyjscy gracze szli naprzód, przygotowywali się do wyborów, tymczasem żołnierze Sekou popadali w apatię, wciąż uzbrojeni, coraz młodszy. Wokół kręciły się tuziny dzieciaków dźwigających kałasznikowy, a Conneh zasiadał w otoczeniu gwinejskich strażników, niczym jakiś surrealistyczny Hamlet.

Gdy chodziłem po mieście, zaczepiali mnie ludzie, którzy chcieli się przywitać - cywile pamiętający mnie z czasów wojny, partyzanci, których filmowałem w trakcie walk. Targ znowu działał, pojawiło się małe kino. Ludzie wyszli z lasu, powrócili do swych domów, do swojego życia. Wszystko prezentowało się inaczej. Dachy załatano blachą lub arkuszami plastiku sprowadzonego za sprawą Organizacji Narodów Zjednoczonych, na ścianach noszących ślady strzałów zawieszono luźne płachty brezentu. Odnalazłem miejsca, w których rozstrzeliwano więźniów; miejsca, w których szukałem schronienia, lub takie, gdzie paliłem papierosa, wycieńczony i zdumiony tym, że udało mi się przeżyć. Taras, na którym spędziłem tak wiele godzin najpierw z Nickiem, a potem z Timem, był zawieszony praniem, dobiegały stamtąd dziecięce głosy. Przykucnąłem i otarłem pot z powiek, potem dotknąłem dłońmi gorącej, pylistej ziemi. Liberia weszła mi w krew i nic nie potrafiłem na to poradzić, odcisnęła niezatarte piętno. Cieszyłem się, że przyjechałem jeszcze raz, spotkałem się z Connehem i przeszedłem po raz ostatni ścieżki wydeptane w czasie wojny, lecz pokrętna polityka oraz dwulicowość pokojowego kompromisu obrażała pamięć ludzi, którzy zginęli, których filmowałem i z którymi zawarłem przyjaźń. Kiedy tydzień później wyjeżdżałem, wiedziałem, że nigdy już tam nie wrócę.

*

Podczas przerwy w filmowaniu udało mi się wreszcie porozmawiać z Nickiem. Robił szybkie postępy. Wstępne rozpoznanie celu odbyło się pomyślnie. Stał się teraz współnikiem w interesach brata prezydenta, którego zamierzał obalić. Właśnie negocjował kontrakt dotyczący ochrony połowów morskich (i w tym celu zamierzał nabyć w Kapsztadzie statek), opracowywał też projekty dotyczące rolnictwa oraz liczył, że wkrótce uda mu się podpisać

umowę, na mocy której założy przedsiębiorstwo lotnicze. Wszystkie te biznesy stanowiły przykrywkę, dzięki nim mógł przeprowadzić dogłębne rozpoznanie sytuacji na wyspie, według podręcznikowych metod sił specjalnych. Firmy te służyły także dwu innym celom: po pierwsze, były doskonałym pretekstem, by sprowadzić tam ludzi, sprzęt, jednostki pływające, a w przypadku ochrony połowów morskich - nawet broń; po drugie zaś, mogły same z siebie przynosić zyski i stanowić coś na kształt polisy ubezpieczeniowej w razie, gdyby do zamachu nie doszło. Nick załatwił swoim ludziom stałe kwatery, sam także często „tam” przyjeżdżał. Słyszałem w jego głosie szczery entuzjazm; albo nie mógł się nadziwić swojemu szczęściu w interesach, albo starannie odgrywał swoją rolę, rozmawiając przez telefon, który, jak obaj doskonale wiedzieliśmy, z pewnością był na podsłuchu.

- A co z „przygodą”? - spytałem, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt natarczywie. - Sprawa jest nadal aktualna?

- Tak - odparł. - Będę cię informował na bieżąco.

Pogadaliśmy jeszcze o sytuacji w Liberii, opowiedziałem mu o swoim filmie dla BBC. Nick nie wytłumaczył w żaden sposób, co się z nim działo, kiedy się nie odzywał. Przypuszczałem, że w tym czasie zbierał informacje dotyczące celów, które miały zostać zaatakowane. Poprosiłem go też, żeby dał mi kontakt do Simona. Kilka tygodni wcześniej skradziono mi telefon, dlatego odważyłem się poprosić Nicka o ten numer.

- Przykro mi, nie mam.

Aż mnie zamurowało.

- Jak to, nie masz telefonu do Simona?

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem. Po drugiej stronie przez dłuższą chwilę panowała cisza, jakby musiał zebrać myśli.

- Nie, nie mam jego numeru - odpowiedział wreszcie stanowczo.

Skończyliśmy rozmowę. Stałem w oknie gabinetu swojego nowego londyńskiego mieszkania i spoglądałem na ogrody North Kensington. Nick mnie okłamał. O ile wiedziałem, po raz pierwszy. Może zerwali współpracę? A może próbuje mnie przed czymś chronić? W porównaniu z meandrami planowanego zamachu sprawy związane z Liberią wydawały się zdumiewająco proste. Jeździłem do Afryki, to znów wracałem, zyskując sobie coraz większą akceptację jako jedna z twarzy telewizyjnego dziennikarstwa. Podczas ceremonii w Londynie odebrałem dwie nagrody Rory Pecka - cenione w branży wyróżnienia przyznawane wyłącznie niezależnym kamerzystom. Po nich pojawiły się kolejne nominacje i nagrody. Trudno mi było potraktować je jako odpowiednie zadośćuczynienie; uznanie dla moich osiągnięć zawodowych oznaczało zbyt wiele przelanej krwi, nie mówiąc już o niesłychanym zamęczeniu,

jaki zapanował w moim życiu osobistym.

Po powrocie z ostatniej wyprawy dla BBC wybrałem się do Kentu, żeby odwiedzić dziadka, Dona. Gdy tylko wszedłem do pokoju, wiedziałem już, że umiera. Mama i babcia wspierały go, nie traciły nadziei, najwyraźniej nie potrafiły dostrzec, co rozgrywało się przed ich oczami. Dla mnie było to oczywiste, może dlatego, że tak wiele śmierci widziałem w Liberii. Nikt nie wymawiał głośno słowa „rak”, a zwłaszcza Don, który w ogóle nie lubił o tym rozmawiać, żeby nie martwić babci.

- Jak ci się układa z Kathi? - spytał. Powiedziałem mu, że wszystko w porządku. Tak mi się jeszcze wtedy wydawało. - To znaczy, wiesz, oczywiście, że dzieli nas spora różnica wieku i tak dalej... Ale jest świetnie zorientowana, mamy do czynienia z tymi samymi ludźmi, robimy właściwie to samo, tylko podchodzimy do tego z dwóch różnych stron. Zna wszystkich. Jest wprost niesamowita.

Mój dziadek niemal niedostrzegalnie uniósł brwi.

- Zapewne kryje w sobie więcej zalet, niż mogą dostrzec osoby postronne - stwierdził.
- Tak czy inaczej, cieszę się, że jest wam ze sobą dobrze.

Nadeszła zima. Stan zdrowia mojego dziadka wciąż się pogarszał. W Boże Narodzenie zasiedliśmy do wieczerzy, towarzyszył nam, choć zaledwie skubnął potraw przygotowanych przez mamę, babcię i Kathi. Doszło do przerzutu nowotworu na kości udowe. Rak go pożerał. W styczniu stało się już jasne, przynajmniej dla mnie i dla Kathi, że nie zostało mu już wiele czasu. Trzeba było mu podawać morfinę w coraz większych dawkach, znajdował się pod nieustanną opieką rodziny oraz wyspecjalizowanych pielęgniarek; zaczął zapadać w długie, narkotyczne sny na jawie, które pozwalały mu uwolnić się od świadomości cierpienia.

Odkąd tylko pamiętałem, dziadek był dla mnie właśnie Wielkim Tata. Grand Dad. Gdy byłem dzieckiem i dręczyły mnie koszmary, siadał przy mnie na łóżku i rozśmieszał mnie albo opowiadał historyjki, dopóki nie usnąłem. Spędzał ze mną godziny na chłostanym wiatrami pomoście wychodzącym w morze, kiedy próbowałem, z rzadkim powodzeniem, złowić coś na kolację. Pozwalał mi wybijać dziury niemal we wszystkim w swoim ogrodzie, gdy zabawiałem się strzelaniem z wiatrówki. I wykazał mnóstwo cierpliwości, pokazując mi, jak się uprawia ziemniaki.

Nauczył mnie recytować tabliczkę mnożenia, a potem prowadzić samochód. Kiedy skończyłem uniwersytet, wziął mnie na bok i odbył poważną rozmowę, żeby upewnić się, czy dobrze rozumiem, że jako mężczyzna mam wobec rodziny określone zobowiązania.

Gdy zacząłem pracować, wspierał mnie. Kiedy podróżowałem samotnie po Palestynie

i ciężko zachorowałem, to właśnie jego numer telefonu powtarzałem w kółko sanitariuszom, którzy usiłowali mnie leczyć; kiedy nocą zepsuł mi się samochód w obozie uciekinierów nad granicą Afganistanu, zadzwoniłem do niego; kiedy na pustyni Kalahari pękła mi opona, zadzwoniłem do niego, bo przecież właśnie Don wiedział, jak należy w takiej sytuacji postąpić.

Obserwował, jak popełniałem błędy, i pomagał mi się na nich uczyć. A kiedy trafiał mi się czas wolny, cieszył się każdą chwilą spędzoną razem ze mną.

Wziąłem z BBC wstępne wersje filmów, nad którymi pracowałem; oglądał je, siedząc na łóżku, kiedy przestawały działać opiaty. Opowiedziałem mu o nominacji do nagrody Royal Television Society na najlepszego kamerzystę roku. Ujął moją dłoń i skinął głową.

- I tego nikt ci nie odbierze - stwierdził z dumą.

Babcia przyniosła niebieski album z czarno-białymi zdjęciami z czasów drugiej wojny światowej. Siedzieliśmy razem, opowiadał mi o swoim pobycie w Palestynie, El Alamein, Tobruku i we Włoszech. Jego przystojne oblicze spoglądało na mnie pośród piasków pustyni. Sześćdziesiąt lat jego ciężkiej pracy i dokonań było dla mnie wzorem, który tak bardzo i najczęściej tak nieskutecznie starałem się naśladować.

Notowałem ołówkiem, kiedy całkiem przytomny, wymieniał nazwiska towarzyszy broni, wspominając ich ciepło, przywracając ich w ten sposób życiu na jeszcze kilka godzin. Na jednym ze zdjęć, krzywym i poruszonym, ujrzałem całe rzędy włoskich jeńców wojennych ustawionych wzdłuż pobocza szosy.

- Sfotografowałem ich ze skrzyni naszej ciężarówki. Jechaliśmy wtedy na front, do Libii.

Odłożył album i znów wziął mnie za rękę. Jego oczy szklily się od nieprzelanych łez.

- Wiesz - odezwał się głosem wciąż mocnym, lecz już lekko się załamującym. - Nie wiem, czy z tego wyjdę.

To było pytanie, nie tylko stwierdzenie. Nie potrafiłem mieć go kłamstwami, ale nie umiałem też powiedzieć mu prawdy.

- Cóż, ja też nie wiem. Ciężka sprawa. Ale trzeba walczyć, no nie?

I wtedy ujrzałem w jego oczach to samo spojrzenie, które widziałem już w tylu innych twarzach, w Afryce. Wyruszał znów na front, nie wiedząc, czy z niego wróci.

Gdy przyjechałem z powrotem do Londynu, ledwo zaczął się nowy rok, Kathi i ja zerwaliśmy ze sobą. Nasz związek zawalił się pewnej nocy pełnej oskarżeń i wyrzutów - a także ostro zakrapianej alkoholem. Kiedy wybraliśmy się na kolację do lokalnego klubu dziennikarskiego, byłem na tyle pijany, że trudno mi było iść prosto, co dopiero mówić o

trzeźwym myśleniu. W gruncie rzeczy chciałem być sam, a obecność Kathi, wraz z intrygami towarzyszącymi jej pracy, stopniowo doprowadziła do tego, że nasze wspólne życie stało się jakby spotęgowaniem samotności każdego z nas. Związek z nią przypominał mi grę, tylko że byłem zbyt zmęczony, żeby grać w nią dalej.

Rozegrała się brzydka scena. Wreszcie wybiegłem na dwór, rozwścieczony jej grzecznymi wykrętami. Zataczając się, przeszedłem na drugą stronę zawsze ruchliwej drogi przed klubem, dopiero potem padłem. Uwalilem się na chodnik i zadzwoniłem do Tima. Stwierdził, że mój głos brzmi jakoś dziwnie. Powiedziałem mu, że rozstałem się z Kathi. A później nagle zmieniłem temat. Z całą mocą walnęło mnie wspomnienie z naszej podróży do Monrowii, reminiscencja jednego szczególnie istotnego epizodu, którego prawdziwe znaczenie tłumilem przez tak długi czas.

- Tim, chłopie, musisz mi wybaczyć, strasznie potrzebuję, żebyś mi wybaczył - powtarzałem w kółko. Nie wiem, skąd brały się te słowa. - Zostawiłem cię tam, w Monrowii. Myślałem, stary, że cię trafili, ale się nie zatrzymałem, zostawiłem cię. Tak strasznie się bałem, kurwa, jak ja się bałem, stary. Nie chciałem umrzeć. Przepraszam. Wybacz mi...

Łagodnie przerwał ten pijacki bełkot, próbując ostrożnie dotrzeć do istoty mojej hysterii.

- W porządku, obaj się baliśmy. Nic się nie stało, poważnie. Już dawno o tym zapomniałem, przecież to bez znaczenia. Naprawdę, nieważne. Jesteś moim bratem, jesteśmy braćmi. Nikt tego nie zrozumie. Nikt nie zrozumie, jak to jest. No już, w porządku.

- Żadne w porządku. Naprawdę, wcale nie jest w porządku. Mój dziadek umiera. Wiesz? Bardzo niedługo już umrze, a nikt nie ma odwagi tego przyznać, powiedzieć tego na głos. I nikt nie rozumie, dlaczego to tak strasznie boli. Przecież to tylko staruszek, nie? Pięknie przeżył swoje życie.

Szlochałem rozpaczliwie, drżąc na styczniowym mrozie.

- Nie był tchórzem. On mnie nigdy nie zawiódł, zawsze był przy mnie, kiedy go potrzebowałem. Nikt inny tego nie rozumie, stary. Jestem tylko tchórzem.

Nie wiem, jak długo mnie uspokajał, ale w końcu przestałem się mazać i zamilkłem. Zwinąłem się w kłębek na chodniku, usnąłem. Gdy się zbudziłem, wciąż jeszcze panował mrok. Wróciłem do domu, gdzie czekała na mnie roztrzęsiona Kathi, chyba gotowa wybaczyć - ale sprawy zaszły zbyt daleko. Następnego ranka odeszła. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Wreszcie zacząłem odnosić wrażenie, że kontroluję moje życie osobiste. Robota dla BBC się skończyła, nie mogłem się już doczekać „afrykańskiej przygody”. Zatelefonowałem do Nicka, który akurat był w Republice Południowej Afryki. Przekazał mi zaskakującą

wiadomość.

- Ag, ciekawie się zapowiada - zaczął. - Interesy idą bardzo dobrze. Zakładamy firmę z udziałem rodziny prezydenta, zresztą mamy też mnóstwo innych planów. Może się okazać, że przeprowadzenie naszej akcji wcale nie będzie konieczne. Tutaj da się tyle zarobić, że może nie trzeba go będzie usuwać.

Po ośmiu miesiącach wyczekiwania taka wiadomość sprawiła, że poczułem się głęboko zawiedziony. Kontrakt z BBC wygasł, kolejne propozycje się nie pojawiały. Nie miałem innego pomysłu niż udział w projekcie Nicka. Prawdę mówiąc, bardzo na to liczyłem.

- No cóż. W każdym razie, gdyby jednak doszło co do czego...

Umilkłem, starając się dobrać najodpowiedniejsze słowa. Zawsze rozmawialiśmy przy użyciu swobodnego kodu, który zresztą ewoluował z miesiąca na miesiąc.

- Jeśli zdecydujecie się działać, na ile wcześniej będę o tym wiedział? Jestem spakowany i gotowy w każdej chwili. Myślę, że to by były wspaniałe wakacje, a w dodatku mam ugadanych znajomych, którzy może byliby zainteresowani kupnem pamiątek.

W rzeczywistości nie miałem żadnego zamówienia na film o zamachu. Zamierzałem go nakręcić i dopiero potem sprzedawać.

- Czterdzieści osiem godzin - powiadomił mnie Nick.

- A co z tym dużym krajem pośrodku? Słyszeć coś nowego?

Od spotkania w Paryżu nie rozmawialiśmy o Kongu.

- *Ja* - potwierdził. - Sprawa jest nadal aktualna.

To podniosło mnie na duchu. Gdzieś, kiedyś, ale jednak w końcu wyruszymy razem.

Nim się rozłączył, powiedział jak zawsze:

- Będziemy w kontakcie.

Czekałem i czekałem, nie wiedząc, co się dzieje. Wysyłałem SMS-y oraz maile w bezrozumnej nadziei, że coś w ten sposób przyspieszę. A potem umarł mój dziadek.

Rankiem ostatniego dnia jego życia wybierałem się do Londynu na spotkanie; mama zasugerowała mi, żebym się z nim pożegnał. Nazajutrz miał obchodzić osiemdziesiąte trzecie urodziny. Zrozumiałem, o czym mama myśli. Nie znaleźliśmy dnia ani godziny. Pochyliłem się nad jego wyniszczoną postacią, objąłem go ramionami. Ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a przecież był lekki jak dziecko. Przytomny, świadomy, spoglądał na mnie błękitnymi oczyma, które teraz zapadły się w czaszce.

- Większość ludzi uważa, że mają szczęście, jeśli kiedykolwiek spotkali swojego bohatera - rzekłem. - A mój bohater czuwał nade mną przez całe życie.

Oddychał głęboko, słyszeć było charczenie w zrujnowanych płucach. Pocałowałem go

w policzek i powiedziałem, że go kocham. Chwycił moją dłoń tak mocno, jak tylko mógł.

- Jesteśmy tacy sami, ty i ja. Tacy sami.

To była najwyższa pochwała, jaką mógłbym sobie wymarzyć. Pocałowałem go raz jeszcze i pożegnaliśmy się.

4 marca 2004 roku mój dziadek, Don Sim, został poddany kremacji podczas kameralnej, rodzinnej uroczystości niedaleko jego domu w Kent. Przez cztery dni mama, babcia i ja, odcięci od świata, wspominaliśmy, dzieliliśmy się ciężarem pamięci. 9 marca wróciłem do Londynu. Przez jedenaście minionych dni nie czytałem gazet, nie słuchałem wiadomości, nie sprawdzałem poczty. W Kent nie działał nawet mój telefon komórkowy. A kiedy znalazłem się w swoim londyńskim mieszkaniu, zaciągnąłem zasłony, włączyłem ogrzewanie i w tym pustym, chłodnym wnętrzu zaparzyłem sobie herbatę. Potem włączyłem radio; wieść gruchnęła niczym grom z jasnego nieba.

W nocy z 7 na 8 marca na lotnisku w stolicy Zimbabwe, Harare, zatrzymano boeinga 727, który przewoził na swoim pokładzie sześćdziesięciu czterech mężczyzn podejrzanych o to, że są najemnikami. W lukach samolotu znaleziono wyposażenie wojskowe. Osiemnaście godzin później w Gwinei Równikowej aresztowano kolejnych piętnastu podejrzanych, w tym kilku obywateli Republiki Południowej Afryki; zarzucono im, że prowadzili przygotowania do zamachu, w którym mieli wziąć udział zatrzymani w Zimbabwe. Jak sądzono, wspólnie szykowali zbrojny przewrót w stolicy Gwinei Równikowej, Malabo.

Sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do Nicka.

III

15. Simon mówi

- Halo? - to był głos Nicka. Odetchnąłem z ulgą. Dzięki Bogu.

- Właśnie słyszałem wiadomości. U ciebie wszystko w porządku, stary?

W słuchawce zaszumiało, potem rozległo się głośnie stuknięcie. Brzmiało to jak szarpanina, albo jakby Nick upuścił telefon.

Połączenie zostało przerwane. Zadzwoiłem powtórnie. Pamiętam, że stałem wtedy, przestępując nerwowo z nogi na nogę, w pakamerze swojego mieszkania, wokół piętrzyły się stosy odbitek z okresu zarzuconej kariery fotograficznej. Połączenie zostało nawiązane.

- Kto mówi?

Teraz odezwał się jakiś obcy głos, usłyszałem silny afrykański akcent. Brzmiało to prawie tak, jakby mówił po hiszpańsku.

- Tu James - odpowiedziałem. - James z Londynu.

- Jak nazwisko?

Poczułem niemiły ucisk w żołądku. Ton tego pytania nie zapowiadał niczego dobrego.

- Jestem przyjacielem Nicka. Chciałbym z nim porozmawiać, jeśli można prosić.

Nastąpiła długa pauza, podczas której w słuchawce rozlegały się tylko trzaski i szum.

- Nick nie może w tej chwili podejść do telefonu. Jest pod prysznicem. Proszę zadzwonić za godzinę.

Nie miałem wyboru, więc obiecałem, że tak właśnie zrobię. Upłynęło sześćdziesiąt minut, po tamtej stronie znów ktoś odebrał, ale kiedy spytałem o Nicka, w słuchawce zapanowała głucha cisza. Podczas trzeciej próby odezwała się poczta głosowa. Potem już nie udało mi się uzyskać połączenia. Kontakt się urwał, nim został nawiązany.

Chodziłem tam i z powrotem po małym pokoju, próbując pozbierać myśli. Wiedziałem o przewrocie niemało, lecz zarazem nie dość, by teraz jakoś pomóc Nickowi. W zasadzie jedyne, co wtedy mogłem dla niego uczynić, to zamknąć gębę na kłódkę i nie otwierać jej, choć przekreślałem w ten sposób swoją szansę na zrelacjonowanie wydarzeń. Włączyłem radio, otworzyłem skrzynkę mailową. Przygotowałem się na to, że pozostanę widzem i świadkiem historii, którą miałem nadzieję sam opowiedzieć.

Mniej więcej po godzinie zadzwonił telefon. Dzwonił facet z mieszczącego się w Molesworth Joint Analysis Center armii amerykańskiej - ściśle tajnego ośrodka we wschodniej Anglii, gdzie CIA, DIA, a także rozmaite jednostki wywiadu wojskowego (łącznie z MI6 oraz innymi zagranicznymi służbami wywiadowczymi) zarządzały danymi

pochodzącymi z Afryki, Europy i Bliskiego Wschodu. Zadał dość podstawowe pytanie:

- James, do cholery, co się dzieje?

Musiałem wyznać, że tak naprawdę nie wiem. Próbowałem go przycisnąć, żeby przekonać się, czy on dysponuje jakimiś informacjami, ale utrzymywał, że całe to wydarzenie było „dla wszystkich” pełnym zaskoczeniem. Poprosił mnie bardzo grzecznie, żebym się z nim skontaktował, jeśli się czegoś dowiem, po czym odłożył słuchawkę. Zatelefonowałem do Franka, mojego znajomego z amerykańskiego wywiadu; jednak nie odbierał.

W wiadomościach nie wymieniono ani razu Nicka czy Simona po nazwisku. Zacząłem przeszukiwać internet, by znaleźć tam jakieś wskazówki. Dziennikarze zapełniali całe strony spekulacjami i domysłami. Zaczęły się też pojawiać pierwsze znaczące sygnały. Do agencji informacyjnej Reuters zatelefonował ktoś, kto przedstawił się jako Charles Burrows. Twierdził, że jest przedstawicielem Logo Logistics Limited, przedsiębiorstwa będącego właścicielem zatrzymanego samolotu. Powiedział, że całe to wydarzenie jest „strasliwym nieporozumieniem”: ludzie przewożeni na pokładzie maszyny wcale nie byli najemnikami, lecz pracownikami ochrony zatrudnionymi przez kierownictwo pewnej kopalni w Demokratycznej Republice Konga. Jakby na potwierdzenie tych słów, materiał przekazany przez państwową telewizję Zimbabwe ukazywał umundurowanych funkcjonariuszy dokonujących inspekcji wyposażenia skonfiskowanego w samolocie; były tam śpiwory, wojskowe buty, telefony satelitarne i radiostacje - ale żadnej broni.

Gdy dzień miał się ku końcowi, pojąłem, że została tylko jedna osoba, do której naprawdę powinienem zadzwonić. Przejrzałem spis kontaktów w telefonie, po czym wybrałem numer domowy Nicka. Odebrała jego żona. Wtedy rozmawiałem z nią po raz pierwszy, zresztą po raz pierwszy miałem też do czynienia z osobą bliską Nickowi; dotąd kontaktowałem się tylko z Cobusem, Pietem - szpiegiem z Monrowii - oraz Simonem Mannem. Była zdruzgotana, lecz niewiele wiedziała. Nick przebywał w Gwinei Równikowej, a teraz znikł.

- James - rozpaczła - co teraz się z nim stanie? Byłeś w takich miejscach, wiesz, jacy są ci ludzie. Oni nie są podobni do nas. Ich to wszystko nic a nic nie obchodzi. - Płakała, jej głos się załamywał, zniekształcał w miarę, jak docierała do niej złowroga prawda. - Przecież oni mogą go zabić - stwierdziła. - Naprawdę mogą go zabić. James, myślisz, że to zrobią? Czy oni go zabijają?

- Cóż - mówiłem, zastanawiając się gorączkowo - by zapewnić Nickowi jako takie bezpieczeństwo, warto rozgłosić całą sprawę. Musi pani narobić jak najwięcej hałasu. Nie wiemy, czy go torturowano albo maltretowano w jakiś inny sposób, więc na razie możemy

tylko mieć nadzieję, że wszystko pójdzie jak najlepiej, ale zarazem trzeba przygotować się na najgorsze.

Starannie dobierałem słowa. Przyszło mi na myśl, że przecież nie wiem, na ile Nick wtajemniczył ją w swoją „afrykańską przygodę”. Nie miałem też pojęcia, czy jej telefon jest na podsłuchu.

- Nick ma określone prawa, niezależnie od tego, co zrobił, co mógł zrobić albo zamierzał zrobić. Wygląda na to, że w rzeczywistości nie uczynił zupełnie nic, co świadczy na jego korzyść, ale nawet gdyby planował jakieś nielegalne działania - choć wiemy, że nic takiego nie miało miejsca - nadal dysponowałby określonymi prawami. Wie pani, o co mi chodzi. Prawo do właściwego traktowania, do obrońcy prawnego, do sprawiedliwego procesu.

Nie wyglądało na to, żebym ją przekonał, jednak mówiłem dalej:

- Możliwe, że w najbliższym czasie zostanie uwolniony. Jednak na wypadek, gdyby mieli go przetrzymywać dłużej, należy już teraz skontaktować się z Amnesty International oraz innymi organizacjami zajmującymi się prawami człowieka, ze wszystkimi, do jakich uda się pani dotrzeć, a następnie pomóc im w upublicznieniu wiadomości, że Nick został uwięziony. Zresztą wyślę pani listę. I proszę pamiętać, trzeba to zrobić jak najszybciej, koniecznie.

Dopiero po tej rozmowie, a nawet jeszcze później, wieczorem, zdałem sobie sprawę, co tak naprawdę się wydarzyło - z mojego punktu widzenia. Wiadomości w radiu i na stronach internetowych wydawały się dotyczyć jakichś wydarzeń odległych, do tego stopnia, że na pewien czas zapomniałem, jak mało brakowało, bym znalazł się tam razem z Nickiem. Równie dobrze to moja matka albo Tim mogliby teraz wydzwaniać do Amnesty International. Upiekło mi się. Ocalił mnie mój dziadek.

Nazajutrz w oficjalnych doniesieniach wymieniono Simona Manna jako jednego z zatrzymanych w Zimbabwe - aresztowano go w Harare, na lotnisku, razem z jeszcze dwiema osobami, kiedy zamierzał spotkać się z najemnikami z boeinga 727. Było ich sześćdziesięciu czterech, do tego trzy osoby załogi odrzutowca. Wymieniono także nazwisko niejakiego Simona Witherspoona, byłego żołnierza sił zbrojnych RPA (oraz dawnego pracownika Executive Outcomes), który teraz pełnił funkcję rzecznika pasażerów zatrzymanego samolotu. Nick natomiast został nazwany przewodnikiem grupy aresztowanych w Malabo, stolicy Gwinei Równikowej. Nie wyglądało to najlepiej.

Znów zatelefonowałem do Franka, tym razem wreszcie udało mi się z nim połączyć. Znajdował się w Afryce Zachodniej, ale stwierdził, że nie wie na interesujący mnie temat

więcej niż ktokolwiek inny.

- Frank - nie dawałem za wygraną - jesteś wysokim rangą oficerem polowym wywiadu. Naprawdę chcesz mi wmówić, że usłyszałeś po raz pierwszy o tym wszystkim dopiero wtedy, gdy aresztowano Simona?

Zapewnił mnie, że tak właśnie było. Potem Frank spytał mnie, co ja wiem na ten temat, ale przecież musiałem być ostrożny, dlatego oświadczyłem, że o niczym wcześniej nie słyszałem. Nie mogłem przewidzieć, na czym biurku wyląduje raport z tej rozmowy. Na tym etapie nawet pozornie niewinny strzęp informacji mógł spowodować oskarżenie Nicka o zdradę stanu - i to w kraju słynącym ze stosowania tortur oraz licznych egzekucji.

- A czy masz jakieś wiadomości o aresztowanych w Zimbabwie? - spytałem.

Okazało się, że trafiłem w sedno. Frank zainteresował się tą sprawą osobiście, ponieważ kilku z mężczyzn zatrzymanych razem z Simonem zaliczało się do jego przyjaciół i niejednokrotnie byli „legalnie zatrudniani przez rząd USA do różnych poruczeń”. Dzięki sieci kontaktów wśród najemnych cyngli z Afryki Południowej Frank szybko poznał nazwiska innych aresztantów.

Simon Witherspoon oraz drugi żołnierz z Republiki Południowej Afryki, niejaki Raymond Archer, zostali zatrudnieni w Afryce Zachodniej rok po przeprowadzeniu ewakuacji przeciwników Taylora z ambasady amerykańskiej w Monrowii, w 1998, o czym opowiadał mi Cobus, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy na temat kręcenia filmu w Liberii. Kilku innych białych zatrzymanych w Harare - między innymi Louis du Preez - pracowało również na rzecz Amerykanów; wszyscy zaliczali się do grona najemników Executive Outcomes, a większość, jak podkreślił Frank, służyła razem z Nickiem w Recces.

Oprócz tych dawnych powiązań z armią USA aresztowanych w Zimbabwie łączył z Ameryką jeszcze inny wątek: boeinga 727, którym przylecieli z Republiki Południowej Afryki, zarejestrowano w Stanach i do niedawna używała go 201. Eskadra Transportu Lotniczego Gwardii Narodowej. Dopiero ostatnio samolot został sprzedany przez rząd przedsiębiorstwu, które dostarczyło go Simonowi w 2002 roku. Frank uznał, że to zabawny zbieg okoliczności, i uważał, że warto pójść tym tropem, gdyż może to niejedno wyjaśnić.

Z pewnością nie za sprawą zbiegu okoliczności tak wielu z sześćdziesięciu czterech żołnierzy aresztowanych na pokładzie samolotu w Zimbabwie służyło wcześniej w budzącym grozę 32. Batalionie „Buffalo”, z którego szeregów rekrutowała się większość najemników Executive Outcomes. Źródła dyplomatyczne utrzymywały, że dwudziestu pojmanych legitymowało się obywatelstwem RPA, osiemnastu to Namibijczycy, dwudziestu trzech pochodziło z Angoli; jeden był z Zimbabwe, lecz dysponował paszportem RPA. Ponadto

znalazło się tam dwóch obywateli Demokratycznej Republiki Konga. Krótko mówiąc, spotkanie starych kumpli po latach.

- Frank - spytałem, nim się rozłączyliśmy - jeśli doniesienia są zgodne z prawdą i Nick rzeczywiście zamierzał obalić Obianga w Gwinei Równikowej, jak sądzisz, czy miał jakieś szanse na powodzenie?

Frank zaśmiał się.

- Powinieneś raczej zapytać, co mogłoby go powstrzymać. Obiang nie ma artylerii przeciwlotniczej, jego armia w większości jest rozpijaczona i pozbawiona jakiegokolwiek wyszkolenia. Nick i jego ludzie rozprawiliby się z tą zgrają gamoni w mgnieniu oka.

Wieczorem ujrzałem Nicka w swoim salonie. Na ekranie telewizyjnym wyglądał zaskakująco młodo; gładko ogolony, w ciemnozielonej koszuli, nie widać było po nim śladów maltretowania. Włosy miał mokre, zmierzwiłone, twarz lśniła od potu. Tylko tyle zostało z jego planów, że koniec końców wystąpił jako gwiazda propagandowego filmu.

Rozmawiał z niewidocznym interlokutorem przemawiającym w imieniu rządu Gwinei Równikowej. Stwierdził, że wypowiada się z własnej woli, że go nie torturowano. Chciałem go zobaczyć wyraźnie; żeby się odwrócił i spojrział w stronę kamery. Wtedy będę wiedział, czy mówisz prawdę - pomyślałem. To, co usłyszałem potem, było dla mnie wstrząsem.

- Pół godziny po lądowaniu naszych ludzi z Afryki Południowej - oznajmił zwięźle i wyraźnie Nick - z Hiszpanii miał wystartować samolot wiozący Severa Moto wraz z nowym rządem.

Severo Moto był jednym z emigrantów politycznych z Gwinei Równikowej. Miał przybyć do Malabo pod osłoną ciemności.

- Planowaliśmy, że wylądują, a Moto miał wkrótce pojawić się na terytorium kraju, aby przejąć władzę - powtórzył Nick. Nie wyglądał na zdenerwowanego, był wręcz zrelaksowany, kiedy opowiadał o roli, jaką w zamachu mieli odegrać Simon oraz inni ludzie aresztowani w Harare.

Oj, stary - pomyślałem - co ty narobił? Nie mieściło mi się w głowie, żeby Nick mógł kogoś wydać albo załamać się pod presją. Może grozili, że go rozstrzelają? - zastanawiałem się. - A może po prostu się z nimi dogadał, poszedł na współpracę?

Potem obejrzałem w wiadomościach zdjęcie Simona Manna jako ucznia Eton, a także, co dość dziwaczne, grającego rolę pułkownika armii brytyjskiej Dereka Wilforda w sfabularyzowanym dokumencie Paula Greengrassa *Krwawa niedziela*. Jak stwierdził któryś z komentatorów, przypominał nieco Richarda Burtona w filmie *Dziki gęsi*.

Trudno mi było pogodzić się z faktem, że ci dwaj profesjonalni żołnierze, z którymi

jadłem kolację w Paryżu, to ci sami, których teraz aresztowano. Ich pewność zwycięstwa okazała się zupełnie bezpodstawna, a uknuty przez nich spisek pruł się w szwach szybciej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Zapał, z jakim przystąpili do realizacji „afrykańskiej przygody”, przysłużył się tylko dwóm obmierzłym reżimom, dostarczając im propagandowej strawy. Rzecznicy prasowi mieli teraz okazję bredzić ile wlezie na temat przyszłej zemsty na „mocarstwach kolonialnych”, „MI6” oraz „jak zwykle CIA” za wtrącanie się w sprawy Afryki. Nicka zapewne czekał proces o zdradę stanu w Gwinei Równikowej; minister spraw zagranicznych Zimbabwe groził karą śmierci Simonowi oraz jego towarzyszom. Nawet Departament Spraw Zagranicznych RPA dołączył do antynajemniczego chóru, ogłaszając, że jeśli ludzie zatrzymani na pokładzie nieszczęsnego 727 okażą się „psami wojny”, wówczas będą pozostawieni łasce sprawiedliwości prezydenta Zimbabwe, Roberta Mugabego.

Za sprawą pechowej „afrykańskiej przygody” Nicka oraz Simona ucierpiało wiele postronnych osób. Nick pozostawił żonę i ukochaną jedenastoletnią córeczkę; także większość z osiemdziesięciu pięciu ludzi, którym groziła kara śmierci lub wieloletnie więzienie, miało rodziny. Za jedną z najpotężniejszych sensacji dekady kryły się ból i cierpienie bliskich. Teraz ujrzałem w innym świetle istotę naszych poufnych rozmów z Nickiem.

- Udało mi się porozmawiać z nim przez telefon - powiadomiła mnie żona Nicka, dziwnie spokojna. - Po emisji programu.

Pozwolono mi przeprowadzić ściśle monitorowaną rozmowę, aby mógł zażądać od niej informacji dotyczących przewrotu, chodziło o to, żeby odnalazła jakieś dokumenty znajdujące się w jego gabinecie. Z tego wywnioskowałem, że wiedziała, po co Nick wybrał się do Gwinei Równikowej, miała dostęp do szczegółów całej operacji. A jednak w jej głosie słyszałem nadzieję oraz oczekiwanie.

- Zapewniał mnie, że u niego wszystko w porządku, naprawdę.

Brzmiało to tak, jakby usilnie starała się przekonać samą siebie. Albo Nick odegrał inną rolę, niż sądziłem, albo starał się po prostu oszczędzić trosk swojej żonie.

- Wiesz, James? Może niedługo wróci. Musimy się modlić.

Jednak Nickowi nie było dane wkrótce wrócić do domu. Wraz z piętnastoma towarzyszami aresztowanymi razem z nim umieszczono go w sławetnym więzieniu Playa Negra, ponurej ruderze z czasów kolonialnych rządów Hiszpanów, wznoszącej się na głównej wyspie archipelagu, Bioko. Owa katownia słynęła jako najstraszliwsze więzienie Afryki, bardziej przypominała Diabelską Wyspę z filmu *Papillon* niż nowoczesną instytucję penitencjarną. Więźniowie chwilowo znikli pośród murów tego labiryntu przemocy.

Nie trwało jednak długo, nim jednemu z Afrykanerów udało się przesłać na zewnątrz gryps, spisany na wewnętrznej stronie paczki po papierosach, w którym opowiadał on o bestialskim traktowaniu osadzonych. Zapis nosi daty 10 i 11 marca, został później przytoczony w raporcie Amnesty International; oto jego treść:

10.3 22:00-23:00 zabrano mnie na przesłuchanie na posterunek policji. Nie miałem prawnika. Zadano mi wiele pytań. Nie znałem na nie odpowiedzi.

1. Zaciśnięte kajdanki wrzynające się w ciało, aż do kości prawego nadgarstka.

2. Bito mnie pięścią. Nie odpowiadałem... Bito po głowie i w szczękę.

3. Zabrali mnie do małego, ciemnego pomieszczenia pod schodami prowadzącymi na dziedziniec posterunku. Tam rzucili mnie na ziemię. Paliło się słabe światło. Zobaczyłem Sergia Cardosę wiszącego twarzą w dół na poziomym drągu przewleczonym przez jego nogi i ramiona. Policjant zaczął zadawać pytania, na które wciąż nie potrafiłem odpowiedzieć. Po każdym pytaniu strażnik stawał na kości mojego podudzia, zdzierając skórę i mięso podeszwą buciora. Trwało to co najmniej 30 minut. Krzyczałem, błagałem, żeby przestali.

4. Potem błagałem, żeby mnie zastrzelili, bo nie mogę już znieść tego bólu i cierpienia... Wciąż nie odpowiadałem, w końcu przestali. Odwieziono mnie o 2:00.

5. 11.3 około 15:00 przymocowano mnie do łóżka kajdankami za prawą rękę. Bito i policzkowano. Złamany prawy kciuk.

6. W łóżku... Uderzenie, straciłem przytomność.

7. Po południu tego samego dnia przypalano mnie zapalniczką.

8. O 17:00 zabrali mnie na posterunek policji i powiedzieli, żebym napisał wszystko, co wiem. Wszystko, co mi przyjdzie na myśl. Czekają mnie takie samo traktowanie albo gorsze niż poprzedniego wieczoru. Byłem przerażony, napisałem zeznanie tak, jakbym był we wszystkim wtajemniczony (a nie byłem), bo znów mieli mnie torturować.

Cardosę zawieszono na drągu rażono prądem, potem poddawano pozorowanym egzekucjom. Licznym więźniom przypalano stopy za pomocą zapalniczki. Wszystkim boleśnie skuto ręce i nogi; bito ich kolbami karabinów oraz zapowiedziano, że zostaną zabici.

Podobnie jak Cardoso kilku innych z piętnastu ludzi aresztowanych razem z Nickiem odbywało służbę w siłach zbrojnych RPA, a niektórzy mieli już do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. José Passocas Domingos (znany jako J.P.) służył w 5., a potem w 4. Pułku Recce, natomiast Marius Boonzaier (pseudonim Bones) - w 1. Pułku Recce, nim przeniósł się do wywiadu sił specjalnych. George Alerson zaczął od 32. Batalionu, potem przeszedł selekcję do 5. Pułku Reconnaissance, w którym służył razem z Nickiem. Miał już za sobą długi pobyt w więzieniu w Mozambiku za udział w nieudanym zamachu na Albiego Sachsa,

działacza, przeciwnika apartheidu, później przez Nelsona Mandelę mianowanego sędzią. Sachs przeżył jeszcze jeden zamach, tym razem w Maputo w 1988 roku; sprawcami byli agenci Civil Cooperation Bureau. W wybuchu bomby podłożonej w samochodzie Sachs stracił rękę i jedno oko.

Gerhard Merz, niemiecki specjalista od awiacji, którego Nick najął za pośrednictwem Simona, był postacią zgoła odmienną: jako menedżer przedsiębiorstwa lotniczego zwanego Central Asian Logistics zaplanował dla Nicka operacje powietrzne w Gwinei Równikowej. Nawet jak na standardy towarzystwa, które Nick zgromadził w Malabo, Merz miał za sobą szczególnie ponurą przeszłość. Rząd Stanów Zjednoczonych twierdził, iż pośredniczył on w latach 1991-1993 w transferze z Chin do Iranu środków służących do produkcji broni chemicznej; w 1994 roku prezydent Bill Clinton złożył podpis pod dekretem, w którym znalazło się stwierdzenie, iż Merz jest winny „rozpowszechniania broni jądrowej, biologicznej i chemicznej”. Trzeba przyznać, że w „afrykańskiej przygodzie” Nicka miała brać udział iście doborowa ferajna.

17 marca Merz został zamęczony na śmierć. Innym pojmanym pokazano ciało pokryte ranami. Na plecach i stopach nieboszczyka widniały poparzenia od płomieni zapalniczek. Władze Gwinei Równikowej utrzymywały, że Merz umarł na malarię mózgową; Amnesty International nie dała wiary temu tłumaczeniu. Pozostali koledzy Nicka ledwie uszli z życiem po przesłuchaniach w pomieszczeniu, które Sergio Cardoso, prawa ręka Nicka i były żołnierz 32. Batalionu, nazwał „mroczną, zachlapaną krwią izbą tortur”.

Nicka trzymano w odosobnieniu, zamkniętego w czterech ścianach izolatki. Przyszłość wszystkich więźniów malowała się w czarnych barwach. Tydzień po aresztowaniach prezydent Obiang, skądinąd były dyrektor więzienia Playa Negra, określił Nicka oraz jego współpracowników mianem „diabłów” i obiecał „terrorystom” „uczciwy proces”, jednak z zastrzeżeniem, iż „jeśli trzeba ich będzie zabić, zostaną zabici. Gwinea Równikowa nie zniosła kary śmierci, nie wybaczymy im”.

Siedemdziesięciu mężczyzn przetrzymywanych w Chikurubi, „więzieniu o maksymalnym standardzie zabezpieczenia”, w tym Simon Mann, również miało powody, by lękać się o życie. Ironycznym zrzędzeniem losu sam budynek więzienia powstał za sprawą dawnego rodezyjskiego rządu białej mniejszości - kiedyś zapewne entuzjastycznie wspieranego przez wielu najemników, którzy teraz znaleźli się za jego murami. W założeniu więzienie mogło pomieścić dziewięćset penitencjariuszy, jednak w marcu 2004 roku znajdowało się tam ponad trzy tysiące osadzonych. Jeden z najemników zmarł na zapalenie opon mózgowych, później z przyczyn zdrowotnych uwolniono dwóch innych. Ich relacje z

aresztu składały się na iście piekielny obraz.

Wśród miejscowych z Zimbabwe stosunki homoseksualne były na porządku dziennym; młodszy mężczyźni poddawali się takowym w zamian za „ochronę” ze strony starszych więźniów. Według ocen ponad połowa zatrzymanych była zakażona wirusem HIV. Podłogi w celach były zasłane odchodami, brakowało bieżącej wody; strażnicy regularnie i ze szczególnym okrucieństwem tłukli swoich podopiecznych kijami. Zarówno czarni, jak i biali szeregowi żołnierze, którzy mieli brać udział w zamachu, żyli w warunkach określonych przez jednego z nich jako „obóz koncentracyjny”. Inni więźniowie niemal każdego dnia umierali w przeludnionych celach.

Simon Mann, przykuwany na noc do łóżka, został po jakimś czasie odseparowany od aresztowanych wraz z nim współtowarzyszy, a to z powodu gróźb innego białego najemnika, Louisa du Preez.

Gdy wiadomości o warunkach, w jakich przebywali więźniowie, przeciekały do prasy, żonę Nicka ogarniał coraz większy niepokój. Nick znalazł się w celi śmierci, uwięziony przez despotę, który najwyraźniej zamierzał doprowadzić do egzekucji, lecz sytuacja w Zimbabwe wiązała się z inną osobistą tragedią pani du Toit.

- Wiesz, James - wyjaśniła podczas jednej z naszych teraz już niemal codziennych rozmów - jest coś jeszcze, coś bardzo niedobrego, o czym ci muszę powiedzieć.

Na próżno usiłowałem się domyślić, co jeszcze okropniejszego mogę od niej usłyszeć.

- Chodzi o mojego brata, Errola - mówiła dalej. - Znalazł się w tamtym samolocie. Teraz siedzi w więzieniu Chikurubi razem z Simonem. Trzymają go w celi z dwustu czarnoskórymi. James, powiedz mi, co się z nim stanie? To okropne. Przecież ci ludzie rozerwą go na strzępy, James! On nigdy przedtem nie wyjeżdżał za granicę. Pierwszy raz w życiu znalazł się poza RPA.

Rodzina Nicka rozsypywała się w gruzy.

Kiedy postępowanie prawne w Malabo i Harare nabrało tempa, do wiadomości międzynarodowej opinii publicznej przedostało się całe mnóstwo przedziwnych informacji. Zaczęło się od długich protokołów z zeznań Simona oraz Nicka zawierających niezwykle szczegółowe dane dotyczące założeń logistycznych przewrotu - łącznie z relacjami co do zamieszanych osób, pochodzenia broni i sposobu zainicjowania całej operacji.

Główny materiał dowodowy pozwalający zorientować się w przebiegu wypadków mieścił się w trzynastostronicowym zeznaniu, ręcznie spisany przez Simona, w którym prowodyr przewrotu wymienił też współspiskowców. Dokument datowano na 9 marca 2004 roku, czyli na dwa dni po aresztowaniach, przy czym „wyciek” nastąpił niemal natychmiast,

choć w dokumencie brakowało jednej strony. Ja dostałem kopię tych zapisków pod koniec marca od kolegi pozostającego w kontakcie ze źródłem zbliżonym do Ely'ego Calila, libańskiego biznesmena, który według słów Simona miał współfinansować zamach (czemu Calil stanowczo zaprzeczał).

Simon twierdził, że napisał to zeznanie pod nieobecność prawnika i został do tego zmuszony za pomocą „kilkudniowych, brutalnych tortur”, znacznie później przyznał jednak otwarcie, że choć do sporządzenia owych zapisków nakłoniono go przemocą, to ich treść jest zgodna z prawdą.

Z jego zeznań dowiadujemy się, iż działania, w wyniku których tak on, jak Nick zostali aresztowani w Harare oraz Malabo, wcale nie stanowiły pierwszej próby przeprowadzenia *coup d'Etat* w Gwinei Równikowej. Początkowo najemnicy zamierzali dokonać przewrotu za pomocą desantu morskiego, lecz zrezygnowali z tego pomysłu w sierpniu 2003 roku. Z braku środków finansowych niezbędnych do przeprowadzenia operacji jesienią - co zgadzało się z tym, co usłyszałem od Nicka przez telefon rok wcześniej - spiskowcy zwlekali z wprowadzeniem planu w życie przez sześć miesięcy.

W grudniu 2003 roku udało im się zdobyć pieniądze konieczne do realizacji przedsięwzięcia, przy czym Simon potwierdził, że założone w Malabo i kierowane przez Nicka firmy najwyraźniej rozwijały się pomyślnie. Pomijając fakt, iż posługiwano się nimi dla zdobycia poufnych informacji, pełniły też funkcję swoistej polisy ubezpieczeniowej. Jak napisał Simon, „gdyby nie doszło do realizacji projektu, przynajmniej mogliśmy liczyć na to, że zarobimy sporo pieniędzy”.

Simon stwierdził, że wówczas uzgodniono przebieg operacji. „EC [Ely Calil] wyznaczył termin do 16 lutego - napisał. - Ponieważ mogliśmy zacząć od nowa dopiero 6 stycznia, nie mieliśmy wiele czasu”. Wedle spekulacji prasowych datę podyktowały uwarunkowania polityczne, nie zaś okoliczności związane z przygotowaniem natury militarnej. Przypuszczano, iż spiskowcy uważali za niezbędne przeprowadzenie zamachu, zanim dojdzie do wyborów w Hiszpanii.

Severo Moto, emigracyjny przywódca opozycji mieszkający w Madrycie, został wyznaczony przez spiskowców na przyszłego władcę - był też faworyzowany jako następcą Obianga przez premiera José Marię Aznara oraz ówczesny prawicowy rząd Hiszpanii, który mógłby natychmiast po przewrocie uznać nowego przywódcę. Wybory, które odbyły się 14 marca, doprowadziły do powstania nowego, lewicowego rządu Hiszpanii, darzącego Moto znacznie mniejszą sympatią. Hiszpanie mieli wiele do zyskania w razie zmiany rządów i nastania w Malabo przyjaznego dla nich reżimu - jak dotąd pozostawali niemal całkowicie

wykluczeni z udziału w nowo odkrytych bogactwach naftowych Gwinei Równikowej.

Istotne przyczyny logistyczne sprawiły, że operacji nie można było przeprowadzić ani z Gwinei, ani z Liberii. W związku z tym, skoro baza operacyjna znalazła się w Republice Południowej Afryki, by dostarczyć ludzi oraz broń na miejsce, spiskowcy potrzebowali samolotów, nie statków. Simon opisuje w swoim zeznaniu, jak ten problem został rozwiązany dzięki utworzeniu przez Nicka firmy Pan African Airlines and Trading Company (PANAC) - przedsiębiorstwa joint venture z Armengolem Nguemą (młodszym bratem prezydenta oraz szefem sił bezpieczeństwa narodowego, niezamieszanym w przewrót). Samolotów dostarczył Merz, pierwszy ze spiskowców, który zmarł w więzieniu. Po drugie, jak można było się dowiedzieć z informacji prasowych o aresztowaniach, ponieważ roli szeregowych żołnierzy nie mogli już odegrać liberyjscy partyzanci, musiano w pośpiechu zwerbować większą liczbę czarnoskórych weteranów 32. Batalionu. Ściągnięto ich z Pomfret na północy RPA, gdzie pod koniec ery apartheidu po rozwiązaniu niesławnej formacji osiedlono jej byłych żołnierzy w biedadomkach krytych azbestem. No i wreszcie, nie mogąc już liczyć na partyzanckie arsenały, Nick musiał zdobyć broń - w dodatku pozostało mu na to bardzo mało czasu.

W swoim zeznaniu Simon szczegółowo opisuje gorączkowe starania, by zdobyć konieczne do przeprowadzenia zamachu wyposażenie wojskowe. Z początku Nick i Simon próbowali wykorzystać kontakty w Ugandzie, którymi dysponował Henri van der Westhuizen, afrykanerski wspólnik Nicka. Bezskutecznie. Potem brali pod uwagę możliwość zakupu broni w Kenii, Burundi lub Zambii. Również tamtejsze kontakty nie zaowocowały zdobyciem sprzętu. W ostateczności Nick zaproponował kupno potrzebnych karabinków szturmowych oraz amunicji w Harare od Zimbabwe Defence Industries (ZDI) - państwowego przedsiębiorstwa zbrojeniowego.

Doznałem nie lada szoku, kiedy wyczytałem w kopii rękopisu Simona, że za źródło śmiertelnościowego sprzętu obrali sobie Zimbabwe. Nawet na moje niefachowe oko taka opcja nie sprawiała wrażenia atrakcyjnej. Należałoby przypuszczać, że prezydent Robert Mugabe nie darzy szczególną sympatią brytyjskich i południowoafrykańskich najemników, zwłaszcza tych, którzy mieli bliskie powiązania z brytyjską elitą polityczną, lub tych, którzy przez dwie dekady prowadzili przeciwko niemu potajemne działania wojskowe. Chyba niepodobna, żeby Simon oraz Nick nie zdawali sobie sprawy, iż Mann mógł łatwo stać się prawdziwą gwiazdą prowadzonej przez Mugabego wojny na słowa przeciwko, jak określał to prezydent Zimbabwe, „pedalsko-gangsterskim” rządowi Tony’ego Blaira. Pomyślałem, że musieli być naprawdę zdesperowani, by podjąć tak daleko idące ryzyko.

Jednak Simon napisał, że Nick uznał to przedsięwzięcie za bezpieczne, więc się nie

niepokoił. Nick ponoć już wcześniej robił interesy z ZDI.

Zgłębiałem informacje wyszczególnione przez Simona w jego opisie nieudanej operacji. Mann twierdził, że 8 lutego 2004 roku poleciał wraz z Nickiem do Harare, gdzie przedstawiciel ZDI przeprowadził ich przez kontrolę celną oraz graniczną - wyobrażałem sobie, że wyglądało to podobnie jak wówczas, kiedy ja i Nick przeszliśmy, nie niepokojeni przez nikogo, posterunki straży na lotnisku w Konakry. Potem Simon opisał, jak w pewnym hotelu on i Nick zasiedli wraz z urzędnikiem przedsiębiorstwa, niejakim Martinem Birdem, by omówić szczegóły zamówienia.

„NDT przedstawił zamówienie dotyczące projektu GR panu MB - napisał - ten zaś ocenił, że nie przewiduje w tej mierze żadnych trudności. Potem NDT zaskoczył mnie, mówiąc, że ma jeszcze drugie zamówienie, które obejmuje tylko amunicję. Jednak z tym również nie było problemu”.

Kiedy Bird się pożegnał, Nick wyjaśnił, że obstalunek na potrzeby Gwinei Równikowej był dla ZDI zbyt mały, by potraktować zamówienie poważnie, dlatego należało go poszerzyć, aby przedsiębiorstwo z Zimbabwe uznało rzecz za godną zachodu. Nick złożył dodatkowe zamówienie z myślą o jednym z ugrupowań partyzanckich w Kongu i „twierdził stanowczo, że Zimbabwe Defence Industries z pewnością będą zainteresowane nawiązaniem przyjaznych kontaktów z rebeliantami działającymi na terenie Demokratycznej Republiki Konga”.

Jak wynika z zeznania, Nick i Simon odwiedzili następnie dyrektora ZDI w jego służbowym gabinecie; funkcję tę pełnił pułkownik Tshinga Dube. Simon wyjaśnił, że broń jest mu potrzebna jako wyposażenie strażników zapewniających ochronę pewnej kopalni w północno-wschodnim Kongu, opodal granicy z Ugandą. Dube nie wykazywał zainteresowania, ledwo raczył spojrzeć na mapę, którą Simon mu podsunął: obaj z Nickiem na próżno usiłowali wciągnąć do rozmowy pułkownika, który prawie ich nie słuchał. Potem odbyło się kolejne spotkanie, tym razem Nick udał się do Dubego sam, aby omówić kwestię amunicji dla kongijskich partyzantów. Simon twierdzi, że Nick wyszedł z tego spotkania w bardzo dobrym humorze, rozmówca okazał ponoć zadowolenie z perspektywy nawiązania przez ZDI oraz służby wywiadowcze Zimbabwe „bezpośrednich i pozytywnych kontaktów z nowym ugrupowaniem partyzanckim w Demokratycznej Republice Konga”. Umowy zostały podpisane 10 lutego przez kapitana Hope'a Mutizego reprezentującego grupę ZDI: kontrakt dotyczący Gwinei Równikowej sygnowali Nick oraz Simon; drugą umowę, tę na dostawę amunicji dla „katangijskiego” powstania w Kongu podpisał jedynie Nick.

Wiedziałem, że opowieść o ochronie kopalni to zwykła bajeczka dla zamydlenia oczu,

natomiast sprawa z partyzantami, których chciał dozbroić Nick, miała się zgoła inaczej. Planowana przez niego operacja w kongijskiej prowincji Katanga, którą opisał mi w Liberii, a potem w Brukseli, najwyraźniej stała się integralną częścią spisku dotyczącego przewrotu w Gwinei Równikowej. Prasa brytyjska pominęła kwestię katangijskich rebeliantów, angielscy dziennikarze oblizywali się smakowicie na widok medialnej uczty, jaką podawał im na tacy Simon, popadający najwidoczniej w coraz gorsze opał. Ja tymczasem wpatrywałem się w słowa spisane przez Simona z niedowierzaniem. Nick nie planował jednej operacji, lecz dwie naraz.

Dalej Simon zapisał, że 11 lutego on i Nick polecili z Harare do Ndoli - miasta w północnej Zambii, położonego blisko granicy z Kongiem. Tam, jak powiada Simon, spotkali się z „Abu, który najwyraźniej pełnił funkcję lidera mającego wkrótce wybuchnąć katangijskiego powstania” - czyli, jak przypuszczałem, tego samego człowieka, o którym Nick rozmawiał ze mną w Liberii. Nick i Simon powiadomili Abu, że „musi opanować lądowisko w Kolwezi na dwadzieścia cztery godziny, aby mógł tam wylądować samolot ze sprzętem”. Sprawdziłem na mapie, gdzie leży Kolwezi. Jest to małe miasto w pobliżu katangijskiego miasta Lubumbashi oraz niedaleko Shinkolobwe, gdzie znajduje się słynna kopalnia uranu.

Następne etapy zamachu rozgrywały się niczym tragifarsa. Każdy kolejny opisany akt zdawał się przynosić wciąż nowe wskazówki nieomylnie zapowiadające nadchodzącą klęskę. Simon nie pisze dokładnie, co miało nastąpić w Kolwezi, jednak w ciągu nadchodzących tygodni stopniowo wychodziły na jaw pojedyncze szczegóły. Dzięki danym lotniczym, informacjom wywiadowczym, relacjom zaangażowanych osób oraz dochodzeniom dziennikarzy z dwóch kontynentów, wkrótce udało się w miarę ściśle ustalić przebieg wydarzeń. Pilot-najemnik, niejaki Crause Steyl, który latał już dla Executive Outcomes, udał się na Wyspy Kanaryjskie - skrawek hiszpańskiego terytorium na Oceanie Atlantyckim w pobliżu zachodnioafrykańskiego wybrzeża - i czekał tam wraz z trzema osobami posądzanymi o udział w spisku. Byli to: Greg Wales (podobno doradca polityczny Simona), David Tremain (biznesmen oraz specjalista w dziedzinie przemysłu wydobywczego), Karim Fallaha (libański biznesmen); tej czwórce towarzyszył jeszcze jeden pilot. Mieli oni za zadanie przewieźć znajdującego się na emigracji Severa Moto, który także przebywał na Wyspach Kanaryjskich, do Malabo, by dokonać triumfalnego wjazdu, gdy tylko Nick i Simon zrobią w stolicy porządek. Zgodnie z zeznaniami Simona przyjazd Moto do Malabo miał być ukoronowaniem cywilnego i wojskowego powstania. Ludziom Nicka wyznaczono rolę ochrony Severa Moto. Przed świtem 19 lutego 2004 roku sześćdziesięciu czterech najemników, w tym wielu

najsłynniejszych afrykańskich żołnierzy fortuny, wsiadło na pokłady dwóch samolotów dakota, które wystartowały z cywilnego lotniska Wonderboom pod Pretorią. Potem nastąpił krótki lot na międzynarodowe lotnisko Polokwane, odbyła się odprawa paszportowa i obie maszyny wyruszyły na północ.

Przypuszczałem, że najemnicy mieli otrzymać broń na płycie lądowiska w Kolwezi, po czym załadować się na pokład transportowego An-12 należącego do PANAC, firmy Nicka - samolot, jak stwierdził Simon, przyleciał z Malabo na ich spotkanie. Kiedy wszyscy (teraz już uzbrojeni) najemnicy wsiadą do antonowa, maszyna miała powrócić do Gwinei Równikowej, gdzie już czekałby Nick ze swoimi ludźmi, aby wspólnie przeprowadzić szturm na stolicę.

Do wylotu An-12 w kierunku Harare mechanizm sprawował się świetnie, jak dobrze wyregulowany zegarek. Dopiero potem wszystko zaczęło się sypać - dosłownie. Zeznanie Simona opisuje szczegóły.

W drodze z Malabo, podczas lądowania w Kamerunie, uległo uszkodzeniu przednie koło podwozia samolotu. Nastąpiło poważne opóźnienie, lecz wreszcie przestarzała maszyna transportowa zdołała wystartować. Simon czekał w Harare, gotów do załadunku broni.

Wyjątkowo pechowym zbiegiem okoliczności antonow znów się zepsuł, wkrótce po starcie musiał więc lądować awaryjnie w Lubumbashi: stożek jego kadłuba został zniszczony po zderzeniu z gęsią. Niejasne pozostawało natomiast, co poza tym zdarzyło się w Katandze. „Tymczasem okazało się - napisał Simon - że partyzanci nie opanowali Kolwezi, dlatego cała operacja została odwołana”. To znaczy, że partyzanci albo w rzeczywistości wcale nie istnieli, albo też, zgodnie z uświęconą tradycją, nie stawili się na spotkanie.

Samoloty wiozące najemników wylądowały na lotnisku w Ndoli, w sennej, praworządnej Zambii. Pewnie chodziło o to, żeby uniknąć kontaktu z kongijską armią, słynącą ze swojej niegościnnosci - zwłaszcza że najemnicy pozostawali nieuzbrojeni. Czekali tam przez trzy godziny na lotnisku handlowym, po czym odlecieli z powrotem do ojczyzny, gdzie większość z nich umieszczono w hotelu o nazwie 224. Kilka dni później Moto oraz pozostali znajdujący się na Wyspach Kanaryjskich rozjechali się w swoje strony. Z tego opisu wynikało niezbicie, iż Nick wraz z Simonem nie tyle czynili przygotowania do przewrotu wojskowego, ile zaplanowali zapierającą swoim zasięgiem dech w piersiach skomplikowaną operację, obejmującą przemieszczenia niemal setki ludzi w sześciu krajach na dystansach sięgających tysięcy kilometrów oraz pół tuzina przelotów. A powodzenie tych działań opierało się na tym, by w ściśle określonym czasie doszło do zbrojnego wystąpienia nieznanego dotąd partyzanckiego ugrupowania w jednym z najmniej stabilnych regionów

Afryki.

Najbardziej zdumiało mnie nie to, że pierwsza przymiarka Nicka do „afrykańskiej przygody” zakończyła się niepowodzeniem, lecz fakt, iż - biorąc pod uwagę swe rozległe doświadczenie w przeprowadzaniu tajnych operacji, jakiego nabył podczas służby wojskowej, a choćby i niedawne przeżycia w Liberii ze mną i beze mnie - w ogóle wyobrażał sobie możliwość powodzenia tak wydumanego przedsięwzięcia.

A jednak, Simon oraz Nick najwyraźniej niezniechęceni tą haniebną porażką uparcie dążyli do realizacji planu, który można określić mianem zdumiewającego przykładu triumfu nadziei nad rozsądkiem.

Simon szczegółowo opisuje, jak wraz z Nickiem udał się znów do Harare, co nastąpiło natychmiast po fatalnej wpadce w Kolwezi. Tam uzgodnili z Martinem Birdem, że dokonają dopłaty w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów na rzecz ZDI jako rekompensaty za nieodebranie towaru w umówionym terminie. Nieszczęsny antonow, ofiara gęsi, poszedł w odstawkę. Zamiast niego zakupiono czym prędzej w USA pasażerski odrzutowiec boeing 727, który przyleciał do Republiki Południowej Afryki we wczesnych godzinach rannych 7 marca, czyli trzy dni po powrocie Nicka do Gwinei Równikowej. Na Wyspach Kanaryjskich znów czekał Moto wraz z wyznaczoną świtą. 6 marca Simon - w towarzystwie dawnego żołnierza Recces i najemnika EO, Harry'ego Carlse'a, oraz byłego policjanta specjalnej grupy uderzeniowej, Lourensa Horna - poleciał do Kinszasy, stolicy Demokratycznej Republiki Konga. Tam spotkał się z niejakim Timem Romanem - amerykańskim kontraktowcem i powiernikiem kongijskiego prezydenta Josepha Kabili; Carlse i Horn pozostali przy samolocie. Simon twierdził, że wybrał się tam, aby zdobyć zapasowy samolot oraz uzyskać błogosławieństwo Kabili dla planowanej operacji. Roman dobrze znał pułkownika Dubego z ZDI, „odbywał już podobne misje swoim samolotem”, „uważał, że będzie w stanie tego dokonać” i obiecał się skontaktować, gdy zdoła porozmawiać z Kabilą. Simon wrócił do Harare z Carlse'em i Hornem. Nawiązał po raz kolejny kontakt z przedstawicielami ZDI. Czekał.

Na tym kończy się zeznanie sporządzone starannym, równym pismem Simona - lecz resztę byłem już w stanie sam dopowiedzieć.

Po przybyciu na lotnisko Wonderboom boeing 727 został załadowany wszelkiego rodzaju sprzętem wojskowym, z wyłączeniem broni oraz amunicji. Znalazły się tam więc nożyce do przecinania zasieków, wojskowe buty, śpiwory, apteczki, radiostacje. Następnie na pokład wsiadło sześćdziesięciu czterech żołnierzy i trzy osoby załogi. Polecieli znów na Polokwane, by załatwić formalności paszportowe, a o siódmej wieczorem samolot wylądował

w Harare, po czym, jak to uprzednio uzgodniono z władzami lotniska, przekołował do strefy wojskowej. Tutaj miano załadować broń, dzięki czemu uniknięto by międzyładowania na terenie niestabilnej Republiki Kongo, a przy tym żołnierze mogli zaopatrzyć się w oręż podczas dalszego lotu - luk bagażowy maszyny pozostawał pod ciśnieniem, był ogrzewany i dostępny w czasie lotu z pokładu.

Najemnicy jeszcze nie zdawali sobie sprawy, że właśnie upływają ich ostatnie chwile na wolności. Tymczasem ich los został już przesądzony. Simon, Carlse i Horn weszli na pokład samolotu w towarzystwie urzędników celnych; tymczasem pozostali siedzieli i czekali w swych fotelach. Potem ta sama trójka udała się wraz z Hope'em Mutizem, przedstawicielem ZDI, do pobliskiego hangaru, aby przejąć broń. Otwarto skrzynie, by pokazać ich zawartość. Carlse stwierdził, że nie zgadza się ona z zamówieniem złożonym przez Simona. Chwilę potem zostali otoczeni przez żołnierzy i ubranych po cywilnemu policjantów, którzy czaili się tam w ukryciu. Zakuto ich w kajdanki i odprowadzono do czekających pojazdów. Inni żołnierze sił zbrojnych Zimbabwe aresztowali mężczyzn znajdujących się na pokładzie boeinga 727 i odwieźli ich prosto do więzienia.

Osiemnaście godzin później w Malabo zatrzymano Nicka oraz jego ludzi.

Targały mną najrozmaitsze emocje, od zgrozy na wieść o aresztowaniu Nicka, po niedowierzanie, gdy poznałem szczegóły ich planu. Potem poczułem przypływ gniewu. Jak to, miałem ryzykować życiem dla takiej fuszerki?

Nie do pomyślenia, żeby Nick sklecił plan składający się z tak wielu elementów niosących ze sobą ryzyko. Ryzyko, którego dość łatwo można było uniknąć. Myśl o tym, że Simon, były oficer Special Air Service, mógł choć przez chwilę traktować taką bzdurę poważnie, przechodziła wszelkie wyobrażenie. Czyżbym tu czegoś nie zrozumiał? Zadzwoiłem do swojego przyjaciela, który jakiś czas temu zakończył służbę w SAS w stopniu starszego sierżanta sztabowego i miał za sobą niemal dwie dekady doświadczenia operacyjnego; niedawno wrócił z Afganistanu. Znając szczegóły planowanego przewrotu z mediów oraz dzięki własnym źródłom, wyraził swą zawodową opinię na temat nieszczęsnej „przygody”.

- Stary, mamy tu do czynienia z czymś, co można określić jedynie jako istną kpinę za kpinę - oznajmił rażnym tonem.

Słuchałem jego werdyktu z zażenowaniem. Wiedział, że Nick i ja jesteśmy przyjaciółmi, ale nie przebierał w słowach.

- Pierwsza zasada: ludzie i sprzęt zawsze osobno, aż do ostatniej chwili, kiedy znajdziesz się u celu - żebyś zawsze mógł się wszystkiego wyprzeć, przynajmniej dopóki nie

nastąpi kluczowy moment. Zasada numer dwa: nigdy nie kupuj broni od otwarcie wrogiego, autorytarnego reżimu. Zasada trzecia: jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, odpuść sobie, pora się wycofać. Decyzję o rozpoczęciu tego rodzaju akcji można podjąć najwyżej dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin naprzód, i to wyłącznie w oparciu o aktualne dane wywiadowcze.

- No dobrze - oponowałem - ale przecież Simon, jako były oficer Special Air Service, z pewnością musiał to wszystko rozważyć, dokonać rozsądnej oceny taktycznej, uwzględniając również i te przeciwwskazania...

- Słuchaj, James. Reputacja Simona... Jak by to ująć? No powiedzmy, że nie jest tak zupełnie nieskazitelna. Odbył tylko dwie trzecie normalnej służby w SAS. Jak słyszałem, doszło do pewnego incydentu. Chodziło o różnicę zdań w kwestiach operacyjnych, w wyniku której postanowił odejść.

- Jesteś pewien?

- A jakże, całkiem pewien. Należy też wziąć pod uwagę coś innego, mianowicie zapewne od kogoś usłyszał, że proszę bardzo, droga wolna, może działać swobodnie. Tymczasem to nie była prawda, no nie? To znaczy, że albo dysponował kiepskimi źródłami informacji, albo ktoś wystawił go do wiatru.

Być może Simona oraz Nicka omamiły ich sukcesy odniesione pod szyldem Executive Outcomes, bądź co bądź najskuteczniejszej prywatnej armii naszej epoki. W Sierra Leone ich kontyngent liczący około stu ludzi podjął walkę z trzema czy czterema tysiącami bojowników powstańczej armii; walkę, która zakończyła się niekwestionowanym zwycięstwem. Łatwo zrozumieć ten tok myślenia: setka ich ludzi potrafiła pokonać w Sierra Leone psychopatycznych morderców z RUF. Co prawda w istocie mieli do czynienia tylko z sześciuset najbardziej zatwardziałymi bojownikami stanowiącymi jądro ugrupowania, ale i tego wystarczyło, by uznać, że mając do dyspozycji dwie trzecie ówczesnego „korpusu ekspedycyjnego” EO, bez trudu uporają się ze zniechęconym despotą zamieszkującym małą wysepkę, której strzeże tylko „banda gamoni”.

Rozłączyłem się i dalej snułem rozważania na temat planów Nicka. Uświadomiłem sobie, że zbyt często pomijano pewną zasadniczą kwestię: na jakiej, u licha, podstawie Simon, Nick oraz sponsorzy operacji sądzili, a właściwie snuli mrzonki, iż są w stanie obalić rząd niezależnego, suwerennego państwa, ustanowić w nim władzę marionetkowego prezydenta i zarządzać krajem niczym rentownym przedsiębiorstwem?

Prosta, zaskakująco prosta odpowiedź: historia kontynentu afrykańskiego obfituje w podobne przypadki często tragicznej błazenady ze strony Europejczyków lub białych

Afrykanów, którzy właśnie tego dokonali lub raczej usiłowali dokonać. Simon, Nick oraz ich towarzysze zamieszani w spisek wpisali się w tradycję działań najemników, których epoka, jak się mogło zdawać, na dobre już przeminęła.

W miarę upływu dni mijała moja złość na Nicka. Konsternacja przerodziła się z czasem w ciekawość: dlaczego w ogóle zdecydował się działać? Pod koniec stycznia odniosłem wrażenie, że raczej zamierza się wycofać z zamachu, jednak dziesięć dni później w Harare wraz z Simonem złożyli zamówienie na broń. Co więcej, po aresztowaniu Simona pozostało Nickowi aż kilkanaście godzin, aby zbiec, tymczasem jego żona twierdziła stanowczo, iż został pojmany rankiem następnego dnia w domu, nawet nie próbował uciekać z Gwinei Równikowej. Być może zwykła chciwość i głód przygód skłoniły go do wzięcia udziału w tej awanturze, a mylne przekonanie o własnym bezpieczeństwie sprawiło, że pozostał na miejscu. Być może sądził, że ktoś go chroni, że operację wspiera któraś z międzynarodowych potęg, tak jak to bywało w przeszłości podczas podobnych wydarzeń: jedno z dawnych mocarstw kolonialnych, Amerykanie lub rząd Republiki Południowej Afryki.

Severo Moto, pretendent do „tronu” w Malabo, niewątpliwie cieszył się na emigracji poparciem rządu Hiszpanii; Gwinea Równikowa była niegdyś kolonią tego kraju. Wielu najemników miało też liczne powiązania z siłami zbrojnymi USA, a samolot, który poniósł ich na spotkanie losu, pozostawał uprzednio własnością US Air Force - jednak żaden z tych faktów nie stanowił niezbitego dowodu na wsparcie z zewnątrz. Pośród całego oceanu zagadek najbardziej nurtujące pytanie brzmiało: jaką rolę w całym przedsięwzięciu odegrała Republika Południowej Afryki? Nie mieściło mi się w głowie, żeby Nick, legenda tamtejszych sił specjalnych, osoba prowadząca handel bronią na znaczną skalę i dawny dowódca operacyjny sił Executive Outcomes, nie nawiązał zawczasu kontaktów z wywiadem RPA. Jeśli o mnie chodzi, skłaniałem się raczej ku przekonaniu, iż mógł nawet znajdować się na liście płac tajnych służb tego kraju. Trudność polegała na stwierdzeniu, czy służby owe udaremniły całe przedsięwzięcie, czy też przeciwnie, to im właśnie popsuto szyki.

Na podstawie zeznań Simona oraz Nicka władze Gwinei Równikowej wskazały ludzi, którzy ich zdaniem udzielili spiskowcom wsparcia finansowego - byli to Greg Wales, David Tremain oraz Karim Fallaha, którzy przebywali na Wyspach Kanaryjskich razem z Moto w lutym, a potem w marcu. Wszyscy zaprzeczyli. Jednak głównym sponsorem, mocodawcą, który według nich doprowadził do współpracy Simona z Moto, miał być libański potentat naftowy Ely Calil.

Calil, urodzony w Nigerii, posiadał rozległe powiązania z zachodnioafrykańskim

establishmentem naftowym, a „Sunday Times” wycenił jego majątek na sto milionów funtów. Calil dysponował również licznymi kontaktami wśród brytyjskich elit; był przyjacielem Petera Mandelsona (któremu w 1999 roku wynajął luksusowy apartament), znał też podobno Davida Harta oraz Tima Bella (powierników i doradców Margaret Thatcher podczas jej pierwszej kadencji na urządzie premiera); miał też ponoć pełnić funkcję doradcy finansowego znanego powieściopisarza oraz krzywoprzysięcy, Jeffrey Archera.

Zgodnie z zeznaniem Simona Calil przedstawił go Severowi Moto w Madrycie w maju 2003 roku. Jak utrzymywał Simon, Calil finansował działania Moto na emigracji i zamierzał zaaranżować powrót dysydenta do Malabo. Milioner konsekwentnie odmawiał udzielania wywiadów (nie sfotografowano go w miejscu publicznym od 1972 roku), a także zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z zamachem. Niemal natychmiast po tym spotkaniu - oraz następnych, które jak twierdzi Mann, miały miejsce - Nick i Simon zaczęli pracować nad planem obalenia śmiertelnego wroga Severa Moto, czyli prezydenta Obianga.

Próba ustalenia, kto mógł stać za całym spiskiem, zapowiadała się jako nader niewdzięczne zadanie. Moje powiązania z operacją ograniczały się do kontaktów z Nickiem oraz Simonem, tymczasem obaj nie byli w stanie swobodnie się komunikować ze światem zewnętrznym, a już z pewnością nie ze mną. Nick stwierdził kiedyś, że w projekt sporo zainwestował pewien Libańczyk, nie stanowiło to jednak dowodu na udział Calila czy Fallahy. Nie wiedziałem, od czego zacząć, nie byłem nawet przekonany, czy powinienem się tego podejmować. Podejrzywałem, że niezwykle trudno będzie dogrzebać się do jakichś wiadomości, które mogłyby naprawdę pomóc Nickowi, natomiast względnie łatwo przyjdzie odkryć mnóstwo rzeczy, które bez wątplenia dodatkowo mu zaszkodzą.

A potem, 26 marca, zadzwonił do mnie pewien mężczyzna, który przedstawił się jako przyjaciel Nicka.

- Witaj, James - pozdrowił mnie, jakbyśmy się znali od lat. - Chciałbym z tobą pogadać. Próbuję coś zrobić, żeby pomóc chłopakom w więzieniu.

Nazywał się Dries Coetzee; dostał mój numer telefonu od żony Nicka. Starannie wymawiał słowa, z silnym afrykanerskim akcentem. To, co miał do powiedzenia, chciał mi przekazać osobiście.

Następnego ranka bez większego entuzjazmu wybrałem się na spotkanie umówione z nim o jedenastej w londyńskim Strand Palace Hotel. Przygotowałem się na ostre przesłuchanie. Dries, facet pod czterdziestkę, przypominał z wyglądu karykaturę Aryjczyka w stylu lat drugiej wojny światowej. Zbudowany jak miotacz olimpijski, o dłoniach wielkich jak łopaty i dziecięcej buzi zwieńczonej blond loczkami.

- Cieszę się, że mogę cię poznać - odezwał się, wstając niespiesznie z krzesła, aby przywitać się ze mną, a zarazem otaksować wzrokiem. - Słyszałem, że przeżyliście razem z Nickiem niezłą przygodę.

Moja prawa dłoń znikła w jego gargantuicznym uścisku. Przyznałem, że owszem, a także o mało nie wzięliśmy razem udziału w całkiem innej przygodzie, która skończyła się jednak znacznie gorzej.

- *Ja*, James, no i właśnie dlatego chciałem się z tobą spotkać.

Był rozbrajająco bezpośredni w obejściu, sympatyczny i życzliwie nastawiony. Przybył do Londynu z określoną misją: chodziło o to, aby uzyskać pieniądze od ludzi, których określił jako „mocodawców”, w celu opłacenia prawników, kosztów żywności i innych wydatków na rzecz Simona, Nicka oraz pozostałych uwięzionych. Jednak nikt nie zamierzał sypnąć groszem.

- Gdyby coś przyszło ci do głowy - rzekł - daj znać. Dogadamy się. Simon pisze z więzienia listy, a ja mam do nich dostęp. Z tych listów można się sporo dowiedzieć.

Powiedział, że gdybym postanowił nakręcić film o tym, kto zdradził Nicka oraz jego ludzi, udostępni mi owe listy. Oferta tyleż kusząca, co niebezpieczna - dlatego oświadczyłem mu, że muszę ją starannie przemyśleć, po czym zaproponowałem, że odwiozę go samochodem na następne spotkanie.

Gdy jechaliśmy przez Londyn, wrócił do tematu.

- A wiesz, kto jeszcze odmówił pomocy?

Wyraźnie myśl o tym, że nikt nie zamierzał przystąpić do zrzuty, mocno go drażniła. W jego oczach dostrzegłem niebezpieczny błysk.

- Nie, kto? - Słuchałem go tylko jednym uchem, rozglądałem się bowiem pilnie za miejscem do parkowania.

- Mark Thatcher, nie kto inny.

- Mark Thatcher?

- *Ja*, otóż to.

Zatrzymałem samochód, wjechałem tyłem na wolne miejsce przy Norfolk Place.

- Mark Thatcher jest wplątany w tę sprawę?

- *Ja*. Zgadnij, co mi *fokken* powiedział, kiedy zadzwoniłem do niego i poprosiłem o pomoc.

Mark Thatcher? O mało nie roześmiałem się w głos. Jezu, nic dziwnego, że wszystko spieprzyli. Pechowy synalek Żelaznej Damy z pewnością nie zaliczał się do osób, na których należałoby polegać, jeśli chodzi o logistyczne planowanie, choć co prawda dopuszczono go

do udziału w dilu pod kryptonimem „Al-Yamamah” między British Aerospace a Arabią Saudyjską - był to największy kontrakt eksportowy w brytyjskiej historii; dotyczył dostaw broni i opiewał na ponad czterdzieści miliardów funtów szterlingów.

- Nie wiem. Co powiedział Mark Thatcher, kiedy go poprosiłeś o pomoc? - Zabrzmiało to jak fragment dialogu z modnych w latach osiemdziesiątych kabaretów.

- Powiedział mi: „fok off”. Oznajmił, że właśnie ogląda Grand Prix i nie może ze mną rozmawiać. Nie do wiary, *fokken* Grand Prix! Kazał odezwać się później. Taki to z niego *fokken* kumpel.

Dries zostawił mi swój numer telefonu. Nie bez trudu wydostał się z mojego samochodu i ruszył samotnie w stronę metra. Mark Thatcher. Wolne żarty. Jeżeli on był w to zamieszany, to mógł być także ktokolwiek inny. Po raz pierwszy, odkąd aresztowano Nicka, ogarnęło mnie znajome uczucie, przypływ adrenaliny. Owszem, dzieliło nas ponad pięć tysięcy kilometrów, nie mówiąc o grubych murach więzienia Playa Negra, ale podjąłem już postanowienie, że dotrę do sedna sprawy.

Upływały dni, a potem tygodnie od aresztowania Nicka. Byłem w stałym kontakcie z jego żoną. Pojechałem też do Nowego Jorku, żeby skończyć film *Liberia: An Uncivil War*, pełnometrażowy dokument nakręcony w Monrowii przez Tima, Jonathana i mnie. Podczas montażu chlałem tak ostro, że ze strachu przed samym sobą popadłem w abstynencję. Po premierze na Human Rights Watch International Film Festival rzuciłem picie z kretesem, nie brałem do ust ani kropli alkoholu.

Skoro uporałem się z tym filmem, skoro upłynął rok od naszej ucieczki przez most na rzece Mano, uznałem, że nadszedł już czas, by zyskać nieco dystansu wobec Liberii. Narzucające się wizje, drastyczne wspomnienia, poczucie winy tego, który przeżył, podczas gdy inni zginęli - oto wątki ciągnące się za mną od pobytu w dżungli, a splatające się w moją ówczesną rzeczywistość. Teraz jednak byłem w stanie odciąć się od nich i ruszyć naprzód, nie oglądając się za siebie. Taką przynajmniej żywiłem nadzieję.

Uznałem, że zerwanie z picciem będzie dobrym początkiem. Rola „zaburzonego” reportera po wojennych przeżyciach nadal kusila: kobiety pragnęły mnie ratować, a mężczyźni, którzy nie mieli lepszego pomysłu, chcieli być mną - albo przynajmniej się ze mną napić. A raczej tak mi się wydawało. W rzeczywistości sprowadzało się to do żalostnego oszukiwania samego siebie; miałem już dość.

Po powrocie do Londynu odbyłem serię spotkań w Channel 4, które zaowocowały propozycją nakręcenia filmów w ramach emitowanego przez nich cyklu poświęconego aktualnościom międzynarodowym, zatytułowanego *Unreported World*. Podróże z Nickiem

doprowadziły mnie w końcu do progu uznania i uczciwej kariery. Sądziłem, że aby przeżyć w branży, muszę nakręcić film o przewrocie - co okazało się nieprawdą. Pobyty w Liberii nie tylko pozostawiły po sobie drastyczne wspomnienia; w swoim wymiarze pozytywnym zapewniły mi na przyszłość realne perspektywy pracy w charakterze twórcy filmowego.

Rozmowy z Channel 4 wiązały się również z inną propozycją, która sprawiała jednak wrażenie raczej kielicha trucizny niż triumfalnego pucharu: otóż chcieli, żebym zrobił dla nich film o Nicku i o próbie zamachu. Film, który zostałby pokazany na ich antenie w ramach serii *Dispatches*. Zainteresowanie mediów tą sprawą narastało niczym kula śnieżna. Na łamach brytyjskiej prasy ukazały się listy pisane przez Simona z więzienia; adresatami byli jego przyjaciele, niejacy Scratcher oraz Smelly (Skrobacz i Śmierdziel), tożsami w powszechnym mniemaniu z Markiem Thatcherem i Elym Calilem. Dries się nie mylił. Opublikowano także nazwiska innych przypuszczalnych współników, którzy przyczynili się do zorganizowania przez Simona owej eskapady mającej na celu obalenie reżimu. Domyślałem się, że listy te pochodzą z zasobów, do których dostęp obiecywał mi Dries.

Przyjęcie takiego zamówienia wiązało się z pewnymi rozterkami natury moralnej: czerpałbym wówczas zyski z sytuacji, w której Nick miał być sądzony i groziła mu kara śmierci. Co więcej, cokolwiek bym pokazał lub powiedział, mogło poważnie narazić na szwank jego szanse ujęcia cało z opresji. Wahałem się nawet, czy można mojego towarzysza określić mianem najemnika, co natychmiast doprowadziło do sporu z przedstawicielami Channel 4. A w dodatku przecież obiecałem Nickowi, że nigdy nie wymienię jego nazwiska w związku z moją pracą w Liberii, natomiast informacje na temat przygotowywanego przewrotu przekazał mi poufnie, tylko do mojej wiadomości, więc zgoda na realizację oznaczała podwójne złamanie danego mu słowa. Z tego punktu widzenia nakręcenie filmu o nim w ogóle nie wchodziło w grę.

Jednak za przyjęciem propozycji Channel 4 przemawiały dwa nader przekonujące argumenty: po pierwsze, jeśli ja tego filmu nie nakręcę, niewątpliwie uczyni to ktoś inny, zapewne mniej przychylnie nastawiony; a po drugie, zyskiwałem dzięki temu szansę, by dotrzeć do sedna planu opracowanego przez Nicka. W ówczesnym ciężkim położeniu Nick nie mógł się skarżyć na nadmiar przyjaciół. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek inny nakręcił film uwzględniający wszystkie argumenty czy chociażby zechciał wziąć pod uwagę fakt, iż wątpliwości mogą świadczyć na korzyść Nicka. Omówiłem sprawę z jego żoną, która zapewniła o swoim poparciu, po czym zadzwoniłem do Channel 4 i przyjąłem zamówienie, mimo iż wiedziałem, że nie będę w stanie zrealizować go jako w stu procentach niezależny, bezstronny dziennikarz. Postawiłem sprawę jasno, oświadczając, że nie zrobię i nie powiem

niczego, co naraziłoby życie Nicka na dalsze niebezpieczeństwo. Przedstawiciele telewizji wyrazili zgodę.

Film miał zostać oparty na pewnym prostym pytaniu. Wraz z moją koleżanką, Carlą Garapedian, odpowiedzialną za wyreżyserowanie całości, zamierzaliśmy dociec, jak doszło do tego, że Nick, który przecież sam mi powiedział, że przeprowadzenie owej operacji wcale nie jest konieczne, jednak się na nią zdecydował?

Proces rozpoczął się w trzecim tygodniu sierpnia 2004 roku. Żona Nicka przybyła do Malabo, zasiadała, wstrząśnięta do głębi, na sali sądowej. Trudno było na to patrzeć nawet w telewizji. Stanąwszy przed sądem w błękitnej koszuli, szortach i sandałach, Nick podniesionym głosem rzucił sędziom wyzwanie. Miał na nogach kajdany. - Skuto nas jak dzikie zwierzęta - stwierdził, pokazując kajdanki na nadgarstkach. - Byliśmy torturowani przez policjantów... A przecież nie zrobiliśmy nic złego.

Tłumaczył, że gdyby dopuścił się przestępstwa, próbowałby uciec. Trzej sędziowie zachowali obojętność wobec jego argumentów. Tak naprawdę tylko jeden z nich był prawnikiem; jedyny tytuł dwóch pozostałych do sprawowania funkcji sędziowskiej stanowiło pokrewieństwo z prezydentem Obiangiem. Postępowanie sądowe odbywało się wyłącznie po hiszpańsku, tłumaczono je źle lub nie tłumaczono go wcale. Nick wraz ze współoskarżonymi mieli w sumie mniej niż godzinę na kontakt ze swoim prawnikiem, któremu nie wolno było doradzać swoim klientom podczas obrad sądu. Wszystko wskazywało, że wyrok został wydany z góry. Jednak niespodziewanie nastąpiła przerwa w procesie.

25 sierpnia w swojej luksusowej kapsztadzkiej siedzibie został aresztowany Mark Thatcher. Media wprost oszalały, a rząd Gwinei Równikowej odroczył postępowanie w sprawie Nicka, licząc na pojawienie się nowych dowodów oraz możliwość ekstradycji Thatchera. Wyglądało to jak wstrzymanie egzekucji. Następnego dnia ujawniono przeciek dotyczący przelewu stu trzydziestu pięciu tysięcy dolarów na konto bankowe firmy Simona, Logo Logistics, który miał miejsce cztery dni przed marcową, poronioną próbą zamachu. Dokonał go niejaki J.H. Archer. Dziennikarze nie wierzyli własnemu szczęściu. Prawnicy Jeffreya Archera zapewniali, że skompromitowany torysowski par „nie posiadał uprzedniej wiedzy” na temat zamachu oraz że Archer „nigdy nie wystawił czeku na wspomnianą sumę”. Poniekąd nawet zgodnie z prawdą, wpłata nastąpiła bowiem przelewem bankowym. Archer przyciskany do muru stwierdził, iż „sprawę uważa za zamkniętą”.

Wciąż nowym doniesieniom nie było końca. Greg Wales, jeden z tych, którzy znaleźli się na Wyspach Kanaryjskich wraz z Severem Moto, potwierdził, że zanim doszło do aresztowań, odbył kilka spotkań z Simonem Mannem oraz Markiem Thatcherem. Gary

Hersham, brytyjski biznesmen, który przedstawił Simona Ely'emu Calilowi, wyparł się jakiegokolwiek wiedzy na temat spisku, choć przyznał, iż swego czasu wybrał się do Gabonu w Afryce Zachodniej w towarzystwie Simona i Grega Walesa.

Dwa dni po zatrzymaniu Thatchera oczyszczono z zarzutów i wypuszczono na wolność Harry'ego Carlse'a oraz Lourensa Horna, dwóch mężczyzn aresztowanych razem z Simonem w Harare. Pojawiło się przypuszczenie, iż obaj panowie, aby uniknąć kary pozbawienia wolności przewidzianej przez południowoafrykańskie prawo, po powrocie do ojczyzny będą musieli współpracować ze Skerpioene (The Scorpions, Skorpionami, Dyrektoriatem Operacji Specjalnych, czyli agencją do zwalczania zorganizowanej przestępczości i korupcji). 10 września Simon został skazany na siedem lat pobytu w więzieniu o zaostrowym rygorze. Errol oraz pozostali otrzymali wyroki po dwanaście miesięcy więzienia; skazano ich w końcu za złamanie przepisów imigracyjnych, czego dopuścili się, nielegalnie przybywając do Zimbabwe na pokładzie boeinga 727.

Nim wyruszyliśmy, by kręcić nasz film, czekało mnie jeszcze jedno spotkanie - w Commonwealth Club przy Northumberland Avenue, opodal końca The Mall przeciwległego do Buckingham Palace. Znajomy dziennikarz, który zajął się na użytek prasy krajowej wygrzebywaniem szczegółów dotyczących spisku i zamachu, zaproponował, że pozna mnie z Nigelem Morganem - bliskim przyjacielem zarówno Simona Manna, jak i Marka Thatchera. Morgan został wymieniony w liście Simona napisanym z więzienia i zawierającym prośby o pomoc, tym samym, w którym figurowali Smelly oraz Scratcher. Ponoć był mocno zamieszany w całą sprawę, chociaż nikt nie wiedział, w jakim charakterze. Na podstawie pogłosek prasowych można było wnioskować, iż funkcjonował jako pośrednik, ogniwo łączące wszystkich kluczowych uczestników spisku z międzynarodowym biznesem oraz krajowymi agencjami wywiadowczymi. Na czym polegał jego udział, można było tylko zgadywać.

Gdy szliśmy razem po chodniku zmoczonym jesiennym deszczem, spytałem swojego przyjaciela, dla kogo właściwie pracuje Nigel.

- Ha, dobre pytanie. Jest freelancerem w dziedzinie wywiadu gospodarczego. Sporządził dossier dotyczące przewrotu dla pewnego dużego przedsiębiorstwa naftowego i chyba można bez przesady stwierdzić, że utrzymuje dość ciepłe stosunki ze służbami RPA.

Pchnąłem drzwi; wkroczyliśmy do wnętrza klubu rozświetlonego jaskrawym blaskiem.

- Krótko mówiąc, szpieg? - upewniłem się.

- Tak, w zasadzie. Nie wiem jednak, na ile te powiązania mają formalny charakter.

Określiłbym go raczej jako współpracownika niż agenta. Zalicza się poniekąd do *bons viveurs*. Nieżyczliwi zwał go Kapitan Świnia - uśmiechnął się do mnie - albo Żarłok.

Znaleźliśmy Morgana na antresoli, raczył się ginem z tonikiem. Sympatyczny, rumiany mężczyzna w garniturze z Savile Row, były oficer Irish Guards; jeśli sądzić po pozorach, zasługiwał na oba złośliwe przydomki.

- O, James - zawołał na powitanie, uścisknąwszy moją dłoń; siedział na niskiej kanapie, ja stałem nad nim, wciąż jeszcze w polarowej bluzie i skórzanej kurtce. - Miło cię poznać.

Usiadłem obok niego, zamówiliśmy drinki. On tymczasem sięgnął do swojego neseseru, po czym pokazał mi kartki z wydrukowanym dialogiem. Ujrzałem czarno na białym zapis mojej rozmowy telefonicznej z Nickiem.

Starannie złożył kartkę, nim zdążyłem dobrze jej się przyjrzeć. Rozparł się na sofie, uniósł szklankę, przepijając do nas i się uśmiechnął.

- Miałeś sporo szczęścia, młody człowieku. Mało brakowało!

16. Prawnicy, broń i pieniądze

Otworzyłem drzwi gabinetu Nicka, zapaliłem światło. Na ścianie dostrzegłem plakietkę z symbolami 5. Reconnaissance Regiment. Laminowana mapa świata zakrywała stół przed komputerem; przy drzwiach tłoczyły się szafki na segregatory. Siadłem w jego fotelu. Na biurku leżał rozłożony notes, ten sam, z którym nie rozstawał się w Liberii - jego stronicie były pokryte notatkami sporządzonymi dobrze mi znanym pochyłym charakterem pisma. Wziąłem kajet do ręki niczym relikwię, zacząłem go przeglądać. Tu i ówdzie pojawiało się moje imię, czasem jakieś szczegóły dotyczące naszych wspólnych planów. Odłożyłem notes, ogarnęło mnie dojmujące uczucie smutku. Na widok zanotowanych imion ludzi, z którymi pracowaliśmy - Franka, Cobusa i Tima - oraz nazw miast czy miasteczek, przez które wędrowaliśmy, wymykając się śmierci, tym wyraźniej odczułem nieobecność Nicka. To zaś umocniło mnie jeszcze w postanowieniu, by dowiedzieć się, co tak naprawdę zamierzał uczynić - czy to on podjął decyzję o przeprowadzeniu operacji i dlaczego. Miałem też nadzieję, że zdołam rozwikłać zagadkę dotyczącą kwestii zakupu broni w Zimbabwie. Sądziłem, że może nawet uda mi się znaleźć coś cennego dla Obianga, co może posłużyć jako argument przetargowy w ewentualnych rozmowach z jego zausznikami; coś, co pozwoli mi ocalić Nicka.

Gdy pobieżnie przerzuciłem papiery Nicka, stało się jasne, czym przede wszystkim się zajmował - zarabianiem pieniędzy. W każdym razie starał się je zarabiać. Korespondencja mailowa między nim a Simonem wykazywała, jak szybko rozwijał się biznes zapoczątkowany przez Nicka w Gwinei Równikowej i jak prędko rosły kapitały tych firm. W październiku 2003 roku miesięczny budżet operacyjny Nicka wynosił skromne trzydzieści tysięcy dolarów, wliczając w to jego pensję wynoszącą pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Nie był to majątek, ale też i suma nie do pogardzenia. Pod koniec stycznia 2004 roku budżet wzrósł już do ponad osiemdziesięciu tysięcy dolarów.

Przedsiębiorstwo Triple Option Trading, założone 25 sierpnia 2003 roku, powstało jako wehikuł dla inwestycji w Gwinei Równikowej. Funkcjonowało w charakterze autentycznego i dochodowego biznesu, poza tym stanowiło fasadę maskującą przygotowania do zamachu. Wyciągi z kont dowodziły, że środki napływały z rachunków bankowych Simona. Filia przedsiębiorstwa zarejestrowana w Gwinei Równikowej działała jako joint venture z bratem prezydenta Armengolem, który przystąpił do współpracy ponoć w dobrej

wierze, nie znając tajemnych planów swoich współników.

Miałem przed sobą tysiące stron dokumentujących biznesowe poczynania Nicka, dziesiątki teczek do przeczytania i przetrawienia. Pośród sprawozdań dotyczących kosztów bieżących oraz maili poświęconych najrozmaitszym projektom wprowadzanym w życie lub pozostającym w sferze zamierzeń moją uwagę przykuły informacje na temat kosztownych nabytków niezbędnych do zmiany reżimu.

5 lutego 2004 roku przedsiębiorstwo należące do Gerharda Merza - Niemca zakatowanego później na śmierć - przedstawiło Triple Option rachunek na okrągłą sumkę stu dwudziestu czterech tysięcy dolarów za samoloty transportowe antonow oraz iliuszyn, a także tytułem wynagrodzenia dla ich załóg. Sześć dni później wystawiono kolejną fakturę, tym razem na dwadzieścia tysięcy dolarów za „samochody na miejscu”. Po zapewnieniu transportu lotniczego i naziemnego można było przystąpić do działania: do pierwszej próby zamachu doszło osiem dni później. Na tym rachunku widniała dopisana ręcznie uwaga Nicka: „miesięczny rach. Simona”. 1 grudnia 2003 roku Simon udzielił Nickowi gwarancji na dwa miliony dolarów dla firmy Triple Option Trading. Między 5 stycznia a 2 marca przedsiębiorstwo Nicka w sumie otrzymało od przedsiębiorstw Simona dwieście dwadzieścia tysięcy dolarów: Nick wpadł po uszy, nie miałby jak tego spłacić.

- Dziwię się, że jeszcze żyjesz.

Wspólnik Nicka w interesach, Henri van der Westhuizen, siedział naprzeciwko mnie za stolikiem w barze kawowym Nino's w miasteczku Centurion, położonym opodal wschodnich przedmieść Pretorii. Simon w swoim zeznaniu wymienił go jako pierwszą osobę, do której Nick się zwrócił, szukając broni, dlatego skontaktowałem się z Henrim natychmiast po przyjeździe do Republiki Południowej Afryki. Jeśli ktokolwiek był w stanie pomóc mi zebrać do kupy części tej układanki, to właśnie on. Drobny mężczyzna o ciemnych, falujących włosach i szybkim, nerwowym uśmiechu. Henri nie wyglądał jak zabójca, chociaż tą właśnie profesją swego czasu się trudnił. Nie wyglądał, natomiast sposób jego wysławiania się nie pozostawiał wątpliwości. Te słowa, wypowiedziane na powitanie, usłyszałem od niego, zanim zdążyłem usiąść.

Dzięki kwerendom przeprowadzonym jeszcze w Londynie zdołałem poznać nieco szczegółów z przeszłości Henriego. Jego zeznania złożone przed Komisją Prawdy i Pojednania, ustanowioną przez rząd Mandeli i mającą za zadanie sprawować nadzór nad procesem dochodzenia prawdy o minionej epoce apartheidu i uzdrawiania stosunków w kraju, są publicznie dostępne. Henri należał do Civil Cooperation Bureau -

południowoafrykańskiego szwadronu śmierci, kierowanego z kwater dowodzenia sił specjalnych.

Henri odpowiadał za zamach bombowy w Maputo, jego celem był ten sam przedstawiciel prawny ANC, którego zabójstwa usiłował dokonać George Alerson (teraz w więzieniu razem z Nickiem), wskutek czego trafił za kraty w Mozambiku. Pomógł również w utworzeniu grupy zbierającej informacje na temat potencjalnych ofiar, współpracującej z Kontrrewolucyjnym Ośrodkiem Gromadzenia Danych o Celach działającym pod auspicjami apartheidowego rządu. Tam właśnie podejmowano decyzje, którzy z działaczy ANC mają zostać zamordowani, selekcyjując przy tym wiadomości mające pomóc w ich wyeliminowaniu - często w konsekwencji działań przeprowadzanych przez wojsko, między innymi takie jednostki, jak komanda wojsk rozpoznania (Reconnaissance). Henri, dzięki swoim zeznaniom przed Komisją, nie tylko skorzystał z amnestii za zamachy bombowe, lecz także uniknął odpowiedzialności za sprzedaż i przemyt broni do bantustanu Ciskei, gdzie - jak sam przyznał - pomógł w przeprowadzeniu zamachu stanu.

Sprawił wrażenie osobnika tak dobrodusznego i przystępnego, że z trudem mi przyszło pogodzić jego słowa z łagodną powierzchownością.

- Naprawdę? - spytałem zaskoczony. - Czy grozi mi niebezpieczeństwo w związku z moimi dociekaniem?

Skinął na kelnerkę. Spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

- Owszem. Zrozum, może i jesteś w porządku. Nick cieszy się powszechnym szacunkiem, wszyscy wiedzą, przez co obaj przeszliście w Liberii. - Urwał i zerknął na mnie, by się upewnić, że słucham go uważnie. - Ale jeżeli dokopiesz się za głęboko, zaczniesz działać ludziom na nerwy. A niektórzy z tych ludzi dysponują władzą i nie omieszkają się nią posłużyć, żeby chronić swoje interesy.

Gdyby ostrzegał mnie ktokolwiek inny, po prostu machnąłbym ręką. Jednak specjalnością Henriego było akurat określanie celów do zaatakowania. Jeśli na czymś się znał, to właśnie na likwidowaniu niewygodnych ludzi. Byłem przy tym całkowicie przekonany, że to z jego strony przejaw życzliwości, nie pogróżki.

Kelnerka przyjęła od nas zamówienie na kawę i ciastka, po czym oddaliła się niespiesznie, by zasiąść za kasą.

- Czy powinienem obawiać się kogoś konkretnego?

- Nie, nie mam na myśli jakiejś określonej osoby. - Jego twarz pozostawała nieprzenikniona. Zdjął brązową skórzaną kurtkę i pochylił się ku mnie, opierając łokcie o stół.

- Po prostu bądź ostrożny. Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc. Powiedz, co chciałbyś wiedzieć?

- Cóż, może ryzykuję, że wkurzę ludzi, których tak naprawdę nie chciałbym wkurzyć, ale próbuję się zorientować, jakie były dokładnie zamiary Nicka. Co planował i dlaczego.

Wyznałem, że pomysł na kupowanie broni w Zimbabwe wprowadził mnie w zdumienie i konsternację.

Henri zaczął mówić.

Potwierdził, że początkowy projekt, którego zarysy Nick przedstawił mi w maju, zakładał, iż bazą wypadową będzie Konakry w Gwinei, tam miano wyszkolić ludzi i stamtąd przetransportować ich statkiem do Gwinei Równikowej. Gdy plany się zmieniły, Simon Mann w styczniu 2004 roku zwrócił się za pośrednictwem Nicka do Henriego, chodziło o broń niezbędną do przeprowadzenia zamachu. Ostatecznym terminem miał być 23 lutego, ponieważ cała operacja musiała się odbyć przed marcowymi wyborami w Hiszpanii, choć wówczas Henri nie był pewien, dlaczego przykładano do tego tak wielkie znaczenie. Henri i Nick wybrali się więc do Ugandy, by dotrzeć do ich kontaktu w Kampali, jednak do zawarcia umowy nie doszło - nie udało im się bowiem porozumieć z kluczową postacią, pewnym starszym rangą dowódcą wojskowym - dlatego powrócili obaj z pustymi rękami. Na tę wiadomość Simon stracił panowanie nad sobą, w rezultacie Henri się wycofał. Stwierdził, że od tamtej chwili nie miał z całym przedsięwzięciem nic wspólnego.

- Nickowi dano mniej więcej miesiąc, żeby załatwić sprawę. Tyle że w takich sytuacjach nie można niczego zagwarantować. Jakikolwiek czynnik, nawet pogoda, może spowodować opóźnienie. W takich ramach czasowych nie sposób zapewnić zawarcia tego rodzaju umowy.

W rezultacie umowa została podpisana z Zimbabwe Defence Industries.

Gdy zbliżała się już data przewrotu, Nick zwierzył się Henriemu ze swych obaw.

- Zrozumiał, że wdepnął w niezłe gówno, więc poprosił mnie, żebym poszedł do Skorpionów.

The Scorpions to jakby ówczesne południowoafrykańskie FBI, instytucja bezwzględnie tropiąca zorganizowaną przestępczość oraz korupcję.

- Chciał rozmawiać ze Skorpionami o zamachu? - spytałem. - Po co? Żeby dostać od nich błogosławieństwo?

- Tak. Wiedział, że ta operacja jest spierdolona.

Henri oznajmił, że próbował zaaranżować Nickowi spotkanie, jednak nic z tego nie wyszło. Zaczynało brakować czasu, dlatego 18 lutego, na dzień przed pierwszą próbą zamachu, Henri wybrał się sam na rozmowę z krajowym dyrektorem oskarżenia publicznego, którym był Bulelani Ngcuka.

Spoglądałem na Henriego z niedowierzaniem. Doprawdy niezwykła informacja. Ngcuka przyczynił się do powstania Skorpionów, miał bliskie powiązania z prezydentem Republiki Południowej Afryki, Thabo Mbekim. Żona Ngcuki, Phumzile, w 1999 roku została mianowana ministrem zasobów mineralnych i energetyki. Tym samym Ngcuka był szczególnie zainteresowany kwestią stabilności politycznej w Gwinei Równikowej - kraju, który w Afryce Subsaharyjskiej posiadał rangę trzeciego co do wielkości producenta ropy naftowej.

- I co powiedzieli? Co w ogóle mogli powiedzieć?

Naprawdę trudno mi było w to uwierzyć. Nick poprosił, żeby Henri omówił plan z najwyższym urzędnikiem śledczym kraju, niemal na pewno zdając sobie sprawę, że w ten sposób wiadomość dotrze do samego prezydenta.

- Najwyraźniej wiedzieli już o całej operacji. Nie zadali ani jednego konkretnego pytania. Nie powiedzieli, że się zgadzają ani że się nie zgadzają - ogólnie rzecz biorąc, powiedzieli niewiele. Poprosili mnie tylko, żebym zebrał nieco więcej informacji dotyczących strony brytyjskiej, to znaczy Simona Manna oraz osób finansujących przedsięwzięcie. Zgodziliśmy się co do tego, iż należy to zbadać.

Henri odniósł wrażenie, że brak stanowczego „nie” ze strony Skorpionów oznaczał milczącą zgodę. Wywnioskował z tej rozmowy, że rząd interesują przede wszystkim osoby finansujące spisek oraz że prawdopodobnie ze strony władz Nickowi nic nie grozi.

Rewelacje Henriego zmuszały do postawienia istotnych pytań: jeśli w Skorpionach wiedziano już o planowanym zamachu, to kto o nim doniósł? I kto jeszcze wiedział? Wszystko wskazywało na to, że wiedziało wiele różnych osób.

- Wiem, że na temat poczynań Simona sporządzano raporty wywiadowcze - oznajmił Henri.

Agent wywiadu z czasów apartheidu, a obecnie szpiegowski wolny strzelec, niejaki Johann Smit, sporządził pod koniec 2003 roku obszerne i trafne doniesienie dotyczące działań Nicka oraz Simona, po czym przedłożył owo dossier władzom Gwinei Równikowej, Republiki Południowej Afryki, Brytyjczykom oraz Amerykanom.

- Spytałem Simona, czy zdaje sobie sprawę, iż najprawdopodobniej jest obserwowany - ciągnął Henri. - Odparł, że wszystko ma pod kontrolą, że Nigel Morgan, jego kontakt w tajnych służbach RPA, dostarcza mu wszystkie raporty wywiadowcze.

Nigel, z którym spotkałem się zaledwie dziesięć dni wcześniej w Londynie, zaprzeczał. Przymuszczałnie odegrał on jednak istotną rolę. Jak stwierdził Henri, w kręgach wywiadowczych powszechnie wiedziano, iż Nigel Morgan pracuje dla tajnych służb

Republiki Południowej Afryki oraz że prowadził swego czasu wspólne interesy z Johannem Smitem. Rząd RPA mógł wiedzieć o przygotowaniach do zamachu już od miesiący, co tłumaczyło, z jakiego powodu zapis mojej rozmowy znalazł się w dokumentacji Morgana.

Henri oznajmił mi ze śmiechem, że o planach przewrotu mówiono nawet w Chatham House, kiedy pewien obywatel Republiki Południowej Afryki, pracujący dla korporacji Shell (pozostający ponoć w bliskich relacjach z Mbekim), zapowiedział, że wkrótce dojdzie do inwazji z udziałem najemników.

Musiałem zapytać Henriego o jeszcze jedną rzecz. Czy Nick próbował się wycofać?

- Zdziwiłem się, kiedy zawarł umowę z ZDI. Przedtem odnosiłem wrażenie, że chce się skupić na legalnym biznesie, który rozkręcił w Gwinei Równikowej. Wyjaśnił mi, że kwestię planowania od strony wojskowej przekazał Harry'emu Carlse'owi i chciał się wycofać z całego przedsięwzięcia, jednak Simon oświadczył, że to niemożliwe, ponieważ „inwestorzy” na to nie pozwolą. Mogę ci tylko przekazać, że na trzy tygodnie przed marcową akcją Nick nie miał pojęcia, gdzie znajdują się kluczowe cele, łącznie z prezydentem Obiangiem. Przecież znasz Nicka, myślisz, że w takiej sytuacji podjąłby decyzję o działaniu?

Dopiliśmy kawę. Spytałem wtedy Henriego o jego służbę w wojsku. Odparł, że sprzyjało mu szczęście, bo miał dobrych kolegów. Pracując dla wywiadu wojskowego, przyjaźnił się z pułkownikiem policji, niejakim Eugene'em de Kock, nazwał go swoim mentorem.

- Tak, widuję się z nim regularnie. Nadal odwiedzam go w więzieniu.

Południowoamerykańska prasa nadała pułkownikowi przydomek Samo Zło. De Kock odsiadywał wyrok za serię morderstw opiewający na dwieście dwanaście lat więzienia.

Podaliśmy sobie z Henrim ręce i uzgodniliśmy, że wkrótce spotkamy się znowu. Zrelacjonowałem przebieg rozmowy Carli, odpowiedzialnej za reżyserię naszego filmu, która cierpliwie czekała na parkingu. Powtórzyłem do kamery, co usłyszałem od Henriego. To spotkanie wywarło na mnie spore wrażenie, nie tylko ze względu na wagę informacji przekazanych mi przez Henriego, lecz także dlatego, że otwarło mi oczy na świat, o którym wiedziałem bardzo niewiele. Dotąd Nick stanowił dla mnie wzorzec zawodowego żołnierza: owszem, zabijał w służbie apartheidu, ale był wojownikiem, nie mordercą. Przelewał krew na polu bitwy, nie w prywatnych mieszkaniach. „Nasze siły specjalne działały bardzo profesjonalnie - powtarzał. - Nie robiliśmy nic złego”. Tyle że ludzie pracujący dla Civil Cooperation Bureau i żołnierze sił specjalnych byli ściśle ze sobą powiązani, pozostawali trybikami tej samej państwowej maszyny.

Wszystko, co wiedziałem o Nicku, skłaniało mnie do przekonania, że choć z nimi

pracował, nie był jednym z nich. Naiwnie sądziłem, że skoro on nie ma sobie nic do zarzucenia, to ja także mogę mieć czyste sumienie. Bądź co bądź nigdy nie został powołany przed oblicze Komisji Prawdy i Pojednania, by zdać sprawę ze swych poczynań w trakcie służby wojskowej. Jednak im więcej się dowiadywałem o spisku oraz roli odegranej w nim przez Nicka, tym mniej byłem pewien jego intencji. Co należy sądzić o człowieku, którego najlepszy przyjaciel uważa za swojego mentora postać taką, jak Eugene de Kock? Jeśli to prawda, iż ludzi można osądzać na podstawie towarzystwa, w jakim się obracają - wówczas obaj musielibyśmy sobie odpowiedzieć na kilka trudnych pytań.

Trzy dni później znów skontaktowałem się z Driesem. Nadszedł czas, by skorzystać z jego oferty dotyczącej możliwości zapoznania się z listami Simona. Carla i ja zasiedliśmy za stołem w mdłym i nijakim pomieszczeniu konferencyjnym firmy prawniczej; Driesowi towarzyszył adwokat, Bernhard van der Hoven. Van der Hoven otworzył teczkę, a Dries rozłożył przed nami kartki wyrwane z „National Geographic” oraz z notesów. Były pokryte dobrze mi już znanym odręcznym pismem Simona Manna. Carla i ja spojrzeliśmy po sobie. Wyciągnąłem rękę, lecz powstrzymałem się w ostatniej chwili.

- Można?

- Jasne, James. Możesz przeczytać wszystko - zgodził się Dries, obdarzając nas promiennym uśmiechem.

W moich rękach znalazły się stronicie ponad dwunastu listów skierowanych przez Simona do rozmaitych adresatów.

- Czy możemy porobić notatki? - upewniła się Carla. Znów odpowiedź twierdząca. - W porządku - uznała, patrząc teraz na mnie. - Ty je przeczytaj i wybierz istotne fragmenty, a ja będę zapisywać. Sam wiesz najlepiej, czego szukamy.

Zagłębiłem się w lekturze, Carla stenografowała.

Na szczycie stosu znajdowała się niedatowana kartka zapisana przez Simona, zawierająca objaśnienie kodów używanych w korespondencji. Na samym początku odczytałem:

Kod Scratcher: Mark Thatcher Gazza

Smelly = EC Gary Hershman

W pliku tym znalazły się listy, odbiorcami byli Wonga, Smelly oraz Scratcher, a ich treść przeciekła już do prasy. Wynikało z nich, że aby sfinansować zamach, Simon zwrócił się do rozmaitych prywatnych inwestorów, zbierając od nich sumy sięgające z grubsza dwustu tysięcy dolarów; rzecz jasna, sponsorzy spodziewali się w zamian kolosalnych zysków. Jednak większości tych listów nie znałem.

21 marca Simon poprosił swojego korespondenta, Timothy'ego Robartsa (od którego nie oczekiwał finansowania przewrotu), by ten zgodził się w razie potrzeby służyć pożyczką jego żonie, Amandzie - najwyraźniej Mann nie wiedział, jakie fundusze pozostały do jej dyspozycji - gwarantując zarazem słowem dżentelmena każdą ewentualną kwotę. Napisał ponadto: „Pierwsze 5 dni było bardzo niedobre «nie w stylu konwencji genewskiej», ale teraz nic nam nie jest i na razie jesteśmy bezpieczni... To, czego próbowałem dokonać, było SŁUSZNE, w imię SŁUSZNEJ sprawy. O najemnikach rozpowiada się mnóstwo bzdur. W każdym razie przyjęło się, że najemnicy walczą o coś, co ich nie obchodzi, i dostają za to pieniądze. My tymczasem bardzo staraliśmy się NIE walczyć za sprawę, która żywo nas obchodzi i na którą wydałem o wiele za dużo własnych pieniędzy!”.

Pieniądze oraz kwestia moralnego usprawiedliwienia jego poczynań przewijały się w wielu listach. Posługiwał się identyczną argumentacją o celach uświęcających środki co ja, kiedy przekonywałem samego siebie, żeby przystać na propozycję Nicka. Czytałem te słowa z niemalym zażenowaniem. Również 21 marca napisał do swojego asystenta finansowego, Jamesa Kershawa, który zyskał tymczasem status świadka koronnego. W liście tym Simon stwierdzał: „Pańskie honorarium może zostać wypłacone jedynie za moją zgodą, wyłącznie jeśli ocali pan Hansard and Co. [trust nadzorujący rozmaite przedsięwzięcia finansowe Simona]. Słyszałem, że NM [Nigel Morgan] pomaga panu w zarządzaniu tym wszystkim, ale proszę pamiętać, że pracuje pan dla mnie. Proszę nie pozwolić na jakiegokolwiek redagowanie tych komunikatów oraz przekazywanie ich niepowołanym osobom”. W innym liście wzywa Kershawa, żeby „przesuwał fundusze z rachunków projektowych na nasze rachunki osobiste”. „JK posiada całkowite pełnomocnictwo dotyczące wszystkich pieniędzy itd.” - pisze gdzie indziej. „W jego gestii pozostają decyzje dotyczące £ z moich funduszy itp. oraz co do £ na ten projekt”.

Domagał się, by adresaci zapoznali się z listami, opatrzili je parafką i zwrócili nadawcy. Przynajmniej pod tym ostatnim względem życzenia Simona zostały najwyraźniej zignorowane. W liście datowanym na 19 marca, w którym powiada: „Właśnie miałem dziwną rozmowę z Angolczykami!!”, Simon zamieścił dopisek z adresem mailowym Marka Thatchera: „Mark, proszę, przekaz to Nigelowi: proszę, czy możesz nam pomóc?”. W osobnej przesyłce Simon wypisał adres mailowy Ely'ego Calila, a obok drukowanymi literami: „E - polegam na tobie i ufam, że nam pomożesz”. Domagał się też, żeby Kershaw „przesłał podpisany kontrakt [lotniczy] Logo/PANAC Smelly'emu”.

Mann w swoich listach często bywał nader bezpośredni, niekiedy zawierały one treści na tyle osobiste, że nie nadaje się to do przekazania.

Przedostatni list z kolekcji pokazanej mi przez Driesa zdawał się rozstrzygać kwestię, czemu Simon oraz Nick tak się spieszyli na początku roku. Simon pisał do niezidentyfikowanego odbiorcy: „Powinieneś pamiętać o spotkaniu w melinie Smelly’ego ze Smellym, K oraz Gazzą w niedzielę 23 lutego (?) Powiedzieli wtedy, że mogą zorganizować tylko 500, a nie 1000, o które prosiłem”. „W desperacji, po dłuższej dyskusji - czytałem dalej - spytałem Smelly’ego, czy jeśli zdobędę \$, albo kredyt na własne nazwisko od osób trzecich, to mogę liczyć na gwarancję z jego strony”. W rezultacie Simon wyraził przekonanie, że [Ely] „z pewnością zwróci mi te pieniądze”.

„Dopiero 6 stycznia otrzymaliśmy gotówkę, dzięki której mogliśmy na poważnie zacząć pracę, przy wyznaczonym ostatecznym terminie 16 lutego, w dodatku po tych wszystkich falstartach - skarży się Simon adresatowi. - Smelly musi wziąć na siebie spory kawał winy. Przez cały zeszły rok kombinował z £. Wiesz o tym. To za sprawą Smelly’ego nigdy nie mieliśmy dość czasu ani £”.

Smelly to Ely Calil, libański potentat naftowy; Gazza - Gary Hershman, brytyjski biznesmen, który przedstawił Manna Calilowi na początku 2003 roku, co również wynika z zeznania Simona. Nie pojawiła się żadna wzmianka pozwalająca domniemywać, iż Hershman był zamieszany w spisek poza tym, że ponoć miał brać udział w spotkaniu; nie znalazłem żadnej wskazówki co do tego, skąd pochodziły pieniądze, ani dowodu, że Calil wiedział, co Simon zamierza zrobić z tymi pieniędzmi. Calil oraz Hershman zgodnie zaprzeczyli, jakoby finansowali zamach.

Gdy tak brnąłem przez sfatygowane papiery zawierające desperackie prośby o pomoc, oskarżenia i usprawiedliwienia, przyszło mi na myśl, że postać Nicka wprost rzuca się w oczy - przez swą nieobecność. W jednym z listów Simon znalazł czas i miejsce, żeby opowiedzieć długi kawał o uczniakach z elitarnej szkoły, jednak ani razu nie zainteresował się losem Nicka czy też innych uwięzionych w Gwinei Równikowej - jak ich traktowano, jakie mieli perspektywy. Teraz, gdy skończyła się gra, każdy myślał tylko o sobie.

Dries pozbiierał sfatygowane stronicę, a potem przysunął w naszą stronę czarno-białe fotokopie niektórych listów.

- Prosiłście o kopie.

- Dziękuję - powiedziałem, a potem spytałem: - Kto jeszcze to widział? Mam na myśli wszystkie te listy, nie same kopie.

- Billy Masetlha, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, ma zestaw kiepskich kopii. Rachel Gaskin dysponuje kompletem kolorowych odbitek, a to są oryginały. Nikt więcej.

Carla i ja notowaliśmy, słuchając jego wyjaśnień. Gaskin, amerykańska prawniczka, była pełnomocniczką rodziny Manna. Masetlha to ówczesny szef południowoafrykańskiego wywiadu wewnętrznego.

- A dlaczego ty je masz, Dries? - zainteresowała się Carla.

- Żeby nic się z nimi nie stało i żeby pomóc chłopakom w Zimbabwe - oraz Nickowi i innym w Gwinei Równikowej.

Następnie Dries sprecyzował swoje żądania. Wycenił koszt wynajęcia prawnika w Zimbabwe na 81 643 południowoafrykańskie randy, honorarium prawnika w Gwinei Równikowej na 30 000 randów, do tego doszły koszty podróży Driesa, które wyniosły dalsze 35 000 randów.

Carla i ja spoglądaliśmy na niego z niedowierzaniem, ale też z mimowolnym szacunkiem. Musieliśmy przyznać, że facet nie owija w bawełnę.

- Odezwiemy się - stwierdziła Carla, kończąc w ten sposób spotkanie. - Dziękujemy za poświęcony nam czas.

Podali sobie ręce przez stół, van der Hoven odprowadził nas do wyjścia. Gdy siedzieliśmy już bezpieczne w srebrnym bmw Nicka i przekręciłem kluczyk w stacyjce, spytała mnie:

- I co ty na to?

- No nie wiem - odpowiedziałem. - Może jestem niedzisiejszy, ale uważam, że kiedy ktoś w ten sposób domaga się gotówki, powinien mieć przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby przystawić ci pistolet do głowy.

Spojrzałem przez okno samochodu na wejście biurowca.

- Cholera. Trudno, kupujemy.

W domu Nicka przejrzałem pozbierane kserokopie oraz wydruki. W Londynie i w Pretorii wypłynęły dokumenty, których Nick prawdopodobnie nie znał. Zawierały szczegółowe dane dotyczące wsparcia finansowego zamachu oraz spodziewanych zysków.

Z dokumentów wynikało, iż główne źródło funduszków Simona pochodziło od grupy libańskich inwestorów z zarejestrowanej w Bejrucie firmy Asian Trading and Investment Group SAL. Karim Fallaha, który towarzyszył Gregowi Walesowi oraz Severowi Moto na Wyspach Kanaryjskich pełnił funkcję jej dyrektora. W umowie podpisanej przez Simona 19 listopada 2003 roku przedsiębiorstwo zobowiązało się zainwestować pięć milionów dolarów w Logo Logistics Limited, choć nie z przeznaczeniem na zamach, lecz w celu sfinansowania projektów z dziedziny „przemysłu wydobywczego [...] oraz lotnictwa (towarowego i pasażerskiego), czarteru śmigłowców oraz profesjonalnej ochrony w następujących krajach:

Republika Gwinei, Sierra Leone, Liberia i Angola”. W zamian za swą hojność libańskie konsorcjum oczekiwało pięćdziesięciu procent odsetek natychmiast po zrealizowaniu „całości projektów”.

Światło dzienne ujrzały też dwa kontrakty datowane na 22 lipca 2003 roku zawarte między Severem Moto, który ich nie podpisał, a Kapitanem F - czyli kapitanem Simonem Francisem Mannem, tak brzmiał jego pseudonim przybrany na czas „zmiany reżimu” - który swój podpis pod umowami złożył. Pierwsza z nich określa prowizję dla Simona wraz z trzema innymi konspiratorami (wyznaczonymi przez niego) na sumę miliona dolarów. Była to zarazem kwota, o jaką grał Nick - zgodnie z zeznaniem złożonym przez niego w Gwinei Równikowej tyle właśnie mu obiecano. Sześciu najemnych oficerów miało dostać po pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a „siedemdziesięciu pięciu” szeregowych żołnierzy po dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Razem dawało to ponad siedem milionów dolarów. Ponadto Simon domagał się dla siebie i swoich ludzi gwarancji bezkarności oraz obywatelstwa Gwinei Równikowej. Nie omieszkał też posłużyć się starą najemniczą sztuczką, zawierając w umowie klauzulę, na mocy której spiskowcy będą odpowiadać za zapewnienie Moto bezpieczeństwa, czyli utworzą straż prezydencką; zapewnił sobie w ten sposób bezpośrednią, fizyczną kontrolę nad osobą przywódcy.

Zacząłem rozumieć, dlaczego Nick poprosił Henriego, żeby ten skontaktował się ze Skorpionami, choć to przecież właśnie tych ludzi Nick miałby na karku, gdyby aresztowano go w Republice Południowej Afryki. Trudno się dziwić, że przy inwestycjach na tak okazałą skalę, a zarazem nie mając pojęcia o rozlokowaniu kluczowych postaci, które miał uśmiercić lub pojmać, Nick szukał dla siebie zabezpieczenia. Wiedział od Henriego, że służby wywiadowcze RPA zostały już poinformowane o planowanej operacji, być może nawet były w nią zamieszane: gdyby padło z ich strony żądanie, żeby się wycofał, zapewne tak by uczynił. Miał przecież zapewnioną finansową przyszłość na wyspie, zarówno gdyby doszło do zamachu, jak i gdyby z niego zrezygnowano. Kłopoty groziły mu tylko w razie zamachu spartaczzonego...

W drugiej ujawnionej umowie Kapitan F „idzie na całość”. Dokument, opatrzony adnotacją „poufne”, być może nieznaną nawet innym spiskowcom, zawierał szczegółową listę żądań rozpoczynającą się od piętnastu milionów dolarów płatnych w ciągu dwóch miesięcy od objęcia rządów przez Moto. Inne klauzule i postulaty dowodzą, że Simon zamierzał objąć kontrolą całe siły bezpieczeństwa Gwinei Równikowej, wywiad oraz służby zaopatrzenia wojskowego. Inaczej mówiąc, nie tylko chciał rządzić siłami bezpieczeństwa, lecz także zapewnić spiskowcom monopol na dostarczanie im ekwipunku. W tej umowie

znalazł się również postulat wydania spiskowcom paszportów dyplomatycznych (o czym Nick wspominał mi w Konakry), ponadto konspiratorzy mieli uzyskać prawo do nadzoru nad procesem sprowadzania do kraju setek milionów dolarów, które Obiang zachomikował na zagranicznych kontach bankowych - rzecz jasna wiązało się to z odpowiednią prowizją.

Dwa kolejne dokumenty z zasobów tworzących „literaturę” zamachu rzucają światło na dalsze zamiary spiskowców. Nota zatytułowana *Wspomagana zmiana reżimu*, nosząca tę samą datę co umowy z Kapitanem F, składa się z rozważań o tym, jak należy rządzić Gwineą Równikową po dokonaniu przewrotu. We wstępnych założeniach pojawia się stwierdzenie, iż natychmiast po zamachu trzeba odciąć wszelkiego typu komunikację międzynarodową, a jednocześnie zwerbować dziennikarzy oraz biznesmenów do zmasowanej kampanii informacyjnej mającej na celu legitymizację nowych rządów oraz zapewnienie im jak najszybszej akceptacji na arenie międzynarodowej. Aby przydać sobie wiarygodności, spiskowcy zamierzali ogłosić szeroko zakrojone reformy społeczne i ekonomiczne, pilnując jednak skrzętnie, by zagraniczne koncerny naftowe, które miały zagwarantować im stały dochód, w żaden sposób na tym nie ucierpiały.

Drugi dokument, zatytułowany *Przedsiębiorstwo Bight of Benin (Zatoka Beninu)*, powstał prawdopodobnie w styczniu 2004 roku, mniej więcej wtedy, gdy Nick usiłował (bezsukcesyjnie) wynegocjować dostawy broni z Ugandy i wyrażał w rozmowie ze mną wątpliwości, czy całe przedsięwzięcie w ogóle ma sens. Jedna z wersji tych zapisków została znaleziona w gabinecie Simona w Republice Południowej Afryki. Autor ostrzega, iż głównym problemem, z którym będą musieli się borykać spiskowcy, mogą okazać się zagrożenia wynikające z takich czynników, jak „złe zachowanie; nielojalność; skrywana, egoistyczna chciwość; zachowania nieracjonalne; podstępna zdrada; włazidupstwo oraz podobne działania niegodne dżentelmena”, wszystko w szeregach konspiratorów. Co znamienne, znalazło się tam zastrzeżenie, iż udział Marka Thatchera w przedsięwzięciu ma pozostać tajemnicą.

Należało także rozstrzygnąć kwestię postępowania wobec Moto, wobec rządu Stanów Zjednoczonych oraz w szczególności kwestię stosunków z Nigerią - w dokumencie wyrażono bowiem obawę, iż kraj ten może dokonać inwazji na Gwineę Równikową, aby sprowadzić ją do „statusu państwa wasalnego”. Co intrygujące, zagrożenie ze strony Nigerii, jak postrzegali je spiskowcy, wiązało się też z innym niebezpieczeństwem spędzającym im sen z powiek, a polegającym na tym, że E.K. (najprawdopodobniej chodzi o Ely’ego Calila, którego nazwisko występuje również w pisowni „Khalil”) może stanąć na przeszkodzie ich planom. Jeśli to Calil był fundatorem i pomysłodawcą operacji planowanej przez Simona, to należałoby się spodziewać, iż obaj panowie będą przemawiać jednym głosem. Otóż nic podobnego. Autor

dokumentu niepokoi się, iż Calilem powodują ukryte przesłanki i że zapewne uczestniczy w „typowych libańskich układach (obejmujących pranie brudnych pieniędzy, handel diamentami itd.), które kreują problemy ze światem zewnętrznym”, może się mianowicie okazać, iż pracuje dla „Nigeryjczyków lub jakiejś nigeryjskiej frakcji, być może mając na względzie destabilizację w Gwinei Równikowej, przejęcie części jej złóż naftowych [oraz] przejęcie przez nich pokaźnego udziału w dochodach z przemysłu naftowego”.

Innym zagrożeniem, z którym liczyli się spiskowcy, był Nick. Autor dokumentu wyrażał obawę, iż „może on pracować dla Obianga albo też obecnie lub później może zostać przez niego przekupiony, ulec naciskom lub groźbom”. Co więcej, może „mieć własny plan”. Określono też jasno i wyraźnie sposoby mające służyć ograniczeniu wpływów Nicka: wszystkie umowy Triple Option Trading miały być zawierane za pośrednictwem przedsiębiorstwa kontrolowanego przez spiskowców, a wyboru najemników i kontraktowych ochroniarzy zatrudnianych po „wydarzeniu” mieli dokonywać konspiratorzy, nie Nick. Wydawało się nieuniknione, iż Nick przekonałby się z czasem na własnej skórze o skłonności spiskowców do „podstępnej zdrady”... Tymczasem, choć za ułatwienie przeprowadzenia puczu w Malabo miał otrzymać milion dolarów, to na dłuższą metę legalne umowy zapewniłyby mu i tak podobne zyski. Mogłem się tylko domyślać, czy Nick zdawał sobie sprawę z podejrzeń, iż jest wtyczką Obianga.

Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o zamachu, czyli piętnaście miesięcy wcześniej w Konakry, wyobrażałem sobie, że wszystko zacznie się i skończy dramatyczną strzelaniną oraz pokazową paradą zwycięstwa; ja zaś - jak sądziłem - najpierw pokażę światu przewrót, a potem przedstawię wewnętrzne mechanizmy całej operacji. Nawet nie przypuszczałem, na jaką skalę Simon snuł swoje plany. Wątpiłem też, czy Nick o tym wiedział. Przekształcenie Gwinei Równikowej w „afrykańską Szwajcarię” oraz odsunięcie od władzy nikczemnego tyrana zdawało się, przynajmniej na pierwszy rzut oka, całkiem rozsądnym, dającym się usprawiedliwić celem - nawet gdyby kilku cudzoziemców miało się przy tym dorobić. W granicach rozsądku, a już z pewnością moralności, nie mieścił się natomiast zamiar hegemonii, jaką zgodnie z tym manifestem spiskowcy chcieli sprawować w kraju. Wskutek utworzenia przedsiębiorstwa zarządzającego Gwineą Równikową, na sposób zbliżony do tego, jak początkowo Brytyjczycy zarządzali Indiami pod egidą East India Company, konspiratorzy zamierzali osiągnąć ni mniej, ni więcej jak kontraktową kontrolę nad niezależnym państwem i narodem. Nie chcieli usunąć Obianga i osadzić na jego miejsce Moto - tak naprawdę zamierzali zostać właścicielami Gwinei Równikowej. Dokument zredagowano językiem rasistowskim, intencje spiskowców okazały się czysto kolonialne. Cóż

z tego, że Simon zapewniał w swoim zeznaniu, iż usiłował pomóc „sprawie”, działając na rzecz „dobrego i uczciwego” Severa Moto, skoro jego plan był z gruntu nieuczciwy, powodowany zwykłą chciwością.

Mimo iż te pisma nadzwyczaj jasno wykazywały demoralizację spiskowców, moje zrozumiałe zastrzeżenia co do celów operacji nie skłoniły mnie jednak do potępienia Nicka. Uznawałem za mało prawdopodobne, by znał jakiegokolwiek szczegóły zawarte w tych nowych dokumentach, które przecież dopiero odkryto; mało tego, spiskowcy najwyraźniej nie ufali mu i zamierzali podjąć kroki skierowane przeciwko niemu. Co więcej, przyjaźń z Nickiem w istotny sposób wpłynęła na moją ocenę jego udziału w zamachu. Moje obawy wyrażone w Londynie okazały się słuszne: wobec możliwego wyroku śmierci na Nicka jako dziennikarz nie byłem w stanie pozostać obiektywny czy bezstronny.

*

Nadszedł czas, abyśmy wraz z Carłą rozszerzyli zakres naszych poszukiwań. W trzecim tygodniu października 2004 roku, siedem miesięcy po aresztowaniu Simona, nasz samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku w Harare. Znalazłem się w Zimbabwe po raz pierwszy od czasu, kiedy relacjonowałem dla BBC wybory prezydenckie w 2001 roku. Pragnąłem się przekonać, czy podążając śladem Nicka, zdołam zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób doszło do załamania całego przedsięwzięcia.

Kiedy samolot kołował na płycie lotniska, ujrzałem zatrzymanego boeinga 727, którym przybyli tu najemnicy. Widok brudnego, białego kadłuba sprawił, że poczułem niemiły ucisk w żołądku. Dziennikarz bez akredytacji ryzykował w tym kraju wyrok dwóch lat więzienia. A gdyby władze uznały, że mam powiązania z Simonem, mogłem spodziewać się znacznie poważniejszych konsekwencji.

Postanowiliśmy zacząć od spotkania z Dumisanim Muleyą, jednym z nielicznych niezależnych dziennikarzy jeszcze działających w Zimbabwe. Twierdził on, iż dysponuje poufnymi informacjami o kontrakcie na zakup broni. Zasiadliśmy w dusznej sali konferencyjnej budynku, w którym usiłował wykonywać swoją pracę, czyli nadal redagować wiadomości; budynek ów wznosił się niemal w cieniu gmachu partii rządzącej. Muleya stąpał po cienkim lodzie: kilka miesięcy wcześniej aresztowano go i postawiono mu zarzuty natury kryminalnej; odplacono mu się w ten sposób za to, że naraził się rządowi. O ile ja działałem pod pewną presją, o tyle Mulei groziły znacznie drastyczniejsze reperkusje.

- Dzień dobry - powitał nas, Carla wyjęła kamerę z niepozornej torby na zakupy. - Chyba dotarliście tu bez problemu. To dobry początek.

Podaliśmy sobie ręce, przez krótką chwilę narzekaliśmy na pogodę. Mimo duchoty i

upału prezentował się elegancko, w koszuli i krawacie. Rozłożył przed nami na brzegu stołu plik podpisanych kontraktów z ZDI. Przysunęliśmy krzesła.

Nick zamierzał zadbać o to, by jego ludzie zostali dobrze wyposażeni. W dokumentach, które Carla skrupulatnie filmowała, opatrzonych notatkami sporządzonymi jego charakterystycznym pismem nie figurowały rozważania o politycznych manipulacjach sformułowane w slangu elitarnej prywatnej szkoły - te zapiski dotyczyły suchych, militarnych faktów. Najemnicy mieli uderzyć na Gwineę Równikową, dysponując imponującym arsenałem złożonym z dziesięciu pistoletów marki Browning kalibru 9 mm, sześćdziesięciu jeden karabinków szturmowych AK-47, dwudziestu zasilanych z taśmy karabinów maszynowych PKM, dziesięciu granatników RPG, dwóch moździerzy kalibru 60 mm, stu pięćdziesięciu ręcznych granatów oraz dwudziestu pocisków oświetlających do raketnicy. Ponadto zamówienie Nicka opiewało na siedemdziesiąt pięć tysięcy sztuk amunicji, osiemdziesiąt granatów moździerzowych oraz sto pocisków raketowych do pancernic.

Całkowity koszt wyposażenia przeznaczonego do użytku w Gwinei Równikowej nieco przekraczał osiemdziesiąt tysięcy dolarów za ponad cztery tony sprzętu. U góry tej listy Nick zapisał numer rejestracyjny samolotu transportowego, który miał przybyć po zamówiony towar z Gwinei Równikowej (AN12 EK-11351), oraz nazwisko nieszczęsnego pilota rodem z Armenii, kapitana Ashota Karapetyana, który teraz przebywał razem z Nickiem w więzieniu Playa Negra. Drugie zamówienie, podpisane wyłącznie przez Nicka, dotyczyło sześciu ton amunicji oraz pocisków raketowych do RPG. Były przeznaczone dla partyzantów w kongijskiej prowincji Katanga i kosztowały ponad sto tysięcy dolarów. Sięgnąłem po ten drugi dokument.

- Więc Nick naprawdę powiedział: „Zamierzam przekazać ten sprzęt powstańcom w Kongu”?

Mimo iż mowa była o zbrodniczym reżimie Mugabego, jakoś nie mieściło mi się w głowie, żeby przedstawiciele państwowego zakładu zbrojeniowego otwarcie prowadzili rozmowy dotyczące dostaw sprzętu dla ugrupowań partyzanckich.

- Tak - odpowiedział Muleya. Otarł pot z wysokiego czoła.

Jego zdaniem od tego zaczęły się kłopoty.

- Simon Mann mówił o innym zastosowaniu, mianowicie o ochronie kopalni.

Tymczasem Nick nie ukrywał, że chodzi o powstańców, a to najwyraźniej bardzo nie przypadło do gustu stronie rządowej. Przyjrzałem się uważnie dokumentom, po czym zapytałem, czy problemem byli kongijscy partyzanci jako tacy, czy może fakt, że obaj przybysze nie trzymali się tej samej wersji. Muleya zapewnił mnie, że chodzi o kwestię

Katangi.

- Nick prawdopodobnie sądził, że to bez znaczenia, że nie obchodzi ich, do jakiego celu zostanie użyta broń. Nie docenił możliwości negatywnej reakcji ze strony władz Zimbabwe.

Otóż rząd tego kraju czerpał znaczne zyski z zakrojonych na szeroką skalę prac wydobywczych na terenie Konga, okupowanym przez armię Zimbabwe po interwencji w trakcie kongijskiej wojny domowej, inaczej mówiąc, eksploatację zasobów ościennego państwa stawało się coraz istotniejszą częścią dochodów klasy rządzącej. Aby utrzymać stały napływ diamentów, drewna i złota, Zimbabwe potrzebowało przyjaznych rządów w Kinszasie oraz stabilnej sytuacji w dżungli - a nie zbrojnego powstania, które stanowiłoby zagrożenie dla obu tych czynników. Robert Mugabe i Joseph Kabila (prezydent Konga) byli bliskimi sojusznikami. Jak zapewnił mnie Muleya, pułkownik Dube kierujący zakładami ZDI rutynowo składał meldunki o zawieranych przez siebie kontraktach służbom wywiadowczym Zimbabwe, czyli Central Intelligence Organisation (CIO, Centralnej Organizacji Wywiadowczej). Mój rozmówca stwierdził, iż to niezwykle mało prawdopodobne, żeby CIO przymknęła oko na dostawę broni dla wrogów serdecznego przyjaciela prezydenta Mugabego. Tak więc albo Nick popełnił fatalny błąd w ocenie, dokonując zakupu amunicji dla powstańców w ZDI, albo podjął ryzyko i zawarł prywatny układ z pułkownikiem Dube, kupując milczenie szefa ZDI obietnicą zysków z „roboty” w Katandze, być może w postaci przysyłanych lukratywnych kontraktów bądź cennych danych wywiadowczych.

Na zakończenie omówiliśmy, jak należy dyskretnie przesłać dokumenty do Londynu. Muleya przemknął do swojego gabinetu, a Carla i ja ruszyliśmy samochodem przez miasto. Miałem pewien list do doręczenia, chciałem jak najprędzej przekazać go w odpowiednie ręce.

Adwokat Simona, Jonathan Samukange, nie pytał nas o przepustki prasowe, kiedy stawiliśmy się w jego biurze położonym w centrum Harare. Był ubrany w nieskazitelnie wyprasowane spodnie z paskiem zapinanym na złotą klamrę oraz rozpiętą pod szyją koszulę, spod której połyskiwał złoty łańcuch. Niski, charyzmatyczny mężczyzna, który mówił po angielsku z bardzo wydatnym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Zimbabwe. Ożywił się natychmiast na widok kamery - poprawił mankiety i rozparł się w fotelu. On również uważał, że przyczyną klęski byli buntownicy w Katandze.

- Czy gdyby Nick nie wspomniał o ruchu powstańczym w Kongu - dopytywałem - pańskim zdaniem umowa zostałaby zrealizowana zgodnie z planem?

Samukange odwrócił się w moją stronę. On także obarczał Nicka całkowitą winą za aresztowanie Simona.

- Tak. Tak - powtórzył, podkreślając swe zapewnienie krótkimi, szybkimi skinieniami głowy. - Padło to jedno niefortunne stwierdzenie, kiedy powiedział: „Zamierzam to dostarczyć powstańcom w Kongu”. Nie było niczym zamiarem, to jest zapisane, pod przysięgą - mówił dalej, wyciągając w moją stronę palec prawej ręki - nikt nie planował zatrzymać ich w drodze do Gwinei Równikowej.

Teraz kołysał się na boki, oba palce wskazujące mierzyły we mnie niczym brązowe, mięsiste lufy rewolwerów.

- Zamiar był taki, aby ich powstrzymać przed zaopatrywaniem buntowników w Kongu.

- Więc to Nick du Toit jest winny niepowodzenia operacji?

- Tak, stanowczo, stanowczo. Tak, stanowczo. Gdyby nie wygłosił tamtego stwierdzenia, Simon Mann nie siedziałby teraz w Chikurubi.

Nadal nie byłem przekonany. Zarówno rząd w Harare, jak i ten w Malabo oświadczyły publicznie, że to Republice Południowej Afryki zawdzięczają cynk, dzięki któremu poskromiono flibustierów Simona i Nicka; jednak czy chodziło tu o szczerą wdzięczność, czy stanowiło to część z góry umówionego scenariusza - nie sposób stwierdzić. Zmieniłem temat i spytałem Samukangę, jakie są szanse Simona na rychłe zwolnienie. Adwokat stwierdził, że jest to możliwe. Wówczas wręczyłem mu list.

- Mam prośbę, czy mógłby pan przekazać to Simonowi? Nie jest podpisany, ale on będzie wiedział od kogo.

Na sześciu stronach znalazł się opis ówczesnej sytuacji: informacja o tym, że sprawa cywilna wytoczona Simonowi oraz innym spiskowcom przez rząd Gwinei Równikowej sprawia wrażenie skazanej na niepowodzenie; że Crause Steyl, pilot, który miał przywieźć Severa Moto, Grega Walesa oraz innych z Wysp Kanaryjskich do Malabo, poszedł na ugodę ze Skorpionami, aby uzyskać łagodniejszy wyrok, oraz że Nick jest katowany w więzieniu Playa Negra. W ostatnim paragrafie pytałem, czy Simon pragnie coś przekazać światu zewnętrznemu. Samukange zgodził się dopilnować, by mój list trafił do rąk Manna - zaproponował, żebym odezwał się za kilka dni w sprawie odpowiedzi.

Gdy wracaliśmy z Carlą do hotelu, próbowałem dokonać podsumowania dotychczasowego dochodzenia. Nie zyskałem pewności, czy Nick w sposób definitywny planował podjęcie operacji - wyglądało jednak na to, że tak. Albo został do tego zmuszony (mało prawdopodobne), albo, w co bardziej byłem skłonny uwierzyć, uznał, iż ma do czynienia z sytuacją w każdej ewentualności korzystną. Jeśli zamach nastąpi, to będzie urządzony; jeśli nie - dysponował w Gwinei Równikowej inwestycjami wartymi setki tysięcy

dolarów, które na dłuższą metę mogły przynieść mu równie okazałe zyski. Fakt, że nie miał broni czy kompromitujących dokumentów, wskazywał, iż albo nie widział powodu, by uciekać, kiedy aresztowano Simona (co całkiem prawdopodobne, właśnie ze względu na wspomniane inwestycje, których nie chciał utracić), albo też myślał, że próba ucieczki będzie wyglądała jak przyznanie się do winy, więc niechętnie, lecz pozostał w kraju.

Teraz należało znaleźć odpowiedź na następujące pytanie: skąd pochodziła informacja, która doprowadziła do aresztowań? Było wiele możliwości. Nicka mogli wsypać ludzie Mugabego z Zimbabwe, ponieważ chcieli powstrzymać jego projekt związany z Katangą; mogło się też okazać, że to Gwinea Równikowa wszczęła alarm, przejrawszy poczynania Nicka, i powiązała go z Simonem. Możliwe, że cynk pochodził z Afryki Południowej, że tamtejsze służby powiadomiły Zimbabwe - jak uważało już wówczas wielu komentatorów. Jeśli to Południowoafrykańczycy dali znać władzom Zimbabwe - co najprawdopodobniejsze - pojawiało się wówczas kolejne pytanie: skąd się o tym dowiedzieli? Od samego Nicka, od Nigela Morgana czy z jeszcze innego źródła? Fakt, iż cała operacja została powtórzona szesnaście dni po jej początkowym niepowodzeniu w Kolwezi, stwarzał wprost nieograniczone możliwości wyjawienia wszelkich sekretów organizacyjnych.

Pomijając wszystkie te kombinacje, wizyta w Harare pozostawiła mi bardzo szczególny niesmak: niewykluczone, że do fuszerki doszło za sprawą Nicka.

17. Kongijski łącznik

Razem z Carlą przemierzaliśmy Afrykę Południową śladami spiskowców. W Pomfret, spalonym słońcem mieście domów krytych azbestem, gdzie osiedliło się wielu dawnych żołnierzy 32. Batalionu, rodziny oskarżonych domagały się skalpu Simona za to, że wpakował ich bliskich w kłopoty. W Kapsztadzie sfilmowaliśmy luksusową, rozkoszną siedzibę, którą Simon zwał swoim domem. W Pretorii odwiedziliśmy lotnisko Wonderboom i obejrzelśmy jeden z użytych 19 lutego samolotów DC-3 - nadal stał przed hangarem firmy, do której należał, czyli Dodson International Parts SA Limited.

W gabinecie Nicka rozkładałem na podłodze kolejne pliki papierów, dokonując ekshumacji dowodów, które on i Simon pogrzebali w swojej korespondencji. Carla nie towarzyszyła mi z kamerą, to był prywatny, nierejestrowany na taśmie wątek śledztwa. Chodziło mi o to, żeby usłyszeć głos Nicka. Na co liczyłem? Chciałem znaleźć jakieś wyjaśnienie, coś, co oczyściłoby go z coraz liczniejszych posądzeń o niekompetencję. Szukałem szczegółów dotyczących innych ludzi zaangażowanych w spisek - i czegoś, czegokolwiek, na temat operacji kongijskiej.

W ciągu paru godzin, przebrnąwszy przez setki teczek i dokumentów, odkryłem trzy kluczowe fakty. Po pierwsze, Ely Calil, libański biznesmen, którego Simon wymienił w swoim zeznaniu oraz listach pisanych z więzienia, pojawiał się bardzo często także w dokumentach dotyczących projektów Nicka i Simona w Gwinei Równikowej.

W grubej, niebieskiej teczce opatrzonej nagłówkiem „Wykałaczka”, którą według żony Nicka Simon zostawił któregoś dnia w gabinecie męża, znalazłem bilet grzecznościowy następującej treści: „Simon, najlepsze pozdrowienia, Ely Calil”, a ponadto wydruki trzech maili datowanych na 14 oraz 15 maja 2003 roku z nagłówkiem „Przemyslenia dot. OP i GR”. Simon przedstawia w nich Calilowi dwie różne wersje planowanej operacji „ochrony połowów” w Gwinei Równikowej. W istocie treść tych listów dotyczy Nigerii, przemysłu naftowego oraz rozmaitych sposobów osiągnięcia ostatecznego rezultatu, czyli rozmieszczenia mobilnego personelu zbrojnego na wodach terytorialnych Gwinei Równikowej. Na dwóch gęsto zadrukowanych stronach zawierających opis działań, które pociągałyby za sobą koszty sięgające wielu milionów dolarów, nie pojawia się ani jedna wzmianka o rybach.

Simon przedstawia tam dwie opcje obejmujące „natychmiastowe rozlokowanie

działających w pobliżu wybrzeża sił ochrony [...] plus natychmiastowe umieszczenie statku patrolowego [...] uzbrojonego i obsadzonego siłami szybkiego reagowania, z helikopterem na pokładzie”; wywód kończy zwięzłe pytanie: „Co o tym sądzisz?”.

Calil odpowiada krótko, prosząc Simona o informację na temat Nigeryjczyków, po czym wypowiada się w kwestii zapewnienia najskuteczniejszej „ochrony połowów”: „Wybrałbym opcję 1: wsunąć stopę w drzwi, a potem proponować dodatki...”. Na zakończenie wymiany korespondencji Simon przypomina Calilowi, że w niedzielę przyjedzie do Madrytu i tam się spotkają.

Nie wiem, o czym rozmawiali w Hiszpanii, ale dokładnie dwa tygodnie po wysłaniu tego maila Nick tłumaczył mi w Konakry, jak międzynarodowy oddział najemników wsiądzie na pokład statku w stolicy Gwinei, a potem wyruszy w kierunku upragnionej „afrykańskiej Szwajcarii”, gdzie prezydent nie chce iść na rękę przedsiębiorstwom naftowym. Miesiąc później, kilka minut przed naszym wspólnym spotkaniem z Simonem, Nick opowiadał mi, że teraz planują przewieźć tym statkiem również helikopter bojowy.

Drugi kluczowy fakt stanowiło to, że Konakry w Gwinei oraz Liberia z pewnością miały posłużyć jako bazy, z których zostanie przeprowadzony zamach mający na celu przepędzenie prezydenta Obianga z jego pałacu. Znalazłem również list z zaproszeniem dla Simona, by ten zechciał dokonać oględzin pewnego projektu wydobywczego opracowanego przez przedsiębiorstwo mające swą siedzibę w Konakry, datowane na trzy tygodnie przed planowanym spotkaniem z Calilem w Madrycie. Tego samego dnia, czyli 8 czerwca, Nick uregulował należność na rzecz południowoafrykańskiej firmy Anscad Logistics za zamówienie dotyczące pokaźnej ilości niebojowego sprzętu wojskowego (akurat mniej więcej takiego, jaki znaleziono na pokładzie boeinga 727 zatrzymanego w Harare); odbiorcą miało być przedsiębiorstwo o nazwie TTK z siedzibą również w Konakry. Później - tego dnia, kiedy generał Cobra dotarł do Tubmanburga ze świeżą dostawą broni przywiezioną statkiem z Gwinei, a Nick zjawił się z powrotem w Konakry - TTK wystawiło trzy pisma, na mocy których Nick i Simon otrzymali fikcyjne zatrudnienie w ochronie kopalni. Dokumenty te miały ułatwić Simonowi uzyskanie wizy oraz umożliwić sprowadzenie sprzętu wojskowego.

W terminarzu Nicka z roku 2003 znalazłem intrygujące wzmianki, ślady pierwszych kroków prowadzących do katastrofy. Pod nagłówkiem „Cele na maj” (Nick spisywał je mniej więcej wtedy, gdy po raz pierwszy opowiedział mi w Konakry o planowanym zamachu i zaproponował jego sfilmowanie) wymienił wstępną listę potrzebnej broni: karabiny maszynowe, AK-47, RPG, moździerz oraz osiemdziesiąt tysięcy sztuk amunicji. Łączny koszt wynosił nieco poniżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Gdzie indziej w jego terminarzu odkryłem starannie wypisaną w tabelce listę kryptonimów używanych w trakcie operacji w Gwinei Równikowej. Zajmowała półtorej strony. Broń nosiła tam nazwę „części zapasowych do koparki”; uniformy nazwano „strojami dla strażników”; Nick miał występować pod pseudonimem „Diver” (Nurek), a Simon jako „Frank”, w nawiązaniu do jego drugiego imienia (Francis). Boeing 727 otrzymał kryptonim „ciężarówka”; piloci zostali nazwani „mechanikami”, natomiast „siły uderzeniowe” otrzymały kryptonim „bagrownicy”. Przewróciłem stronę i rzuciłem okiem na ciąg dalszy listy. Tam między słowami „Recces” a „lotnisko wojskowe w Entebbe” zauważyłem swoje nazwisko oraz kryptonim „Metalurg”. Pierwszy i ostatni raz ujrzałem je czarno na białym w planach zamachu zapisane przez spiskowców. Oto więc znalazłem się jednak w samym środku zamieszania. Z początku na ten pomysł Nicka roześmiałem się głośno. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że doskonale ujął sens mojego zawodu. Metalurzy produkują stopy - nadają twardym metalom nowe właściwości, sprawiają, że stają się łatwiejsze do kształtowania.

Fakt trzeci, ostatni, miał największe znaczenie. Chodziło o szczegóły ukryte w innej teczce, opatrzonej nagłówkiem „Abu Baker”. Abu był owym człowiekiem Nicka w Katandze, przywódcą partyzanckim, który nie stawiał się na spotkanie, nie zabezpieczył lądowiska w Kolwezi. 15 maja 2003 roku Abu jako przywódca do spraw krajowych oraz międzynarodowych organizacji zwanej PDD - Peace, Development and Democracy (Pokój, Rozwój i Demokracja) - podpisał z Nickiem umowę. W kontrakcie tym PDD gwarantowało Nickowi „wyłącznieść na eksplorację złóż mineralnych oraz kierowanie kopalniami na terenie prowincji Katanga”, w zamian za zapewnienie PDD „wsparcia militarnego oraz finansowego”. Załącznik do dokumentu stanowił wydruk kolejnej listy kryptonimów zatytułowanej „Kody Abu” - miano posłużyć się nimi podczas planowanej akcji militarnej w Kongu, powiązanej z próbą zamachu z 19 lutego i Kolwezi. Szczegółowa kwerenda w internecie nie wykazała ani jednej wzmianki o PDD, byli zupełnie nieznanymi.

W teczce znajdowały się też ręcznie sporządzone mapy Konga, Katangi oraz miasta Lubumbashi (słynnego z kopalni uranu). Zaznaczono na nich instalacje wojskowe, sugerowane linie natarcia oraz koncesje kopalniane. Mapy przywodziły na myśl raczej ilustracje z czasopisma dla chłopców „Boy's Own Paper” niż materiały operacyjne sił specjalnych: opis sporządzono wielkimi, drukowanymi literami, mieszaniną słów francuskich i angielskich. Brakowało tylko wielkiego X na zaznaczenie miejsca, gdzie ukryto skarb piratów.

Nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że Abu odegrał w całej historii jakąś szczególną

rolę.

Został wypisany osobno na okładce notesu adresowego Nicka, obok figurowało tylko nazwisko amerykańskiego pułkownika, Clarence'a D. Smitha Jr. - był to attaché wojskowy USA w Pretorii. Powiązania, a zwłaszcza ambicje Abu robiły wrażenie: ostatni kod na liście, numer trzynaście, brzmiał „zachorowałem na malarię”. Jego znaczenie wypisano obok drukowanymi literami: „Zdobyliśmy Kinszasę”. To już nie dyskretna wskazówka, lecz wrzask.

Choć dokumenty i spotkania rzucały pewne światło na szczegóły spisku, bardziej niż cokolwiek innego potrzeba mi było rozmowy z kimś bezpośrednio zamieszonym i uczestniczącym w przedsięwzięciu pod sam jego koniec. Wszyscy dysponujący jakkolwiek władzą w spiskowej hierarchii albo znaleźli się w więzieniu, albo skrzętnie pilnowali swojego incognito - i nic nie wskazywało, by ta sytuacja miała prędko się zmienić. Nawet gdyby Simon odpisał na mój list, mało prawdopodobne, żeby dostarczył mi informacji co do przesłanek powodujących Nickiem w ostatnich chwilach - zwłaszcza że, jak przypuszczałem, w miarę zbliżania się decydującego dnia dogadywali się ze sobą coraz gorzej. Pomóc mógł mi tylko jeden człowiek - człowiek, który po lutowej wpadce podobno przejął na siebie obowiązki związane z przygotowaniem wojskowej strony planowanego przewrotu; ten sam, który wraz z Simonem miał odebrać broń w Harare.

Były żołnierz Recces, najemnik Executive Outcomes oraz znany twardziel, Harry Carlse, został w Zimbabwe oczyszczony z zarzutów i, jak głosiła wieść, był zmuszony podjąć współpracę ze Skorpionami, co miało wpłynąć na złagodzenie wyroku grożącego mu za złamanie południowoafrykańskich regulacji prawnych dotyczących działalności najemników. Zgodził się ze mną spotkać.

Łatwo było go znaleźć. W galerii handlowej Menlyn, pośród gości raczących się kawą we wtorkowy poranek oraz matek z dziećmi załatwiających sprawunki, zobaczyłem Harry'ego - ciemnowłosego osiłka - jak trzymał w dłoniach spodeczek i filiżankę. Obok na krawędzi krzesła przysiadł Lourens Louwtjie Horn, zwolniony razem z nim z więzienia; ten sprawiał wrażenie tak zastraszonego, że od razu i mnie udzielił się niepokój. Mocny uścisk dłoni i usiedliśmy przy stoliku.

- Miło cię poznać - stwierdziłem. - Dużo o tobie słyszałem.

Harry zmierzył mnie wzrokiem, zapewne dokonując oceny na swój użytek.

- Byłem z Nickiem w dżungli, w Liberii - mówiłem dalej, starając się przydać nieco wiarygodności wścibskim pytaniom, które, jak obaj wiedzieliśmy, zaraz nastąpią. - Zaprosił mnie do udziału w wiadomej akcji. Chyba miałem sporo szczęścia, bo zupełnie przypadkiem

nie pojechałem.

Harry skinął głową. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie największego twardziela, jakiego w życiu widziałem. Właśnie kogoś takiego - pomyślałem - spodziewałem się ujrzyć dwa i pół roku wcześniej nad brzegiem basenu w Johannesburgu.

- W tej chwili usiłuję dojść - podjąłem, zamówiwszy kawę - jakie przesłanki powodowały Nickiem. Dlaczego nie uciekł, kiedy was aresztowano? Przecież wiedział natychmiast, prawda? Rozmawiał z Crause'em przez telefon. Czegoś tu nie rozumiem.

- Nie wiem, dlaczego Nick nie wyjechał - odparł Harry.

Jego kwadratowa szczęka, pociemniała od kilkudniowego zarostu, przeżuwała słowa wymawiane z wyraźnym afrykanerskim akcentem. Odzywał się tylko Harry. Horn, były policjant, siedział obok i milczał. Harry uważał, że Nicka tak czy inaczej skojarzono by z ludźmi aresztowanymi w Zimbabwe z powodu jego szwagra, Errola Harrisa, który znajdował się na pokładzie samolotu.

- Zresztą nie podobało mi się, że Errol został w to wmieszany. To nie był mój pomysł.

- Rozumiem. Wciąż natomiast istnieje pewna niejasność co do ostatecznych motywacji Nicka. Odniosłem wrażenie, że być może próbował się wycofać...

Harry mi przerwał:

- Nick nie zamierzał się wycofać - stwierdził. Jego spojrzenie zdawało się dawać mi do zrozumienia, że choć nie zawsze się z Nickiem zgadzali, co do tego miał zupełną pewność. Oparł się łokciami o stół, mówił spokojnie, lecz stanowczo: - Nie ma mowy.

- No dobrze. A w takim razie, na czym polegał plan? Mielicie wylądować boeingiem 727 w Malabo?

Harry poruszył się na krześle.

- Ag, nie chcę wchodzić w szczegóły. - Spojrzeli z Hornem po sobie. Chyba wahał się przez chwilę, po czym podjął decyzję. Wówczas się rozluźnił, znów popatrzył w moją stronę.

- Plan sprowadzał się do tego, żeby boeingiem przetrzucić nasze siły do Malabo o drugiej.

- O drugiej nad ranem, ósmego?

- *Ja*. Plan opracowaliśmy ja i Louwtjie. To był dobry plan. Wszystko poszłoby jak po maśle.

A więc to jednak nie Nick był zamieszany w przygotowanie hararyjskiej operacji, co przyjąłem z ulgą oraz niejakim poczuciem winy, dotąd bowiem niemal zakładałem, iż ponosił całkowitą odpowiedzialność za tę drugą próbę.

- A co z Kolwezi i z Abu? - spytałem Harry'ego.

Potrząsnął głową i odchylił się w tył na krześle. Sprawiał wrażenie poirytowanego.

- Ta cała historia z Abu Bakerem to kit. Nie chcę gadać o Kolwezi. To był pomysł Nicka.

Skinąłem głową, czekałem.

- Zjebana akcja - ciągnął. - Nie powinno do tego dojść. Szczegóły tej sprawy jeszcze bardziej pograżą Nicka. Faceci, którzy wybrali się do Kolwezi, żeby przeprowadzić rozpoznanie, siedzą w więzieniu w Zimbabwie. Gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, spotkałbym Harry'ego na nadmorskiej plaży wyspy Bioko, a może wchodzilibyśmy razem po stopniach prowadzących na pokład boeinga 727. Potem zaś mogła nastąpić istna jatka.

- W porządku. - Przyjąłem do wiadomości, że niektórych kwestii po prostu nie będziemy poruszać. - Doceniam, że zgodził się pan na rozmowę ze mną. To delikatna sytuacja, niewielu ludzi ma chęć o tym opowiadać.

Harry znów spojrzał na Horna, odsunął od siebie pustą filiżankę.

- Zamierzamy przedstawić całą historię i wskazać winnych. I chcemy, żeby opłacili nasze koszty sądowe.

- Wskazać winnych? Ale właściwie czego ci winni się dopuścili?

- Powiedziano nam, że mamy zapewnione wsparcie na wysokim szczeblu w Republice Południowej Afryki, padły konkretne nazwiska. Teraz wiemy, że wpadka została ukartowana już na długo przed startem, więc chcemy dopaść ludzi, którzy zwabili nas w pułapkę.

Ciekawe - pomyślałem - co w jego wydaniu znaczy słowo „dopaść”. Harry najwyraźniej był facetem, z którym nie ma żartów.

- Chciałbym wiedzieć, jaką rolę odegrał Johann Smit...

- Współpracował z Nigelem Morganem - wszedłem mu w słowo.

- Nigel Morgan to szpiegowska kurwa - oświadczył. - Sprzedali nas.

Po tych słowach wstał i wyciągnął dłoń. Spotkanie było zakończone.

- Harry - spytałem, kiedy już mieli odejść - jak sądzisz, co się stanie z Nickiem?

Spojrzał na mnie i się skrzywił.

- Już po nim.

*

Następnego dnia Carla i ja siedzieliśmy przy śniadaniu w hotelu Sheraton w centrum Pretorii i czekaliśmy na Billy'ego Masetlhę. Jako dyrektor generalny NIA - National Intelligence Agency (Krajowej Agencji Wywiadowczej) - Masetlha był naczelnym szpiegiem Republiki Południowej Afryki, a ponadto doradcą prezydenta Thaba Mbekiego do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nie uchodził za osobnika skorego do udzielania wywiadów, tym niechętniej pokazywał się w telewizji. Był południowoafrykańskim M, tylko że

prawdziwym. Nie mogliśmy uwierzyć, że zgodził się z nami porozmawiać.

- No to gdzie mam usiąść, szefie?

Dobroduszny, uważający na każde słowo, nasz M mówił miękkim głosem. „Szefie” powiedział z lekkim, ironicznym naciskiem, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, kto naprawdę jest panem sytuacji. Przysunęliśmy krzesła, Carla włączyła kamerę. Zaczęliśmy rozmowę. Przeprowadzanie wywiadów ze szpiegami - zwłaszcza szefami agencji wywiadowczych - to bardzo dziwaczne przeżycie: tego, co chcesz wiedzieć, i tak ci nie powiedzą, bo albo nie chcą, albo nie mogą. Natomiast usłyszysz od nich rzeczy istotne nie ze względu na treść wypowiedzianych słów, lecz na to, iż w ogóle z tobą rozmawiają. Człowiek będący prawą ręką prezydenta nie zadaje się z kumplem najemnika, którego dopiero co pomógł aresztować, nie ważąc każdego słowa z absolutną precyzją.

Masetlha zaczął od tego, że Republika Południowej Afryki postanowiła przeciwdziałać zamachowi w imię szeroko pojmowanych interesów całego kontynentu.

- Ludzie, którzy w rzeczywistości odpowiadają za ten zamach, nie są Afrykanami - przypomniał mi, kiedy spytałem go, jakie są jego odczucia wobec faktu, iż zatrzymano tak wielu jego rodaków. - Powstaje więc pytanie: co Afryka uczyni w tej sprawie?

Oświadczył, że obowiązkiem Afryki jest dopilnować, żeby rządy oraz jednostki odpowiedziały za swoje postępowanie. Jego zdaniem nikt nie ma prawa sięgać po władzę poprzez obalenie istniejącego reżimu, nawet jeśli jest to reżim totalitarny czy opresyjny. Aspirujący liderzy muszą dążyć do przejęcia sterów w państwie za pomocą demokratycznych przemian.

- Najemnicy jako wyzwolicieli? Cóż za interesujący pomysł - rzucił kpiąco.

Właśnie wbrew tej zasadzie postępowali Masetlha oraz jego towarzysze ze zbrojnego skrzydła ANC, kiedy chwycili za broń w walce przeciwko totalitarnemu reżimowi rządu wspierającego apartheid. Tak to bywa: gdy już obejmie się władzę, można samemu rządzić się według jednego prawa, a inne stosować wobec bliźnich, zwłaszcza jeśli są nimi najemnicy.

A więc prawdziwym przeciwnikiem są inicjatorzy spisku. Nick, jak twierdził mój rozmówca, był ich ofiarą. Owszem, nikt go do udziału w przedsięwzięciu nie zmusił, lecz jednak pozostał ofiarą. Przypomniały mi się opowieści Nicka o operacjach przeprowadzanych przeciwko ludziom nazywanym przezeń „terrorystami”, ludziom takim jak Masetlha, uważanym przez niemal wszystkich za „bojowników o wolność”. Ludziom, którzy odnieśli zwycięstwo, i to więcej niż raz.

- Zamieszani w zamach - przypomniałem - mówią, iż Simon Mann na krótko przed

rozpoczęciem operacji zapewniał ich o swoim głębokim przekonaniu, iż popiera go rząd Republiki Południowej Afryki.

Moja sylwetka odbijała się w okularach Masetlhy na tle rozświetlonych okien, które miałem za plecami. Jakbym podziwiał własną postać w gabinecie krzywych luster.

- To kłamstwo - stwierdził. - Rząd podjął decyzję o współpracy informacyjnej z władzami Zimbabwe już kilka miesięcy wcześniej. Również kilka miesięcy wcześniej rząd podjął też decyzję o współpracy informacyjnej z władzami Gwinei Równikowej. Utrzymywaliśmy z nimi kontakty, a potem powiadomiliśmy ich o szczegółach.

Czyli wiedzieli z góry, choć podobno odczekali aż do ostatniej chwili, nim poinformowali rząd Zimbabwe o rychłym przybyciu najemników. Pytanie, skąd wiedzieli? Masetlha twierdził, że to po prostu niemożliwe, żeby Nick przekazał szczegóły spisku prokuratorowi generalnemu, potem jednak z lekka zmodyfikował swą wypowiedź, podkreślając, że nie doszło do „formalnego spotkania” - co było zgodne z prawdą, przynajmniej jeśli to stwierdzenie rozumieć dosłownie.

Stopniowo zbliżaliśmy się do najważniejszej dla mnie kwestii. Wiedziałem, że Nick prosił Henry’ego o zaaranżowanie spotkania ze Skorpionami. Czy dążenie Nicka do zapewnienia sobie bezpieczeństwa z tej strony doprowadziło do klęski całego przedsięwzięcia? M od razu zrozumiał, do czego zmierzam, lecz nie zgodził się ze mną.

- Mieliśmy informacje ze źródeł niezależnych od wszystkich ludzi, o których pan mówi: pańskich Skorpionów, pańskich NPA, [NPA - National Prosecution Authority - prokuratura w Republice Południowej Afryki.] pańskich Nicków du Toit i tak dalej. Źródeł niezależnych, z których informacja napływa do dziś. Są to wciąż te same kanały informacyjne, o tych samych możliwościach, tych samych kwalifikacjach, o takiej samej penetracji. Do dziś.

Odczekał, aż dotrze do mnie w pełni znaczenie jego słów.

- Mówimy tu o danych wywiadowczych, nie o twardych dowodach umożliwiających wszczęcie postępowania prokuratorskiego; pozyskaną informację wykorzystaliśmy, ostrzegając zainteresowane rządy... Jesteśmy przekonani na sto procent, że było to jedyne źródło danych, jakie pozostawało do naszej dyspozycji, kiedy podjęliśmy współpracę informacyjną ze wspomnianymi rządami, co doprowadziło w rezultacie do aresztowania tamtych ludzi... Żadna informacja dostarczona przez Nicka nie została w jakikolwiek sposób spożytkowana.

Z tego, co mówił Masetlha, Nick nie miał z wyspą nic wspólnego. Przynajmniej tyle. Postanowiłem dalej próbować szczęścia.

- W mediach południowoafrykańskich oraz międzynarodowych - zacząłem - pojawiły się doniesienia, iż National Intelligence Agency oraz SASS [SASS - South African Secret Service - wywiad Republiki Południowej Afryki.] dokonały rozległej infiltracji personelu zaangażowanego w zamach. Czy ma pan coś do powiedzenia na ten temat?

Jak się domyślałem, tego właśnie nade wszystko pragnęliby się dowiedzieć Harry oraz wszyscy inni aresztowani: czy pośród nich znajdował się zdrajca, który ich wydał?

- Nie, nie mam...

Spoglądaliśmy na siebie, czy też raczej ja przyglądałem się swojemu odbiciu. Po chwili mój rozmówca jakby ustąpił:

- Jedyne, co mogę stwierdzić, to że wiedzieliśmy od pewnego czasu, co ma się zdarzyć, gdzie się to zdarzy, kto jest zaangażowany i dlaczego. Tą właśnie informacją podzieliliśmy się z zainteresowanymi rządami, co w rezultacie doprowadziło do zatrzymań... I ta informacja - powtórzył - pochodziła z niezależnego źródła.

Przyznał, że owszem, pośród zwerbowanych najemników znajdowali się agenci NIA, ludzie ci nadal przebywają w więzieniu, a niektórzy zostali zwolnieni; jednak przede wszystkim „polegał na jednym niezależnym źródle wewnętrznym”.

Właściwie nie odczuwałem nic prócz ulgi. Może i Nick poinformował Skorpionów w ostatniej chwili, licząc, iż zapewni sobie w ten sposób bezpieczeństwo, ale to nie on okazał się odpowiedzialny za aresztowanie swoich ludzi. Władze Republiki Południowej Afryki wiedziały o wszystkim „od miesięcy”. Mało tego, spiskowcy chyba także zdawali sobie z tego sprawę. Harry przecież przyznał: wiedzieli, że wszystko się wydało - a jednak podjęli działania.

Ze starannie sformułowanej wypowiedzi Masetlhy wypływały intrygujące wnioski co do infiltracji ze strony NIA. Jak dotąd zwolniono z więzienia tylko czterech ludzi, wszystkich w Zimbabwie. Dwóch czarnoskórych szeregowych żołnierzy wypuszczono z powodów zdrowotnych; Harry Carlse oraz Lourens Horn zostali uniewinnieni - i obecnie, jak twierdził Masetlha, pomagali prokuraturze zbudować akt oskarżenia przeciwko Markowi Thatcherowi.

Odniosłem jednak wrażenie, że główny informator Masetlhy wcale nie znalazł się w więzieniu, to chyba sugerował mój rozmówca. Osobą pośredniczącą w kontaktach Simona ze służbami wywiadowczymi Republiki Południowej Afryki był Nigel Morgan - więc o ile Simon nie miał do czynienia z kimś innym mającym takie same powiązania ze służbami wywiadowczymi lub rządem Republiki Południowej Afryki, to wszystko wskazywało coraz wyraźniej na Morgana, rumianolicego byłego oficera brytyjskiego wywiadu, jako sprawcę klęski i upadku spiskowców.

Chciałem dowiedzieć się od Billy'ego Masetlhy jeszcze jednej rzeczy: jak zachowałyby się państwa ościenne wobec Gwinei Równikowej, gdyby pucz zakończył się powodzeniem?

- Chodzi mi o to - wyjaśniłem - czy można sobie wyobrazić taki scenariusz, że Angola oraz Nigeria po prostu biernie przyglądają się wydarzeniom?

- Owszem, tak właśnie by się stało.

Nie byłem pewien, czy dobrze go usłyszałem.

- Naprawdę?

- A czemu nie? Czemu nie? - powtórzył. - Oczywiście potępiliby zamach. - Uśmiechnął się, po czym zakończył konkluzją wynikającą z tych samych kalkulacji, jakie przyświecały zamiarom spiskowców: - Ale czy można przywrócić władzę prezydentowi, który nie żyje?

*

Bardzo chciałem odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Zawsze intrygował mnie przybytek o nazwie 224 - podrzędny hotelik, w którym większość ludzi aresztowanych w Zimbabwie po raz ostatni zakosztowała wolności pod niebem Afryki Południowej. Dzieliło nas od tego miejsca tylko kilka kroków, wystarczyło wyjść z budynku, w którym mieściło się biuro Masetlhy, i skręcić za rogiem. Komukolwiek przyszło do głowy, żeby zakwaterować na dwa tygodnie ponad pięćdziesięciu najzacieklejszych zabijaków Afryki w tanim hotelu z tanim barem, położonym kilka minut drogi od głównej kwatery NIA, ten musiał chyba żywić głębokie przekonanie, iż nic mu nie zagraża.

Nasz czas w Pretorii dobiegał końca. Podczas tego miesiąca spędzonego na próbach odtworzenia przebiegu przygotowań do zamachu zdołałem ustalić, że Nick pozostał zaangażowany w tę operację do samego końca. Przekonałem się również osobiście, że on i Simon stanowili część rozległej międzynarodowej sieci konspiratorów, koleżków i kontaktów w Gwinei Równikowej, Republice Południowej Afryki, Gwinei, Liberii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych. Stało się też jasne, że spisek został dogłębnie spenetrowany przez wywiad RPA, następnie zaś te same służby postarały się, by do zamachu nie doszło. I wreszcie, podczas mojego dochodzenia w gabinecie Nicka wyszły na jaw fantastyczne szczegóły dotyczące operacji w Katandze. Światło dzienne ujrzała postać nierozzerwalnie związana ze spiskiem, postać niewątpliwie istotna, czyli Abu Baker.

Nie zdołałem natomiast dokopać się ani skrawka dowodu, który można by wykorzystać, żeby pomóc Nickowi w więzieniu. Musiałem pogodzić się z tym, iż to po prostu niemożliwe. Ponad wszelką wątpliwość ustaliłem, że od początku do końca aktywnie brał

udział w przedsięwzięciu. Wobec obszernych zeznań złożonych w Republice Południowej Afryki przez kluczowych uczestników przewrotu nie pozostały żadne fakty, które mogłyby świadczyć na jego korzyść.

Nie udało się też sprecyzować, jaką rolę odegrały Hiszpania, Wielka Brytania i Ameryka w przygotowaniu operacji ani też na czym polegał udział w niej Ely'ego Calila, choć najwyraźniej Simon przedstawiał go jako jednego z najistotniejszych graczy oraz fundatora przedsięwzięcia. Podobnie niejasna pozostała pozycja Nigela Morgana: choć z wielu stron padały oskarżenia, iż to on sprzedał swojego przyjaciela Simona władzom Republiki Południowej Afryki, odmówił on publicznego zabrania głosu na ten temat i udzielenia wyjaśnień. Stwierdził tylko jednoznacznie, że to ludzie - nie broń - stali się przyczyną zaistnienia końcowego problemu, problemu bez rozwiązania. Co prawda informacja o umowie zawartej przez Nicka z ZDI niemal z pewnością została przekazana Central Intelligence Organisation w Zimbabwie, nie ona jednak w ostatecznym rozrachunku sprawiła, że wszczęto alarm. Nick bowiem dokonywał tam już wcześniej licznych transakcji, a Dube był zbyt szemraną postacią, żeby kwestia katangijskich buntowników miała wzbudzić czyjeś podejrzenia. We wtorek poprzedzający niedoszły zamach władze Republiki Południowej Afryki wysłały do Malabo zespół pracowników wywiadu, którzy mieli za zadanie przedstawić sytuację ludziom Obianga; natomiast kontakt z Mugabem nawiązali oni dopiero wtedy, gdy boeing 727 wiozący najemników na swoim pokładzie opuścił wieczorem 7 marca przestrzeń powietrzną RPA.

Siedziałem przy barze w hotelu 224, rozważając konkluzje wynikające z naszego dochodzenia. Wciąż pozostawał jeden fakt, niosący ze sobą więcej znaków zapytania niż wszystkie inne kwestie. Otóż mimo przecieków, zdrad i wpadek nie poczyniono żadnych starań, by powstrzymać operację z 19 lutego. Dlaczego?

Jedno możliwe wyjaśnienie polegało na tym, że ci, którzy chcieli ją powstrzymać, nie znali wówczas wyznaczonej daty. Z drugiej strony, skoro najemnicy przybyli na miejsce przez Zambię, a broń mieli odebrać w Kolwezi, nieuniknione zamieszanie, do którego by doszło, stwarzałoby możliwość, iż najemnicy zdołaliby się ulotnić - dosłownie, czyli odlecieć samolotem. Co więcej, łatwiej byłoby im się wszystkiego wyprzeć.

- Nawet Masetlha - przypomniałem Carli - wypowiadał się na temat pierwszej próby raczej ogólnikowo.

Kimkolwiek jednak byli jego informatorzy, nie przypuszczałem, by nie dysponowali wiadomościami co do pierwotnego projektu - a więc roli, jaką miała odegrać Katanga, oraz daty planowanego wylotu. O tym wszystkim wiedziało przypuszczalnie wielu szeregowych

najemników. Istnieje też możliwość, że służby wywiadowcze wtedy najzwyczajniej schrzaniły sprawę. Biorąc pod uwagę wątpliwą reputację tajnych służb Republiki Południowej Afryki, słynących raczej ze swojej nieudolności, wydaje się to całkiem realne. Jednak najprawdopodobniej nie podjęto żadnych działań dlatego, że nie doszło do odbioru zamówienia w Harare. Jeżeli, jak utrzymywał Masetlha, rząd RPA pragnął dać nauczkę intruzom spoza Afryki wtrącającym się w nie swoje sprawy, to nie było sensu wszczynać jakiegokolwiek postępowania przeciwko Simonowi, dopóki broń nie znalazła się w jego rękach.

Jednak niezależnie od odpowiedzi cała historia obracała się wokół jednego człowieka: nie Nicka, nie Simona, lecz Abu. Nick sądził, że prowadzi rozmowy z przywódcą katangijskich powstańców - i w tym właśnie problem.

- Musisz o czymś wiedzieć - powiedział Carli. - Nim wybraliśmy się na spotkanie z Masetlłą, dowiedziałem się od żony Nicka, że tuż po jego aresztowaniu zadzwonił do niej Abu, próbując się porozumieć z Nickiem. Twierdził, że może zapewnić mu alibi.

Skontaktowała Abu z prawnikiem zatrudnionym przez South African Special Forces League (Ligę Sił Specjalnych RPA), który zaaranżował spotkanie Abu oraz jednego z wyżej postawionych śledczych ze strony Skorpionów, Pietem van der Merwe. Następnego dnia Abu odwiedził van der Merwego, oficera prowadzącego dochodzenie w sprawie Marka Thatchera, w jego biurze w Pretorii.

- I co stało się z jego zeznaniem? - spytała Carla.

- Wygląda na to, że nie tylko nie wynikło z niego żadne alibi, lecz także okazało się, że cała historia Abu to jeden wielki kit, i jest na to potwierdzenie ze strony Skorpionów.

Adwokat Simona w Zimbabwie przynajmniej w jakimś sensie miał słuszość, twierdząc, że przyczyną poniesionej przez wszystkich klęski był zawarty przez Nicka dil dotyczący Katangi. Z chwilą, gdy podjęto decyzję, iż Abu i jego partyzanci staną się kluczowym elementem całego planu, przedsięwzięcie zostało skazane na niepowodzenie. Operacja w Kolwezi, a tym samym i cały projekt, nigdy nie mogły dojść do skutku. Żadni partyzanci nie istnieli. Ludzie ze Skorpionów zapewniali, że tajemniczy Kongijczyk blisko współpracuje z National Intelligence Agency.

Po ucieczce z Konga do Republiki Południowej Afryki Abu stał się informatorem.

18. Koniec

Nim wyruszyłem w drogę, wręczyłem pani du Toit naprędce skreślony list, z prośbą, żeby go przekazała Nickowi. Nagryzmołem go dosłownie kilka minut przed wyjazdem. Cieszyłem się, że nie zostało mi na to więcej czasu, bo jeszcze trudniej przyszłoby mi go napisać. Nicka czekał proces, w którym stawką było jego życie. A ja wybierałem się właśnie do Amsterdamu, żeby odebrać nagrodę za film, który nakręciłem z Timem i Jonathanem. Czuję się paskudnie. Żadnego z pytań, które chciałem zadać, nie mogłem w tym liście zawrzeć; zresztą nawet gdybym spróbował je napisać, nie dostałbym - nie mógłbym dostać - odpowiedzi. Życzyłem mu powodzenia i zapewniłem, że nadejdzie jeszcze taki dzień, kiedy znów wyruszymy razem na poszukiwanie przygód. A poza tym przecież czekają na nas w hotelu Petit Bateau pieczone kurczaki.

Uzgodniliśmy, że Carla i żona Nicka udadzą się do Gwinei Równikowej na wznowiony proces Nicka beze mnie. Niemal wszyscy, których pytałem o zdanie, wyraźnie odradzali mi podróż do Malabo. Moją decyzję przypieczętowała rada Franka z wywiadu amerykańskiego. Osiemnaście miesięcy wcześniej nalegał, żebym opuścił Liberię; powiadomił mnie wtedy o wydanym na mnie i Tima wyroku śmierci. A teraz, kiedy rozmawiałem z nim przez telefon w Pretorii, powiedział prosto z mostu, że jeżeli pojedę na proces Nicka, to zostanę natychmiast aresztowany.

- Ci ludzie doskonale wiedzą, kim jesteś - stwierdził.

Trzy tygodnie później, 26 listopada, o 17.45 zadzwoniłem z holu amsterdamskiego hotelu do żony Nicka przebywającej w Gwinei Równikowej. Proces się zakończył. Zapadł wyrok. Sąd nie orzekł natychmiastowej egzekucji, lecz zamiast tego wydał, jak określili to aktywiści Amnesty International, „wyrok powolnej śmierci”: trzydzieści cztery lata w więzieniu Playa Negra.

- Tak mi przykro. Naprawdę, tak mi strasznie, strasznie przykro - wyszeptałem.

Żona Nicka płakała. Dochodził do mnie jej urywany głos, nad którym starała się panować.

- Jak mogą trzymać go tam przez trzydzieści cztery lata? Jakoś muszę przez to przejść, a nie wiem jak - szlochając, opowiedziała mi, jak rozegrało się ich pożegnanie. - Gdybyś widział, jaki wyraz twarzy miał Nick, kiedy wyprowadzali go z sądu.

Gdy prowadzono go w kajdanach na rękach i nogach, strażnicy pozwolili mu zatrzymać się przy niej na krótką chwilę, tak że zdążyła go objąć. Powiedziała, że go kocha, a potem funkcjonariusze zawlekli go do czarnego policyjnego samochodu i odwieźli.

Nie spodziewałem się wyroku, który praktycznie oznaczał dożywocie. Do tego czasu hołubiłem bezrozumną nadzieję: zawsze jakoś tak się działo, że biali w Afryce nie stawali przed oficjalnym plutonem egzekucyjnym, nie skazywano ich na kilkudziesięcioletnie pobyty w więzieniach. Albo ginęli w akcji, albo - jakoś - wykręcali się sianem. Być może na to liczyli też Nick i Simon, nie wzięli jednak pod uwagę, jak szybkie zmiany zaszły w Afryce od czasu ich wycieczki do Sierra Leone.

- Wiem... - Teraz i ja miałem łzy w oczach. - Po prostu musisz być bardzo, bardzo silna.

W miarę upływu miesięcy od wydanego wyroku, nim nastąpiła emisja mojego filmu, media coraz mniej interesowały się przewrotem. Sprawa zaczęła przycichać, błazeńskie wygłupy garstki europejskich flibustierów i tak zajęły już dość kolumn, o uwagę dopominały się krzykliwie coraz to nowe sensacje.

Po raz ostatni w związku z tym tematem wrzawa medialna podniosła się przy okazji wyroku na Marka Thatchera. Skazano go na czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów grzywny oraz pięć lat więzienia w zawieszeniu. Przyznał się do tego, że współfinansował zakup helikoptera, wiedząc, iż maszyna może zostać wykorzystana do działań niezgodnych z prawem przy udziale najemników. Najwidoczniej nie wszyscy znajomi Thatchera przypuszczali, że wywinie się tak niskim kosztem: szef pewnej londyńskiej firmy ochroniarskiej powiadomił mnie, że jego przedsiębiorstwo otrzymało ze strony prywatnego zleceniodawcy z kręgów zbliżonych do pani Thatcher propozycję uprowadzenia Marka z Republiki Południowej Afryki (po aresztowaniu, a przed procesem), żeby przywieźć go do domu, do mamusi. Ów plan - o którym sama pani Thatcher mogła nic nie wiedzieć i być może nie został z nią omówiony - wzięto pod uwagę, przeprowadzono stosowną symulację, a potem porzucono, z przyczyn „natury etycznej”, jak to określono. Wywiezienie Marka Thatchera z RPA byłoby po prostu nielegalne i niosło ze sobą ogromne ryzyko. Dyrektor wspomnianej firmy skontaktował się ze znajomym pracującym w Foreign Office, by dowiedzieć się, jak czynniki oficjalne ustosunkowałyby się do takiego przedsięwzięcia. Odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości: dla mojego rozmówcy podobna akcja oznaczałaby „biznesowe samobójstwo”, rząd nie miał zamiaru przyklaskiwać takiej awanturze, więc plan powędrował do śmietnika.

Oczekiwano powszechnie, że po odsiedzeniu czterech lat z zasądzonych siedmiu

Simon wyjdzie na wolność, tymczasem jednak wyrósł wokół niego mur milczenia. Jego adwokat, Jonathan Samukange, najpierw zapewnił mnie, że wkrótce otrzymam odpowiedź na list - potem stwierdził, że Simon postanowił na niego nie odpowiadać. Dries Coetzee wycofał ofertę sprzedaży listów Simona - poinformował mnie, iż zostały one zabezpieczone jako dowody rzeczowe przez Skorpionów. I w ten sposób wysechł strumyczek przecieków, dzięki którym dotąd prasa stale dysponowała świeżym materiałem na temat nieudanego zamachu.

Inni uczestnicy tej sagi radzili sobie lepiej. W marcu 2005 roku Johann Smit, szpieg freelancer oraz niegdysiejszy wspólnik w interesach Nigela Morgana, który sporządził pierwszy raport wywiadowczy o działaniach Nicka oraz Simona, zyskał sobie niewątpliwie pozycję jednego z ulubieńców Obianga. Podczas uroczystej ceremonii, która odbyła się w Malabo, Smit otrzymał od rządu Gwinei Równikowej zaszczytny tytuł „Bohatera Narodu”.

Interesy samego Obianga kwitły. Koncesje sprzedawane zagranicznym firmom naftowym przynosiły tak gigantyczne zyski, że udało mu się odłożyć pół miliarda dolarów gotówką; pieniądze zostały zdeponowane w waszyngtońskim banku Riggs. Simon Mann ze wspólnikami zapewne liczyli na odsetki od tych właśnie środków, zgodnie z drugim kontraktem Kapitana F. Na nieszczęście dla Obianga, bank o którym mowa, padł ofiarą senackiego dochodzenia. Kiedy śledczy udali się tropem złożonych w nim pieniędzy, wyszło na jaw kilka ciekawych szczegółów: łupy zgromadzone przez Obianga przebywały w dobrym towarzystwie. Stałymi klientami banku byli: nie tylko rodzina panująca Arabii Saudyjskiej, dwudziestu prezydentów USA oraz chilijski dyktator Augusto Pinochet - lecz także CIA. Mało tego, wszystko wskazywało, iż kilkoro pracowników banku posiadało certyfikaty bezpieczeństwa wydane przez Agencję. Bank Riggs musiał zapłacić karę wynoszącą w sumie czterdzieści jeden milionów dolarów za złamanie amerykańskich przepisów dotyczących tajemnicy państwowej oraz prania brudnych pieniędzy, co w rezultacie spowodowało jego upadłość.

Dochodzenie w sprawie banku Riggs oraz źródeł bogactwa Obianga, prowadzone przez amerykański Departament Sprawiedliwości, pozwoliło stwierdzić, iż amerykańskie przedsiębiorstwa naftowe przypuszczalnie przekupywały władze Gwinei Równikowej ogromnymi łapówkami, wspierając tym samym reżim, który określono jako skorumpowany oraz nie liczący się z prawami człowieka. Śledztwo wykazało, że pracownicy banku nie podejmowali „nawet zupełnie pobieżnych czynności mających na celu sprawdzenie rachunków” należących do rządu Obianga oraz iż członkowie rodziny rządzącej regularnie pojawiali się w banku z walizkami wypchanymi studolarówkami, przy czym nie zadawano im żadnych pytań. Marathon Oil, drugie po Exxon Mobil Corporation pod względem wielkości

inwestycji amerykańskie przedsiębiorstwo naftowe działające na terenie Gwinei Równikowej, zrezygnowało z sześciu koncesji. Obiang nie miał jednak powodów do niepokoju, przedstawiciele chińskiego rządu wprost wyłazili ze skóry, żeby się z nim zaprzyjaźnić, i nie upłynął rok, a wszyscy mogli podziwiać jego zdjęcie i uścisk dłoni z amerykańską sekretarzem stanu Condoleezza Rice, która nazwała prezydenta „dobrym przyjacielem”.

Z pewnością Wielka Brytania do dobrych przyjaciół Obianga się nie zaliczała. 1 grudnia 2004 roku minister spraw zagranicznych Jack Straw wycofał się z wcześniejszych stwierdzeń, jakoby rząd brytyjski nie został zawczasu uprzedzony o mającym nastąpić przewrocie. Straw przyznał, iż „29 stycznia bieżącego roku Foreign Office otrzymało raport napisany na podstawie danych wywiadowczych, dotyczący przygotowań do możliwego przewrotu w Gwinei Równikowej [...]. Otrzymaliśmy go od innego rządu ze zwyczajowym zastrzeżeniem, że nie zostanie on przekazany dalej”. Minister co prawda stwierdził, że „Foreign and Commonwealth Office sprzeciwia się stanowczo wszelkim niekonstytucyjnym działaniom, takim jak *coups d’Etat*”, lecz co szczególne, rząd brytyjski jakoś nie raczył poinformować innego suwerennego kraju, z którym utrzymywał normalne stosunki dyplomatyczne, o rychłym i bezpośrednim zagrożeniu dla jego bezpieczeństwa. Oświadczenie Strawa zostało wydane czterdzieści osiem godzin po tym, jak Peter Mandelson, były laburzystowski minister, a wówczas komisarz Unii Europejskiej do spraw handlu, zaprzeczył, jakoby prowadził rozmowy na temat planowanego zamachu z Elym Calilem, którego znał, ponieważ wynajmował odeń pięć lat wcześniej apartament w Londynie.

Mandelson znalazł się w centrum zainteresowania mediów, gdy prasa brytyjska opublikowała obszerne cytaty z pewnego handlowego raportu wywiadowczego, sporządzonego przez Nigela Morgana dla jednego z przedsiębiorstw naftowych. Nigel oświadczył w tym dokumencie, że Calil osobiście go powiadomił, iż „spotkał się ostatnio z Mandelsonem w sprawie GR/Moto/Manna”, i dodał: „Calil twierdzi, iż Mandelson zapewnił go, że strona brytyjska nie będzie stwarzać problemów” i zaprosił Calila, żeby ten odwiedził go znów, „jeśli trzeba będzie coś załatwić”. Calil zaprzeczył; Mandelson po wielokroć zawzięcie wypierał się jakichkolwiek spotkań tego rodzaju, nie pojawiły się też dalsze dowody na jego rzekome sympatie w stosunku do osób przygotowujących zamach.

Częściowe odpowiedzi na nurtujące pytanie o to, kto być może popierał zamach, a kto nie, pojawiły się w grudniu 2004 roku, gdy światło dzienne ujrzała brakująca stronica więziennego wyznania Simona i tym samym udało się wreszcie skompletować całość. Simon stwierdził, że „hiszpański premier spotkał się trzykrotnie z Severem Moto. Jak mi powiedziano, poinformował Severa Moto, że gdy tylko obejmie on władzę w Gwinei

Równikowej, rząd hiszpański wyśle tam trzy tysiące żołnierzy Guardia Civil. Powiedziano mi następnie, że strona hiszpańska natychmiast udzieli powrotowi Severa Moto silnego poparcia”. I dalej: „Będą jednak zaprzeczać, jakoby zostali uprzedzeni o takich zamiarach”.

Rząd hiszpańskiego premiera José Marii Aznara wyparł się jakichkolwiek powiązań z Moto, lecz podczas postępowania w tamtejszym sądzie wyszło na jaw, iż służby hiszpańskiego wywiadu nieustannie deptały dysydentowi po piętach, śledząc każdy jego krok w trakcie podróży na Wyspy Kanaryjskie, ale nie uczyniły nic, by przeszkodzić jego wyjazdowi. Rozmieszczenie wojsk hiszpańskich w tamtym regionie również pozostaje faktem. W styczniu Hiszpanie wysłali do Zatoki Beninu dwa okręty wojenne z piechotą morską na pokładzie; jednostki zwróciły się do władz Gwinei Równikowej o zgodę na wejście do portu w Malabo - oczywiście w samą porę, skoro 19 lutego miał nastąpić przewrót. Spotkały się z odmową; wówczas niezrażeni tym Hiszpanie wyrazili chęć przeprowadzenia ćwiczeń wojskowych na wodach terytorialnych Gwinei Równikowej. Na to również nie otrzymali zgody, a Obiang określił ich żądania jako prowokację.

W styczniu 2005 roku od jednego ze spiskowców dowiedzieliśmy się nieco więcej na temat wątku hiszpańskiego. Greg Wales, mieszkający w Londynie, dawny znajomy Simona z czasów Executive Outcomes, pełnił funkcję doradcy politycznego konspiratorów. Podczas obu prób przeprowadzenia zamachu przebywał z Severem Moto na Wyspach Kanaryjskich, przygotowany, by wyruszyć do Malabo samolotem, za którego sterami miał zasiąść pilot-najemnik, Crause Steyl, i zawieźć tam przyszłego władcę - gdy tylko Simon oraz Nick odważą swoją robotę. Spotkaliśmy się z Gregiem w podziemnym barze Fino's Wine Cellary przy Mayfair's Mount Street. Znalazłem go przy stoliku w tylnej części pomieszczenia. Lokal był pełen gości, którzy zawitali tu w przerwie na lunch, żeby uraczyć się trunkiem; w powietrzu unosiły się opary wina.

- Miło pana poznać - odezwał się głosem ledwie słyszalnym pośród zgiełku. - O ile wiem, nie próżnował pan ostatnimi czasy. Są jakieś wieści od Nicka? Zawsze uważałem, że sposób, w jaki go potraktowano, to jeden z najpaskudniejszych aspektów tej całej sprawy.

Był w średnim wieku, ubrany w eleganckie drelichowe spodnie i bordowy sweter, który wyglądał na dość drogi. Przekazałem mu wszystkie informacje, jakimi dysponowałem, nie było tego wiele. Więzienie Playa Negra strzegło swoich tajemnic nie gorzej niż bankowe sejfy.

Nasza rozmowa wkrótce zeszła na temat Hiszpanii. Mój rozmówca utrzymywał, że „Moto dysponował silnym lobby i zawsze towarzyszył mu jeden czy dwóch przedstawicieli partii Aznara; w marcu, na Gran Canarii także”. Choć Amerykanie i Brytyjczycy wiedzieli o

operacji, pozostawała ona (jak twierdził) przede wszystkim hiszpańskim przedsięwzięciem. Greg uważał, że Simon się myli, biorąc Calila za głównego sponsora. Najprawdopodobniej Hiszpania dostarczała funduszy za jego pośrednictwem. Jednak Greg przyznał, że to jedynie domysł, nie miał żadnych dowodów na jego poparcie. Sądził, że albo Calil przywłaszczył sobie pieniądze, a Simonowi przekazywał tylko resztki, albo Hiszpanie nie kwapili się z wpłatami, co zmuszało Simona, jak to ujął, „żeby chodzić na żebry”. Hipoteza Grega zgadzała się z treścią listu Simona napisanego w więzieniu, który to list pokazał mi Dries w Pretorii, w gabinecie adwokata; Calil zaprzeczał, hiszpański rząd również.

Ponadto zdaniem Grega Calil nie był w stanie zagwarantować w Gwinei Równikowej żadnych prerogatyw dla Simona. Dokumenty podpisane przez Kapitana F (których Greg, jak twierdził, nigdy nie widział na oczy) stanowiły tylko listę pobożnych życzeń sformułowanych przez Simona i niezatwierdzonych przez samego Moto. Jak oceniał Greg, Simon nigdy nie zaliczał się do grubych ryb. Jego rola miała polegać tylko na tym, żeby w charakterze dowódcy straży przybocznej odeskortować Moto do pałacu prezydenckiego - i koniec; wszelkie dalsze działania w Gwinei Równikowej miały być wynikiem lokalnego powstania. Dopuszczał jednak możliwość, że Simon na własną rękę usiłował wprowadzić w życie odrębny scenariusz, niezaakceptowany ani przez Grega, ani przez Calila.

Greg potwierdził również, iż jego rola polegała między innymi na usilnym lobbowaniu w rządzie Stanów Zjednoczonych na rzecz poparcia dla zmiany reżimu. Uważał, że w pewnym względzie takowe uzyskał. Nie, żeby USA ich popierały; sądził, że raczej sytuacja przedstawiała się następująco: „Ty ich lej, a my potrzymamy ci marynarkę”.

Opowiedział mi też szczegółowo historię pewnego problemu logistycznego, jakim było sprowadzenie przez Simona samolotu boeing 727 z Ameryki do Republiki Południowej Afryki w tak krótkim czasie. Simon zwrócił się o pomoc do Grega, ten z kolei zadzwonił do swojego starego znajomego, kontraktowego pilota CIA z Maryland. Pilot ów, który zaczął latać dla CIA w Air America nad Laosem jako dziewiętnastoletni młodzik, załatwił papiery boeinga w przekonaniu, iż operacja odbywa się za wiedzą i zgodą USA. Greg zapewniał mnie, że gdyby jego znajomy tak nie uważał, bez wątpienia nie brałby udziału w przedsięwzięciu. Potem osobiście przyprowadził boeinga do RPA („no bo to właśnie taki facet”), a następnie wrócił do Stanów. Okazało się, że miał też lecieć do Zimbabwe, ale w ostatniej chwili pojawił się południowoafrykański pilot Simona. Greg rzucił mi porozumiewawczy uśmiech znad okularów w półkolistych oprawkach.

- Tak - zaśmiał się - szczęśliwie się złożyło, że nie poleciał jednak do Harare. Dopiero Robert Mugabe miałby używanie.

Pozegnaliśmy się, obiecując sobie, że wkrótce znów się spotkamy. Greg był człowiekiem przekornym, lubował się w zagadkach i zostawianiu mylnych tropów na użytek całego legionu podsłuchiowaczy kręcących się po jego ulubionej podziemnej winiarni. Jednak ta historia z rzekomym udziałem CIA zaintrygowała mnie, więc kilka tygodni później skontaktowałem się z Ivanem Pienaarem, ekspertem w dziedzinie logistyki lotniczej, któremu Simon powierzył zadanie zorganizowania samolotów służących przy obu próbach przeprowadzenia zamachu.

To właśnie Pienaar wystarał się o dwa DC-3, które poleciały na nieszczęsną wyprawę do Kolwezi, i to on pomógł sprowadzić boeinga 727 użytego w marcu. Samoloty DC-3 zostały dostarczone przez południowoafrykańskie przedsiębiorstwo posiadające swą bazę na lotnisku Wonderboom, Dodson International Parts SA Limited - filię Dodson Aviation działającego w Stanach Zjednoczonych, od którego z kolei 3 marca Simon zakupił boeinga 727. Warto zauważyć, że nabył go w wyjątkowo atrakcyjnej cenie: Dodson zażądał za boeinga 727-100 (czyli 2 CCB, zgodnie z nomenklaturą wojskową obowiązującą w USA) jedynie czterystu tysięcy dolarów z obietnicą odkupienia maszyny po sześciu miesiącach, o ile silniki nie zostaną uszkodzone. Inaczej mówiąc, Simon załatwił sobie nowoczesny samolot odrzutowy, służący jako transportowiec armii amerykańskiej, i zapłacił za niego mniej, niż musiałby wysupłać na nowego bentleya.

Dodson Aviation już od dawna pośredniczyło w rozmaitych transakcjach kupna i sprzedaży sprzętu lotniczego przez rząd USA. Dodson International Parts SA Limited, działające w Republice Południowej Afryki w swych prawdopodobnie wcześniejszych wcieleniach jako Dodson Aviation Maintenance oraz Spare Parts (ta pierwsza firma otworzyła się po zamknięciu drugiej), należało do niejakiego pułkownika Freda Rindela - byłego oficera wywiadu Republiki Południowej Afryki oraz attaché wojskowego w USA. Oprócz tego Rindel miał się rozmaitych zajęć, na przykład w latach 1998-2000 szkolił jednostkę antyterrorystyczną Charlesa Taylora w Liberii; działo się to dwa lata przed tym, jak przybyliśmy do tego kraju, aby filmować partyzantów. Zarówno Rindel, jak i firmy Dodson Aviation Maintenance oraz Spare Parts figurują w raporcie Panelu Ekspertów Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych z 2000 roku ze względu na łamanie międzynarodowych sankcji skierowanych przeciwko Liberii - między innymi dlatego, że Rindel szkolił także partyzantów z RUF. Obecny menedżer Dodson International zaprzeczył, jakoby istniało jakiegokolwiek powiązanie między jego firmą a tamtymi; podobieństwo nazw, jak oświadczył, jest zupełnie przypadkowe.

Pienaar potwierdził, że amerykańska załoga przyprowadziła samolot z USA do

Republiki Południowej Afryki i że pilotów zatrudniło nie samo Dodson, tylko „pewna firma przewozowa”. Moje dochodzenia wykazały, że boeing 727 rozpoczął swoją wędrówkę z Meny w Arkansas, skąd wyleciał 3 albo 4 marca po tym, jak przemalowano go na lśniącą biel oraz czarnymi literami wypisano na jego burcie numer rejestracyjny: N4610. Potem pojawił się na lotnisku międzynarodowym Grantley Adams na Barbadosie, nastąpiło to tuż po północy 6 marca. Po zatankowaniu paliwa samolot poleciał o wpół do siódmej rano do Sal na Wyspach Zielonego Przylądka, potem zaś dalej, do Wysp Świętego Tomasza, aż wreszcie 7 marca za dwadzieścia pierwsza nad ranem dotarł do lotniska Polokwane w Republice Południowej Afryki. Później tego samego dnia maszyna poleciała dalej, do Lanserii, po czym wykonała krótki przelot do Wonderboom; wszystko to nastąpiło już tej samej katastrofalnej niedzieli, zanim na pięć minut przed siódmą wieczorem boeing poleciał do Harare.

W planach lotów występowała dziwna anomalia. Kontrola lotów portu Grantley Adams na Barbadosie zapisała w aktach, iż maszyna przyleciała bezpośrednio z bazy lotniczej Hope w Karolinie Północnej w USA. Otóż w Karolinie Północnej nie ma żadnego lotniska noszącego nazwę Hope. Jest za to w tym stanie baza lotnicza nosząca nazwę Pope, powiązana z kompleksem wojskowym Fort Bragg. Pope nie jest jednak zwykłym wojskowym lotniskiem, lecz bazą operacyjną 427. Eskadry do Zadań Specjalnych, która „zapewnia personel dysponujący wyszkoleniem taktycznym oraz w dziedzinie krótkiego startu/ładowania jako wsparcie treningowe dla Specjalnych Sił Operacyjnych Armii USA” - a właśnie do tego typu działań został przystosowany boeing, którego Simon kupił tak okazyjnie. Baza zapewnia też żołnierzom amerykańskich sił specjalnych „możliwość szkolenia w celu infiltracji i eksfiltracji na różnych typach sprzętu latającego, również takiego, z jakim mogą mieć do czynienia w krajach słabiej rozwiniętych, gdzie prowadzą szkolenia”. Bardzo miła rzeczniczka z Bazy Sił Lotniczych Pope potwierdziła, że lotnisko jest bezwzględnie zamknięte dla ruchu cywilnego, pozwolenie na lądowanie maszyna cywilna może uzyskać jedynie w przypadku, gdy działa w ramach operacji zakontraktowanej przez armię.

Poza tym Baza Sił Lotniczych Pope jest nie tylko siedzibą 427. Eskadry. Tam właśnie i w Fort Bragg stacjonuje Delta Force, amerykański odpowiednik Special Air Service. Jak stwierdził pewien ekspert od spraw wojskowych, „do zadań Delta Force należy przeprowadzanie chirurgicznych misji szybkiego reagowania przy zachowaniu jak najdalej idącej dyskrecji co do zaangażowania w nie USA”; innymi słowy, siły te podejmują lub wspierają operacje, do których amerykański rząd nie ma ochoty się przyznawać.

Simon najprawdopodobniej znał procedury operacyjne Delta Force. Bernie McCabe,

jego wieloletni kolega z czasów funkcjonowania firmy Sandline International oferującej usługi najemników, nim został przedstawicielem Sandline w USA, służył przez dziewiętnaście lat w Delta Force. W latach 1994-1996 McCabe pełnił funkcję dowódcy jednostki. W swoim mailu do Ely'ego Calila z maja 2003 roku Simon zawarł uwagę, iż McCabe jest teraz głównym szefem ochrony amerykańskiego przedsiębiorstwa naftowego Marathon. Tak się złożyło, że w przeddzień planowanego zamachu przebywający w Malabo pracownicy wielu amerykańskich firm zajmujących się wydobywaniem ropy naftowej otrzymali polecenie, żeby nie opuszczać swoich domostw.

Także inne niezależne źródła wymieniały pilota, o którym opowiadał Greg Wales, sugerując przy tym, iż USA być może udzieliło zamachowcom pomocy logistyczno-wojskowej. Rząd Stanów Zjednoczonych zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego z całym wydarzeniem lub choćby posiadał wiedzę, iż miało do takowego dojść, przyznał jednak, że nastąpiło spotkanie urzędniczki z Pentagonu, zastępczyni asystenta sekretarza do spraw obrony odpowiedzialnego za sprawy zagraniczne, Theresy Whelan oraz Grega Walesa - 19 listopada 2003 roku, podczas konferencji na temat prywatnych przedsiębiorstw wojskowych. Przedstawiciele rządu potwierdzili, iż Whelan oraz Wales widzieli się raz jeszcze w Pentagonie, w połowie lutego 2004 roku, tuż przed pierwszą próbą dokonania zamachu. Pentagon oświadczył, że ich rozmowa dotyczyła wielu spraw afrykańskich, jednak aluzje Walesa miały tak ogólnikowy charakter („wspomniał mimochodem, że w Gwinei Równikowej może się zanosić na jakieś zamieszanie”), że Whelan nie uznała za stosowne podejmować jakichkolwiek działań. Niewykluczone, że po prostu nie zrozumiała tego, co Wales - mistrz niedomówień - próbował jej powiedzieć.

Z tego samego składowego w moim mieszkaniu, z którego usiłowałem się dodzwonić do Nicka po aresztowaniach, zatelefonowałem raz jeszcze do pułkownika Franka, by spytać go o radę. Jak zwykle nie owijał w bawełnę.

- James, Pope to samo serce działalności sił specjalnych USA: Delta, 82. Powietrznodesantowa, Rangers, zielone berety... co tylko zechcesz. Tam właśnie mieści się baza zielonych beretów, tych żołnierzy, których spotkałeś w Gwinei; również tam swoją bazę operacyjną mają nasi przyjaciele Christians In Action. Wszystkie akcje, których można potem się wyprzeć w wiarygodny sposób, są kierowane właśnie z Pope. Delta przeprowadzała wyspecjalizowane operacje w całej Afryce Zachodniej.

Zdaniem Franka, jeśli udałoby się dowieść, że N4610 wystartował z bazy sił lotniczych Pope, to kwestia zaangażowania rządu USA w zamach będzie sprawą przesądzoną. Wiedział, o czym mówi: sam służył w Pope oraz Fort Bragg.

- Masz swoją dymiącą strzelbę... Ale to tylko ślad, nigdy nie zdołasz niczego udowodnić. Jeśli by nawet dopuścić całkiem nieprawdopodobną ewentualność, że Christians In Action mieli w aferze jakiś udział, to z pewnością podjęli wszystkie możliwe środki, żeby nie dać się przyłapać.

Ostrzegł mnie, że w zasadzie nie mam szans wytropić, gdzie znajdował się samolot N4610 po opuszczeniu Meny 3 albo 4 marca, a przed przybyciem na Barbados 6 marca.

- W porządku, rozumiem. Dla mnie to niemożliwe, ale czy w ogóle istnieje jakiś sposób, żeby to sprawdzić?

Pośród wszystkich fałszywych luster i zasłon dymnych trafił się ślad, więc nie miałem zamiaru poddać się bez walki.

- James, wiem, że dla ciebie jako dziennikarza to trudne, istnieją jednak pewne pytania, których lepiej nie zadawać. Po prostu nie chcesz usłyszeć odpowiedzi. - Frank zapewnił mnie, że najlepsza rada, jakiej może mi udzielić, to żebym o tym zapomniał. - Uganasz się za cieniem, James. Nigdy nie będzie z tego nic oprócz gdybania. Tymczasem już po wszystkim. Skup się na Nicku oraz innych, którzy siedzą w więzieniu.

- Dobrze - zgodziłem się - ale czy po tym wszystkim nadal utrzymujesz, że dowiedziałeś się o planowanym zamachu, dopiero kiedy aresztowano Simona?

- Owszem, utrzymuję. O niczym nie wiedzieliśmy. Zapewniam cię, że CIA, DIA oraz inne agencje, o których istnieniu nawet nie masz pojęcia, rozmawiają ze sobą. Przed faktem o niczym nas nie poinformowano.

- Frank, przecież ja się nawet nie orientuję, dla jakiej agencji ty pracujesz. I co, mówisz, że nic nie wiedziałeś? Nic a nic? Na litość boską, nawet ja wiedziałem!

Tak więc z jednej strony Frank zapewniał solennie o swojej niewiedzy, a z drugiej starał się mnie nakłonić, żebym jednak za bardzo tej sprawy nie drążył. Miałem wrażenie, jakbym walił głową w ścianę.

- Nie, nie wiedziałem. Mieliśmy natomiast informacje na temat roboty w Kongu i o tym, że Nick próbował zorganizować helikoptery. O tym zostaliśmy powiadomieni.

Ogarniała mnie bezsilna złość. Nie zdołałem z niego wyciągnąć, o czym tak naprawdę mu doniesiono i skąd czerpał informacje - jednak najwyraźniej amerykańskie służby wywiadowcze działające w Afryce nie były tak zaskoczone, jak twierdziły.

Co do mnie, wciąż odczuwałem dalekosiężne konsekwencje „afrykańskiej przygody” Nicka. Podczas pokazu premierowego naszego filmu nakręconego dla Channel 4 w Soho, w marcu 2005 roku - wyświetlanego, gdy Nick spędzał kolejną wlekącą się w nieskończoność noc zakuty w kajdany w swojej celi - poznałem swoją przyszłą żonę.

W trakcie przyjęcia wznoszono toasty za to „jak mało brakowało”, a potem w takiej czy innej formie padały pytania sprowadzające się w gruncie rzeczy do jednej kwestii: jak potrafiłem pogodzić własne poglądy z zapatrywaniami mojego przyjaciela najemnika?

Usiłowałem wtedy odpowiadać, szukałem też odpowiedzi wcześniej, gdy tylko pojawiło się pierwsze zamówienie na ten film. Bez wątpienia ryzykowna profesja Nicka jest przez wielu postrzegana, i nie bez racji, jako amoralna. Nie potrafiłem jednak zdobyć się na to, żeby go potępić, albo choćby osądzać. Dzięki jego pomocy w Liberii dotarło do mnie, kim mniej więcej chcę zostać. Wspólna walka o przetrwanie w dżungli i na wojnie stanowiła dla osoby, w którą się przeistaczałem, test granic fizycznych i moralnych, a w rezultacie utwierdziła mnie w pragnieniu, by poświęcić się opowiadaniu historii ludzi żyjących w warunkach konfliktu zbrojnego. Nick był moim przyjacielem, kiedy, ledwie powlócząc nogami, uciekliśmy z wojny w Liberii, i moim przyjacielem pozostał. Zapewne czasem z trudem przychodzi się z tym pogodzić, ale w takich warunkach rodzą się przyjaźnie, które nie poddają się kategoriom oceny moralnej.

Sam film znalazł się w niełasce, stracił względy kierownictwa Channel 4. Ustalono już datę emisji, jednak odwołano ją w ostatniej chwili bez mojej wiedzy, po czym film zmontowano na nowo. Ktoś widocznie uznał, że przedstawiłem Nicka w zbyt sympatyczny sposób. Nie było zapotrzebowania na niuanse, nikogo nie interesowały subtelności moich relacji z Nickiem: usunięto ścieżkę z moim głosem, zastępując ją nagraniem odczytanym przez lektora. Nową wersję zobaczyłem pierwszy raz właśnie tamtego wieczoru, podczas pokazu w Soho.

Mijały miesiące. Choć obiecałem sobie, że nigdy do tego nie dopuszczę, stało się: wróciłem na wojnę.

Wróciłem, a potem znowu i znowu. Byłem w Kongu, Iraku, Afganistanie, obserwowałem też kilka innych, zapomnianych i ubocznych konfliktów. Nakręciłem dziesiątki filmów, założyłem rodzinę.

Wyjeżdżałem z domu często, na długo. Moja córeczka pokazywała wtedy oprawione w ramki zdjęcie przedstawiające mnie oraz Nicka i mówiła: „Tatusi!”. A potem, pokazując mojego towarzysza, pytała swojej matki: „A kto to?”. Miałem nadzieję, że któregoś dnia się dowie; bądź co bądź zawdzięczałem Nickowi nie tylko własne życie, lecz pośrednio także jej istnienie.

Przez lata upływające od ukazania się mojego filmu o Nicku, ci sami bohaterowie z mniejszą lub większą dozą autentyczności nadal odgrywali swoje role w tej maskaradzie, osiągając niekiedy istotne sukcesy. Trzy lata po naszym rozstaniu z Kathi przedsiębiorstwo

filmowe Paramount Pictures zakupiło prawa do sfilmowania jej historii. „Variety”, hollywoodzki magazyn branżowy, napisał: „agentka wywiadu, Kathi Lynn Austin, której przygody w świecie handlu bronią i międzynarodowego terroryzmu posłużą jako inspiracja dla filmu akcji z Angeliną Jolie w roli głównej [...]. Główną postacią będzie jeden z handlarzy śmiercią, postać fikcyjna, ale posiadająca liczne cechy upodabiające ją do Wiktora Buta, tajemniczego Rosjanina, uważanego obecnie za jednego z największych światowych potentatów w dziedzinie nielegalnych zbrojeń”. Autor notki nie sprecyzował, którego to wywiadu agentką była Kathi.

W 2008 roku nastąpiła ekstradycja Simona do Gwinei Równikowej. „Wrzeszczał i kopał”, kiedy w styczniu wpakowano go do policyjnego samochodu, a potem bezceremonialnie oraz całkowicie niezgodnie z prawem przetransportowano do Malabo. Nim rozpoczął się proces, udzielił wywiadu Channel 4 News. Choć jego prawnicy oraz jego żona próbowali powstrzymać emisję, nalegał, by do niej doszło. Wywiad ukazał się w telewizji 11 marca 2008 roku, w dniu pięćdziesiątych drugich urodzin Nicka.

Simon potwierdził, że jego obszernie zeznania spisane w Zimbabwie, choć uzyskane pod naciskiem, są jednak prawdziwe. Zakuty w łańcuchy, z długimi, siwymi włosami, ubrany w szary więzienny uniform, oskarżył Ely’ego Calila, iż to on był głównym mocodawcą, architektem „owej awanturniczej fuszerki”. „Natomiast ja, by tak rzec, pełniłem funkcję menedżera” - utrzymywał, menedżera kierującego operacją „umotywowaną w pierwszym rzędzie chęcią niesienia pomocy narodowi Gwinei Równikowej, aby ulżyć jego doli”. Trzymał się więc wersji, według której najemnik stawał się wyzwolicielem, a fakt, iż miał zarobić na tym interesie całą górę pieniędzy, przedstawiał jako rzecz o drugorzędnym znaczeniu. Nie zmienił też zdania co do roli Republiki Południowej Afryki. Jak powiedział, to Morgan powiadomił o wszystkim rząd w Pretorii.

- Znaleźliśmy się w rozpaczliwej sytuacji - oznajmił. - W zasadzie wiedziałem, że Morgan nas wsypał. Działaliśmy jednak dalej, a to ze względu na inne wskazówki, które otrzymywaliśmy od rządu hiszpańskiego oraz rządu RPA, szczególnie rządu RPA: „Chcemy, żebyście to zrobili, więc róbcie to”.

Jak twierdził, ze strony Brytyjczyków czy Amerykanów nie nastąpiło ani „przyzwalające skinienie głową, ani porozumiewawcze mrugnięcie okiem”.

Na czymkolwiek polegały owe „inne wskazówki”, które w swoim mniemaniu Simon dostawał, niewątpliwie były one fałszywe - mimo iż podczas procesu, który odbył się na początku 2007 roku w Republice Południowej Afryki, kiedy na ławie oskarżonych zasiadło ośmiu mężczyzn uwolnionych w Zimbabwie (między innymi Errol, szwagier Nicka), nie

zapadły wyroki skazujące. W krzyżowym ogniu pytań dyrektor generalny południowoafrykańskiego Secret Service, Hilton Tim Dennis przyznał otwarcie, że nim doszło do próby dokonania przewrotu, rząd RPA kontaktował się z Severem Moto. Nigdy nie wyjawiono natury ani celu owych kontaktów, choć oskarżeni twierdzili, iż są w stanie „udowodnić”, że otrzymali „zielone światło” do przeprowadzenia operacji. Sędzia umorzył sprawę.

- Przede wszystkim winię siebie za to, że nie powiedziałem po prostu dość na dwa miesiące przed naszym aresztowaniem. Tak właśnie należało uczynić i pod tym względem okazałem się przeklętym głupcem - podsumował Simon, potwierdzając opinię, jaką musiał sobie wyrobić każdy postronny obserwator na temat ewidentnie absurdalnej decyzji podjętej w pierwszych dniach marca.

W tym wywiadzie Simon przypisał Markowi Thatcherowi znacznie większą rolę niż ta, do której przyznał się syn byłej premier Wielkiej Brytanii, dobrowolnie poddając się karze. Nie chodziło mianowicie o nieświadomy współdział, wedle słów Simona, Thatcher był pełnoprawnym członkiem zespołu i zajmował w nim istotną pozycję. Mark Thatcher stwierdził na to, że jego stary przyjaciel, Simon, „został z pewnością zastraszone i jest w bardzo złym stanie psychicznym”. Ponownie wyraził swoje „głębokie współczucie” dla niego oraz potwierdził, iż nie ma nic do dodania, jeśli chodzi o wyjaśnienia, które złożył wobec „stosownych władz” w 2004 roku.

Calil tymczasem oskarżył telewizję Channel 4, iż pozwoliła uczynić z siebie „narzędzie propagandy rządu Gwinei Równikowej”. On również współczuł Simonowi, człowiekowi, który „wydał wiele sprzecznych oświadczeń”. Jak ogłosił w jednym ze swoich rzadkich wystąpień publicznych: „Powtarzam, iż nie poczuwam się do odpowiedzialności za planowany zamach, w którym nie brałem udziału”.

W zamian za ten pełen swady, gwiazdorski występ Obiang odstąpił od żądania kary śmierci od oskarżonego. Po procesie, w każdym względzie tak samo skandalicznym jak uprzedni sąd nad Nickiem, Simon został skazany na trzydzieści lat więzienia. Tuż przed rozpoczęciem postępowania Obiang, zgodnie z przewidywaniami, odniósł triumf w kolejnych absurdalnych wyborach; jego partia zdobyła dziewięćdziesiąt dziewięć na sto miejsc w parlamencie.

A potem, w lipcu 2008 roku, Calil postanowił wyjawić nieco więcej szczegółów dotyczących spisku. Zapewniał, że to niewątpliwie Simon jest wszystkiemu winny.

- Przyczyną tej sytuacji były jego brak profesjonalizmu, niedyskrecja, jego błędne oceny - stwierdził. Podkreślił również, że nie wiedział nic o detalach planowanej operacji. -

Ale owszem - wyjawiał - finansowałem działalność polityczną Severa Moto i poznałem go z Simonem Mannem jako osobą o rozległym doświadczeniu w dziedzinie ochrony.

Przyznał przy tym, że finansował też plany Moto dotyczące powrotu do kraju. Podkreślił jednak, że choć opowiadał się za zmianą rządów w Gwinei Równikowej, to „wyłącznie na drodze demokratycznych przemian”.

Calil utrzymywał, że „nie było żadnego spisku prowadzącego do zamachu”. Wersja wydarzeń przedstawiona przez Simona jest „czystą fantazją”. Powstał natomiast plan uzgodniony przez Simona i Severa Moto, polegający na tym, żeby sprowadzić Moto do Gwinei Równikowej „i ochraniać go, kiedy znajdzie się w kraju. Simon oraz jego najemnicy zostali zaangażowani, żeby zapewnić Moto pomoc wojskową”. Calil twierdził, że „Severo żywił przekonanie, iż jeśli będzie miał zagwarantowaną ochronę w swoim rodzinnym mieście i uda mu się pozostać przy życiu przez kilka dni, to wybuchnie polityczna burza, która zmiecie obecny reżim”.

Calil przedstawił zarys niedorzecznego i groteskowego scenariusza, według którego Simon miał wylądować boeingiem 727 pełnym najemników w sąsiednim Gabonie, spotkać się tam z Moto, a następnie drogą lądową udać się na kontynentalną część Gwinei Równikowej, do rodzinnej wioski Moto, gdzie tubylcy „zaczęliby krzyczeć i demonstrować”. Nie wziął jednak pod uwagę faktu, że realizacja takiego planu mogłaby spowodować wybuch krwawej wojny domowej, a wspomniana miejscowość leży setki kilometrów od wyspy Bioko, stolicy kraju Malabo oraz, oczywiście, prezydenta Obianga. Szczerze mówiąc, trudno pojąć, co skłoniło Calila do przerywania milczenia, jeśli uczynił to jedynie po to, by wygłosić tak nieudolną hipotezę. Co prawda wszyscy, którzy potrafiliby w uzasadniony sposób zakwestionować tę teorię, łącznie ze mną, milczeli lub przebywali w więzieniu i nie mogli z nim polemizować.

Ely Calil potwierdził natomiast, że wzmianki w więziennej korespondencji Simona dotyczyły właśnie jego oraz Marka Thatchera (lecz zapewniał, że syn Margaret Thatcher nie miał nic wspólnego z żadnym spiskiem). Oto jego słowa: „Jeśli chodzi o list, zgadza się, Smelly to ja, a on to Scratcher, ale nie oznacza to, by obciążał nas winą, raczej prosi przyjaciół o pomoc”.

W miarę upływu czasu malała liczba chętnych do wypowiedzania się na temat niedosłego przewrotu w Gwinei Równikowej. Wszyscy chcieli żyć dalej, nie zamierzali spoglądać wstecz - może wszyscy oprócz Simona, który udzielił w więzieniu kolejnej serii wywiadów, tym razem dla BBC. W sfilmowanych w Playa Negra rozmowach przyznaje, że początkowy plan

obalenia Obianga polegał na tym, żeby „w Liberii załadować na pokład statku grupę dziarskich zuchów, a potem tu przyplłynąć”. Mann brał też pod uwagę zamordowanie prezydenta.

Potwierdzając to, co usłyszałem od Grega Walesa w Londynie, Simon oświadczył, że USA odnosiło się życzliwie do planowanego przewrotu.

- Ameryka nie przyzna się do udziału - stwierdził, ale jednocześnie zapewniał, iż odniósł następujące wrażenie: „Jeśli dojdzie do uporządkowanej i legalnej zmiany reżimu, nawet wspomaganey, jeśli dzięki niej nastąpią wolne i uczciwe wybory, to nie mamy nic przeciwko temu, o ile nasze aktywa na tym nie ucierpią”.

Simon nade wszystko utrzymywał, że Republika Południowej Afryki zaaprobowała jego plan: „W istocie - uznał, mówiąc o roli odegranej przez ten kraj w zamachu - powiedziano mi, żebym brał się do roboty”.

Wreszcie zdecydował się zabrać głos Nigel Morgan, który zaszył się w swoim domu ukrytym pośród łagodnych wzgórz KwaZulu-Natal, by opowiedzieć przez telefon o tym, w jaki sposób przyczynił się do upadku swojego dawnego przyjaciela, Simona. Wyjawił, że w maju 2003 roku zwrócili się do niego przedstawiciele South African Secret Service z prośbą o pomoc w śledztwie dotyczącym działalności Simona. Uważali, że odnowienie przezeń znajomości z Nickiem oraz częste wyprawy do Konakry są podejrzane, chcieli więc, żeby Morgan dowiedział się, co Simon knuje. Gdy siedem miesięcy później raport wywiadowczy Johanna Smita potwierdził, że Nick rekrutuje byłych agentów sił specjalnych i ściąga ich do Gwinei Równikowej, Morgan - jak twierdzi - zapytał Simona wprost, co się dzieje, na co ten odparł, że nic specjalnego, po prostu zakładają w Malabo legalny biznes.

- I to właśnie wtedy podjęliśmy decyzję - powiadomił mnie Morgan. - Wystawiliśmy ich operację - czy też raczej ich operacja została wystawiona - specjalnie po to, żeby ich dopaść. Wiem, że to nieładnie, ale też i najemnicy nie są szczególnie miłymi ludźmi. Żyją z tego, że zabijają innych, utrzymują się z tego rzemiosła, jak płatni zabójcy, tyle że na większą skalę.

A więc chyba Harry Carlse się nie mylił: to Morgan ich sprzedał. Zdobywszy zaufanie Simona jako czynny uczestnik spisku, umieścił swojego człowieka, Jamesa Kershawa na kluczowym stanowisku osobistego asystenta Simona i tym samym nieświadomej wtyczki. Morgan przyznał również, że przyjął od Simona dziesięć tysięcy dolarów i miał udać się z tą sumą w kieszeni do Nigerii, aby lobbować tam pośród przedstawicieli przemysłu naftowego na rzecz Simona oraz Calila. Rzecz jasna (jak stwierdził) nie miał zamiaru tam pojechać. Biorąc pod uwagę, że Simon zdawał sobie sprawę, jak bliskie są powiązania Morgana ze

służbami wywiadowczymi Republiki Południowej Afryki, to zapewne uznał jego osobiste zaangażowanie za oznakę milczącego poparcia ze strony tych służb.

Okazało się, że pośród uczestników operacji umieszczono tylu informatorów, że sytuacja pomału stawała się wręcz absurdalna. Morgan potwierdził to, co usłyszałem od Billy'ego Masetlhy, a mianowicie, że w gronie najemników znaleźli się także inni agenci oraz donosiciele, zarówno wśród szeregowych „żołnierzy”, jak i „kierownictwa”. Między innymi, jak twierdził Morgan, byli to Harry Carlse oraz Lourens Louwtjie Horn - czemu obaj zainteresowani zaprzeczają. Wszystkie zdobyte informacje Morgan przekazywał South African Secret Service. Jednak mimo to, zdaniem Morgana, gdyby doszło do przeprowadzenia operacji w lutym, to zakończyłaby się ona sukcesem, ponieważ nikt w SASS najwyraźniej nie spodziewał się wyprawy do Kolwezi i jej niezrealizowanego ciągu dalszego.

- Wykazaliśmy się cholerną niekompetencją - przyznał. - Sądziliśmy, że udało nam się ich zinfiltrować na każdym poziomie, a tymczasem uszedł naszej uwadze kurewsko ważny szczegół. Jednak potem nie mieli już żadnych szans.

Spytałem Morgana, czy nie jest mu przykro, że odpowiada za uwięzienie swojego dawnego przyjaciela. Odparł, że emocje nie mają tu nic do rzeczy.

- Kto jest skurwysynem, zawsze będzie skurwysynem - rzekł sentencjonalnie. - Kto jest kanciarzem, kanciarzem pozostanie. A kłopot z Simonem polega na tym, że kanciarstwo weszło mu w krew.

Zadałem pytanie, również przez telefon, przebywającemu w Pretorii Pietowi van der Merwe, wysokiemu rangą śledczemu Skorpionów, który prowadził sprawę przeciwko Thatcherowi i rozmawiał z Abu Bakerem, czy to prawdopodobne, żeby NIA od samego początku umieściła swoich ludzi wśród uczestników operacji, również wśród szeregowych najemników.

- Cóż - odpowiedział, potwierdziwszy wcześniej, że Abu został informatorem NIA - to zależy, jakie nazwiska ci podano.

Wyjaśniłem, że wielu ludzi, między innymi Nigel Morgan oraz Billy Masetlha (choć niebezpośrednio), wymieniło jako agentów Horna i Carlse'a. Van der Merwe z miejsca wykluczył Carlse'a, lecz nie jego przyjaciela.

- Co do Louwtjie Horna, nie byłbym taki pewien - stwierdził. - Jeśli brać pod uwagę jego przeszłość jako byłego policjanta... Powiedziałbym, że Louwtjie Horn mógł być agentem NIA.

Horn został aresztowany z Simonem i Harrym Carlse'em w Harare, gdy wszyscy trzej

udali się po odbiór broni zakupionej od ZDI. Van der Merwe nie omieszkiał jednak podkreślić, że jakiegokolwiek powiązania łączyły Horna z NIA, nic nie wskazuje, iżby właśnie on doprowadził do klęski operacji. To Nigel Morgan i SASS przeprowadziły akcję w kluczowym etapie przedsięwzięcia.

- Odegrali zasadniczą rolę. Wiedzieli doskonale o wszystkim, od pierwszego dnia.

Następnie van der Merwe nawiązał do zdumiewającego oświadczenia wydanego przez Tima Dennisa, byłego dyrektora generalnego SASS, podczas procesu ośmiu najemników, między innymi szwagra Nicka, w 2007 roku. Van der Merwe twierdził, że SASS pozostawało w kontakcie z Severem Moto przebywającym na emigracji w Hiszpanii, aby „położyć podwaliny pod przyszłe stosunki na wypadek, gdyby doszedł do władzy”, ponieważ Republika Południowej Afryki potrzebuje „czarnego złota” z Gwinei Równikowej. Jak usłyszałem od van der Merwego, można było odnieść wrażenie, iż SASS gra na dwie strony, pozostawiając sobie do ostatniej chwili swobodę decyzji. Mimo zaprzeczeń Masetlhy, Morgana i Dennisa nie można wykluczyć, iż pierwsza próba, czyli wyprawa via Kolwezi, nie została przez nich udaremniona z powodu braku zdecydowania, a nie braku informacji.

Spytałem też van der Merwego o ewentualne powiązania z CIA.

- Przecież to fakt - oświadczył stanowczo. - Fakt niezaprzeczalny. Agent CIA przyprzewodził samolot do RPA, potem został tutaj, zameldował się w hotelu Lake w miejscowości Centurion.

Jak powiada van der Merwe, to Ivan Pienaar spotkał się z owym agentem CIA po przylocie maszyny, załatwił mu hotel, a następnego dnia odprowadził na lotnisko, z którego tamten odleciał do Stanów. Pienaar potwierdził to ze szczegółami w zaprzysiężonym zeznaniu złożonym Skorpionom.

- To jest fakt - powtórzył van der Merwe. - Fakt niezaprzeczalny.

Nikt nie rozmawiał z Nickiem; niewielu próbowało, lecz zostali odesłani z kwitkiem. Kontakty między jego żoną a południowoafrykańskimi dyplomatami stały się rzadsze, później nagle się urwały. Dochodziły tylko oderwane wieści: cierpiał na niedożywienie, przeszedł malarię mózgową; był bliski śmierci. A potem już nic. Przestały dochodzić listy, nie pojawiały się już nawet pogłoski na temat stanu jego zdrowia. Dręczyło mnie poczucie winy, ponieważ odnosiłem wrażenie, że stopniowo zaczynam pozostawiać go własnemu losowi. Nie miałem już nic, czego mógłbym się trzymać, oprócz wspomnień dni spędzonych w Tubmanburgu, kiedy wywlókł mnie spod ostrzału.

Czasami moja córka woła mnie w nocy. Jej krzyki: „Tatusiu, tatusiu!” rozlegają się coraz głośniej w krótkim czasie, jakiego potrzebuję, żeby dobiec do jej sypialni. Jej wołanie

jest na poły zaklęciem - jakby przyzywając mnie sprawiała, że się pojawia - i na poły pytaniem - wznosząca się intonacja jej głosu wyraża niepewność, czy w ogóle przyjdę i kiedy.

W jej pokoju pachnie mlekiem i biszkoptami; moja dłoń na jej kręconych włosach prowadzi ją z powrotem do łóżeczka, ocieram z jej czoła pot nocnych koszmarów. Czasem wtedy przypominają mi się Rocket i inne dzieci, które widzieliśmy, dla których nie było nadziei, i trudno mi nie myśleć o tym, jak kruche i złudne jest nasze poczucie bezpieczeństwa. Wiele miesięcy temu postanowiłem, że nie będę córce opowiadał o wojnie ani o tym, co tam się dzieje i co działo się ze mną na tamtej wojnie, ani co z tego wynikło, dopóki nie zyska pewności, że nic nie zdoła wstrząsnąć otaczającymi nas ścianami, dopóki nie przestanie być dzieckiem.

Kiedyś, kiedy miała zaledwie dwa lata, zobaczyła, jak płaczę. Siedziałem w dużym pokoju i usiłowałem przełknąć kamień, który czasem staje w gardle, dopada mnie, gdy najmniej się tego spodziewam. Przestała się bawić, położyła dłoń na moim kolanie.

- Wszystko będzie dobrze, tatusiu. Wszystko będzie dobrze - powiedziała. Spoglądała na mnie uważnie, próbując dociec przyczyny tych łez. Wtedy zrozumiałem, że mój dziadek, Don, dawkował mi swoją wojnę ostrożnie i niespiesznie. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego krzyczał przez sen. Nigdy nie żądał ode mnie, bym dzielił brzemię jego wspomnień, nawet pod sam koniec.

Bella już śpi znowu, usnęła, nim zdążyłem zamknąć drzwi. Nasłuchuję i czekam na korytarzu, aż umilknie wilgotne cmok-cmok-cmok ssanego smoczka. Zapada cisza, zostaję całkiem sam pośród nocy. Bywa, że idę wtedy do sąsiedniej łazienki i nie zapalając światła, próbuję dostrzec swoje odbicie pośród płataniny cieni rzucanych przez gałęzie drzew za oknem. Przypomina mi się tamto popołudnie, kiedy rozebrałem się przed zdezelowanym hotelowym lustrem w Konakry i po raz pierwszy zobaczyłem spustoszenia, jakie w moim ciele poczyniły dwa miesiące spędzone w dżungli.

Pytam siebie, kim jestem, kim byłem i jakie zmiany zaszły w tym odbiciu za sprawą potwornej pychy i przelewu krwi, których śledzenie stało się moim zawodem. W mroku próbuję zaklinać sny, by mnie nie dręczyły, i stanąć twarzą w twarz z wizjami, które nie chcą odejść. Nick w swojej celi, ja w swoim sanktuarium.

Epilog przebłycki

3 listopada 2009 roku Nick został oficjalnie ułaskawiony. Spędził w więzieniu Playa Negra pięć lat i osiem miesięcy. Najpierw zadzwoniła jego żona. Agencje dopiero co podały wiadomość. Byłem w domu, w Londynie.

Prokurator generalny Gwinei Równikowej potwierdził, że tego dnia zostaną uwolnieni Nick, Simon oraz pozostali więźniowie z RPA. Nickowi dano dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie kraju. Jego uwolnienie z całą pewnością nie przypadkiem zbiegło się w czasie z wizytą państwową południowoafrykańskiego prezydenta, Jacoba Zuma, w Gwinei Równikowej.

Uśmiechnięty Simon Mann odleciał do ojczyzny prywatnym odrzutowcem. Nim powrócił na łono rodziny, do swojej wiejskiej posiadłości w Hampshire, wygłosił krótkie oświadczenie dla prasy.

- Jeżeli o mnie chodzi - poinformował tym swoim snobistycznym seplenieniem - niezwykle mi zależy, żeby Calil, Thatcher oraz jeden czy dwóch pozostałych stanęli przed obliczem wymiaru sprawiedliwości.

Oznajmił, że z radością stawi się przed sądem w Wielkiej Brytanii „jako świadek oskarżenia”. Posiwały, szczupły, niemal nie przypominał człowieka, którego poznałem w Paryżu ponad sześć i pół roku wcześniej.

Nickowi droga do domu zajęła trzy dni. Wreszcie, staraniem przedstawicieli władz RPA, znalazł się w Johannesburgu, gdzie został przesłuchany. Tego samego dnia wieczorem rozmawiałem z nim przez telefon.

- Jakże się pan miewa, panie Brabazon?

Jakby cały pokój wypełnił się jego głosem. Prawie sześć lat rozplynęło się natychmiast w nicość.

- Jak świetnie cię słyszeć! Niesamowite. Nie mogę w to uwierzyć! - To nie była rozmowa, do której mógłbym się przygotować. Nie miałem pojęcia, od czego zacząć. - Powiedz, jak się czujesz? - spytałem.

- Ag, nie tak źle. Fizycznie mam niedowagę. Wybieram się na badania. Ale pod względem psychicznym nie odczuwam żadnych zaburzeń - usłyszałem jego śmiech.

- To ty tak twierdzisz, stary! Nie tobie o tym sądzić - również się śmiałem. - Jak to było, kiedy cię wypuszczali? Kiedy się dowiedziałeś? Dla nas, tutaj, to była niespodzianka jak

cholera.

- Zupełnie od niechcenia, jakby to była całkiem zwykła sprawa - odparł. - Przyszli do mojej celi i oznajmili: „Proszę tu podpisać”. Spytałem, kim są i o co chodzi, a prokurator generalny oświadczył: „Został pan ułaskawiony”.

Brzmiało to tak, jakby sam wciąż nie wierzył swojemu szczęściu.

- Jutro łapię samolot i lecę do ciebie - powiedziałem. - W porządku?

- *Ja*, chłopie, na sto procent. Świetnie.

Mimo ogromnego zainteresowania mediów Nick postanowił nie rozmawiać z prasą. Tylko najbliższa rodzina i ludzie, z którymi siedział w więzieniu, mieli wiedzieć, gdzie się znajduje. Jak to określił Nick, „pełna konspira”.

Spędziłem w Pretorii dwa dni, nim udało mi się od serca pogadać z Nickiem. Pierwsze czterdzieści osiem godzin wolności poświęcił wyłącznie swojej żonie. Czekałem w jego domu z resztą rodziny - z synami, córkami i przyszłym zięciem. Przygotowywaliśmy *braai* (czyli po południowoafrykańsku „grilla”), nadmuchiwałem baloniki, rozpostarliśmy plastikowy, mieniący się jaskrawymi kolorami transparent głoszący: „Witaj w domu”.

Aż wreszcie otwarła się boczna furtka i pojawił się Nick. Ze spuszczoną głową kroczył za żoną. Przywitał się ze swoim zięciem, którego właśnie wtedy ujrzał po raz pierwszy, wszedł na ganek. W następnej chwili wyłonił się z cienia domu i wtedy zobaczyłem go wyraźnie. Jego ciemne oczy się zapadły. Był cieniem człowieka, którego zegnałem w Paryżu, jego ręce stały się chude jak patyki, głowa wydawała się nieproporcjonalnie wielka na wąskich ramionach. Skóra i kości. Miał na sobie długie, błękitne szorty i niebieską koszulę w kratę, a w kieszeni na piersi notes oraz długopis. Ociekał potem.

- Miło cię widzieć, James.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, później padliśmy sobie w ramiona. Muskuly, które wywlekły nas obu z dżungli, znikły. Nick z postury przypominał więźnia obozu koncentracyjnego.

- Czuję się dość normalnie. Zresztą, zobaczymy. - Rozejrzał się wokół. - Wyśmienicie, po prostu wyśmienicie.

Uśmiechał się. Przez chwilę gadaliśmy sobie nieco na uboczu, a potem weszliśmy do środka, gdzie wręczyłem mu butlę słodowej whisky, którą chowałem na specjalną okazję od czasów uniwersyteckich. Zdałem sobie sprawę, że jestem zdenerwowany. Im bardziej się starałem, tym trudniej mi było zachowywać się swobodnie i naturalnie. Na widok scotcha oczy mu rozbłysły, podziękował.

- Przechowamy to do czasu, kiedy urodzą ci się wnuki - zaśmiał się, odstawił butelkę

na półkę.

Spytałem go, jak „tam” było.

- Cóż, mam za sobą bardzo interesującą pięcioletnią wyprawę - rzucił żartobliwym tonem, chyba chciał sprawić, żebym poczuł się swobodniej. - Ale to już koniec takich wypraw. Koniec wypraw, koniec przygód w Afryce.

Uśmiech znikł z jego twarzy, oświadczył poważnym tonem:

- To, co zrobiliśmy, co próbowaliśmy zrobić, było złe. - A potem znów się uśmiechnął i zerknął na swoją córkę. - Marzaan zapowiada, że schowa mój paszport.

Najwyraźniej był jeszcze w szoku, wszystko działo się tak prędko. Córka, która miała teraz siedemnaście lat, przyglądała mu się intensywnie. Podobnie zresztą jak jej nowy chłopak, który w tej sytuacji musiał czuć się wyjątkowo niezręcznie.

- Sam widzisz, tak to jest, że ojcowie zawsze pojawiają się w najmniej oczekiwanej chwili - rzuciłem do lekko oszołomionego nastolatka trzymającego Marzaan pod ramię. - Jak grom z jasnego nieba.

Marzaan rozmawiała z Nickiem przez telefon po raz pierwszy od jego aresztowania dopiero niedawno, we wrześniu 2009 roku. Ostatnio widziała go, gdy miała zaledwie jedenaście lat, więc w zasadzie teraz stał przed nią niemal nieznamy człowiek.

- Dziwnie jest wracać do rodziny, która tymczasem dorosła. Będę musiał poznać ich wszystkich na nowo. - Po czym znów się uśmiechnął i rzekł do chłopaka Marzaan: - Tylko pamiętaj, to jest moja córka! - I zaczerwienili się obaj.

Między kęsami wołowiny i łykami piwa Nick przyłączył się do rodzinnego gwaru rozlegającego się wokół. Był zdumiewająco dobrze poinformowany o wszelkich aspektach bieżących spraw międzynarodowych, chciał rozmawiać o teleskopie Hubble'a oraz eksplodujących gwiazdach, globalnym ociepleniu, suszy w Kenii oraz o zgryzotach rządu brytyjskiego. Spytałem, skąd, u licha, lepiej ode mnie wie, co się dzieje w Londynie. Okazało się, że udało mu się zdobyć odbierające na krótkich falach radio, które podłączył do drutu instalacji elektrycznej w swojej celi. Przez całe lata przy życiu trzymały go BBC World Service i Biblia czytana na falach eteru. Często wspominał o miłosierdziu i pokucie, mówił nie tylko językiem radiowych wiadomości, nie tylko jak twardej, któremu mimo wszystko udało się przeżyć, lecz także jak człowiek nawrócony. Oświadczył, że dane mu było dostrzec, iż podążał błędną ścieżką, oraz ujrzeć Światłość.

- Odkąd w moim życiu zagościł Pan Bóg - stwierdził - nie ma rzeczy niemożliwych. Możliwe staje się nawet uwolnienie z Playa Negra.

Wkrótce Nick przeszedł do wspomnień, zaczęliśmy rozmawiać o ludziach, którzy

służyli z nim w wojsku, potem jeszcze raz usłyszałem opis domu w Liberii, gdzie zginął Deku - o szczątkach mózgu na ścianach, pospiesznie wykopanym grobie na tyłach domu. Ja opowiedziałem mu o filmach, które nakręciłem o Afryce, jak nagrywałem pod kulami, gdy towarzyszyłem wojskom RPA działającym w ramach sił pokojowych ONZ na terenie Konga, oraz o wyprawie w dżunglę wschodnich Indii, gdzie filmowałem maoistowskich partyzantów.

- A powiedz - spytał wreszcie, odstawiając na bok opróżnioną do połowy butelkę piwa - nie dopowiedziałeś historii o swoim dziadku. Jak to się skończyło?

W ciągu następnych dni kolekcjonowaliśmy z Nickiem różne „pierwsze razy”: pierwszy posiłek, jaki sporządził od chwili swojego aresztowania (śniadanie dla mnie, następnego ranka); najdłuższy spacer, jaki odbył w ciągu ostatnich sześciu lat (wybraliśmy się razem do okolicznych sklepów, jakieś dwa czy trzy kilometry); pierwsza na wolności filiżanka kawy w knajpie (przy okazji zakupów, podczas odpoczynku).

- Śmiesznie iść tak obok ciebie - odezwał się, gdy kolejnego dnia maszerowaliśmy znów do sklepu, tym razem padała lekka mżawka. - Zupełnie jak w Liberii. I dalej masz takie długie nogi.

Zwolniłem kroku, spacerkiem skierowaliśmy się do stolika w kafejce. Zamówiliśmy quiche z serem i bekonem, po kawie z mlekiem oraz słodkie herbatniki.

Pragnąłem wypytać Nicka o tak wiele różnych spraw, tak liczne pozostawały luki w mojej wiedzy, że naprawdę nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Chciałem usłyszeć, co rzeczywiście wydarzyło się w Kolwezi; czy próbował wycofać się w ostatniej chwili, dlaczego mimo wszystko zdecydował się wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Przez sześć lat zastanawiałem się, jak mu się tak naprawdę żyło w więzieniu.

W końcu zdecydowałem zacząć od pytania, jak właściwie planowali przebieg wydarzeń.

- Moje zadanie - wyjaśnił - polegało na przejęciu kontroli nad lotniskiem w Malabo, chodziło o opanowanie wieży kontroli lotów. Pilnowało jej dwóch strażników, ale zamierzaliśmy ich obezwładnić, nie zabić.

Zresztą na początku nie istniała konieczność zastosowania przemocy. Wieża wznosiła się w oddaleniu od innych budynków lotniska, przebywał w niej nieliczny oddział żołnierzy, prawdopodobnie uśpionych, pijanych. Nim ktokolwiek uderzyłby na alarm, byłoby już za późno. O drugiej w nocy 8 marca 2004 roku Nick miał nawiązać kontakt radiowy z załogą nadlatującego samolotu wiozącego najemników. Po jego wylądowaniu całe lotnisko zostałyby opanowane. Cztery samochody z napędem na cztery koła, które Nick miał przyprowadzić na pasy startowe, posłużyłyby jako transport nowo przybyłym siłom uderzeniowym. Potem rola

Nicka sprowadziłyby się do dostarczania wsparcia wywiadowczego. Nick powiedział Simonowi, że nie chce, by go zidentyfikowano jako jednego z napastników, gdyż mogłoby to utrudnić późniejsze prowadzenie interesów w nowej republice.

Najemnicy dowodzeni przez Harry'ego Carlse'a mieli natychmiast podjąć akcję. Dwa albo trzy pięcioosobowe zespoły zostałyby wyznaczone do opanowania pałacu prezydenckiego, kolejny oddział miał zdobyć posterunek policji, głównym siłom przeznaczono zadanie polegające na obsadzeniu i obronie głównej drogi prowadzącej z koszar wojskowych do pałacu. Należało też jak najszybciej przejąć kontrolę nad rozgłośnią radiową. Simon miał pozostać na terenie lotniska i czekać na Grega Walesa, Davida Tremaina, Karima Fallahę oraz Severa Moto, którzy powinni nadlecieć z Wysp Kanaryjskich przez Bamako w Mali samolotem pilotowanym przez dawnego pracownika Executive Outcomes, Crause'a Steyla.

Kontynuowaliśmy tę rozmowę w domu, powracając tym samym do starych przyzwyczajęń. Przypomniały mi się tygodnie spędzone na tarasie w Tubmanburgu, jednak tutaj zamiast swądu rozkładających się ciał naszym konwersacjom towarzyszył zapach świeżo ściętej trawy napływający przez otwarte okna. Tylko pierwszego dnia przegadaliśmy ponad piętnaście godzin. Jakbyśmy mieli całe życie do opowiedzenia: zdjęcia dzieciaków, szczegóły eskapad, no i do uzupełnienia cała historia przygotowanego spisku.

- Zaczęło się od tego - opowiadał Nick - że w maju 2003 roku skontaktował się ze mną Simon.

Odnowili starą znajomość w styczniu tamtego roku, chodziło o zakup pewnego samolotu niemającego nic wspólnego z przewrotem. Nick był przekonany, że nie jest to wyłącznie pomysł Simona, że ktoś się do niego w tej sprawie zwrócił, ale początkowo Simon finansował całą operację osobiście, z własnej kieszeni.

- Z początku nie kosztowało to wiele - wspominał Nick.

Potem pokazał mi swoje wydruki maili wymienionych przez Simona i Ely'ego Calila, które kilka lat wcześniej znalazłem w jego gabinecie - chodziło o korespondencję dotyczącą „ochrony połowów” oraz spotkania Calila z Simonem zaplanowanego na 18 maja. Wydruki te zostały ostemplowane i certyfikowane przez National Prosecuting Authority.

- Właśnie podczas tego spotkania - ciągnął Nick, pokazując fragment tekstu na wydruku - jeśli do niego doszło, najprawdopodobniej zostały sfinalizowane plany przewrotu. Zobaczyłem się z Simonem dwa tygodnie później, wtedy opowiedział mi o tym projekcie.

Dowiedziałem się też, że Simon poinformował go o istnieniu zewnętrznego sponsora z Libanu. Nie wymienił Ely'ego Calila, dopiero w następnym roku wyjawiał jego imię, bez

nazwiska. Nick poznał je, gdy pokazano mu w Malabo więzienne zeznania Simona. Z jego punktu widzenia rola Calila (czy też rzekomy brak udziału z jego strony) nie miała znaczenia.

- Mało mnie obchodziło, skąd napływały pieniądze - podsumował.

Jak stwierdził Nick, Severo Moto z początku był określany jako „ten na emigracji”, po raz pierwszy usłyszał jego nazwisko w końcu 2003 roku. Marka Thatcherera widział tylko raz, tuż przed naszym spotkaniem w Paryżu, w lipcu 2003 roku. Rozmawiali o helikopterach potrzebnych do realizacji projektu zaplanowanego przez Thatcherera w Sudanie, a także o zakupie śmigłowca Alouette, który posłużyłby w trakcie operacji do transportu medycznego, a jednocześnie pełniłby funkcję maszyny bojowej. Nick był przekonany, że podczas tej rozmowy dla Thatcherera było jasne, iż Alouette zostanie wykorzystany w działaniach o charakterze militarnym, choć ani razu w trakcie spotkania nie padła nazwa Gwinei Równikowej. Thatcher przyznał się, że przekazał środki finansowe na wynajęcie śmigłowca, którego mieli użyć najemnicy w Gwinei Równikowej - utrzymywał jednak, iż uczynił to w przekonaniu, że finansuje maszynę przeznaczoną do transportu rannych, nie helikopter bojowy.

W maju szybko dopracowano pomysł polegający na przeprowadzeniu operacji z Konakry w Gwinei przy wsparciu ze strony liberyjskich partyzantów. Nick oraz Simon udali się tam na spotkanie z Sekou Connehem, przywódcą powstańców z LURD. Simon, jak powiedział Nick, wręczył Sekou zaliczkę w wysokości około trzydziestu tysięcy dolarów gotówką, by zapewnić sobie jego współpracę przy projekcie. Jeśli plan zostanie zrealizowany, to LURD miało dostać kolejne sumy. Dla Conneha był to prawdopodobnie istny dar niebios; wtedy właśnie zbierał siły do ostatecznego ataku na stolicę Liberii, Monrowię. W zamian za te pieniądze Conneh miał zagwarantować wsparcie logistyczne oraz ludzi i broń, jeżeli tej ostatecznej nie uda się zdobyć gdzie indziej. Nick oraz Simon, obdarzeni przez Conneha błogosławieństwem, udali się na przejażdżkę statkiem, by wyszukać pośród przybrzeżnych wysp w pobliżu Konakry stosowne miejsce umożliwiające lądowanie i załadunek. Stamtąd uzbrojeni ludzie - oraz umieszczony na pokładzie helikopter, o ile doszłoby do odpowiedniej transakcji - mieli wyruszyć w drogę do Gwinei Równikowej.

- To był dobry plan, ale niepozbawiony pewnych wad. Nigdy nie byłem do niego tak całkiem przekonany - tłumaczył mi Nick. - Istniały też inne możliwości. Głównym źródłem broni zawsze były Uganda lub Zimbabwe. Dostarczenie jej do Konakry przez zrzut czy drogą morską byłoby problematyczne i kosztowne. Przewrót na Wyspach Świętego Tomasza całkiem pogrzebał ten pomysł. Nick z Simonem rozważali już wcześniej możliwość posłużenia się samolotami.

- Odpowiadała mi opcja lotnicza - wyznał. Bardziej przypominała jego doświadczenia z sił specjalnych. - Wszystko dzieje się szybciej: szybszy załadunek, szybszy rozładunek.

Postanowiono więc rozpocząć od założenia przykrywkowych firm zajmujących się połowami, rolnictwem i awiacją w samej Gwinei Równikowej. Choć początkowo miały one służyć wyłącznie maskowaniu prawdziwych zamiarów zamachowców, to Nick zapewniał mnie, że wkrótce zaczęła nim powodować szczerą chęć dopomożenia mieszkańcom Gwinei Równikowej i właśnie w tym celu przekonał Simona, który z początku się wzdragał, że należy zapewnić im odpowiedni zastrzyk gotówki. Chodziło o to, by pozyskać sobie życzliwość obywateli kraju.

- Wiem, że dałem się wprowadzić w błąd, ale nie potrafiłem pogodzić się z rolą kolonialnego wyzyskiwacza wykorzystującego panujące tam korupcję i ucisk dla własnego zysku. Orientowałem się, co się dzieje w Afryce Południowej, i naprawdę chciałem zrobić coś dla ludzi. Zacząłem od pomysłu z połowami, bo stwierdziłem, że wszyscy bezlitośnie łupią ten kraj, żadne z jego bogactw nie trafiają do zwykłych obywateli. Nawet ryby. Tymczasem w Afryce produkcja żywności jest najważniejszą dziedziną gospodarki.

Nick nie znał jednak sporządzonego przez spiskowców spisu założeń mających określić przyszłość Gwinei Równikowej. Jego towarzysze niewątpliwie zamierzali zostać kolonialnymi wyzyskiwaczami i grabić bogactwa zdobytego kraju.

Nick przesiadł się na sofę. Zgodził się ze mną, że rozkręcenie interesu razem z bratem prezydenta, a przy okazji szefem bezpieczeństwa, Armengolem Nguemą, było posunięciem ryzykownym, jednak wszystko szło gładko. Aby sfinalizować kontrakt, który zapewniłby firmie Nicka licencję na obsługę międzynarodowych przewozów lotniczych, Simon zaproponował przekazanie otoczeniu prezydenta łapówki złożonej z sześciu samochodów marki Toyota Land Cruiser. Wozy zamierzano wyposażać w lokalizatory, które mogły się przydać, kiedy dojdzie do zamachu.

Jednak w miarę upływu czasu, gdy zbliżał się koniec 2003 roku, Nicka ogarniały coraz większe wątpliwości co do operacji.

- Po wielokroć powtarzałem Simonowi, że wywiad RPA depcze nam po piętach.

Westchnął, poprawił się na kanapie. Stara kontuzja kręgosłupa, nabyta podczas któregoś ze skoków spadochronowych, powodowała, że trudno mu było dłużej wysiedzieć bez ruchu.

- W październiku Henri pokazał mi przechwycony raport wywiadowczy, który dostał od jednego ze swoich znajomych. Wynikało z niego niezbicie, że ja i Simon przygotowujemy zamach.

- Co ci wtedy doradził Henri? - spytałem.

- Powiedział, żebym się wycofał, bo wszyscy sparzemy sobie palce.

W grudniu Nick był przekonany, że tajne służby RPA znają wszystkie szczegóły spisku.

- Ale skąd? - chciałem wiedzieć. - Jak myślisz, w jaki sposób się o tym dowiedzieli?

Nick podciągnął kolana pod brodę. Sprawiał wrażenie postaci wręcz filigranowej.

- Nigel Morgan - odparł. - Nigel, a potem jeszcze James Kershaw. Wszyscy wiedzieli, że Nigel pracuje dla SASS, a Kershaw jest jego człowiekiem. Kershaw orientował się we wszystkich poczynaniach Simona. Jednak Simon uparcie zapewniał mnie, że to żaden problem.

Tymczasem Nigel Morgan przyznał w rozmowie ze mną, że stanowił dla Simona problem, i to niemały.

- Słyszałem od różnych ludzi, że w styczniu próbowałeś się wycofać, podobno piątego odbyło się jakieś spotkanie, na którym stwierdziłeś, że nie chcesz brać udziału w przedsięwzięciu. Czy to prawda?

- Oświadczyłem Simonowi, że nie jesteśmy gotowi, że plan ma zbyt wiele słabych punktów, jeśli chodzi o nasze bezpieczeństwo. Poza tym Gwinea Równikowa szybko ulegała przemianom. Czas nie był odpowiedni. Stolica zaczęła się rozrastać, wszędzie pojawiło się pełno placów budów. Jeśli zamach miał się powieść, trzeba było koniecznie pojmać prezydenta, a tymczasem ja nie wiedziałem, gdzie go znaleźć. Powiedziałem to Simonowi, przecież gdyby Obiang uciekł, oznaczałoby to niepowodzenie przewrotu. Brakowało nam informacji, nie mogliśmy być pewni, że zdołamy go schwytać.

- Co na to Simon?

- Uznał, że nie możemy teraz zrezygnować. Musimy działać ze względu na wybory w Hiszpanii. I żebym się nie przejmował kwestiami bezpieczeństwa, bo ponoć mieliśmy poparcie rządu RPA. Wszystkim powtarzał, że dostał od nich gwarancję poparcia.

Nick odniósł wrażenie, że Hiszpanie „z pewnością” wesprą władzę Moto oraz że Simon obawiał się, iż nie ma co liczyć pod tym względem na przyszły (lewicowy) rząd Hiszpanii. Nick nie wiedział o żadnych funduszach przeznaczonych na rzecz zamachu przez Hiszpanów ani też nie słyszał o planach rozmieszczenia okrętów wojennych na wodach terytorialnych Gwinei Równikowej czy rozlokowania żołnierzy piechoty morskiej - i zareagował na te wiadomości sceptycznie. Nie miał też żadnych informacji na temat powstania planowanego na miejscu - niezależnie od tego, co potem twierdzili Greg Wales, Simon Mann oraz Ely Calil.

Mnie także zdawało się to mało prawdopodobne. Przecież miałem kręcić ten film przede wszystkim po to, żeby czarnoskórzy najemnicy z 32. Batalionu zostali na nim ukazani światu jako lokalni powstańcy - zamiast lokalnych powstańców. Nick zgodził się ze mną, że wygląda to na wybieg ze strony spiskowców, aby przydać sobie politycznej legitymacji, której im brakowało.

- Nie, to miało być zwyczajne przejęcie władzy. Przynajmniej tak mi powiedziano. Nic nie wiem o lokalnym powstaniu. Simon nigdy nie wspominał o czymś podobnym i nie rozmawiałem na ten temat z Harrym. Jeśli planowali coś takiego... *Fok!* Przecież to by był koszmar. - Spoglądał na mnie, nie dowierzając temu, co ode mnie usłyszał. - Wyobrażasz sobie? Zajmujemy lotnisko, a tu pojawiają się umundurowani tubylcy, o których nic nie wiemy. Doszłoby do masakry. Rozprawilibyśmy się z nimi, zanim zdążyliby się zbliżyć.

Nick przyznał, że w połowie stycznia 2004 roku odbył konfrontację z Simonem w domu w Pretorii.

- Znasz mnie, James. Nie boję się nikogo. Nikt nie może mnie zastraszyć. Powiedziałem Simonowi, że nie wolno nam tego ciągnąć, że cała operacja jest zupełnie zdekspirowana. Simon na to, że sponsorzy są wpływowymi ludźmi i nie pozwolą nam się wycofać. Myślę, że... Tak, na pewno niepokoiłem się o swoją rodzinę, ale nie traktowałem jego słów zbyt poważnie. Przede wszystkim Simon był całkowicie przekonany, że mamy ich zezwolenie na podjęcie działań.

W każdym razie przykrywkowe firmy sprawowały się tak dobrze, że właściwie przeprowadzenie zbrojnego ataku przestało być konieczne. Nick uważał, że może uda się w pełni legalną drogą uzyskać od Obianga dostęp do kontraktów naftowych. Simon nie wyraził zainteresowania. Utrzymywał, że sponsorzy na to nie przystaną.

Tak więc Nick brnął w to wbrew własnemu rozsądkowi. Zawarł w Zimbabwie umowę dotyczącą sprzedaży broni, żywiąc uzasadnione przekonanie, iż pułkownik Dube z Zimbabwie Defence Industries nie wystawi ich do wiatru. Faceta interesowała gotówka, nic więcej. Nick odrzucił mniemanie, jakoby ZDI miało coś przeciwko dostarczaniu broni kongijskim powstańcom w Katandze.

- Odniosłem wrażenie, że i tak zaopatrują w broń innych rebeliantów - oznajmił. - Dla nich to był chleb powszedni. Łatwa forsa.

Nick potwierdził, że gdy zbliżał się wyznaczony dzień, poprosił Henriego, by ten uzyskał od Skorpionów zgodę na przeprowadzenie operacji. Kierował się prostą logiką: Simon zapewniał, że rząd Republiki Południowej Afryki wie o wszystkim. Jeśli to prawda, to nic się nie stanie, gdy powiadomi również pion śledczy National Prosecuting Authority, bo

przecież w razie czego to właśnie Skorpiony będą w RPA prowadzić dochodzenie w tej sprawie. Nick postanowił, że ich odpowiedź przesądzi o jego decyzji, czy kontynuować przygotowania, czy nie.

- Ja sam nie rozmawiałem ze Skorpionami. Henri do nich poszedł. Powiedział mi, że odbył rozmowę z kobietą imieniem Ayanda, która pracuje dla służb wywiadowczych.

Henri nawiązał kontakt z Ayandą Dlodlo, obecnie zajmującą jedno z kluczowych stanowisk doradczynią prezydenta Jacoba Zumy. Wówczas pełniła funkcję zastępcy dyrektora do spraw strategicznych w Skorpionach. Miała zapewnić Henriego, że spiskowcy powinni działać dalej, ponieważ jej organizacja pragnie pojąć ludzi finansujących przewrót - jednak Dlodlo zaprzeczyła, jakoby dała Henriemu tego rodzaju sygnał. Wręcz przeciwnie, twierdzi, że odesłała go do swojego szefa, którym był Bulelani Ngcuka, ówczesny dyrektor National Prosecuting Authority, i powiedziała, że nie zajmuje się kontaktami z informatorami. 18 lutego Henri stwierdził w zeznaniu, które potem przekazał Skorpionom (a które ja przeczytałem w 2004 roku), że on i Ngcuka omawiali kwestię zamachu i postanowili wysledzić owych sponsorów. Ngcuka przyznaje, iż takie spotkanie miało miejsce, lecz zaprzecza, jakoby w jego trakcie odbyła się rozmowa na temat zamachu. Nick natomiast zapewnił, iż nie miał pojęcia o spotkaniu Henriego z Ngcuką.

- Z tego, co przekazał mi Henri, wywnioskowałem, że co prawda rząd nie zamierza udzielić oficjalnego poparcia dla przewrotu, ale możemy liczyć na życzliwość z jego strony.

Trudno ustalić z całą pewnością kto, komu, co, kiedy i gdzie powiedział, natomiast doprowadziło to do jednoznacznej konkluzji: Nick uznał - niesłusznie - iż ma zgodę czynników oficjalnych.

- Billy Masetlha stwierdził - wtrąciłem - że nastąpiła infiltracja spisku przez rządowych agentów, wiedziałeś o tym? Mam na myśli nie tylko Nigela Morgana, lecz także szpiegów, którzy znaleźli się pośród zwerbowanych ludzi. Powiedział mi, że część z nich wylądowała w więzieniu w Zimbabwie.

Nigel Morgan również zgadzał się co do tego i dodał, iż wiadomości dostarczone przez tych informatorów miały kluczowe znaczenie.

- Tak, to prawda. Informatorem był Lorenzo. Powiedziałem Sergiowi, żeby na niego uważał. W Zimbabwie był też drugi taki. A Lorenzo służył w 5. Recce. Sześć tygodni po jego zwerbowaniu zdałem sobie sprawę, że pracuje dla wywiadu. Nie mogliśmy się go pozbyć, więc próbowaliśmy go wciągnąć. Ale bez wątplenia był informatorem.

Inni uczestnicy zamachu również wymienili Civiego Lorenzę oraz innego byłego żołnierza 5. Recce, niejakiego Bernarda de Souzê Neto. Jak wieść głosiła, w RPA owi

rzekomi informatorzy lękali się o swoje życie, dlatego choć nie istniały żadne twarde dowody ich winy, to jeden z nich uciekł do Angoli, a drugi - do Mozambiku.

Nick domagał się od Simona, by wszystkich zwerbowanych natychmiast wywozić z RPA, co pozwoliłoby uniknąć wycieków informacji. Jednak jego żądanie spotkało się z odmową, obawy zlekceważono, a Harry Carlse umieszczał ludzi w hotelu 224. Główną przyczyną, dla której ociągano się z wywiezieniem ich za granicę, był brak funduszy.

- Jak wiele tak naprawdę wiedzieli ci ludzie? - spytałem.

Wielu z aresztowanych twierdziło w sposób mniej lub bardziej przekonujący, że nawet nie mieli pojęcia, dokąd się udają.

- Biali wiedzieli wszystko. A Neves Tomas, który ściągał ludzi z Pomfretu, też musiał znać sporo szczegółów, żeby móc dobrać do tej roboty właściwych ludzi. Nikt na pokładzie nie łudził się, że czeka ich legalna praca, a już zwłaszcza po pierwszej próbie. Przedtem może niektórzy myśleli, że będą robili za ochroniarzy w Kongu.

- Wiesz - ciągnąłem - iż pojawiły się sugestie również co do Harry'ego Carlse'a oraz Louwtjie Horna, że mieli pracować dla National Intelligence. Czy to prawda?

- Nie - stwierdził stanowczo Nick. - Harry jest w porządku. Sam go wciągnąłem, a potem on wciągnął Louwtjie. Niemożliwe.

- Jesteś absolutnie pewien? Swego czasu krążyło na ten temat sporo pogłosek. Ludzie zwracali uwagę na to, że on i Louwtjie zostali zwolnieni bez wyroku.

- Harry? To niemożliwe. Po prostu nie mogli go skazać za nielegalne przekroczenie granicy tak jak innych, ponieważ przyjechał osobno. Tutaj, na miejscu, zawarł porozumienie z władzami, ale nigdy nie był agentem. Naprawdę, musiałem jego i Louwtjie namawiać, żeby się do nas przyłączyli. Z początku wcale nie byli chętni, bo interesy w Iraku przynosiły im dobre pieniądze. Ag, wiesz, wcale bym się nie zdziwił, gdyby ktoś stwierdził, że i ja pracowałem dla National Intelligence! Teraz może się wydawać, że wszyscy wciągnięci w spisek byli szpiegami. Tymczasem to zarówno Skorpiony, jak i wywiad rozpowszechniali plotki, żeby nas ze sobą skłócić. Dziel i rządź.

Mnie również nie trafiało do przekonania posądzenie, jakoby Harry Carlse i Louwtjie Horn byli informatorami. Carlse był jedyną osobą zaangażowaną w spisek, z którą Nick utrzymywał kontakty (nie licząc trzech pozostałych, zamkniętych razem z nim w więzieniu w Gwinei Równikowej). Chociaż w procesie występował jako świadek oskarżenia, to przede wszystkim - podobno - właśnie jego zeznania spowodowały, iż południowoafrykański sędzia umorzył postępowanie wobec pozostałych najemników. Horn i Carlse robili teraz interesy wspólnie z innymi ludźmi z branży, co w połączeniu z faktem, iż prokuratura w RPA

prowadziła przeciwko nim postępowanie, które w rezultacie spowodowało bankructwo firmy, stanowiło przekonujący argument na poparcie stwierdzenia wygłoszonego przez Nicka.

Mając na uwadze to, iż Nick sam przyznał, że wiedział o dekonspiracji, wciąż nie mogłem pojąć, dlaczego zdecydował się jednak działać - niezależnie od zielonego światła od Skorpionów.

- Tak, to była głupota. - Przechylił głowę na bok. - Głupotą było to, że zaufałem Simonowi. - Umilkł na chwilę, zbierając myśli. - Oraz Henriemu. Twierdzili, że jesteśmy kryci. Myślałem, że tamtym chodzi tylko o to, żeby dopaść mocodawców. Kiedy wypuścili nas z Playa Negra, spytałem Simona: „Dlaczego opowiedziałeś o wszystkim Nigelowi Morganowi?”. Odparł mi na to, że przecież rząd Republiki Południowej Afryki miał być po naszej stronie. Mogliśmy porozmawiać z Simonem przez godzinę, kiedy czekaliśmy razem, aż nas wypuszczą. Oznajmił mi, że ma papiery, które stanowią dowód na winę mocodawców oraz udział rządu RPA.

- Co to za dokumenty?

- Nie wiem. Wyjawiał tylko, że zachował wszystkie kopie i że znajdują się w bezpiecznym miejscu. A jeden z tych dokumentów jest dowodem na to, że rząd RPA wyraził zgodę na przeprowadzenie operacji.

Przez chwilę obaj w milczeniu rozmyślaliśmy o tym, jak wielce nieprawdopodobne są te słowa wygłoszone przez Simona Manna.

- Myślałem, że Simon wie, co robi. Tylko że on nie ma żadnego doświadczenia operacyjnego...

- Ale ty masz! - przerwałem mu.

- Ja, James. Można powiedzieć, że mam pewne doświadczenie operacyjne, więc z jakiej racji miałbym ufać ludziom, którzy takowego nie mają. - Zaśmiał się na myśl o tym, w jak absurdalnej pozycji się znalazł.

- Ale jest coś, czego naprawdę w żaden sposób nie mogę zrozumieć. Dlaczego, nawet skoro już zdecydowałeś się działać, nie uciekłeś, kiedy aresztowali Simona? Miałeś na to całe godziny, a do dyspozycji samolot i statek!

Znów, jak przed laty, ogarnęło mnie to samo poczucie bezsilnej desperacji. Jak mógł tak lekkomyślnie zlekceważyć niebezpieczeństwo?

Pochylił się i rozłożył dłonie.

- Myślałem, że wszystko jakoś się ułoży. Nie mieliśmy broni, żadnego wyposażenia wojskowego, żadnych kompromitujących dokumentów. Gdybyśmy zwiali, wyglądałoby to na przyznanie się do winy. - Bawił się przez chwilę pustą filiżanką po kawie stojącą przed nim

na stoliku. - To chciwość. Nic innego. Bałem się wszystko stracić, cały ten biznes, który rozkręciliśmy. - Uśmiechnął się blado i wzruszył ramionami.

- O czym jeszcze rozmawiałeś z Simonem podczas tej godziny? - spytałem.

Chętnie byłbym muchą na suficie podczas tej konwersacji.

- Jak mówiłem, pytałem go o Nigela Morgana i o Tima Romana.

Roman był amerykańskim ekspertem od spraw awiacji i logistyki. Simon razem z Carlse'em i Hornem odwiedzili go w Kinszasie, stolicy Konga, bezpośrednio przed udaniem się do Harare po broń oraz na spotkanie ludzi, którzy przylecieli boeingiem 727.

- O Romana? Dlaczego?

- Spytałem go, dlaczego się z nim spotkał, skoro wszyscy wiedzą, że facet pracuje dla Amerykanów.

- Wiedzą czy myślą?

Odniosłem wrażenie, że niemal wszystkich Amerykanów mieszkających w Kongu, a już zwłaszcza tych mających licencję pilota, podejrzewano w jakimś momencie o współpracę z wywiadem USA. Co prawda Roman był dość szczególną postacią, a przy tym bliskim przyjacielem kongijskiego przywódcy Josepha Kabili, który zatrudniał go też w charakterze prezydenckiego pilota. Oenzetowscy specjaliści zarzucali mu łamanie sankcji międzynarodowych, a to za sprawą udziału w przerzucie broni na terenie Afryki subsaharyjskiej.

- Wszyscy w tym regionie wiedzą, że facet pracuje dla Amerykanów. Nie mam pojęcia, dlaczego Simon się z nim spotkał. Nie wiedziałem, że się tam wybiera.

Nick raczej nie miał wątpliwości, ja natomiast nie mogłem w żaden sposób sprawdzić, czy się myli, czy też jego opinia na temat afiliacji Romana jest zgodna z rzeczywistością. Opowiedziałem mu o ciekawym odkryciu dotyczącym lotu maszyny numer N4610, boeinga 727, którego Simon kupił w ostatniej chwili. Spytałem Nicka, czy również uważa, że CIA maczała palce w przedsięwzięciu.

- Nie wiem, ale *ja*, to by mnie nie zdziwiło. Przebieg lotu i fakt, że w sprawę jest jakoś zamieszany Roman... To chyba wystarczy, żeby tak sądzić. Chociaż pewności nigdy mieć nie będziemy. Najprawdopodobniej tylko Simon coś wie na ten temat.

Skoro nie wiedział Nick, to moje szanse na poznanie prawdy w tym względzie spadły niemal do zera. A więc próba wyśledzenia trasy boeinga 727 okazała się bezowocna.

- W swoim zeznaniu Simon twierdzi, że odwiedził Tima Romana, żeby wystarać się o zapasowy samolot na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś problemy z boeingiem 727 - przypomniałem mu.

- *Ja*, Simon oznajmił mi, że starał się zdobyć samolot, ale sprawa została załatwiona w Ameryce. Musiało nastąpić jakieś opóźnienie, bo był gotowy dopiero na marzec. Spodziewałem się go już w lutym.

W pierwszej chwili nie całkiem zrozumiałem, co Nick mi powiedział. Sądziłem dotąd, że boeing 727 został zakupiony właśnie dlatego, że w lutym do zamachu nie doszło. Wydawało mi się, że Simon stracił zaufanie do antonowa poturbowanego po zderzeniu z gęsią i dlatego postarał się o nową maszynę.

- Użycie DC-3 to pomysł Simona. Ja nic o tym nie wiedziałem. Antonow miał przewieźć broń i zabrać ich do Kolwezi.

- I w Kolwezi broń oraz ludzie mieli zostać załadowani na pokład 727?

- *Ja*, zgadza się. Spodziewałem się boeinga, nie tych DC-3, chociaż anotonów też mógłby ich zabrać. Może przewieźć czternaście ton. Poleciliby bezpośrednio do Malabo.

Nadal nie pojmowałem sensu przystanku czy też przesiadki w Kolwezi. W dodatku czułem się niezręcznie, poruszając ten temat, gdyż podejrzewałem, że tam właśnie nastąpił początek końca całego przedsięwzięcia. Wziąłem głęboki wdech i postanowiłem zgłębić sprawę.

- Nick, powiedz mi, co dokładnie wydarzyło się w Kolwezi? Dla mnie to strasznie pogmatwane. Moglibyśmy przejść przez to krok po kroku?

- Jasne.

Wstał, wyszedł zza stolika, zajrzał do małej, otwartej kuchni.

- Simon przekazał mi, że pas startowy w Kolwezi jest wystarczająco długi, żeby mógł na nim wylądować 727 - oświadczył, oparłszy się o kontuar - ale nie bardzo mu wierzyłem. Spytałem Gerharda Merza, który stwierdził, że pas jest za krótki.

Zgodnie ze swoimi kwalifikacjami nabytymi w siłach rozpoznania Nick postąpił tak, jak powinien postąpić każdy dowódca - posłał na miejsce zwiad, żeby to sprawdzić. Do tej jakże istotnej misji Nick wyznaczył dwóch najlepszych ze swoich ludzi: Simona Witherspoona (byłego agenta sił specjalnych, który najpierw służył w 1. Recce, później w 5. Recce z Nickiem, następnie zaś pracował jako najemnik dla Executive Outcomes, a potem jeszcze dla innej firmy wojskowej na rzecz rządu USA w Afryce Zachodniej) oraz Kashamę Mazangę (byłego żołnierza 5. Recce i byłego kontraktowca EO, który był w stanie porozumiewać się lokalnym narzeczem języka kikongo używanym w Kolwezi). Dołączył do nich trzeci: tajemniczy Abu Baker.

- Znaleźli się na lotnisku, ale nie zmierz yli pasa. Simon, Mazanga i Abu wypy tali tylko pracujących tam ludzi, czy lądowisko nadaje się dla boeinga.

Nick utrzymywał z nimi kontakt przez telefon satelitarny. Witherspoon i Mazanga stwierdzili zgodnie, że pas jest za krótki dla boeinga 727, i przekazali tę wiadomość Nickowi.

- A więc starali się ustalić, czy lądowisko jest odpowiednio długie dla samolotu, który w rzeczywistości nie został użyty?

- *Ja*, zgadza się. Zaszło w tym względzie drobne nieporozumienie.

- Ale wybraliście Kolwezi właśnie ze względu na Abu?

- *Ja*, i to się zgadza - uśmiechnął się. Miałem wrażenie, jakbym z trudem odnajdywał brakujące kawałki jakiejś ogromnej układanki. - Udaliśmy się tam z powodu Abu, ale lotnisko wybrał Simon.

- W porządku, ale nawet jeśli pas był za krótki dla 727, to nadawałby się dla DC-3 i dla antonowa?

- Przypuszczalnie, ale nic nie wiedziałem o tych DC-3.

- No tak. A to drugie zamówienie na amunicję od ZDI było przeznaczone dla ludzi Abu, czyli dla PDD, w Kolwezi? Mieli opanować lotnisko, tak?

- *Ja*, taki był plan - potwierdził Nick. - Ale ludzie, którzy mieli zneutralizować ochronę lotniska, nie zrobili tego. Zresztą miała to być operacja o pokojowym przebiegu, Abu zapewniał nas, że wszyscy są po jego stronie. Nie wiem nawet, czy się pokazali, czy nie. Mazanga zorientował się, że z lotniskiem coś jest nie w porządku.

„Setki” powstańców, o których istnieniu zapewniał Abu, jakoś się nie pokazywały. W końcu natrafili na zaledwie dziesięciu lekko uzbrojonych mężczyzn. Mazanga prowadził z nimi rozmowy, w pewnym momencie zagroził, że jeśli nie opanują lotniska, to operacja zostanie odwołana. Ludzie Abu w odpowiedzi uwięzili nieuzbrojonego Witherspoona i Mazangę w areszcie domowym. Witherspoon, który chciał się natychmiast wycofać, zatelefonował do Nicka i poinformował go o wszystkim w afrikaans.

- Powiedziałem mu, żeby stamtąd wiał - rzekł Nick - więc dali nogę, gdy nadarzyła się okazja.

Co prawda nie tak łatwo było się wymknąć. Witherspoon i Mazanga nie dysponowali własnym środkiem transportu. Kiedy udało im się wreszcie zmylić czujność strażników, wsiedli do taksówki i namówili kierowcę, by zgodził się odwieźć ich do Zambii. Oznaczało to całonocną podróż z licznymi blokadami policyjnymi po drodze.

Pragnąłem dowiedzieć się czegoś więcej o PDD: jeśli nie liczyć teczek Nicka, nie udało mi się nigdzie znaleźć żadnych informacji o tym ugrupowaniu. Wyjaśniłem Nickowi, że widziałem kontrakt na koncesje wydobywcze i wsparcie wojskowe podpisany przez Abu w imieniu PDD. Jakimś sposobem oskarżyciel w procesie Nicka również zdołał dostać kopię

tego dokumentu.

- Nazwa została wymyślona spontanicznie. Kiedy podpisywałem z nim tę umowę, powiedziałem: „Musisz mieć jakąś nazwę dla swojej organizacji”, wybrał właśnie taką. Chodziło o to, żeby wszystko wyglądało bardziej oficjalnie.

Czyli PDD po prostu nie istniała.

- A kim właściwie jest Abu? - spytałem.

W odpowiedzi usłyszałem od Nicka, że Abu jest obywatelem Konga, który mieszkał w Durbanie, stolicy południowoafrykańskiej prowincji KwaZulu-Natal. Jego siostra pracowała w ambasadzie kongijskiej w Pretorii i załatwiła im wizy. Abu podawał się za wpływową postać wśród ugrupowań partyzanckich działających na zachodzie i w centrum Konga oraz bojowników o niepodległość prowincji Katanga w południowym Kongu; twierdził również, że zna się na górnictwie i że pozostaje w dobrych stosunkach z prezydentem kraju, Josephem Kabilą. Jedno przeczyło drugiemu, nic nie trzymało się kupy. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tych dziesięciu ludzi, których spotkał Witherspoon, najzwyczajniej w świecie zamierzało odsprzedać amunicję pozyskaną od Nicka.

- Abu zapewniał, że w Kolwezi czekają całe stopy złota zwiezione z różnych miejsc w okolicy. Umówiłem się z nim, że wywożę je, pobierając przy tym dwadzieścia procent prowizji od wartości towaru. To była dodatkowa sprawa. Przede wszystkim chodziło o Gwineę Równikową. Kolwezi miało drugorzędne znaczenie.

Złoto miało stanowić produkt uboczny nielegalnego wydobycia uranu. Abu twierdził (co zdawało się wiarygodne), że parają się tym Koreańczycy z Korei Północnej. Nick udał się z tą informacją do amerykańskiego attaché wojskowego w Pretorii, pułkownika Clarence'a D. Smitha. Być może stąd do Franka dotarła wiadomość o operacji w Kongu. Abu wiedział także o spisku dotyczącym Gwinei Równikowej.

- Skorpiony uważają, że Abu był zamieszany we współpracę z National Intelligence Agency...

Nick nie mógł jednak uwierzyć, żeby Abu był informatorem. Naciągaczem, być może, ale nie donosicielem.

- Nie, nieprawda. Nie wydaje mi się. Spotykał się ze mną otwarcie, nigdy nie próbował się ukrywać. Nie wierzę, żeby tak było.

Niezależnie od przesłanek powodujących Abu - moim zdaniem, sprowadzały się one do zwykłej chęci zarobku - konsekwencje jego udziału pozostają jednoznaczne: z jego przyczyny pierwsza próba dokonania przewrotu z 19 lutego 2004 roku była nieodwołalnie skazana na niepowodzenie. Natomiast co do drugiej próby, jedyną szansę na jej sukces dałoby

natychmiastowe wywiezienie wszystkich najemników i zakwaterowanie ich poza Republiką Południowej Afryki. Być może w ten sposób udałooby się powstrzymać przecieki informacyjne, które teraz przybrały już postać rwącego potoku, oraz utrudnić Republice Południowej Afryki wykonanie w sobotę 6 marca decydującego ruchu, który udaremnił całe przedsięwzięcie. Jednak szansę tę zaprzepaszczono. Po fatalnym niepowodzeniu w Kolwezi powrót do hotelu 224, a następnie wylot boeingiem do Harare zapewnił Nigelowi Morganowi oraz innym informatorom możliwość łatwego i skutecznego pokrzyżowania planów spiskowców. Nick nawet nie próbował uzmysłwić sobie, jak wielkie znaczenie miała spalona na panewce akcja w Katandze. Te sprawy już przestały się dla niego liczyć; bądź co bądź spędził długie miesiące i lata na rozważaniach typu „co by było, gdyby...”, dlatego nietrudno mi było zrozumieć, że nie ma już zbyt wielkiej chęci, by roztrząsać i oceniać własne dawne decyzje.

- Dlaczego - nie dawałem za wygraną - po Kolwezi nie wycofałeś się z interesu?

Nick westchnął i się uśmiechnął.

- Teraz, kiedy wszystko stało się już jasne, łatwo ci mówić. Podejmowanie decyzji na bieżąco było o wiele trudniejsze. Na ile się dało, próbowałem opóźnić całą akcję. Simon chciał zorganizować następną próbę już po tygodniu, ale powiedziałem mu wyraźnie, że musimy odczekać co najmniej trzy miesiące, zanim znów wystartujemy. Nie chciał mnie słuchać, może z powodu nacisków ze strony jego mocodawców. Wtedy chciałem się wycofać, ale biznes się rozkręcał, poza tym Simon przekonał mnie, że mamy wsparcie i zgodę Republiki Południowej Afryki, rządu brytyjskiego, Hiszpanów i Amerykanów. - Nick wzruszył ramionami. - Biorąc też pod uwagę to, co usłyszałem od Henriego, postanowiłem w końcu brnąć w to dalej. James, rząd RPA nawet nie kiwnął palcem po naszej pierwszej próbie. A przecież wiedzieli już o wszystkim. - Umilkł na chwilę, po czym powtórzył to samo, co Simon głosił jeszcze w więzieniu: - Uznałem to za sygnał z ich strony, zachętę do dalszego działania.

Miałem też pytanie o charakterze osobistym i bardzo mi zależało, żeby usłyszeć odpowiedź Nicka. Otóż w ciągu tygodni i miesięcy, które upłynęły po jego aresztowaniu, z pewnego względu narastała we mnie złość, złość na niego. W miarę, gdy wychodziło na jaw, jak straszliwą i nieudolną fuszerką był cały ów spisek, coraz bardziej miałem mu za złe, że chciał mnie w tę historię wplątać.

- Powiedz mi szczerze - poprosiłem - czy po przeniesieniu bazy wypadkowej z Konakry do RPA naprawdę dalej chciałeś, żebym zrobił film o przewrocie, tak jak o tym rozmawialiśmy?

- Tak. - Umilkł na chwilę, zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie, przywołując dawno już minioną przeszłość. - Tak. Z początku plan był taki, żebyś przyjechał razem z głównymi siłami, lecz w miarę rozwoju sytuacji doszedłem do wniosku, że może lepiej będzie, jeśli przylecisz z nowym prezydentem. Natomiast pierwotny plan zdecydowanie przewidywał, żebyś od samego początku towarzyszył grupie uderzeniowej.

To denerwujące, słuchać alternatywnej wersji własnego losu, zmartwychwstałej z kazamatów Playa Negra.

- Rozmawiałem o tym z Simonem w RPA i potem zorganizowaliśmy twoje spotkanie z nim w Paryżu. Simon uważał, że to świetny pomysł i że koniecznie trzeba informować cię na bieżąco o naszych planach.

- Ale kiedy dzwoniłem do ciebie i spytałem o numer Simona, powiedziałaś, że nie masz jego telefonu. Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie chciałem, żebyś się z nim kontaktował. Zrozum, James. Akcja nie została zaplanowana jak należy. Co innego, gdyby wszystko przebiegało we właściwy sposób, wtedy jasne, sprawa wyglądałaby inaczej. Jednak nie, w ogóle nie powinno dojść do próby zamachu. Zrobiłem to, żeby cię chronić.

Nie byłem pewien, czy fakt, że zadbał o moje bezpieczeństwo bardziej niż o bezpieczeństwo swojego szwagra, powinien mi pochlebiać, czy raczej napawać grozą.

- Zawsze uważałem, że tak naprawdę ocalił mnie mój dziadek. Czy to prawda? Czy gdyby nie umarł, także wylądowałbym w więzieniu?

Nick uśmiechnął się, nim odpowiedział.

- Dbam o swoich przyjaciół - odparł. - Nie zawsze jestem aż takim strasznym skurwysynem.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie. Jakikolwiek plany snuł wobec mnie, i choćby nawet źle się miały skończyć, wcale nie uważałem go za skurwysyna. Zdecydowałem się na podjęcie ryzyka. Moja złość, jeśli była to złość, wynikała raczej z zawstydzenia, bo dawno już pogodziłem się z faktem, iż w gruncie rzeczy zazdrościłem mu także tego, że został aresztowany.

- A teraz, panie Brabazon - oświadczył, wymawiając z naciskiem wszystkie trzy sylaby mojego nazwiska - zająłbym się bekonem, który panie dla nas zostawiły oraz... - otworzył drzwi lodówki i zajrzał do środka. - O, proszę, są też jajka... Oho, świetnie, znalazłem kielbaski.

- Wyśmienicie. Zrobię nam herbaty i kawy. A poza tym... - Sięgnąłem do torby po rzeczy, które mu tego dnia przyniosłem. - Mam dla ciebie trochę nerkowców. - Wręczyłem

mu torbę jego ulubionych orzeszków. - Możemy je pogryzać przed telewizorem.

Pokazałem mu nasz pierwszy film z Liberii, którego Nick nigdy nie widział: *A Journey Without Maps*.

Straciłem już rachubę, ile razy oglądałem, jak Deku rozstrzeliwuje jeńca, jak Kali Katigo z Kenemy patroszy ciało człowieka przed chwilą zakatowanego na śmierć. Nick oglądał te wydarzenia dopiero po raz drugi, za pierwszym razem widział je na żywo, siedem i pół roku wcześniej. Trzydzieści minut walk przeplatanych wywiadami i mordem przewinęło się na ekranie telewizora stojącego w hallu na piętrze małego domu. Marzaan przyłączyła się do nas. Krzywiłem się, widząc, jak nieudolnie zbudowałem tę historię, jak topornie zmontowano film. Z technicznego punktu widzenia - najgorszy, jaki zrobiłem. I nadal jest to film, z którego jestem najbardziej dumny.

Oglądać go wtedy, w towarzystwie Nicka, to było coś szczególnego. Tak jakbym wstrzymał oddech na prawie sześć lat. Sytuacja w Liberii bardzo się zmieniła. Zakończyła się epoka korupcyjnego rządu przejściowego. Prezydentem kraju została Ellen Johnson-Sirleaf, przywódczyni wybrana w prawdziwych demokratycznych wyborach, a zarazem pierwsza w Afryce kobieta prezydent. Pozostawiające wiele do życzenia prace Komisji Prawdy i Pojednania zaowocowały niedoskonałymi rozwiązaniami historycznych konfliktów, lecz przynajmniej Charles Taylor, schwytyany podczas ucieczki do Nigerii, miał właśnie odpowiedzieć za zbrodnie wojenne przed trybunałem w Hadze. W Liberii, która ukonstytuowała się po zakończeniu starć, kampania LURD przeciw Taylorowi była teraz uznawana najczęściej za krwawą jatkę lub w najlepszym razie walkę jej przywódców o własne interesy - opinia publiczna w kraju nie doceniła kluczowej roli odegranej przez LURD w położeniu kresu dyktaturze Taylora. Tymczasem bez takich ludzi jak Cobra, Deku, Dragon Master i dowodzeni przez nich powstańcy do wolnych wyborów nigdy by nie doszło i Sirleaf nie miałaby szans na prezydenturę.

Nie tylko były prezydent stanął przed sądem. Wystąpiłem w charakterze świadka oskarżenia podczas procesu Guusa van Kouwenhovena, holenderskiego obywatela oskarżonego o przemyt broni dla Taylora w zamian za prawo do wyrębu lasów. W 2006 roku został on skazany za złamanie embarga na dostawy broni nałożonego przez ONZ, a dopomogły w tym dowody dostarczone przeze mnie i Nicka. Van Kouwenhoven wyszedł na wolność po rozprawie apelacyjnej w 2008 roku.

Cieszyłem się, że Liberia kroczy do przodu, a przy tym uczestniczy we wprowadzaniu w życie prawa międzynarodowego. Nigdy nie przestałem się interesować dalszym ciągiem jej historii. Dopóki Nick przebywał za kratami, część tych doświadczeń pozostawała razem z

nim w więzieniu, jak nieodwołalnie zamknięta przeszłość. Teraz, gdy wyszedł na wolność, minione wydarzenia powróciły, również zostały uwolnione.

- Widzisz, tym właśnie zajmowaliśmy się z twoim ojcem dawno temu - powiedziałem do Marzaan, gdy na ekranie pojawiły się napisy. - Miałś wtedy zaledwie dziewięć lat.

- Coś okropnego - stwierdziła. - Nigdy więcej nie pozwolę tatusiowi wyjechać.

- *Ja*, cóż. To były czasy. - Nick zdjął wielkie dłonie ze spiczastych, wychudłych kolan.

- Fajnie było to zobaczyć po tylu latach. Masz jakieś inne?

Wręczyłem Nickowi cały stos filmów, które nakręciłem w czasie, kiedy on siedział w więzieniu. Przejrzał płyty, jakby tasował przerośnięte karty do gry, czytając tytuły.

- Wiesz, kiedy cię aresztowali, o niczym innym nie mogłem myśleć. - Ruchem głowy wskazałem telewizor, miałem na myśli okrucieństwo i przemoc, które chwilę wcześniej gościły na ekranie. - Nie wierzyłem, że dojdzie do procesu. Obawiałem się, że natychmiast was wszystkich rozstrzelają.

Marzaan spuściła wzrok, położyła dłoń na ramieniu ojca.

- Jak właściwie przebiegło wasze aresztowanie?

- O ósmej rano następnego dnia po zatrzymaniu Simona przyszedł do naszego domu Antonio Javier.

Javier był ministrem, z którym Nick robił interesy. Zabrał im wszystkim paszporty, rzekomo w celu „rutynowej kontroli”, po czym usiadł i obejrzał razem z nimi mecz rugby. Po godzinie zabrał Nicka na komisariat, gdzie Nick został aresztowany. Na posterunku spotkał jednego ze swoich ludzi, George’a Alersona. Nick przypomniał Alersonowi, że mają trzymać się uzgodnionych wersji, a potem zaczęło się przesłuchanie. Kajdanki zaciśnięto tak mocno, że dłonie Nicka spuchły jak balony; bili go po twarzy, powiedzieli mu, że Simona aresztowano. Cardoso i Boonzaier zostali razem poddani torturom: związani i zawieszani na drągu, przystawiano im lufy do głów, rażono prądem, bito kolbami. Nick powiedział, że kiedy wyznali to, co wiedzieli, on wystąpił przed kamerami telewizji, wymieniając wszystkie szczegóły w zeznaniu wymuszonym przez oprawców.

- Dziewiątego marca zabrali nas do Playa Negra. Wtedy założyli mi okowy na nogi. Nie mieli takich prawdziwych kajdan na nogi, więc posłużyli się zwykłymi kajdankami. Wiesz, są za małe, żeby objąć kostkę, więc wzięli młotek i zaczęli je przybijać, żeby się zamknęły, aż żelazo wbiło się na dwie trzecie szerokości w piszczel.

Nick przesunął kciukiem po miejscu na nodze, w którym miał skórę rozciętą do kości. Pozostała tam głęboka blizna.

- Trzymali nas osobno. Ja znalazłem się w celi śmierci, w izolatce, gdzie panowała

całkowita ciemność. Człowieku, coś straszego. W ogóle nie było światła, żadnych okien, tylko mały otwór wentylacyjny w suficie, ale zakryty dachem.

Światło wpadało do jego celi tylko wtedy, gdy otwierały się drzwi. Nick spał na nagiej, kamiennej podłodze w pomieszczeniu o rozmiarach dwa na półtora metra. Przez pierwsze pięć dni nie dostawali posiłków. Potem strażnicy siłą zmuszali ich do jedzenia. Następnie zostawiali pożywienie niewidoczne w ciemnościach, dobierały się do niego szczury, pożerały je i oddawały na nie mocz, biegały swobodnie po celi. Zachorowania na dur brzuszny były na porządku dziennym. Nick załatwiał się tam, gdzie leżał, z rękami skutymi za plecami, nieustannie w kajdanach na nogach. Nie był w stanie wstać. Wodę zostawiano mu w zakręconej plastikowej butelce. Otwierał ją zębami, szarpiąc się i wiercąc tak długo, aż udawało mu się ją odemknąć.

Ból w rękach był obezwładniający. Paznokieć u nogi został zdarty podczas codziennych przesłuchań; paznokcie u rąk pękały i schodziły. Kopano go, bito pięściami i chłostano; rany uległy zakażeniu, oczy zasklepiły się od strupów. Nocami szczury próbowały dobierać się do jego ran, wyrzywały kawałki ciała innych więźniów.

- Musieli dosłownie zerwać to świństwo z moich oczu - wspominał.

W końcu wyszorowali go, nagiego, publicznie. Po ponad dwóch tygodniach dostał do celi brudny materac, choć strażnicy uważali, że to zbędne. „Siedzisz w celi śmierci” - powtarzali.

Marzaan wstała cicho, żeby zaparzyć herbaty.

- Dlaczego cię nie zastrzelili? - spytałem.

- To była decyzja polityczna - wyraził swoje przypuszczenie. - Ocaliło nas tylko zainteresowanie ze strony RPA. Bardzo się bałem, że stanę przed plutonem egzekucyjnym.

Opowiadał o tym rzeczowo i bez emocji, lecz widmo wymierzonych weń karabinów było bardzo bliskie urzeczywistnienia. Gdy zmarł Gerhard Merz, jak powiedziano Nickowi, strażnicy po prostu wzruszyli ramionami i wrzucili jego ciało do wspólnej celi, w której trzymano pozostałych. Groźba nagłej śmierci nie malała. Co tydzień przez sześć tygodni poddawano go pozorowanym egzekucjom.

- Czasem facet był tak pijany, że pistolet wypadał mu z ręki. Inni musieli go podtrzymywać. Czasami trwało to ze czterdzieści minut. Musiałem panować nad sobą i zachowywać się uprzejmie. Jeden błąd i... - urwał. - *Ja*. Trzymali mnie w tej celi przez osiem tygodni. Ręce miałem skute za plecami przez trzy czy cztery miesiące, aż do procesu. Kiedy zdejmowali kajdanki z nóg, musieli je rozcinać za pomocą młotka i dłuta. Skórę na nadgarstkach też miałem otartą do kości, zamek w kajdankach zardzewiał od krwi i ropy.

Aż do rozpoczęcia procesu przesłuchiowano go niemal codziennie. Zeznawał też przed przedstawicielami Central Intelligence Organisation z Zimbabwe, którzy następnie przeinaczyli jego słowa, tak żeby wszystko zgadzało się z wyznaniem Simona. W połowie procesu obrońca Nicka został zabity.

- Jednego dnia był z nami, zdrów jak ryba, i namawiał nas, żebyśmy wszystkiemu zaprzeczali, a dzień potem powiedziano nam, że „zmarł na malarię”.

Pozostali zdani tylko na siebie. Choć nie skazano ich na śmierć, to większość więźniów była jej bliska.

- Wszyscy chorowaliśmy na malarię mózgową. Przeszedłem ją sześć razy. W nowym więzieniu, w marcu 2008 roku, pięć dni przeleżałem w śpiączce.

Przypomniał mi się mój drugi dziadek, Martin, weteran z dżungli i niedoszły najemnik, który podczas ostrego ataku malarii odebrał w Birmie ostatnie namaszczenie.

- Przyszli po mojego trupa - Nick wzruszył ramionami - ale ja wciąż żyłem. Nie wiem, jakim cudem, ale ocknąłem się, na co oni stwierdzili: „*Fok*, trzeba mu dać jakieś lekarstwo”, po czym dostałem leki podarowane przez konsulat RPA. *Ja*, mało brakowało.

Robiło się późno. Znowu przegadaliśmy całe godziny. Słyszałem, jak na dole córka Nicka krząta się w kuchni. Lata spędzone w więzieniu, tortury, malaria, która omal go nie zabiła - to tylko fizyczny aspekt odbywanej kary. Konsekwencje niedoszętego przewrotu miał odczuć najboleśniej tutaj, we własnym domu. Nick spędził w więzieniu i przedtem, knując w Gwinei Równikowej, ponad trzecią część życia swojej córki. Jego małżeństwo uległo rozpadowi - być może w sposób nieodwracalny. Stał się postacią powszechnie znaną w RPA, i to w najgorszym sensie, co pośród innych niedogodności oznaczało niemożność uzyskania jakiegokolwiek pracy. Mimo że go ułaskawiono, ciążyło nad nim dożywocie.

W październiku 2006 roku Nicka oraz pozostałych więźniów, przetrzymywanych dotąd w celach zbudowanych jeszcze za czasów kolonialnych przez Hiszpanów, przeniesiono do nowo wybudowanego skrzydła więzienia. Choć teraz miał do dyspozycji bieżącą zimną wodę i toaletę w swojej celi (wyposażonej również w działającą na podczerwień kamerę rejestrującą każdy jego ruch), pozostawał w całkowitym odosobnieniu przez ponad cztery lata. W sumie spędził w Playa Negra pięć lat i osiem miesięcy. Czytał Biblię, coraz wyraźniej przemawiała do niego zawarta w niej obietnica zbawienia.

- Już po procesie, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie czeka mnie śmierć, lecz długi wyrok, zauważyłem, że zachodzi we mnie zmiana, że z wolna kształtuje się we mnie prawdziwa, głęboka wiara w Boga. Kiedy strażnicy nie nasłuchiwali, czytaliśmy sobie wzajemnie wersety Biblii przez drzwi cel. W ten sposób wspieraliśmy się wzajemnie, tak

umacniała się nasza wiara.

Niewiele mu pozostało prócz tej pociechy, lecz przy życiu utrzymywały go także cechy charakteru nabyte podczas służby wojskowej.

- Jeśli ktoś przeszedł tak ostrą selekcję jak ja, kiedy przyjmowali mnie do Recces, to pozostaje uwarunkowany na przeżycie. W duchu byłem mocny. I to zawdzięczam służbie w siłach specjalnych.

Przez trzy i pół roku miał skute ręce i nogi. Przez ostatnie dwadzieścia miesięcy więzienia zdejmowano mu kajdany z nóg, kiedy przebywał w swojej celi. Ręce miał zakute w kajdanki niemal nieustannie, skończyło się to dopiero na dwa tygodnie przed uwolnieniem. Jego dieta pozostała niezmieniona.

- Z początku karmili nas jak psy. Potem zaczęli przynosić jakieś obrzydliwe breje. Naprawdę, James, w porównaniu z nimi ryż i zielsko, którym zajadaliśmy się w Liberii, to były wyszukane przysmaki.

Nick oraz trzech pozostali więźniowie z RPA odżywiali się głównie ryżem, suchym chlebem oraz niekiedy dorzucanymi ochłapami w postaci kawałka ryby, chrząstek z kurczaka albo świńskiego ogona. Po upływie trzech lat Nick przestał jeść ryż.

- To nie był taki ryż, jaki znamy, tylko rozgnieciony, zmieszany ze żwirem i kamykami. Miałem już dość. Powiedziałem: „Nie mogę już zreć tego gówna”. I koniec.

Stracił trzydzieści siedem kilogramów, niemal czterdzieści procent wagi ciała.

Czas mijał, uwalniano kolejnych ludzi aresztowanych razem z Nickiem. Niektórych z powodów zdrowotnych, innych ze względów na polityczną koniunkturę. Kwestia łaski dla niego i pozostałych wydawała się skrajnie odległa.

- A potem prokurator generalny w marcu stwierdził, że toczą się z rządem Republiki Południowej Afryki rozmowy o uwolnieniu. Naprawdę nie mogliśmy się doczekać, aż do władzy dojdzie Zuma. Obiang i Mbeki kiepsko się dogadywali. Ale i tak nigdy nie spodziewaliśmy się ułaskawienia. Mielśmy tylko nadzieję, że może w ramach ekstradycji przetransportują nas do RPA i tam odsiedzimy resztę wyroku. Gdyby nie Zuma, nigdy nie wyszlibyśmy na wolność. I gdyby nie on, najprawdopodobniej Simon też by nie wyszedł.

Wstaliśmy, zeszliśmy po schodkach do kuchni na dole. Marzaan zaparzyła herbatę rooibos i mocną kawę rozpuszczalną - napój, do którego Nick przyzwyczał się w Malabo.

- Na pewno o tym wiesz - powiedziałem mu - ale Simon twierdzi, że w Playa Negra czuł się raczej gościem, nie więźniem. Odnoszę wrażenie, że wasze doświadczenia zupełnie się różnią pod tym względem.

- Oczywiście. - Nick uśmiechnął się nad kubkiem kawy. - Jest bogaty. Miał w celi

bieżnię, dostawał wino do posiłków. Co prawda nie wiem, jak traktowali go w Zimbabwie. Chyba nie było mu tak dobrze. Ag, wiesz, wszyscy mogliśmy trafić gorzej. Są na świecie takie więzienia, z których nie wyszlibyśmy żywi.

Zdumiewająca wielkoduszność. Zacząłem się zastanawiać, czy Nick ma cokolwiek komukolwiek za złe.

- Wszyscy spodziewają się teraz, że będziesz szukać zemsty, że spróbujesz uzyskać coś od Simona - oznajmiłem. - Przynajmniej tak twierdzi prasa.

Uśmiechnął się.

- Nie, nie mam do Simona pretensji. Życzę mu jak najlepiej. Obaj byliśmy zawodowcami. Po prostu nie wyszło. Tak się zdarza. I lepiej się stało, że nie wyszło.

- Nick, zadam ci dziwne pytanie... - Starąłem się pozbierać myśli. - Powiedz mi, czy cieszysz się, że odsiedziałeś te sześć lat? Że powędrowałeś do więzienia?

Odpowiedział bez wahania.

- Tak. Jasne, dalekie to było od ideału. Jednak gdybym nie wylądował w więzieniu, nie zmieniłbym się, żyłbym dalej tak samo. A to oznacza, że najprawdopodobniej teraz nie byłoby mnie pośród żywych.

Popijał łyżkami gorącą kawę. Nie pamiętałem już, jak wyglądał Nick, zanim go aresztowano. Tak jakby zawsze był tym człowiekiem, którego widziałem przed sobą. Choć z drugiej strony, trochę przypominał mi uczniaka w mundurku, jeszcze zbyt nowym i nie całkiem dopasowanym. A przecież nim doszło do próby przewrotu, był tryskającym zdrowiem, doskonale wyszkolonym żołnierzem mającym nieco ponad czterdziestkę, a przy tym gotowym w razie potrzeby zdobywać z bronią w ręku pałac prezydencki.

- Dzięki Bogu, że nie zabiliśmy i nie zraniliśmy nikogo - odezwał się, mając na myśli planowaną operację. - Próbowaliśmy dokonać czegoś, co było niesłuszne. Zupełnie, ale to zupełnie niesłuszne. Czegoś, co wynikało z chciwości i próżności.

- Czyli to dobrze, że samolot nie wylądował w Malabo - odpowiedziałem.

- Tak. Bo najprawdopodobniej odnieśliśmy sukces. Oni nie byli tam przygotowani na nic takiego, chociaż niby wiedzieli, co ma nastąpić. - Spojrzał na mnie. - Dysponowaliśmy sporą siłą ognia. Siedemdziesięciu facetów, oddział uderzeniowy, który nie boi się niczego. Zginęłoby mnóstwo ludzi.

Umilkł na chwilę, zamyślił się.

- Ale to już przeszłość. Chcę iść do przodu, zostawić to wszystko za sobą. Pogodziłem się ze szwagrem, a także z kolegami, którzy też siedzieli w Gwinei Równikowej. Simon również musi odbudować swoje życie. Wszyscy musimy.

Zdaniem Nicka z tej próby zagarnięcia milionów Obianga jednak wynikło coś pozytywnego. Przed owym nieudanym zamachem większość ludzi na Zachodzie, jeśli nie liczyć nafciarzy, nawet nie zdawała sobie sprawy z istnienia Gwinei Równikowej. Spiskowcom całkiem niechcący udało się sprawić, że tamtejszym reżimem zainteresowały się międzynarodowe środki masowego przekazu. Opinia publiczna ujrzała gabinet strachów Obianga w bezlitosnym świetle jupiterów.

- Sytuacja zaczęła ulegać poprawie - mówił dalej Nick, popijając w przerwach kawę - ale nim dojdzie do ustanowienia demokracji oraz wolnych, uczciwych wyborów, ten kraj wciąż jeszcze ma przed sobą długą drogę. Nie mieliśmy prawa ingerować w boże plany dotyczące Gwinei Równikowej, choć może udało nam się nieco poprawić los żyjących tam ludzi. Powinno się to dziać bez użycia przemocy, jednak jeśli Afryka ma stać się lepszym miejscem, musi pozbyć się dyktatorów.

Na nocnym niebie gromadziły się burzowe chmury. Letnie noce w Pretorii to istny spektakl światła oraz dźwięku. Nadszedł czas, żebym wracał do hotelu. Snuliśmy plany na nadchodzące tygodnie: trzeba było naprawić kilka samochodów, znaleźć pracę, zbliżał się ślub pasierbicy Nicka - doczesne i cudowne przejawy przyszłości ocalonej przed powolnym umieraniem w więzieniu. Uścisnęliśmy sobie dłonie, życzyłem dobrej nocy mojemu przyjacielowi najemnikowi.

- Wiesz - sprostował - powinieneś raczej powiedzieć „byłemu najemnikowi”.

Podziękowania

Napisanie książki *Mój przyjaciel najemnik* było możliwe tylko dzięki pomocy, wsparciu i zachętom ze strony rodziny, przyjaciół oraz kolegów, którym jestem głęboko wdzięczny. Wszelkie błędy faktograficzne czy interpretacyjne pozostają wyłącznie moją winą.

John Nimly Brownell, przewodniczący European Federation of Liberian Associations (EFLA), udzielił mi wskazówek co do odtworzenia w piśmie liberyjskiej wymowy języka angielskiego. Gdy okazywało się to absolutnie niezbędne dla zrozumienia wypowiedzi, poczyniłem pewne zmiany w jego zapisie.

Cobusowi Claassensowi zawdzięczam cenne uwagi oraz wyjaśnienia dotyczące działań Executive Outcomes w Sierra Leone. Frank uzupełnił je z właściwym sobie poczuciem humoru oraz precyzją.

Bez profesjonalnej pomocy Tima Hetheringtona nie zdołałbym sfilmować szturm na Monrowię, gdyby nie jego lojalność i przyjaźń, nie poradziłbym sobie z osobistymi rozterkami będącymi następstwem tamtych przeżyć. Co więcej, jego pomoc przy realizacji niniejszego projektu, włączając w to udostępnienie mi swoich notatek oraz archiwum fotograficznego, nadzwyczaj ułatwiła mi pracę.

Carla Garapedian poczyniła wiele istotnych uwag co do strony formalnej tych wspomnień, a przede wszystkim powiedziała mi, „żebym przestał o tym myśleć, a zabrał się do pisania”. Dziękuję Carli za udostępnienie mi notatek z czasów naszego wspólnego dochodzenia w latach 2004-2005.

Mam dług wdzięczności wobec Chrisa Yatesa, analityka i specjalisty do spraw awiacji z IHS James and Principal of Yates Consulting, za pouczające wnioski, jakie wypływają z jego wnikliwych badań dotyczących maszyny noszącej numer rejestracyjny N4610; wobec Kevina A. O'Briena z Department of War Studies na londyńskim King's College - za interesującą analizę roli odegranej przez wojska specjalne w Siłach Zbrojnych RPA; wobec Khadiji Magardie, która spędziła wiele godzin nad moim rękopisem, nie szczędząc konstruktywnej krytyki; a także wobec Juliana Rademeyera z Media 24 w RPA za odpowiedzi na całą lawinę pytań oraz za jego zawodową rzetelność i wyrozumiałość.

Samowi Kileyowi zawdzięczam cenne komentarze oraz objaśnienia wygłoszone z właściwą mu przenikliwością i otwartością. Jestem też wdzięczny za rolę, jaką odegrał w uzyskaniu przeze mnie zlecenia na nakręcenie filmu *My Friend the Mercenary*.

Jonathan Kaplan służył mi bardzo potrzebną pomocą przy napisaniu tej książki, a także artykułu, dzięki któremu powstała. Szczególnie jestem mu wdzięczny za błyskotliwe wyjaśnienie mechanizmów związanych z funkcjonowaniem błędnych danych wywiadowczych (Bad Intelligence); zjawisko to przewija się tu i ówdzie w mojej książce.

Andrew Mueller przy wielu okazjach nie szczędził przydatnych rad, całymi godzinami podnosił mnie na duchu, zwłaszcza omawiając ze mną jakże pilną i istotną kwestię: „Co właściwie miałyby się nie udać?”.

Aidan Hartley, towarzysz tak wielu wypraw, które nastąpiły po wydarzeniach opisanych w tej książce, doradził mi, jak stawiać pierwsze kroki w świecie wydawniczym. Mat Smith, były redaktor magazynu „Arena”, zamówił artykuł stanowiący załączek niniejszej pracy. Piersowi Hernu zawdzięczam zlecenie, na mocy którego pojechałem do Sierra Leone, co zapoczątkowało całą przygodę. Chciałbym też podziękować Peterowi Osborne’owi za zachętę do opisanie mojej liberyjskiej wyprawy, wyrażam również szczerą wdzięczność Dominikowi Prince’owi za wysiłek, jaki włożył w to, abym uzyskał zamówienie na tę książkę.

Jestem wdzięczny Timowi Butcherowi, któremu nieobce są przeciwności, jakie napotyka się podczas pracy w Liberii.

Chciałbym też podziękować Patrickowi Smithowi, Adamowi Robertsowi, Anne-Marie Dias Borges, Nicholasowi Waltonowi oraz Patrickowi Wellsowi.

Mei-Ling McNamara okazała się najlepszą researcherką, jaką mógłbym sobie wymarzyć. Często zdumiewała mnie jej cierpliwość, imponowała skuteczność działania; jestem głęboko wdzięczny za jej ciężką pracę.

Chciałbym podziękować ludziom z Channel 4 oraz Quick-silver Media: Eamonnowi Matthewsowi, Siobhanowi Sinnertonowi, Evanowi Williamsowi, Edowi Wattsowi, Edowi Bramanowi i Kevinowi Sutcliffe’owi za ich pomoc i przyjaźń. Dziękuję także Tinie Carr oraz Rory Peck Trust za ich nieustające wsparcie.

Niniejsza książka opiera się w znacznym stopniu na informacjach zgromadzonych podczas wypraw filmowych z lat 2002-2005. Dziękuję wszystkim, za sprawą których realizacja tych filmów była możliwa: producentom, redaktorom, kamerzystom i technikom.

Jestem także wdzięczny Davidowi Henshawowi z Hardcash; Willowi Thorne’owi, Jacques’owi Pauwowi, Jonathanowi Stackowi, RYP, Karen O’Connor, Florze Gregory.

Jestem nadzwyczaj wdzięczny licznym osobom, które pomagały mi gromadzić informacje do tej książki, tak oficjalnie, jak nieoficjalnie. Chciałem też podziękować J, A, C, a także R - wszyscy wywodzą się z 22. Special Air Service Regiment - oraz personelowi

Subsahara Solutions LLC. Pisząc tę książkę, pozostawałem w kontakcie ze źródłami zbliżonymi zarówno do Simona Manna, jak i Ely'ego Calila. Powiedziano mi, że być może nawiążą ze mną kontakt, jednak ostatecznie ze strony żadnego z nich do kontaktu nie doszło.

Pomoc June i Willa Simpsonów, Patricka Leigh Fermora, Barry'ego Dunnage'a, Philippe'a Wibrotte'a, Roya Simmonsa, Lizzie Shirreff i Michaela Birta była wprost nieoceniona.

W Curtis Brown miałem wiele szczęścia, ponieważ spotkałem Camillę Hornby i Karolinę Sutton, obie poświęciły rękopisowi tej książki mnóstwo pracy. Nie sposób przecenić ich zawodowej rzetelności, entuzjazmu i zaangażowania.

Wszyscy pracownicy Canongate kibicowali temu projektowi, prowadząc mnie przy tym przez meandry związane z pisaniem takiej książki. Szczególnie wdzięczny jestem Nickowi Daviesowi, mojemu redaktorowi, za niezwykle staranność oraz jakże elastyczne podejście do znaczenia słów „ostateczny termin”.

Moja matka, Christine, nie szczędziła mi słów zachęty i wspierała mnie bezwarunkowo na każdym kroku. Mój ojciec, Michael, jako pierwszy obudził we mnie chęć włości, zabierając mnie na wyprawy po bezdrożach Connemara. Moja babcia, Joy, pomagała mi odzyskać spokój ducha, gdy najbardziej tego potrzebowałem. Moi dziadkowie, Don i Martin, dali mi wszystko, co mieli, a także więcej - szansę, by pochwycić coś, czego oni nigdy zdobyć nie zdołali. Moje dzieci, Max i Bella, to inspiracja do opowiedzenia tej historii, opowiedzenia jej wprost. Moja żona, Jess, to istota cudowna pod wieloma względami, a przy tym okazało się, że potrafi być także doskonałą i cierpliwą redaktorką. Spędziła niezliczone godziny, pomagając mi w skleceniu tego materiału. Bez jej miłości, oddania i wiary, ta książka nigdy by nie powstała.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec ludzi żyjących w Liberii, ludzi, którzy otwarli swoje życie na spojrzenie obiektywu mojej kamery; którzy podtrzymywali mnie - niekiedy dosłownie - gdy sądziłem, że już nie dam rady. Niemal wszyscy, których poznałem w trakcie filmowania, zostali albo zabici, albo zmuszeni do opuszczenia swoich domostw. Wszystko, co zdołałem osiągnąć podczas długich miesięcy kręcenia filmów czy niekończących się wędrówek, blednie i staje się bez znaczenia wobec ich codziennej walki o przetrwanie, tak bowiem wyglądało ich życie na tej wojnie.

Kiedy zacząłem pisać tę książkę, uwolnienie Nicka du Toit wydawało się niemożliwe. Nick zaczął mi pomagać w pracy nad tą publikacją kilka godzin po swoim powrocie do RPA. Pytano mnie niekiedy, czy gdybym wiedział to wszystko, co wiem teraz, wyruszyłbym wtedy na tamtą wyprawę. Owszem, wyruszyłbym - o ile towarzyszyłby mi w niej Nick. Oto co

napisał, gdy przeczytał pierwszą wersję tej książki:

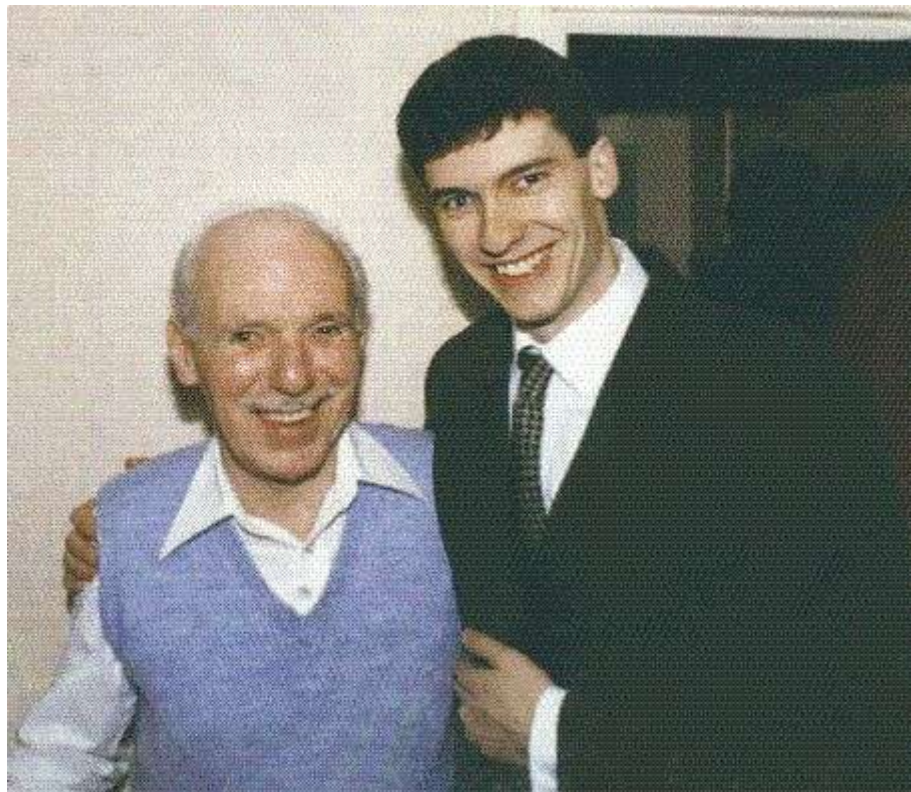
James, przeczytałem Twoją wersję roboczą. Całkiem niezłe. Nigdy nie dzieliłeś się ze mną swoimi odczuciami i wątpliwościami, to dobrze, że opisałeś je teraz w książce. Co prawda czasem wychodzę przez to na straszego dupka, ale epilog poniekąd przywraca właściwą perspektywę. Dzięki również za lojalność wobec mnie. W ostatecznym rozrachunku liczy się przede wszystkim nasza przyjaźń, której nikt nam odebrać nie może. I jestem pewien, że ufasz mi na tyle, by znów ze mną wyruszyć w drogę. Co nie znaczy, żebym planował coś w tym rodzaju.

Fotografie

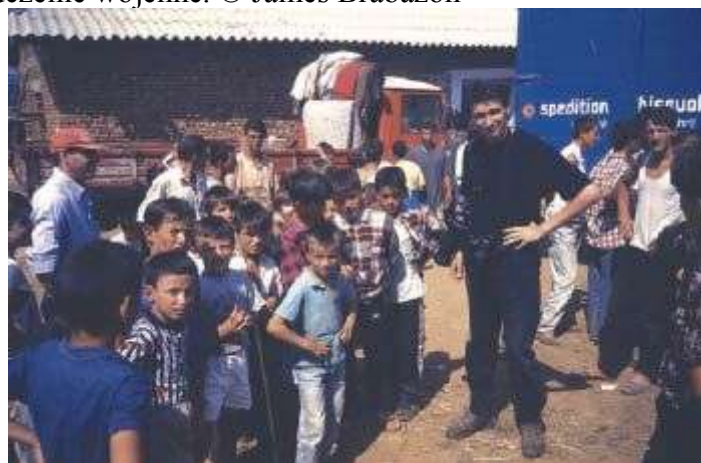
Autor, w wieku dwóch lat, na kolanach dziadka od strony matki – zdjęcie zrobione w Streatham, w południowej części Londynu, rok 1974 – rok przed tym, jak Nick wstąpił do Recces. Don walczył w Afryce Północnej oraz we Włoszech podczas drugiej wojny światowej pod rozkazami Montgomery'ego jako jeden z osławionych Szczurów Pustyni, lecz rzadko o tym opowiadał. © James Brabazon



Autor ze swoim dziadkiem, Martinem Brabazonem – weteranem, który walczył w dżungli, doskonałym bokserem i wyśmienitym muzykiem. Zdjęcie zrobione w londyńskim mieszkaniu komunalnym dziadka w 1996 roku. To z jego ust po raz pierwszy usłyszałem słowo „najemnik”. © James Brabazon



Autor w Kosowie, sierpień 1998 roku. Fotografowałem wówczas wojnę między Serbami a Kosowarami w dolinie Drenicy, było to moje pierwsze zagraniczne zlecenie oraz pierwsze zawodowe doświadczenie wojenne. © James Brabazon



Liberia, początek czerwca 2002 roku. Nick strzela z kałasznikowa do celu podczas „zawodów”, które urządził w Fassamie. Z odległości pięćdziesięciu metrów większość jego pocisków trafiła w ten sam otwór wybity pierwszą kulą



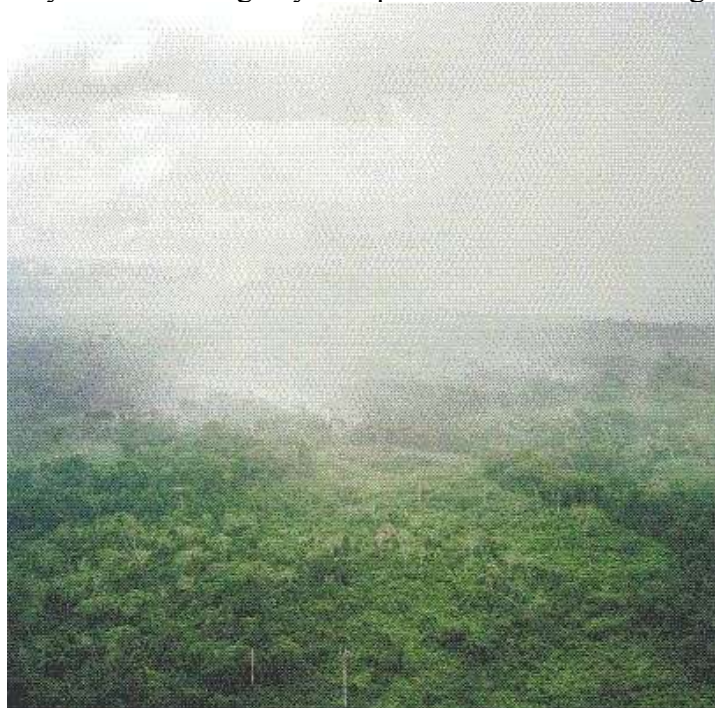
Frank, mój znajomy z wywiadu USA, podczas działań wojskowych w Afryce Zachodniej w latach dziewięćdziesiątych



Cobus Claassens na zdjęciu zrobionym przed nocną zasadzką w Kono w Sierra Leone, gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych walczył na żołdzie Executive Outcomes. Wielu z jego ówczesnych towarzyszy nadal współpracowało z siłami zbrojnymi USA w Afryce Zachodniej, a następnie zostało zwerbowanych do operacji w Gwinei Równikowej. © Cobus Claassens



Dżungla gwinejska zapewniła nie tylko schronienie partyzantom z LURD; jest także obszarem występowania połowy gatunków ssaków żyjących na kontynencie afrykańskim. Pod rządami prezydenta Charlesa Taylora produkcja drewna wzrosła o ponad 1300 procent. Część zysków wykorzystano na nielegalny zakup broni. © Tim Hetherington



Wyczerpany Nick podczas odwrotu z Tubmanburga; mieliśmy wówczas za sobą trzy dni nieustannego marszu. Bopolu, 21 czerwca 2002 roku. © James Brabazon



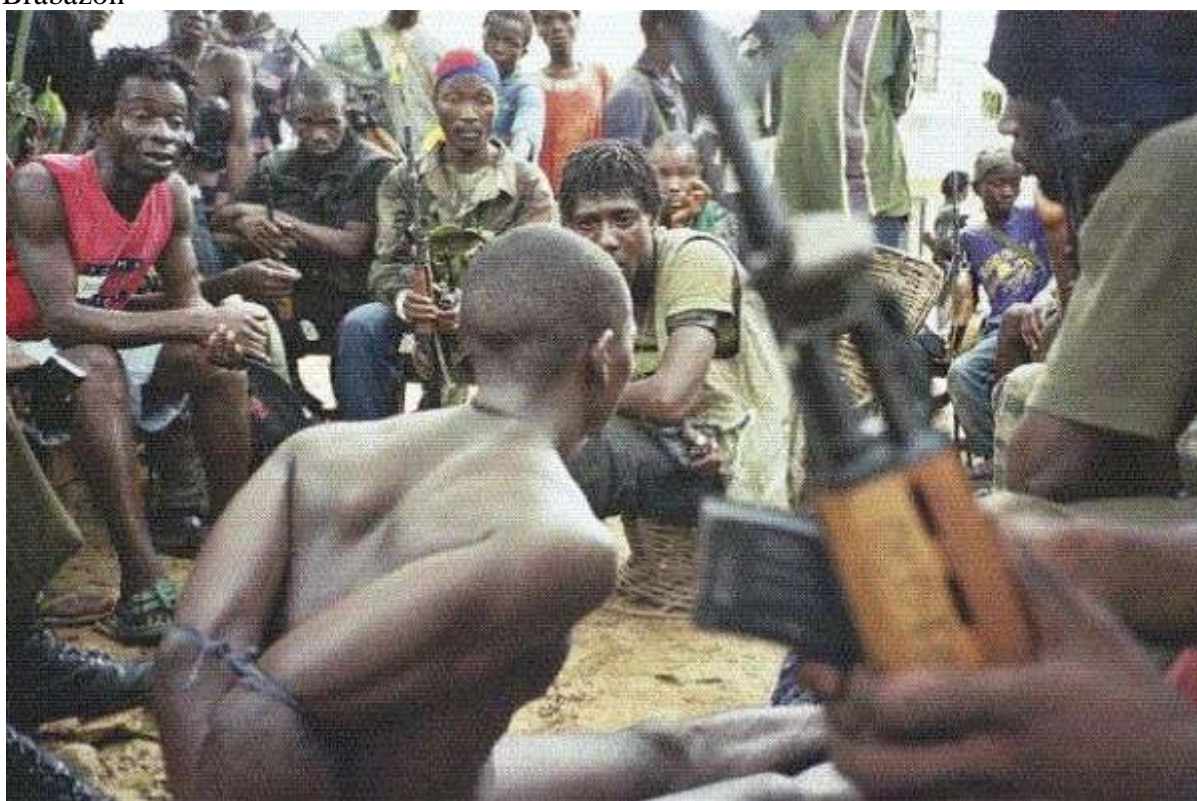
Autor na drodze prowadzącej na południe, do Tubmanburga, czerwiec 2002 roku. Wędrówkę musieliśmy odbyć piechotą, ponieważ w samochodach było zbyt niebezpiecznie – stanowiły łatwy cel dla nieprzyjaciela. Na masce widoczny kałasznikow Nicka: odłożył go, żeby zrobić mi zdjęcie. © James Brabazon



Żołnierze jednostki sił specjalnych LURD generała Deku pozują do fotografii w okolicach Fassamy, czerwiec 2002 roku. Większość ludzi widocznych na tym zdjęciu już nie żyje lub zaginęła. Deku widoczny pośrodku z lewej strony, trzyma w ręku walkie-talkie. © James Brabazon



Generał Deku, czyli Musa Donso (siedzi pośrodku), przesłuchuje żołnierza sił rządowych pojmanego wcześniej tego samego dnia podczas ciężkich walk pod Tubmanburgiem, połowa lipca 2002 roku. Jeniec spędził noc w więzieniu i został rozstrzelany o świcie. © James Brabazon



Nick pomaga mi przebrnąć przez potężną rzekę Via – naturalną barierę utrudniającą armii powstańczej stałe zaopatrywanie wojsk frontowych pod Monrowią, w połowie 2002 roku



Generał Deku dokonuje odprawy swoich podkomendnych przed przemieszczeniem na południe z Voinjamy; czerwiec 2002 roku. Kadr z filmu *Liberia. A Journey Without Maps*



Autoportret – ja w lustrze łazienki hotelu Petit Bateau – Konakry, Gwinea, 3.30 w nocy, 29 lipca 2002 roku, pod koniec pierwszej wyprawy do Liberii opanowanej przez buntowników.
© James Brabazon



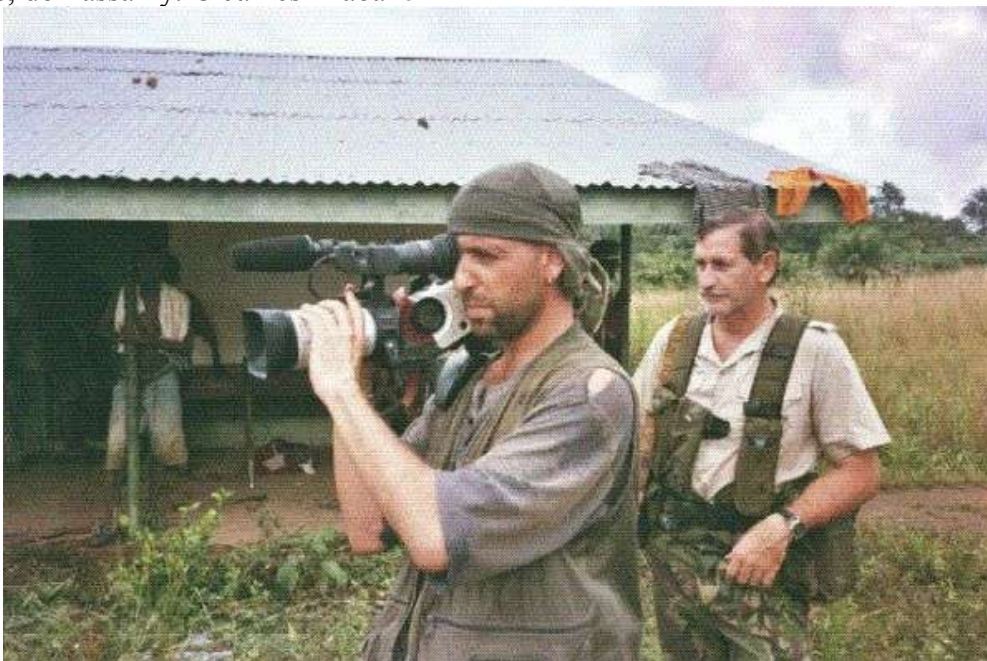
Nick i ja podczas odpoczynku w Tubmanburgu, 8 lipca 2002 roku. Kilka minut wcześniej generał Deku na naszych oczach dokonał egzekucji jeńca. W drugim końcu ulicy nadal toczyły się walki o każdy dom. © James Brabazon



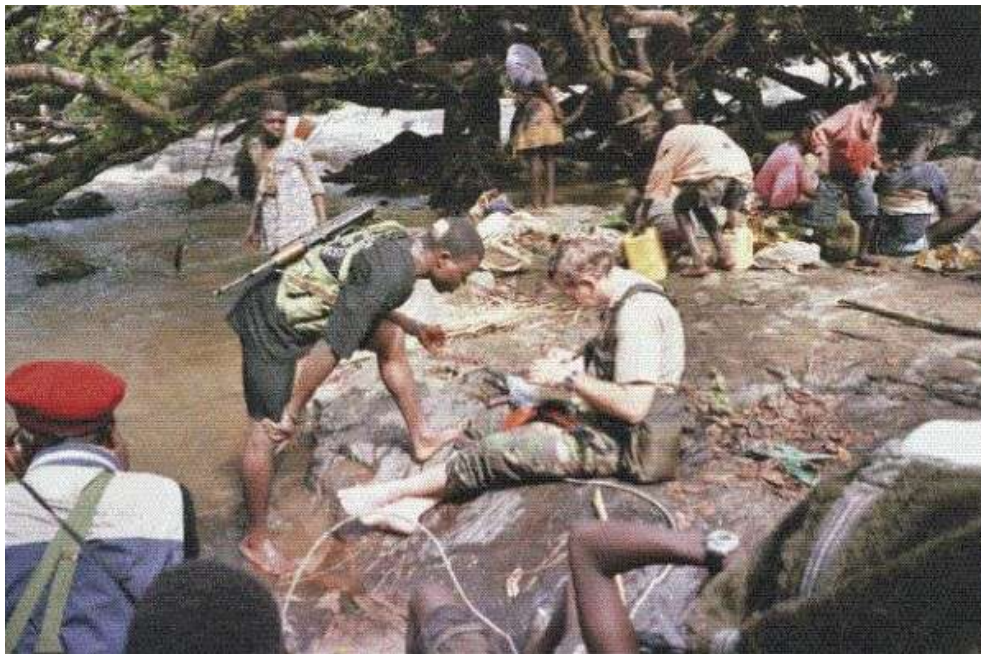
Jego ekscelencja Sekou Damate Conneh Junior, krajowy przewodniczący LURD. © Tim Hetherington



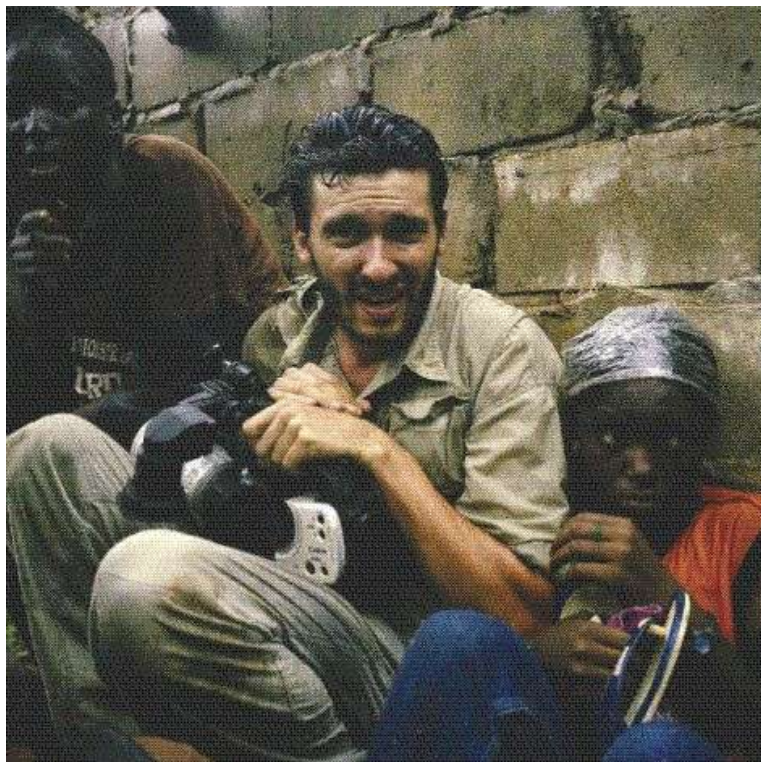
Nick, w charakterystycznych szelkach stanowiących element wyposażenia Recces, czuwa nad kamerzystą, Dudleyem Saundersem, który filmuje ludność cywilną w bazie LURD położonej w miejscowości Zolowo; popołudnie 8 czerwca 2002 roku. Następnego dnia wyruszyliśmy na południe, do Fassamy. © James Brabazon



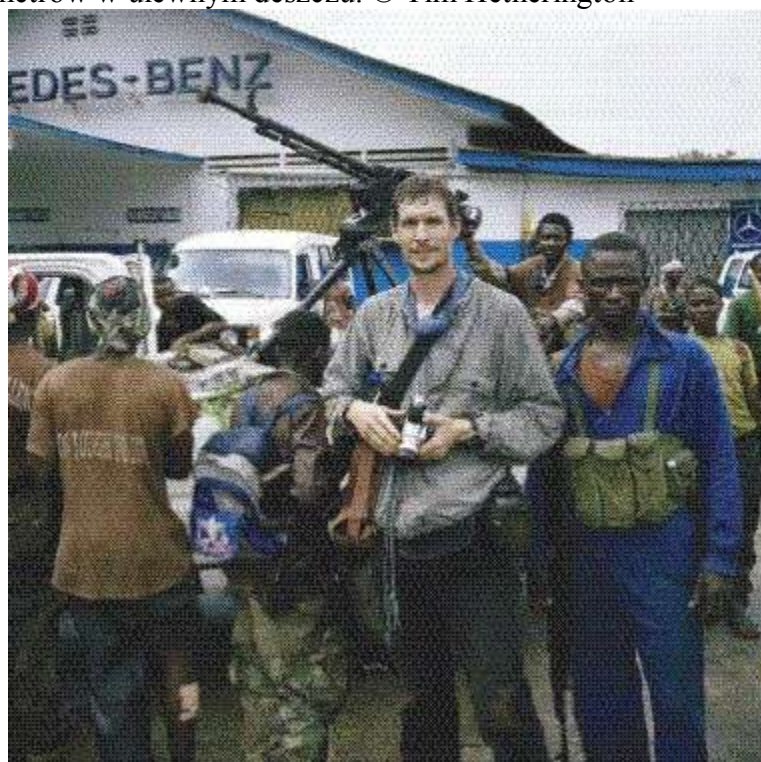
Nick na wysepce pośrodku brodu prowadzącego przez nurty rzeki Via przekazuje środki medyczne rannemu dowódcy partyzanckiemu, czerwiec 2002 roku. Kwalifikacje paramedyczne Nicka znajdowały zastosowanie niemal codziennie i ocaliły niejedno życie. © James Brabazon



Pod ogniem na przedmieściach Monrowii, czerwiec 2003 roku. Jedna z ostatnich potyczek tej bitwy. Zaledwie parę metrów od nas padło kilku żołnierzy sił rządowych. © Tim Hetherington



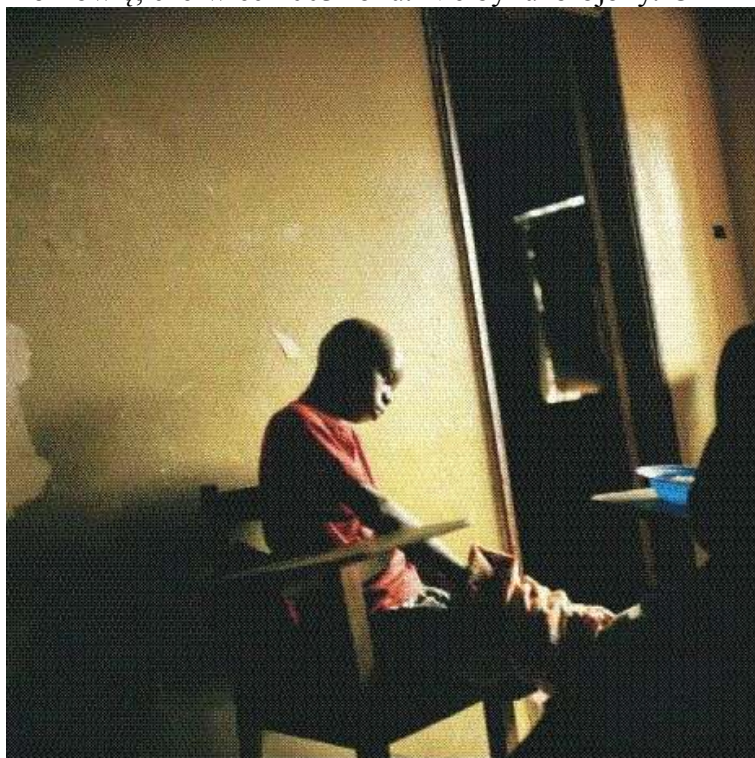
Tim Hetherington przed kwaterą główną partyzantów w Monrowii, czerwiec 2003 roku. Tego ranka sfilmował cztery potyczki w ciągu tyluż godzin; poprzedniego dnia przeszedł na piechotę 55 kilometrów w ulewnym deszczu. © Tim Hetherington



Partyzanci z LURD używają zamontowanego na półciężarówce ciężkiego karabinu maszynowego kalibru 12,7 mm, by zlikwidować zasadzkę na przedmieściach Monrowii, czerwiec 2003 roku. Wielu z bojowników nosiło T-shirty z napisem: „Twardziele nie umierają”. © Tim Hetherington



Rocket – szesnastoletni radiooperator sfotografowany przez Tima w Tubmanburgu. Rocket doznał uszkodzenia mózgu w wyniku trafienia w głowę podczas pierwszego ataku buntowników na Monrowię, czerwiec 2003 roku. Nie był uzbrojony. © Tim Hetherington



Bojownik LURD żegna się z żoną przed wyruszeniem na Monrowię, czerwiec 2003 roku. © Tim Hetherington



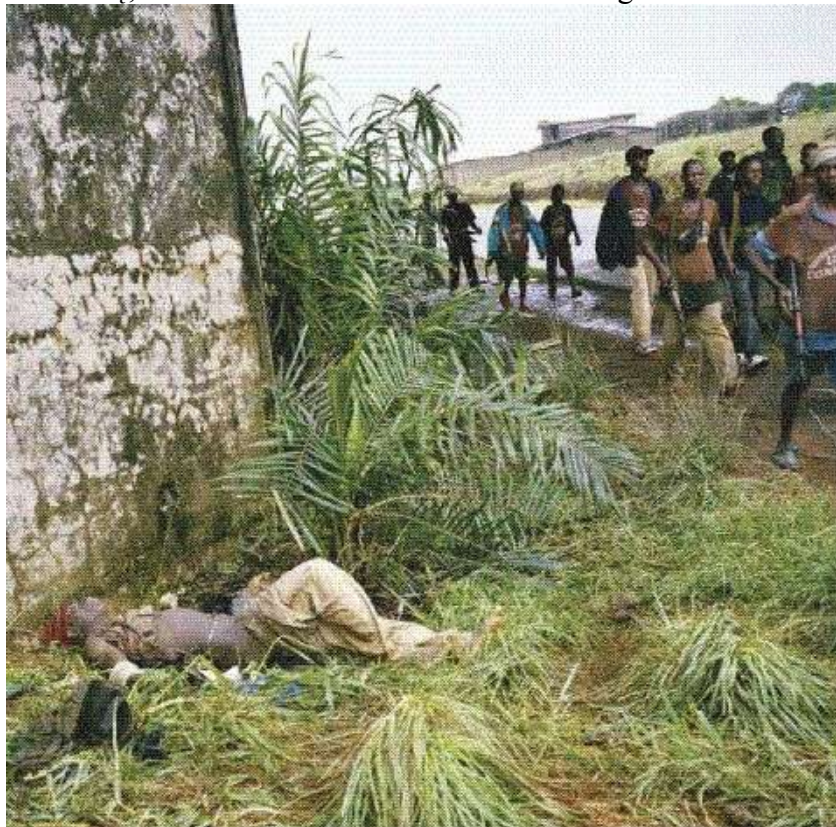
Drużyna moździerzowa LURD osłania nasz odwrót z Bushrod Island, czerwiec 2003 roku. Późniejszy ostrzał Monrowii pociągnął za sobą setki ofiar wśród ludności cywilnej. © Tim Hetherington



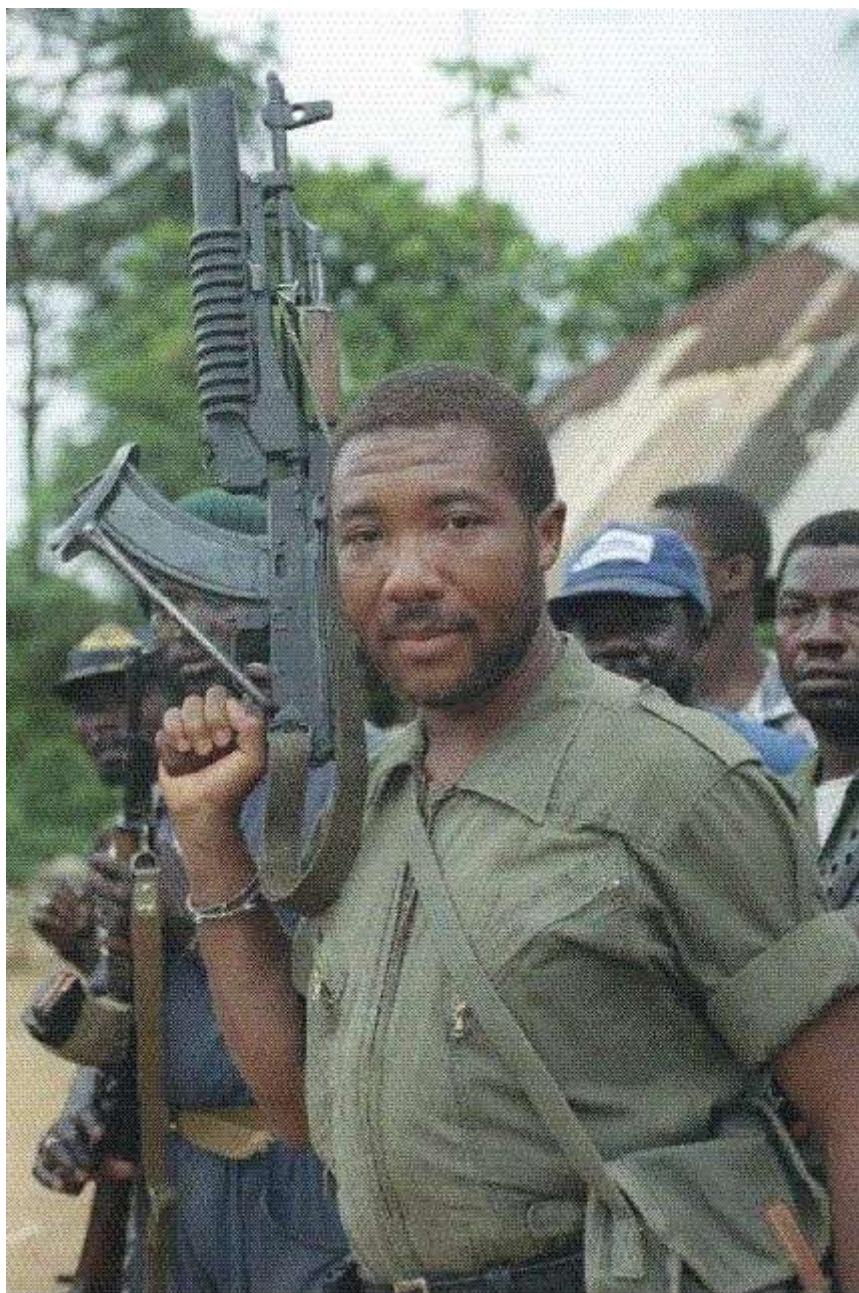
Pierwsi powstańcy z LURD opuszczają Tubmanburg, by rozpocząć dziesięciogodzinny marsz na stolicę, czerwiec 2003 roku. © Tim Hetherington



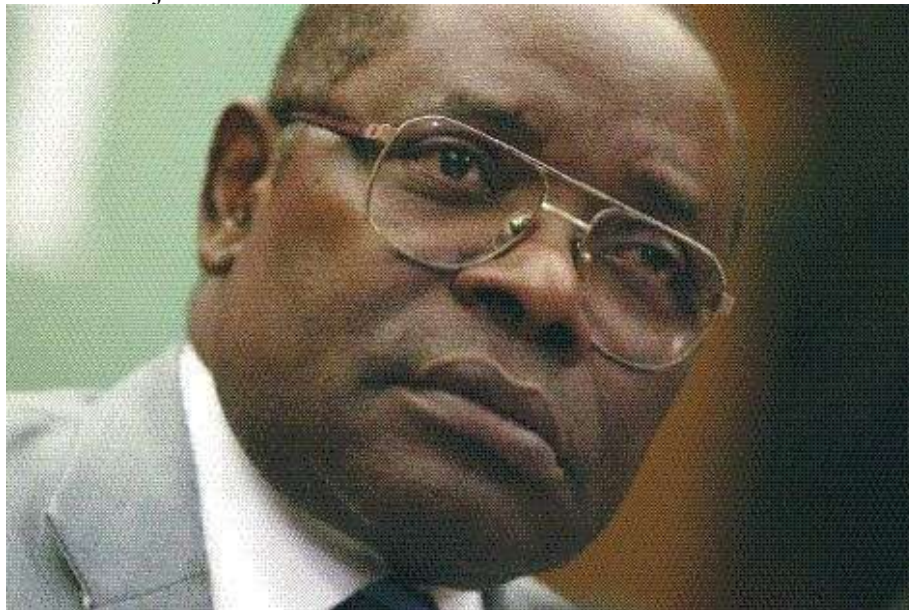
Zwłoki żołnierza sił rządowych spoczywające w pobliżu drogi, którą bojownicy LURD maszerują na Monrowię, czerwiec 2003 roku. © Tim Hetherington



Charles Taylor, sfotografowany pięć miesięcy przed rozpoczęciem pierwszej wojny domowej w Liberii, 29 maja 1990 roku. W kampanii prezydenckiej sześć lat później jego zwolennicy używali hasła „Zabiłeś mi matkę, zabiłeś mi ojca, ale będę na ciebie głosował”. © AFP/Getty Image



Severo Moto, przebywający na emigracji przywódca opozycji z Gwinei Równikowej, którego Simon Mann chciał ustanowić prezydentem kraju. W 2008 roku Moto został aresztowany przez hiszpańskie władze pod zarzutem nielegalnego posiadania broni, którą zamierzał wysłać do Gwinei Równikowej. © AFP



Prezydent Zimbabwe Robert Mugabe (z lewej) w Harare trzyma za rękę swojego serdecznego przyjaciela, prezydenta Gwinei Równikowej, Teodora Obianga Nguemę. W marcu 2007 roku Mugabe ogłosił, że Zimbabwe zaczęło sprowadzać ropę z Gwinei Równikowej; w styczniu 2008 roku Simon Mann został przekazany Gwinei Równikowej w drodze ekstradycji. © AFP/Getty Imane



Jeden z dwóch samolotów Dakota DC-3 użytych podczas pierwszej próby zamachu w lutym 2004 roku. Sfilmowany w listopadzie 2004 roku na płycie lotniska Wonderboom w Pretorii, przed hangarem firmy Dodson International Parts SA Limited (której był własnością) dla Channel 4, na potrzeby filmu dokumentalnego *My Friend the Mercenary*. © Hardcash



Samolot o numerze N4610. Boeing 727, którym posłużył się Simon Mann podczas drugiej próby zamachu, w marcu 2004 roku, widoczny tu na płycie lotniska w Harare w Zimbabwe. Istnieje przypuszczenie, iż pilot, który przetransportował maszynę ze Stanów Zjednoczonych do RPA, pracował dla CIA. © Reuters



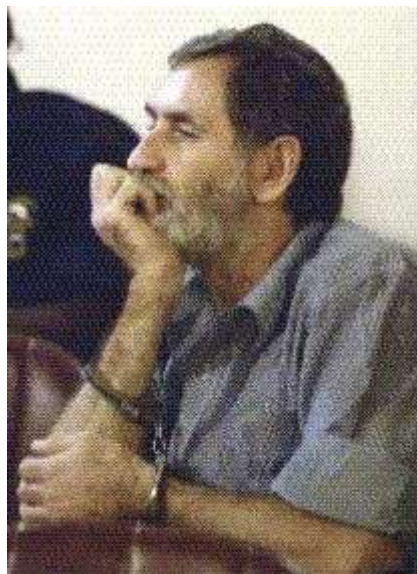
Od prawej: pilot boeinga 727 Neil Steyl, Simon Mann, Hendrik Hamman i Lourens Loutjie Horn podczas rozprawy sądowej w Zimbabwe, wraz z innymi aresztowanymi na lotnisku w Harare. Marzec 2004 roku. © Associated Press



Simon Mann (po lewej) skuty kajdankami razem z mechanikiem pokładowym Kenem Paine'em w Chikurubi, „więzieniu o maksymalnym standardzie zabezpieczenia” w Harare. Między nimi z tyłu widoczny Simon Witherspoon, dawny żołnierz 5. Pułku Recce, który przeprowadził rekonesans na lotnisku Kolwezi podczas pierwszej próby zamachu w lutym 2004 roku. © AFP



Nick podczas procesu w Malabo, Gwinea Równikowa, 18 listopada 2004 roku. Pozostał skuty kajdankami niemal bez przerwy przez pięć lat i osiem miesięcy spędzonych w więzieniu Playa Negra. © AFP



Simon Mann podczas konferencji prasowej wkrótce po uwolnieniu „ze względów humanitarnych” z więzienia Playa Negra w Gwinei Równikowej, listopad 2009 roku. Nick siedzi z tyłu w czerwonej koszulce. W więzieniu Nick stracił czterdzieści procent wagi ciała. Natomiast małżonka Simona, Amanda, twierdziła potem, że jej męża tak dobrze traktował w więzieniu „ten przeuroczy, przeuroczy człowiek”, czyli prezydent Obiang, że Simon postanowił przejść na dietę, aby „zachować formę i nie utyć”. © Associated Press



Nick i ja przed jego nowym domem w Pretorii, tydzień po jego wyjściu z więzienia Playa Negra. Listopad 2009 roku. © Marzaan du Toit

